

MAJGULL
AXELSSON

Ja nie jestem
Miriam

Majgull Axelsson

JA NIE JESTEM MIRIAM

Przełożyła Halina Thylwe

POMIĘDZY

DZELEM, DZELEM

Dokąd głodni zawędrować chcecie

Razem z taborami wzdłuż szczęśliwych dróg

Miałem kiedyś wielu bliskich

Przyszedł czarny legion i zabił ich wszystkich

Chodźmy razem, Cyganie świata

Žarko Jovanović¹

Mimo że świeci słońce, wciąż jest noc.

Nässjö odpoczywa w ciszy pod jasnoniebieskim niebem. W brzożach w parku miejskim nie szumi wiatr, na Rådhusgatan nie warczą silniki samochodów, żaden pociąg nie wjeżdża z łoskotem na stację. Jest tak cicho, że samotny gołąb, który, kołysząc się, pospiesznie drepcze przez Stora Torget, przystaje zaskoczony i nasłuchuje. Zastyga w bezruchu, z lekko przekrzywionym łebkiem, w czujnym oczekiwaniu. Chwilę później dostrzega pół bułki do hot doga, zapomina o dziwnej ciszy i stawiając jedną czerwoną nóżkę przed drugą, czym prędzej tam zmierza, niewymownie szczęśliwy z rychłego obfitego posiłku. Nie dlatego, że jest przesadnie głodny. Dzisiaj w Nässjö nikt nie jest przesadnie głodny, nawet ptaki i szczury. Jest tutaj tyle jedzenia, że starczy dla wszystkich.

Mimo to Miriam śni o głodzie. Od ponad sześćdziesięciu lat ukrywania się w tym mieście, podczas których nie była głodna nawet przez godzinę, co noc powraca w jej snach głód zaznany w młodości. Nie ma to nic wspólnego z jej dorosłym życiem ani z tym, kim jest teraz, a jednak nie może się od tych snów uwolnić, przyplływają i nie dają spokoju, zmuszają do cofnięcia się w czasie o sześćdziesiąt osiem lat lub więcej, do skulenia się i ucieczki, do spuszczenia wzroku i przygarbienia pleców, do zabrania kawałka chleba komuś, kto nie ma już siły jeść, do nakarmienia braciszka, który nie jest w stanie przełykać, do stania obok Else na apelu i cichego recytowania alfabetu, a sekundę później do wpatrywania się w nienaturalnie duże oczy Else, oczy, które...

I tak noc w noc... Raz po raz.. A jeśli Kaiserowi, owczarkowi niemieckiemu z sąsiedztwa, przyjdzie ochota na szczekanie, kiedy wczesnym rankiem jego właściciel wypuszcza go do ogrodu, Miriam otwiera oczy, sparaliżowana strachem od stóp do głów.

Ale tej nocy Kaiser nie szczeka, pewnie wciąż śpi na łóżku swojego tłuściutkiego pana, dzięki czemu Miriam może sobie pozwolić na powolne budzenie się, na bycie przez chwilę między snem a jawą, w przestrzeni pomiędzy. Pomiedzy lubi najbardziej. To przestrzeń bardzo rzeczywista, mimo że istnieje tylko w jej wyobraźni, przestrzeń, w której może panować nad swoimi snami, może je zmieniać w łagodne i przyjazne. W pomiędzy wszyscy umarli nadal żyją, tutaj jest niezależna, może być kimkolwiek i gdziekolwiek, może przenosić się w czasie, wybierać miejsca i wspomnienia, wybierać między snem a rzeczywistością. Ale tego nie robi. Nie tej nocy. Tej nocy się powstrzymuje i rozgląda. Tym razem pomiędzy to okrągłe pomieszczenie i wszystkie drzwiczki są uchylone. Wczoraj było ich osiemdziesiąt cztery, dzisiaj jest osiemdziesiąt pięć, wie o tym bez liczenia. Wszystkie są z teczyny i mają lśniące uchwyty. Przypominają drzwiczki

szafek z jej pierwszej własnej kuchni, kuchni, którą kochała mocniej i goręcej, niż kiedykolwiek kochała Olofa, co wcale nie znaczy, że nie był jej bardzo bliski. Teraz jednak o tym nie myśli. Staje przed drzwiczkami i bacznie się im przygląda, próbuje dociec, które są pierwsze, a które ostatnie, i bardzo się pilnuje, żeby żadnych nie otworzyć na oścież. I proszę! Za jednym dostrzega pasiastą bawełnę. Tyle jej wystarczy. Wyciąga rękę i zamyka je, po czym przejeżdża dłonią po piętnastu drzwiczkach przed nimi i pięciu po nich i kolejno je zatrzaskuje. Bach-bach-bach! Potem się rozgląda, opuszcza ramiona, uśmiecha się, przekłada długi biały warkocz do przodu i przesuwa nim pod nosem, jakby to było milusie domowe zwierzątko. No tak. Teraz może uczcić swoje urodziny po swojemu, zanim obudzi się reszta domowników i zmąci jej wspomnienia.

Przez blisko pół godziny zagląda do wielu szafek, skrytek jej pamięci. Tam biegnie do niej mały Thomas, tam mocno chwyta go w objęcia i obraca w koło, w koło, w koło, wiruje jej cętkowana spódnica, jego dziecięcy śmiech pobudza ją do śmiechu. A tam jest druhną na ślubie Hanny. Bukiet panny młodej drży w jej ręku, kiedy Hanna wybucha przejmującym płaczem w tej samej chwili, w której Egon wkłada jej obrączkę na palec. „Jakie to szczęście!” – mówi Hanna, pociąga nosem i niestosownie przesuwa pod nim prawą dłonią w rękawiczce. „Przepraszam, ale jestem taka szczęśliwa!” Wszyscy się uśmiechają. Egon się uśmiecha i Olof, burmistrz i notariusz. Miriam też się uśmiecha, gdy nagle Thomas zaczyna kwilić w wózku, więc pochyla się nad nim i otula go jasnoniebieskim bawełnianym kocykiem. Za następnymi drzwiczkami to ona jest panną młodą, idzie do ołtarza w białej sukni i jest bardzo piękna. Bardzo młoda, bardzo ciemna i bardzo piękna. Olof u jej boku wygląda na lekko zaniepokojonego. Może myśli o swoim poprzednim ślubie, prawdziwym ślubie w dużym kościele w środku miasta, chociaż jego małżeństwo trwało niewiele ponad rok, do dnia, w którym jego młoda żona urodziła Thomasa, a potem przestała oddychać, nie pozwoliła bić swojemu sercu i nie dała się przywrócić do życia. Albo niepokoi go to, że Miriam, nic mu nie mówiąc, dzień po tym, jak się jej oświadczył, poszła do kancelarii parafialnej i powiedziała, że chce się rzec wiary swoich przodków i – jeśli to możliwe – przystąpić do Kościoła Szwedzkiego. Oczywiście, że możliwe. Proboszcz Klintberg o mało się nie zaślinił z przejęcia i wyznaczył termin chrztu już na przyszlą niedzielę. Olof wie, że Miriam wcale nie jest pewna, czy Bóg istnieje, ba, nawet podziela jej wątpliwości, a mimo to dręczy go jej decyzja. Czy aby nie jest tak, że zmieniła wyznanie wyłącznie z powodu ślubu? Bo chciała stanąć przed ołtarzem w kaplicy Świętej Walburgi w białej sukni, welonie i wianku mirtowym? Bo potem chciała wyjść na schody przed kaplicą w swoim ulubionym mięciutkim futerku z królika i patrzeć, jak jego rodzina i przyjaciele będą ich obrzucać ryżem?

A jeśli tak, to kim była?

– Kimś, kto cię kochał – szepce Miriam w odpowiedzi przeszło sześćdziesiąt lat później. – Kimś, kto już wszystko stracił, nawet siebie, i wiedział, że nie przeżyje, gdyby ciebie też stracił. Kimś gotowym kłamać i fałszywie przysięgać, bylebyś mnie nigdy nie opuścił, kimś, kto w swojej niewinności wierzył, że ślub kościelny będzie dla ciebie więcej znaczył niż ślub cywilny, że zapewni naszemu małżeństwu większą trwałość. Nie mogłeś odejść! Dlatego musieliśmy się pobrać w kościele. Mimo Boga. Dla poczucia bezpieczeństwa.

Już wtedy rozumiała, że „poczucie bezpieczeństwa” to były w tamtych czasach dwa najważniejsze słowa. Ci wszyscy mający poczucie bezpieczeństwa Szwedzi chcieli mieć go więcej i więcej, chcieli wręcz nadludzkiego poczucia bezpieczeństwa. Nękały ich duchy przeszłości, ciągłym wyciem przypominając o tym, co było. O ostatnim wielkim głodzie sprzed czterech dekad! O bezrobociu, ubóstwie i poniżeniu sprzed dwóch dekad! O wojnie, która zaledwie jedno dziesięciolecie temu otarła się o granice kraju, wojnie, podczas której po drugiej stronie granicy ludzi rozstrzeliwano i szlachtowano, głodzono i gazowano, katowano na śmierć i wykańczano pracą przymusową. Wydawało się, że nic nie przyćmi pamięci o ich przerażającym wyciu, ale w tym kraju nikt nie miał już siły ich słuchać, nikt nie chciał myśleć o momentach zdrady, w istocie dość licznych momentach zdrady, chciał w najlepszym razie myśleć o kilku spóźnionych momentach bohaterstwa, w istocie dość licznych momentach bohaterstwa, ale przede wszystkim chciał myśleć o tym, że wszyscy, nawet robotnicy, mogą zjeść w niedzielę na kolację pieczone, a w dni powszednie, zamiast smażonego śledzia, klopsiki i parówkową, że wszyscy bez wyjątku mieli w lecie trzy tygodnie płatnego urlopu, a niektórych, nadzwyczaj sumiennych robotników było stać na kupno samochodu. Własnego samochodu! Malutkiego autka dla ludu, które parkowało przed malutkim własnym domkiem. Przyszłość nie miała nadejść. Przyszłość już nadeszła.

Dla Miriam też, co widzi za drzwiczkami szafek, które otwierają się na wspomnienia tuż po ślubie. Jest w swoim ogrodzie, uśmiechnięta niesie tacę, wokół pyszni się lato. Na klombie kwitną morelowe róże, rozwinęły się różowe piwonie, a bojaźliwy, niedawno posadzony jaśminowiec rozchylił pierwsze pączki, odsłaniając białe gwiazdki. Na tacy jest zeszłoroczny sok z rabarbaru jej roboty, świeżo upieczone ciasto marmurkowe i jej duma, wyrośnięte zawijasy cynamonowe. Olof uśmiecha się do niej i mówi, że przed kawą chętnie napiłby się soku z rabarbaru, bo nikt na świecie nie robi tak pysznego soku z rabarbaru jak Miriam. A Thomas przytula się do niej i potwierdza. Tak, najpyszniejszy sok na świecie.

Za następnymi drzwiczkami Thomas, choć starszy i mniej przystępny, nadal jest jej małym chłopcem. Wprawdzie nigdy jej nie wyzywa ani nie stroi min za jej plecami, ale ona stara mu się nie narzucać. Rzadko całuje go w policzek i ujmuje jego dłoń tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie ma za małych rękawiczek, a jeśli ma, prosi, żeby powiedział, jaki wybrać kolor włóczki, żeby mu zrobić nową parę. Szary? Dobrze. Zrobi mu na drutach szare pięciopalczaste rękawiczki.

Za następnymi drzwiczkami widzi siebie. Siedzi w pięknym pokoju dziennym, w pięknej willi, którą odziedziczył Olof, z pięknymi meblami, które dla nich kupił, bo Olof dobrze zarabia, jest dentystą, żaden dentysta w Nässjö nie zarabia tyle co on, i ona siedzi na sofie Carla Malmstena i robi na drutach, dopóki nagle wszystko się nie rozproszy. Jej kraciasta spódnica zamienia się w pasiak, pończochy nikną, buty odpływają w nicość, parkiet pod jej stopami to goły cement, jedyne, co zostaje, to siwy zimowy zmierzch za oknem i śnieg, i przez chwilę znów jest w Ravensbrück, i Else, trawiona gorączką, patrzy przed siebie pustym wzrokiem, i Miriam krzyczy, i słyszy swój krzyk, i przyciska dłonie do ust, żeby nie krzyczeć. Potem przez dłuższą chwilę siedzi bez ruchu, przymyka powieki, tłumi krzyk, potem powoli otwiera oczy i rozgląda się. Wszystko jest jak zwykle. Lata sześćdziesiąte, spokojny lutowy zmierzch, siedzi w swoim pięknym pokoju dziennym, na kolanach leży na wpół gotowa rękawiczka, którą niebawem dostanie jej pasierb.

Nie, nie chce pamiętać tamtego popołudnia. Nie chce pamiętać żadnych podobnych popołudni, dlatego pospiesznie mija kolejne drzwiczki i biegnie do ostatnich, otwiera je na oścież, zagląda i uśmiecha się na widok czegoś, co dobrze zna. Leży w małej przytulnej sypialni, jest nowe stulecie, nowe milenium. Bładoniebieskie ściany, pościel w granatowo-białą kratkę, cienkie białe zasłony. Pod ścianą stoi prezent, który kiedyś uczynił z niej damę wśród dam: sekretarzyk Hanny z błyszczącego mahoni. Obok otwartych drzwi balkonowych stoi fotel uszak Olofa, którego obicie zmieniła trzy lata po jego śmierci. Od tamtego czasu minęło dwanaście lat, ale materiał wciąż jest gęsty i granatowy kolor nie spłowieł mimo padającego nań słońca. Na oparciu leży jej nowy szlafrok, mglisty błękit. Niebieski to jej ulubiony kolor. Lubi wszystkie jego odcienie, od lodowego błękitu po indygo, od lazurowego po gołębi, od turkusowego po niebiański błękit, od modrego po kobaltowy...

– Niebieski jest stonowany – powiedziała Hanna przed laty. – Niebieski to zawsze właściwy wybór.

Młoda Miriam skinęła głową i zapisała to sobie w myślach. Potem poszła do swojego pokoju i odszukała to słowo w słowniku Akademii Szwedzkiej, żeby się dowiedzieć, co ono znaczy. „Umiarkowany. Prosty. Gustowny”.

Pokiwała głową i uśmiechnęła się. Oczywiście, że chce być stonowana. Ostatnio rzadko o tym myśli, to stało się czymś naturalnym. Jest damą. Prawdziwą damą. Damą, która bardzo często ubiera się na niebiesko. Nigdy jednak w paski.

Ale teraz owa dama śni, że wstaje z łóżka, mimo że nadal na nim leży. Przygląda się sobie w lustrze wiszącym na krótszej ścianie, lekko prostuje plecy i robi sobie pierwszy prezent urodzinowy: wyobraża sobie, że jest trochę młodsza i ładniejsza, wkłada szlafrok i mocno zawiązuje go w talii. Warkocz zostaje pod spodem, wyciąga go szybkim ruchem, przerzuca przez ramię, głaszcze i z zadowoleniem konstatuje, że przynajmniej w wyobraźni jest gruby i pękaty jak dobrze nakarmiony wąż. Potem przyciska dłoń z nienagannym manikiurem do czubka głowy i staje się cud, cud, który dzieje się raz w roku w dniu jej urodzin. Kości ciemieniowe podnoszą się, Miriam wsuwa rękę do środka, wyjmuje mózg i trzymając go w stulonych dłoniach, zasklepia kości gwałtownym ruchem głowy. Przez moment przygląda się mózgowi, lekko się do niego uśmiecha i myśli, że to, co trzyma w dłoniach, zwykło się nazywać cudem nad cudami, największym z istniejących w tym wszechświecie, a kto wie, czy nie największym w jakimkolwiek wszechświecie. Ludzki mózg. Mała szaroróżowa bryła, która może się nauczyć wszystkiego, czego tylko można się nauczyć, która potrafi pamiętać i zapominać, kłamać i mówić prawdę, śnić i fantazjować. Mała bryła, która wie, że żyje, i wie, że umrze, a mimo to szuka dróg wyjścia i kryjówek przed tym, co nieuniknione. I Miriam ją ma, ma ludzki mózg. Trzymając go w dłoniach, wie, że trzyma w nich wszechświat.

– Nieźle – szepce do siebie. – Całkiem nieźle.

Po cichu wymyka się z pokoju dziennego, nie rozgląda się, czuje, że na obrzeżach jej pola widzenia wszystko jest tak, jak być powinno. Po lewej kątem oka rejestruje gołębioniebieską sofę Carla Malmstena, po prawej babcia Olofa jak zwykle ciepło uśmiecha się z portretu. Ale Miriam tam nie patrzy. Nie odrywając wzroku od szaroróżowej bryły w stulonych dłoniach, szybko przemierza hol, potem zamknięte drzwi, schodzi po schodach, przenika przez drzwi wejściowe, zatrzymuje się na schodach i przez chwilę napawa się widokiem. Olśniewającym ogrodem. Białym bzem, który wciąż kwitnie. Alejką, którą wczoraj grabiła. Króciutkim odcinkiem Strandvägen. Trawą po drugiej stronie. I Ingsbergssjön. I konturami Nässjö. I miejskim parkiem. I ratuszem. I wieżą kościoła w oddali, nieustannie celującą w niebo. Nagle pojawia się inne miasto i inna kościelna wieża i przesłania to, co powinna widzieć. Nie godzi się na to, nie pozwala mu się wcisnąć i wybić na pierwszy plan. Zmusza się do powrotu tam, gdzie od przeszło sześciu dziesięcioleci ma swój dom, bo przecież nie jest w Ravensbrück i nie patrzy

na wieżę kościoła w Fürstenbergu. Jest w Nässjö. To wieża kościoła w Nässjö tak wyniośle i władczo wskazuje na niebo. A smrodu palonej skóry i mięsa, który nagle przenika cały świat, pozbędzie się najszybciej, jak to tylko możliwe...

W następnej sekundzie stoi na brzegu. Brązowa cętkowana kaczka mama wydaje skrzekliwy dźwięk niezadowolenia i natychmiast wygania swoje świeżo wyklute dzieci z małej kępki sitowia, gdzie spały. Co to ma być? Dlaczego to długonogie stworzenie wyobraża sobie, że może łązić wokół jeziora w porze przeznaczonej dla zwierząt? Co?! Obrusza się, odpływa z siedmioma żółtymi puszystymi kulkami, po chwili się zatrzymuje, odwraca i szuka Miriam wzrokiem.

– Przepraszam – mówi Miriam. – Ale ja muszę to zrobić...

I robi. Sprawia, że brązowa woda Ingsbergssjön staje się przejrzysta i lodowoniebieska, rośliny zastępuje piasek, znikają wszystkie drobnoustroje i wszystkie komary. Teraz opada na kolana, z mózgiem w stulonych dłoniach. Nie drży, utrzymuje idealną równowagę, nie czuje najmniejszego bólu w artretycznych kolanach, zgina je gibko jak młoda baletnica, pochyla się i zanurza mózg w czystej wodzie, pozwala jej dotrzeć do każdego zagłębienia, wypełnić każde puste miejsce, opłukać i umyć każdą komórkę. Najpierw uwalnia mózg od wszystkich obrzydliwych starych zapachów, następnie od wszystkich przykrych wspomnień, a na końcu od wszystkich złych myśli. Potem go wyżyma jak gąbkę, kładzie dłoń na głowie i przyciska. Podnoszą się kości ciemieniowe. Starannie wsuwa do środka wymytą do czysta szaroróżową bryłę i jednym ruchem głowy zamyka czaszkę. Rozgląda się i głęboko wciąga powietrze. Teraz świat ładnie pachnie. Pachnie czeremchą i bzem, różami i konwaliami. I jest piękny. Liście brzozy w jej ogrodzie połyskują w słońcu, czerwony dom – jej dom! – nabrał głębszego, cieplejszego odcienia, a cztery białe kolumny na podeście przed drzwiami odrobinę zgrubiały, dzięki czemu proporcje nareszcie są zachowane. Ślina w jej ustach ma świeży smak czystej źródlanej wody. Gdzieś w pobliżu śpiewa słowik, tak wesoło, że każdego, kto śpi przy otwartym oknie, nawiedzą błogie sny. Sny tęsknotowe. Sny życzeniowe. Wiatr wybucha śmiechem za plecami Miriam, okrąża ją, pieści jedwabnym dotykiem i unosi, pozwala jej przez chwilę poszybować nad jeziorem, a potem wraca z nią na ląd i ostrożnie opuszcza na jej balkonie. Miriam uśmiecha się i macha ręką kaczek mamie na jeziorze. Widzisz, odzyskałaś swój świat! Woda znowu jest brązowa, muchy brzęczą ci nad głową i rosną smaczne wodorosty. A ja uwolniłam się od wspomnień!

I w tym momencie szczeka Kaiser.

Kaiser to tępny pies. Głupi jak but. Nie myśli i nie chce myśleć, panoszy się w ogrodzie i udaje porządkowego. Ujada i wyje. Miejcie się na baczności, wróble! Warczy i szczeka. Biada wam, cholerne wiewiórki, koniec waszego spokoju! Drze się i ciska gromy. Giń, przekłety kosie, odgryzę ci głowę! A wszystkimu towarzyszą radosne pomruki. Tak, tak! Dostaniecie za swoje! To ja pilnuję tu porządku! Przynajmniej dopóki nie przyjdzie mój pan.

Pan Kaisera, niewiele bardziej rozgarnięty od swojego psa, jest równie skory do rozstawiania wszystkich po kątach. Kiedy otwiera drzwi na taras, Kaiser potulnieje, kładzie uszy po sobie, opuszcza ogon i przywiera brzuchem do ziemi.

– Zamknij się, Kaiser! – wrzeszczy jego pan, podciągając T-shirt i drapiąc się po owłosionym brzuchu. – Słyszysz?! Masz się zamknąć...

Kaiser oczywiście nic nie rozumie, ale wie, że pan jest wyższy od niego rangą, dlatego okazuje mu uległość. Przepraszam, że w ogóle jestem – zdaje się mówić jego ciało. Przepraszam, że istnieję. Czy jest coś, co mógłbym ewentualnie zrobić, żeby zaskarbić sobie przychylność waszej przewielebności? Na przykład kogoś przestraszyć, żeby świat się nie dowiedział, jak pan się boi, o, jedyny władco? Albo kogoś z góry na dół obszczekać? Albo kogoś ugryźć w nogę? Z przyjemnością ugryzłbym któregoś z pana wrogów...

– Zamknij się, Kaiser! – powtarza jego pan, z trzaskiem zamyka drzwi na taras i znika.

Kaiser leży pokornie przez całą minutę, dopóki na pobliskim krzaku nie usiądzie czyżyk. No nie! Znowu ptak. Tutaj! W ogrodzie jego pana! Zaraz mu pokaże, gdzie raki zimują!

I znów szczeka.

Szczekanie wybudza Miriam.

Siada na łóżku, jedną dłoń kładzie na ustach, jakby się chciała zmusić do milczenia, a drugą na sercu, jakby chciała je skłonić do wolniejszego bicia. Nie cofnęła się w czasie. To już historia. Nie jest w Niemczech. Nie siedzi w celi w bloku karnym w obozie koncentracyjnym.

A jednak. Czas przestaje istnieć. Słyszy *Aufseherin*, nadzorczynię. Stukając obcasami, chodzi od celi do celi z owczarkiem niemieckim, jednym z tych niesamowicie posłusznych psów stróżujących w Ravensbrück, który doskonale wie, czego się od niego wymaga. Przez okratowane drzwi, szczelnie przylegające do cementowej podłogi, zapachy więźniarek są wyczuwalne. Molekuły strachu docierają do jego nozdrzy i przepełniają przyjemnym uczuciem triumfu, wystarczy jednak kilka pojedynczych molekuł innego rodzaju, żeby wpadł we wściekłość. Obrzydlistwo! Za niektórymi drzwiami siedzą wrogowie, którzy go nie znoszą, a co gorsza, nie znoszą jego pani. To okropne! Zabije ich!

Tego mu jednak nie wolno. Jego pani powiedziano, że w bloku karnym umiera się pomału, dlatego jest na krótkiej smyczy, ale jego głuche pomruki pani kwituje uśmiechem. Życie powinno spokojnie wyciec z tych kobiet, które w najbliższy piątek czeka kara chłosty. Wycieknie jak czarne krople krwi z sinych pręg na plecach. Głód tych kobiet, które nic nie jadły od czterech dni, przyprawi ich wychudzone ciała o paroksyzmy bólu, o takie męczarnie, że nawet te, które z czystego uporu wstaną, zaraz poczują, jak nogi odmawiają im posłuszeństwa i jak się pod nimi otwiera czeluść śmierci. A te, które od tygodni siedzą w ciemnej celi, zaczną śnić koszmary na jawie, ich halucynacje – obrazy piaszczystych plaż, palm i bezkresnego morza – które trzymały je dotąd przy życiu, zastąpią fantazje o psiarni, gdzie czekają nazistowskie kundle. Obstąpią je duże czarne owczarki niemieckie, czystej rasy czarne owczarki niemieckie, warczące, pokazujące zęby, ze zjeżoną sierścią i...

Aufseherin zatrzymuje się przed drzwiami, przywiązuje smycz do haka tuż obok i wyjmuje klucze. Otwiera zamek. Otwiera drzwi do innego świata. Patrzy i pozwala patrzeć na siebie. Wie, że jest piękna. Blond włosy po świeżej trwałej, krągłe policzki muśnięte cieniutką warstwą jasnego pudru, furażerka dziarsko na bakier. Czarne wysokie buty, wypucowane przez świadkową Jehowy, lśnią równie mocno jak jej marzenie o rajach na ziemi, spódnico spodnie są świeżo wyprasowane, a kołnierzyk białej bluzki idealnie wyłożony na klapach mundurowej marynarki. Za plecami trzyma pejc. Nie uderza nim, nie wymachuje, nawet nie podnosi, po prostu trzyma za plecami i nie może się nie uśmiechnąć na myśl, że więźniarka i tak go widzi.

Więźniarka nie jest ładna. Jest chorobliwie chuda i wysoka, ale tak przygarbiona, że nie przewyższa nadzorczyńni nawet o głowę. Na jej szczęście. Stoi pochylona jak staruszka, mimo że nie ma więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Ma czarne worki pod nienaturalnie dużymi głodnymi oczami i na wpół otwarte usta, jakby za chwilę miała zacząć się ślinić. I błądzi wzrokiem od psa do niej, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– *Raus!* – wrzeszczy nadzorczyńni. – Won...

Mija piętnaście sekund, zanim doczeka się posłuchu, piętnaście sekund wahania, podczas których spojrzenie dziewczyny jeszcze trzy razy przenosi się z psa na nią.

I wystarczy. *Aufseherin* podnosi pejcz.

– Nie słyszysz, co się do ciebie mówi, kretynko?! Głucha jesteś?! *Raus! Raus! Raus!*

I dziewczyna, młoda dziewczyna, która dzisiaj kończy osiemdziesiąt pięć lat, tłumy krzyk i wychodzi na korytarz...

W tym momencie jest z powrotem w Nässjö, słyszy ciche kroki za drzwiami sypialni, domyśla się, że to Thomas i Katarina, pospiesznie ociera łzy z kącików oczu, wygładza kołdrę, wyżej podnosi poduszki pod plecami, żeby mogła siedzieć prosto, oparta o wezgłowie, przyczesuje ręką białe włosy i składa dłonie na kraciastej poszwie, dopełniając perfekcyjnego obrazu spokojnie czekającej staruszki. Uśmiecha się. Wszystko wypiera. Jest przygotowana. I wchodzi, śpiewając *Tym jednym tulipanem*, żeby uczcić jej wielki dzień.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – mówi Thomas i uśmiecha się do niej znad małego pakietu.

Podjął kolejną próbę ukrycia łysiny, tym razem strzygąc się na krótko. Nie pomogło.

– Droga teściowo – mówi Katarina.

Stoi tuż za Thomasem i przekrzywia głowę, usiłując równie świadomie jak Miriam grać rolę przepojonej spokojem, zadowolonej z życia kobiety. Trzyma tacę z filiżankami kawy, kanapkami i świeczką palącą się chybotliwym płomieniem.

– Gratulacje, babciu – mówi Camilla, przysiada na krawędzi łóżka i wypuszcza z objęć swojego synka Sixtena.

Malec ma dwa latka. W spodenkach dresowych w czarno-żółte paski wygląda jak osa. Uroczą małą osą. Podpełza do Miriam na czworakach, zarzuca jej rączki na szyję i daje mokrego całusa w usta. Smak jego śliny

przypomina jej sen. To smak wody źródlanej.

Uśmiecha się.

– Oj – mówi i obejmuje go. – Oj, oj...

A potem wszystko jest jak zwykle. Śmiechy, rozmowy, szuranie krzesłami. Thomas kładzie pakiecik w nogach łóżka i przynosi z pokoju dziennego dwa krzesła, jedno dla Katariny, jedno dla siebie. Katarina stawia tacę na nocnej szafce i zdmuchuje świeczkę.

– To na wszelki wypadek – mówi i blado się uśmiecha.

Miriam aprobująco kiwa głową i nie spuszcza z niej wzroku. Dlaczego Katarina zawsze musi okazywać niepokój? Od piętnastu lat mieszkają w jednym domu, mają wspólny ogród, a mimo to... Dlaczego zawsze jest taka wystraszona, dlaczego bez przerwy mówi o tym, jakim lękiem napawają ją pożary i nieszczęśliwe wypadki, dlaczego boi się podniesionych, rozgniewanych głosów, dlaczego twierdzi, że przeraża ją brud i nieporządek? Przecież wie, że bezpieczne życie w bezpiecznym kraju, jest mamą zdrowej córki i babcią zdrowego wnuka, nigdy nie dostała pięścią w głowę i przenigdy nie miała pleców pociętych pejcem. A mimo to ciągle jest niespokojna i wszystkiego się obawia, garbi się i trzyma ramiona blisko ciała. Jakby myślała, że cały jej świat zamyka się w bańce mydlanej i jest tak kruchy, że zniszczy go najmniejszy ruch.

– Osiemdziesiąt pięć lat – mówi Thomas, poklepując Miriam po dłoni. – I wciąż w pełni sił. Zdrowie ci dopisuje. Nieźle. Całkiem nieźle.

Miriam uśmiecha się w odpowiedzi.

– Tak naprawdę ja nigdy nie skończyłam osiemnastu lat.

– Mentalnie... – Camilla przekrzywia głowę i uśmiecha się. – Wydaje mi się, że jesteś ciut starsza, że masz co najmniej dwudziestkę.

– Bo?

– Bo masz chyba dorosły mózg? Bo chyba nie przestałaś rosnąć, dopóki ci się całkowicie nie rozwinęły płaty czołowe?

Miriam marszczy czoło, uśmiecha się i udaje, że się zastanawia.

– A wiesz, nie mam pojęcia. Może i tak.

Thomas kładzie dłoń na ramieniu Camilli, „bądź cicho – mówi jego gest – żadnych zgrzytów”, i odchrząkuje.

– Odezwała się studentka medycyny. Teraz czas na prezent.

Sięga po pakiecik, który leży w nogach łóżka. Biały ze złotymi skręcanymi

sznurkami jak loki księżniczki. Wydaje się cięższy, niż można było sądzić, bo Thomas bierze go w obie dłonie.

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. To od nas wszystkich.

Miriam też bierze pakiet w obie dłonie. Nie jest ciężki.

– Ach – mówi. – Dziękuję. Stokrotnie dziękuję.

Niełatwo go rozpakować. Złote sznurki są mocno zaciągnięte i zawiązane na podwójne supły. Trochę to trwa, zanim je rozplącze, i ledwie zdążyła je zdjąć, rzuca się na nie zachwycony Sixten i wkłada do buzi. Camilla błyskawicznie mu je zabiera. Faj, nie wolno! Nie! Nie wolno! Tymczasem Miriam niecierpliwie zrywa papier z małego kartonowego pudełka, otwiera pudełko, wpatruje się w różowawą bibułę, szybko ją podnosi i odsłania prezent.

Srebrna bransoletka. Szeroka srebrna bransoletka wykonana techniką filigranu. Mimo licznych zdobień jest bardzo prosta w formie i nieskończenie piękna. „Tata” – odzywa się głos w tyle jej głowy, ale ona jak zwykle nie słucha tego głosu i lekko potrząsa głową, żeby się go pozbyć.

– Ach, jaka piękna! Dziękuję!

– To Camilla ją wypatrzyła – mówi Thomas. – Uznała, że jest wręcz stworzona dla ciebie. Zajrzyj pod zapięcie!

Miriam odwraca bransoletkę i patrzy na inskrypcję. „Dla Miriam na 85. urodziny”. I data.

– Cygańska robota – mówi Thomas.

– Romska – poprawia go Camilla.

W Miriam coś drży i przyplływają imiona. Tam śmieje się Anusza, biegnie przez podwórze z błyszczącymi ciemnymi oczami. Tam, z głodnym uśmiechem, Else przedstawia się imieniem i nazwiskiem, jakby Miriam warto było się przedstawiać. Else Nielsen. A tam nadzorczyńni podnosi pejcz i wrzeszczy: „Nazywam się Binz! Zapamiętajcie to sobie raz na zawsze, bo nie będę powtarzać!”. Tam wpatruje się w nią jej braciszek, z ostatnim zdziwieniem w oczach. „Dlaczego jesteś taka przestraszona, Malika? To przecież ja, Didi, twój młodszy brat”. Łzy napływają jej do oczu, mruga powiekami, żeby je odpędzić, i przelatują jej przez głowę słowa, których nie wolno jej wypowiadać, słowa, których nie wypowiedziała ani razu od przyjazdu do Szwecji: „Ja nie jestem Miriam”. Pociąga nosem, przełyka ślinę, podnosi głowę i patrzy na Thomasa. Pod każdym względem, z wyjątkiem jednego, jest jego matką, ale mimo że to ktoś jej najbliższy ze wszystkich

ludzi na świecie, jest obcy. Okłamała go. Dorastał w kłamstwie i całe dorosłe życie przeżył w cieniu tego kłamstwa.

I wypowiada te słowa. Pozwala im przejść przez usta.

– Dziwne – mówi Camilla, wchodząc do mieszkania rodziców piętro niżej.

Thomas unosi brwi, odwraca się i patrzy na nią.

– Co jest dziwne?

– To, co powiedziała. Że nie jest Miriam. Przecież to dziwne.

– E tam. Żartowała.

– A co w tym śmiesznego?

– Pewnie myślała, że to zabawne.

– Może ma początki demencji...

Thomas prychnął.

– Daj spokój. Nie ma nawet cienia demencji.

– Tak? Jesteś pewien?

Nagle w drzwiach kuchni staje Katarina i przekrzywia głowę.

– No już dobrze. Zostawmy to. Czy ktoś ma ochotę na dodatkowe śniadanie?

Camilla sadza Sixtena na prawdziwym, ręcznie tkanym dywanie, podpira się pod boki i patrzy na mamę.

– A ty co o tym myślisz?

– O czym?

– Nie słyszałaś, co powiedziała babcia?

Katarina błędnym wzrokiem.

– Może Sixten zjadłby trochę kaszki?

– Na pewno, ale spytałam, czy słyszałaś, co powiedziała babcia. Słyszałaś?

W głosie Camilli pobrzmiewa ton pogardy.

Katarina uśmiecha się niepewnie.

– Nie wiem. Może. Chociaż chyba nie. Nie. Nie słyszałam.

Camilla przez moment wpatruje się w matkę, po czym z rezygnacją wzrusza ramionami.

– Ugotuję mu kaszkę – mówi Katarina.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. Ja się tym zajmę.

Camilla z łoskotem wyjmując garnek z szafki i z hukiem stawia go na

kuchennym blacie, a potem zamyka oczy i sama siebie napomina. Bądź miła. Obiecała sobie, że będzie miła podczas tej wizyty, nie będzie się kłócić z tatą ani przyprawiać o strach przeczuloną matkę. Nie będzie narzekać, że jest zmęczona, bardzo zmęczona, śmiertelnie zmęczona, że ma w portfelu góra sto dwanaście koron i dopiero za miesiąc dostanie pierwszą pensję za pracę wakacyjną, i nie piśnie słowem o oblanym egzaminie semestralnym. Będzie miła, chętna do współpracy, pogodna i radosna, bo jeśli okaże zestresowanie, rozdrażnienie i niepokój, będzie jeszcze bardziej zestresowana, rozdrażniona i niespokojna. Będzie udawać, że z czystej życzliwości pozwala mamie godzinami bawić się z Sixtenem w ogrodzie, a ona w tym czasie niby ze szczerego zainteresowania będzie siedzieć z nosem w podręcznikach. Ciepło się uśmiechnie, kiedy tata zapyta ją, co u Maksa, i znowu jej wypomni, że nie miał okazji poznać tego młodego człowieka, który jest ojcem jego wnuka. Ona mu odpowie z przesympatycznym uśmiechem, że Max przyjedzie w poniedziałek, bo od poniedziałku to jego kolej na spędzenie tygodnia urlopu z Sixtenem. Wtedy będzie miała wolne, ale tego ojcu nie powie. To tajemnica, choć na dobrą sprawę to żadna tajemnica, czuje jednak, że zachowanie tego w tajemnicy jest niesłychanie ważne. Będzie miała cały tydzień wolnego i zadba o siebie, jak nikt nigdy o nią nie zadbał. Regularne posiłki, odpowiednia ilość snu, wkuwanie po kilka godzin dziennie, każdego dnia dwie albo trzy przebieżki wokół Ingsbergssjön. Wszystko będzie dobrze. Już dzisiaj robi rundę wokół jeziora, ale na początek mało forsowną, i tak jak dawniej pójdzie z babcią na spacer. Jest midsommarafton², są babci urodziny, wszystko będzie dobrze.

– Sixten, słodki brzdącu! – woła najweselej, jak umie. – Chodź, dostaniesz kaszkę!

Sekundę później w drzwiach staje Katarina z Sixtenem na ręku.

– Mogę go nakarmić?

Sixten potrafi jeść sam. Ma dwa i pół roku. Camilla czuje przypływ irytacji, ale natychmiast się opamiętuje. Oczywiście, że mama może nakarmić Sixtena.

– No jasne – mówi z uprzejmym uśmiechem. – Jeśli tylko ci na to pozwoli...

Katarina całuje Sixtena w policzek.

– Prawda, że mi pozwolisz, skarbie? Prawda, że chcesz, żeby babcia cię nakarmiła?

I Sixten, ten zdrajca, obejmuje Katarinę za szyję i śmieje się w jej policzek radosnym gulgoczącym śmiechem.

Thomas stoi w gabinecie i słucha śmiechu Sixtena. Wciąż nie może tego pojąć. Wciąż do niego nie dociera, że on, Thomas Adolfsson, jest dziadkiem małego chłopca. Przecież on sam jest małym chłopcem. Oczywiście wie, że nim nie jest, wie, że jest dorosłym mężczyzną, ba, więcej niż dorosłym, bo niedługo, za niespełna rok, zakończy praktykę dentystyczną, wyrzuci klucz do gabinetu i przejdzie na emeryturę. Mimo to co rano otwiera oczy z uczuciem, że Miriam zapomniała go obudzić i spóźni się do szkoły. To niedorzeczne. Całkiem niedorzeczne. Nie zapomniała ani razu.

Z kuchni dobiega fletowy głos Katariny. Jest szczęśliwa albo co najmniej wesoła. To już coś. Kiedy on jest w jej polu widzenia, nigdy nie jest wesoła. Wzdycha, duka, błądzi spojrzeniem, garbi się, jakby był jakimś pieprzonym katem, który maltretuje żonę. On! Jakby kiedykolwiek podniósł na nią rękę. Jakby się przez te wszystkie lata nie starał, bardzo nie starał, usilnie nie starał, nie zyskując nic w zamian. Katarina nigdy nie zdobyła się na choćby najmniejszy wysiłek. Przeciwnie. To ekspertka od wbijania szpilek, psucia dobrej atmosfery, gaszenia każdego śmiechu, postponowania milczeniem jego i Miriam. Kieruje wzrok na parapet. Stoi tam zdjęcie portretowe jego biologicznej mamy w srebrnej ramce, którą Katarina kupiła mu na jego czterdzieste urodziny. Kobieta o popielatych włosach, bladym uśmiechu, patrząca w dal. Choć kompletnie mu obca, jest sojuszniczką Katariny. W odruchu protestu rok później kupił identyczną srebrną ramkę i włożył w nią zdjęcie portretowe Miriam, młodziutkiej Miriam w stroju panny młodej, która patrzy w obiektyw aparatu, czule tuląc do siebie małego chłopczyka z prostą grzywką, w koszuli i krawacie. To czteroletni Thomas Adolfsson, który nareszcie, nareszcie, nareszcie dostał to, czego pragnął najbardziej. Mamę. Prawdziwą mamę, która go kochała i obiecała, że nigdy go nie opuści. I dotrzymała obietnicy. Nigdy go nie opuściła. On mógł ją zostawiać i do niej wracać, znikać i znów się pojawiać, a ona zawsze była. Ale niedługo będzie musiała odejść. Dzisiaj kończy osiemdziesiąt pięć lat, natura ma swoje prawa.

Camilla szybko przechodzi przez hol. Thomasowi robi się przykro, że był wobec niej opryskliwy. Przecież nie ma nic złego w tym, że martwi się o babcię, która może mieć początki demencji. Chodzi jednak o to, że jego też zaniepokoiły słowa Miriam. Tak bardzo, że musiał ofuknąć Camillę. „Ja nie jestem Miriam”. Dlaczego to powiedziała? Przecież jest Miriam, zawsze była Miriam. Co za nonsens!

Thomas wzdycha, przesuwa dłonią po biurku, ale nie siada. Po co miałyby siadać? Przy tym biurku siada tylko raz w tygodniu, żeby zająć się rachunkami i – jeśli uzna, że ma czas – poświęcić chwilę na swoje prace badawcze. Nie mają one nic wspólnego ze stomatologią, dotyczą jego

krewnych i przeszłości, są jego azylem, kiedy cisza niemal rozsadza dom. Ale dzisiaj nie jest cicho. W kuchni Sixten wprawia Katarinę w świetny nastrój, bo radośnie coś szczebiocze, a z pokoju obok, z sypialni Camilli, dobiegają go głuchoe odgłosy. Wyjmuje książki. Może będzie wkuwać...

Faktem jest, że jest dumny z córki. Mimo że nigdy jej tego nie powiedział.

Katarina przytula policzek do policzka Sixtena i chichocze. Że też można tak umorusać buzię i być tak okropnie głodnym! Sixten pochyla się ku łyżce i otwiera usta, nie może dosięgnąć, wydaje jęk niezadowolenia, ale Katarina nie od razu pozwala mu dostać to, czego chce, zanurza łyżkę w talerzu, napełnia ją odrobiną kaszki i sporą porcją musu jabłkowego i dopiero wtedy – proszę bardzo! Malec jest wniebowzięty. Mniam! Słodkie i pyszne. Tak się tym rozkoszuje, że aż wymachuje rączkami.

– Takie smaczne? – mówi Katarina, wycierając mu buzię papierowym ręcznikiem. – Takie mniam, mniam, mniam?

Sixten znów pochyla się ku łyżce. Mus jabłkowy. Słodko-kwaśny mus jabłkowy. Biedactwu brakuje słodczy. Camilla odmawia mu wszystkiego, co słodkie, no, może z wyjątkiem pomarańczy i bananów. Od czasu do czasu. Uważa, że cukier jest szkodliwy, i zabrania mu jedzenia musu jabłkowego jej roboty, jej kwaskowych konfitur z rabarbaru i wyśmienitego dżemu z czarnych jagód. O soku i ciastkach drożdżowych naturalnie nie ma mowy. Sixten nie może być gruby. Niech się dzieje, co chce, byleby nie był gruby.

Katarina prychnęła pod nosem i rzuciła szybkie spojrzenie na drzwi. Uff! Co za ulga. Nie stoi w nich Camilla, gotowa ją bezpardonowo zbesztać za dwie łyżki musu jabłkowego, który dodała do owsianki Sixtena. Ani Thomas, mimo że nic by nie powiedział o musie, ba, pewnie w ogóle by tego nie zauważył. On niczego nie zauważa w tym domu, nie widzi i nie słyszy nikogo prócz siebie, jest bez reszty pochłonięty swoją praktyką, swoim trawieniem i tym, co absurdalnie nazywa pracą badawczą. Jediną osobą, która go obchodzi, jest Miriam. Córkę najczęściej ofukuje, a prawowitej małżonki od przeszło trzydziestu lat zdaje się nie dostrzegać. Ona ma tylko być, usługiwać mu w gabinecie, przyrządzać smaczne posiłki trzy razy dziennie, prać jego ubrania i sprzątać jego dom, i trzymać usta na kłódkę. Bo przecież nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Nawet nie potrafi myśleć. Może się pojawiać na obrzeżach jego życia jako ktoś wyłącznie do pomocy.

Katarina bierze głęboki oddech i daje Sixtenowi jeszcze jedną łyżkę musu jabłkowego. Nikt nie może tego widzieć! Nikt nie może się domyślić, że jest wściekła, że ma dosyć swojego męża, że ma powyżej uszu swojej córki i że nie cierpi swojej tak zwanej teściowej. Nikt nie może się dowiedzieć, że z całego serca pragnie, żeby wszyscy zniknęli, co do jednego. Bo ona nie ma

wyboru. Jest pielęgniarzką dentystyczną w gabinecie męża, mieszka w jego domu, nie ma ani krewnych, ani własnych pieniędzy, musi tu być na jego usługi, dopóki pewnego dnia nie umrze...

Tylko Sixten jest jej pociechą. Mały słodki Sixten, który teraz głośno beka i wyciąga do niej rączki. Podnosząc go z krzeselka, słyszy własny śmiech.

– Ojej! Ale się umorusałeś! – Podchodzi do zlewu, odkręca kran, sprawdza, czy woda nie jest za gorąca, dokładnie myje mu buzię, zdejmuje śliniak i stawia na podłodze. – Pobawimy się w ogrodzie?

– Taaak! – wykrzykuje Sixten i biegnie do drzwi na taras.

– Nie wolno mi – mówi do siebie Miriam, stojąc przed lustrem w holu i obejmując się ramionami. – Nie wolno mi tego mówić. Nigdy więcej!

Wyszła spod prysznic, ma mokre włosy i nie wygląda dobrze. Wygląda jak wiedźma, wyjątkowo brzydka, pomarszczona wiedźma. Mokre białe włosy mają szary odcień, co dodatkowo ją postarza, zmarszczki wydają się głębsze, a owal twarzy jest jeszcze bardziej obwisły. Szkaradna twarz. Duży nos sterczący pośrodku tej brzydoty bynajmniej nie przydaje jej uroku. Mogłaby być strachem na wróble.

Z lekkim westchnieniem odwraca się od swojego odbicia w lustrze, myśli pospiesznie, że musi wejść do sypialni, pościelić łóżko i wyjąć suszarkę do włosów, tymczasem zatrzymuje się w pokoju dziennym, stoi przez chwilę z rękami w kieszeniach szlafroka, ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko, i siada na sofie. Musi się pilnować! Ot co. Nie może dopuścić do tego, żeby ktokolwiek poznał prawdę, nawet sama przed sobą nie może się do niej przyznać. Musi żyć tak, jak przez większą część swojego życia, nie może pozwolić, by to, co się wydarzyło ponad jedno pokolenie temu, zniszczyło lata, miesiące lub dni, które jej jeszcze zostały. Nie może sobie nawet pozwolić na rozpamiętywanie tego, co było. Kiedyś trzeba z tym skończyć. To przecież trwało tak krótko. Dwa lata w sierocińcu i dwa i pół roku w obozach. Potem Szwecja, nowe nazwisko i nowe życie. Życie, którym żyje przez sześćdziesiąt osiem lat. I to te lata powinny zajmować jej myśli, powinna myśleć o Hannie i Olofie, o synu, mimo wszystko jej synu, który dorósł i dał jej wnuczkę i prawnuka, o Camilli i Sixtenie. O tym powinna myśleć w takim dniu jak ten, dniu, w którym – jak twierdzi – obchodzi osiemdziesiąte piąte urodziny. Chociaż tego nie wie. Nie wie, którego dnia się urodziła, nie wie nawet, w którym roku. Ale skoro udało jej się przekonać wszystkich, że przyszła na świat 21 czerwca 1928 roku, to można by przyjąć, że faktycznie urodziła się w tym roku, ewentualnie rok wcześniej lub rok później. I nadal powinna w to wierzyć. Bo jeśli nie, jeśli zacznie paplać wszem wobec, jaka jest prawda, przypuszczalnie natychmiast zostanie

odwieziona do domu opieki, a tam za nic nie chciałyby trafić. Czyli nie wolno jej myśleć o tym, jak się faktycznie nazywa ani kiedy się faktycznie urodziła. Ma na imię Miriam i dzisiaj kończy osiemdziesiąt pięć lat. W midsommarafton.

Bierze głęboki oddech i próbuje się wtopić w ciszę pokoju, chce być równie spokojna jak jego kolory, próbuje przewyciężyć swoje wewnętrzne obrazy, żeby zrobić miejsce dla tych zewnętrznych. Babcia Olofa uśmiecha się z portretu serdecznie jak zwykle. Mimo że nigdy się nie spotkały, Miriam wie, że ten uśmiech skierowany jest również do niej, do Miriam Adolfsson, która udawała Żydówkę, chociaż nie miała pojęcia, czym jest żydowska wiara, która później dokonała konwersji i stała się protestantką, a potem agnostyczką. Babcia Olofa też była żoną dentysty i agnostyczką, też wcześniej owdowiała, też przeniosła się do małego mieszkanka na piętrze, kiedy Olof z pierwszą żoną wprowadził się do mieszkania na parterze. Pół roku później umarła, odeszła we śnie pewnej wiosennej białej nocy. Olof twierdził, że do końca ciepło się uśmiechała. Miriam trudno było w to uwierzyć, bo żadne z wielu ciał, które widziała, nigdy się ciepło nie uśmiechało, ale teraz, sześć dekad później, zaczyna podejrzewać, że rzeczywiście mógł mieć rację. Człowiek szczęśliwy może być szczęśliwy aż do śmierci. Człowiek uśmiechnięty może się uśmiechać aż po kres swoich dni.

No dobrze. Już odpędziła groźne myśli, więc się podnosi i wchodzi do sypialni. Otwiera na oścież drzwi balkonowe, wpuszcza do niebieskiego pokoju błogie lato i rozkoszując się nim, starannie ścieli łóżko. Potem z szafy gospodarczej w holu wyjmuje miotełkę do kurzu, przeciąga nią po nocnej szafce, po stoliku obok fotela Olofa, po marmurowym parapecie i – po chwili wahania – po listwach przypodłogowych i wychodzi na balkon wytrzepać miotełkę. Tam rzuca lękliwe spojrzenie na ogród Kaisera. Nie widać go, nie węszy zachłannie, żeby wyczuć jej strach, może więc spokojnie wrócić i odkurzać dalej. W pokoju dziennym omiata sekretarzyk i mały komputer, potem parapety, oczywiście stół i marmurową figurkę, prezent od Olofa z ich pierwszej podróży zagranicznej, tej do Włoch, i trzy plisowane duńskie abażury, które choć mają przeszło trzydzieści lat, pożółkły tylko odrobinę. Potem idzie do kuchni i zatrzymuje się skonsternowana. Tutaj nie ma nic do roboty. Katarina zabrała naczynia po śniadaniu do siebie, a wczoraj późnym wieczorem Miriam sama wysprzątała całą kuchnię. W wazonie na stole pachną ostatnie bzy, wazon stoi na wykrochmalonym białym obrusiku z białymi haftami jej roboty. Na uchwycie piekarnika wisi świeży lniany ręcznik, jeszcze nieużywany. Wszystko jest, jak powinno. Miriam obiecała sobie, że nigdy nie będzie niechlujną staruszką, która brzydko pachnie i powoli zarasta brudem, i tej obietnicy dotrzymuje. Jest damą, zadbaną starszą panią, dbającą o porządek. Dlatego teraz wysuszy włosy, będą białe

i piękne, a potem włoży jasnoniebieską letnią sukienkę. Kupiła ją wprawdzie trzynaście lat temu, ale to bez znaczenia, bo ma klasyczny, prosty krój i równie dobrze mogłaby być uszyta wczoraj. Szyję owinie nowym szalem, w białe i jasnoniebieskie wzory, założy złote klipsy, które dostała od Olofa na pięćdziesiąte urodziny, i oczywiście włoży nową bransoletkę. Prezent urodzinowy. Cygańska robota.

Dźwięki z kuźni. Metal uderza o metal. Syk. Śmiech. Głosy krewnych, niskie męskie, piskliwe kobiece. Migotliwy śmiech dzieci perlący się na podwórzu.

Taki był świat. Zawsze taki był. Zawsze powinien taki być.

Ale świat może się bardzo szybko zmienić. Zaraz się o tym przekona. W jednej minucie jest sumienną, obowiązkową siostrą, która idzie z braciszkiem przez wybrukowane podwórze, trzyma go za rękę, w drugim ręku niesie kawę dla taty, a w następnej minucie jest małym krzyżącym dzieckiem, które się ciągnie w drugą stronę. Co dziwne, w tym krzyku jest szczelina, szczelina chłodu, dzięki której widzi i myśli prawie jak osoba dorosła. Widzi, że inne dzieci też stawiają opór, że Raul gryzie jakąś kobietę w dłoń, a ona wymierza mu policzek, że Anusza próbuje się uwolnić kopniakami, ale z marnym rezultatem, że Didiego trzyma na rękach jakaś druga kobieta w mundurze, a on rozpaczliwie wyciąga rączki do Miriam, która jeszcze jest Maliką. Wie, że dla niego musi wziąć się w garść i przestać krzyczeć, ale nie może, bo jednocześnie wie, że nic nigdy nie będzie takie samo, że nadeszła i minęła bezpowrotnie ostatnia sekunda jej dotychczasowego życia. Wie również, że dziadek się pomylił, ale ona nigdy nikomu nie piśnie o tym słowa, ani dziadkowi, ani tacie, ani Didiemu. Dziadek myślał, że ocali całą rodzinę, bo kiedyś był niemieckim żołnierzem, a poza tym miał stałe miejsce zamieszkania. Był właścicielem domu i pralni, owszem, w opłakanym stanie, ale zawsze. A że na podwórzu stoi kilka wozów, nie powinno mieć większego znaczenia. To przecież tylko krewni, którzy przyjechali z wizytą i nikomu nie wadzą, bo dom i pralnia stoją na uboczu, w odległości ponad kilometra od wsi.

Miriam nie pamięta nazwy tej wsi. Nie pamięta imienia dziadka. Nie pamięta nawet, jak wyglądał, nigdy jednak nie zapomni wyrazu jego twarzy tamtego ostatniego dnia. Malował się na niej gniew i wstyd, zdumienie i rozpacz. Wydaje jej się, że w prawej dłoni trzymał młotek, którego ciągle używał, ale jednocześnie wie, że to niemożliwe. Kripo nie pozwoliło mu niczego tknąć, zagonili go w róg pralni, gdzie miał swój warsztat, i zrzucili na podłogę całe jego srebro, całą miedź i wszystkie narzędzia. To Miriam pamięta wyraźnie. Równie wyraźnie pamięta grzywkę kobiety, która ciągnęła ją przez podwórze. Piaskowa grzywka z resztkami trwałej. Kobieta się nie uśmiechała. Wyglądała raczej na zmartwioną, kiedy próbowała ją doprowadzić do samochodów i zakonnic. Nie było to łatwe. Miriam nie chciała się ruszyć z miejsca, opierała się z całych sił i krzyczała. Krzyczała jak wszyscy inni. Powietrze było pełne krzyku matek, krzyku dzieci i bezsilnego wycia ojców. Policjanci chyba też krzyczeli. Albo wrzeszczeli. To dość prawdopodobne. Czy we wczesnych latach czterdziestych niemieccy policjanci potrafiliby otworzyć usta w cygańskim obejściu, nie wrzeszcząc?

W cygańskim obejściu pełnym dzieciaków. Czternastu, osiemnastu, a może dwudziestu dwóch zasmarkanych bachorów, które wyrosną na złodziei i oszustów, morderców i porywaczy dzieci, sutenerów i fałszerzy. Oczywiście jeśli nadal pozostaną pod wpływem takich rodziców.

Tata zrobił Miriam kolczyki, srebrne filigranowe kulki, które nosiła, odkąd skończyła trzy miesiące. W przyklasztornym sierocińcu zakonnice z dezaprobatą pokręciły głowami na tę wyrafinowaną próżność, ale pozwoliły jej je zatrzymać. Miała je dość długo. Dopóki nie trafiła do Auschwitz.

– Mischlingowie – powiedziały zakonnice o niej i o Didim, zapisując ich do sierocińca.

Miriam nie była jeszcze Miriam, wciąż była małą romską dziewczynką o imieniu Malika i chociaż mówiła po niemiecku prawie tak biegle jak po romsku, nie rozumiała, o co im chodzi. Dopiero po miesiącu wyjaśniła jej to siostra Agathe. Siostra Agathe, nowicjuszka, była dużo miłsza niż inne zakonnice. W każdym razie wyglądała na dużo miłszą. Może dlatego, że nie nosiła czarnego welonu, tylko biały.

– Rasa mieszana – powiedziała, przekrzywiając głowę. – Twój tata był Cyganem, a twoja mama nie. Dlatego jesteście mischlingami.

– Moja mama nie żyje – powiedziała Miriam, która wciąż miała na imię Malika.

– To nie ma znaczenia – odparła siostra Agathe.

Mimo wszystko życie w sierocińcu bywało dość przyjemne. Miriam nie musiała dzień w dzień gotować ani ciągle robić kawy, nie musiała pracować, pracować i pracować w kilku wodach i w różnych kadziach, tylko przez długie godziny siedziała w szkolnej ławce i poznawała nowy świat, świat liter. Aż podskoczyło jej serce, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, że potrafi przeczytać jedno słowo, które zakonnica napisała na tablicy. JEZUS. Krzyknęła ze szczęścia i natychmiast dostała w twarz. To nic. Umiała czytać.

Próbowała nauczyć Didiego, ale bez powodzenia. Przez pierwsze miesiące tylko płakał i grymasił. Chciał do domu, do taty! Dlaczego nie może pojechać do taty? Tata-tata-tata-tata! Nawet kiedy zakonnice zabrały ich na wycieczkę, nie przestawał się mazać, aż w końcu tak ją rozzłościł, że nie wytrzymała i sama wymierzyła mu policzek. Nie pomogło. Darł się coraz głośniej. Dzieci pobiegły nad jezioro, a ona została i trzymała beczącego braciszka za rękę. Oczywiście się nie kąpały, bo zakonnice im tego zabroniły, ale zdjęły buty i pluskały się przy brzegu, a potem usiadły i grzebały się w piasku. Dopiero kiedy siostry wyjęły prowiant, Malice udało się uspokoić Didiego i dołączyli do grupy. Lubił jeść. I to było najgorsze. Didi przepadał za jedzeniem.

Miriam wyłącza suszarkę, podchodzi do lustra w sypialni i przygląda się swojej twarzy. Tak, teraz jest dużo lepiej. Włosy są białe i falujące, a kiedy zaczyna je szczotkować, nabierają połysku. Szybko je zbiera, sięga do kieszeni szlafroka po klamrę i spina je na szyi, co – jak sądzi – spodobałoby się Hannie. Hanna, choć nie żyje od przeszło trzydziestu lat, nadal jest jej arbitrem dobrego smaku.

– Nie – powiedziała, kręcąc głową, kiedy dwudziestoletnia Miriam zakręciła sobie na czole lok w kształcie szóstki. – O, nie. Wykluczone!

Miriam ciągle pamięta swoje zdumienie. Myślała, że Hannie się to spodoba. Rozpuściła swoje czarne gęste włosy, które nareszcie urosły i leżały na plecach jak pofalowany dywan, i bardzo starannie ułożyła grzywkę na wodę z cukrem. To był ukłon w stronę mamy. Nie była prawdziwą Romką, ale na jedynej fotografii, którą zapamiętała z ich domu, miała na sobie piękny romski strój i pięknie w nim wyglądała. Długa szeroka spódnica. Bluzka z koronkami. Ciężkie kolczyki, tak ciężkie, że rozciągnęły dziurki w płatkach uszu. Ogromny złoty naszyjnik z monet. No i włosy, ciemne włosy, mocno szesane do tyłu, z grzywką w kształcie małej szóstki.

– Nie – powtórzyła Hanna. – Nie. To wulgarne. Wyglądasz jak Cyganka.

– Ach!

Hanna uśmiechnęła się i pogłaskała ją po policzku.

– Nie martw się. Pokażę ci, co trzeba zrobić.

Stały w salonie Hanny, tym salonie, który był tak ciemny i chłodny, że można byłoby pomyśleć, że jest wrześniowy zmierzch, choć było czerwcowe przedpołudnie. Zdaniem Hanny najjaśniejsze i najpiękniejsze przedpołudnie. Nie z powodu pogody. Deszcz wisiał w powietrzu, a godzinę wcześniej, kiedy Miriam wyszła wyrzucić śmieci, było tak zimno, że biegiem wróciła do ciepłego mieszkania.

– Chodź! – powiedziała Hanna i ruszyła do kuchni.

Miriam zawahała się.

– Ale czy Hanna zdąży?

– Jestem już gotowa. Walizka spakowana, buty wyczyszczone, sukienka wyprasowana. Włożę ją na pięć minut przed jego przyjściem. A do tego czasu zostały trzy kwadransy.

W kuchni było widniej. Przez okno wpadało siwe światło. Hanna podeszła do stołu, odsunęła krzesło, z kieszeni bordowego szlafroka wyjęła grzebień, zerknęła nań, zmoczyła wodą z kranu, podłożyła stuloną dłoń – żadnych kropli na podłodze! – i wróciła do Miriam.

Włosy Hanny układały się w miękkie brązowe fale. Siwe nitki, które Miriam zauważyła dzień wcześniej, zniknęły. Aha, znów woda kasztanowa. Ale o tym cicho sza. Kiedy zamieszkała z Hanną, nic nie rozumiała. Trzeciego dnia wyjęła w łazience butelkę z szafki, którą, co dziwne, Hanna nazywała apteczką, mimo że jedynym lekarstwem był magnecyl w owalnym blaszanym pudełeczku, otworzyła ją i powąchała. Ten zapach przywołał wspomnienia. Roześmiana Rosita. Uśmiechnięta Anusza. Didi pokazujący język. Stała przez dłuższą chwilę, chłonąc przeszłość. Potem zakręciła butelkę i poszła z nią do sypialni Hanny. Po prostu otworzyła drzwi i weszła.

– To woda z kasztanów, prawda? – powiedziała, trzymając butelkę w uniesionej dłoni. – Prawda?

W mgnieniu oka Hanna stała się kimś innym. Kiedy Miriam otworzyła drzwi, akurat zapinała gorset i zmagiała się z haftkami. Błyskawicznie włożyła szlafrok, ten sam bordowy szlafrok, który miała na sobie dzisiaj, w midsommarafon, dwa lata później. Nie od razu odpowiedziała. Ściągnęła pasek w talii, starannie zawiązała na kokardkę, wyprostowała się i wbiła w nią wzrok. Nie patrzyła z lekkim uśmiechem, jak miała w zwyczaju, tylko wbiła w nią wzrok. Niebieskie spojrzenie było lodowate. Usta wąskie, zaciśnięte. Mała zmarszczka między brwiami zmieniła jej wygląd, wyglądała jak... Była podobna... Miriam szybko cofnęła się o krok. Nic to nie dało. Choć Hanna stała bez ruchu i milczała, mówiło za nią jej lodowate spojrzenie. Kolana ugięły się pod Miriam, znów się cofnęła, doszła do ściany, wiedziała, że dalej się nie cofnie, przycisnęła butelkę do piersi i zamknęła oczy.

– Popatrz na mnie – odezwała się Hanna.

Miriam wzięła głęboki oddech, otworzyła oczy, przez sekundę wpatrywała się w oczy Hanny, po czym uciekła spojrzeniem i zatrzymała je na szarym kwiatku na tapecie, za plecami Hanny.

– Wiem, że było ci ciężko, ale to niczego nie zmienia. – W szorstkim tonie pojawił się na moment normalny głos Hanny. – Nic nie usprawiedliwia takiego zachowania, że się robi, co się chce. – Podniosła palec wskazujący, żeby podkreślić to, co miała do powiedzenia. – Mówiłam ci, żebyś nie traktowała siebie jak służącej. Nie jesteś służącą. Jesteś dziewczynką z dobrej rodziny, która dużo przeszła. Teraz przez kilka lat będziesz u mnie i nauczysz się tego wszystkiego, czego twoja mama nie miała możliwości cię nauczyć. Odpowiedniego zachowania. Uprzejmości. Ogłady. – Hanna zrobiła krok do przodu, co widząc, Miriam wstrzymała oddech. – Po pierwsze, musisz się nauczyć, młoda damo, że nigdy przenigdy, powtarzam: nigdy przenigdy, nie wolno ci wchodzić do czyjegoś pokoju bez pukania i czekania na odpowiedź. Zwłaszcza do mojego pokoju. Wejdiesz tylko wtedy, jeśli ci powiem, żebyś

weszła. Rozumiesz? Moja sypialnia jest moją sypialnią. To mój prywatny pokój, w którym chcę mieć pewność, że zawsze mogę zachować prywatność. Tak jak twoja sypialnia jest twoją sypialnią. Nigdy do niej nie wejdę bez pukania i czekania na twoją odpowiedź, czy mogę wejść. Rozumiesz?

Miriam skinęła głową i przełknęła ślinę.

– Po drugie, nie chcę, żebyś grzebała w mojej apteczce. Nigdy. Jeśli będziesz potrzebowała termometru albo magnecylu, powiesz mi o tym i wtedy dam ci to, czego potrzebujesz. Nie otwieraj ani apteczki, ani moich szuflad w komodzie, ani moich szaf. Są moje. Jeśli nie będzie mnie w domu, a ty uprasujesz moje ubrania, położysz je na moim łóżku albo powiesz na drzwiach szafy, i to wszystko. Rozumiesz?

Miriam znów skinęła głową.

Hanna wpatrywała się w nią przez chwilę, rozluźniła się i uśmiechnęła jak zwykle.

– No dobrze – powiedziała. – A teraz oddaj mi butelkę.

Dopiero po wielu miesiącach Miriam pojęła, po co Hannie woda kasztanowa. Dopiero po wielu tygodniach znów odważyła się otworzyć apteczkę. A dużo później odważyła się wejść do sypialni Hanny, kiedy była sama w domu. Weszła tam któregoś przedpołudnia, położyła na łóżku świeżo wyprasowane majtki Hanny, powiesiła jej białą bluzkę na drzwiach szafy i na dłuższą chwilę zastygła w bezruchu, czekając na to, że uderzy w nią piorun. Nie uderzył. Ostrożnie postąpiła krok naprzód i rozejrzała się. A więc to była ta w najwyższym stopniu prywatna sypialnia Hanny. Dziwne. Co tu było prywatnego? Tapety w szare kwiatki. Łóżko z bladokwiecistą falbanką maskującą w zielonkawym odcieniu. Toaletka z trzema lustrami, w których odbijał się stojący na niej flakon z gumową gruszką obciążoną siatką. Miriam zrobiła cztery małe kroki naprzód, sięgnęła po flakon i delikatnie ścisnęła gruszkę. Nagle świat wypełnił zapach Hanny, ten sam, jaki miało białe mydło w łazience, ten sam, który czuła, kiedy otwierała apteczkę. Zapach perfum. Ciężki kwiatowy zapach. Miriam natychmiast rozbolała głowa, błyskawicznie odstawiła flakon na miejsce, pamiętając, żeby gruszka leżała dokładnie tam gdzie przedtem, i szybko podeszła do okna. Otworzyła je, wpuszczając do środka rześkie zimowe powietrze, i wróciła do toaletki. Z boku leżała szczotka z siwobiałymi włosami, w którą był wetknięty grzebień. Bardzo ostrożnie go wyjęła, podniosła pod światło i dokładnie się przyjrzała. Nakrapiany w różne odcienie brązu. Brakowało jednego zęba. U nasady cienka kreska ciemnobrązowego brudu. Czy była w nim woda kasztanowa? Miriam powąchała grzebień, ale nie wyczuła żadnego zapachu, po czym wsunęła grzebień w szczotkę, szybko zamknęła okno i rozejrzała się,

sprawdzając, czy wszystko jest tak, jak było, kiedy wchodziła do sypialni cztery minuty wcześniej.

Potem zaczęła się przyglądać włosom Hanny. Kiedy podawała jej kawę na śniadanie, patrzyła na czubek jej głowy. Zauważyła, że czasami było tam mnóstwo szarych pasemek, a czasami wszystkie włosy były jednolicie brązowe jak pralinki w bombonierce, którymi Hanna ją częstowała. A więc do tego służyła jej woda kasztanowa. Do farbowania włosów. Żeby ukryć fakt, że zaczynała się zbliżać do pięćdziesiątki i niedługo będzie całkiem siwa.

Wstyd, pomyślała Miriam. Hanna wstydzi się, że jest tym, kim jest.

Sprawiło to jej złośliwą radość i jednocześnie przepełniło współczuciem. Radość, bo Hanna jednak nie była doskonała, bo codziennie rano musiała się wbijać w sztywny gorset, żeby ukryć wałki tłuszczu, bo miała zmarszczki wokół oczu i początki podwójnego podbródka. Współczucie, bo domyślała się, jak trudno żyć z takim wstydem, a poza tym była bardzo samotna i jedynym stworzeniem na świecie, które ją naprawdę kochało, był jej pekińczyk Nippon. Miriam nie wątpiła, że Hanna musiała kiedyś tęsknić za mężem i za dziećmi, ale nie udało jej się założyć rodziny. Uczyła niemieckiego i angielskiego w szkole dla dziewcząt, była członkinią zarządu oddziału Czerwonego Krzyża w Jönköpingu i uśmiech nie schodził jej z twarzy. Uśmiech uprzejmy, acz nieco wyniosły, który obwieszczał światu, że oto dama, która wie wszystko, wszystko potrafi i nie życzy sobie cienia współczucia. To Hanna była od okazywania troski i współczucia. Dlatego zaopiekowała się osieroconą żydowską dziewczynką z dobrego domu i postanowiła jej zapewnić staranne wychowanie. A w skład starannego wychowania wchodzi, rzecz jasna, sztuka milczenia o tym, co mogłoby przyprawić kogoś o wstyd, zwłaszcza jeśli ten ktoś stał wyżej w hierarchii, o której – co oczywiste – nie wolno było wspomnieć.

– Wiesz co? – odezwała się Hanna, rozczesując grzywkę Miriam. – Czasami się zastanawiam, czy nie powinnaś obciąć włosów na pazia.

– Na pazia?

– Tak. Prosto i czworokątnie.

– Ale moje włosy kręcą się same z siebie...

Hanna lekko westchnęła.

– Nie mówi się, że się kręcą same z siebie, tylko że są naturalnie kręcone. Tak, masz rację. Poza tym paż nie jest dzisiaj zbyt modny. Spróbujemy wymyślić coś innego. W każdym razie nie masz już cygańskiego loczka.

Miriam przesunęła dłonią po czole. Wilgotna grzywka była zaczesana na lewą stronę.

– Dziękuję.

Hanna poklepała ją po policzku. Dwa szybkie dość ostre klapsy.

– Nie ma za co, moja droga.

Miriam powtarza ten gest sześćdziesiąt pięć lat później. Klepie się po policzku i jednocześnie się uśmiecha, myśląc o swoim ówczesnym zmieszaniu i o tym, że Hanna ze wszystkimi swoimi wadami i zaletami stała się jej dobrą przyjaciółką. W dodatku dobrą przyjaciółką z dobrym gustem. W połowie lat sześćdziesiątych Miriam zrobiła trwałą prostującą i obcięła włosy na pazia. Efekt był piorunujący. Nagle wyglądała młodo, modnie i inteligentnie, dzięki czemu obsłużono ją z jeszcze większą atencją w Domu Mody Greens, dokąd się udała po nową letnią sukienkę. Bardzo długo nosiła taką fryzurę. Dała sobie z tym spokój, kiedy lekarze zdiagnozowali chorobę Olofa, a kilka lat później, kiedy umarł, jej włosy zdążyły posiwieć i urosnąć. Teraz już się nie kręca, są tylko lekko pofalowane, co oczywiście wynika z jej wieku. Cóż, zestarzała się. Jest stara. Bardzo stara. To niesprawiedliwe. Uśmiecha się do swojego odbicia w lustrze, przypominając sobie, jak to było dziesięć lat temu, jak ubolewała nad tym, że i ją to spotkało, że nagle jej ciało zaczęło ją zawodzić, mimo że zawsze była najmłodsza, tak jak ciało zawiodło Olofa i Hannę. Pamięta swoje szczere oburzenie, że mięśnie ramion zwiotczały, złość, że nocą budziły ją bóle stawów zaatakowanych artrozą, i irytację, że Thomas musiał jej pomóc wysiąść z samochodu, kiedy pewnej zimowej niedzieli pojechali na lunch do Lövhult. To nie było sprawiedliwe! Przez całe życie dźwigała ciężar bycia kimś obcym, kimś z zewnątrz, kimś, kto właściwie nigdzie nie przynależał, a teraz na dodatek musi być staruszką, która niedługo będzie dreptać z balkonikiem! Nigdy w życiu. Miała prawo się nie zestarzeć. Życie było jej to winne!

Tymczasem życie nic sobie z tego nie robiło. Była coraz starsza. Ale jeszcze nie ma balkonika. I bardzo dba o to, żeby trzymać się prosto. Więc się prostuje, podchodzi do szafy, wyjmuje jasnoniebieską letnią sukienkę i patrzy na nią. Pełna akceptacja. Z długimi rękawami, a mimo to bardzo przewiewna. Oczywiście, że z długimi rękawami. Bo nadal nie chce, żeby ktokolwiek zauważył jej niebieską cętkowaną bliznę na przedramieniu.

– Przeszkadzam?

Camilla podnosi głowę i trwa milisekundę, zanim sobie przypomni, gdzie się znajduje i kim jest ta stara kobieta. Potem się uśmiecha, wkłada zakładkę i zamyka książkę.

– Ani trochę. Idziemy na spacer?

– Absolutnie.

Miriam jest dzisiaj niezwykle stylowa. Ma starannie upięte włosy, świeżo wyprasowaną sukienkę i lśniące białe pantofelki. Na ramieniu wisi torebka. Jasna letnia torebka, którą wyjmuje co roku w połowie maja z małego aksamitnego woreczka i chowa z powrotem z nadejściem września. Ma ją, odkąd Camilla sięga pamięcią, i – co dziwne – ciągle wygląda prawie jak nowa, jest tylko nieco ciemniejsza na szwach. Model ponadczasowy. Wieczny i bezpieczny. Jak jego właścicielka.

Miriam marszczy czoło.

– O co chodzi?

Camilla uśmiecha się i wzrusza ramionami.

– O nic. Po prostu ładnie dzisiaj wyglądasz. Też chciałabym tak wyglądać, kiedy skończę osiemdziesiąt pięć lat.

Uśmiech muska twarz Miriam.

– Ty będziesz dużo ładniejsza!

– Nie wydaje mi się – mówi Camilla i wstaje. – Poczekaj chwilkę. Tylko powiem mamie, że wychodzimy.

Spieszy do kuchni i otwiera drzwi na taras. Katarina siedzi na trawie i patrzy zakochanym wzrokiem na Sixtena, który łązi po grządce truskawek. W pierwszym odruchu chce zaprotestować. Sixten nie powinien jeść niemytych owoców – Insektycydy! Próchnica kości! Larwy w brzuchu! – ale wie, że jeśli zgłosi zastrzeżenia, Katarina będzie jej to miała za złe, a w midsommarafton trzeba dbać o mir domowy, więc nic nie mówi, tylko podnosi dłoń w geście pozdrowienia i pokazuje, że zamierza wyjść. Katarina z roztargnieniem kiwa głową, że rozumie. Na szczęście Sixten nie widzi mamy. Gdyby ją zobaczył, chciałby z nią pójść, a gdyby poszedł, Katarina też by się przyłączyła i w rezultacie Camilla nie miałaby szans poważnie porozmawiać z babcią. A zawsze, ilekroć przyjeżdżała do Nässjö, miała ochotę przynajmniej raz poważnie porozmawiać z babcią. Nie dlatego, że nigdy nie udało jej się nakłonić Miriam do otworzenia przed nią serca, ani nie dlatego, że sama nigdy jej się nie zwierzała ze swoich tajemnic. Przeciwnie.

Obie zawsze bardzo się pilnowały, żeby zachować dystans. Mimo to Camilla nie ma wątpliwości, że istnieje między nimi silna więź opiekuńcza. Będą trzymały się razem. Po wsze czasy.

– To co, idziemy? – zwraca się do Miriam, wchodząc do holu.

Miriam obrzuca ją niepewnym spojrzeniem. Camilla patrzy na swoje odbicie w lustrze i przesuwa dłonią po włosach. Może powinna się uczesać? Miriam twierdząco kiwa głową, jakby czytała w jej myślach.

– Sekundkę!

Camilla wchodzi do łazienki, szybko przeciąga grzebieniem po włosach i równie szybko pomadką po wargach. Poprawia biały top. No. Teraz wygląda chyba dostatecznie cywilizowanie, żeby pójść na spacer w Nässjö.

Miriam czeka na schodach, stoi wyprostowana, z przymkniętymi oczami, jakby się rozkoszowała ciepłym dniem lata.

– Wspaniały dzień – mówi Camilla.

– Tak, przewspaniały dzień – odpowiada Miriam.

I w tym momencie szczeka Kaiser.

Może czatował za uchylonymi drzwiami na taras. Albo jego pan wypatrzył Miriam i Camillę przez okno i z szyderczym uśmiechem postanowił go wypuścić tylko po to, żeby napędzić im strachu. Niech sobie nie myślą, że są Bóg wie kim, ta stara Żydówka z tym swoim akcentem i ta nabzdyczona wnusia, która się tu płacze, wyzywająco kręcąc małym tyłkiem.

– Ach! – mówi Miriam, zatrzymuje się w pół kroku i chwyta Camillę za rękę.

Trzyma ją bardzo mocno, Camilla czuje jej paznokcie wbijające się w cienką skórę przedramienia i powstrzymuje się, żeby nie syknąć z bólu.

– Paskudny pies – mówi Miriam, siląc się na uśmiech.

– Nie zwracaj na niego uwagi!

– Nie mogę...

– Możesz. Chodź, idziemy.

Camilla odwraca się w prawo i rusza. Kładzie dłoń na dłoni Miriam ściskającej jej przedramię. Babcia nieco rozluźniła chwyt, ale na krótko, bo Kaiser przypada do parkanu i kilka razy groźnie szczeka, kompletnie oszalały, że sąsiadki mają czelność przechodzić obok i nawet na niego nie spojrzą, że bezczelnie ignorują jego i jego pana, który wyszedł na taras, stanął na szeroko rozstawionych nogach, skrzyżował ramiona na piersi i obserwuje obie kobiety

skręcające w wąską alejkę przy jeziorze. Najwyraźniej go nie widzą, idą blisko siebie i patrzą przed siebie. Kaiser podejmuje ostatnią próbę, puszcza się pędem wzdłuż parkanu, histerycznie ujada i groźnie warczy, ale wszystko na nic. Kobiety nie odwracają głowy w jego stronę, jakby go w ogóle nie słyszały. Cóż, dalej już nie pobiegnie. Chwilę później widzi tylko ich powoli oddalające się plecy, siada z impetem na zadzie i wydaje jęk zawodu. Wuf!

Camilla czuje, że uchwyt Miriam zelżał, i głaszcze babcinę po plecach.

– Że też on nie może zdyscyplinować tego psa!

Miriam prostuje się i obrzuca Camillę przelotnym spojrzeniem.

– Pewnie nie chce. Myślę, że sprawia mu to przyjemność, że pies tak się zachowuje.

– Chyba zauważył, że się go boisz.

– Uhm.

Po krótkim milczeniu Camilla odchrząkuje.

– Kiedy byłam mała, nigdy nie bałaś się psów...

Miriam lekko się uśmiecha.

– Ja się nie boję psów. Boję się tylko owczarków niemieckich.

Camilla kiwa głową.

– Po obozie?

Złe pytanie. Miriam wspomniała o obozie koncentracyjnym tylko kilka razy, i to bardzo niechętnie. Teraz tylko przytakuje, odwraca głowę i patrzy w stronę jeziora.

– Wspaniały dzień, prawda? – mówi. – Cudowny midsommarafon.

Camilla znów kiwa głową i zapada cisza, a w ciszy pojawia się pytanie, którego nie ma odwagi zadać: Dlaczego powiedziałaś, że nie jesteś Miriam? Ogarnia ją niewytłumaczalny lęk, ale natychmiast go odpędza. Zgiń, przepadnij! Żwir chrzęści uspokajająco pod stopami. Camilla rozgląda się. Najcieńsze witki wierzby płaczących tańczą na wietrze. Trawę przy alejce należałoby skosić, ale wtedy zniknęłyby stokrotki, które rosną tutaj w dużych skupiskach, a dzisiaj wydaje się, że robią wszystko, żeby wyglądać wyjątkowo pięknie. I robią to z powodzeniem. Kremowo-pomarańczowy motyl o rzadkim rysunku fruwa jak opętany z jednego kwiatka na drugi, nie dając sobie chwili wytchnienia, żeby na którymś przysiąść.

Miriam uśmiecha się swoim przelotnym babcinym uśmiechem.

– A teraz opowiadaj! Jak ci jest w tym Sztokholmie?

Jak jej jest? Całkiem nieźle. Dwupokojowe mieszkanie w Solnej i dobry żłobek dla Sixtena. Trzy wieczory w tygodniu jest sama, bo ona i Max pomału przyzwyczajają synka do regularnych przenosin od taty do mamy i z powrotem. Pierwszy wolny wieczór poświęca na pranie i sprzątanie. W dwa pozostałe powinna wkuwać, ale niestety...

Tego jednak nie mówi, tylko niemal bez tchu wyznaje:

– Zawaliłam ostatni egzamin.

Miriam zerka na nią i milczy.

– Nie wiem, co się dzieje – kontynuuje Camilla. – Jakbym już nie potrafiła się skupić.

To nieprawda. Oczywiście, że potrafi się skupić. W te wieczory, kiedy Sixten jest u niej, nie ma z tym najmniejszego problemu, tylko wtedy, kiedy jest u Maksa, nie może sobie znaleźć miejsca, snuje się po mieszkaniu, wyjmując książki, ale ich nie otwiera, przymierza ubrania albo bezmyślnie gapi się w telewizor. Albo stoi przed lustrem i zastanawia się, czyby nie wysłać maila do ordynatora, który przez kilka miesięcy zeszłego roku był jej kochankiem. Nie. Tak. Nie. Jak głupia nastoletnia gęś. Jakby bez synka śpiącego w pokoju obok nie umiała się zachowywać jak dorosła. Jakby Sixten zapewniał jej dorosłość, jakby był jej publicznością w tej sztuce życia, w której i tak nigdy nie zagra idealnie. Dobra matka to kobieta wyrzuta z własnych potrzeb, a Camilla nie wie, jak miałyby się ich wyrzec. Zwłaszcza że jednocześnie powinna skończyć medycynę, powinna być ładna i bystra i powinna nadążać za modą.

– Ale chyba możesz zdawać jeszcze raz? – mówi Miriam.

Camilla wzdycha. Tak, może.

– Nigdy nie miałaś kłopotów z nauką. Na pewno sobie poradzisz.

Camilla znów wzdycha. Tak. Jasne. Oczywiście. I zmienia temat.

Pewnego jesiennego wieczoru wracała z centrum do domu metrem. Głupio zrobiła, z czego zdała sobie sprawę poniewczasie, kiedy w ostatniej sekundzie wbiła się do wagonu, o mały włos nie więdnąc w drzwiach. Przycisnęła do piersi torbę z zakupami, które zrobiła w Åhlensie, i odruchowo wyciągnęła rękę, żeby chwycić się drążka, ale natychmiast stwierdziła, że to nierealne. Wagon był przepełniony. Stała w grupie młodych mężczyzn w biało-zielonych szalikach, z twarzami pomalowanymi w zielono-białe barwy wojenne, młodych mężczyzn, którzy szczerząc zęby w uśmiechu, podnieśli pod sufit puszki piwa i zawyli: „KGB! KGB! KGB!”.

– Banda chuliganów – mówi z grymasem. – Przypadkiem trafiłam do tego samego wagonu co kibice Hammarby, którzy jechali na jeden z ostatnich meczów na stadionie Råsunda.

– Oj! – mówi Miriam.

Potem Camilla będzie zdumiona swoją instynktowną reakcją. Mocniej chwyciła torbę z dziecięcymi ubrankami, pochyliła głowę i opuściła wzrok, uważając, żeby nie patrzeć na żadnego z tych młodych mężczyzn. Któryś przycisnął swój nabrzmiały członek do jej pupy, ale tego babci nie mówi, wspomina jedynie o nagłym ruchu w grupie, że nagle znalazła się w samym jej środku i że była jak sparaliżowana. Jakby fani Hammarby stali się obcym plemieniem, a ona ich pierwszym więźniem, więźniem, któremu przyświecał jeden jedyny cel. Przeżyć. Znieruchomiła, pozwoliła się przesuwac coraz głębiej i głębiej, czuła, że kolejka metra zatrzymała się kilka razy, ale nie zrobiła nic, żeby się przepchnąć i wyjść na peron, nawet nie podniosła wzroku. Stała bezwolnie wśród wrzeszczących, wyjących i ryczących młodych mężczyzn: „Śmierć AIK! Śmierć AIK! Śmierć AIK!” – przekonana, że jeśli tylko odetchnie, ją też uśmiercą.

– Kiedy dojechalismy do stacji Solna Centrum, rzucili się do drzwi. Na peronie czekali policjanci, wyglądali jak żołnierze, tarcze, kamizelki kuloodporne, było widać, że się boją, mimo że stali w szerokim rozkroku i uderzali w tarcze pałkami jak dzikusy, jak w euforii, i tak niesamowicie upajali się swoją władzą, że pomyślałam...

Przerywa. Nie chce mówić, co sobie pomyślała. To było okropne. Pomyślała, jak bezbronni są ci szalikowcy, jak niewielki mają wpływ na swoje życie, że w wagonie to była ta jedna jedyna chwila, kiedy mogli się poczuć panami i władcami, i że zachowują ją w pamięci jako rzecz bezcenną, mimo że byli żałośnie tchórzliwi, głupi i prymitywni. Przez kilka sekund miała ochotę na rewanz. Nie chciała ich kopać ani bić, tylko się z nimi spotkać jako lekarka i wyniosłym tonem obwieścić diagnozę: świerzb, chorobliwe wypadanie włosów, paskudne ropnie, trwała impotencja, syfilis, rzeżączka, HIV – albo wydać wyrok śmierci, który nie podlega zaskarżeniu...

– Zobaczyłam starszego pana o lasce, przywarł do ściany, był nieprzytomny ze strachu, niewiele brakowało, żeby ci biało-zieloni szaleńcy go stratowali. Wzięłam go pod ramię i odeszliśmy na bok. Odczekaliśmy prawie dwadzieścia minut, dopóki wszystko się nie uspokoiło. Przyjeżdżali następni kibice Hammarby... Co oni wyprawiali! Jakaś grupa dopadła jakiegoś chłopaka i waliła jego głową o peron, jakiś wariat zapalił racę i rzucił ją na tory. W kolejce podziemnej! Gdyby wybuchł pożar, nikt nie miałby szans...

Miriam wykrzywia się. Oj, niedobrze. Camilla prostuje plecy.

– Ciekawe, co ci idioci mają w głowach. Kiedy się jako tako uspokoiło, zaprowadziłam starszego pana do windy i wyjechaliśmy na powierzchnię, a potem wróciłam do domu okrężną drogą, żeby nie przechodzić przez tę ulicę, którą szli szalikowcy. To było regularne pole bitwy!

Miriam kręci głową.

– I od tamtej pory nie jeździsz metrem?

Zatrzymały się koło parkowej ławki.

Camilla śmieje się.

– Jeżdżę. Ale najpierw sprawdzam, czy nie ma przypadkiem jakiegoś meczu. Jeśli jest, bardzo uważam.

– To rozsądne. Trzeba się wystrzegać młodych mężczyzn w grupie.

– Trzeba?

Miriam przytakuje.

– Zawsze. Zawsze trzeba się wystrzegać młodych mężczyzn w grupie. Usiądziemy na chwilę?

Siadają na ławce i patrzą na Ingsbergssjön. Park miejski kipi zielenią. Nad nimi rozpościera się jasnoblękitne niebo, ale tafla jeziora nie odbija jego barwy, mieni się odcieniami brązu. Lato przepęlnia Camillę radością, nagle czuje się potężniejsza niż władca świata, silniejsza niż wół, sprawiedliwsza niż sam Bóg i dlatego jest gotowa jeszcze raz przypomnieć babci o tym, o czym ona nie chce sobie przypominać.

– Nauczyłaś się tego w obozie?

Miriam drży lekko, to widać, ale nie pozwala, żeby drzenie udzieliło się jej głosowi.

– Nie – mówi swoim zwykłym spokojnym tonem. – Nauczyłam się tego w Jönköpingu trzy lata po wojnie.

PO ŚMIERCI, PRZED ŻYCIEM

*Ptak wybiera uciezkę. My jej nie wybraliśmy.
Uciezka wybrała nas. Dlatego jesteśmy tutaj.
Wy, którzy nie zostaliście wybrani – ale wolność macie,
pomóżcie udźwignąć brzemień cięższej nam uciezki!*

Stig Dagerman

– To jest Miriam – powiedziała Hanna, przekrzywiając głowę. – Młoda uchodźczyni, o której ci mówiłam.

Egon przełożył kapelusz do lewej ręki, z uśmiechem wyciągnął prawą i lekko się skłonił.

– Dzień dobry, Miriam.

Miriam ujęła jego dłoń i ukłoniła się tak głęboko, jak nauczyła ją Hanna.

Hanna z aprobatą pokiwała głową.

– Urocza miła dziewczyna. Dobrze gotuje i piecze. Niedługo opanuje połowę materiału w szkole dla dziewcząt. Eksternistycznie.

Miriam uśmiechnęła się półgębkiem. Czy powinna coś powiedzieć? Czy ma pokornie zaprzeczyć, że wcale tak dobrze nie gotuje ani nie piecze, a jej zdolności matematyczne pozostawiają wiele do życzenia? Czy powinna tylko podziękować za komplement? Nie. Najwyraźniej nie. Hanna włożyła słomkowy kapelusz, z aprobatą spojrzała na swoje odbicie w lustrze i jeszcze raz wygłosiła krótkie kazanie. Niech wyprowadza Nippona przynajmniej trzy razy dziennie! Niech zamyka drzwi! I niech odrabia lekcje, bo po powrocie przepytą ją z Gustawa Wazy i z reformacji. Mleko prawie się skończyło, dlatego najpierw musi pobiec do sklepu i kupić litr mleka. I niech nie zapomni wstawić kanekę do zimnej wody, żeby zachowało świeżość nie tylko do następnego dnia.

– A poza tym możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

Hanna uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po sukience. Była biała w niebieskie groszki, odcięta w talii i nowiuteńka. Miriam odebrała ją wczoraj od krawcowej i wieczorem patrzyła, jak Hanna ją przymierza. Nie mogła się zdecydować. Czy nie wygląda za grubo? Nie. A może? Nie. Nie wygląda ani trochę za grubo. To ładna stylowa i nadzwyczaj gustowna sukienka!

Dzisiaj Hanna rzeczywiście była bardzo elegancka. Białe pantofelki i jasne pończochy z prawdziwego amerykańskiego nylonu, nienagannie uczesane ciemnobrązowe włosy, ciemnoniebieski słomkowy kapelusz z białą wstążką, nowe białe rękawiczki i biała torebka. Egon też był niebiesko-biały. Jego obszerne ciało okrywał ciemnoniebieski gabardynowy garnitur i biała, nieskazitelnie wyprasowana koszula. Prawdopodobnie uprasowała mu ją skwaszona gosposia Asta, o której Miriam coraz częściej słyszała w ostatnich miesiącach. Hanna opowiadała, że Asta za dużo sobie pozwala, że bywa wobec niej arogancka. Może miała nadzieję, że Egon się nią zainteresuje, i dlatego głośno prychała, gdy tylko Hanna albo któraś z innych pań z zarządu

Czerwonego Krzyża znalazły się w pobliżu. Ale – to rozumie się samo przez się – mężczyzna pokroju Egon, od trzech lat wdowiec, właściciel i dyrektor fabryki, w żadnym wypadku nie ożeniłby się ze swoją gospożą. Hanna w najmniejszym stopniu nie jest protekcjonalna, podobnie jak Egon, nie ulega jednak wątpliwości, że istnieją różnice między ludźmi wykształconymi i niewykształconymi, co osoba pokroju Asty powinna przyjąć do wiadomości i się z tym pogodzić. Tak jak inne panie z zarządu Czerwonego Krzyża powinny pogodzić się z tym, że to właśnie ją Egon zaprosił na midsommar do swojej rodzinnej posiadłości pod Vadsteną, gdzie mieszka jego brat. Tak! „Naprawdę mnie zaprosił” – powiedziała Hanna z triumfalnym uśmiechem i pewną bojaźnią następnego dnia przy śniadaniu. Potem mieli pojechać jego samochodem na ogólnokrajowe spotkanie Czerwonego Krzyża w Mariefred. Razem spędzą aż pięć dni! Słowem nie wspomniała o ślubie, ale Miriam podejrzewała, że przez resztę przedpołudnia o niczym innym nie myślała, bo co chwila podnosiła oczy znad książki. To było niezwykle. Hanna nigdy dotąd nie patrzyła w przestrzeń nieobecny wzrokiem.

Na widok Egon Miriam odczuła lekkie rozczarowanie. Otwierając mu drzwi, spodziewała się stylowego mężczyzny, bo tak opisała go Hanna. Wybitnie stylowego. Tymczasem Egon nie zachwycał swoją powierzchownością. Był grubszy niż Hanna, miał przerzedzone włosy, popękane naczynka na nosie i policzkach, które przypominały mapę z zaznaczonymi deltami rozmaitych rzek, i pokaźny podwójny podbródek. Miriam musiała się zdobyć na nie lada wysiłek, żeby wyglądać na kogoś, na kim wywarł duże wrażenie, i chyba jej się udało, bo Hanna była zadowolona.

– Trzymaj się, maleńka – powiedziała, poklepując ją po policzku. – Do zobaczenia w niedzielę wieczorem...

Egon skinął do niej głową, włożył kapelusz, odwrócił się i otworzył drzwi. Hanna rzuciła Miriam spojrzenie przez ramię, uśmiechnęła się, mrugnęła prawym okiem, jakby miały wspólną tajemnicę, i majestatycznie wyszła.

Miriam nareszcie była sama. Pięć dni będzie sama. Przez chwilę stała w holu, nasłuchując. Stukot obcasów Hanny na marmurowych schodach, jej najjaśniejszy, szczebiotliwy głos i głuchy bas Egon. Nie słyszała, o czym mówią. Zeszli na parter, kilka sekund później drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. I tyle. Już ich nie było.

Miriam zamrugała powiekami, jakby się właśnie obudziła, i rozejrzała się po ciemnym holu. Prawdziwy, ręcznie tkany dywanik nieco się przekrzywił, wyprostowała go stopą, westchnęła i rozluźniła się, przygarbiła, jej twarz przybrała naturalny wyraz, nie był ani uprzejmy, ani wyczekujący, jak wówczas gdy Hanna była w pobliżu. Jeszcze raz westchnęła i bardzo wolno weszła do salonu, jakby się w nim znalazła po raz pierwszy, jakby od przeszło

dwóch lat nie odkurzała tutaj codziennie rano wszystkich mebli i wszystkich porcelanowych figurek. Niskie regały. Brązowa nakrapiana sofa. Głęboki fotel obity kwiecistym beżowym węzełkowym materiałem, na którym mogła usiąść tylko Hanna, o czym Miriam nawet nie mogła pomarzyć. Na stoliku obok odbiornik radiowy. Nagle korci ją, żeby usiąść w zakazanym fotelu i kręcąc gałkami, odszukać dobrze jej znany język, jej język, którego zrozumienie nie sprawiłoby jej najmniejszego trudu. Na przykład niemiecki. Albo romski.

– Ha!

Wzdrygnęła się na ten okrzyk, podszyty szyderstwem, i po jednej dziesiątej sekundy dotarło do niej, że to ona krzyknęła. Przecież to niedorzeczne, żeby ktoś mówił w radiu po romsku. Przecież to język przestępców, o czym się dowiedziała, podając któregoś dnia kawę koleżankom Hanny. Jedna z nich miała przy sobie mały leksykon i między paniami doszło do wymiany zdań. Czy to aby na pewno język przestępców? Czy może cygański, jak twierdzą niektórzy badacze? I jak się ustosunkować do tego, że pewne słowa z tego języka zaczynają przenikać do czystej szwedzkiej? Miriam przeszła dreszcz. Nic nie powiedziała. Oczywiście, że nie. Mimo że nie była pomocą domową, znała swoje miejsce. Nie zamierzała wyjawiać, kim jest i skąd pochodzi, bo to był chłodny kraj, i jeśli ceną za spanie pod ciepłą pikowaną kołdrą było kłamstwo, może kłamać aż do śmierci. Nie ma więc wątpliwości, że nie usłyszy w radiu romskiego, choćby nie wiadomo jak długo kręciła gałkami. W Szwecji pewnie nie ma Cyganów, a nawet gdyby byli, nikt by im nie pozwolił mówić w radiu, to prawo przysługiwało wyłącznie tym, którzy mieli na tyle rozumu, żeby się urodzić w odpowiedniej rodzinie. Gadziom³. Ludziom wykształconym. Ludziom, którzy wszystko wiedzą, wszystko mogą i przenigdy nie kłamią. Ludziom wiecznie uśmiechniętym i zapewniającym siebie nawzajem, że żyją w najlepszym ze światów.

Miriam nie zamierzała się dzisiaj uśmiechać. Tego dnia, w midsommarafon, będzie tylko sobą. To był ten dzień, kiedy wreszcie przyzna się sama przed sobą, jak trudno być obcym, outsiderem, kimś z zewnątrz, kto nigdzie nie przynależy. I to był ten dzień, kiedy przywoła wspomnienia. Przynajmniej niektóre, te najbardziej bolesne. Śmiech taty. Błyszczące oczy Anuszy. Rączka Didiego w jej dłoni. Jego drobne ciało tuż obok niej na materacu. Jego czarne oczy. Jego zniekształcona twarz niknąca na jej oczach... Noma! Nie! To nie do zniesienia!

– Ach, Didi! – zawołała zdławionym głosem. – *Ma ov mulo, av palpate!* Nie umieraj! Wróć!

Wezbrał w niej dojmujący smutek i przeniknął do głębi, tak się trzęsła, że

musiała się chwycić oparcia fotela, żeby nie upaść. Smutek otoczył ją jak kokon. Zamknął. Uwięził jak wtedy. Skóra oddzieliła się od ciała na pół milimetra, mdłości podeszły do gardła, ból głowy uciskał czoło. Wiedziała, że tego nie widać, wciąż była w niej szczelina, ta, która w dzieciństwie uczyniła z niej osobę niemal dorosłą, szczelina, która ziała czernią w Auschwitz, której chłód pozwolił jej przeżyć Ravensbrück i pociąg widmo, który przywiózł ją do Danii. Nawet nieprzytomna potrafiła zachować kamienną twarz. Teraz wiedziała, że stoi w salonie Hanny na baczność, jak na apelu, a na jej twarzy maluje się równie neutralny wyraz, jak od dnia, kiedy przyjechała do klasztoru. Udało się. Ocalała. Podobno była jedyną Romką, która przeżyła Auschwitz i Ravensbrück, więc przeżyje i Hannę, i Jönköping, i Czerwony Krzyż!

Na ulicy zatrąbił samochód, zmuszając ją do powrotu do rzeczywistości. Co ona wyprawia? Dlaczego na Boga stoi na baczność w salonie Hanny i majaczy, że przeżyje i ją, i Jönköping, i Czerwony Krzyż? To przecież Hanna uratowała ją przed pustką samotności, zabrała z Aneby do Jönköpingu, dała jej czerwoną pikowaną kołdrę, własny pokój i coś, co może kiedyś stanie się życiem! Nie ma prawa bać się Hanny ani kogokolwiek, kto chodzi po ulicach tego spokojnego miasta i spokojnie zajmuje się swoimi sprawami. Czego tu się można bać? Nikt nigdy nie zbombardował Jönköpingu, nikt nie zmuszał Żydów i Romów do przemarszu ulicami do pociągu, który miał ich zawieźć do piekła, nikt nawet nie widział ubranego na czarno esesmana podnoszącego broń i celującego w dziecko. Ludzie w Jönköpingu byli mili. Ludzie w Smalandii byli mili. Ludzie w Szwecji byli mili.

Nabrała powietrza i wyprostowała plecy, potem dotknęła dłonią czoła, żeby sprawdzić, czy ta nieszczęsna mała szóstka, którą sobie tego ranka ułożyła na wodę z cukrem, naprawdę zniknęła, i postanowiła przetrzymać nudności i ból głowy, podobnie jak je przetrzymywała przez dwa i pół roku w obozach. Jeśli tak będzie myśleć i czuć, nie może być sama. Jeśli będzie sama, zginie. Hanna wprawdzie wyjechała ze swoim Egonem, ale ona nie pozwoli jej zniknąć, będzie nosiła ją w sobie, tak jak od blisko czterech lat nosi Elbę. Dlatego dzisiaj mimo wszystko będzie uśmiechnięta, jakby Hanna tu była, będzie wyglądała miło i wyczekująco, będzie się trzymała prosto, jak zwykle o dwunastej zje lunch, a wpół do szóstej kolację i trzy razy wyprowadzi Nippona na spacer. Ale najpierw pójdzie po mleko. Nie dlatego, że lubi mleko, wręcz przeciwnie, ale dlatego, że tak chciała Hanna. Hanna powiedziała, że to bardzo ważne, żeby piła co najmniej trzy szklanki mleka dziennie, bo mleko wzmocni jej kości i da jej siłę.

Pazurki Nippona zaskrobały na podłodze i sekundę później stanął w drzwiach, przekrzywił łeppek i popatrzył na nią. Osobliwe małe zwierzątko.

Z tą swoją wystającą dolną szczęką i wyłupiastymi oczami powinien być brzydki. Ale nie był. Był naprawdę uroczy.

– Oj, kogo ja widzę! Dzień dobry, Nipponku! – powiedziała, powtarzając słowa Hanny i naśladowując ton jej głosu. – Dzień dobry, słodziaku!

Nippon łaskawie zamerdał ogonkiem, ale tylko parę razy, po czym wrócił do kuchni, położył się w swoim koszu i westchnął. Tęsknił za Hanną. Miriam nic nie mogła na to poradzić. Powinna kupić mleko. Musi mieć kapelusz, bo żadna prawdziwa dama nie pójdzie do sklepu mleczarskiego bez kapelusza, rękawiczek i torebki. Wyjęła swój biały słomkowy kapelusik, który dostała od Hanny zeszłego lata, stanęła przed lustrem i przejrzała się z góry na dół i z dołu do góry. Krawcowa przerobiła dla niej starą kraciatą szmizjerkę Hanny. Była wprawdzie nieco za krótka, bo Miriam była wyższa od Hanny, ale Hanna powiedziała, że to nie ma znaczenia. Miriam jest młoda, a młode dziewczęta mogą nosić dużo krótsze sukienki niż dorosłe panie. Tak samo było z rękawiczkami. Młode dziewczęta mogą nosić białe bawełniane rękawiczki, tylko panie w wieku Hanny musiały mieć białe rękawiczki z prawdziwej skórki. Nie miało również znaczenia, że stara torebka Hanny była trochę sfatygowana i poplamiona. Świadczyło to jedynie o tym, że Miriam mieszka w porządnej rodzinie, gdzie nic nie może się zmarnować. Kiedy ją wyczyściła przezroczystą pastą do butów, była naprawdę ładna, a w każdym razie akceptowalna. Zatem i ona była do zaakceptowania. Porządna i schludna. Dama *in spe*. Zaczęła nucić wesołą piosenkę, której nauczyła ją Hanna w zeszłym tygodniu – „Bo to smalandzkie dziewczęta, szuszu i szuszu, suną zwiewnie i...” – i ze zdumieniem poczuła, że to pomaga, że odrywa ją od rzeczywistości, i postanowiła, że będzie ją nucić przez cały czas. To dobry sposób, żeby nie myśleć. I nie wspominać.

– Pa-pa, hau-hauku! – zawołała w stronę kuchni, wkładając rękę do torebki, żeby sprawdzić, czy klucze są na swoim miejscu. – Twoja mała pani zaraz wraca!

Zbiegła po schodach na parter, zamasyście otworzyła drzwi i tak ją oślepiło światło, że aż się cofnęła. Przez ciężkie chmury przebiło się słońce, czego nie zauważyła w ciemnym salonie Hanny. W powietrzu dało się wyczuć jedynie wąty strumyk chłodu. Przyszło lato! Uśmiechnęła się do siebie. Jak to dobrze! Teraz Hanna będzie się jeszcze bardziej cieszyć podróżą.

Wyszła na chodnik, usłyszała za plecami skrzypnięcie zamykających się drzwi, przybrała uprzejmą i pełną nadziei, wyczekującą minę i ruszyła do rogu ulicy. Murawa przed kościołem św. Zofii była intensywnie zielona, a fasada kościoła intensywnie ceglasta. Przewiesiła torebkę przez lewe ramię i przycisnęła ją do brzucha, usiłując zatrzymać Hannę przy sobie. Będzie

dobrze. Nawet jeśli to nie był najlepszy ze światów, Jönköping jest najlepszym miastem.

W tym momencie spokój pękł jak bańka mydlana. Rycząc silnikiem, Klostergatan przejechała ciężarówka. Na platformie stało trzech młodych mężczyzn w kraciastych koszulach. Próbowali utrzymać równowagę i coś krzyczeli. Miriam zatrzymała się w pół kroku. Twarz jej stężała, czuła to, wyprostowała się i na kilka sekund znieruchomiała. Potem obróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem. Zapomniała kanki na mleko.

W salonie wyjrzała przez okno, ale nic nie zobaczyła. Nie licząc samotnego mężczyzny wolno idącego chodnikiem, na Klostergatan było pusto. Stąd nie było widać sklepu mleczarskiego. Poszła do pokoju stołowego i wyjrzała przez drzwi balkonowe w ścianie szczytowej. Ciężarówka stała przed trafiką, tuż za sklepem mleczarskim, teraz na platformie nikogo nie było. Rzuciła spojrzenie na duży zegar stojący. Za dwadzieścia dwunasta. Musi się pośpieszyć. Jeśli natychmiast nie wyjdzie, zamkną sklep i nie kupi mleka. Hanna była w tej kwestii bardzo skrupulatna. Wszyscy Szwedzi pili mleko. I nigdy nie byli przerażeni. Nawet nie wiedzieli, co to strach.

Poszła do kuchni po emaliowaną kankę. Nippon wodził za nią wzrokiem, ale tym razem się do niego nie odezwała, wzięła kankę i wyszła. Na schodach zauważyła, że przyciska ją do siebie. Niedobrze. Ten, kto coś do siebie przyciska, wygląda na przestraszonego, a ona nie może tak wyglądać. Przystanęła, odetchnęła głęboko, opuściła prawą rękę, żeby kanka mogła swobodnie dyndać, wyprostowała plecy i lekko zgięła lewe ramię, żeby wyeksponować wypucowaną torebkę. W kamienicy było cicho, na klatce dał się słyszeć jedynie odgłos jej kroków. Rytmicznych, świadomych celu, nieskradających się, ale też niezbyt głośnych. Tak to brzmi, kiedy dobrze wychowana paniuszka idzie po marmurowych schodach. Uchodźczyni z dobrej rodziny. Eksternistka ze szkoły dla dziewcząt z celującymi ocenami z niemieckiego i z przyrody. Na dobrej drodze do uzyskania wysokich not z historii literatury i – tak, tak! – ze szwedzkiego.

Kiedy znalazła się na najniższym podejściu, przy drzwiach wejściowych zauważyła małą dziewczynkę i stanęła jak wryta. Przez jedną dziesiątą sekundy była przekonana, że to Anusza, że Anusza w końcu przezwyciężyła śmierć, odbyła podróż w czasie i wróciła do swojej kuzynki, swojej siostry, swojej najlepszej przyjaciółki, ale kiedy dziewczynka pociągnęła nosem i wytarła go dłonią, zorientowała się, że ten gest nie przypomina gestu Anuszy, jest całkowicie obcy, i zmusiła się do powrotu do rzeczywistości.

– Cześć! – powiedziała i zaczęła schodzić.

Dziewczynka odwróciła wzrok i usunęła się na bok. Przestraszona. Najwyraźniej się bała. Miriam poczuła ucisk w żołądku, nagle zakotłowały się wspomnienia i na moment zapomniała, że jest dobrze wychowaną żydowską paniuszką z porządnej rodziny.

– *Rom san?* – szepnęła. – *Romengi san?* Jesteś Romką?

Sekundę później miała ochotę sobie przyłożyć. Czy ona zwariowała? Czy kompletnie postradała zmysły? Zwraca się po romsku do obcej dziewczynki, która może otworzyć drzwi i wykrzyczeć jej tajemnicę całemu miastu, tajemnicę, która skazałaby ją na tułaczkę i powrót do zbombardowanych

Niemiec, na bycie przeganianą z miejsca na miejsce, znienawidzoną i pogardzaną! Wyprostowała plecy i odwróciła wzrok, dziewczynka też na nią nie patrzyła, pokonała ostatnie stopnie i wyciągnęła rękę do klamki, kiedy nieoczekiwanie otworzyły się za nią jakieś drzwi. Drzwi na podwórze. Znieruchomiała i zerknęła przez ramię.

W drzwiach stał dozorca Berglund i marszcząc brwi, wpatrywał się w dziewczynkę.

– Annika! Gdzie ty, do cholery, łazisz?

Miriam otworzyła ciężkie drzwi wejściowe, gdy nagle uświadomiła sobie, że przecież jest dobrze wychowaną panią z dobrej rodziny.

Odwróciła głowę i lekko się uśmiechnęła.

– Dzień dobry, panie Berglund! Wesołego midsommar!

Tak należało powiedzieć. Wiele razy słyszała, jak Hanna zwraca się do stróża per panie Berglund, chociaż kiedy nie było go w pobliżu, mówiła o nim „Berglund”. A wczoraj życzyła wszystkim wesołego midsommar.

Berglund ochłonął na moment i popatrzył na nią. Słyszał, jak mówiła po romsku? Zrozumiał ją? Nie, na pewno nie, w jego spojrzeniu nie było triumfu, w jego głosie nie było szyderstwa, a w mimice jego twarzy złośliwej radości. Był po prostu zmęczony. Zawsze wyglądał na zmęczonego.

– No cóż – powiedział. – To się jeszcze okaże, czy będzie wesoły...

Dziewczynka obrzuciła Miriam przelotnym spojrzeniem, szybko do niego podeszła, prześliznęła się pod jego ramieniem i zniknęła w drzwiach na podwórze.

Na ulicy Miriam rozejrzała się. Słońce schowało się za chmurą. Ciężarówka wciąż stała przed trafiką. Młodych mężczyzn nigdzie nie było widać ani słyszać. Wzięła głęboki oddech i ruszyła. Nie mogła się jednak przemóc, żeby od razu przejść na drugą stronę ulicy. Dopiero kiedy była prawie u celu, zatrzymała się, dokładnie rozejrzała i zrobiła pierwszy krok na jezdnię. Nie potknąć się. Nie krzyczeć. Nie runąć jak długa. Ale musi się śpieszyć, musi zdążyć do sklepu przed dwunastą, przed zamknięciem.

– Dzień dobry – powiedziała i dygnęła zaraz po przestąpieniu progu przyjemnie chłodnego, wyłożonego białymi kafelkami sklepu.

I natychmiast tego pożałowała. Bo gdyby w tym momencie inny klient chciał coś powiedzieć, toby mu przerwała, a nie było nic, absolutnie nic bardziej niegrzecznego niż przerywanie komukolwiek. Hanna ją tego nauczyła. Miała szczęście. W sklepie było pusto, nie licząc biuściastej kobiety w białym fartuchu za ladą, która wymamrotała coś w odpowiedzi.

Miriam dygnęła jeszcze raz.

– Poproszę litr mleka – powiedziała, podając kankę.

Kobieta wzięła ją i lekko westchnęła.

– Nie wiem, czy to da się zrobić – odparła, kołysząc dużym aluminiowym pojemnikiem. – Dzisiaj był duży zbyt.

– Ach!

Kobieta lekko się uśmiechnęła.

– E tam, niech się panienka nie przejmuje. Dostanie panienka wszystko, co mam, a czy to będzie litr, czy nie... zobaczmy.

Odłożyła litrową miarkę, chwyciła pojemnik, podniosła i zaczęła przelewać mleko do kanki, kiedy nagle ktoś wrzasnął na ulicy:

– Nie słyszysz, co mówię?! Co?! Ogłuchłeś, sukinsynu...

Miriam zeszywniała. Ekspedientka wyprostowała pojemnik, zmarszczyła brwi i znów go przechyliła. Kanka była prawie pełna. Czyli miała jeszcze litr. Co najmniej.

Ktoś krzyknął i rozległ się trzask, jakby coś grzmotnęło o drewnianą ścianę.

– Oho. – Kobieta odstawiła pojemnik. – Bengtsson i jego banda znowu polują na *tattare*⁴...

Miriam przełknęła ślinę.

– *Tattare*?

– Tak – powiedziała kobieta, jakby to była oczywista oczywistość.

Wytała dłonie o fartuch i wlepiła wzrok w witrynę, ale widocznie nic nie zobaczyła, bo przykryła kankę przykrywką, przesunęła ją po ladzie, podeszła do drzwi, stanęła z boku i wyjrzała.

– Kim są *tattare*?

– To panienka nie wie?

– Nie, od niedawna jestem w tym mieście...

Kobieta zachichotała.

– I pewnie od niedawna w Szwecji, co? Uchydźca z Niemiec?

Miriam poczuła, jak palą ją policzki. Co to miało znaczyć? Czy ta kobieta ją przedrzeźnia? Nabija się z jej wymowy? Opuściła wzrok, nagle całkowicie

bezbronna. Co się robi w Szwecji, kiedy ktoś z kogoś szydzi? Nie wiedziała. Hanna nic o tym nie mówiła. Może z Hanny nikt nigdy nie szydził.

– Oj! – powiedziała kobieta.

Jakiś młody mężczyzna śmignął ulicą, sekundę później śmignął za nim następny.

– Berglundziak dostał przyspieszenia! Poleciał za nim któryś od Bengtssona. Pogłupieli!

Berglundziak? Czy ten mężczyzna nazywa się Berglund? Dozorca? Ale jak zdążyłby tu przyjść i wdać się w awanturę z Bengtssonem i jego ludźmi? Już otwierała usta, żeby zapytać, przypomniała sobie jednak szyderczy ton kobiety i się nie odezwała.

Kobieta zarechotała, odwróciła się i popatrzyła na nią z uśmiechem. Wzięła się pod boki, coś błysnęło jej w oku.

– Może nie powinna panienka wychodzić teraz na ulicę. Ci chłopcy są trochę nerwowi. Nie wiadomo, co im wpadnie do głowy, kiedy zobaczą kogoś tak ciemnego jak panienka. Mogą sobie ubzdurać, że panienka też jest *tattare*.

Zdania wypowiedziane przed laty nagle wypłynęły na powierzchnię. Miriam niemal to widziała. Głos Else był przytłumiony, ale bardzo wyraźny: „I nigdy nie daj jej poznać, że się boisz. Nikomu, żadnemu człowiekowi nie daj poznać, jak bardzo się boisz!”. Meduza. Zdania przybrały kształt meduzy, identycznej z tą, którą oglądała na zdjęciu w podręczniku do przyrody.

– Tak czy inaczej, chciałabym zapłacić – powiedziała, wymawiając każde słowo bardzo starannie, jakby Hanna odpytywała ją ze szwedzkiego.

Położyła dłoń na torebce. Bawełniana rękawiczka była lśniąco biała, a torebka tylko trochę porysowana. Nagle zobaczyła, że młody człowiek, nazwany przez sklepikarkę któryś od Bengtssona, wrócił. Czyli *tattare* mu uciekł.

Napotkała wzrok kobiety. Nie spłoszyła się. Nie uciekła spojrzeniem.

– Dobrze, dobrze. – Kobieta pospieszyła do lady. – To wszystko? Żadnej śmietanki do kawy?

Miriam nadal stała wyprostowana i raptem zdała sobie sprawę, że jest wyższa od kobiety o głowę, i to ją ucieszyło.

– Nie, dziękuję.

– Ani kremówki do truskawek?

Jakich truskawek? Zamrugnęła powiekami, ale w porę się opamiętała, zanim

jej zmieszanie byłoby bardziej widoczne, popatrzyła kobiecie prosto w oczy i przybrała uprzejmy i pełen nadziei wyraz twarzy.

– Nie, dziękuję. Żadnej kremówki.

Dźwięk silnika. Ktoś uruchomił ciężarówkę, ale nie odjeżdżał, silnik pracował na wolnych obrotach. Miriam nie spieszyła się z płaceniem. Zdjęła prawą rękawiczkę. Otworzyła torebkę. Wyjęła portmonetkę. Odpięła ją. Poszukała najbardziej zbliżonej sumy. Podała pieniądze. Poczekwała na resztę. Włożyła resztę. Zapięła portmonetkę. Schowała ją do torebki. Zamknęła torebkę. Włożyła rękawiczkę. Cały czas intensywnie nasłuchiwała. Nareszcie. Ciężarówka odjechała.

– No to życzę wesołego midsommar – powiedziała mleczarka.

Miriam uśmiechnęła się i wzięła kankę.

– Dziękuję, wzajemnie!

Hanna nauczyła ją, że właśnie tak należy odpowiedzieć.

Nippon delikatnie szturchnął ją w nogę. Miriam ocknęła się.

– Oczywiście – powiedziała swoim najczystszy szwedzkim. – Naturalnie, że wyjdiesz.

Z trzaskiem zamknęła książkę i podniosła ją. Ciężka. Ciężka od treści, pomyślała przelotnie, wstała, poszła do salonu i odstawiła ją na półkę. Potem przesunęła dłonią po całym rzędzie identycznych grzbietów, sprawdzając, czy któryś nie wystaje, żeby się nie wydało, że ktokolwiek ich dotykał. *Nordisk familjebok*. Encyklopedia w trzydziestu ośmiu tomach. Imponująca.

Rzuciła spojrzenie przez okno. Pada? Nie, nie padało, ale znów się zachmurzyło.

– Chodź, Nippon! – zawołała i w tym samym momencie zobaczyła, że psina stoi tuż za nią.

Czyżby ją szpiegował? Lekko się skrzywiła. Jeśli tak, będzie miał pewne trudności ze złożeniem raportu. Chyba że potrafi się porozumiewać z Hanną telepatycznie. Albo Hanna w jakiś cudowny sposób potrafi interpretować machnięcia ogonem. Nieźle by się namachał, żeby przekazać, że tego dnia, w midsommarafon, nie wypła mleka i nie zjadła lunchu, wyjęła trzy tomy *Nordisk familjebok* i zatopiła się w lekturze na prawie trzy kwadransy. Zaczęła od tomu z literą T, potem z Z, a na końcu z J⁵. Co dziwne, nie była ani trochę wzburzona, tylko zainteresowana. I całkowicie spokojna. Naprawdę.

Przypięła smycz do obroży Nippona, otworzyła drzwi, w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że nie wzięła kapelusza i rękawiczek, ale wahała się zaledwie sekundę. Co tam! Nie musi się przejmować ani kapeluszem, ani rękawiczkami. Dziewczęta w szkole Hanny czasami chodziły z gołą głową, a prawie żadna nie nosiła na co dzień białych rękawiczek. Jeśli one mogły, to ona też może. Nie musi być podobna do Hanny i innych pań. Dopóki jest sama w domu, może sobie pozwolić na bycie tą dziewczyną, którą naprawdę jest. A dokładniej tą, którą nigdy nie było jej dane być. To faktycznie byłoby szalenie ciekawe, gdyby mogła się tego dowiedzieć. Kim właściwie była? Cyganką czy Żydówką? Maliką czy Miriam?

Głośne prychnięcie sprawiło, że Nippon nagle znieruchomiał na schodach i popatrzył na nią zdziwiony.

– To tylko ja – powiedziała. – Ja. Malika. Ja. Miriam. To ja prychnęłam. Ja istnieję i mam prawo prychnąć.

Natychmiast tego pożałowała. Trzy lata temu przysięgła sobie, że nigdy więcej nie powie słowa po romsku i nigdy nie przyzna się do tego imienia,

a teraz złamała tę przysięgę dwa razy tego samego dnia. Czy ktoś ją słyszał? Czy Berglund albo jego córka nie podsłuchiwali jej gdzieś na klatce? Albo ktoś inny? Zatrzymała się tuż przed drzwiami wejściowymi i nasłuchiwała. Nie. W kamienicy panowała głucha cisza. Chyba wszyscy lokatorzy byli poza domem. Dozorca pewnie wrócił do siebie. A gdyby nawet ktoś ją usłyszał, mogłaby się tego wyprzeć, mogłaby stanąć wyprostowana przed każdym sądem i zapewnić, że to nieporozumienie, że świadek na pewno się przesłyszał, że coś mu się przywidziało, fantazjował albo miał halucynacje. Nigdy w życiu nie wypowiedziała tych słów: „Ja. Malika”. Przecież ma na imię Miriam. Tak jest napisane we wszystkich dokumentach. Proszę bardzo. Wystarczy przeczytać. W paszporcie uchodźcy. W ewidencji ludności. W papierach Czerwonego Krzyża. Nawet w archiwum Ravensbrück, to znaczy z tego, co po nim zostało, kiedy przejęli je Sowieci. Ale proszę bardzo! Sprawdzajcie. I spróbujcie znaleźć choćby jeden dowód.

Nippon wybiegł na ulicę i natychmiast obsikał ścianę domu. Biedaczek nie wychodził od wielu godzin. Pochyliła się i pogłaskała go po jedwabistym grzbiecie. W odpowiedzi liznął jej dłoń. Nippon był prawdziwym skarbem. Hanna miała rację.

– No? Dokąd pójdziemy? – zwróciła się do niego swoim najmiłszym tonem.

Nie musiała pytać. Oczywiście, że chciał pójść na trawnik przed kościołem św. Zofii. Hanna co prawda uprzedzała, że wyprowadzanie go tam jest niestosowne, ponieważ Jönköping jest teraz takim, a nie innym miastem, ale Miriam nie zamierzała się ani trochę przejmować tym, co Hanna uważa. Ani tym, co ktokolwiek uważa. Mało tego, była gotowa każdemu porachować kości. Wymierzyć siarczasty policzek albo kopnąć w tyłek. Przez chwilę zobaczyła siebie, jak kogoś dogania, ot, choćby tego mężczyznę, który szedł pod rękę ze swoją nadętą żoną po drugiej stronie ulicy, i wymierzyć mu takiego kuksańca, żeby się przewrócił, a potem kopnąć go w twarz tak mocno, żeby poleciała mu krew z nosa...

Boże! Co ją napadło?

Zamrugła powiekami i szybko się rozejrzała. Wyludniona ulica. Nikt nie śledził jej spojrzeniem i nie zaciskał dłoni w pięść. Nikt nie podniósł pejcza. Nikt nie uśmiechnął się krzywo, z ręką na kaburze. W zasięgu jej wzroku był tylko mężczyzna, który właśnie uniknął krwawienia z nosa, jego żona i starsza kobieta, która chwiejnym krokiem dreptała koło kościoła. Nikt więc nie widział jej nagłej eksplozji gniewu, nikogo prócz niej nie oślepił jej blask, wystarczy, że przez chwilę postoi nieruchomo, żeby odzyskać wzrok i uspokoić serce.

Else nauczyła ją nazw różnych doznań. Ale po norwesku. Wiedziała, co to znaczy *skuffet, utmattet i nedslått, at føle sorg i at hate, at vare sulten i ha smerter*, wiedziała nawet, co znaczy *at vare fornöyd*⁶, ale prawie zapomniała, co teraz czuje. To było uczucie z dzieciństwa. Ogarniało ją wtedy, kiedy płaczliwość Didiego doprowadzała ją do szału, kiedy strasznie ją irytowały ciągle upomnienia i wymagania taty i kiedy Anusza, ta zmora, raz po raz mocno ciągnęła ją za włosy. W końcu ją uderzyła. Usłyszała „cmok” i Anusza siedziała na bruku podwórza i beczała. Dobrze jej tak! Dostała nauczkę, żeby nie drażnić Maliki.

Zatrzymała się, mimo że Nippon ciągnął smycz, bo chciał podejść do niezwykle pachnącej kępki trawy. Gniew? Czy naprawdę poczuła gniew? Była zła? Naprawdę zła? Pierwszy raz od przeszło ośmiu lat? Tak! Wspomnienia przyfrunęły jak stado czarnych wron i krzyczały: „Tak! Tak! Tak!”. Była zła. Rozjuszona! Wściekła! I miała powód, żeby być wściekła! Była wściekła na Niemcy i Niemców, na tych cholernych policjantów z kripo, którzy siłą zabrali ją z domu, na tatę, który nie potrafił obronić ani jej, ani Didiego, na przekłętę zakonnice z ich wiecznym duchem Jezusa i wiecznym wymierzaniem policzków, na tego starucha, który wcisnął się obok niej w pociąg do Auschwitz i nie chciał dać jej i Didiemu kawałka chleba, bo, jak podobno słyszał, byli Cyganami, a on nie lubił Cyganów, na widma w pasiakach, które zmusiły ją do wyskoczenia z pociągu z Didim na rękach, mimo że było bardzo wysoko, na ubranych na czarno sukinsynów z trupimi czaszkami na czapkach, którzy zaprowadzili ich do obozu cygańskiego, na wredne babsko z Rumunii, które chciało ukraść Didiemu zupę, na naiwnych Żydów, którzy maszerowali za drutami, nie rozumiejąc, że idą do komory gazowej, na doktora Mengele, który, pusząc się jak paw, przychodził do obozu cygańskiego i rozdawał cukierki swoim małym królikom doświadczalnym, żeby potem traktować je trucizną i skalpelem, na cholerne czeskie komunistki, które w pociągu do Ravensbrück nazwały ją brudną Cyganką, na podłe nadzorkynie, na te aspołeczne, na muzulmanów, którzy snuli się po obozie, dając do zrozumienia, że lepiej jest umrzeć, że nie ma nic gorszego, niż żyć dalej, na Else, która umarła, ale nie rozpostarła czarnych anielskich skrzydeł i nie posłała strumienia ognia w swoich oprawców, na Lykke, która zawlekła ją do pociągu widma, na kobietę z Czerwonego Krzyża, która wyciągnęła ją ze stanu błogiej nieświadomości, wmuszając w nią kleik, kleik, kleik, i na Hannę, koszmarną babę, która uratowała jej życie, zabrała do Jönköpingu i zmusiła do dalszych kłamstw, żeby w ogóle mogła żyć! Oczywiście, że została zmuszona! Bo kim by była, gdyby nie kłamała? Jak wyglądałoby jej życie? Jak w Ravensbrück, jak w Auschwitz, z tą tylko różnicą, że przepędzano by ją z miejsca na miejsca, z miasta do miasta, ze wsi do wsi. Tak nie mogłaby żyć. Ale jak wytrwa w kłamstwie do

końca swoich dni?

Nippon mocno pociągnął smycz. Przez sekundę myślała, że się przewróci. Wyprostowała plecy i poszła za nim na trawnik. Miała to w nosie. Nawet gdyby ci śmieszni mieszkańcy Jönköpingu uważali, że za chodzenie po trawniku grozi kara śmierci. Niech no tylko spróbują ją powstrzymać! Wtedy zmieni się w Malikę z odpowiednio dużą domieszką Miriam i pokaże im, ile szwedzkich przekleństw sobie przyswoiła, mimo że nigdy nie użyła ich w praktyce. Bo Cyganie byli niezwykle uzdolnieni językowo. Tak przeczytała w *Nordisk familjebok*, więc to na pewno prawda. Na *Nordisk familjebok* też była wściekła, zwłaszcza na tych starych pierdzieli, którzy napisali pod literą Z: „Pod względem cech charakterologicznych Cyganów uważa się obecnie raczej za leniwych, kłamliwych i mściwych, aniżeli płaszczących się i natrętnych, które to cechy są naturalnym następstwem ich wędrownego trybu życia, a w większej mierze ich losu, że wszędzie stanowią przedmiot odrazy i pogardy”. Starych pierdzieli, którzy twierdzili, że Cyganie nie chcą mieszkać w domach, że wręcz tęsknią za włóczęgiem po drogach! Którzy twierdzili, że Cyganie nie potrafią się czerwienić, czyli – w podtekście – nie odczuwają wstydu! Którzy twierdzili, że cygańskie dzieci wysyłano, żeby kraść! Ale nie jest prawdą, jakoby kraśli cudze dzieci. Kurwa mać! Wielkie dzięki!

Czy nie mieszkała w domu, kiedy była Romką?

Mieszkała.

Czy nie wiedziała, co to wstyd, kiedy była dzieckiem?

Wiedziała.

Nie potrafiła się czerwienić?

Potrafiła.

Czy kiedykolwiek wysłano ją, żeby kraść?

Nie.

Czy kiedykolwiek cokolwiek ukradła?

Nie. A... tak. Wydłubała kawałeczek chleba z rąk nieprzytomnej dziewczynki w Auschwitz, żeby nakarmić nim Didiego. Z marnym skutkiem. Wtedy nie mógł już jeść i sama go zjadła. Trzy kęsy czarnego chleba z trocinami. Tyle ukradła w całym swoim życiu.

Czy była leniwa, mściwa i kłamliwa?

Leniwa nie. Mściwa chyba nie. A...

Szczelina chłodu z siorbnięciem wessała gniew, a jego miejsce chciał zająć

wzbierający w niej płacz. Przeraziła się. Nie wolno jej płakać! To absolutnie wykluczone! Nie może być smutna, nie może wyglądać na zmartwioną, nie może się załamywać i dopuścić do tego, żeby zawładnęły nią wspomnienia. Tak powiedziała Hanna... Może nie powiedziała tego wprost, ale dała jej to do zrozumienia. Rozpamiętywanie przeszłości nie wyjdzie jej na dobre. Przeciwnie. Hanna chciała, żeby Miriam zapomniała o tym, co było, i skoncentrowała się na przyszłości. Powinna odzyskać wszystko, co straciła podczas wojny, powinna odbudować swoje zdrowie, nauczyć się prowadzenia domu i otrzymać porządne podstawowe wykształcenie. Zdobyć stosowny ekwipunek. A najważniejsza jego część to dziarska mina, proste plecy i uprzejmy, pełen nadziei, wyczekujący wyraz twarzy. Nie mogła sobie pozwolić na żadne emocjonalne burze.

Pochyliła się, wzięła Nippona na rękę, przytuliła do siebie i zanurzyła twarz w jego sierści. Wiercił się, nie chciał jej pieścizot, ale po chwili się uspokoił i polizał ją po szyi. Jego szorstki język przyprawił ją o dreszcz, a dreszcz wywołał śmiech. Niebezpieczeństwo minęło.

Postawiła go na trawie.

– Chodź, staruszk, pójdziemy teraz na baaaaardzo długi spacer – powiedziała najbardziej perfekcyjnym szwedzkim.

Teraz była Miriam. Tylko Miriam. Wyłącznie Miriam.

Kiedy wrócili do domu, Nippon był półżywy ze zmęczenia. Ledwie weszli na klatkę, położył się na marmurowej posadzce, ani myślał się podnieść i posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie. Jak może od niego wymagać, żeby się wdrapał na drugie piętro? Przeciągnęła go przez całe miasto, od kościoła św. Zofii aż do Slottskyrkogården, potem przez Västra Storgatan i Östra Storgatan do Hovrättstorget, a z powrotem przez Södra Strandgatan i Slottsbron. Przecież on jest tylko pekińczykiem. Bardzo małym pekińczykiem, z bardzo krótkimi łapkami. I teraz nie ruszy się z miejsca. Za nic. Będzie tu leżał, z brzuchem na chłodnym marmurze, dopóki nie umrze. No, chyba że Miriam weźmie go na rękę i zanieś w ciepłych objęciach pod drzwi Hanny. Wtedy ewentualnie sam się doczłapie do swojego nieskończenie wygodnego kosza i zwinie w kłębek na miękkiej poduszce. Zamrugął. Czy byłaby skłonna wyświadczyć mu tę drobną przysługę?

Miriam zachichotała i wzięła go na rękę. Nigdy nie sądziła, że potrafi zrozumieć psa. Psy, które spotykała... Stop! Tak nie wolno jej myśleć. Wolno jej myśleć tylko o tym, co tu i teraz. O Nipponie, który się przekręcił na grzbiet w jej ramionach. O tym, jak słodko ziewnął. O tym, że musi dać mu wody, kiedy tylko wejdą do mieszkania.

W kamienicy wciąż panowała głucha cisza. Może rzeczywiście prócz niej

nie było nikogo. Nigdzie nie grało radio. Żadne obcasy nie stukały o żadną podłogę. Nikt z nikim nie rozmawiał. Po prostu było cicho. Miasto też było wyludnione. Żadnych otwartych sklepów, żadnych otwartych kawiarni, wszystkie kina zamknięte na lato. Na długim spacerze widziała bodaj sześć osób. Brzuchatego mężczyznę w garniturze i o lasce. Młodą kobietę z wózkami. Dwie dziewczyny idące pod rękę na Storgatan. I dwóch młodych mężczyzn siedzących na ławce na Hovrättstorget. Mieli kraciaste koszule, identyczne jak te typy sprzed trafiki, nie była jednak pewna, czy to oni. Poza tym pilnowała się, żeby się im zanadto nie przyglądać, szybko ich minęła, trzymając się skraju placu. Ciężarówka nie zauważyła. Śledzili ją wzrokiem, czuła to, ale nic za nią nie wołali. Tak czy inaczej, musi odtąd pamiętać, żeby nie wychodzić z domu bez kapelusza i rękawiczek. To najlepszy sposób, żeby wzięli ją za panienkę z dobrej rodziny. Uchodźczynię, ale z dobrej rodziny. Nikt nigdy niczego nie wykrzykiwał za dziewczętami z dobrej rodziny. Ani ich nie prześladował. Oczywiście, nie licząc oprawców w obozach koncentracyjnych.

Postawiła Nippona w kuchni i nalała mu wody do miski. Pił głośno dużymi łykami, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Stała ze ścierką w pogotowiu. Hanna nie lubiła plam na linoleum. Nie dlatego, że podłoga mogłaby się zniszczyć, tylko dlatego, że wyglądało to niechlujnie. A Hanna nie lubiła, kiedy coś wyglądało niechlujnie.

Nippon podreptał do kosza i zwinął się w kłębek. Miriam stała pośrodku kuchni. Co teraz? Wczoraj odkurzyła odkurzaczem całe mieszkanie. Dzisiaj rano starła kurze ze wszystkich mebli i z każdej ozdóbki. Wyniosła śmieci. Uprała bieliznę osobistą Hanny i swoją. W różnych pojemnikach i w różnych wodach. To była jej tajemnica. Gdyby się wydało, że używa różnych pojemników, mogłaby zostać zdemaskowana, chociaż ryzyko, że ktoś potrafiłby to właściwie zinterpretować, było minimalne. Nigdy nie robiła prania, kiedy Hanna była w domu. I nikt w tym kraju raczej nie miał pojęcia, jak żyją i jak myślą Romowie. Jedyne, co wiedział, to tyle, że nie chce tutaj żadnych Romów. Istniało takie prawo, które zakazywało Romom wjazdu do Szwecji. Wszystkim Romom. Nawet tym, którzy cudem uniknęli komór gazowych...

Nie. Tylko nie to. Nie wałkować przeszłości. Zjeść kanapkę i wypić szklankę mleka. Odrobić lekcje. Zachowywać się jak prawdziwa Szwedka.

A więc kanapka.

W środku nocy obudził ją krzyk.

Najpierw udawała, że śpi, nie miała odwagi się poruszyć, leżała na boku z dłońmi między kolanami. Uchyliła powieki i bardzo ostrożnie się rozejrzała. Brudnoszare światło. Tapeta w pączki żółtych róż. Czerwona pikowana kołdra. Odetchnęła. To nie był barak w Auschwitz ani w Ravensbrück. To był pokój służącej w Jönköpingu, służbówka, którą Hanna poleciła wytapetować tapetą w pąki róż, żeby sprawić jej radość.

Jestem wdzięczna, pomyślała. Naprawdę. Nigdy tego nie zapomnę.

Była dopiero druga w nocy, ale słońce już wzeszło. Może ledwie zdążyło zająć. W niektórych częściach tego kraju latem w ogóle nie zachodziło. Dzień polarny. Przeczytała o tym w podręczniku do geografii. A zimą nigdy nie wschodziło i przez wiele miesięcy bez przerwy była noc. Okropne.

Usiadła, przetarła oczy i nie mogła opędzić się od pytania: Czyj krzyk ją obudził?

– Nie udawaj – powiedziała głośno do siebie. – Dobrze wiesz, kto krzyczał.

Sen zabrał ją do Ravensbrück. A konkretnie do przekłętego pociągu z Auschwitz do Ravensbrück. Nie pamiętała dokładnie, co jej się śniło, nie chciała pamiętać, ale pozostał nastrój. Strach. Ciężar.

Brr! Nie chciała myśleć o tamtym dniu. Teraz wszystko było dobrze, wszystko nareszcie było tak dobrze, że nie mogło być lepiej. Przeszłość została daleko. Upłynęły trzy lata i dwa miesiące, kiedy pociąg widmo zabrał ją z Niemiec. Prawie trzy lata temu przyjechała do Jönköpingu. Dwa lata temu Hanna poleciła wytapetować jej pokój. Rok temu dostała nową sukienkę i została zaproszona na ślub w Nässjö, jakby była zwyczajną dziewczyną i oczywistym członkiem rodziny Adolfssonów. A zaledwie dobę temu Hanna wyjechała, pozwalając jej zostać samej w domu. Wszystko było po jej myśli, tak jak chciała. Długo tęskniła za samotnością. Wyobrażała sobie błogi spokój, kiedy nareszcie będzie sama. Pragnęła kilku samotnych dni, podczas których znowu będzie mogła być sobą. A nie była nią od dawna.

No i ma ten swój spokój. Poczucie opuszczenia. Lęk. Koszmarne sny.

Cicho poszła do kuchni i naląła sobie wody. Pijąc, zauważyła, że kosz Nippona jest pusty. Zadławiła się z przerażenia, ale kaszląc, przypomniała sobie, że przecież przydreptał do jej pokoju, zaraz kiedy się położyła. Odstawiła szklankę, pospieszyła do służbówki, uklękła i zajrzała pod łóżko. Uff! Zobaczyła jego zarys pod ścianą. Spał. Ulga była równie wielka jak strach zaledwie minutę wcześniej, tak wielka, że nie była w stanie się podnieść, tylko usiadła na podłodze z kolanami pod brodą i objęła je rękoma.

Niedobrze. Nie potrafiła przebywać wśród ludzi i nie potrafiła być sama. Coś z nią nie tak. Czy zaczyna popadać w obłęd? Jak ta kobieta na rampie w Auschwitz...

Kobiety z obozu cygańskiego przyszły na rampę ostatnie. Kolumny Żydówek, Polek i Czeszek już tam stały. Tylko kilka mogło mieć przeszło trzydzieści lat, inne były bardzo młode. Wszystkie chude i kościste, wszystkie o szarych twarzach, z czarnymi obwódkami głodu pod oczami. Wciąż dyszały po długim marszu z Auschwitz II do Auschwitz I, a mimo to wydawały się zdrowsze i silniejsze niż większość więźniarek. Może zatem była nadzieja, że tym razem Niemcy mówili prawdę. Może rzeczywiście zostaną wysłane do obozu pracy na zachód. Może kilka z nich nawet przeżyje...

Kolumna złożona z siedemdziesięciu dziewięciu Cyganek maszerowała w bardzo dobrym porządku. Już w Birkenau złapały rytm, lewa – prawa, lewa – prawa, wszystkie nagle stały się jednością, szły naprzód we wczesnoporannej mżawce, nie odzywając się do siebie ani słowem, zatopione w pulsie marszu. Któraś może cicho płakała, któraś może się trochę kręciła, żeby się pozbyć świądu na plecach, tego piekielnego swędzenia dokuczającego wszystkim, które tylko te najzdrowsze usiłowały uśmierzyć drapaniem, któraś może mimo zakazu wsunęła dłonie w rękawy obozowej sukienki, ale żadna nie wypadła z rytmu. Maszerowały, dlatego że esesmani kazali im maszerować. Patrzyły przed siebie, dlatego że SS tak chciało. Mijając rampę Birkenau, domyślały się, że kolejna grupa nowo przybyłych ustawia się do selekcji, ale na nie nie spojrzały, żadna nie potrafiła im współczuć. Już nie było w nich współczucia. One tylko maszerowały.

– *Halt!*

Gdyby oficer SS wrzaskiem nie wydał komendy, maszerowałyby prosto przed siebie, roztrącając Polki, Czeszki i młode Żydówki, doszłyby do końca rampy i maszerowałyby dalej, przez łozy, chaszczce i rowy, przez pola i łąki, przez góry i doliny, miasta i wioski, jeziora i bagna, w tym samym rytmie i tym samym szyku, po pięć, z prostymi plecami i ramionami wzdłuż ciała. Ale wrzasnął, więc się zatrzymały, zrobiły trzy kroki w miejscu i zastygły w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Pamięta, że zdumiała ją ta niewyobrażalna dyscyplina, a chwilę później zdumiało ją jej zdumienie. Nie przypuszczała, że cokolwiek może ją zdumieć. Nie przypuszczała, że może cokolwiek czuć. Polki i Czeszki stały wyprostowane i nieruchome i na świecie zapanowała kompletna cisza. Cisza kobiet na rampie, milczenie esesmanów, spokój w obozie. Ale trwało to zaledwie sekundę albo dwie. Nagle dał się słyszeć zgrzyt i stukot pięciu bydlęcych wagonów, popychanych przez sapiący parowóz. Przez moment wszystkie wciąż patrzyły przed siebie, potem całą grupę przeszedł dreszcz i dyscyplina nieco się rozluźniła. Żadna

już nie stała prosto, czterysta kobiet zgarbiło się i odwróciło głowy w stronę pociągu, czterysta kobiet przywoływało wspomnienia i cicho pojękiwało. Wagony były takie małe! Mniejsze od tych, które ich tu kiedyś przywiozły. Ile z nich przeżyje tę podróż? Ile się udusi? Ile zostanie stratowanych?

Nie ja, pomyślała i jednocześnie zdziwiła ją ta myśl. A dlaczego nie ona? Didi już nie żył. Nie żył od sześciu dni. Dlaczego ona miałaby żyć?

Wtem rozległ się dźwięk, pochodzący nie wiadomo skąd, jakby jedna z kobiet zaczęła śpiewać, potem jej głos pękł i przeszedł w nieartykułowane wycie: „Uauauaoooh! Uauauaoooh! Uauauaoooh!”. W kolumnie z przodu zrobił się ruch, nie było widać, która tak krzyczy i nie zamierza się uspokoić. Wszystkie ogarnęła niepewność. Czy mają się przyłączyć? Czy powinny się zjednoczyć w wielkim wspólnym krzyku sprzeciwu? W tym momencie strażnicy SS podnieśli broń, zaszczekał pies, natychmiast zawtórowały mu trzy inne i po ich niepewności nie było śladu; wszystkie plecy się wyprostowały, wszystkie spojrzenia skierowały się w dal. Ktoś wystrzelił bardzo długą serię w przód kolumny, ale krzyk nie umilkł, stał się piskliwszy, i w sekundę później z rampy spadła zakrwawiona kobieta. Upadła na kolana w małą przestrzeń obok wagonu, od razu próbowała się dźwignąć, wczepiała się dłońmi w cement rampy i wyła: „Uauauaoooh! Uauauaoooh! Uauauaoooh!”. Jej usta przypominały czarną dziurę, jej pasiasta sukienka była coraz czerwieńsza na ramionach, gdzieś tam wydawała się niemal czarna, a mimo to kobieta nie przestawała krzyczeć.

– Uauauaoooh! Uauauaoooh! Uauauaoooh!

– Strzelać, do cholery! – ryknął dowódca.

Trzech podwładnych natychmiast wykonało rozkaz. Zaterkotały trzy długie serie i krzyk umilkł.

Kiedy miały wsiadać, powstał chaos. Być może z powodu tej obłąkanej Żydówki. Ledwie rozsunęły się drzwi, nienaganne kolumny w kilka sekund się rozsypały, ujadły psy, wrzeszczeli esesmani, kobiety popychały się i tłoczyły, szturchały jedna drugą kolanami, wbijały łokcie w podbrzusza współwięźniarek, szczypały te, którym udało się precyzyjnie bliżej wagonów, i drapały te, które już stały w drzwiach, jęczały, klęły i krzyczały.

Miriam miała szczęście. Była druga od lewej w drugim rzędzie w kolumnie Cyganek i znalazła się dokładnie na wprost rozsuniętych drzwi czwartego wagonu. Umiała się rozpychać jak nikt, świetnie sobie radziła, przedzierając się przez napierający tłum, miała dość sił, żeby wcisnąć się do środka jako trzecia, była na tyle bystra, żeby się błyskawicznie rozejrzeć i błyskawicznie wybrać lewy róg, tuż obok beczki z wodą, gdzie była mała belka, na której mogła stanąć, gdyby ścisk okazał się nie do zniesienia. Zanurzyła stulone

dłonie w wodzie, wypła kilka łyków i przykucnęła, patrząc na kłębiące się kobiety. Przeważnie Polki i Czeszki. Miały czerwone trójkąty z dużym P albo T. I Żydówki, z żółtą gwiazdą. Zaledwie kilkanaście miało brązowe trójkąty, jak ona. Widocznie większość Cyganek wtłoczyła się do innych wagonów. Nie brakowało jej ich towarzystwa. Nic jej nie obchodziły. Nie miała już nikogo, ani przyjaciół, ani rodziny. Była sama. Sama sobie.

Od śmierci Didiego upłynęło sześć dni i przez te sześć dni trwała w odrętwieniu, nieobecna duchem i ciałem, była nikim, jakby przestała istnieć. Otworzyła usta tylko dwa razy, kiedy wybrano ją do transportu do Ravensbrück. Podała swój numer, odpowiedziała „tak” na jedno pytanie, i to wszystko. Gdyby nie transport, zostałyby muzułmanką, jednym z tych stworzeń, które głodowały tak długo, że umarły za życia. A może już była muzułmanką?

Inne kobiety tłoczyły się, rozpychały i krzyczały, ale nie wiedziała, co krzyczą, bo nie znała polskiego, czeskiego i jidysz, a niemieckiego ani romskiego nie słyszała. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Ale ścisk miał. Wagon tak się zapełnił, że żadna nie mogła usiąść, o położeniu się na podłodze, rzecz jasna, nie było mowy, a mimo to esesmani, nie żałując pałek, robili wszystko, żeby upchnąć ich więcej, jak najwięcej. Weszła na belkę. Przed nią stały trzy młode Czeszki, ciasno przywierając głowami i ramionami do jej brzucha i ud. I bardzo dobrze. Trzymały ją. Była dwadzieścia centymetrów wyżej od innych, dzięki czemu miała więcej powietrza. Poza tym zachomikowała kawałek chleba. Jeśli podróż nie potrwa dłużej niż trzy dni, powinna przeżyć. Może nie będzie w najlepszej formie, ale powinna przeżyć.

Esesman stojący przy drzwiach ryknął i wepchnął do wagonu ostatnią pasażerkę. Ciekła jej krew z nosa, chwyciła obiema rękami za sukienkę współwięźniarki i wczepiła się w jej plecy. Może i ona myślała, że jada do obozu pracy. Coś ją bolało, bo się wykrzywiła, ale najwyraźniej chciała przeżyć. Za wszelką cenę. Esesman pchnął ją jeszcze raz, zaklął, cofnął się i zasunął drzwi. Ciemność. Tylko przez małe wietrzniki, po trzy z dwóch stron, sączyło się siwe światło brzasku. Pociągiem zatrzęsło, kobietami też i wagon powoli ruszył.

Był lipiec, ale przy odrobinie szczęścia może się utrzyma pochmurna pogoda i nie przyjdą upały. Może nawet spadną przelotne ulewne deszcze. Zamknęła oczy i zwróciła się z prośbą do Jezusa sióstr z klasztoru: „Proszę o deszcz! O nic innego nie proszę. Proszę tylko o złą pogodę”. Potem, nie otwierając oczu, postanowiła nie istnieć, dopóki nie dotrą na miejsce. Będzie stać w rogu wagonu, milczeć i oddychać.

Kobiety stopniowo cichły. Przyciśnięte do siebie plecami albo brzuchami,

kołysały się w rytm ruchu pociągu. Nie groził im upadek, było zbyt tłoczno. Niektóre zadarły głowy i wdychały chłodne, kwaskowate powietrze wpadające przez wietrzniki, inne utkwily wzrok gdzieś w dali, któraś zamknęła zapadnięte oczy i próbowała zasnąć. Jakby żadnej z nich tam nie było, jakby przestały istnieć, jakby wszystkie były w innym świecie i jakby ten wagon i ten pociąg, i ta podróż były tylko koszmarem.

Być może to smród zmałił ich spokój. Smród kupy. Poczula go natychmiast i usłyszała plusk, kiedy któraś zmogła biegunka głodowa. Inne też usłyszały. Zrobił się ruch, jedna coś zawołała, druga któraś popchnęła, trzecia apelowała o rozwagę, czwarta odkrzyknęła coś ostrym cienkim głosem i sekundę później wywiązała się bójka, jeśli w tych warunkach można to było nazwać bójką. Szarpały się i drapały, zdierały sobie białe chustki, ciągnęły się za włosy, wyły z nienawiści i gryzły. Jakaś półysa kobieta zadrapała drugą w policzek, inna, bardzo wysoka i chuda, wbiła zęby w kark sąsiadki. Smród się nasilił, bo ugryzione i gryzące już nie wstrzymywały biegunki, podobnie jak te, które zalęknione przyciskały się do ścian.

Nagle jakaś Romka zaczęła, co dziwne, wzywać Boga.

– *Devel! Devel! Devel!*

Po chwili któraś krzyknęła „halt!” i w niespełna sekundę wszystkie zamarły, ale kiedy do nich dotarło, że nie krzyczy esesman, tylko jedna z nich, znów zaczęły gryźć i drapać.

Kobieta nie dała za wygraną.

– *Halt! Halt! Halt!*

Była chuda jak inne, niezbyt wysoka, ale jej przenikliwy głos, zgrzytliwy i zachrypnięty, skupił uwagę wszystkich. Malika zobaczyła, że kobiety w jej najbliższym otoczeniu przestały się bić, kilka przesunęło dłoń po głowie, żeby sprawdzić, czy chustka jest na właściwym miejscu, i ich nagłe otrzeźwienie powoli udzielało się innym. Ta, która przed chwilą wbiła zęby w kark sąsiadki, spieszyła się, podniosła głowę i otarła usta, jakby chciała wymazać z pamięci to, co zrobiła. A ugryziona położyła dłoń na karku, rozejrzała się ze zdziwieniem i poniechała wszelkich ataków.

Zachrypnięta kobieta zaczęła mówić, zapewne po czesku, i mówiła długo. Chyba je besztala. Te, które ją rozumiały, zawstydziły się, inne przełykały złość. Żadna nie zaprotestowała. Wyglądało na to, że wszystkie Czeszki jej słuchają. Żydówki były lekko wystraszone. Romki zbiły się w grupkę po prawej stronie. Jedna objęła ramieniem dziewczynę, która przed chwilą wzywała Boga, a teraz stała cicho i zamknęła oczy. Kiedy zachrypnięta kobieta skończyła, rozejrzała się, przesunęła wzrokiem po Romkach, przez

chwilę zatrzymała go na Malice i spojrzała na zawstydzone Czeszki. Panowała kompletna cisza. Żadna się nie poruszyła i żadna na nią nie patrzyła. Coś tam jeszcze wymruczała, wszystko jedno co, Malika zamknęła oczy. Nogi zaczynały ją boleć, ale wiedziała, że jeśli zejdzie z belki, nie będzie lepiej. Niżej smród będzie bardziej dotkliwy.

Nie istnieć. To jedyne wyjście. Oprzeć głowę o ścianę. Słuchać stukotu kół. Ostro mówić do siebie. *Stuk*. Zamknij oczy. *Stuk*. Ból głowy się nasila. *Stuk*. Od tego się nie umiera. *Stuk*. Fantazuj! *Stuk*. O czym? *Stuk*. Obiad przy obficie zastawionym stole. *Stuk*. Kolacja wigilijna u zakonnic. *Stuk*. Lizak, który kupił tata. *Stuk*. Tak! Lizak, którym podzieliła się z Didim. *Stuk*. Nie. Nie myśleć o Didim. *Stuk*. Od tego można umrzeć. *Stuk*. Nie ma innego świata oprócz tego. *Stuk*. Ziemia zginęła. *Stuk*. Dlatego nie można o niej fantazjować. *Stuk*. Ktoś włożył mi na czoło żelazną obręcz. *Stuk*. I co z tego? *Stuk*. Przecież już jesteś martwa. *Stuk*. To dlaczego czuję, jak obręcz się zaciska? *Stuk*. Jak wrzyna się w czoło? *Stuk*. Jak miażdży mi kości? *Stuk*. Jak malusieńkie odpryski wciskają się do oczu? *Stuk*. Nie przejmuj się tym. *Stuk*. Jak się nie przejmować, że mózg ze mnie wypływa? *Stuk*. Że spływa mi po twarzy? *Stuk*. To przywidzenia. *Stuk*. Pomyśl, że odpoczywasz. *Stuk*. Nikt nie każe ci kopać rowów. *Stuk*. Nikt nie zmusza cię do dźwigania ciężkich worków z ziemią. *Stuk*. Ale mi niedobrze! *Stuk*. A co myślałaś? *Stuk*. Że będzie ci dobrze? *Stuk*. I kręci mi się w głowie. *Stuk*. Zaraz zwymiotuję. *Stuk*. A czym ty możesz zwymiotować? *Stuk*. Niczym. *Stuk*. No właśnie. *Stuk*. Zjedz kawałek chleba. *Stuk*. Malutki kawałek. *Stuk*. A jeśli ktoś zobaczy? *Stuk*. Nikt nie zobaczy. *Stuk*. Wyczuwam chleb opuszkami palców. *Stuk*. Jest szorstki. *Stuk*. Tak! Chleb! *Stuk*. Tylko okruszek. *Stuk*. Ułamię go w kieszeni. *Stuk*. Ostrożnie! *Stuk*. Trzymam go w dwóch palcach. *Stuk*. Dobrze. *Stuk*. Podnieś go do ust. *Stuk*. Poliz szorstką powierzchnię. *Stuk*. Jedz! *Stuk*.

Po kilku dniach czternaście razy przeczytała w podręczniku do historii rozdział o Gustawie Wazie i umiała go na pamięć. Odsunęła książkę i głośno wyrecytowała tekst, od pierwszej do ostatniej linijki. Na wszelki wypadek nauczyła się trzech linijek pod portretem króla. Przez kilka minut siedziała nieruchomo, patrząc w okno. Zaczęło padać, ale powinna wyjść z Nipponem na jego drugi spacer tego dnia. Potem powinna coś zjeść. Hanna powiedziała, że trzeba jeść co najmniej trzy razy dziennie. Inaczej nabawi się niedożywienia. A ponieważ przez kilka lat cierpiała głód, nie skończyłoby się to dla niej dobrze.

Miriam wstała z cichym westchnieniem. Nippon ziewnął i przeciągnął się. Może nie postąpiła najlepiej, biorąc go tej nocy do łóżka, bo Hannie na pewno by się to nie spodobało, ale jego miękka sierść i przyjemne ciepło dodały jej otuchy i odegnały złe sny. Spała głębiej i dłużej niż kiedykolwiek przedtem i obudziła się z lekkim uśmiechem. Początkowo nie bardzo wiedziała, skąd to miłe uczucie odprężenia i zadowolenia, dopiero po chwili dotarło do niej, że po prostu się wyspała. Naprawdę się wyspała. I zapragnęła rozciągnąć czas, żeby szepnąć swojemu obozowemu ja, że nadejdzie taki dzień, kiedy nie będzie marzła, nie będzie miała mdłości ani bólów głowy i nie będzie śmiertelnie zmęczona po przebudzeniu, dzień, w którym otworzy oczy w pokoju z pąkami żółtych róż na ścianach i milusim pekińczykiem tuż obok, dzień, w którym będzie wiedziała, że w kuchni za ścianą jest chleb i marmolada, ser i jajka i że nikt, absolutnie nikt, nie zabroni jej jeść. I stop. Nie chciała myśleć o swoim obozowym ja.

W kuchni, zanim zrobiła kawę, włączyła radio. Kiedy popłynął ku niej żwawy marsz, spojrzała na zegarek. Jedenasta. Nigdy dotąd tak długo nie spała. No cóż. To bez znaczenia. Przecież jest sama i może robić, co jej się żywnie podoba. Może długo jeść śniadanie. Potem się umyć. Potem powoli się ubrać. Potem otworzyć okno w swoim pokoju i w kuchni, żeby się wywietrzyło, mimo że będzie przeciąg, i wyjść z psem.

Kiedy kilka godzin później wyszła z Nipponem na spacer, w mieście wciąż panowała cisza i spokój. Zatrzymała się tuż za drzwiami i przez chwilę wsłuchiwała się w tę ciszę. Dziwne, przecież skończył się midsommar. W oddali zamruczał silnik samochodu, ale wkrótce umilkł. Przez kilka sekund bawiła się myślą, że wszyscy zostali zmieceni z powierzchni ziemi i ona, i Nippon są jedynymi stworzeniami, które przeżyły. Potem wyprostowała plecy i odsunęła tę myśl. Bzdura. To oczywiste, że ludzie i psy nadal istnieją i bez wątplenia są gdzieś w pobliżu. Dlatego będzie lepiej, jeśli nie pozwoli Nipponowi zrobić kupy na trawniku przed kościołem. Pójdą trochę dalej, mimo mżawki.

Ledwie stanęła przed drzwiami mieszkania i włożyła klucz do zamka,

usłyszała dzwonek telefonu. Zanim weszła do salonu i podniosła słuchawkę, odezwał się jeszcze trzy razy.

Usłyszała obcy głos:

– Będzie rozmowa z Mariefred. Łączę.

– Ach – powiedziała Hanna. – Co za szczęście! Myślałam, że coś się stało.

Miriam zamrugła oczami.

– Coś się stało?

– Tak. Długo nie odbierałaś.

– Właśnie wróciłam z Nipponem. Byliśmy na spacerze.

Hanna westchnęła.

– Ach. Co za ulga. Bałam się, że spotkało cię coś złego podczas zamieszek.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Podczas zamieszek. Zamieszki, zajścia uliczne.

– Jakie zajścia uliczne?

– Przed chwilą Asta zadzwoniła do Egona i powiedziała, że wczoraj wieczorem w Jönköpingu doszło do zamieszek, do poważnych zajść ulicznych, w których brało udział mnóstwo ludzi.

Miriam skrzywiła się.

– Nie było żadnych zajść. Przeciwnie. Jönköping wygląda jak wyludnione miasto. Chwilę temu tam byłam i nie spotkałam ani jednego człowieka. A, przepraszam, jednego.

– Hm. – Hanna zrobiła pauzę retoryczną. – Jesteś pewna?

– Całkowicie.

– A wczoraj wieczorem?

– Tak samo. Tyle że wczoraj wieczorem byliśmy na krótkim spacerze. Na dłuższy poszliśmy po południu. I było tak samo. Bardzo spokojnie.

Hanna milczała przez moment.

– Dziwne. Przed chwilą Asta zadzwoniła do Egona i powiedziała, że były poważne zamieszki we wschodniej części miasta...

Miriam nagle poczuła się winna. Jakby kłamała w żywe oczy. Przypomniała sobie o ciężarówce... Tak. Może skłamała. Lepiej mówić prawdę.

– Ja nic nie widziałam. Daję słowo. Kilku typów prawie się pobiło przed sklepem mleczarskim w midsommarafton, ale do niczego nie doszło. Zniknęli. To było przed południem.

– Wierzę ci, skarbie. – W głosie Hanny dał się słyszeć uśmiech. – Nie niepokój się. Może Asta chce, żeby Egon jak najszybciej wrócił do domu. Takie, ech... damy miewają wybujałą wyobraźnię. Nie warto się tym przejmować.

– Tak.

– A jak ci idzie z Gustawem Wazą i z reformacją?

Miriam zapiekły policzki. Nie nauczyła się wszystkiego.

– Gustawa Wazę przerobiłam. Reformacji jeszcze nie. Uczyłam się, ale niedostatecznie...

– To się naucz.

– A u was wszystko dobrze?

– Tak, bardzo dobrze. – Uśmiech Hanny stał się jeszcze szerszy. – Fantastycznie. Posiadłość rodzinna Egona jest wspaniała, jego rodzina również. Tak. Było cudownie. Każda minuta była cudowna. Teraz jesteśmy w Mariefred w siedzibie Czerwonego Krzyża i też jest wspaniale. Chyba nie wrócimy jutro, jak planowaliśmy, bo Egon chce, żebyśmy poczekali do poniedziałku i wybrali się na wycieczkę do Sztokholmu. W takim wypadku zostalibyśmy do wtorku.

Oj. Może Hanna rzeczywiście złowiła Egona.

– Aha. Mam nadzieję, że dalej będzie równie przyjemnie – powiedziała Miriam swoim najbardziej neutralnym głosem.

– Na pewno. A jak ty stoisz z pieniędzmi? Poprosić brata, żeby do ciebie zajrzał i podrzucił ci dziesięć koron? Po południu będzie z Marianne w Jönköpingu.

Pieniądze? Nie potrzebowała pieniędzy. Jedzenia też nie potrzebowała. Ser, masło i chleb w spiżarni wystarczą jej na długo.

– Nie, dziękuję, nie trzeba.

– Dobrze, dobrze, na pewno trzeba. Olof wpadnie do ciebie po południu.

Miriam pochyliła głowę, jakby Hanna mogła zobaczyć, jak jest uległa.

– No, jeśli tak...

– Bądź w domu koło czwartej, skarbie. I uważaj na siebie!

Potem Miriam stała przez chwilę i patrzyła przed siebie. Jak brzmiały te nowe słowa?

Poszła do swojego pokoju i otworzyła słownik Akademii Szwedzkiej.

– Zamieszki – powiedziała na głos. – W Jönköpingu były zamieszki. Zajścia uliczne.

Mogę sobie w to wierzyć, ile mi się podoba, pomyślała i z trzaskiem zamknęła słownik.

Reformacja była, jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze nudniejsza niż Gustaw Waza. Przeczytała ten sam rozdział sześć razy i odsunęła podręcznik. Nie ma powodu do pośpiechu. Hanna wróci za parę dni. Zdąży się nauczyć na pamięć. Przeciągnęła się i popatrzyła na Nippona, który leżał w swoim koszu obok stołu.

– Jesteś głodny?

Pomerdał ogonem. Uznała, że to znaczy tak. Nippon zawsze był głodny. Rano i wieczorem, w dzień i w nocy. Za oknem chmury się rozproszyły i skrawki nieba zajaśniały intensywnym błękitem. Rzuciła okiem na zegarek. Za kwadrans czwarta. Niedługo przyjdzie Olof i może Marianne. Powinna nakarmić Nippona, a potem obejść mieszkanie i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy każda rzecz stoi na swoim miejscu i czy żaden pyłek nie opadł na lśniące powierzchnie od porannego odkurzania. Ale przede wszystkim powinna odnieść podręcznik do historii do swojego pokoju. Hanna nie lubiła, kiedy uczyła się w kuchni, mimo że tam było dużo widniej niż w słuźbówce, a kto wie, czy jej brat i bratowa nie myśleli tak. „Takoż”. Miriam uśmiechnęła się do siebie. Podobało jej się to słowo.

Widziała Olofa tylko trzy razy. Pierwszy raz w zeszłym roku na jego ślubie z Marianne. Gratulując nowożeńcom, złożyła tak głęboki ukłon, że oboje się roześmiali. No, tacy starzy chyba nie jesteśmy! Drugi raz w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, kiedy przyszedł z Marianne na lunch do Hanny. Wtedy tylko dygnęła, kiedy otworzyła im drzwi, i pospieszyła do kuchni na świąteczny posiłek. Nie mogła przeboleć, że nie wolno jej skosztować szynki, ale Hanna przestrzegła tego, żeby Miriam nie robiła nic, co stoi w sprzeczności z deklarowanym przez nią wyznaniem. Trzeci raz Olof pojawił się całkiem niespodziewanie pewnego niedzielного popołudnia i był bardzo poważny. On i Hanna siedzieli przez wiele godzin w salonie i rozmawiali przyciszonymi głosami.

Dzwonek. Miriam wyprostowała plecy i zanim otworzyła drzwi, rzuciła przelotne spojrzenie w lustro. Wyglądała schludnie. Bez dwóch zdań. Włosy starannie uczesane, czysta biała bluzka z krótkimi rękawkami i ładna

kwiecista spódniczka. Tak. Wyglądała prawie modnie. Jak szwedzka uczennica szkoły dla dziewcząt.

Olof, ledwie wszedł do holu, zamasyście zdjął kapelusz i wyciągnął rękę. Marianne z nim nie było.

– Dzień dobry, Miriam.

Powstrzymała się przed dygnięciem i po dorosłemu uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Dzień dobry.

Olof był przystojniejszą wersją swojej siostry. On wysoki, ona niska, on szczupły, ona – jak brzmiało to uprzejme określenie? – pełnych kształtów, on ciemny blondyn, ona kasztanowłosa. Mimo tych różnic pokrewieństwo było wyraźne. Może brało się to stąd, że Olof zachowywał się tak pewnie i naturalnie, jakby to mieszkanie było zdecydowanie bardziej jego niż Miriam.

Nie wyglądał na zadowolonego. Był poważny i trochę zmęczony.

– Czy mogę liczyć na małą kawę?

Miriam skinęła głową.

– Oczywiście. Proszę usiąść w salonie i...

Czy są ciastka? Czy jeszcze coś zostało, czy zbyt często rozpieszczała Nippona? I dlaczego, do licha, nie pomyślała, że Olof chciałby coś zjeść? Przecież mogła coś upiec. Na przykład ciasto marmurkowe. Pochwalił jej ciasto marmurkowe, kiedy był u nich ostatnio.

– E tam – powiedział, przesuwając dłonią po twarzy. – Usiądźmy w kuchni. W kuchni jest dużo widniej. Gdybym mógł wyżebrać kanapkę, byłbym bardzo wdzięczny.

Kiedy weszli do kuchni, zaspany Nippon wygramolił się z kosza, przeciągnął, przydreptał do Olofa, obwąchał go i zaakceptował jego obecność, kilka razy machając ogonem.

– Cześć, zdrańcu – powiedział Olof. – Żaden z ciebie stróż domu, prawda?

Miriam roześmiała się, ale natychmiast umilkła. Hanna powiedziała, że nie wypada śmiać się głośno. Prawdziwe damy nie śmieją się ani nie mówią głośno. Może z jednym wyjątkiem, dodała z lekkim westchnieniem. W sali lekcyjnej. Tam czasami trzeba podnieść głos. Niestety.

Olof spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

– Co w tym takiego śmiesznego?

Spąsowiała.

– Nie, nic. Tylko to słowo. Zas...

Nie. Nie potrafiła się przemóc, żeby je wymówić.

Olof uśmiechnął się szerzej.

– Zastraniec?

Kiwnęła głową, powstrzymując uśmiech.

Olof z westchnieniem usiadł przy kuchennym stole.

– Rany boskie! Hanna wychowuje cię w karności i w napominaniu Pańskim. Mam rację?

Ukroiła kromkę chleba i sięgnęła po masło w spizarce. „Cię”? Zwrócił się do niej per ty? Czy to znaczy, że ona też powinna go „tykać”? Nie udało jej się dojść do żadnego wniosku.

– Jest dla mnie bardzo miła – powiedziała.

Olof znów westchnął.

– Tak, wierzę. Hanna jest miła.

Miriam odwróciła się i napotkała jego spojrzenie.

– Tak. Miła i dobra.

Zaśmiał się.

– Dobra? Tak, może i tak...

Milczeli. Miriam starała się ukroić plasterk zółtego sera, co nie było takie proste. Olof siedział nieruchomo przy stole i patrzył na nią. No! Nareszcie! Położyła kanapkę na talerzyku, wyjęła z szafki filiżankę i spodeczek, a po chwili wahania jedną z najładniejszych serwetek Hanny: cieniutki kawałek różowego papieru z zaokrąglonymi rogami. Japońskie serwetki.

– A ty nie chcesz? – spytał Olof, kiedy naląła mu kawy.

Znowu „ty”. Wciąż nie wiedziała, co powinna zrobić. Hanna powiedziała, że używanie zwrotów tytułarnych jest w języku szwedzkim dość zawiłe. Dopiero po kilku dniach Miriam nauczyła się, że nie wolno jej zwracać się do Hanny per ty, tylko po imieniu, co wymagało niesamowitej gimnastyki. Teraz, wyjmując z szafki filiżankę i spodeczek dla siebie, postanowiła, że podejdzie do tego ostrożnie. „Ty” i „wy” mogłoby Olofa rozgniewać, zwracanie się do niego „panie Adolfsson” było chyba zbyt formalne, a „Olof” też nie wchodziło w grę, bo nigdy jej nie powiedział, że może się do niego zwracać po imieniu. Boże! Co ma zrobić? Kawy się napije, ponieważ wyraźnie sobie

tego życzył, ale kanapki sobie nie zrobi, to może poczekać, dopóki Olof nie wyjdzie.

Usiadła na brzeżku krzesła i lekko się uśmiechnęła. Jadł kanapkę z wielką łapczywością. Musiał być bardzo głodny.

– Jeszcze jedną kanapkę? – spytała.

Ha! Bardzo sprytnie. W pytaniu nie było ani „ty”, ani „wy”, nic. Niezłe wyjście.

Pokiwał głową i popatrzył na nią. Mały kosmyk zaczesanych do tyłu włosów opadł mu na czoło. Dobrze. Wyglądał trochę mniej doskonale.

– Tak, chętnie. Nie jadłem lunchu... Prawie cały dzień byłem w szpitalu.

– W szpitalu? Jesteś chory?

Natychmiast zakryła usta dłonią. Wielki Boże! Powiedziała „jesteś”! Zaraz spotka ją kara, Olof się wścieknie, zerwie z krzesła i...

– Nie, nie ja. – W głosie Olofa było ogromne zmęczenie. – Moja żona. Marianne.

Nie zareagował na jej pomyłkę. Szybko się podniosła, ukroiła drugą kromkę chleba, szybko posmarowała grubą warstwą masła i bez najmniejszych trudności ukroiła prosty i kształtny plasterk żółtego sera.

– Jak ona się czuje? – zapytała cienkim głosem.

– Niedobrze. Lekarze podejrzewają gestozę.

– Co to jest?

Olof przygarbił się.

– Zatrucie ciążowe.

– Została otruta?

– Nie. – Olof pokręcił głową. – To taka choroba, która może wystąpić pod koniec ciąży. A u Marianne dopiero zaczął się ósmy miesiąc.

Ciąża? Zaczął się ósmy miesiąc? O co mu chodzi? Chciałaby zajrzeć do słownika Akademii Szwedzkiej albo do *Nordisk familjebok*, ale oczywiście nie mogła tego zrobić w jego obecności, to byłoby bezczelne.

– Ach – powiedziała, kładąc kanapkę na jego talerzyku. – Czy jest bardzo chora?

Nie odpowiedział, tylko wodził spojrzeniem po kuchni. Czyli jego żona była bardzo chora. Inaczej nie można było wytłumaczyć jego milczenia.

Miriam wypła łyk kawy, splotła dłonie na kolanach i spuściła wzrok.

– Zatrzymam się na noc w hotelu – powiedział Olof. – Będę mógł ją odwiedzić jutro z samego rana.

W jej głowie zakłębiło się od myśli. Jak powinna zareagować?

– A w Nässjö nie ma szpitala?

Olof wyprostował plecy i znów był sobą, odsunął kosmyk włosów, który opadł mu na oczy.

– Jest. Oczywiście, że jest. Ale nie taki duży i dobry jak ten w Jönköpingu.

I znów zapadła między nimi cisza.

Jak długo trwali w milczeniu? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że ta cisza nabrzmiewała, rosła, aż w końcu stała się ogromna. Czy Olof milczał, bo był na nią zły za to „jesteś”? Siedział wściekły i obmyślał karę? Czy ma ją uderzyć? Kopniakiem zrzucić na podłogę i wyciągnąć pasek ze spodni? Wychłostać ją? Podniosła splecione dłonie i przycisnęła do piersi, ale nie miała odwagi spojrzeć na niego.

– Aha... – odezwał się nagle. – Hanna chciała, żebym ci dał dychę.

Odetchnęła. Nie był zły. W tonie jego głosu nie wyczuła złości.

– Naprawdę nie trzeba – powiedziała i lekko odchrząknęła, kiedy zdała sobie sprawę, że mówi szeptem.

Olof uśmiechnął się i wyjął portfel.

– Hanna podejrzewała, że to powiesz. Ale wyraźnie zaznaczyła, że mam się tym nie przejmować. Powiedziała, że nigdy o nic dla siebie nie prosisz i że to ją martwi. Źle się odżywasz. Najczęściej jesz tylko kanapki. Dlatego mam ci od niej przekazać, żebyś dzisiaj kupił kotlet cielęcy, usmażyła go i zjadła. Z warzywami i ziemniakami. Zrozumiałaś?

Miriam skinęła głową. Olof siedział przez chwilę bez ruchu, z banknotem dziesięciokoronowym w dłoni.

Lekko westchnął.

– Kotlet cielęcy to nieźle brzmi.

Uśmiechnęła się do niego, nagle zapomniała o nieśmiałości i lęku.

– Mogę kupić dwa kotlety, jeśli, hm... jeśli zechciałbyś zjeść ze mną kolację...

Olof roześmiał się.

– Chętnie!

Położył banknot na krzasiastej ceracie, leżał tam przez moment, zanim po niego sięgnęła. Sekundę później wymierzyła sobie w myślach policzek. Ty idiotko! Blizna! Jak mogłaś zapomnieć o bliźnie! Ale było za późno. Już ją zobaczył.

– Wielki Boże...

Chwycił ją za nadgarstek i przesunął palcem po bliźnie.

Z tatuażu zostały tylko trzy cyfry: 389. Reszta była pokaźnym wgłębieniem, z cienką napiętą skórą. Miejscami siną. Nikt nie zobaczy, co tam było. Była tego pewna. Przygryzła dolną wargę. Prawie pewna.

– Biedactwo – powiedział Olof. – To straszne, co przeszłaś...

Zamknęła oczy i przez sekundę zapragnęła, żeby...

Nie. Otworzyła oczy. Tak nie wolno.

Miriam wsunęła chleb do ust, otworzyła oczy i napotkała spojrzenie zachrypniętej kobiety.

Czeszka wyglądała wrogo.

– *Dieb!* – krzyknęła. – Złodziejka! Ta brudna Cyganka ukradła mój chleb!

Jej niemiecki był beznadziejny. To, co wykrzyczała, nie miało sensu. Jak Malika mogłaby jej ukraść chleb? Stały kilka metrów od siebie, między nimi tłoczyły się inne więźniarki. Żadna nie mogła się ruszyć, żadna nie mogła się prześlizgnąć przez ten żywy mur, niepostrzeżenie wsunąć rękę do kieszeni, ukraść kawałek chleba i równie niepostrzeżenie wrócić i wejść na belkę. To niedorzeczne. Chore. Czysty obłąd.

Czeszki zwróciły na nią spojrzenia. Żydówki też. Przez krótką chwilę w wagonie zrobiło się cicho.

– *Guck mal!* – odezwała się zachrypnięta Czeszka. – Patrzcie! Cygański pomiot ma chleb w ustach! Mój chleb!

Malika próbowała przełknąć. Niestety. Ze strachu zaschło jej w ustach, a chleb był suchy jak wiór. Zachomikowała go dwa dni temu, nie myśląc o tym, że będzie na drogę, dopóki nie ustawiły się do wymarszu. Zupełnie jakby coś głęboko w niej, coś, czego nie da się wysławić, przejęło nad nią kontrolę i włożyło jej ten kawałek chleba do kieszeni, jakby kazało jej tego dnia poprzestać na obozowej zupie, szarej jak pomyje, z trzema skrawkami na wpół zgniłej białej kapusty. Margaryny nie dostały. Od dość dawna nie dostawały margaryny w obozie cygańskim. A w chlebie z dnia na dzień było coraz więcej trocin. Trociny w chlebie to nic dobrego, ale co chleb, to chleb.

– Oddaj mi mój chleb! – zawołała zachrypnięta kobieta. – Mój chleb! Dawaj!

W wagonie zafalowało. Nagle wszystkie odwróciły się do niej twarzą, nagle wszystkie wbiły w nią wzrok.

Malika zamknęła oczy i znów próbowała udawać, że nie istnieje, usiłowała się zatopić w bezpiecznym stukocie kół pociągu. Na próżno. Słyszała jazgot, a gdzieś daleko, jak z innego świata, dobiegał ją głos romskiej dziewczyny wzywającej swojego boga. *Devel! Devel! Devel!* Dlaczego nie mogła zamilknąć? Dlaczego wszystkie nie mogły zamilknąć? Dlaczego w ich krzyku było tyle nienawiści?

– *Schweig!* – wrzasnęła któraś. – Milczcie! Zamknijcie się, wstrętne baby!

Dopiero po chwili dotarło do niej, kto wrzasnął. Ona sama. Otworzyła oczy i rozejrzała się.

– Świnie – wysyczała po niemiecku. – Wredne, parszywe świnie! To mój chleb. Mój!

To coś w niej znów przejęło kontrolę i znalazło słowa. Dużo słów. Teraz wylewały się przemieszane, niemieckie i romskie, słodkie jak miód albo dławiające i mdłe jak wymiociny. „Sroki złodziejki! Przebrzydłe ścierwa! Zastrane szczury! Parszywe hieny! Potwory!” Ona sama stała z boku, w swojej chłodnej szczelinie, i patrzyła na siebie. Zmieniła się. Wyglądała tak jak inne. Włosy wysunęły się spod chustki i przesłaniały oczy, które zapadły się jeszcze głębiej, i cienie pod nimi stały się czarniejsze. Policzki były szare i wychudłe. Z nosa ciekły smarki. Chciała je wytrzeć ramieniem, ale tylko rozmazała po twarzy. I zęby! Tak wystawały, jakby się nie mieściły w ustach. Nie wyglądała normalnie. Nie była młodziutką dziewczyną, była starą babą. Obrzydliwą Cyganichą, zdechłym zastranym szczurem, poronionym płodem, poczętym przez wredny naród, złodziejką, która...

Dalej nie doszła. Czeszki nagle przypuściły atak, szarpały ją za sukienkę, drapały po rękach, popychały, ciągnęły i biły. Straciła równowagę, zawisła w powietrzu, któraś uderzyła ją pięścią w twarz. Zobaczyła gwiazdy przed oczami, wszechświat szczeł i zaczęła spadać w błogą ciemność.

Głosy w niej wiwatowały i płakały.

Obudziła się, bo ktoś na niej siedział. Takie miała uczucie. Po krótkiej chwili świat zawirował i wrócił do równowagi. Nikt na niej nie siedział. Była przygnieciona do desek ściany wagonu. Kobiety ściągnęły ją z belki, ale nie sięgała stopami do podłogi. Były wyprostowane jak u baletnicy tańczącej na pointach, którą widziała kiedyś na zdjęciu w klasztorze. Ale jej stopy nie dotykały podłogi. Nawet dużymi palcami. Wisiała rozplaszczona na drewnianej ścianie, z wygiętym nosem, całując nieheblowane deski, które muskała rzęsami lewego oka. Dłonie też przywierały do ściany, jakby się zapierała. Nie zapierała się. Po prostu tam je położyła. Czuła pod palcami stukot kół, drżenia promieniowały aż do mózgu. Coś spływało jej po twarzy. Może pot. Albo krew. Bolało ją całe ciało, piekło, rwało i kłuło, oddychała z trudem, ale to nie miało znaczenia. Nagle nic nie miało znaczenia, bo teraz nareszcie była blisko, nareszcie umrze. W końcu zrozumiała, że tęskni za śmiercią, żeby raz na zawsze spaść w czarną otchłań... Dlaczego tak walczyła o życie? Dlaczego włożyła do kieszeni kawałek chleba, wyobrażając sobie, że pozwoli jej przeżyć kilka dni? Dlaczego po śmierci Didiego od razu nie rzuciła się na druty? Albo dlaczego nie wzięła go za rękę i nie rzuciła się z nim na druty pierwszego dnia, kiedy przyjechali do Auschwitz?

Znała odpowiedź na to pytanie... Z powodu palców. Nie chciała, żeby jej zwęglone palce zostały na drutach, za nic nie wyrzekłaby się swoich palców. Kiedy z innymi dziećmi z sierocińca weszła do obozu cygańskiego, ukraińscy

strażnicy odrywali od drutów śmiertelnie porażoną i poparzoną kobietę, szarpali ją, ciągnęli za nogi, coś do siebie krzyczeli i śmiali się, krzyczeli i śmiali się, dopóki nie wydarł się na nich jakiś esesman, i wtedy szarpnęli z taką siłą, że na drutach zostało kilka czarnych palców. Rzucili zwłoki twarzą do ziemi, potem, na rozkaz esesmana, odwrócili je na plecy, przetaczając czubkami butów, a potem wzięli się pod boki i czekali na dalsze rozkazy. Tuż obok stał jakiś Rom. Zwiesił ramiona i patrzył na kobietę pustym wzrokiem. Zapamiętała jego wyjątkowo duże dłonie. Nie wiedziała, co wydarzyło się później, bo musiała iść dalej, do dziecięcych baraków w głębi obozu cygańskiego. Ale po kilku dniach wiedziała. Zwłoki leżały przed barakiem do świtu, dopóki nie przyjechał po nie wóz pogrzebowy, nazwany przez Didiego wozem śmierci, który zbierał ofiary z ostatniej doby i zawoził do krematorium. Po martwej kobiecie nie zostało nic prócz palców. Przez wiele tygodni wisały na drutach. Podobnie jak palce innych umarłych. Uważała, że to obrzydliwe. Ukraińców chyba to bawiło. A może zostawiali je z lenistwa. Tak czy inaczej, kiedy ktoś będzie ją wrzucał do krematorium, zachowa swoje palce do końca. Będzie kompletna. Jej twarz nie rozpuści się tak jak twarz Didiego i nikt nie wyrwie jej zębów po śmierci, bo nie miała złotych. Możliwe, że obedną ją ze skóry. Chodziły słuchy, że kilka młodych kobiet obdarto ze skóry po zagazowaniu w komorze, ale nie bardzo w to wierzyła. Po co mieliby ściągać z nich skórę? W obozie cygańskim krążyło wiele pogłosek, głupich pogłosek rozpuszczanych przez głupich ludzi, którzy nie umieli czytać i nie potrafili zliczyć do trzech. Ci idioci gapili się na obóz śmierci, widzieli Żydów idących do komór gazowych bez sprzeciwu i gardzili nimi za to. Ci idioci nie rozumieli, że Żydzi nie szli na śmierć dobrowolnie. Przeciwnie. Byli śmiertelnie przerażeni, wprowadzani w błąd i zbyt dobrze wychowani. Wierzyli, że idą do kąpieli, bo tak im mówili esesmani, sama to słyszała, kiedy kopała rowy przed obozem cygańskim. Rowy, tak... Teraz nigdy więcej nie będzie musiała kopać rowów. Dzięki Bogu. Teraz może tu sobie powiesić i spokojnie dać się udusić na śmierć.

W wagonie panowała kompletna cisza. *Stuk.* Żadna nic nie mówiła. *Stuk.* Żadna nie płakała. *Stuk.* Ochłodziło się. *Stuk.* Może jest noc. *Stuk.* Albo zaczęło padać. *Stuk.* Gdyby umarła, tylko tego by jej brakowało. *Stuk.* Deszczu. *Stuk.* Błogiego spokojnego deszczu, który pada na wszystkich. *Stuk.* Na złych i dobrych. *Stuk.* Na biednych i bogatych. *Stuk.* Na Romów i nie-Romów. *Stuk.* To jedyny dar niebios, który naprawdę ceni. *Stuk.* Oczywiście prócz śmierci. *Stuk.* To jej się spodoba. *Stuk.* Nawet jeśli będzie trudne. *Stuk.* Jakby się przecisnąć przez drzwi zamknięte do połowy. *Stuk.* Ale drzwi ze światłem po drugiej stronie...

Didi stał tuż za nimi i czekał, uśmiechał się do niej, jego twarz była kompletna. Ledwie postawiła stopę na progu, wyciągnął do niej rękę, żeby

pochwycić jej dłoń, ale się nie udało. W tym samym momencie pociągiem zatrzęsło i zahamował, kobiety odrzuciło do tyłu i nagle mogła nabrać powietrza. Niechętnie wzięła głęboki oddech, dotknęła stopami podłogi, kobieta za jej plecami też się osunęła.

A potem usłyszała szcęk i męski głos wykrzykujący dobrze jej znaną komendę:

– *Raus! Raus! Raus!*

Zamrugła powiekami i spojrzała w stronę otwartych drzwi wagonu. Szare światło. Cienie, które się tłoczyły, przykucaly i wyskakiwały. Niemieckie głosy na zewnątrz. Ostre głosy komend, wśród nich jeden kobiecy. Więźniarki już się nie rozpychały, garbiły się i unosiły ramiona, jakby chciały się chronić. Kilka leżało na podłodze. Trzy. Pięć. Osiem. Dziesięć. Trzydzieści. Zrobiła pierwszy krok. Tak, mogła iść. Bolała ją lewa noga, ale mogła iść. Spojrzała na siebie. Zasnęta krew na rękach i nogach. Podarta sukienka. Nie ma guzików. Jeden rękaw oderwany, drugi naderwany. Mogą ją zastrzelić za zniszczoną sukienkę. Nie chciała być zastrzelona. Chciała być w całości po śmierci. Bez namysłu zdjęła sukienkę, pochyliła się nad dziewczyną leżącą na podłodze, rozpięła jej sukienkę, włożyła na siebie, swoją podartą rzuciła na zmarłą, pokuśtykała do grupy kobiet przy drzwiach, zapięła guziki, poprawiła chustkę, zamknęła oczy i jako ostatnia zeskoczyła z wagonu. W lewej nodze i biodrze poczuła palący ból. Nie dała nic po sobie poznać i nie kulejąc, od razu ruszyła przed siebie, za innymi, nie za wolno i nie za szybko, ze łzami w oczach, po kołyszącej się pod stopami ziemi. Zerknęła na sukienkę. Żółta gwiazda. Żydówka. Aha, teraz jest Żydówką. Powinna dołączyć do Żydówek. Zanim dojdą do obozu, coś wymyśli...

Potem zobaczyła numer, numer zmarłej. Pośrodku były cyfry 389, identyczne jak jej, i przez moment, jeden krótki moment, naprawdę wierzyła w Boga.

W tej samej chwili zaczęło padać.

Długo stały w kolumnach i czekały na rozkaz, tak długo, że zdążyła przywyknąć do bólu i mogła się rozejrzeć. Kilka fabryk. Silos. Bocznicą kolejowa. Szare niebo i błogi letni deszcz. Przypuszczalnie był świt. Było zimno, ale to nie miało znaczenia. Najbardziej dokuczało jej pragnienie. Oblizwała górną wargę. Tak! Woda! Czysta cudowna woda! Kobieta w rzędzie przed nią odchyliła głowę i łapała deszcz do ust. Natychmiast zrobiła to samo. Lodowate krople uderzały o język. Niewiele to dało, ale zawsze coś. Stała tak przez dłuższą chwilę, potem zamknęła usta, szybko przesunęła dłonią po twarzy, zsuwając jeszcze kilka kropli na górną wargę. Nie wiedziała ani gdzie jest, ani dokąd będą maszerować, nie wiedziała nawet, kim jest, ale po raz

pierwszy od bardzo dawna ogarnęło ją nowe uczucie. To już nie była beznadzieja, nadzieja też nie, bez przesady, to było zdziwienie. Tak. Czuła pewien rodzaj zdziwienia.

Do czasu. Wkrótce wszystko było po staremu. Usłyszała krzyki esesmanów. Nie widziała ich, bo wydzierali się za jej plecami, a odwracanie się na pewno było zabronione. I usłyszała kobiecy śmiech. Śmiech? Tak. Roześmiała się jakaś kobieta, po chwili odezwał się jakiś mężczyzna, który powiedział chyba coś bardzo śmiesznego, bo kobieta znów się roześmiała. Głośno i donośnie. Potem ich zobaczyła. Wyprostowany oficer SS z rękoma za plecami i kobieta w mundurze SS. Blondyna o wydatnym biuście, w czarnej furażerze na bakier, z dużym brązowym owczarkiem niemieckim na krótkiej smyczy.

Chwilę później, kiedy para esesmanów się oddaliła, kobieta przed nią opuściła ramiona. Wciąż stała na baczność, ale już niewyprężona. Malika poszła za jej przykładem i pozwoliła sobie przenieść ciężar ciała na prawą nogę. Zapieкло ją w lewej, ale tylko przez sekundę. Wzięła głęboki oddech.

– Jesteś Cyganką, co?

Usłyszała przytłumiony głos po swojej lewej stronie, ale nie miała odwagi odwrócić głowy, żeby zobaczyć, kto do niej mówi.

– Tak – odpowiedziała szeptem.

– To dlaczego stoisz z nami?

– Sukienka. Miałam podartą sukienkę. Nie chciałam...

Ktoś wydał rozkaz. Esesmanka zaczęła liczyć więźniarki.

Malika odczekała kilka sekund.

– Jedna z waszych była martwa. Wzięłam jej sukienkę. Przepraszam.

Dziewczyna obok mruknęła „uhm” i umilkła. Esesmanka była coraz bliżej. Nie ta, która się śmiała z oficerem SS, inna, ta trzymała pejcz za plecami. Malika wyprostowała się jak struna i wciągnęła powietrze. Ból, ból, ból! Miała nadzieję, że lewa noga nie jest złamana. Nie, nie była złamana. Przecież mogła na niej stawać. Esesmanka przeszła dalej, ale Malika ani drgnęła, mimo że kobieta przed nią znów opuściła ramiona.

– Nie myśl, że będzie łatwiej... – odezwała się dziewczyna tym samym przytłumionym głosem.

Malika zwlekała z odpowiedzią.

– O co ci chodzi?

– O Niemców. Nas nienawidzą bardziej niż was.

Malika zerknęła w lewo i kątem oka zobaczyła bardzo młodą twarz. A raczej twarz, która byłaby bardzo młoda, gdyby nie zapadnięte policzki.

– A po...

Przerwało jej ciche prychnięcie.

– Polityczne? Wierz mi, one też nas nienawidzą. Kochają tylko Stalina.

Polityczne? Malika zmarszczyła czoło. Jakie polityczne? Miała na myśli polskie więźniarki. Stalin? Kim był Stalin? Nie miała odwagi spytać. Kiedy pojawiła się trzecia esesmanka w czarnym mundurze, przybrała obojętny wyraz twarzy i patrzyła przed siebie. Zdążyła jednak zauważyć, jak dokładnie im się przygląda. Miała okrągłą twarz, szaroniebieskie oczy i wilgotne mysie kręcone włosy. Malika zdławiła uśmiech, zanim dotarł do jej ust i oczu. Boże! Czy naprawdę chciała się uśmiechnąć? Tak. Chciała. I prawie się uśmiechnęła. Z powodu jednego słowa. „Mysie”. Nie słyszała go ani o nim nie myślała od wyjazdu z klasztoru. Tak mówiła Anusza o włosach praczki, która przychodziła do zakonnice. Że ma mysie włosy. Chociaż wcale nie było jej do śmiechu na myśl o tym, co się stało z Anuszą...

– Nazywasz się Miriam Goldberg.

Malika lekko odwróciła głowę i spojrzała na wychudłą twarz.

– Co?

– Widziałam numer na sukience. To sukienka Miriam. Znałam ją.

– Miriam Goldberg?

– Tak. Jeśli chcesz przeżyć, nazywasz się Miriam Goldberg.

– Dziękuję – powiedziała Malika po chwili milczenia.

– Proszę. Postaraj się przeżyć.

Głos dziewczyny o zapadniętych policzkach załamał się, jakby się miała rozpłakać.

Wciąż był świt, kiedy padł rozkaz wymarszu. Mieszkańcy jeszcze się na dobre nie obudzili, w oknach wisiały zasłony zaciemniające. Nie dlatego, żeby jakiegokolwiek zaciemnienie było potrzebne. Miasto nie wyglądało na zbombardowane, nie zobaczyła ani jednej ruiny. To było całkiem zwyczajne małe miasto o poranku, podobne do tego, gdzie zakonnice miały swój klasztor. Wąskie uliczki wyłożone brązowym makadamem. Domki. Wymuskane ogródki. O wojnie przypominały jedynie grządki ziemniaków, marchwi i sałaty zamiast gazonów. I krzaczki pomidorów. Przez ułamek

sekundy przypomniawszy sobie ich smak, kiedy była małą dziewczynką i miała na imię Malika. Przypomniawszy sobie, jakie to uczucie wbić zęby w duży czerwony pomidor, wessać pestki i soczysty miąższ. Aż się zachwiała i niewiele brakowało, żeby ślina pociekła jej z ust. Miriam jeszcze nic nie jadła, a jej cień, Malika, nie mogła zapomnieć smaku jedzenia. Szybko otarła usta prawą dłonią. Miała szczęście, nie patrzył na nią żaden strażnik. Przymknęła oczy i wciągnęła powietrze. Czy to możliwe? Czy tam naprawdę rosła jabłoń? Jabłoń obsypana prawie dojrzałymi żółtymi jabłkami? Jabłoń, której gałęzie zwieszały się nad ulicą? Tak! Z przodu kolumny któraś z kobiet musnęła gałęzie, schyliła się, ale za późno, jabłko uderzyło ją w głowę i spadło na ulicę. Maszerujące więźniarki omijały je, żadna nie odważyła się go podnieść, wciąż tam leżało, żółte i błyszczące, niemal przezroczyste. Wzdrygnęła się, nie mogła oderwać od niego oczu, podchodziła coraz bliżej, i oto tam ciągle było. Po prostu sobie leżało. Jabłko. Prawie dojrzałe jabłko. Miała wrażenie, że czuje jego zapach. Słodki i kwaskowaty, i...

Nagle z naprzeciwka nadjechał rowerzysta. Białowłosa mężczyzna w kombinezonie. Jakiś robotnik. Dość stary. Jechał tuż przy parkanie po lewej stronie, wyraźnie trzymał się z daleka od maszerujących kobiet, jak najdalej od ich wszy, zarazków i, ogólnie rzecz biorąc, podludzkości. Nie bardzo mu to wyszło. Zahamował, żeby na nie nie wpaść, przednie koło skręciło i musiał zeskoczyć z roweru. Nie był zadowolony.

– Żydowskie ścierwa! – krzyknął i splunął. – Pieprzone żydowskie ścierwa!

Zaszczekał pies, pewnie ten owczarek niemiecki, którego Miriam widziała w swoich ostatnich minutach jeszcze jako Malika. Natychmiast odpowiedziało mu co najmniej dziesięć innych psów, jakby w każdym domu i w każdym ogródku był owczarek niemiecki, i cała ulica, całe miasteczko, cały świat utonął nagle w ich szczekaniu. Więźniarki uniosły ramiona i zgarbiły się na tyle, na ile starczyło im odwagi, esesman coś wrzasnął, przyłączyły się do niego esesmanki, na moment zapanował kompletny chaos i wtedy Miriam podeszła do jabłka, szybko się pochyliła, podniosła je, przełożyła z prawej dłoni do lewej i zacisnęła na nim palce. Ulica zakołysała się pod nią, wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała, w lewej nodze czuła pożar, ale co tam, trzymała jabłko w dłoni. Świat był co prawda pełen ujadających owczarków niemieckich, esesmanów i kobiet z pałkami, ale ona miała jabłko. Żółte, prawie dojrzałe jabłko. Może mogłaby odfrunąć? Może mogłaby całkiem po prostu wyjść z szeregu, wgryźć się w jabłko, wziąć rozbieg, przebiec kilka kroków, a potem wzbić się...

– Zwariowałaś – odezwała się dziewczyna o zapadniętych policzkach.

Miriam lekko się uśmiechnęła.

– Dam ci gryza – powiedziała, wchodząc w rytm marszu. – Kiedy będziemy na miejscu, dam ci gryza...

Mniej więcej po kilometrze zabudowania się przerzedziły i ulica stała się szosą. Las po obu stronach. Przestało padać, chmury się rozproszyły i wyjrzało słońce. W szeregach panowała cisza, esesmani już nie wrzeszczeli, strażniczki nie pokrzykiwały piskliwymi głosami. Nawet pies nie szczekał, szedł z wywieszonym językiem tuż przed Miriam. Z głodu rozbolała ją głowa. Lewa noga wciąż płonęła. Ostrożnie położyła na niej dłoń. Tę, w której trzymała jabłko. Kiedy będą na miejscu, odejdzie na bok i zanurzy w nim zęby. Dziewczyna obok też dostanie gryza, ale tylko jednego gryza, a potem Miriam sama zje całe jabłko. Calusieńkie. Przymknęła oczy, zobaczyła soczysty biały miąższ, małe brązowe pestki...

Podmuch wiatru przyniósł na ułamek sekundy nowy zapach, prawdziwy zapach, nie obozowy smród. Miriam uważnie się rozejrzała. Czy po prawej stronie nie prześwituje woda? Tak. Coś lśniło pośród sosen. Jezioro. Na wprost zobaczyła komin. Aż za dobrze znała ten kształt. To komin krematorium. Po chwili las się otworzył, po lewej stronie stało kilka nowo wybudowanych otynkowanych domów, dalej duży biały budynek, okazały jak zamek, a za nim wysokie mury zwieńczone drutem kolczastym.

Ktoś otworzył bramę i kolumna więźniarek, nie zwalniając kroku, wmaszerowała do obozu koncentracyjnego Ravensbrück.

Musi się opanować. Nie może chodzić ulicami Jönköpingu i uśmiechać się do siebie jak wariatka.

Była w świetnym humorze. Prowadząc Nippona na smyczy, czuła się lekka jak piórko. Wróciła myślami do bardzo miłej rozmowy z Olofem przy kolacji. Opowiadał o swoich rodzicach i dziadkach ze strony ojca, o majątku, z którego pochodzili, o tym, jak dziadek poszedł do szkoły i z czasem został zarządcą finansowym i dyrektorem fabryki krzesel w Nässjö, a ojciec został dentystą, tak jak on, i jak to było, kiedy on i Hanna byli mali. Powiedział, że Hanna, dziesięć lat starsza, była jego drugą mamą, opiekunką i nauczycielką, i wyjątkowo sumiennie wywiązywała się z tych obowiązków. Wycierała mu nos, kiedy się przeziębiał, pilnowała, żeby w zimie nie wychodził z domu bez szalika i rękawiczek, i zanim skończył pięć lat, nauczyła go czytać. Była nieprawdopodobnie rzetelna. Nie ukrywał, że był dość niesfornym dzieckiem, ale dzięki temu, że Hanna ciągnęła go za uszy, miał dobre stopnie i udało mu się dostać do szkoły średniej. Naprawdę kiepski był tylko z jednego przedmiotu. Z muzyki. Był tak beznadziejny, że w końcu został zwolniony z lekcji muzyki. Nauczyciel nie chciał go widzieć, jego i dwóch innych chłopców z klasy, więc kiedy koledzy ćwiczyli gamy i byli wprowadzani w tajniki muzyki klasycznej, trochę się obijali.

– I pewnego dnia przeszliśmy się po korytarzu i wzięliśmy wszystkie czapki szkolne – powiedział, delikatnie ocierając usta serwetką. – Trochę się ich uzbierało, bo na tym korytarzu były cztery sale lekcyjne. Koledzy stanęli przy drzwiach, tak żeby nie było ich widać, a ja zapukałem do sali muzycznej. Otworzył nauczyciel. Grzecznie się ukloniłem, pokazałem mu czapkę, którą trzymałem w ręku, i powiedziałem, że znalazłem ją na podłodze na korytarzu. Nauczyciel wziął ją, odwrócił się do uczniów, zapytał, czyja to czapka, i w tym momencie wyskoczyli koledzy i wrzucili do klasy wszystkie czapki... Zrobiło się niezłe zamieszanie. Ba, kompletny chaos!

Miriam roześmiała się zdumiona. Nie wiedziała, że Szwedzi potrafią – zaraz, jakie to było słowo? – łobuzować, myślała, że wszyscy są spokojni, małomówni i zdyscyplinowani jak Hanna i jej przyjaciółki. Tymczasem Olof nie był ani przesadnie spokojny, ani małomówny, ani zdyscyplinowany. Przeciwnie. Mówił głośno, jadł z wyraźnym apetytem, kiedy zjadł kotlet cielęcy, poklepał się po brzuchu, zapalił cygaretkę, jęknął z zadowolenia i powiedział, że teraz brakuje mu tylko lampki koniaku. Czy przypadkiem nie znalazłaby się w tym domu butelka koniaku? Miriam wstała, żeby zajrzeć do spiżarki, chociaż nie miała pojęcia, co to takiego. Wstała, bo chciała sprawdzić, jak to jest trochę się poruszać po takiej dawce śmiechu. Czy poczuje się inaczej? Tak. Była lekka i zwiewna. Jakby przewietrzyła całą siebie, zachowując ciepło. Zupełnie nowe doznanie...

Olof poszedł za nią. Stali przed spizarką tak blisko siebie, że czuła jego zapach. Przyjemny. Świeży. I odrobinę pikantny.

Oczywiście nie znaleźli koniaku w spizarce Hanny. Ale kiedy potem Olof mimochodem wspomniał o żonie, zapadła między nimi cisza.

Hanna wróciła następnego dnia wieczorem. Miała zaróżowione policzki i blask w oczach. Miriam zauważyła, że stara się udawać, że nic się nie wydarzyło, było jednak całkiem oczywiste, że wydarzyło się coś wyjątkowego, o czym najwyraźniej nie chciała mówić. Przekrzywiła głowę, poklepała ją po policzku, rozkojarzona dwa razy spytała, co u niej, i nie słuchała odpowiedzi. I zapomniała ją odpytać z Gustawa Wazy i z reformacji. Miriam wcale się tym nie przejęła. Przeciwnie. Ucieszyła się, że Hanna jest myślami gdzie indziej. Przyjemne uczucie. Spokój.

Rano zadzwonił Olof z wiadomością, że wpadnie następnego dnia wieczorem, po wizycie u żony. Po rozmowie Hanna powiedziała, że Marianne ciągle jest w szpitalu, że nie ma poprawy, a Olof może ją odwiedzać tylko dwa razy w tygodniu, bo ma swoich pacjentów w Nässjö. Tak czy inaczej trzeba go zaprosić na kolację, bo na pewno od tygodnia nie jadł nic ciepłego. Może powinna skorzystać z okazji i zaprosić Egona...? Żeby mu podziękować za wspólnie spędzony czas. Mimo że był środek tygodnia, Miriam miała upiec udziec wołowy, wypucować srebra stołowe i wymaglować biały lniany obrus, który Hanna własnoręcznie utkała w młodości. Potem, z rozbieranym spojrzeniem, pospieszyła do sypialni. Może chciała od razu wybrać suknię, którą włoży na kolację.

Stół w pokoju stołowym był już nakryty, chociaż do kolacji została cała doba. Hanna i Miriam razem położyły świeżo wymaglowany lniany obrus, po czym Hanna ustawiła swoje najlepsze szkła i połyskliwe niebieskie talerze z serwisu z duńskiej porcelany i każde nakrycie przykryła małą ściereczką kuchenną, żeby się nie kurzyły. Dopiero wtedy dotarło do Miriam, że Hanna nakryła dla czterech osób. Czyli ona też usiądzie przy stole. Z radości poczuła lekki zawrót głowy. Może dlatego uśmiech nie schodził jej z twarzy. Już jutro spotkają się ich uśmiechy. Jej i Olofa.

Nipponowi chyba też dopisywał humor. Może sprawiła to pogoda. Gołębioniebieskie chmury i miodowe światło, pogodny wieczór, zapowiadający nieprędki koniec lata. Może dlatego tyle w niej było uczuć, których nazw nie znała. Bo co na przykład czuła do Nippona, kiedy dreptał przed nią, lekko merdając ogonem, co to było za uczucie, że chciała go pochwycić w ramiona i wtulić twarz w jego miękką sierść? I co znaczył ten chichot, który w niej narastał na myśl o Hannie i o tym czymś wyjątkowym, co ją spotkało? Wiedziała jedno, to nie było szyderstwo, to nie miało nic wspólnego ze złośliwością. Raczej z zachwytem. Chociaż nie tylko. To było

coś głębszego i większego. A co czuła do żony Olofa, która leżała ciężko chora w szpitalu w Jönköpingu? Troskę? Czy to jest właściwe słowo? A jakie było to drugie słowo, które miało związek z Marianne? „Cięża”? W słowniku Akademii Szwedzkiej było napisane „brzemienność” i „odmienny stan”. Miało to coś wspólnego z noworodkami, tyle zrozumiała. Ale skąd się brał ten „odmienny stan”? Nie znalazła tego ani w *Nordisk familjebok*, ani w słowniku. Czym jest cięża? I dlaczego Else i inne więźniarki milkły i odwracały się plecami, ilekroć była mowa o dzieciach, które urodziły się w Ravensbrück, ale nigdy nie było ich widać?

Nie, nie chciała myśleć o Ravensbrück. Nie chciała nawet wspominać Else. Przeszłość była nagle daleko, spowita mgłą. Chociaż raz, pomyślała po szwedzku, chociaż raz chciała być tylko tu i teraz.

I właśnie wtedy, właśnie w tym momencie usłyszała...

Usłyszała ryk. Głuchy ryk, który zdawał się wydobywać z setek gardeł. Zamrugła oczami i zatrzymała się w pół kroku. Nagle uświadomiła sobie, że jest przy Hovrättstorget i że coś się tutaj bardzo zmieniło. Znowu zamrugła oczami. Ludzie. Mnóstwo ludzi w ruchu. Wszyscy zmierzali w tę samą stronę, niektórzy biegli w grupach, inni szli z pewnym wyczekiwaniem, jeszcze inni śmigali na rowerach.

Co się działo?

Nippon też zauważył, że coś jest inaczej. Kiedy znowu przetoczył się nad nimi ryk, znieruchomiał, ostrożnie postawił uszy, po czym szczerknął i pociągnął smycz. Chciał iść dalej, tam gdzie się to coś działo. Miriam nie ruszyłaby się z miejsca, gdyby nieoczekiwanie ktoś jej nie popchnął, i rzuciwszy krótkie „przepraszam”, pognał przed siebie. Nippon zrozumiał, że jego woli stało się zadość, i Miriam zrobiła kilka niepewnych kroków. Ludzie kierowali się w stronę Östra Torget. Nigdy nie zapuszczała się w te rejony podczas swoich wieczornych spacerów, ale słyszała, co mówiła o nich Hanna i panie z Czerwonego Krzyża. Hanna powiedziała, że to slumsy, i chciała napisać ostry list do dyrekcji opieki społecznej nad ubogimi. Nie godzi się, żeby miasto takie jak Jönköping pozwalało ludziom mieszkać w tak podłych warunkach, jakie panowały w budynkach wokół Östra Torget. Była tam kiedyś odwiedzić Berglunda, dozorcę jej kamienicy, i jego rodzinę i to było straszne. Wychodek i ciasnota. Przeciąg i chłód. Pluskwy i gruźlica. Hanna mówiła o tym ze wzburzeniem jeszcze po wyjściu pań z Czerwonego Krzyża, na co Miriam uśmiechnęła się w odpowiedzi. To było tuż po jej przyjeździe do Jönköpingu, kiedy nadal się bała, że jeśli będzie za dużo mówił, Hanna ją wyrzuci. Dlatego uśmiechnęła się i skinęła głową, milcząco przyznając Hannie rację. Mimo że nie bardzo wiedziała, o co chodzi. A ponieważ już pokochała czerwoną kołdrę i pokój służącej, wolała zachować swoją

niewiedzę dla siebie.

To dziwne, ale miała wrażenie, jakby to było dawno temu. Teraz, idąc przez Hovrättstorget w stronę ruder przy Östra Torget, zdała sobie sprawę, że to wcale nie było tak dawno. Zaledwie parę lat temu. Bliżej teraźniejszości niż tego czasu, który wciąż był żywy pod jej powiekami, czasu pobytu w Auschwitz i Ravensbrück. Bardzo dziwne. Czas w ogóle był bardzo dziwnym zjawiskiem...

Później uzna, że co najmniej równie dziwne było to, że wtedy myślała o czym innym, że te wycia i okrzyki, które słyszała, a jednak nie słyszała, nie dotarły do niej, nie zasygnalizowały niebezpieczeństwa. Nie była tak przestraszona jak kilka dni wcześniej, kiedy Klostergatan w zawrotnym tempie przejechała ciężarówka. Była głównie zaciekawiona. Bez zastanowienia szybko ruszyła ulicą prowadzącą do Östra Torget i niewiele brakowało, żeby ją przejechał rowerem jakiś podrostek.

– Biją się na Fortunagatan! – krzyknął.

– Znowu kłamiesz! – odkrzyknął jakiś młody mężczyzna, ale popędził w tamtą stronę.

Po nim nadbiegła zgraja roześmianych wrzeszczących nastolatków.

– Gdzie? Gdzie? Gdzie?

Miriam nie przejęła się nimi, śmiali się, więc nie byli groźni, szła dalej, ciągle dziwnie spokojna mimo narastającego wokół podniecenia. Nie myślała. Nie potrafiła myśleć. Stukając obcasami po bruku, podniosła lewą rękę, żeby przytrzymać kapelusz. Była u celu. Stanęła u wylotu ulicy i patrzyła na Östra Torget. Przyglądała się setkom ludzi, którzy jeszcze raz wydali nieartykułowany ryk:

– UUUOOORGH! UUUOOORGH! UUUOOORGH!

Nippon chyba się przestraszył, szybko się cofnął, spojrzał na nią i przypadł jej do nóg. Ona też się cofnęła, zrobiła jeden krok, potem drugi, przywarła do ściany domu i próbowała stać się niewidoczna. Żadnych gwałtownych ruchów. Nie odwracać się plecami i nie biec, bo jeśli zobaczy ją któryś z setki młodych mężczyzn na placu, może za nią pobiec. Tak, na placu byli niemal wyłącznie młodzi mężczyźni, dostrzegła jedynie pojedyncze kobiety i kilku starców. Nikt na nią nie patrzył. Wszyscy stali zwrócenie w lewo i wpatrywali się w jeden budynek. Zaległa cisza, a po chwili przeciął powietrze przeraźliwy krzyk:

– Precz z *tattare!* Precz z *tattare!*

Tattare! Przemknęło jej przez głowę wspomnienie sprzedawczyni ze sklepu

mleczarskiego. Bengtsson i jego banda! Berglund i jego mała Annika! Miriam wzięła głęboki oddech i zaczęła się powoli wycofywać, wciąż z plecami przy ścianie. Zamieszki, powiedziała Hanna. Zajścia uliczne. Ale Miriam jej nie uwierzyła. Wmówiła sobie, że mieszkańcy Jönköpingu są mili, że Szwedzi są mili. To było głupie. Idiotyczne. Mieszkańcy Jönköpingu wcale nie byli mili od monachijczyków, Smalandczycy od Bawarczyków, a Szwedzi od Niemców. Powinna to była zrozumieć. Nie powinna była sobie pozwolić na utratę czujności. Dlatego stała przyklejona do ściany i próbowała udawać, że nie istnieje.

Tłum zaczął skandować: „Precz z *tattare!* Precz z *tattare!*”. Zabrzmiało to bardzo dziwnie, groźnie i radośnie zarazem. Może okrzyki zjednoczyły tych ludzi, może od razu przestali istnieć każdy z osobna, może upajali się poczuciem jedności, tym, że choć przez krótką chwilę stali się jednym ciałem, kolosem, który z racji swojej wielkości miał niepodzielną władzę, wiedział, kto jest dobry, a kto zły, i był gotów posunąć się bardzo daleko w walce ze złem. Raptem trzasnęło tłuczone szkło i uszczęśliwiony olbrzym nabrał powietrza w płuca: „UUUOOORGH! NA NICH!”. Gdzieś w budynku rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk, co chyba jeszcze bardziej go uszczęśliwiło. Tłum ruszył naprzód, łomotał w ściany, otworzył drzwi wejściowe i nagle, jak na dany sygnał, w stronę okien poleciały następne brukowce i roztrzaskały szyby. „UUUOOORGH!”

Miriam pochyliła się, podniosła Nippona i przycisnęła do piersi. Nie wiedziała, czy robi to po to, żeby chronić jego, czy siebie. Przesunęła się o krok. Jeszcze tylko kilka metrów i będzie już na tyle daleko, żeby się odwrócić i szybko dojść do Hovrättstorget. Ale co potem? Którą wybrać drogę? Która ulica jest najbezpieczniejsza? Czy szeroka Storgatan? Tam chyba będzie dużo ludzi. A może wąska Smedjegatan? Zwykle była pusta.

W oddali dały się słyszeć syreny. Może policja była w drodze. Wprawdzie nikt na Östra Torget się tym nie przejął, ale jedno ciało zaczęło się dzielić, ludzie krzyczeli coraz bardziej rozgorączkowani, tyle że już każdy z osobna, i napierali na dom. Z Hovrättstorget powoli nadjechała duża czarna taksówka, za nią druga. Pod Miriam ugięły się kolana i zakołysała się ulica. Mimo wszystko stała i patrzyła. Widziała, jak samochody zatrzymują się tuż przy wjeździe na plac, widziała, jak otwierają się drzwiczki i wysiadają mężczyźni. Jeden, drugi, trzeci... Wszyscy w kraciastych koszulach. Na ich widok ktoś na placu krzyknął. Trzej mężczyźni na moment przystanęli, jeden się zachwiał, jakby był pijany, drugi wyciągnął coś z kieszeni. Pałkę. Uderzył nią parę razy w swoją otwartą dłoń, zrobił pierwszy krok i tłum przywitał go okrzykami radości. Przyszedł Bengtsson. Teraz *tattare* się dostanie.

Miriam dostrzegła swoją szansę. Odwróciła się i pobiegła ile sił w nogach

w kierunku Hovrättstorget, ku cywilizacji.

Zatrzymała się dopiero na Smedjegatan, z trudem łapiąc oddech. Postawiła Nippona i oparła się o latarnię. Słuchała bicia swojego serca. Otarła pot z czoła, zdjęła kapelusz i potrząsnęła włosami, potem drżącymi palcami odsunęła kosmyki, które opadły jej na twarz. Próbowwała wygładzić fryzurę. Wytarła oczy. Płakała? Tak. Może tak. Pomyślała przez moment o *tattare* przy Östra Torget, o tym, co czeka Berglunda i małą Annikę, i ścisnęło ją w dołku ze współczucia. Szybko odsunęła od siebie te myśli. Else powiedziała kiedyś, że należy się przejmować tylko tym, czemu można zaradzić. Miała rację. Zwłaszcza w taki wieczór jak ten.

Nippon usiadł i zaczął się drapać. Odwróciła się do niego plecami i pociągnawszy za smycz, ruszyła. Niechętnie poszedł za nią. Trzymała kapelusz w tym samym ręku co torebkę, szła długim zdecydowanym krokiem, znów usłyszała ryk z Östra Torget i przeklinała w duchu swój brak ostrożności. Gdyby tylko coś rozumiała! Gdyby tylko miała o czymkolwiek jakiegokolwiek pojęcie! Była głupia, tępa, naiwna! Kompletnie tępa i naiwna!

Zachmurzyło się, miodowe światło wieczoru ustąpiło miejsca szaroniebieskiemu. Na Smedjegatan zapaliły się wszystkie latarnie. Nie miało to co prawda większego znaczenia, ale podniosła głowę. I wtedy ich zobaczyła. Pięciu młodych mężczyzn. Pięciu młodych mężczyzn szło całą szerokością ulicy. Choć błyszczały im oczy, żaden się nie uśmiechał. Trzech miało kraciaste koszule.

Spuściła wzrok, przysunęła się bliżej ściany i zauważyła coś kompletnie nieistotnego, mianowicie to, że mija witrynę piekarni, ale się nie zatrzymała i nie zwolniła kroku. Gdyby tylko włożyła kapelusz! Gdyby nie była taka głupia i znalazła chwilę, żeby włożyć kapelusz! A może włożyć go teraz? Nie. Jak by to wyglądało? Wkładać kapelusz, idąc? Bo nie wolno jej się zatrzymywać. Cokolwiek się zdarzy, nie wolno jej przystanąć. Młodzi mężczyźni byli tuż-tuż. Nippon biegł przed nią ze zwieszonym ogonem. Zrozumiał, że to niebezpieczne. Lekko pociągnęła za smycz, żeby przysunął się bliżej ściany, sama też się przysunęła i nie podnosząc wzroku, minęła młodych mężczyzn. Dobry Boże, spraw, żeby nie zwrócili na mnie uwagi! Dobry Boże, pozwól mi tylko spokojnie przejść! Dobry Boże, pozwól mi szybko wrócić do domu!

Ale Boga nie było u siebie. Powinna była to wiedzieć. Boga prawie nigdy nie było u siebie, kiedy błagała go o pomoc. Młodzi mężczyźni pozwolili jej przejść, ale sekundę później się zatrzymali. Któryś zachichotał.

– Ej, ty! Mała! Co się tak śpieszysz? – zawołał za nią inny.

Rzuciła spojrzenie przez ramię. Wszyscy się odwrócili. Wszyscy nagle

ruszyli za nią. Wszyscy się uśmiechali. Jak myśliwi. Byli myśliwymi. Szczęśliwymi myśliwymi, którzy wreszcie wytropili zwierzynę.

- Ładne masz włosy... Bardzo ciemne i w ogóle.
- Dlaczego nie odpowiadasz, jak się do ciebie mówi? Co?
- Jesteś niewychowana? Ho, ho...
- Chyba nie jesteś *tattare*, co?
- Jesteś Cyganką? Co? Jesteś Cyganką?

Puściła się biegiem. Za plecami usłyszała żądny łupu okrzyk.

Ravensbrück było inne niż Auschwitz. W Ravensbrück rosły drzewa. Prawie cała aleja młodych drzewek wzdłuż długich rzędów baraków. A przed każdym barakiem stały więźniarki, setki więźniarek, tysiące. Wyglądały nędznie, gorzej niż te w Auschwitz. Po chwili zrozumiała dlaczego. Postawa. Choć stały w równych szeregach, nie były wyprostowane, garbiły się. I ubrania. Każda miała inne. Ciemne zimowe palta i kwieciste letnie sukienki, chustki w najróżniejszych rozmiarach i kolorach, poprzecierane buty bez sznurowadeł, zniszczone holenderskie drewniaki, wystrzępione bluzki i podarte swetry. A środkiem zwirowej alei między drzewkami przechadzała się kobieta z dużym psem na smyczy. Nie był to owczarek niemiecki, tylko raczej pies do towarzystwa. Białe w duże czarne łaty, o równie złej postawie jak więźniarki, ze spuszczonego łbem i długim różowym wywieszonym językiem. Kobieta była w ciemnoniebieskim popielinowym płaszczu, mocno ściągniętym sznurkiem w talii, z dużym białym krzyżem na plecach. Widocznie nie miała pod spodem sukienki. Na głowie nosiła białą wojskową chustę, a na ramieniu opaskę z numerem i czarnym trójkątem. Czyli więźniarka. Kryminalna. Poza tym miała zdecydowanie za duże czarne skórzane czółenka ze zdartymi obcasami. Chyba nic sobie z tego nie robiła, bo szła wyprostowana, z wysoko podniesioną głową i trzymała psa na krótkiej smyczy. Jakby była damą. Prawdziwą damą.

– *Halt!* – wrzasnął kobiecy głos.

Kolumna natychmiast się zatrzymała, wszystkie zrobiły trzy kroki w miejscu, tak jak się nauczyły w Auschwitz. Początkowo patrzyły przed siebie, też jak w Auschwitz, ale po chwili rozluźniły się i ostrożnie rozejrzały. Gdzie one są? Więźniarki wyglądały idiotycznie. Krokiem marszowym nadchodziła mała grupa, po pięć w pięciu rzędach, czyli dwadzieścia pięć kobiet, każda w innym ubraniu. Jedna w piwoniowej popołudniowej sukience, druga w półdługiej spódnicy z ciemnoniebieskiego tweedu i w bluzce, która kiedyś była biała, trzecia w zwykłej pasiastej obozowej kurtce i kwiecistej bawełnianej spódnicy. I tak dalej. Prawie wszystkie w drewniakach. Dużych popękanych drewniakach ze zdartymi podeszwami. Dwie były boso. Z przodu szła niezwykle wymuskana esesmanka w czarnym mundurze, furażerze i wypucowanych butach z cholewami. Śpiewała, z prawą ręką w górze, podając rytm więźniarkom jak jakiś dyrygent. Co one śpiewały? *Das Engellied. Gib' mir deine Hand (...) denn wir fahren gegen England...*

Nowo przybyłe patrzyły ogłupiałe na tę przedziwną grupę maszerujących kobiet.

Stały przeszło godzinę, ale teraz przynajmniej wyszło słońce. Tylko jedna z dziewcząt zemdląca i osunęła się na żwir, kilka się zachwiało, ale nie

upadły. W szeregu przed Miriam jakaś wysoka kobieta objęła w talii młodą dziewczynę i pozwoliła jej się oprzeć na swoim ramieniu. Może dziewczyna usnęła. Tak to wyglądało. Może to była matka i córka. Mogło być i tak. Zabolęła ją ta myśl. Mama. Matka. Ona nawet nie pamiętała swojej mamy, mimo że kiedy urodził się Didi, była już dość duża... Nie. Nie myśleć. Stać prosto. Patrzeć przed siebie. Ścisnąć jabłko.

Pilnowały je trzy nadzorkynie. Jedna stała przed nimi, dwie inne chodziły po obu stronach kolumny i świdrowały je podejrzliwym wzrokiem. Dwie były wyjątkowo brzydkie. Ta z przodu była niska, chuda i chorobliwie szara na twarzy, ta z lewej strony była wysoka, tęga i miała złe usta: jej dziwnie skrzywione wargi sprawiały wrażenie, jakby się szyderczo uśmiechała, mimo że o uśmiechu nie mogło być mowy. Natomiast ta, która chodziła z prawej strony kolumny, była ładna na swój szczególny sposób. Miała doskonałą figurę, drobne piegi, gęste ciemne włosy i duże szare oczy. Wiele lat później Miriam zobaczyła w jakiejś powieści słowo „uduchowiony” i przypomniała sobie jej oczy. Uduchowione oczy *Aufseherin*. Uduchowione oczy esesmanki. Uduchowione oczy nadzorczyńni w obozie koncentracyjnym. To zrodziło w niej głęboką podejrzliwość wobec każdego, kto przejawiał choćby cień predylekcji do uduchowienia.

Więźniarki śledziły esesmanki spojrzeniem, wciąż trochę niepewne, czego mogą się po nich spodziewać, ale kiedy te chodzące wzdłuż kolumny znalazły się dostatecznie daleko, zaczęły rozmawiać.

Dziewczyna o zapadniętych policzkach obok Miriam syknęła jedno słowo:

– Tatuaż.

Miriam zamrugnęła oczami.

– Co?

– Tatuaż! Masz trójkąt pod numerem?

– Nie. Ale mam z przodu. I kilka cyfr się zgadza.

– Uważaj!

Ładna nadzorczyńni doszła do końca szeregu, odwróciła się i zaczęła wracać, wciąż lustrując więźniarki tym samym przedziwnym spojrzeniem. Kiedy przeszła obok, Miriam patrzyła prosto przed siebie. Wychudzona dziewczyna oczywiście miała rację. Ten numer mógł się okazać niebezpieczny. Nadzorkynie zobaczą, że ma nie swoją sukienkę i cudzą tożsamość, i kto wie, czym to może grozić? Czy były tutaj komory gazowe? Czy były tutaj szubienice jak w Birkenau? Ale jak u licha pozbyć się tatuażu? Przypomniała sobie Didiego. Jak krzyczał, kiedy tatuowali mu numer. „Parzą

mnie, Malika! Ratunku! Parzą mnie!” Ukrainiec, który robił mu tatuaż, kopnął go tak mocno, że stracił przytomność. Kiedy się ocknął, nie był już sobą. Bał się. Tak. Po tatuażu Didi po raz pierwszy naprawdę się bał...

– Wydrap to – powiedziała dziewczyna o zapadniętych policzkach.

Miriam zerknęła na przedramię. Pod rękawem sukienki nie było go widać.

– Nie da rady.

– Da. Tylko musisz mocno drapać, zrobić głęboką ranę.

– Ale...

– Zwalisz na świerzb.

Dziewczyna zachwiała się, Miriam wyciągnęła lewą rękę, tę, w której ścisnęła jabłko, i położyła na jej biodrze, żeby nie upadła.

– Trzymaj się...

Dziewczyna zamknęła oczy i znów się zachwiała.

– Staram się.

– Pomyśl o jabłku!

Nie otwierając oczu, wychudzona dziewczyna poruszyła ustami. Miriam domyśliła się, że wyobraża sobie jabłko, podnosi do ust i wbija w nie zęby. Przez sekundę pozwoli mu tak zostać, żeby sok spłynął kroplami na język. Świeży jak wiosenny poranek. Tak to będzie smakować. A potem szybkim ruchem odchyli głowę i odgryzie miąższ...

– Dam ci pierwszego gryza – szepnęła. – Pierwsza je ugryziesz.

Dziewczyna chrząknęła. Miriam obrzuciła ją spojrzeniem. Z prawego kącika ust sączyła się ślina, wypłynęło zaledwie kilka kropli, ale było je widać. Nie otwierając oczu, jadła w wyobraźni jabłko Miriam. Zachłannie. Gryzła,ssała i żuła, i ani przez moment nie pomyślała, że to nie jest jej jabłko, że to nikt inny tylko Miriam podjęła ryzyko... Ostrożnie przełożyła jabłko do prawej dłoni. Nie chciała żadnej bójki, ale była zdecydowana bronić jabłka na śmierć i życie. Nigdy go nie odda. Nigdy. Dziewczyna o zapadniętych policzkach dostanie jeden kęs, nie więcej. Tak mocno zacisnęła dłoń na jabłku, że paznokcie wbiły się w miąższ. Boże! Miała pod paznokciami kilka kropli soku. Kiedy ładna strażniczka przejdzie obok, zmieni rękę i wessie sok. Może nawet uda jej się wydłubać trochę miąższu...

Ale tak się nie stało. W tej samej chwili pojawił się oficer SS i zaczęło się liczenie.

SS bardzo często liczyło więźniarki w Ravensbrück. Cała administracja

obozowa była bliska rozsypki, nie zgadzały się rejestry, źle prowadzone kartoteki pękały w szwach, więźniarek było za dużo i każdego dnia przybywały nowe. Esesmani robili, co mogli, żeby pozbyć się tego nadmiaru, wysyłali je do fabryk amunicji, zakładów produkujących broń i na stale bombardowane place budowy. W ostatnim roku jedzenie było coraz gorsze, głód coraz dotkliwszy i chorób coraz więcej. Codziennie przed porannym apelem więźniarki wyciągały z baraków martwe ciała. Żywe czy martwe, wszystkie musiały być policzone. Najpierw przez blokowe o czwartej rano, potem przez nadzorczyńnię, a przed wpół do ósmej przez oficerów SS, którzy wychodzili z kantyny po porządnym śniadaniu. Liczyli i liczyli. Dopiero kiedy wszystkie liczby się zgadzały, ciała przewożono do krematorium, rozdzielano więźniarkom chleb i surogat kawy i goniono je do pracy. *Schnell! Schnell! Schnell!*

Teraz zaczęło się poranne liczenie po raz pierwszy. Oficerowie SS zlecieli to zadanie nadzorczyńniom, potem porównali wyniki z danymi z Auschwitz, stwierdzili, że się nie zgadzają. Jeden z nich długo rozmawiał z oficerem, który był na stacji, żeby ustalić, ile kobiet zmarło w czasie transportu i dlaczego nie zabrano ciał do obozu, po czym polecił nadzorczyńniom policzyć jeszcze raz. Liczba znów się nie zgadzała, więc obsztorcował nadzorczyńnię najwyższą rangą i kazał jej dopilnować, żeby jej podwładne ponownie policzyły więźniarki, ale tym razem prawidłowo, podziękował i czekał, rozgrzebując żwir wypolerowanymi oficerkami. Otrzymał kolejną liczbę. Nie zgadzała się po raz trzeci. Rozjuszony do żywego oficer SS najniższy rangą wydał z siebie wściekły ryk, podczas gdy jego dwaj przełożeni wyprostowali się, skrzyżowali dłonie za plecami i patrzyli przed siebie lodowatym wzrokiem, dając do zrozumienia, że ich wściekłość jest o niebo większa. Dosyć tego! *Ordnung muss sein!* I ordnung został przywrócony w ten sposób, że sami policzyli więźniarki. Raz, drugi i trzeci, po czym wywrzeszczeli jakiś rozkaz, odwrócili się i odmaszerowali.

Miriam cały czas stała bez ruchu, patrzyła prosto przed siebie i pozwoliła swobodnie szybować myślom. Może Ravensbrück nie było takie złe. Oczywiście w porównaniu z Auschwitz-Birkenau. Z komina krematorium nie wydobywały się płomienie, tylko wąska smużka dymu. To dobry znak. Może nie ma tutaj komory gazowej. I część więźniarek mogła żyć, mimo że były chore albo okaleczone. W kolumnach, które ich mijały, widziała kobiety o kulach. Pewnie Polki...

– Rejestracja! Odwszawianie! Odmaszerować! – krzyknęła uduchowiona nadzorczyńni i kolumna zaczęła maszerować.

Rozebrały się w sali o szarej podłodze i szarych cementowych ścianach. Miriam niezdarnie rozpiniała guziki obozowej pasiastej sukienki, nie

wypuszczając jabłko z lewej dłoni. Było dość małe, mieściło się w niej w całości, a mimo to bała się, że któraś je zobaczy. Ale w pomieszczeniu było tłoczno i jeśli nie podniesie ręki i nie spojrzy w oczy żadnej z więźniarek, które ich pilnowały, może się uda. Zerknęła na tatuaż. Nawet nie próbowała go zakryć. Nie miało to sensu, kiedy była naga. Mogła być Miriam albo Maliką, wszystko jedno. Rozejrzała się za dziewczyną o zapadniętych policzkach, ale nigdzie jej nie wypatrzyła. Przed sobą miała tylko mur innych wychudzonych ciał: zgarbione plecy, z cieniami na żebrach i kręgach, wystające kości biodrowe, pomarszczone worki, które kiedyś były piersiami i jędrnymi pośladkami. Kilka nowo przybyłych musiało usiąść na stołkach i więźniarki, weteranki Ravensbrück, sprawdzały im włosy. Na głowie, pod pachami i między nogami. Najmniejszy ślad wszy i wszystko będzie wygolone! Żadnych ale! Czy nie słyszały o tyfusie plamistym?! Jedna wesz równa się śmierć! Wszystkie powinny to wiedzieć. A te, które nie wiedzą, powinny to sobie zapamiętać! Po goleniu idą do łaźni. Jakieś obiekcje? Nie. To dobrze.

Miriam, kuląc się pośród grupy nagich Żydówek, głowiła się, jak przemycić jabłko podczas przeglądu wszy. Chociaż wiedziała, że to niemożliwe, nie mogła się zdobyć na otworzenie lewej dłoni i upuszczenie go na podłogę. Jeśli przyklęknie i schowa się za plecami innych, może uda jej się odgryźć kawałek lub dwa. Potem upuści jabłko. Albo włoży je do czyjejś ręki. Tak. Tak robi. To jedyne wyjście.

Przyklękła, mocniej chwyciła jabłko, uniosła lewą rękę i szybko się rozejrzała. Napotkała spojrzenie młodej dziewczyny mniej więcej w jej wieku. To nie była ta o zapadniętych policzkach. Wszystko jedno. Podniosła jabłko do ust, wciągnęła jego zapach, polizała woskową skórę, ugryzła, poczuła na języku biały miąższ. Kawałeczek uwiązał między dolnymi zębami. Błogi słodki smak.

I w sekundę później została powalona na podłogę. Jabłko wytoczyło się z jej dłoni i zniknęło.

– Miriam! Dziecko drogie! Co się stało? – powiedział Olof, kiedy otworzyła mu drzwi.

Na jego twarzy na pewno malował się niesmak. Miriam spuściła wzrok, dygnęła i milczała.

Za jej plecami pojawiła się Hanna i westchnęła.

– Przewróciła się. Biedactwo. Tak myślę... – Ściszyła głos, jakby zapomniała, że Miriam jest tuż obok. – Nic nie mówi. Nie wiem, co jej jest. Od wczoraj nie odezwała się ani słowem.

Miriam podniosła wzrok i przejrzała się w lustrze. Spuchnięta warga. Sine oko. Otarcia na nosie i czole. Spuściła wzrok i zamknęła oczy. Nie chciała oglądać zdartych ramion ani bandaża na kolanie. Ale pod powiekami zobaczyła pięciu młodych... i otworzyła oczy.

– Przed południem zaprowadziłam ją do doktora. Niestety, za późno. Nie mogli założyć szwów, więc na kolanie zostanie duża blizna. Ma zdartą skórę... To straszne... Nie wiem, co ją spotkało.

Głos Hanny brzmiał inaczej niż zwykle. Wyczuwało się w nim płacz. I coś jeszcze, coś trudnego do określenia. Irytację? Przez cały dzień nie mówiła o niczym innym, tylko o wiecznym pechu Miriam. Chyba że to było poczucie winy. Ale dlaczego Hanna miałaby się czuć winna? Przecież to nie ona ścigała ją ulicami, nie ona ją kopała, kiedy się przewróciła, nie ona... Dość. Nie rozpamiętywać. Zapomnieć. Zapomnieć. Zapomnieć. I przeżyć.

Olof położył kapelusz na półce i odwrócił się do niej. Nie mogła się przemóc, żeby podnieść wzrok, patrzyła na nogawki jego spodni. Szara flanela. Zdławiła impuls, żeby jej dotknąć. Wydawała się taka miękka.

– Dziecko drogie! – Olof podniósł prawą rękę i przez sekundę wyglądało na to, że chce ją do niej wyciągnąć, ale ją opuścił i lekko westchnął. – Zobaczysz, będzie dobrze... Zagoi się.

Miriam mruganiem odpędziła łzy, próbując się skupić na powiedzeniu czegoś po szwedzku, a nie po romsku czy po niemiecku. Nais. Danke. Jak to jest po szwedzku? Coś z tykaniem zegarka? Tik-tak^Z? Nie. Nie mogła sobie przypomnieć. Dziwne. Rozumiała, co mówią, a sama nie potrafiła powiedzieć ani słowa. Nie miała siły. Nie chciała. Chciała tylko leżeć w łóżku, z kołdrą na głowie. Ale to niemożliwe, bo przecież musiała pracować. Musiała gotować, odrabiać lekcje i przyzwoicie się zachowywać. Nie płakać. Nie krzyczeć. Nikogo nie pamiętać, nic nie pamiętać. Inaczej wyląduje na bruku. Zapomnieć. Zapomnieć. Zapomnieć. I przeżyć.

– Jak się dzisiaj czuje Marianne?

Głos Hanny zabrzmiał inaczej. Był krzepiący, dodawał otuchy.

Olof przesunął dłonią po czole, próbując odnaleźć podobny ton.

– Dziękuję. Trochę lepiej. Poznała mnie.

Hanna uśmiechnęła się, przechyliła głowę i zaszczębiotała:

– Świetnie! Niedługo stanie na nogi, zobaczysz...

Olof lekko się skrzywił.

– No nie wiem... Miejmy nadzieję.

Hanna chwyciła go za ramię i uśmiechnęła się rezolutnie, jakby to, żeby Olof podzielał jej optymizm, było sprawą najwyższej wagi.

– Absolutnie! Trzeba mieć nadzieję.

Znów odezwał się dzwonek u drzwi. Miriam pospiesznie podeszła i otworzyła, niemal odpychając Hannę. To nie może się powtórzyć. Musi być szybka, ale nie za szybka. Przeleciało jej przez głowę wspomnienie pięciu młodych groźnych mężczyzn... Natychmiast je odrzuciła. Zapomnieć. Zapomnieć. Zapomnieć. I przeżyć. Oczywiście za drzwiami nie stali żadni młodzi mężczyźni, tylko zasapany Egon, który wtaszczył swoje ciężkie ciało na drugie piętro. W prawym ręku trzymał bukiet kwiatów, trzy czerwone goździki i kilka cienkich zielonych gałązek, a w lewym zgnieciony papier. Zdumiał się, widząc Miriam, zamrugał powiekami i nie miał odwagi zatrzymać wzroku na jej twarzy.

– Nie przeszkadzam?

Hanna roześmiała się piskliwie i z pewną afektacją.

– Ależ skąd, mój drogi! Wchodź, wchodź...

Miriam usunęła się na bok, żeby go przepuścić, oparła się o ścianę i próbowała pokonać nagłą falę zmęczenia. Nie przewrócić się. Stać. Nie patrzeć nikomu w oczy. Zapomnieć. Zapomnieć. Zapomnieć. I przeżyć. Na szczęście nikt jej się nie przyglądał. Hanna i Olof, uprzejmie uśmiechnięci, stali twarzą do Egona.

Egon wyciągnął ku Hannie bukiet.

Hanna zapłonila się.

– Kwiaty? Ach, dziękuję...

Kilka razy zamrugowała powiekami, jakby miała łzy w oczach, i wsunęła nos w goździk, jakby się upajała jego zapachem. Egon spuścił wzrok i zwiesił ramiona. Miriam zdobyła się na wysiłek i wyciągnęła rękę po zgnieciony

papier w jego prawej dłoni. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, dał jej papier, i tyle, znów nie miał odwagi zatrzymać wzroku na jej twarzy.

– To mój brat Olof – powiedziała Hanna. – Olof, to mój przyjaciel Egon Bergsäter, o którym tyle ci opowiadałam...

Olof wyciągnął rękę i ciepło się uśmiechnął.

– Miło mi.

Egon skłonił z galanterią głowę, pokazując łysinę.

Wstać. Podać masło, ser i śledzie. Nie dać po sobie poznać, że jest głodna. Nie podnosić wzroku. Zebrać talerze do przystawek i wyjść do kuchni, precedzić sos przez sitko, sprawdzić, czy ziemniaki się ugotowały, nie wkładać gorącego ziemniaka do kieszeni sukienki, za żadne skarby, choćby nie wiadomo jak bardzo tego chciała, tylko wymknąć się do służbówki i schować go pod poduszką, potem zanieść do pokoju stołowego półmisek ziemniaków i warzyw, postarać się o lekki uśmiech, wrócić do kuchni po pieczeń i sos, podać, pobiec do kuchni po raz trzeci po galaretkę z jarzębiny z zeszłej jesieni, wyglądać jak zwykle, usiąść przy stole i mieć nadzieję, życzyć sobie, pragnąć, błagać, żeby nikt do niej nic nie mówił, nie patrzył na jej twarz ani nie roztrząsał, co jej się wczoraj przydarzyło.

Udało się. Bóg nareszcie był u siebie.

– Pomóc ci?

Olof stanął w drzwiach. Na półmisku, który przyniósł, leżało kilka cienkich plastrów udźca wołowego. Miriam odebrała od niego półmisek i zdecydowanie pokręciła głową. Nie. Nie potrzebuje pomocy. Zaraz jak Olof wróci do pokoju stołowego, weźmie trzy plastry i schowa je pod poduszką. Poczula ssanie w żołądku, głód znów dał o sobie znać. Ziemniak i trzy plastry pieczeni. W nocy się naje. Przynajmniej na jakiś czas.

Ale Olof nie zamierzał zostawiać jej samej z półmiskiem. Stał oparty o futrynę, kiedy wyjmowała ze spiżarki anielskie przysmaki. Kremówkę. Dżem z borówek. Sucharki pszeniczne namoczone w mleku. Nie mogła się powstrzymać i oblizwała dolną wargę.

Olof uśmiechnął się.

– Pysznie wygląda?

Miriam czuła, że się czerwieni, i nagle coś w niej pękło, uśmiechnęła się i spuściła wzrok.

– Tak. To moje ulubione.

Odezwała się. Mówiła po szwedzku. Olof uśmiechał się do niej.

Momentalnie wszystko było tak, jak powinno.

– No to musisz sobie nałożyć dużą porcję!

Roześmiała się. Miała uczucie ciągnięcia w górnej wardze. Zapomniała i przeżyła!

– Ani za dużą, ani za małą. Taką w sam raz.

Olof nie przestawał się uśmiechać. Jego uśmiech ją opromieniał i ogrzewał, chciała wyciągnąć do niego ręce, ale naturalnie tego nie zrobiła. Wyjęła anielskie przysmaki, wzięła talerzyki deserowe, ominęła Olofa i weszła do pokoju stołowego. Pierwszy talerzyk postawiła przed Egonem, drugi przed Hanną, trzeci na miejscu Olofa, czwarty na swoim i, tak jak należało zrobić, zabrała solniczkę i pieprzniczkę.

Hanna śledziła ją spojrzeniem.

– Lepiej się czujesz, Miriam?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Tak, dziękuję. Dużo lepiej.

– I mówisz! To dobrze!

Hanna uśmiechnęła się i popatrzyła na Egona. Szybko odwzajemnił jej uśmiech i uciekł spojrzeniem.

– To straszne – powiedziała Hanna, kiedy po kolacji przenieśli się do salonu, żeby napić się kawy. – Dziesięć lat po nocy kryształowej mieszkańcy Jönköpingu prześladują *tattare*. Straszne!

Olof, znów poważny, milczał i wpatrywał się w dal. Egon siedział rozparty w fotelu, który do tego wieczoru był wyłączną własnością Hanny. Podniósł filiżankę, wypił łyk i z aprobatą pokiwał głową. Wydawał się pewniejszy siebie. Już nie miał rozbieganych oczu.

– To skandal – powiedział, patrząc na Hannę. – Nie znajduję innego słowa.

– A widziałeś, co opublikowali w „Smålands Folkblad”?

Egon uśmiechnął się.

– Nie. Nie czytuję tej popołudniówki...

Hanna wypila łyk kawy, odstawiła filiżankę i sięgnęła do gazetnika.

– Ja też nie, ale kiedy usłyszałam, że się o tym mówi... Sam zobacz. Czytaj.

Egon poklepał się po kieszonce marynarki i zmarszczył czoło.

– Niestety. Chyba zapomniałem okularów.

– Mogę ci przeczytać. Zaraz się dowiesz!

Miriam przysunęła się bliżej rogu kanapy, jakby chciała tego uniknąć. Znała ten wiersz. Hanna przeczytała go jej, kiedy obierała ziemniaki. Poczuła wtedy lekkie mdłości. Teraz może też je poczuje.

Hanna odchrząknęła, podniosła gazetę i czytała drżącym głosem:

*Mają serca waleczne i silne ramiona,
Są postrachem tattare, każdy się ich boi,
To wschodniej dzielnicy godna ochrona,
Choć na ich czele prosty szofer stoi.
Ich bicepsy ze stali, mężnie bronią kobiet,
I nie ma zmiłuj, bo płynie w nich wikingów krew,
Przyświeca im jedno: oddać wet za wet,
A nasi chłopcy czują swojej krwi zew.
Wymierzają tattare ciosy prosto w twarze,
Są gotowi stanąć do walki w każdej chwili,
Choć nie noszą mundurów jak gliniarze,
Burdy tattare dzielnie ukrócili.*

Opuściła gazetę i spojrzała na Egon.

Bezradnie pokręcił głową.

– To skandal. Że też im nie wstyd...

Hanna prychnęła.

– Socjaliści! Nareszcie pokazali swoją prawdziwą twarz.

– Zaczynają im puszczać nerwy – powiedział Egon. – Wczoraj poszło trochę za daleko. Motłoch wdarł się do mieszkań *tattare* i wielu pobił...

– Tak, wiem to od naszego dozorca. Mieszka tam i jest... W każdym razie ktoś wyskoczył z okna, w jakimś mieszkaniu wybuchł pożar i Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby nie policja...

Egon westchnął.

– Powinni byli przyjechać wcześniej. Nie rozumiem, dlaczego nie interweniowali. Przecież Asta powiedziała, że tak było od kilku dni... Przechodziła tamtędy któregoś wieczoru i widziała gromadzące się tłumy.

Z każdym dniem ludzi przybywało.

Hanna ściągnęła usta, wołała, żeby jej nie przypominać o Aście, zwłaszcza nie o tym, że Asta miała rację.

– No tak, teraz to się pewnie skończy. Po tym wszystkim policja zadba o porządek na Östra Torget. Ludzi odwożono do szpitali, a niektórych zabrano na komendę, żeby ich chronić.

Miriam zamknęła oczy. Pod powiekami znów pojawiło się pięciu młodych mężczyzn. Śmiali się. Kiedy otworzyła oczy, napotkała spojrzenie Hanny. Patrzyła na nią jak zwykle.

– Droga Miriam, Nippon powinien się trochę przewietrzyć. Czy mogłabyś...?

Miriam wstrzymała oddech. To był rozkaz. Szwedzi zawsze wydawali rozkazy w formie pytań. Mogłabyś? Chciałabyś? Masz ochotę? Nie można odmówić. Nie, jeśli było się uchodźcą. Nie, jeśli miało się zbyt ciemne włosy. Nie, nawet jeśli poprzedniego wieczoru zostało się pobitym i odczuwało paniczny strach przed wychodzeniem z domu.

Pochyliła głowę.

– Naturalnie.

Powiedziała to szeptem. Olof zamrugał oczami, popatrzył na nią i spojrzął na zegarek.

– Ja też pójdę. Mam pociąg za trzy kwadranse.

Hanna zmarszczyła czoło.

– Dojście na stację nie zajmie ci trzech kwadransów...

Olof wstał i poprawił krawat.

– Wiem, ale lubię być przed czasem.

On widział i zrozumiał.

– Nie bój się – powiedział, przytrzymując drzwi wejściowe, żeby przepuścić Miriam i Nippona. – Zostanę z tobą, dopóki Nippon nie zrobi, co trzeba.

Miriam wymruczała „dziękuję” i rozejrzała się. Na ulicy pusto. Przytłumione wieczorne światło. I cisza. Nikt nie wrzeszczał w oddali, z kwater *tattare*. Nie wyli żadni młodzi mężczyźni. Nie krzyczała żadna dziewczynka.

– A pociąg...

Olof włożył ręce do kieszeni spodni. Jego cienka marynarka wydawała się równie miękka jak spodnie. Rękawy układały się w eleganckie fałdy powyżej nadgarstków.

– Mam dużo czasu.

Na moment zapadła cisza. W głowie Miriam zakłębiło się od myśli, miała jeden wielki mętlik. Jak się zachodzi w ciążę? Kto to właściwie jest *tattare*? Pięciu młodych mężczyzn śmieje się... Nie. Przystanęła w pół kroku i zatkała uszy dłońmi. Nie zwariować. Nie wolno jej zwariować.

Olof delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

– Jak się czujesz? Jesteś chora?

Opuściła ręce, zamrugała powiekami i odchrząknęła.

– Nie, tylko trochę zakręciło mi się w głowie.

Dobrze. Rozsądna odpowiedź. Ale Olof się tym nie zadowolił.

– Co się tak naprawdę stało?

Czy mogła powiedzieć? Czy mogła powiedzieć, że goniło ją pięciu młodych mężczyzn, że potknęła się o smycz Nippona i upadła, że krzyczała, że Nippon szczekał, że jeden z tych mężczyzn kopnął ją w twarz, tak, młody blondyn z Jönköpingu kopnął ją w twarz, drugi w brzuch, a trzeci ciągnął ją za włosy, mocno, bardzo mocno, tak mocno, że myślała, że już po niej, że wyzywali ją od pierdolonych *tattare* i cygańskich kurew i kiedy usłyszeli wyjące syreny, momentalnie zniknęli, zniknęli tak szybko, że nie wiedziała, czy na pewno tam byli? Nie. Nie mogła tego powiedzieć. Olof mógłby nabrać podejrzeń, że być może rzeczywiście jest pierdoloną *tattare* albo cygańską kurwą, że nie jest tragicznie doświadczoną Żydówką z dobrej rodziny, za jaką się podaje. Dlatego musi wykrzesać z siebie uśmiech. Nie ma innego wyjścia.

– Niezdara ze mnie – powiedziała z grymasem na twarzy. – Potknęłam się i upadłam.

Dobrze. Niemal tak dobrze jak chwilę wcześniej. Przyjemne uczucie. Uspokajające.

Olof chyba uwierzył, ale kontynuował przesłuchanie.

– Czy doktor, u którego byłaś wczoraj przed południem, zbadał ci wzrok?

Kiwnęła głową.

Olof zmarszczył brwi.

– Mimo to musisz przez jakiś czas uważać na siebie. Mogłaś doznać lekkiego wstrząsu mózgu.

Lekkiego czego? Obrzuciła go spojrzeniem. Oczy Olofa były ciemnoszare jak zimowy zmierzch. Nippon pociągnął za smycz, chciał na trawnik przed kościołem. Poszli za nim, całkiem niezamierzenie przecinając jezdnię równym krokiem.

– Jeśli nadal będziesz miała zawroty głowy, koniecznie musisz o tym powiedzieć Hannie.

– Dobrze, obiecuję.

Teraz w jej głowie był spokój. Żadnego mętliku. Żadnych dziwnych myśli. Żadnych wspomnień. Zatrzymała się, żeby Nippon mógł się wysikać pod latarnią, i zmieniła temat.

– Czy mógłbyś mi coś wyjaśnić?

Olof odwrócił się do niej, spokojnie wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wytrząsnął jednego, włożył do ust i zaczął szukać zapalek.

– Oczywiście – powiedział. – Co takiego?

Miriam odczekała, dopóki nie zapalił papierosa i się nie zaciągnął, po czym wzięła głęboki oddech i spytała:

– Czy mógłbyś mi wyjaśnić, kto to właściwie jest *tattare*?

Olof roześmiał się i wsunął pudełko zapalek do kieszeni marynarki.

KIEDY WSCHODZI TRAWA I ZBOŻ8

*Co to za czas, co to za rok
kim jestem, jakie noszę imię?*

Erik Lindorm

I przychodzą. Zmęczenie. Wyczerpanie. Rezygnacja. Wylewają się tak jak zawsze, niesione falą tajemnic i wspomnień, przewalają się przez nią, przez moment czuje, jak pęka szkielet, jak kręgosłup ściera się na proch, jak kręgi szyjne zamieniają się w żwir, w piasek, w nic. Gdyby stała, upadłaby, nie zdołałaby odwrócić głowy ani wyciągnąć rąk, żeby się ochronić, po prostu upadłaby twarzą na ziemię, ale teraz nie stoi, teraz siedzi na ławce w parku miejskim w Nässjö i da się zauważyć tylko tyle, że kiwa głową, broda opada i garbia się plecy. To nic nie znaczy. Ot, zmęczona kobieta. Starsza pani, która nie ma dość sił, żeby obejść jezioro.

W parku jest cicho. Słońce stoi wysoko na bezchmurnym niebie. Lśni nieruchoma tafla Ingsbergssjön, wiatr nie szepce w przybrzeżnych szuwarach, ptaki już nie świergoczą w krzakach. W mieście też jest cicho, w oddali słychać jedynie jakiś samochód, kierowca zmienia bieg, silnik pracuje inaczej, po chwili dźwięk milknie.

Spokojnie, myśli Miriam, tylko spokojnie. Trzymaj się. Dzisiaj powiedziałaś za dużo. Dwa razy. Rano, że nie jesteś Miriam, co jest albo nie jest prawdą, co na jedno wychodzi, bo nikt nie zareagował, nie odezwał się ani słowem. Owszem, zauważyłaś zakłopotanie w ich oczach, ale prawie natychmiast zniknęło. Nie zrozumieli, więc puścili to w niepamięć. A przed chwilą zaczęłaś mówić o pięciu młodych groźnych mężczyznach w Jönköpingu. To też bez znaczenia. Na pewno już nie żyją, a jeśli żyją, nie są groźni. To starcy. Jesteś silniejsza od nich. Oni nie mogą cię zabić, za to ty z łatwością mogłabyś zabić ich, wszystkich pięciu, opowiadając o tym, co zrobili. Ale tego nie chcesz. Jedyne, czego chcesz, to wziąć się w garść. Chcesz dalej milczeć i się uśmiechać. Milczeć i uśmiechać się, jak milczałaś i uśmiechałaś się przez sześćdziesiąt osiem lat.

I ta reprimenda pomaga. Czuje, jak plecy się prostują, broda podnosi i piasek w karku zespala. Znowu jest sobą. Wprawdzie wyczerpana, ale nie aż tak, żeby ktokolwiek to zauważył. Posyła Camilli uśmiech, absolutnie prawdziwy uśmiech, który jest jednak swoistym kamuflażem, chustą maskującą wszystkie myśli i wspomnienia.

Camilla jest oczywiście ciekawa i nie daje jej spokoju:

– Co się wtedy stało w Jönköpingu?

– E tam – mówi Miriam lekkim tonem. – Na dobrą sprawę wcale nie było tak groźnie. Po prostu pewnego wieczoru, kiedy wyszłam na spacer z psem Hanny, goniła mnie banda młodych mężczyzn...

– Oj. Skrzywdzili cię?

Miriam przenosi wzrok na Ingsbergssjön i patrzy w dal.

– Nie. Właściwie nie. Przewróciłam się i wtedy się przestraszyli...

Cios w brzuch. Kopniak w plecy. Drugi w twarz. Ktoś chwycił ją za włosy i pociągnął głowę w tył i do góry. Gardło się zacisnęło, miała uczucie, że znowu jest w Ravensbrück, w Auschwitz, że za chwilę zabraknie jej powietrza, że... Nie, nie będzie o tym mówić.

Ale Camilla wydaje się wystraszona.

– Uff, to okropne... Ale dlaczego gonili akurat ciebie?

Miriam uśmiecha się swoim uprzejmym, dorosłym i uspokajającym uśmiechem i poklepuje Camillę po dłoni.

– To było podczas rozruchów wymierzonych w *tattare*. Pewnie wzięli mnie za *tattare*.

Ciągle słyszy ich wyzwiska. „Pierdolona *tattare*! Cygańska kurwa! Pierdolona *tattare*! Cygańska kurwa!”

Camilla jest wyraźnie zdziwiona.

– Rozruchy wymierzone w *tattare*?

– Tak. – Miriam przesuwając dłoń po czole, jakby chciała odgarnąć niesforny lok, mimo że włosy leżą nienagannie. – Nic o tym nie słyszałaś? Jak dobrzy mieszkańcy Jönköpingu wyszli latem czterdziestego ósmego roku na ulice, żeby przepędzić *tattare*?

– Boże! Nie. Nic a nic...

– Tak. Tak było. Około tysiąca osób zgromadziło się na Östra Torget, żeby popatrzeć, jak *tattare* dostają lanie.

Camilla potrząsa głową.

– Jezu. Szczyt głupoty. *Tattare*? Jak się nie ma żadnych czarnuchów, to trzeba ich wymyślić.

Miriam znowu się uśmiecha. Tak, tak to jest. Szwedzi znaleźli swoich czarnuchów tuż po wojnie. Ale teraz nic więcej nie powie, zamyka oczy i zwraca twarz do słońca.

– Dzisiaj jest naprawdę piękna pogoda – mówi po chwili.

– Tak – przyznaje Camilla. – Przepiękna.

Camilla też zwraca twarz do słońca, które maluje świat pod powiekami na pomarańczowo, żółto i czerwono. Stara się nie myśleć o jego plusach i minusach. Plus to witamina D, która tworzy się w komórkach. Minus to zbyt szybki podział komórek. Nie musi o tym myśleć w każdej sekundzie swojego

życia. Tak postanowiła. Przecież przez tysiące lat ludzie nie mieli pojęcia o dobrodziejstwie witaminy D dla obrony immunologicznej organizmu i nie chronili ani siebie, ani swoich dzieci, nakładając grube warstwy kremu przeciwsłonecznego.

– I jak skończyli? – W jej wspomnieniach Max wykrzywia się w szyderczym uśmiechu. – Wszyscy nie żyją!

Camilla uśmiecha się, otwiera oczy i przygląda się babci. Miriam siedzi wyprostowana na krawędzi ławki, z torebką na kolanach, i patrzy przed siebie, w dal, ale czując na sobie jej spojrzenie, mruga przez chwilę powiekami, jakby się przed chwilą obudziła, i marszczy brwi.

– Co cię tak bawi?

– Ech. Pomyślałam o czymś...

– O czym?

– Co Max powiedział jakiś czas temu...

– Twój narzeczony?

Camilla chichocze. Narzeczony!

– Nie. Boże! Max nie jest moim narzeczonym.

– A kim?

– Tatą Sixtena. To wszystko.

Miriam patrzy na lśniącą taflę jeziora i wzrusza ramionami.

– Chyba nigdy tego nie zrozumiem.

– Czego?

– Że macie dziecko i nie chcecie ze sobą być.

– Próbowaliśmy. Naprawdę. Ale tylko boczyliśmy się na siebie, działaliśmy sobie na nerwy, narzekaliśmy, zrządziliśmy i płomień zgasł.

– Jaki płomień?

Miriam jest autentycznie zdziwiona.

Camilla wzrusza ramionami.

– Miłość. Zakochanie.

Miriam leciutko unosi brwi. Wie, że palnęła głupstwo, ale jest to coś, co jej nie dotyczy.

– Zakochanie? Aha. No tak.

Siedzą przez chwilę w milczeniu i rozglądają się. Tuż obok szemrze strumyk, nad strumykiem wysklepia się mostek, a tuż za mostkiem rośnie dorodna wierzba. Gęste przybrzeżne szuwały nagle zaczynają się kołysać, na zieloną trawę wychodzi kacza mama z siedmioma żółtymi puchowymi kulkami i na widok Camilli i Miriam zamiera, posyłając im wrogie spojrzenie.

Camilla znów się uśmiecha.

– Zobacz! Ta kaczką wygląda tak, jakby była na nas wściekła.

Miriam odpowiada uśmiechem i wstaje.

– Idziemy? – pyta i nie czekając na odpowiedź, odchodzi parę kroków.

Camilla od razu się podrywa, wkłada rękę pod ramię Miriam i zaczyna mówić. Tak bardzo chciałaby z nią porozmawiać, chciałaby przywołać ten czas, kiedy babcia zawsze słuchała i interesowała się, kiedy rozumiała i potrafiła pocieszyć.

– Jak to było, kiedy żył dziadek? Byliście przecież małżeństwem przez kilkaset lat. Nigdy nie byliście źli na siebie?

Miriam lekko poklepuje ją po dłoni. Teraz to jej kolej, żeby się roześmiać, acz dość oschle.

– Nie. W każdym razie nie przez pierwsze czterdzieści lat... Wydaje mi się, że raz byłam na niego trochę zła w połowie lat dziewięćdziesiątych. Ale głównie dlatego, że się niepokoiłam.

Camilla zatrzymuje się.

– Żartujesz?

– Nie. Ani trochę.

– Przez czterdzieści lat ani razu nie byłaś na niego zła?

– Nie byłam.

Camilla usiłuje ukryć rozczarowanie. Babcia kłamie. Po raz pierwszy w życiu jest przekonana, że babcia ją okłamuje.

– Ale przecież na pewno byłaś zirytowana! – mówi w końcu. – I niezadowolona.

Miriam słyszy cień zawodu w głosie Camilli i intensywnie się zastanawia. Tak. Naturalnie. Piwniczny chłopiec. Wtedy niemal wydarła się na Olofa, ale to przykre wspomnienie, trochę przerażające, które za wszelką cenę postanowiła wyprzeć. Nigdy nie będzie w stanie opowiedzieć Camilli o chłopcu i jego matce. Bierze głęboki oddech i usiłuje myśleć o innych

dniach. O tysiącach dni, kiedy była żoną Olofa. Doświadcziała opiekuńczości i sama była opiekuńcza. Jasne, że czasami się irytowała, zwłaszcza kiedy czuła się jak postać drugoplanowa. Olof był, rzecz jasna, postacią główną, ze swoimi dobrymi i złymi nawykami. Niezwykle rozmowny, ale nie umiał słuchać. Sterta brudnych skarpet i kalesonów na podłodze w sypialni. Co rano filiżanka po herbacie, okruchy i rozłożona gazeta na stole w kuchni. I raz czuła się nieco upokorzona, kiedy położył rękę na koncie bankowym. Jakby nie miała prawa wiedzieć, ile zaoszczędzili przez kilkadziesiąt lat małżeństwa, jakby wciąż była tylko pomocą domową albo przypadkowym gościem w ich domu.

Lekko wzdycha.

– Tak. Może i tak. On też irytował się czasem z mojego powodu, ale...

Ale ja miałam za dużo do stracenia, myśli Miriam. Więc z wyjątkiem piwnicznego chłopca pilnowałam się, żeby nie wywoływać awantur. Ten, kto się awanturuje, ryzykuje zdemaskowanie, a ja nie chciałam zostać zdemaskowana. Dlatego się uśmiechałam, dlatego milczałam, dlatego kłamałam. Co by się stało, gdybym powiedziała prawdę? Gdybym któregoś dnia poszła do Olofa i powiedziała, że jestem Romką. Cyganką. Że pochodzę z tego samego narodu, co ci, którzy rozłożyli swój obóz na cyplu Adeli? Czy nie miałabym prawa mieszkać w domu, gotować na elektrycznej kuchni, prać w tej wspaniałej pralce, którą mi kupił? Czyby mnie wyrzucił? Albo cofnął się o krok, popatrzył na mnie z odrazą i otwarcie uznał za służącą, którą i tak byłam? A gdyby mnie wyrzucił, czy mogłabym znowu być Romką? Czy ja w ogóle byłam wtedy Romką? Czy teraz jestem Romką? A może jestem nikiem? Ani Romką, ani Żydówką, ani Niemką, ani Szwedką?

Nigdy wcześniej o tym nie myślała. Ta myśl ją niepokoi. Czuje, jak sztywnieje jej ciało, i natychmiast głęboko oddycha, żeby się rozluźnić. Camilla nie może niczego zauważyć. Nikt nigdy nie może niczego zauważyć.

– Ale co? – dopytuje Camilla.

Miriam lekko się uśmiecha.

– Nigdy nie dopuściliśmy do tego, żeby to zaszło za daleko, żebyśmy się zaczęli kłócić. Jak wiesz, odpowiedź łagodna uśmierza gniew.

Camilla parska.

– Cytat z Biblii! Tylko tyle masz do powiedzenia?

Miriam uśmiecha się szerzej.

– Tak. Stary Salomon znał się na rzeczy.

– Ha! – Camilla obrusza się. – Wybacz, ale do tego gościa nigdy nie

miałam zaufania.

Są teraz przy kamieniu pamiątkowym, tym ku czci miejscowych bohaterów. Zapominają o Salomonie i jego ewentualnej mądrości, podchodzą bliżej, jak zwykle podczas swoich spacerów, i cicho odczytują inskrypcję. „Ten kamień wzniesiono w roku 1938 na pamiątkę mężnej obrony rodzinnych stron przez lud w roku wojny 1612, kiedy Gustaw II Adolf był królem Szwecji”.

– Czterysta jeden lat – mówi Miriam i potrząsa głową. – Czterysta jeden lat pokoju w tym mieście...

– Ech – mówi Camilla. – Czterysta jeden lat temu nie było tu żadnego miasta, tylko paru wychudzonych chłopów i cierpiących głód zagrodników...

Miriam kiwa głową. To oczywiście prawda. Mimo wszystko ten kamień dużo dla niej znaczy. To jej sekretny monument z jej pierwszych lat w Nässjö, memento, że jednak istnieje takie miejsce, które daje poczucie bezpieczeństwa i niesie pociechę, choćby nawet pod pewnymi warunkami. Wciąż pamięta swój zachwyt, gdy pewnego ranka sześćdziesiąt pięć lat temu, spacerując z wózkiem, zobaczyła go pierwszy raz, jak ziemia zadrżała pod jej stopami i jak się wzruszyła, kiedy zdała sobie sprawę, że w Nässjö od trzystu trzydziestu sześciu lat panował pokój. Uznała, że to miasto jest najlepszym schronieniem na ziemi, że nigdy go nie opuści, że przyłgnie do tego miejsca na zawsze, bez względu na koszty. Koszty, owszem, poniosła, cena jednak nie była zbyt wysoka. Milczenie, kłamstwo i usługiwanie mogą być wprawdzie udawką, ale do zniesienia, nieskończenie łatwiejszą do zniesienia niż niektóre prawdy. Poza tym ten kamień przypomina lata młodości Camilli. Nastoletnia Camilla chciała go wysadzić, bo był „głupi”, rozbić w drobny mak, bo pod tą nabożną czcią wobec stron rodzinnych wyczuwała coś mrocznego i obrzydliwego. Ale to już odległa przeszłość. Teraz się tym nie przejmuje. Teraz przekrzywia głowę i patrzy na nią.

– Dlaczego wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, byłaś zła na dziadka?

– Bo przepadł na cztery godziny i nie wiedziałam, gdzie jest.

– Oj! Był u innej?

Miriam robi grymas. Młodzież myśli jednotorowo.

– Nie. Zabłądził.

– Zabłądził? W lesie?

– Nie. W Nässjö. Nie umiał trafić do domu.

– Aha. To była jego...

– Tak, to były pierwsze oznaki alzheimera. Potem miałam poczucie winy, że tak się zezłościłam.

Camilla zastanawia się nad tym, co usłyszała, i głęboko wzdycha.

– Chcesz powiedzieć, że przedtem naprawdę nie byłaś na niego zła? Ani razu przez czterdzieści lat?

Miriam uśmiecha się i znów poklepuje Camillę po ręku.

– Tak. Właśnie to chcę powiedzieć.

– Ale jak to możliwe? Jak można żyć z kimś przez czterdzieści lat i ani razu się nie wkurzyć?

Miriam uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Bo uważałam, że trafiłam do raju. I uważałam, że zawdzięczam to Olofowi.

Camilla ma niezdecydowaną minę.

– Uważałaś, że Nässjö to był raj? Nässjö?

Miriam śmieje się.

– Tak. Nässjö. Dom. Ta rodzina. To był raj. I to jest raj.

– Boże – mówi Camilla z autentycznym współczuciem. – Biedactwo.

Nigdy nie zapomni tamtego ranka. Pierwszego ranka w Nässjö.

Obudziła się bardzo wcześnie, tuż przed szóstą. Budzik jeszcze nie zadzwonił, Thomas jeszcze się nie obudził i nie zaczął krzyczeć, leżał cichutko w swoim koszu, jego długie rzęsy ocieniały policzki. Wyglądał na trochę zdziwionego, jakby śnił o czymś absolutnie zdumiewającym. Może chodziło o kolor? Parę dni temu Miriam myła go czerwoną myjką i ledwie ją zobaczył, rozdziawił buzię. Czerwony! Jak mogło istnieć coś tak niebywałego jak czerwony kolor? Cóż to za dziwny świat, w jakim się znalazł? Miriam zachichotała i przez blisko pół minuty, zanim umyła mu pupcię, pokazywała mu myjkę, żeby mógł się napatrzeć. A tamtego ranka tylko się uśmiechnęła i od razu wyłączyła budzik. Lepiej, żeby obudził się łagodnie i leżał na wpół śpiący na przewijaku, kiedy będzie mu zmieniała pieluchę.

Potem owinęła go w jasnoniebieski bawełniany kocyk, wzięła na rękę i pospieszyła do kuchni. Thomas leżał z główką na jej ramieniu i cicho pojękiwał. Poglaskała go po plecach i otworzyła lodówkę. Tak. Stał tam. Stał dzbanek z mlekiem kobiecym, który Hanna wstawiła poprzedniego wieczoru. Miriam sięgnęła po niego, zastanawiając się w duchu, czy – jak twierdziła Hanna – lodówka na pewno zda egzamin, czy mleko zachowa świeżość nie tylko przez noc, ale i przez cały dzień. Dzbanek był bardzo chłodny. Czym prędzej włączyła kuchenkę i dopiero wtedy wyjęła garnek i odkręciła wodę. Ciepłą wodę. Cudownie gorącą wodę prosto z kranu. Napełniła garnek i postawiła na kuchence. Zaszumiało, kiedy krople wody, które dostały się pod, dotknęły rozgrzanej fajerki. Przeleła część mleka do butelki ze smoczką i wstawiła butelkę do garnka. Dzbanek z resztą mleka schowała do lodówki. Położyła stuloną dłoń na główce Thomasa, pocałowała go w policzek i potem się rozejrzała.

Kuchnia była fantastyczna. Duża. Ekskluzywnie wyposażona. Wspaniała wypukła lodówka o obłym kształcie. Szare szafki, co prawda trochę porysowane, ale było ich mnóstwo. Miriam szybko je policzyła. Dwadzieścia dwie. W tej kuchni były dwadzieścia dwie szafki! Na blacie stała jasnoniebieska puszkę, chyba z plastiku, Miriam podniosła ją i dokładnie obejrzała. Była bardzo lekka. Próbowała ją odkręcić, ale bez powodzenia, bo przecież trzymała Thomasa. Zaszumiała woda na kuchence. Oj! Mleko nie może być za gorące. Odstawiła puszkę i podeszła do kuchenki. Dotknęła butelki. Ciepła. Potem z trudem nakapała trochę mleka na rękę, którą obejmowała Thomasa. W sam raz.

Teraz go nakarmi.

Nie zapalała światła w pokoju dziennym, usiadła w niebieskim fotelu i ułożyła Thomasa. Jadł z przymkniętymi powiekami, jakby dawał do

zrozumienia, że nie śpi i że się delectuje. Uśmiechnęła się, ciaśniej owinęła go kocym, odchyliła się i spojżała w okno. Październikowy poranek. Siwa mgiełka. Widok na ołowianoszare Ingsbergssjön. Cętki żółtego światła za nagimi drzewami miejskiego parku. Latarnie uliczne.

To było miasto bez ruin. Prawie nowo wybudowane. Niezbombardowane. Miasto tak spokojne, bezpieczne i zamożne, że było je stać na pałace się przez całą noc latarnie. Miasto tak nowoczesne, że w niektórych kuchniach były lodówki i gorąca woda w kranie. I tutaj siedziała ona, kimkolwiek była, Miriam albo na wpeł zapomniana Maliką, w ciepłym pokoju w dużej willi, z dzieckiem w ramionach. Dzieckiem, które pokochała.

– W domu – powiedziała do siebie półgłosem. – Nareszcie jestem w domu.

To Miriam od początku opiekowała się Thomasem. Ona i Hanna odebrały go ze szpitala dziesięć dni po śmierci Marianne i przywiozły do Hanny. Olof nie pokazał się ani razu, ale Hanna codziennie rozmawiała z nim przez telefon. Załatwiła formalności pogrzebowe, skontaktowała się z rejonową poradnią dziecka i stowarzyszeniem Kropla Mleka, a Miriam zajęła się Thomasem. To ona pilnowała, żeby co cztery godziny podać mu butelkę z mlekiem obcej kobiety, to ona szybko nauczyła się składać sześć warstw ligniny w grubą i niezawodną pieluszkę, to ona co rano myła jego ciało myjką namoczoną w letniej wodzie, to ona prała jego koszulki, lekko krochmaliła i prasowała nakładane kołnierzyki, to ona wstawiała do niego w nocy i nosiła na rękach, kiedy krzyczał i nie mógł zasnąć. A kiedy Hanna wychodziła do pracy, to Miriam była przy nim. Siadała na sofie w salonie i długo pozwalała mu spać w jej ramionach. Nie odkurzała, nie odrabiała lekcji, siedziała i śpiewała mu romskie kołysanki. Wspominała Didiego. Wspominała Anuszę. Wspominała nawet swoją mamę, choć zaledwie przez ułamek sekundy. Ale już nie płakała. Opłakiwała przeszłość w milczeniu i cieszyła się w duchu na to, co przyniesie przyszłość. Thomas dorośnie. Nikt nie będzie go prześladował. Nikt nie będzie go głodził. Nikt go nie zagazuje. Nikt nie spali go razem z tysiącami innych. Będzie żył, będzie się bawił i nauczy się wszystkiego, czego powinni się nauczyć mali chłopcy.

Pewnego dnia usłyszała Anuszę śpiewającą starą romską kołysankę i Didiego, który jej zawtórował swoim jasnym chłopięcym głosem:

Chutem kuna tala e pruna,

E chavore tev da kuna...

Nie mogła się powstrzymać i zaśpiewała z nimi:

Wieszam kołyskę na śliwie.

Żeby cię kołysać, mój synku.

Deszcz spadnie i cię obmyje.

Liście spadną i cię okryją.

Wiatr ukołysze cię do snu.

Koza przyjdzie i cię nakarmi.

Śpij, synku, śpij, maleńki.

Słuchaj głosu matki i nie płacz⁹.

Ku własnemu zdziwieniu poczuła lekkie rozgoryczenie. Dlaczego siedzi w salonie Hanny i śpiewa kołysankę dziecku obcej kobiety, dlaczego nie śpiewa jej swojemu braciszce? Przeraziła ją ta myśl i natychmiast postanowiła o niej zapomnieć, rzucić w niepamięć. Nie może być zła, zirytowana i udręczona, nie wolno jej – pod żadnym pozorem! – okazywać swoich lęków. Nigdy, przenigdy. Nikogo nie może irytować. Nikomu nie może zawadzać. Musi perfekcyjnie zajmować się dzieckiem, które powierzono jej opiece. Musi się uprzejmie uśmiechać, mówić łagodnym głosem, musi być uprzedzająco miła, uległa i nic nieznacząca, żeby nikomu nie przyszło na myśl, żeby się jej pozbyć.

Udało się. Nieco ponad sześć tygodni później jej życie nareszcie było doskonałe. Pojechała do Nässjö, dostała łóżko w pokoju Thomasa i Hanna zapewniła ją, że od tej chwili będzie traktowana jak jego opiekunka i pomoc domowa Olofa, którego wciąż nie miała okazji zobaczyć. Hanna była przekonana, że sobie poradzi. Na wszelki wypadek zapisała na kartce numer telefonu do siebie i Egona i pokazała jej, co trzeba zrobić, żeby do nich zadzwonić. I włożyła do jej torebki banknot pięćdziesięciokoronowy. Pięćdziesiąt koron! Miriam poczuła ciepło w całym ciele. Tego, kto ma w torebce pięćdziesiąt koron, nigdy nie spotka nic złego!

Stuknęły drzwi, w holu zapaliła się mała lampa ścienna i sekundę później w drzwiach pokoju dziennego stanęła Hanna. Była w nowej ciemnoniebieskiej podomce i miała siatkę na włosach podtrzymującą jej loki; prawdę mówiąc, niezbyt twarzową. Ale co to za różnica? Egon przywiózł ją, Miriam i Thomasa z Jönköpingu do Nässjö swoim dużym samochodem, ale nie chciał wejść, zaniósł tylko do schodów kosz dziecięcy i wózek i odjechał. Miriam zauważyła, że to zaniepokoiło Hannę, która oczywiście nic nie powiedziała. Hanna nie zwykła mówić o tym, co ją niepokoi. Oczywiście, że nie.

Teraz wsunęła ręce do kieszeni podomki i przekrzywiła głowę. Za nią coś zaskrobało na podłodze. To senny Nippon przydreptał za swoją panią.

Hanna zdławiła ziewnięcie.

– Dzień dobry, Miriam. Wszystko dobrze?

– Dzień dobry. – Miriam uśmiechnęła się. – Wszystko wspaniale. A jak Hanna się czuje? Czy Hanna dobrze spała?

Hanna pokiwała głową i ukryła kolejne ziewnięcie, zasłaniając usta dłonią.

– O tak. Ale nie przywykłam do wstawania o tak wczesnej porze...

– To proszę się położyć. Obudzę Hannę, kiedy śniadanie będzie gotowe.

Hanna pokręciła głową i weszła do pokoju. Cicho sunąc porannymi pantoflami po jodełkowym parkiecie, podeszła do sofy, usiadła, lekko się pochyliła i spojrzała na Thomasa.

– Czy on dobrze się czuje? – zapytała z wahaniem.

Miriam skinęła głową.

– Absolutnie. Głodny jak zwykle, ale zadowolony z życia...

Hanna westchnęła.

– Biedactwo. Jakie to szczęście, że ma ciebie.

Miriam popatrzyła na malca w swoich ramionach.

– Muszę dzisiaj wracać do domu – odezwała się po chwili Hanna i znów westchnęła. – Rozumiesz to, prawda?

Miriam przytaknęła. Thomas z siorbnięciem wypił ostatnie krople mleka z butelki.

– Wystarczy, że przygotujesz lunch i kolację – powiedziała Hanna na jednym oddechu. – Nie rób nic innego, nie sprzątaj i tak dalej.

Miriam podniosła Thomasa, położyła jego główkę na ramieniu i delikatnie poklepała po pupie.

– Oczywiście. Przecież jest niedziela.

Hannie chyba ulżyło.

– Olof nie jest religijny, ale sama wiesz... Niedziela... I żałoba. On nie bardzo...

Thomas beknął. Miriam znów ułożyła go w ramionach, napotkała jego spojrzenie i przytuliła do siebie. Przyjemne uczucie bliskości.

– Tak, wiem. Nie będę mu przeszkadzać. Obiecuję.

Hanna skinęła głową.

– Nie poznaję go. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Owszem, jest

w żałobie, ale to ogromnie przykre, że w ogóle nie zwraca uwagi na małego... Ale to się zmieni. Z czasem na pewno się zmieni.

Miriam przeszył lęk. A jeśli się nie zmieni? Jeśli się nie ułoży? Co się stanie z nią i z Thomasem?

– Będę ostrożna – powiedziała, zdumiona, że jej głos zabrzmiał jak zwykle.
– Bardzo ostrożna.

Miriam rzeczywiście była bardzo ostrożna. Pierwszego dnia przygotowała lekki lunch, usmażyła kilka serdelków i zrobiła jajecznicę. Obok talerza postawiła na tacy butelkę pilznera i szklankę. Na lnianej serwetce, którą złożyła w trójkąt, położyła nóż i widelec. Wszystko wyglądało na nowe. Błyszcząca czerwona taca ze wzorem z zielonych liści. Biały talerz z zieloną obwódką i małym kwiatkiem pośrodku. Bardzo nowoczesne nierdzewne sztucce, ozdobione tylko kreską i kropką. Może wybrała je Marianne. Chyba tak, bo te sztucce na swój sposób ją przypominały. Marianne była wysoka, jasnowłosa i smukła. Może nawet była piękną. Wysoka piękna blondynka, która zdążyła urządzić piękny dom, zanim się położyła, żeby urodzić dziecko, a potem umarła.

– Umarła – powiedziała Hanna dziwnie płaskim tonem, kiedy odłożyła słuchawkę po tej strasznej rozmowie. – Marianne nie żyje. Zatrucie ciążowe.

Upłynęło wiele dni, zanim wszystko jej wytłumaczyła. Mówiła o jajeczku i plemnikach. O tym, czym jest ciąża. Że nie zawsze kończy się dobrze. Mówiła przyciszonym głosem, niekiedy szeptem, z czerwonymi plamami na szyi, i w końcu dotarło do Miriam, jak stało się to, co się stało, chociaż wciąż nie bardzo wiedziała, jak Olof umieścił swoje plemniki w Marianne. Ale nie miała odwagi zapytać. Prawie przez cały czas siedziała ze spuszczonej wzrokiem i pocierała dłonią kolano. Przyswajała tę wiedzę i przytakiwała, tak, tak, rozumie. Hanna poklepała ją po głowie i poszła do swojego pokoju, gdzie została aż do kolacji.

– Olof się zgodził – powiedziała następnego dnia wieczorem po kolejnej rozmowie telefonicznej.

Miriam znieruchomiała, wycierając naczynia. Na co się zgodził? Bała się spytać.

Hanna stanęła w drzwiach pokoju stołowego i złożyła dłonie.

– Zgodził się, żeby Thomas przyjechał do domu. Z tobą jako jego opiekunką i pomocą domową.

Do Olofa? Ma się przenieść do Olofa? Nie będzie mieszkała u Hanny?

– Nie rób takiej przerażonej miny. – Hanna uśmiechnęła się. – Możesz

kontynuować naukę. Poza tym będę często przyjeżdżać, bardzo często...

Miriam nie była przerażona, raczej zdumiona. Miała kilka tygodni, żeby oswoić się z tą myślą. Myślała, zajmując się Thomasem, myślała przy zmywaniu i sprzątanii, myślała na długich spacerach, które zdaniem Hanny były równie ważne dla Thomasa, jak i dla Nippona. Świeże powietrze! Nie ma nic ważniejszego nad zdrowie i świeże powietrze!

Może wtedy Miriam po raz pierwszy naprawdę pomyślała o przyszłości. Pomyślała, że wygrała los na loterii. Nie mogło być nic lepszego niż przeprowadzka do Olofa i opieka nad jego dzieckiem... Na jak długo? Cóż... Tego nie wiedziała, ale na pewno na co najmniej rok. Przez najbliższy rok Olof nie ożeni się ponownie, bo – jak powiedziała Hanna – będzie w żałobie. Przez cały rok będzie nosił żałobę, chodził tylko z domu do gabinetu dentystycznego i z powrotem, a najdalej na cmentarz. Nagrobek był już obstalowany. Miało na nim być nie tylko imię i nazwisko Marianne, i jej data urodzin i śmierci, ale także imię i nazwisko Olofa, i jego data urodzin. Po śmierci Olofa wystarczy tylko wyryć dzień, miesiąc i rok.

Miriam wyprostowała plecy, przesunęła dłonią po włosach, poprawiła fartuszek, głęboko odetchnęła, wzięła tacę, małymi krokami wyszła do holu i przeszła pasażem do nowej przybudówki, w której mieściła się sypialnia Olofa i Marianne. Zatrzymała się przed drzwiami, postawiła tacę na stoliku obok i lekko zapukała. Nic. Zapukała jeszcze raz.

– Lunch – powiedziała po chwili przyciszonym głosem. – Przyniosłam lunch...

W końcu usłyszała jakiś ruch.

– Moment – odezwał się Olof swoim zwykłym tonem.

Ale nie wyglądał jak zwykle. Zmienił się. Postarzał. Wyglądał dużo starzej niż przed śmiercią Marianne. Wyglądał prawie jak na wpół umarły.

Był w pogniecionej piżamie i szlafroku, który włożył, zanim otworzył drzwi. Zauważyła, że zwiesił ramiona, z taką samą rezygnacją jak muzulmanin. Miał szarą twarz, czarne cienie pod oczami i nowe bruzdy od nosa do ust. Poza tym dostrzegła jasne włoski na paluchach, bo nie włożył kapci i stał na zimnym parkiecie boso. Szybko podniosła wzrok. Jego oczy wciąż były szare jak zimowy zmierzch.

– Lunch – powtórzyła, biorąc tacę.

Popatrzył na tacę, po chwili wahania wyciągnął ręce i wziął ją od niej.

– Dziękuję – powiedział i zamknął drzwi stopą.

Miriam stała jeszcze przez moment. Słyszała bicie swojego serca. A potem

wygładziła fartuszek dłonią, odwróciła się i poszła do kuchni. Teraz musi pozmywać.

Przez pierwszy miesiąc było tak, jakby Miriam mieszkała sama w tym czerwonym domu. Olof przychodził na śniadanie, lunch i kolację, ale między posiłkami się nie pokazywał. Wcześniej rano udawał się do gabinetu, wracał do domu na lunch i znów wychodził, późno wracał na kolację, którą jadł samotnie w jadalni, i od razu szedł do sypialni. Rzadko powiedział coś więcej niż „hej” i „dziękuję za posiłek”. Na Thomasa nawet nie spojrział. Kiedy dzwoniła Hanna, żeby spytać, jak się czuje, odpowiadał monosylabami.

Czasami Hanna dzwoniła po południu do Miriam, żeby się od niej czegoś więcej dowiedzieć. Czy Olof porządnie zjadł? Czy nie zaniedbuje pracy? Czy przed wyjściem założył kapelusz i szalik? Miriam przytakiwała i potwierdzała. Tak, zjadł. Z tego, co wie, nie zaniedbuje pracy. Zdarza się, że zapomina o kapeluszu i szaliku. Codziennie, kiedy był w jadalni, wychodziła do holu, wieszala szalik na jego palcie i upewniała się, czy kapelusz i futrzana czapka leżą na półce tuż powyżej. Ale nie stała przy nim i nie sprawdzała, czy je wkłada. Nie chciała się narzucać. Zauważyła, że to mu się nie podoba. Hanna z westchnieniem przyznawała, że niewiele można zrobić i że Miriam opiekuje się nim najlepiej, jak tylko można. A Thomas? Co u Thomasa?

Najczęściej Thomas czuł się znakomicie. Czasami miał lekki katar, na który Miriam zawsze mogła coś zaradzić. Codziennie wychodziła z nim na spacer. W piątki spacer były wyjątkowo długie, bo w piątki przychodziła pani Karlsson. Sprzątała w tym domu od wielu lat, jeszcze u rodziców Hanny, na długo zanim wprowadzili się Olof z Marianne, i nie było powodu, żeby jej wymówić tylko dlatego, że jest Miriam. Tak zdecydowała Hanna. Miriam miała wystarczająco dużo pracy: gotowała, prała i opiekowała się dzieckiem. A Olof nie miał żadnych zastrzeżeń. W każdy piątkowy rano jak zwykle kładł dla pani Karlsson dwadzieścia pięć koron na stole w kuchni i wychodził. W czwarty piątek położył obok sto dziesięć koron. To była pensja Miriam. Jej pierwsza miesięczna pensja. Zaparło jej dech.

– To za dużo – powiedziała Hannie tego samego dnia po popołudniu.

– Bzdury – odparła Hanna. – Jest absolutnie w sam raz.

Pani Karlsson wyszła z łazienki, kiedy Miriam odłożyła słuchawkę. Westchnęła, rozprostowała plecy i przesunęła dłonią po czole, jakby musiała otrzeć pot.

– Uff! Wszystko oporządzone. Cały dom.

Nie wiedząc, co wypada powiedzieć, Miriam uśmiechnęła się uprzejmie. Uśmiech niczego nie załatwił. Pani Karlsson też się uśmiechnęła

i najwyraźniej na coś czekała.

– Pani Adolfsson zwykle częstowała kawą – powiedziała po chwili. – Po robocie. I starsza pani Adolfsson, i ta nowa.

Miriam pokiwała głową.

Pani Karlsson lekko westchnęła.

– To takie smutne, że umarła. Taka młoda. Okropnie smutne.

Miriam znów pokiwała głową.

Pani Karlsson zmarszczyła czoło. Wyglądała na lekko poirytowaną.

– Można prosić o filiżankę kawy?

I tak zaczęło się coś, co przypominało przyjaźń.

Pani Karlsson o Nässjö wiedziała wszystko i chętnie dzieliła się swoją wiedzą. Mimo że sprowadziła się do miasta przeszło dziesięć lat temu, uważała się za nową. Powiedziała, że to było przed wojną, i w głowie Miriam pojawiły się obrazy. Czarne mundury. Niknąca twarz Didiego. Oczy Else sekundę przed... Nie. Wyprostowała plecy i jeszcze raz obdarzyła panią Karlsson uprzejmym uśmiechem. Wojna musiała jej się pewnie kojarzyć z racjonowaniem kawy i kuponami na mięso i miała raczej mgliste pojęcie o tym, co się działo poza granicami Szwecji. Za to była świetnie zorientowana w tym, co się działo w jej granicach. Na przykład czym różniła się między sobą mieszkańcy z różnych części kraju. Ona pochodzi ze Skanii – co powiedziawszy, pociągnęła łyk kawy – i tylko z dwóch powodów tak długo znosi pobyt w Nässjö, z jego przedziwnymi mieszkańcami. Pierwszy powód to Karlsson. Bynajmniej nie zamierza się przechwalać, że jej Karlsson jest absolutnie wyjątkowym Karlssonem, ale nie ulega wątpliwości, że jej Karlsson jest bardzo miły, bardzo zdolny i ma poczucie humoru. To naprawdę jedyny zabawny mężczyzna, jakiego spotkała w całym swoim życiu. No, może jedyne, co ewentualnie może mu zarzucić, to ciut przesadna oszczędność, chociaż z drugiej strony to cecha typowa dla większości Smalandczyków. Ha, ha! I może to szczęście, że jest, jaki jest, bo gdyby to ona trzymała pieczę nad pieniędzmi, to pewnie nie mieliby środków na kupno własnego domu. Jej Karlsson dorabiał na sprzedaży polis na życie i szło mu doprawdy nieźle. Dwa lata z rzędu dostał nagrodę jako najlepszy agent ubezpieczeniowy w Smalandii. Dwa lata z rzędu! Mimo to nie chciał rzucić swojej pracy zawiadowcy na kolei. Bóg jej świadkiem, że nie bardzo się to opłacało, ale miało swoje zalety. Darmowe przejazdy dla całej rodziny. I to był ten drugi powód, dla którego pani Karlsson wytrzymała w Nässjö. Bo dzięki darmowym biletom małżeństwo Karlssonów i dwie córki mogli każdego lata odbywać dalekie podróże. Ostatnio byli aż w Kirunie. Poza tym

pani Karlsson mogła w każdej chwili pojechać pociągiem do Malmö. Kiedy tylko chciała. A chciała dość często.

– Bo ja nie mogę znieść tych zalanouchych – powiedziała poufnym tonem, maczając ciastko w kawie.

Miriam wstrzymała oddech. Czy Hanna nie mówiła, że pod żadnym pozorem nie wolno maczać ciastek w kawie? To brak ogłady. Tak. Tak mówiła. Ale dodała, że nie wolno komentować czyjegoś zachowania przy stole. Dlatego Miriam tylko zamruwała oczami i zapytała:

– Zalanouchych?

Pani Karlsson zachichotała.

– Wolnokościelnych. W Skanii mówimy na nich zalanousi. W rodzinie Karlssona pełno jest zalanouchych.

Miriam zmarszczyła czoło i wypila łyżeczek kawy. Nic z tego nie zrozumiała i nie wiedziała, co powinna powiedzieć.

Pani Karlsson uśmiechnęła się jeszcze szerzej i poklepała Miriam po dłoni.

– Oni bez przerwy przechylają głowę, jakby sobie coś wylewali z ucha. Stąd się wzięło takie określenie.

Miriam zachichotała, co dało pani Karlsson asumpt, żeby mówić dalej. Kiedy pierwszy raz przyjechała do Nässjö, nie wierzyła własnym oczom. Kościół na każdym rogu! Sześć kościołów w zasięgu niespełna trzech kilometrów! Kościół państwowy i Związek Misyjny, Betel i Zielonoświątkowcy, Armia Zbawienia i Tabernakulum. I ci wszyscy zalanousi, którzy gromadzili się w tych kościołach w każdziuteńkie niedzielne przedpołudnie! Blade panusie cały czas coś tam szepczące, jakby nie były zdolne do głośnego mówienia, i świętoszkowaci starcy, z brwiami jak odwrócone V. Tacy łagodni! Tacy święci! Tacy pobożni! Co wcale nie powstrzymywało ich przed decydowaniem o tym, jak inni powinni żyć. O nie. Wzdychali z ubolewaniem, kiedy dziewczynki Karlssonów chodziły na poranki do kina. To grzech. Prawie mdleli z wrażenia, widząc przyzwoitą niewolnokościelną kobietę ze Skanii chodzącą bosą po swoim trawniku. Najwyraźniej to też było grzeszne, mimo że pani Karlsson nie miała pojęcia, gdzie w Biblii jest mowa o takim zakazie. Karlsson też tego nie wiedział, mimo że był biegły w Biblii. Dorastał przecież wśród zalanouchych i może nawet zostałby predykanem, gdyby trzynaście lat temu nie poznał niezwykle rozsądnej dziewczuszki ze Skanii.

– Miał szczęście – powiedziała pani Karlsson, dopiła kawę i wybuchnęła gromkim śmiechem.

W tym momencie w kuchni zrobiło się jasno.

Wkrótce Miriam przywyknie do tego, że słońce niemal zawsze zagląda do kuchni tuż przed zachodem, ale teraz zauważyła to po raz pierwszy. Może dlatego, że w nocy spadł śnieg i Nässjö lśniło bielą. Dzięki temu lśniła również jej wysprzątana kuchnia, a przy stole naprzeciwko niej siedziała pani Karlsson, z chustką na włosach i z szerokim uśmiechem. Miriam nagle poczuła się lekko.

Pani Karlsson przekrzywiła nieco głowę, najwyraźniej nieświadoma, że sama wygląda trochę jak zalanoucha.

– A jak tam szczon? Dobrze rośnie?

Miriam spieszyła się.

– Słucham?

– Szczon. Chłopaszek. Chłopiec.

– Ach! O, tak. W miesiąc urósł prawie pięć centymetrów.

– Niczego sobie. Pewno słyhać, jak trzeszczy. Można rzucić okiem?

Cicho wyszły do holu, gdzie Thomas leżał w wózku, pogrążony w głębokim śnie. Po spacerze Miriam zdjęła mu tylko szalik i rękawiczki i odwinęła kołderkę, żeby się nie przegrzał. Miał półotwartą buzię i różowe policzki. Był niesamowicie słodki.

– O Jezusiczku! – powiedziała pani Karlsson. – Nie widziałam takiej ślicznoty, odkąd moje dziewczuszki były małe!

Miriam pociągnęła nosem i zapomniała, że powinna zachować czujność.

– Prawda, że uroczy? Cudowny.

– Absolutnie nadzwyczajny – przyznała pani Karlsson. – Czy jest szansa na dolewkę?

Kiedy Olof wrócił tamtego dnia z pracy, w domu było jasno. Słońce zaszło kilka godzin wcześniej, za oknami był ciemny wieczór, ale w domu paliły się prawie wszystkie lampy. Tym razem Miriam wyszła z kuchni, kiedy powiesił palto, stanęła w holu w kwiecistym fartuszk, z Thomasem na rękach, i uśmiechnęła się do niego. Pierwszy raz pokazała się z Thomasem. Do tej pory zawsze kładła go spać, zanim Olof wrócił do domu. Teraz lekko kiwał główką i patrzył na ojca okrągłymi szarymi oczami.

– Dobry wieczór! – powiedziała Miriam. – Przykro mi, ale kolacja jeszcze niegotowa. – Czy mógłbyś posiedzieć z chłopcem, dopóki nie skończy?

Nie czekając na odpowiedź, poszła do pokoju dziennego, stanęła przed

dużym niebieskim fotelem i czekała, jakby sprawa była załatwiona. Widziała wahanie Olofa w holu i delikatnie zakołysała Thomasem. Nie miał wyboru. Musiał wejść i usiąść. Miriam pochyliła się, ułożyła Thomasa w jego objęciach i wyszła bez słowa.

Starła się, żeby w kuchni nie było cicho. Stuknęła garnkiem, jeszcze raz zamieszała gotowy sos, bez potrzeby chodziła tam i z powrotem od kuchenki do stołu, pospieszyła do jadalni i wychodząc, zerknęła przez otwarte podwójne drzwi do pokoju dziennego. Lampa na suficie rzucała żółte przyjemne światło. Na ławie stał hiacynt, który dzisiaj kupiła. Zakwitnie na różowo. Olof siedział bez ruchu w fotelu i przyglądał się synowi. Był nieco zaskoczony. Zamknął oczy i zaraz je otworzył, jakby chciał się upewnić, że to prawda, że chłopczyk naprawdę istnieje. Istniał. Potem lekko pociągnął nosem, jakby próbował wyczuć okropny zapach kupy. Miriam uśmiechnęła się w duchu i wróciła do kuchni. Thomas nie śmierdział kupą. Przed chwilą go przewinęła. Pachniał mydłem i pudrem dla dzieci. Słodko i ładnie. Świeżo jak samo życie.

– No tak – powiedziała, po raz ostatni wchodząc do jadalni, i postawiła na stole sosjerkę. – Kolacja gotowa. Stokrotne dzięki za pomoc.

Olof nagle się zmieszał.

– Musisz go ode mnie wziąć. Przecież z nim nie wstanę.

Miriam stłumiła uśmiech, podeszła do niebieskiego fotela, podniosła Thomasa i przytuliła go do piersi.

– Prawda, że uroczy? – spytała, głaszcząc malca po mechatej główce.

Olof położył dłonie na poręczach fotela i wstał.

– Tak. Z pewnością. Oczywiście.

A potem się odwrócił i poszedł do jadalni.

Później będzie zdziwiona, że nie zareagowała na szary, obojętny ton jego głosu. Po prostu nie zwróciła na to uwagi. Kiedy usiadł przy stole w jadalni, została w pokoju dziennym, położyła stuloną dłoń na główce Thomasa i uśmiechała się zadowolona. Cieszyła się, że dzięki niej Olof po raz pierwszy uświadomił sobie, że Thomas w ogóle istnieje.

Dopiero kiedy się obudziła w środku nocy, zdała sobie sprawę, że nie wszystko poszło tak świetnie, jak to sobie wmawiała. Po kolacji Olof rzucił obcesowo „dobranoc” i zamknął się w sypialni, głośno trzaskając drzwiami. A jej, po raz pierwszy od przyjazdu do Nässjö, przyśnił się koszmar. Usiadła na łóżku i przycisnęła poduszkę do brzucha. Tak. Wszystko sobie przypomniwała. Else szła chwiejnym krokiem obozową ulicą, zamiast prawego

oka miała czarną dziurę, kolana się pod nią ugiwały i wyła jak zwierzę...

Nie! Nie może dopuszczać do siebie takich snów! Nie może rozpamiętywać tego, co było. Nie chce myśleć o Auschwitz, Ravensbrück, Niemczech i Östra Torget w Jönköpingu. Przecież znalazła swoją kryjówkę, najlepsze miejsce na ziemi dla Roma, musi kłamać tak przekonująco, żeby sama w to uwierzyła. Maliki nie ma i nigdy nie było. Niemcy usunięte raz na zawsze. Mieszkańcy Jönköpingu byli mili. Mieszkańcy Nässjö są jeszcze milsi. Olof to najmiłszy człowiek pod słońcem. Szarość w jego głosie to nie obojętność, to smutek. Bolesne doświadczenie. Bardzo bolesne doświadczenie.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok, cicho wyszła do kuchni, odkręciła kran i nalała sobie szklankę wody. Piła z zamkniętymi oczami i liczyła swoje błogosławieństwa. Było jej ciepło. Była syta. Mogła pić tyle wody, ile zechce. Miała dziecko pod opieką. Miała pieniądze w portfelu. Miała jeszcze więcej pieniędzy schowanych w bucie. Była daleko, bardzo daleko od wszystkich zagrożeń świata. Policjanci w tym mieście nosili niebieskie mundury i nigdy nie robili nalotów na prywatne mieszkania. Zwłaszcza nie na dom jednego z miejscowych dentyków. Przenigdy. Dentyści to bardzo ważne osoby.

Kiedy płacz podszedł jej do gardła, spłukała go jeszcze jednym łykiem wody. O, tak. I już po płaczu.

Z naprzeciwka ktoś wybucha głośnym śmiechem. Czterej chłopcy na rowerach. Za nimi idzie roześmiana kobieta z małym dzieckiem w wózku spacerowym. Chłopcy mają ciemne włosy i oliwkową cerę. Kobieta jest ubrana na czarno i ma niebieską woalkę. Miriam i Camilla odprowadzają ich wzrokiem, kiedy opuszczają park, kierując się w stronę Köpmansgatan i Brinellgatan.

Idą obok siebie w milczeniu, po chwili Camilla odchrząkuje.

– Myślisz, że i dla nich Nässjö to raj?

Miriam z ufnością bierze Camillę pod ramię.

– Tak. Tak myślę.

– Mimo że nie mieszkają w dużym domu nad Ingsbergssjön?

Miriam się śmieje.

– Domy czynszowe w Runneryd też mogą być dobrą kryjówką...

Camilla unosi brwi.

– Kryjówką? Myślisz, że oni muszą się ukrywać?

Miriam przygryza policzek. Co ona ma dzisiaj ze sobą zrobić? Milczała z konieczności przez sześćdziesiąt osiem lat, a teraz nie może się powstrzymać i ujawnia jedną tajemnicę po drugiej. Jaki w tym sens?

– To przecież uchodźcy – mówi lekkim tonem. – Sądzę, że w ich odczuciu muszą się ukrywać.

Camilla nie odpowiada od razu.

– Czy ty tak to czułaś? – pyta po chwili.

Miriam słabo się uśmiecha. Teraz trzyma się w ryzach.

– Nie wiem. Może. Nie za dobrze pamiętam.

Camilla poklepuje jej dłoń i przycisza głos:

– Powinnaś nam więcej mówić o sobie. Nie zamierzam cię krytykować, uważam tylko, że ktoś musi ci to wreszcie powiedzieć. Wszyscy jesteśmy tego samego zdania. Tata, mama i ja. Powinnaś nam więcej mówić o sobie. Dla siebie samej. I dla młodego pokolenia. Na przykład dla Sixtena.

Miriam prostuje plecy. Szykuje się do obrony.

– Moja droga, wiem, że według ciebie i twoich rówieśników mówienie wszystkiego jest czymś dobrym. Ale nie dla mojego pokolenia. My nauczyliśmy się zapominać. Każdy tak wtedy mówił. Zapomnij o tym, co

było, i idź dalej! Nie rozpamiętuj przeszłości... – Milknie, lekko się kuli, łapie się na tym i natychmiast prostuje plecy. – Poza tym nikt się szczególnie nie interesował tym, co mamy do powiedzenia. Ludzie po prostu nie chcieli tego słuchać.

Zwłaszcza Olof, myśli Miriam. Powstrzymuje się przed powiedzeniem tych słów na głos, ale nie może się powstrzymać przed powtórzeniem ich w myślach. Zwłaszcza Olof. Olof nie lubił przeszłości. Kiedy pogodził się ze śmiercią Marianne, zaczął uciekać od wspomnień, czasami dużo szybciej niż Miriam. Chciał dalej, naprzód, wyżej, więcej. Wciąż chciał remontować dom, kupować nowe meble, dokształcać się i inwestować w najnowszą technikę w swoim gabinecie, chciał spędzać urlopy, wybierając się w coraz dalsze podróże: najpierw, pod koniec lat pięćdziesiątych, do Włoch, na początku lat sześćdziesiątych na Majorcę i Wyspy Kanaryjskie, a potem do Tunezji, Egiptu, Turcji, Indii, Tajlandii, Meksyku i reszty świata. Wszędzie chciał jeździć, tylko nie do Niemiec i nie do Polski. Te kraje wykreślił ze swojej mapy, przestały dla niego istnieć. Były nudne, nieciekawe, odpychające. Mogłyby przypominać o jej doświadczeniach z okresu wojny. Uważał, że tych doświadczeń nie powinno się jej przypominać, bo to by ją tylko przygnębiało. Wystarczyło, żeby ktoś wymówił w radiu słowo „Auschwitz”, wyłączał odbiornik, stawał przed nią i uderzając się zwiniętą gazetą po udzie, plótl androny, żeby myślała o czymś innym. Nie lubiła go w takich chwilach. To były jedyne chwile, kiedy go nie lubiła.

– Ale mnie to interesuje. – Camilla nie daje za wygraną. – Naprawdę chcę wiedzieć, przez co przeszłaś. I chcę wiedzieć, jak udało ci się przeżyć.

Miriam pociąga nosem, co brzmi jak szloch, i odzyskuje swój zwykły głos. Spokojny i uprzejmy.

– Moja droga, to było tak dawno... Nawet nie wiem, czy dobrze pamiętam.

Odwraca głowę i patrzy na Ingsbergssjön, żeby Camilla nie zobaczyła, że kłamie, i sztorcuje się w duchu. Opanuj się! To nie była wina Olofa, że nigdy nie opowiadałaś o przeszłości. Nie masz prawa go obwiniać. Sama podjęłaś taką decyzję. Tylko ty, nikt inny. I tylko od ciebie zależy, czy zmienisz zdanie, czy nie.

– To powiedz mi to, co pamiętasz – mówi Camilla. – Chociaż tyle.

Miriam kieruje wzrok na Camillę. Nie uśmiecha się, patrzy jej głęboko w oczy.

– Nie wiem, czy zdołam. Trudno mi wspominać.

Camilla kiwa głową. Raptem bardzo wydorosła, jest niemal rówieśnicą babci.

– Rozumiem, ale to jedyny sposób, żeby wyrzucić to z siebie i pozbyć się tego ciężaru.

Miriam odwraca wzrok. Nie chce. Naprawdę nie chce.

Znów siadają na ławce. Siedzą obok siebie i milczą.

– Była tu w mieście jeszcze jedna kobieta, która też przeżyła Ravensbrück – mówi Miriam po długiej chwili. – Zniknęła w latach sześćdziesiątych. Miała nie po kolei w głowie.

– Nic dziwnego.

Miriam mruga zaskoczona. Co? Dlaczego nic dziwnego?

– Ona była umyślowo chora. Upośledzona psychicznie. Kompletna wariatka. Któregoś dnia przysłała do nas do domu... Olof był wtedy w pracy. To było okropne. Przerazające.

Przywołując to wspomnienie, robi wszystko, żeby nadać głosowi jaśniejszy ton, ale nic z tego. Struny głosowe odmawiają posłuszeństwa. Tak jakby zachowały pamięć tamtej rozmowy i słów, które wtedy padły. To odrażające, nie chce tego pamiętać, nie chce opowiadać, ale to silniejsze od niej. Nagle nie siedzi na ławce nad Ingsbergssjön, nagle stoi w swojej świeżo zmodernizowanej kuchni, w której zamiast dwudziestu dwóch szafek są dwadzieścia cztery, wszystkie z drzwiczkami z prawdziwego drewna tekowego, a oprócz wypukłej lodówki jest największy model chłodziarki i równie duża zamrażarka. Stoi na kuchennej drabince i schyla się po talerze z lat czterdziestych, żeby je postawić na najwyższej półce, te z zielonym brzeżkiem i kwiatkiem pośrodku, te, o których wciąż myśli jak o talerzach Marianne, i nie wiedzieć czemu boi się, żeby ich nie potłuc, i nagle słyszy łomot. Przestraszona, chwieje się, ale nie spada, chwytą się za drzwi szafki i kiedy odzyskuje równowagę, wolno odwraca głowę i widzi, że ktoś stoi na tarasie. Kobieta. Ma potargane włosy i dzikie oczy. Miriam wie, kto to jest. Z lekkim westchnieniem schodzi z drabinki, wyciera ręce o fartuszek i przesuwając prawą dłoń po włosach, żeby sprawdzić, czy fryzura jest w porządku. Jest. Znów rozlega się łomot. Kobieta wali pięściami w przeszklone drzwi na taras. Opuszcza pięści, podnosi i wali jeszcze mocniej. Miriam bierze głęboki oddech. Musi coś zrobić, ale nie bardzo wie co.

– Otwórz! – syczy kobieta. – Wpuść mnie!

Miriam nie podejmuje żadnej decyzji, wyręcza ją w tym jej ciało. Stopy ruszają. Są w koniakowych czółenkach na półsłupkach, które wczoraj odebrała od szewca. Kiedy podchodzi do drzwi, przez głowę przelatuje jej myśl, że szewc był niedbały, bo jeden ćwiek stuka o podłogę, chociaż może to

i dobrze, bo ten odgłos sprawia takie wrażenie, jakby miała podkute buty, dzięki czemu to stworzenie za drzwiami może się wystraszyć. Jednocześnie wie, że to niedorzeczne. Nic, co powie albo zrobi, nie powstrzyma tej obłąkanej kobiety. Absolutnie nic. Jej dłoń przekręca klamkę, głowa lekko się przekrzywia, wargi rozciągają się w coś na kształt uśmiechu.

– Dzień dobry, Krystyno – mówi przytłumionym głosem. – Jak się miewasz?

Głupie pytanie. Gołym okiem widać, że źle. Krystyna jest nieuczesała, nie zapięła płaszcza, a w pończosze, tuż nad długą blizną, puściło jej duże oczko.

Krystyna zdaje się nie słyszeć, kulejąc, wchodzi do kuchni i wciąga powietrze.

– Pst!

Miriam unosi brwi.

– O co chodzi?

Krystyna pochyla się, otwiera szerzej oczy i szeptem:

– Cicho... Nie mów tak głośno...

Lęk Miriam ustępuje. Teraz jest przede wszystkim zirytowana. Krzyżuje ramiona i podnosi głos.

– A niby czemu nie miałabym mówić głośno?

Krystyna rzuca spojrzenie przez ramię, w stronę jesiennego ogrodu. Mimo że jest popołudnie, słońce chyli się ku zachodowi, po gołębioniebieskim niebie sunie kilka morelowych obłoczków.

– Bo ich widziałam. Są tutaj.

– Kto?

– Gestapo! SS! Są tutaj!

Miriam próbuje przełknąć gniew, który nagle w niej narasta, przełyka raz i drugi, ale bez powodzenia. Gniew wprawia jej głos w drżenie.

– Aha. Więc SS i gestapo znowu są w Nässjö. Coś podobnego!

Oczy Krystyny błyszczą.

– Miriam, proszę, tylko nie ty. Przysięgam! Widziałam ich.

– Aha. I oczywiście byli w mundurach.

Oczy Krystyny są coraz szersze.

– Siedzieli w czarnym samochodzie... Widziałam ich!

Miriam milczy, wyraz jej twarzy i postawa są wystarczającą odpowiedzią. Krystyna to widzi, mruga oczami, cofa się o krok i podnosi prawą rękę. Trzyma w niej siatkę wypchaną puszkami. Parówki Bullena, klopsiki Findusa, zupa jarzynowa Felixa. I mnóstwo innych.

– Mam prowiant. Możemy się ukryć u ciebie na strychu. Twój mąż zastawi drzwi regałem...

– Przestań!!! – Miriam jest nieco przerażona swoim krzykiem, a mimo to znów krzyczy: – Przestań!!! Słyszysz?! Przestań...

Krystyna wybuchła płaczem, kwili żałośnie jak dziecko, ale Miriam jest niewzruszona, ba, jest wściekła.

– Widzę, że znowu ukradłaś, ty cholerna idiotko! Znowu ukradłaś!

Krystyna już nie płacze, trwożliwie robi jeszcze jeden krok do tyłu i nic nie mówi. Miriam podchodzi do niej, zaciska dłoń w pięść i potrząsa przed jej twarzą.

– Miałaś zostać wylana, gdyby to się powtórzyło! – syczy, jakby z jej ust leciały skry. – Nie pamiętasz?! Zapomniałaś, co ci powiedziała ta kobieta, u której pracujesz? Co? Powiedziała, że cię wyrzuci, jeśli jeszcze raz coś ukradniesz! Powiedziała, że ma dosyć chodzenia do sklepu i przeproszania za ciebie. Mówiła poważnie. Wiem o tym. Znam i ją, i jej męża, i wiem, że mówiła poważnie!

Nagle spojrzenie Krystyny się zmienia, jakby ktoś przekręcił jakąś gałkę. Miriam widzi tę gałkę przed sobą. Duża czarna gałka z bakelitu. To gałka gniewu. Krystyna unosi górną wargę, obnażając szare zęby. Przez sekundę Miriam jest przekonana, że zacznie gryźć. Podnosi ręce w obronnym geście i cofa się o krok.

Krystyna robi krok naprzód.

– Ja nie zamierzam umierać!

Miriam kręci głową i znów się cofa. Krystyna wypuszcza swój prowiant, siatka z hukiem ląduje na podłodze, dwie puszki toczą się po nowym linoleum, ale ona na nie nie patrzy, lekko przykuca, pochyla się i wyciąga ramiona. Wygląda jak zwierzę, rozjuszony drapieźnik o długich pazurach i ostrych zębach. Śmiertelnie niebezpieczny. Miriam robi jeszcze jeden krok w tył i opiera się o blat.

– TYM RAZEM TEŻ NIE ZAMIERZAM UMRZEĆ! ZROZUM TO! JA NIE ZAMIERZAM UMRZEĆ!

W połowie krzyku głos Krystyny pęka i Miriam widzi, że ona nie jest żadnym drapieźnikiem, tylko niską kulawą kobietą w jej wieku, dość żałosną

i brzydką, z poobgryzаныmi paznokciami i workami pod oczyma, załzawionym stworzeniem, które z łatwością mogłaby wypchnąć na taras, poczęstować kopniakiem w tyłek i wyrzucić na bruk. Przez ułamek sekundy ma ten obraz przed oczami i napawa się nim. Żeby uwolnić zamkniętą w niej przemoc i stać się tą, która sama dopuszcza się przemocy, przycisnąć jej twarz do chropowatej kostki granitowej, żeby popękały jej wargi i ze zmiażdżonego nosa pociekła krew, żeby...

Ale Krystyna nie poddaje się tak łatwo. Ma gdzieś fantazje Miriam, nie widzi agresji w jej spojrzeniu, idzie przed siebie i syczy. Miriam przełyka ślinę, przesuwa się o krok. Daremnie.

– Ty parchata zmoro, pojebany żydowski pomiole – półszepce Krystyna. – Ty pasożycie, gównno warta obesrana kurwo, ty...

Krystyna nie ma już w sobie nic z istoty ludzkiej. Jest coraz bliżej. Jej oczy zwęziły się, przypominają czarne kreski nad bladymi sflaczałymi workami. Miriam rozgląda się za drogą ucieczki, ale jest jak sparaliżowana, ma wrażenie, że wszystkie jej wysiłki były na próżno, jej nauka, egzamin w szkole dla dziewcząt, staranne prowadzenie domu, sprzątanie, sprzątanie, sprzątanie, pedantyczne usuwanie wszelkich śladów ludzkiej aktywności, utrzymywanie Olofa w dobrym humorze, przyrządzanie smacznych śniadań, lunchów i kolacji, nienaganne zachowanie się przy stole, bycie szczupłą, zadbaną i gustowną, bycie dobrą matką dla Thomasa – wszystkie jej uśmiechy i miłe słowa, wszystko, wszystko, wszystko na próżno. Bo teraz umrze. Umrze tak, jak myślała, że umrze, odkąd znalazła się w Ravensbrück. Że zabije ją współwięźniarka. Skopie na śmierć. Dlatego że nie jest tą, za którą się podaje. Nie jest żydowskim pomiotem. Jest kimś gorszym. Romką. Cyganką. Oszustką.

Nagle rozlega się brzęk tłuczonego szkła i po dziesięciu sekundach Miriam uświadamia sobie, skąd pochodzi. Talerze. Talerze Marianne z lat czterdziestych. Miriam zmiotła z lady na podłogę dwanaście kościanobiałych talerzy z zielonym brzeżkiem i kwiatkiem pośrodku. Roztrzaskały się w drobny mak. Leżą w kawałkach przed jej koniakowymi czółenkami. Nie wiedzieć czemu stawia stopę na jednym z okruchów i rozgniata całym ciężarem ciała. Krystyna śledzi ją spojrzeniem, przez moment wygląda na zdziwioną, po czym sięga po duży ostry trójkątny odłamek, który w jej dłoni zamienia się w śmierniczość broń. Podnosi go i celuje w prawe oko Miriam. W Miriam narasta niemy krzyk, krzyk wszechpotężny, ogarniający nawet jej czarną szczelinę, który wprawia w wibrację wszystkie jej wnętrzości i daje siłę. Nagle jest silna. Nagle napina się każdy mięsień jej ciała, nagle jej mózg pracuje bez zarzutu, nagle wie, co ma zrobić. Chwyta Krystynę za nadgarstki i przewraca ją. To nic trudnego. Krystyna nie jest silna, a poza tym jest

zaskoczona. Miriam słyszy, jak uderza głową o podłogę, ale nie odpuszcza, pochyla się nad nią, przygwaźdża kolanami jej ramiona, zmusza do otworzenia prawej dłoni i pociąga nosem, kiedy słyszy, jak trójkątny porcelanowy odłamek ląduje na podłodze. Lewy but zsuwa się ze stopy, ale mniejsza o to. Przeżyła. Żyje. I ma oboje oczu.

– Mamo – odzywa się Thomas mutacyjnym głosem. – Mamo?

Nie słyszała, kiedy wszedł ani jak otwierał drzwi wejściowe, ani jak zdjął swoje kauczukowe buty, pierwszorzędne kauczukowe buty, bardzo modne, które nazywa traktorami, nie słyszała, jak rzucił tornister na podłogę w holu, a teraz stoi w drzwiach i jest wyraźnie zmieszany. Nie, nie jest zmieszany. Jest przestraszony. Miriam szuka w sobie swojego spokojnego, zrównoważonego, dorosłego głosu i próbuje się uśmiechnąć, ale nie zmienia pozycji, wciąż przytrzymuje kolanami ramiona Krystyny i przyciska jej nadgarstki do podłogi.

– Dzwon na policję – mówi. – Powiedz, żeby natychmiast przyjechali! Powiedz, że jest tutaj wariatka!

Camilla jest autentycznie zdziwiona.

– Policja? Dlaczego zadzwoniliście po policję? Nie było karettek?

Miriam unosi brwi.

– W tamtych czasach do psychicznie chorych wzywało się policję.

Zapada cisza.

– I co, przyjechali? – pyta po chwili Camilla.

Miriam kiwa głową. Oczywiście, że przyjechali.

– Tak. Prawie natychmiast. Wtedy komenda była zaledwie kilkaset metrów od domu. Wsadzili ją do radiowozu i zawieźli do Ryhov, do szpitala psychiatrycznego w Jönköpingu.

– Boże... Pomogli jej tam? Wydobrzała?

Miriam uśmiecha się w duchu. To złośliwy, mściwy uśmiech, pilnuje się, żeby tego nie było widać. Czy Krystyna wydobrzała w domu wariatów? Wątpliwe. Na początku lat sześćdziesiątych wszystkich obłąkanych uznawano za chronicznie obłąkanych. Przynajmniej w Nässjö.

– Nie wiem – mówi swoim zwykłym, jasnym głosem. – Nie wróciła do miasta. Nic już potem o niej nie słyszałam.

To nie do końca prawda. Pół roku później zostali zaproszeni z Olofem na kolację do rodziny Björków, byłych pracodawców Krystyny. Pani Björk,

dentystka, acz ciesząca się nieco mniejszym wzięciem niż Olof, ujęła Miriam pod ramię, odeszła na bok i półszepem powiedziała, że odwiedziła Krystynę w Ryhov. Krystyna siedziała wyprostowana na krześle, najwyraźniej jej nie widząc ani nie słysząc. Dowiedziała się od personelu, że cierpi na katatonię. Nie ma żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym. Ale kiedy przynoszono jedzenie, otwierała usta, co było dość niezwykle, bo katatonicy na ogół nie jedzą ani nie piją.

– Obóz – skomentowała Miriam.

Pani Björk poważnie pokiwała głową i pospieszyła do kuchni, żeby sprawdzić, czy nowa pomoc domowa zrobiła wszystko, co trzeba.

Nad Ingsbergssjön na chwilę zapada milczenie. Camilla lekko się garbi i skubie palcami džinsy. Nagle uświadamia sobie, że to oznaka zbliżającej się śmierci, że po takim odruchu doświadczeni dyrektorzy domów starców poznają, że podopieczny niedługo umrze. Przestaje skubać, przesuwając dłonią po udzie i patrzy na Miriam.

– Dlaczego ona zachorowała psychicznie, a ty nie? W czym tkwiła różnica?

Olof, myśli Miriam. Olof, Thomas i Hanna. Zaczęłam gdzieś przynależeć. W czymś uczestniczyć.

Miriam wzdycha i opiera się plecami o ławkę.

– Nie wiem – mówi. – Może to eksperymenty...

– Eksperymenty? – pyta Camilla drżącym głosem.

– Tak. Eksperymenty medyczne w Ravensbrück. Krystyna była króliczkiem...

– Króliczkiem?

Miriam próbuje się pohamować. Wyczuwa lęk w głosie Camilli, lęk przed tym, co usłyszy, i że na dobrą sprawę nie chce tego wiedzieć, ale wspomnienie Krystyny budzi w Miriam czystą złośliwość. Niech ma, ta rozpuszczona smar... NIE! Nie wolno jej tak myśleć. Przecież lubi Camillę. Więcej. Kocha ją. Jest z niej dumna. Cieszy się, że nie było jej dane...

– Chyba można powiedzieć po szwedzku „królik doświadczalny”? – mówi po chwili. – Po niemiecku mówi się *Kaninchen*. Króliczek. Tak nazywano te, które wybierano do eksperymentów... Prawie same Polki. W większości polityczne.

– Polityczne?

– Komunistki. Socjaldemokratki. Liberałki. Tak zwane patriotki różnych

barw. Skazane na śmierć. To na nich robiono eksperymenty... My, czyli reszta, tego uniknęliśmy. My miałyśmy się zaharować na śmierć.

– Ale co to były za eksperymenty?

Miriam uśmiecha się ironicznie. To coś nowego, nie uśmiechała się tak od wielu lat, czuje, że nie do twarzy jej z ironią, że wygląda inaczej, obco, a jednak nie potrafi się powstrzymać.

– Ach, to były niesłychanie ważne eksperymenty medyczne. Wybierali całkowicie zdrowe Polki, z dobrze umięśnionymi nogami, rozcinali jedną nogę, robili długie, bardzo głębokie cięcie i infekowali ranę. Nie wiem dokładnie czym, jakąś bakterią, a potem to wszystko byle jak zaszywali. Codziennie dostawały jedzenie, ale tylko trochę chleba, zwykłą obozową zupę i wywar z buraków¹⁰, który nazywali kawą. Nie opatrywali im ran, nie myli, nie zmieniali pościeli. Pozwalali mnożyć się larwom much. W ogóle się nimi nie opiekowali. A, przepraszam, kilku amputowano nogi. Te, które przeżyły zakażenie krwi, mogły wrócić do baraku. Nawet dostawały kule. Ale nie było ich dużo...

Camilla zakrywa usta dłonią.

– Nie – mówi błagalnie i wolno kręci głową. – Nie...

W odpowiedzi na gest Camilli Miriam też kręci głową.

– Tak. Tak było. I Krystyna była jedną z nich. – Milknie na moment i patrzy Camilli w oczy, poważnie, bez złośliwości. – Robili też inne eksperymenty... Sterylizacje i inne, ale mało o tym wiem, bo nie spotkałam ani jednej, którą im poddano. Kiedy przybył Czerwony Krzyż, pewnie wszystkie już nie żyły. Ale w Auschwitz poznałam doktora Mengele. Osobiście. Doktor Cukierek. Naraził mojego braciszka na...

Boże, co ona mówi? Co ona wygaduje? Park miejski wiruje jej przed oczami, to trwa moment, i jednocześnie czuje wzbierające mdłości, podnoszą się jak słupek rtęci. Zamyka oczy. Zaraz zwymiotuje. Nie. Nie wolno jej wymiotować.

– Babciu? – mówi Camilla z oddali. – Babciu? Halo! Co ci jest?

Nagle Didi szybuje w powietrzu. Unosi się. Wciąż jest małym chłopcem, śmieje się i jego twarz jest całkowicie kompletna.

Kiedy się budzi, leży na ławce, ze stopami na poręczy. Nie jest zbyt wygodnie, szczeble wpijają się w plecy, metalowa poręcz wrzyna się w kostki. Camilla pochyla się nad nią, wykręca sobie dłonie, w jej oczach przebłyскуje panika.

– Babciu – powtarza raz po raz. – Babciu. Babuniu.

Miriam zdejmuje stopy z poręczy i dźwiga się do pozycji siedzącej. Mruży oczy od światła. Poprawia sukienkę, swoją najlepszą jasnoniebieską sukienkę, którą kupiła w Sztokholmie wiele lat temu. Może w drugim roku wdowieństwa. Nie pamięta dokładnie. Ale pamięta, że sukienka jest od projektantki Barbro Sörman i tak jej się spodobała, że wychodząc z butiku, prawie skakała z radości...

– Nie – mówi Camilla. – Połóż się. Poleż jeszcze przez chwilę.

Nie ma mowy. Nigdy w życiu.

– Nie. – Miriam przesuwając dłoń po włosach, fryzura chyba nie ucierpiała.
– Bez obaw. To tylko lekki zawrót głowy.

– Zemdląłeś! Straciłeś przytomność!

Miriam kładzie rękę na kolanach, sprawdza, czy sukienka się nie pogniotła. Tylko tego by brakowało. Nigdy nie spacerowała po parku miejskim w Nässjö w pogniecionej sukience i dzisiaj też nie zamierza. O nie.

Camilla siada obok niej i szuka jej dłoni.

– Babciu droga, naprawdę zemdląłeś. To nagły spadek ciśnienia. Czy mogłabyś się pochylić, żeby podnieść ciśnienie, proszę...

To nie jest pytanie, to rozkaz. Miriam przywykła do wykonywania rozkazów, ale nie pokazuje tego po sobie, żeby nie wpędzać wydającego rozkazy w poczucie winy. Ci, którzy poczuwają się do winy, nie zawsze są mili w obejściu. Pochyla się, Camilla kładzie dłoń na jej plecach i przytrzymuje ją w tej dziwnej pozycji.

– O tak – mówi Camilla. – Posiedź tak przez chwilę.

Aha. Proszę bardzo. Siedzi z pochyloną głową i patrzy na żwir pod stopami. Jest szary, z domieszką biskupiego różu. Czerwony granit. Nic szczególnego.

Po chwili prostuje plecy.

– Już dobrze.

Camilla marszczy czoło, jakby chciała zaprotestować, ale w ostatniej chwili się rozmyśla. No, skoro tak.

– Musisz się czegoś napić – mówi. – Pobiegnę do Princessy i przyniosę ci wody... Zostań tutaj. Nie ruszaj się! Obiecujesz?

Miriam kiwa głową. Obiecuje.

Camilla słyszy bicie swojego serca, kiedy otwiera przeszkłone drzwi cukierni. To nie brak kondycji, tylko nerwy. Princessa jest zaledwie sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym zostawiła babcię, nie zdążyła się zmęczyć marszobiegami, nie jest zadyszana, a mimo to kołatanie rozsada jej głowę. Dobry Boże! Przez pół minuty myślała, że zabiła babcię. Przez trzydzieści sekund, które były wiecznością, była przekonana, że zabiła babcię swoimi pytaniami. Dlaczego nie trzymała języka za zębami? Dlaczego musiała grzebać w jej koszmarnej przeszłości...

Kobieta za ladą patrzy na nią z uśmiechem. Ma okulary w czerwonych oprawkach i przez krótką chwilę Camilla myśli tylko o tym. O czerwonych oprawkach. Uświadamia sobie, że to żałosne, bierze oddech, żeby poprosić o butelkę wody mineralnej, i nagle słyszy swój głos:

– Babcia zemdląca, moja babcia zemdląca w parku...

Opiera dłoń na gablocie z ciastkami, przelatuje jej przez głowę, że Princessa jest taka sama jak dawniej, jak wtedy, kiedy była dzieckiem, a może nawet jeszcze dłużej, i że ciastka też są takie jak dawniej, po czym bierze się w garść, prostuje plecy i mruga powiekami.

– Ojej – mówi kobieta za ladą. – Jak się teraz czuje?

– Dobrze. W każdym razie lepiej. Musi się napić wody mineralnej.

– Oczywiście. Kawa też by nie zaszkodziła, prawda? I coś słodkiego na podniesienie poziomu cukru we krwi.

Camilla przytakuje. To sensowne, chociaż niezbyt zdrowe. Kobieta za ladą lekko się uśmiecha, przekrzywia głowę, wygląda jak troskliwa matka.

– Pani też przydałaby się kawa. Zaraz coś dla was przygotuję...

– Jestem – mówi Camilla, stawia papierowe torby na ławce i wyjmuje spod pachy butelkę wody mineralnej. – Woda. Kawa. Ciastka.

Miriam odwraca głowę i patrzy na nią. Znowu jest sobą. Spokojna, opanowana i tak ładna i schludna, jak to tylko możliwe w jej wieku. No, może trochę blada.

– Dziękuję – mówi z lekkim uśmiechem, dobrze znanym Camilli.

Camilla nalewa wodę do papierowego kubka. Miriam pije, a ona siłą woli powstrzymuje się przed dotknięciem babci, żeby się upewnić, czy na pewno tu jest. Niepokój jej nie opuścił, drży jej ręka, kiedy wyjmuje z torby kubki

z kawą.

– Proszę. Wypij trochę kawy. I zjedz ciastko. Żeby podnieść poziom cukru we krwi.

Miriam unosi brwi.

– Aha. Myślałam, że cukier i mąkę pszenną uważasz za wymysł szatana.

Camilla wzrusza ramionami i błądzi spojrzeniem.

– Owszem, ale są takie sytuacje...

Miriam kiwa głową.

– Bardzo słusznie. To z pewnością jest taka sytuacja. Masz całkowitą rację.

Oczy Miriam płoną. Dziwne. Czuje się tak, jakby głośno i długo płakała, jakby się wyplakała, mimo że nie uroniła ani jednej łzy. Ciało jest ciepłe i wiotkie. Utopione we łzach. Nie pamięta, kiedy ostatnio tak się czuła. Przecież ona nie płacze. Nie płakała od pogrzebu Olofa, ale nawet wtedy nie płakała głośno i nie w samotności, tylko spokojnie pozwoliła płynąć łzom przy wszystkich. W ogóle nie pamięta wielkiego płaczu. Nigdy nie płakała w Ravensbrück ani w Auschwitz, ani w klasztorze u zakonnic. Tam, jeśli chciało się przeżyć, nie można było płakać. Może płakała w więźniarce, do której wepchnęła ją kobieta z kripo, chociaż to nie do końca prawda. Wtedy głównie krzyczała. Wyła z rozpacz, że Didię wepchnięto do innego samochodu. Didi był przecież jej dzieckiem. Była nie tylko jego starszą siostrą, była także jego matką. Mamą. Małą dziewczynką, która była mamą jeszcze mniejszego chłopca, odkąd umarła ich prawdziwa matka. Kiedy to było? Chyba zaraz po tym, jak Didi nauczył się chodzić...

– Zawsze byłam mamą zastępczą – mówi spokojnie i wypija łyk kawy. – Nigdy prawdziwą. Tylko zastępczą.

Miriam czeka na swoją reakcję. Czy z jej wnętrza wydobędzie się krzyk paniki, niepohamowany ryk, który zmusi ją do milczenia? Czy Didi unosi się nad Ingsbergssjön? Czy Else, ślaniając się, przechodzi obok, z twarzą naznaczoną czarnymi bruzdami głodu? Nie. To się nie dzieje. W następnym momencie opuszcza ramiona tylko po to, by się przekonać, jakie to uczucie. Nie opierać się. Nie kłamać. Nie być w każdej sekundzie gotowa do obrony.

Bardzo przyjemne uczucie. Niemal cudowne.

Odchyła się do tyłu, przestaje się uśmiechać, ospale mruży oczy od słońca i wypija duży łyk kawy z kartonowego kubka. Tak. Jest cudownie.

– Mamą zastępczą? – odzywa się Camilla. – Co masz na myśli?

Mówi niemal bez tchu. Biedactwo. Boi się. Nie powinna się bać. Miriam

nic na to nie poradzi.

– Tak, mamą zastępczą.

– Ale nikt nigdy nie widział biologicznej mamy taty, jak jej tam... Marianne. To ty zawsze byłaś jego mamą... Prawdziwą.

– Nie. Jego prawdziwą mamą była Marianne. Ja byłam tylko zastępczą. Zastępczą żoną i zastępczą mamą. Dla Didiego też byłam mamą zastępczą.

Ziemia nie podnosi się pod jej stopami. Słońce nie zachodzi, ciepły letni dzień nie przemija, nie zrywa się lodowaty wiatr, na horyzoncie nie piętrzą się burzowe chmury. Ingsbergssjön jest spokojne, ciche i lśniące. Słońce świeci. Ziemia pod jej stopami jest stabilna. Mimo że wymówiła jego imię. Sześćdziesiąt dziewięć lat po jego śmierci nareszcie głośno wymówiła jego imię. Didi! Didi! Didi! Nie zapomniałam o tobie!

– A kim był Didi? – pyta Camilla takim tonem, jakby się bała, że dostanie lanie.

Miriam zamyka oczy, zwraca twarz ku słońcu i mimo wszystko lekko się uśmiecha.

– Didi był moim młodszym bratem – mówi drżącym głosem. – Kiedy nasza mama umarła, miał zaledwie kilka lat. I tak zostałam jego mamą zastępczą.

– Ach!

Camilla odgryza kawałek ciastka i bierze duży łyk kawy.

Miriam kładzie dłoń na jej dłoni i patrzy jej w oczy.

– Nie bój się.

Camilla żuje gwałtownie, po czym obraca językiem po podniebieniu w taki sposób, który z pewnością oburzyłby Hanne.

– Nie boję się – mówi po chwili. – Dlaczego myślisz, że się boję?

– Boisz się, bo nie chcesz wiedzieć, a jednocześnie oczywiście chcesz wiedzieć. I ja to rozumiem. Ja bałam się przez całe życie.

Camilla zabiera dłoń i wypija następny duży łyk kawy.

– Bałaś się? Jak można się bać, kiedy się mieszka w raju, co?

Słyszy swój ostry ton i to ją przeraża, ale Miriam zdaje się tym nie przejmować. Śmieje się. Już się nie uśmiecha, tylko autentycznie śmieje, i zupełnie nieoczekiwanie kładzie prawą rękę na oparciu ławki. To całkiem nowy gest, całkiem inny gest, którego Camilla nigdy u niej nie widziała. Jakby była wolna. Na tę myśl Camilla mruga powiekami. Wolna? To chyba

jasne, że babcia jest wolna. Że zawsze była wolna. Przynajmniej od dnia, kiedy opuściła obóz.

– Chodzi o to, co w środku, a co na zewnątrz – mówi Miriam. – Na zewnątrz nigdy się nie bałam. Ani jednego dnia, odkąd przyjechałam do Nässjö. Ale w środku...

Camilla znów odgryza kawałek ciastka. Wie, że nie powinna, ale to ją uspokaja. Poza tym ten, kto żuje, nie musi odpowiadać. Ten, kto żuje, zajmuje się tylko żuciem. I jeśli jutro przebiegnie dodatkową rundę wokół jeziora, to może...

– W środku zawsze się bałam. Każdego dnia. Każdej minuty.

Głos Miriam staje się ciemniejszy. Już się nie śmieje. Nawet się nie uśmiecha.

Raptem lekko wzrusza ramionami.

– To faktycznie było dość męczące.

Camilla chichocze. „Męczące”. Sekundę później ogarnia ją panika. Nagle otwiera się w niej otchłań i uzmysławia sobie, czuje i rozumie, że to na serio, że to najprawdziwsza prawda. Nazizm. Auschwitz. Ravensbrück. Jej babcia spotkała doktora Mengele, o którym ona zawsze myślała jak o jakiejś postaci z baśni, jak o żywym trupie z opowieści grozy, potworze w czarnym mundurze, który krążył po Auschwitz i wpędzał innych w śmierć. Tymczasem Mengele istniał naprawdę. Jej babcia widziała go na własne oczy, słyszała jego głos. A ona tu siedzi i chichocze! Czuje, jak pali ją twarz, zmusza się do spojrzenia na babcię, żeby się zmierzyć z własnym wstydem. Ale Miriam, napotykając jej spojrzenie, uśmiecha się uspokajająco. Nie wzięła jej tego za złe.

Camilla rozluźnia się, przełyka ślinę i kiwa głową.

– Rozumiem. To bardzo męczące bać się przez cały czas.

Miriam odpowiada skinieniem głowy.

– Tak. Myślę, że to wiesz.

– Chyba wiem. Na swój sposób.

Gdzieś daleko szczeka pies. Może to Kaiser. Żadna nie reaguje, siedzą obok siebie w milczeniu, zatopione w swoich wspomnieniach. Wolno dopijają kawę. Camilla podsuwa papierową torbę, Miriam zerka na pusty kubek i wkłada go do środka. Potem podnoszą się bez słowa, gotowe na kontynuowanie spaceru. Camilla oferuje Miriam swoje ramię. Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Czy zniesiesz jeszcze jedno pytanie? – mówi Camilla.

– Tak – odpowiada Miriam po dłuższej chwili. – Chyba tak.

– Dlaczego nazwałaś go Doktor Cukierek?

Miriam zatrzymuje się w pół kroku. Zamyka oczy, ale natychmiast je otwiera.

– Zawsze miał cukierki w kieszeniach. Czerwone cukierki w papierkach.

Camilla marszczy czoło.

– Po co?

– Rozdawał je dzieciom z obozu cygańskiego. Tylko im. Lubił romskie dzieci. Żywe i martwe.

Stoją nieruchomo i patrzą prosto przed siebie. Nagle wydaje się, jakby drzewo za ich plecami zaczęło śpiewać niosącym pocieszenie basem. Wielki jarząb. Ptaki w jego listowiu milkną osłupiałe.

Camilla zniża głos do szeptu.

– Skąd to wiesz?

Głos Miriam jest jasny i czysty.

– Bo tam byłam. Byłam w obozie cygańskim w Auschwitz.

OBOZOWE ŻYCIE

*Ciągle pytam siebie: dlaczego ludzie są teraz tacy biedni?
Może dlatego, że nie ma już niewolników?*

Margarete Himmler

Kiełbasa. Spory kawałek kiełbasy. Bryłka margaryny. Miseczka syntetycznej marmolady. I chleb, całkiem duży czarny chleb.

Miriam przełknęła ślinę. Ledwie miała odwagę mrugać. Stała nieruchomo i wpatrywała się w kiełbasę, nawet nie zauważyła, że wrzawa w baraku ucichła. Kobieta przy stole podniosła nóż i przez tłoczącą się grupę przeszedł szmer. Dziewczyna z prawej strony Miriam otarła się o jej ramię i próbowała precyzyjnie przesuwać przed nią, ale Miriam do tego nie dopuściła, przesuwając się w prawo. Nie dość, że ją zablokowała, to zyskała przewagę prawie pięciu centymetrów. Przeniosła ciężar ciała na drugą stopę, poczuła ogień w nodze, ale się tym nie przejęła i niemal niezauważalnie przesunęła się o dalsze dwa centymetry do przodu. Dziewczyna z lewej, wpatrzona w kiełbasę, nie zareagowała.

Kobieta przy stole wciąż stała z podniesionym nożem.

– Ile nas jest? – spytała.

Blada dziewczyna tuż przed nią pochyliła się i szepnęła jej coś do ucha.

– Szesnaście – powiedziała kobieta z nożem. – Pokroję chleb na szesnaście części. A potem kiełbasę. Żadnej...

Urwała i rozejrzała się, obrzucając wzrokiem całą grupę. W drugim końcu baraku któraś zawyła przeraźliwie i szybko zamilkła.

Kobieta z nożem zmarszczyła czoło.

– Żadnej nie wolno się ruszyć, dopóki wszystkiego nie podzielę. I żadnych przepychanek. Pierwsze porcje dostaną te, które wczoraj zakończyły kwarantannę. Czy to jasne?

Podłoga zakołysała się pod Miriam. Ona wczoraj zakończyła kwarantannę. I nie widziała kiełbasy od blisko roku. Bez namysłu wystawiła łokcie i ruszyła naprzód, rozpychała się, napierała, okręciła się i wślizgnęła do pierwszego szeregu.

– Ja...

Kobieta przy stole popatrzyła na nią poważnie i machnęła nożem.

– Głucha jesteś? Żadna się nie rusza!

Miriam spuściła wzrok.

– Auschwitz – powiedziała przytłumionym głosem.

Kobieta opuściła nóż.

– Wiem. Ale to ci nie daje prawa do przepychania się.

Błada dziewczyna tuż obok przymknęła oczy i popatrzyła na Miriam z czymś w rodzaju pogardy. Miriam przycisnęła blaszany talerz do brzucha, zamilkła i znów wbiła spojrzenie w kielbasę. Kobieta przy stole odmierzyła szesnaście porcji, przesuwając nożem nad chlebem, potem je zaznaczyła, delikatnie nacinając, i zaczęła kroić. Przez grupę znów przeszedł szmer, ale kiedy kobieta podniosła głowę, zaległa cisza. Kompletna cisza i kompletny spokój.

Pokrojenie chleba zajęło dużo czasu. To wcale nie było łatwe, kobieta musiała trzymać nóż obiema rękami i użyć całego ciężaru swojego ciała. Ze stołu spadały małe okruszki, jednak żadna nawet nie drgnęła, żeby po nie sięgnąć, wszystkie zastygły w bezruchu i obserwowały kobietę. Była dosyć wysoka. Bładoszarą twarz znaczyły zmarszczki, jakby była bardzo stara, ale przeczyła temu jej wyprostowana sylwetka. Jej biała chustka wyglądała na świeżo wypraną. I miała nieskazitelnie czyste dłonie. Miriam spojrzała na swoje. Już zdążyły zszarzeć, mimo że wczoraj musiała pójść pod prysznic. I jeszcze te czarne obwódki pod paznokciami. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Chleb został pokrojony. Na stole leżało szesnaście kawałków. Teraz kobieta wzięła margarynę i na każdą kromkę pacnęła niemal identyczną grudkę, po czym to samo zrobiła z syntetyczną marmoladą. Potem – dopiero potem – wzięła kielbasę i trzymała ją w dłoni, jakby chciała oszacować, ile waży, odsunęła na bok kilka kawałków chleba i zaznaczyła nożem, gdzie kroić. Miriam nie spuszczała z niej oczu. Końcówka będzie największa. Bez dwóch zdań. Czyli musi ją zdobyć. Już niedługo. Lada chwila.

Chociaż wszystkie milczały, żadna nie odezwała się słowem, czuła ich niecierpliwość. Przełykały ślinę, otwierały i zamykały dłonie, przestępowały z nogi na nogę, napinały mięśnie pleców. Któraś bezwiednie wsunęła rękę między dwie dziewczyny i od razu ją cofnęła, a Miriam mocniej przycisnęła blaszany talerz do brzucha. Kobieta odłożyła nóż, na każdej kromce chleba położyła plasterk kielbasy, przesunęła dłońmi po spódnicy, jakby musiała je wytrzeć, po czym odwróciła się do Miriam i powiedziała:

– Proszę. Oto twój niedzielny obiad. Witaj w Ravensbrück.

Miriam wyciągnęła rękę, chwyciła kanapkę i zobaczyła, że faktycznie trafiła jej się dupka z kielbasy, naprawdę dostała największy kawałek. Szybko wciągnęła powietrze, położyła kanapkę na talerzu, przycisnęła talerz do brzucha, zachwiała się pod naporem innych, które zaczęły się tłoczyć przy stole, ale nie rozluźniła chwytu, stała pośrodku grupy i patrzyła. Niech się tłoczą.

Miała największy kawałek kielbasy. Ona. Malika. Miriam. Największy

kawałek kielbasy.

Baraki dzielił przesmyk, ale nie aż tak wąski, żeby Miriam nie mogła tam usiąść i obejrzeć swojej zdobyczy. Przez moment ważyła chleb w dłoni, potem przyjrzała mu się z bliska. Ani śladu trocin. Nawet jeśli były, to całkowicie niewidoczne. Ciemny pełny chleb. Co z nim zrobić? Zjeść czy zachować na później? Jeśli dzisiaj wieczorem nie będzie zupy, warto go zachować. Zupa, którą dostały wczoraj, była lepsza od tej w Auschwitz. Znalazła w niej kilka plasterków marchewki i dwa kawałki ziemniaków. I wcale nie były zgniłe.

– Zapomniałaś o kawie...

Miriam przycisnęła chleb do brzucha i uniosła głowę. Stała przed nią kobieta wydzielająca porcje, postawna, wysoka i chuda jak maszt flagowy, z dwoma blaszanymi kubkami w dłoniach.

– Bierz – powiedziała, robiąc lekki ruch ręką. – Co prawda to nie jest prawdziwa kawa, teraz to przeważnie wywar z buraków, ale doświadczenie mnie nauczyło, że w tym miejscu z niczego nie należy rezygnować.

Miriam pokiwała głową i wzięła kubek. Kobieta oparła się plecami o ścianę baraku, powoli przykucnęła, postawiła swój kubek na ziemi, położyła chleb na kolanie, wyciągnęła rękę i uśmiechnęła się. Miriam patrzyła na jej rękę, jakby nie wiedziała, co ma z nią zrobić.

– Przywitaj się – powiedziała uprzejmie kobieta.

Na opasce miała czerwony trójkąt z literą N. Czyli polityczna, cokolwiek to znaczyło. Miriam zamrugała oczami, przełożyła chleb i kielbasę z prawej dłoni do lewej, wytarła prawą o sukienkę i wyciągnęła.

– Dzień dobry – szepnęła.

Czego od niej chce ta dziwna kobieta?

– Dzień dobry. Nazywam się Else Nielsen. A ty jak się nazywasz?

Na krótką chwilę czas się zatrzymał. Zaswędziała ją rana na przedramieniu, rana, którą sama zrobiła, żeby zdrapać literę Z. Wybrać prawdę czy kłamstwo?

– Miriam Goldberg.

A zatem kłamstwo. Nie wiedziała dlaczego.

– Z Niemiec?

Miriam kiwnęła głową.

– Ile masz lat?

Ile ma lat? Nie miała pojęcia. Nawet nie wiedziała, który jest rok. Uciekła spojrzeniem.

– Piętnaście. Chyba.

Else skinęła głową.

– Jedz – powiedziała. – Potrzebujesz tego.

Miriam wciągnęła powietrze.

– Czy dzisiaj wieczorem dostaniemy zupę?

– Nie. Kawalek chleba, trochę margaryny i to coś, co nazywają kawą.

– Na pewno?

Else znów skinęła głową i ugryzła kęs chleba.

– Tak. Na pewno. Możesz jeść.

Jadły w milczeniu. W pierwszej chwili Miriam nie mogła się zdecydować, czy najpierw zjeść kielbasę, a potem chleb, czy odwrotnie, albo wszystko naraz, jak kanapkę, i zerknęła na Else. Else zaczęła od chleba z margaryną i marmoladą. Kielbasę odłożyła na talerz. Czyli zje ją na końcu. Miriam rozsmarowała margarynę kciukiem, potem próbowała zrobić to samo z marmoladą, ale się nie udało. Prawie wszystko zostało na kciuku i musiała włożyć go do ust, żeby zlizać tę słodycz. Potem ugryzła kęs chleba. Duży kęs. Był smaczny. Smaczny chleb? Dziwne.

– To niedzielny chleb – powiedziała Else.

Miriam skinęła głową.

Else wypila duży łyk kawy i położyła dłoń na ramieniu Miriam.

– Ostrożnie. Nie jedz tak szybko!

Miriam przełknęła i wypila łyk kawy. Smakuje burakami? Nie miała pojęcia. Nie pamiętała smaku buraków. To było gorzkie.

– Jeśli będziesz jadła za szybko, dostaniesz mdłości – powiedziała Else. – A to niedobrze, to bardzo osłabia.

Ale trudno było nie jeść za szybko. Miriam drżała na całym ciele. Odłożyła chleb i wzięła kielbasę. Kielbasianą dupkę. Oblizła ją, odgryzła kawałek i zatrzymała na języku. Sól. Zamknęła oczy. Delektowała się.

– Jak długo byłaś w Auschwitz? – spytała Else przyciszonym głosem.

Miriam otworzyła oczy. Zaczęła żuć. Nie zamierzała odpowiadać, dopóki nie skończy. Przełknęła.

– Rok. Chyba. Albo półtora roku...

– Przyjechałaś tam zimą?

Miriam pokiwała głową i ugryzła drugi kęs chleba. Nie zamierzała odpowiadać, dopóki miała jedzenie w ustach.

– Jak było w Auschwitz? – odezwała się Else po dłuższym milczeniu. – Jak tam było?

Miriam odwróciła głowę i przestała żuć. Popatrzyła Else prosto w oczy i nic nie powiedziała.

Jak było w Auschwitz?

Co za pytanie. Jak można na nie odpowiedzieć? Przed jej oczami zamigotały obrazy. Śnieżna breja. Glina. Ani źdźbła trawy. Żadnych drzew. Niezliczone baraki. Wychudzone ciała. Wystające zęby. Zapadnięte oczy. Szczekanie psów. Mengele. Ukraińscy strażnicy. Szubienice. Apel o świcie. Noma.

I oczywiście martwe ciała. Setki trupów. Tysiące. Setki tysięcy.

Stosy trupów. I wysokie płomienie z komina krematorium.

Else głęboko wciągnęła powietrze i zakryła usta dłonią. Siedziała nieruchomo, wpatrując się w szarobrazową drewnianą ścianę baraku. Gwałtownie zamruwała powiekami, lekko się skuliła, spojrzała na chleb w swojej dłoni i znów głęboko wciągnęła powietrze, ale tym razem inaczej. Zbierała się w sobie. Przesunęła drugą dłonią po twarzy, otworzyła usta i ugryzła kęs chleba. Żuła.

– Aha – powiedziała po chwili, jakby usłyszała odpowiedź na swoje pytanie. – Ach tak.

Miriam wciąż milczała.

– Mój mąż... – zaczęła Else i wypila duży łyk namiastki kawy. – Wydaje mi się, że wywieźli go do Auschwitz...

Miriam skinęła głową, odwróciła wzrok i odgryzła spory kawałek kiełbasy. Smak stęchlizny. Prawie zagojona rana na lewym przedramieniu zaczęła swędzieć.

Słońce znalazło przesmyk między barakami. Grzało. Oślepiało. Else podniosła się, zamknęła oczy i stała oparta plecami o ścianę. Miriam wciąż siedziała, żuła ostatni kęs kiełbasy i zmagiała się z obrzydzeniem. Nie miała prawa brzydzić się kiełbasą, bez względu na smak i na to, co w niej było, nie mogła się jednak opędzić od wyobrażania sobie... Nie. Tak nie wolno myśleć. Wypila duży łyk z kubka i przesunęła językiem po podniebieniu, zlizując

cieniutką warstewkę tłuszczu po kielbasie.

Nagle głos Else zabrzmiał inaczej. Pewnie. Bardzo stanowczo.

– Umiesz czytać?

– Co?

– Słyszałaś. Umiesz?

Miriam przełknęła ślinę.

– Tak. Chyba umiem.

– Chyba?

– Dawno nie czytałam... Ale umiem.

– Gdzie się nauczyłaś?

– W klasztorze...

Else uniosła brwi.

– Miriam Goldberg? W klasztorze? W Niemczech? Nie próbuj...

Miriam położyła prawą rękę na lewym przedramieniu, na strupie, i milczała. Patrzyła na szarobrazową ziemię pod stopami. Nic tu nie rosło. Tutaj też nie było choćby źdźbła trawy.

– Niemieckie klasztory nie przyjmują Żydów. W każdym razie od bardzo dawna tego nie robiły. Więc gdzie nauczyłaś się czytać?

Miriam miała długie rękawy, więc Else nie mogła zobaczyć rany.

– Powiedz prawdę, na Boga. – Else trąciła ją swoim zniszczonym drewniakiem. – Nic ci nie grozi...

Miriam nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tym momencie na obozowej ulicy coś świsnęło. Raz, potem drugi, a sekundę później świsty rozlegały się ze wszystkich stron. Else podniosła ją silnym szarpnięciem i popchnęła głębiej między baraki.

– Szybko – syknęła. – Szybko! Za barak! I bądź cicho!

Else przywarła do tylnej ściany baraku, objęła Miriam ramieniem i przycisnęła do ściany. Przygryzła wargi, nic nie mówiła, ale mówiły jej oczy. Rozszerzyły się, zrobiły się niemal okrągłe. Tuż przed nimi były druty pod napięciem, cicho skwierczały, nucąc swoją odwieczną melodię. Zzzing! Miriam nigdy nie stała tak blisko drutów, nawet w Auschwitz. Mimo że dzieliło ją od nich przeszło pięćdziesiąt centymetrów, miała wrażenie, że elektryczność głaszcze jej policzki, piecze w oczy, wchodzi w nozdrza

i w uszy... i nagle przypomniała sobie jedno słowo z klasztoru, „ślimak”, planszę z przekrojem ucha i siostrę Agathe, która pokazywała tego ślimaka pałeczką, i jednocześnie poczuła, jak elektryczność przepływa niżej, łaskocze ją w ramiona, podnosi włoski... i nagle przypomniała sobie czarne palce w Auschwitz i szybko schowała ręce za plecami. Potem przymknęła oczy, przygryzła wargi jak Else i z całych sił przywarła do ściany.

Na obozowej ulicy rozszczękały się owczarki niemieckie. Wrzeszczeli mężczyźni. Do ich wrzasków dołączyły piskliwe głosy kobiet. SS i kapo. Krzyknęło kilka więźniarek. Miriam miała wrażenie, że rozpoznaje w tej kakofonii parę romskich słów, ale ledwie się pojawiły, zniknęły. Otworzyła oczy i rozejrzała się. Za drutami było coś, co mogłoby być łąką, gdyby nie było tyle wody, a dalej szary mur. Tak, to wyglądało prawie jak prawdziwa łąka, z kilkoma kałużami i plackami gołej ziemi, na której rosły duże drzewa o szarych pniach i kępy zielonej trawy. I kwiaty. Żółte kwiatki, nad którymi fruwał cytrynek. Nagle wzbił się w górę i beztrąsko leciał w stronę baraków. Miriam wciągnęła powietrze. Czy on umrze? Nie chciała, żeby umarł. Przez parę sekund źle to wyglądało, cytrynek był coraz bliżej drutów, na szczęście dwadzieścia centymetrów przed nimi zmienił kierunek, zawrócił, przycupnął na kwiatku, posiedział na nim przez chwilę, po czym znów wzbił się do góry i zniknął za murem.

Uszedł z życiem.

Odgłosy z obozowej ulicy świadczyły o tym, że tym razem Miriam i Else też uszły z życiem.

– Oddział marsz! – wrzasnął kobiecy głos i stopy zachręściły na żwirze.

Stały za barakiem blisko godzinę. Else opuściła rękę, już nie przyciskała Miriam do ściany. Miriam zamigotało przed oczami. Zamrugowała, żeby wyostrzyć wzrok, i próbowała się skoncentrować na jednym konkretnym liściu na najbliższym drzewie. Nic z tego. Zielone stało się czerwone, potem żółte, potem znowu zielone.

Swędziało ją przedramię. Może to dobry znak, może rana wreszcie zaczęła się goić. Wszystkie dni kwarantanny poświęciła na usuwanie Z, siedziała w kucki i godzina po godzinie rozorywała skórę ostrym paznokciem palca wskazującego. W końcu rozdrapała ją do krwi. To dobrze. Właśnie tego chciała. I kiedy wczoraj musiała wejść pod lodowaty prysznic, na lewym przedramieniu miała porządną ranę. Zostały tylko trzy cyfry. 389. Jej własne cyfry. I Miriam.

– No – odezwała się Else, sprowadzając ją na ziemię. – Idziemy.

Skręciły za róg, ruszyły przesmykiem między barakami, były coraz bliżej drzwi, ale nie od razu do nich podeszły. Else, nie odrywając oczu od obozowej ulicy, ostrożnie podkradła się do ściany szczytowej. Miriam uświadomiła sobie, że kurczowo zaciska dłoń na plecach jej bluzki, że tak mocno zaciska dłoń na pasiastym materiale, że na pewno się pogniecie, a mimo to nie była w stanie go puścić i wślizgnąć się do baraku na własną rękę. Else nie mogła zniknąć. Else musiała zostać.

Na obozowej ulicy Else przystanęła, odwróciła się i położyła palec na ustach. Miriam kiwnęła głową, znieruchomiała, ale nie rozluźniła uchwytu. Było cicho. Bardzo cicho. Nie szczekały psy, nie krzyczeli kapo, nie maszerowały nadzorcynie w lśniących butach z cholewami.

– Szybko do baraku – powiedziała Else. – Raz-dwa!

Odwrócić się. Else pierwsza. Cztery długie kroki. Szarpnięcie za drzwi. I były w środku, w małej sieni. Bezpieczne. A raczej jako tako bezpieczne.

– Możesz mnie już puścić – powiedziała Else przyciszonym głosem.

Miriam zamrugowała oczami, nie rozumiała.

Else odrobinę podniosła głos.

– Puść moją bluzkę!

W tym momencie tuż przed nimi gwałtownie otworzyły się drzwi i wytknęła głowę jakaś kobieta. Niezwykła kobieta. Dopiero po paru sekundach Miriam uzmysłowiła sobie, co było w niej niezwykłego. Na pewno była więźniarką, ale miała okrągłe policzki i podwójny podbródek, a na wąskich wargach pomadkę o barwie piwonii. Nie do wiary. Miriam ze zdumienia puściła bluzkę Else.

– Co to za cholerny hałas?!

Else stanęła na baczność i spuściła wzrok.

– Przepraszam. To było niechcący. Przepraszam.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Ile razy mówiłam, że w niedzielę po południu ma być cicho? Co?! Mówiłam czy nie?!

Else nie podniosła wzroku.

– Tak. Przepraszam.

– Dzisiaj jest niedziela. I jest popołudnie. Pamiętajcie, do cholery, żeby trzymać dzioby na kłódkę!

– Tak. Przepraszam.

Kobieta zwróciła się do Miriam:

– A ty, na co się, kurde, gapisz?

Miriam natychmiast spuściła wzrok.

– Na nic – szepnęła. – Przepraszam.

– Ona jest nowa – powiedziała Else.

– Gównu mnie to obchodzi! Ma trzymać dziób na kłódkę!

I niezwykła kobieta zatrzasnęła drzwi.

Weszły po cichu do sali sypialnej, przystanęły tuż przy drzwiach i rozejrzały się. Coś się wydarzyło. To było oczywiste. Rano barak był wypełniony do ostatniego centymetra, więźniarki leżały po trzy na jednej pryczy i w dwóch długich rzędach na podłodze, a te najbardziej wychudzone pod pryczami. Między innymi Miriam. Mimo wszystko spała. Wyczerpana po podróży i bitwie o jabłko, po przymusowym strzyżeniu, goleniu i lodowatym natrysku, po kilku dniach kwarantanny i posiłku, który składał się z odrobiny zupy i suchego chleba, uważała, że trafiła do raju. Leżała przecież na prawdziwej podłodze z gładkiego cementu, a nie na ubitej ziemi, jak w cygańskim baraku w Auschwitz. I tutaj było sucho i ciepło. Sucho, ciepło i spokojnie.

Teraz sala była w połowie pusta, niemal wyludniona. Co prawda na niejednej pryczy widziała szare twarze, ale większość prycz była opuszczona. Popatrzyła na Else. Stała z zaciśniętą dłonią przy ustach i błędziła spojrzeniem od jednej pryczy do drugiej. Po chwili lekko westchnęła, zrobiła parę chwiejnych kroków naprzód, szybko jednak wyprostowała plecy i ruszyła pewnym krokiem. Podeszła do jednej z najdalszych prycz, chwyciła

się środkowej, postawiła stopę na najniższej i ze zdumiewającą gracją wskoczyła na najwyższą. Tam uklękła i przez chwilę macała wokół rękami.

– Słoma – wyszeptała. – Daj mi trochę słomy.

Miriam natychmiast pochyliła się nad najniższą pryczą, wzięła naręcze słomy i podała Else. Else pokiwała głową i zaczęła ją układać na dnie pryczy. Na moment znieruchomiała, po czym wyrzuciła garść słomy.

– Suche słomy. Nie wilgotnej! Nie przegniłej!

Miriam skinęła głową i rozejrzała się. Prycza za jej plecami wydawała się sucha. Wsunęła ręce w słomę, poczuła coś pełzającego po dłoni, wyciągnęła ją, zobaczyła pająka, strzepnęła go na podłogę i rozdeptała.

Else zachichotała.

– Dobrze. Ale jutro będzie deszcz.

Miriam nic nie zrozumiała, lekko pokręciła głową, chwyciła duże naręcze słomy i podała Else, która uśmiechnęła się jeszcze szerzej i rozścieliła słomę. Miriam chwyciła następne naręcze i odwróciła się do Else.

– Nie. – Else pokręciła głową. – Odłóż to. Już wystarczy... Chodź!

Miriam przełknęła ślinę. To było zaproszenie. Uprzejme zaproszenie. Nigdy dotąd nikt jej nie zapraszał. Nieco ją zdziwił lekki dreszcz, który nagle przeszył jej ciało, ale się nie zawahała. Postawiła stopę na najniższej pryczy, chwyciła się środkowej i wskoczyła na najwyższą. Tak. Teraz była u Else.

– Tu jest dom wariatów – powiedziała Else przyciszonym tonem. – Zapamiętaj to. – Pokiwała głową, jakby chciała podkreślić wagę swoich słów. – Jak się to wie, to łatwiej jest przeżyć. Karmią może lepiej niż w Auschwitz, ale wszyscy straszliwie biją. Wszyscy. Więźniowie, kapo, strażnicy i oczywiście SS. – Wskazała głową w stronę sieni. – Blokowa Irma Lunz jest kompletnie obłąkana. Uważaj na nią. Słuchaj jej, ale nigdy nie patrz jej w oczy. Skopała na śmierć wiele osób, bo uważała, że patrzą na nią bezczelnie. I nigdy nie daj jej poznać, że się boisz. Nikomu, żadnemu człowiekowi nie daj poznać, jak bardzo się boisz!

Miriam siedziała na kolanach na słomie. Pochyliła się i wyszeptała:

– Ona miała prawdziwą pomadkę?

Else lekko wzruszyła ramionami.

– Tak. Każdej niedzieli maluje usta. Rzecz jasna, nie ma pomadki na apelu, bo esesmanki byłyby wściekłe. Ale poza tym, tak. Tutaj tak. Czasami paraduje w koronkowej jedwabnej koszuli nocnej.

Miriam otworzyła usta. Jedwabna koszula nocna? W obozie koncentracyjnym?

– Skąd ją ma?

Else znów wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie z Kanady. Znała tam kogoś.

Miriam zamrugła oczami.

– To tutaj też jest Kanada?

– Tak. Kanada jest w każdym obozie. Muszą się przecież zająć tymi wszystkimi rzeczami, które ludzie z sobą przywożą.

Miriam zamknęła oczy na sekundę i oddała się marzeniom.

– Jak można dostać pracę na Kanadzie?

Elsa uśmiechnęła się.

– Zapomnij o tym. Poza tym mówi się „w Kanadzie”. Kanada to taki kraj daleko stąd. Bogaty kraj. Stąd wzięła się ta nazwa. Ze względu na wszystkie bogactwa. W Kanadzie nie dostaje się pracy. Nie wtedy, kiedy jest się zwykłym więźniem bez specjalnych kontaktów. Nawet nie w takim dniu jak ten.

Miriam znów otworzyła usta. No, tego to już było za dużo. Kanada miałaby być krajem? W Auschwitz to był barak, ukryty co prawda w zagajniku pośród wysokich drzew, ale pogłoski o nim krążyły w całym obozie. Kanada pękała w szwach od najróżniejszych rzeczy. Były tam ubrania, buty, futra, biżuteria, materace, kołdry, koce, a nawet żywność. Wszystko, czego człowiek potrzebował. Czasami tym, którzy tam pracowali, udawało się co nieco ukraść. Na przykład włożyć do ust coś do jedzenia albo zamienić swoje buty na nowsze i lepsze. Miriam westchnęła. Kanada była marzeniem. Ale co miała na myśli Else, mówiąc o takim dniu jak ten? To znaczy jakim? Co takiego było w tym dniu?

Else popatrzyła na nią i lekko pokręciła głową.

– Nie rozumiesz, co się stało, kiedy schowaliśmy się za barakiem?

Miriam wzruszyła ramionami.

– Pewnie wyciągali kobiety do gazu...

Oczy Else rozszerzyły się, siedziała przez chwilę nieruchomo, po czym wolno pokręciła głową.

– Nie. Nie do gazu. Wyślą je do jakiejś fabryki. Przypuszczalnie do fabryki

amunicji. A fabryki amunicji zawsze są bombardowane. Dlatego chodzi o to, żeby zostać tutaj. Nikt nie bombarduje Ravensbrück. Nikt nie zbombarduje Ravensbrück. Niedługo, za rok albo dwa, Niemcy przegrają wojnę. Wtedy będziemy wolne.

Wolne? Co się robi, kiedy jest się wolnym? Co to znaczy być wolnym? Nagle zamrugła oczami.

– Jestem senna – powiedziała, obejmując się rękoma. – Czy możemy chwilę pospać?

Else przesunęła dłonią po słomie, jakby ścieliła łóżko.

– Dobrze. Śpij. Potrzebujesz snu.

Nigdy nie zasnęła tak szybko i nigdy nie spała tak głęboko. Momentalnie zapadła się w nicość. Przestała istnieć. Odpoczywała. Była syta. Zbierała siły. Ba, nawet śniła.

Kiedy się obudziła, było ciemno. Dopiero po paru sekundach przypomniała sobie, kim jest i gdzie jest. Poczowała zapach słomy i wróciła jej pamięć. Przyjemny zapach. Ktoś przykrył ją kocem, szarym i podartym, ale jednak prawdziwym kocem. Było jej ciepło. I była prawie wyspana. Tak było.

Else siedziała obok niej na kolanach, położyła rękę na jej ramieniu i lekko nim potrząsnęła.

– Obudź się, śpiochu! Już rano. Niedługo apel.

Miriam na moment znów zanurzyła się w sen, potem zmusiła się, żeby usiąść, i przetarła oczy.

– No. – Else spuściła jedną nogę z pryczy. – Wstawaj i skacz! I nie zapomnij zasłać po sobie.

Zasłać? Zwariowała? Kto by się przejmował ścieleniem w obozie koncentracyjnym? Else zeskoczyła na cementową podłogę, skrzyżowała ramiona i nie spuszczała z niej wzroku.

Miriam niemal prychnęła.

– Jak to: zasłać?

Else zmarszczyła czoło.

– Złóż koc. Wyrównaj słomę. I schodź. Pospiesz się!

Miriam wahała się przez moment, zerknęła na Else i wykonała polecenie. Złożyła koc schludnie na cztery, umieściła go w nogach pryczy, wrzuciła słomę, po czym spuściła prawą nogę i zaczęła się zsuwać. Lekko się skrzywiła, kiedy lewa stopa dotknęła cementowej podłogi.

– Szybko! – przynagliła ją Else. – Teraz się umyjemy.

Miriam westchnęła.

– O tej porze?

Else położyła rękę na jej plecach i popchnęła.

– O tej porze się myjemy. I szorujemy zęby. Rozejrzyj się za jakimś ręcznikiem... I za szczoteczką do zębów. Kto wie, może ci się poszczęści.

O ręcznik nie było trudno. Na wielu pustych pryczach leżały ręczniki. Miriam wzięła jeden i obejrzała. Prawie cały. Naśladując Else, przewiesiła go przez ramię i wzdrygnęła się. Z wyższej pryczy wychynęła szara twarz o zapadniętych policzkach, wystających zębach i przenikliwym spojrzeniu. Twarz dorosłej kobiety.

– To mój ręcznik – wyszczała.

– Nie przejmuj się nią – powiedziała Else, popychając Miriam przed sobą. – Ma nie po kolei w głowie. Myśli, że wszystko należy do niej. Po prostu się nią nie przejmuj.

– To móóój ręcznik! – warknęła kobieta. – Mój! Mój! Mój!

– Brednie – powiedziała Else, nie zwalniając kroku.

Mimo że sala sypialna była w połowie wyludniona, przed blaszanymi umywalkami panował ścisk. Więźniarki tłoczyły się przy kranach i szorowały kawałkami pumeksu. Któraś skinęła na Else, inna obrzuciła Miriam krzywym spojrzeniem, ale rozstały się bez słowa, żeby zrobić im miejsce. Tylko jedna miała szczoteczkę do zębów, z czerwoną rączką, i pustym wzrokiem patrzyła przed siebie.

Woda była lodowata, a pumeks twardy. Miriam zapiekły dłonie, kiedy się nim szorowała. Niełatwo było się pozbyć cienkiej szarej warstwy, która do nich przywarła, ale robiła, co mogła. Ręce tak, ale nie twarz. Odmówiła szorowania twarzy pumeksem. Umyła ją, pocierając dłońmi policzki, szyję i uszy. Pragnęła być tak czysta, żeby zyskać aprobatę Else.

Else włożyła palec wskazujący do ust, potarła nim zęby, wyjęła palec i splunęła. Po chwili wahania Miriam zrobiła to samo. Cały czas podpatrywała Else. Teraz rozwiązała chustkę, przewiesiła przez ramię i szukała czegoś w kieszeni swojej pasiastej więziennej marynarki. Miała na sobie przykrótką kwiecistą spódnice, spod której wystawały kościste kolana, i duże, toporne buty bez sznurówek, męskie albo chłopięce, tak zdarte, że na czubkach były o kilka odcieni jaśniejsze. Wyjęła grzebień, starannie przesunęła nim po włosach, doprowadziła je do porządku i wygładziła, po czym dała grzebień Miriam i zawiązała chustkę.

Miriam wpatrywała się w grzebień, zamierzając go zwrócić.

– Nie jest mi potrzebny...

Else uniosła brwi.

– Mam ogoloną głowę – powiedziała Miriam.

Zdjęła chustkę i poczuła chłód nocnego powietrza.

Else zmarszczyła czoło.

– Trochę ci odrosły.

– Nie.

– Tak.

Else wzięła grzebień i przejechała nim po szczecinie Miriam. Uczesała ją tak, jak matka córkę.

Kiedy wyszły na apel, wciąż było ciemno. Lampa na ścianie szczytowej rzucała bladożółte światło, bladożółte latarnie oświetlały obozową ulicę. Przed barakiem naprzeciwko stało dużo więźniarek. Co najmniej pięćset. Może przed każdym barakiem z wyjątkiem baraku Miriam stało co najmniej pięćset więźniarek? A ile było tych baraków? Dwadzieścia? Czterdzieści? Sześćdziesiąt? Nie zamierzała ich liczyć. Na apelach w Auschwitz oduczyła się myśleć. Po prostu stała, i tyle.

Else zadbała, żeby trafiły do czwartego szeregu bliżej środka. To byłoby dobre miejsce, gdyby było ich pięćset albo więcej, ale teraz szeregi były przetrzebione. Miriam ostrożnie zrobiła krok w tył, na co Else ostrzegawczo pokręciła głową. Ma się nie ruszać. To oczywiste. Trzeba stać nieruchomo i czuć, jak późnonocny chłód powoli przechodzi w ziąb. Tak. Było zimno, ale to przecież letni chłód. Nie można narzekać. Zadarła głowę i spojrzała w niebo. Szarość w ciemnościach. Czyli pochmurnie. Może spadnie deszcz?

– *Achtung!*

Miriam drgnęła. Ryk rozległ się gdzieś z tyłu i dopiero po kilku sekundach zobaczyła, kto ryknął. Blokowa Irma. Wypadła z baraku w podłym humorze. Dzisiaj nie miała pomadki. Była w letniej kwiecistej rozpinanej sukience, która wyraźnie opinała się na brzuchu. Irma była gruba. Miriam zamrugała zdziwiona. Gruba więźniarka KZ?

– Simone! – wydarła się blokowa. – Gdzie jest Simone?!

Żadna nie odpowiedziała. Sześćdziesiąt osiem kobiet patrzyło prosto przed siebie i sprawiało wrażenie, że nie słyszy ani słowa.

Blokowa stanęła przed nimi.

– Ogłuchłyście, kretynki?! Gdzie, do cholery, jest Simone?!

Przez grupę przeszedł ledwie zauważalny dreszcz. Wahanie. Blokowa szeroko rozstawiła nogi, w rękę trzymała długi gruby kij. Wskazała nim dziewczynę w pierwszym rzędzie i stuknęła w ramię. Dziewczyna coś wymamrotała, przezornie wbijając wzrok w ziemię.

Irma Lunz podniosła kij.

– Co ty, do cholery, mówisz? Mówże wyraźnie, idiotko!

Dziewczyna zgarbiła plecy i postarała się mówić wyraźniej. Mimo wyższego głosu trudno było ją zrozumieć. Jej niemiecki był kulawy.

– Simone przeniesiona. Wczoraj.

– Pieprzona debilka!

Blokowa uderzyła ją kijem w ucho. Dziewczyna zachwiała się, lewą ręką szybko potarła ucho i natychmiast znów stanęła na baczność. Ale ten jeden gest wystarczył.

Irma Lunz podeszła bliżej, wysunęła głowę i wysyczała:

– Na co ty sobie, do cholery, pozwalasz, żydowski pomioście? Masz stać na baczność! Myślisz, że ujdzie ci to na sucho? Co?!

I zaczęła bić.

Wreszcie nastał świt. Noc zbladła i poszarzała, na chmurach usiadł różowy blask, który powoli ustąpił miejsca jasnopomarańczowemu. Na moment chmury się rozsunęły i w szczelinie zaśnił promień słońca.

Na placu apelowym leżało zakrwawione ciało. Od czasu do czasu wstrząsały nim drgawki.

Czas zaczął płynąć inaczej. Przez blisko pół minuty Miriam była gdzie indziej, przez blisko pół minuty była w Auschwitz, to był ranek po śmierci Didiego, była odrętwiała z szoku. Zamknęła oczy i zdała sobie sprawę, że minęło wiele tygodni, że jest w Ravensbrück i osoba, która nazywa się Irma Lunz, chodzi tam i z powrotem przed stojącymi na baczność więźniarkami i klnie pod nosem. Miała bardzo białą skórę, na nogach plamy krwi, jasnoczerwone i rdzawobrzazowe. W kwiecistej sukience, mimo dużego białego krzyża na plecach, sprawiała wrażenie dobrze ubranej. Była w skarpetkach, czarnych skarpetkach, które wystawały z brązowych butów w odpowiednim rozmiarze. Buty miały sznurówki. Była tak uprzywilejowana, że mogła zachować sznurówki. I czarny trójkąt. Aspołeczna. Pewnie Aryjka. Może była prostytutką.

Któraś zajęczała. Dźwięk wydobył się z zakrwawionego ciała, z ust wypłynęły różowe bańki. Nie. To się nie działo. Malika stała pod jabłonią uginającą się od czerwonych soczystych owoców, chociaż nie, nie była Maliką, miała na imię Miriam i to była jej jabłoń, jej spadek, który...

Irma Lunz znów ryknęła, podniosła kij i mocno uderzyła w zakrwawione ciało. Trzask, potem jakby ktoś wymiotował, ale to bez znaczenia, bo Miriam wyrosły z pleców skrzydła, stała się ptakiem, małym niebieskim ptaszkiem, który natychmiast wzbił się w górę, i kiedy znalazła się wysoko nad obozem, zobaczyła, że to będzie cudowny dzień. Z oddali nadfrunął inny ptaszek, i to był Didi. On też stał się ptakiem! Co za szczęście! Teraz będą mogli latać razem... Poleć daleko stąd. Gdzieś do lasu.

– Pieprzony żydowski pomiot! Cholerna świnia!

Irma Lunz patrzyła na swoje zabrudzone buty. Z zakrwawionego ciała

wciąż dochodził słaby dźwięk, więc jeszcze raz podniosła kij. Przed oczyma Miriam zamigotał obraz z Auschwitz. W obozie cygańskim byli młodzi mężczyźni i jeden z nich, nowo przybyły, zaatakował kapo. Żle się to skończyło. Umierał bardzo powoli. Ale Miriam nie chciała o tym myśleć, wolała myśleć, że jest małym niebieskim ptaszkiem. Usiadła na gałęzi, Didi wylądował tuż obok, przekrzywił główkę i...

– Cipa! Kupa gówna! Pieprzone ścierwo!

Irma Lunz coraz mocniej kopała bezwładne ciało.

Więźniarki z baraku naprzeciwko wyglądały dosyć dziwnie. Jakoś inaczej. Miriam nie umiałaby powiedzieć dlaczego. Wszystkie miały fioletowe trójkąty, cokolwiek to znaczyło, i były wyszorowane do czysta. Mimo całej mizerii były nieprawdopodobnie schludne. Guziki zapięte, dolne brzegi sukienek podszyte, chustki zawiązane zgodnie z regulaminem. Ale postawą nie różniły się od innych. Były zgarbione. Zmęczone. Zrezygnowane. Miriam zerknęła w lewo na Else. Stała z opuszczoną brodą i na wpół przymkniętymi oczami. Może spała. Miriam wiedziała, że niektórzy potrafią spać na stojąco, ale ona nigdy się tego nie nauczyła. Szkoda. Bardzo by jej się to przydało podczas ciągnących się w nieskończoność apeli. Tymczasem musiała się zadowolić patrzeniem prosto przed siebie i wystrzeganiem się nawet najmniejszego ruchu.

– Diabelskie nasienie!

Irmie Lunz załamał się głos, co najwyraźniej jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. Z całych sił uderzyła leżącą dziewczynę kijem w głowę. Bez sensu. Dawno nie było w niej życia.

Nagle zaszczekał pies. Obozową ulicą nadchodziły parami nadzorcynie. Wszystkie w odprasowanych spódnicospodniach, wypucowanych skórzanych butach z cholewami i w furażerkach na bakier. Nie miały kijów. Miały prawdziwe pałki.

Irma Lunz wymierzyła martwemu ciału porządnego kopniaka i stanęła w pozycji na baczność.

Choć nadal powinno być lato, w powietrzu czuło się jesień. Może z powodu deszczu. Padał rano, kiedy stały na placu apelowym, i padał wieczorem, kiedy wychodziły ze szwalni. Przypuszczalnie padał również w ciągu dnia, ale tego Miriam nie mogła wiedzieć, bo siedziała w głębi szwalni pochylona nad maszyną, a okna były jedynie jasnoszarą poświatą na obrzeżach jej pola widzenia. Nie miała odwagi podnieść głowy, żeby na nie spojrzeć. Dostałaby pewnie za to w twarz. Nie chciała więcej policzków. Nie chciała, żeby ktokolwiek, strażniczka czy więźniarka, zwracał na nią uwagę. Więc tylko

szyła. Proste ściegi. Czarny materiał, czarna nitka, równe brzegi. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Czarny materiał, czarna nitka, równe brzegi. Setki razy. Proste ściegi. Czarny materiał, czarna nitka, równe brzegi. Tysiące razy.

Tuż obok niej siedziała młoda Rosjanka. Czasami śpiewała przy pracy, któregoś dnia przyłączyły się do niej inne szwaczki. Ale nie Miriam. Miriam tylko pracowała. Proste ściegi. Czarny materiał, czarna nitka, równe brzegi. Czasami ktoś pojawiał się w przejściu między rzędami maszyn – esesman, nadzorczyńni albo Else – ale to nie miało znaczenia. Miriam nie podnosiła głowy, za nikim nie patrzyła, nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, tylko szyła. Proste ściegi. Czarny materiał, czarna nitka, równe brzegi.

Else powiedziała, że szwalnia to najlepsze miejsce pracy w całym obozie. To jej zasługa, że Miriam zaczęła tam pracować. Szwaczki siedziały, nie musiały po jedenaście godzin dziennie być na nogach, jak te, które pracowały w lesie. To dobrze, bo oszczędzały siły. Poza tym szwalnia mieściła się na terenie obozu, dzięki czemu ryzyko zbombardowania było minimalne. Siemens miał fabrykę tuż za drutami i murami, tam ryzyko było ciut większe. Jedyny problem polegał na tym, że do krawiectwa trzeba mieć talent. Niektórzy są do tego wręcz stworzeni, inni nie. Niestety Else zaliczała się do tych drugich. W ogóle nie umiała obchodzić się z maszyną. Materiał jej uciekał, szwy były pomarszczone, pętelkowały się ściegi dolne, łamała się igła, rwały się nici. Tylko dzięki temu, że знаła cztery języki, udało jej się nakłonić Oberscharführera, żeby dał jej inne zajęcie. Poruszała się dość swobodnie po całej szwalni, rozdzielala nici i guziki i rozmawiała z Rosjankami po rosyjsku, z Francuzkami po francusku, z Norweżkami po norwesku, a z pozostałymi po niemiecku.

Miriam nigdy przedtem nie widziała maszyny do szycia i dwa razy dostała w twarz, kiedy się uczyła, jak założyć nitkę, ale po niespełna godzinie pojęła, o co chodzi. Najwyraźniej miała ten talent, którego brakowało Else. Jej igły się nie łamały. Nici nie rwały. Ściegi dolne były równe i ładne jak górne. Wystarczyło tylko położyć jeden kawałek materiału na drugim, nacisnąć prawym kolaniem mały przełącznik i szyć. Raz. Dwa razy. Setki razy.

– Zwolnij trochę – powiedziała Else, kiedy wracały do baraku drugiego dnia wieczorem. – Nie możesz być taka pilna, bo wszystko psujesz innym... Nie każda może pracować w twoim tempie.

Ale Miriam nie potrafiła zwolnić. Szyła w swoim rytmie, zatapiała się w pracy, która była dla niej wszystkim. Kiedy pracowała, nie była głodna. Nie pogrążała się w smutku. Nie była zmęczona. Nawet się nie bała. Nie istniała. Były tylko dwa kawałki czarnego materiału, które należało zszyć prostym ściegiem. Raz. Dwa razy. Tysiące razy.

– Niech ci się nie wydaje, że za lepszą pracę dostaniesz więcej jedzenia – powiedziała z przekąsem Else dzień później. – Te czasy już minęły. Irene, która siedzi za tobą, jest zrozpaczona. Nie może dotrzymać ci kroku i to tylko kwestia czasu, kiedy zauważą, że jej sterty zszytych kawałków są dużo mniejsze niż twoje. Wyhamuj, na Boga!

Miriam pokiwała głową i następnego dnia dorzuciła kilka swoich zszytych kawałków do sterty Irene. Nie miało to dla niej znaczenia, bo jej sterta i tak była dużo większa. Irene pociągnęła nosem i spojrzała na nią z wdzięcznością. To nie było przyjemne. Miriam nie chciała niczyjej wdzięczności. Nie chciała żadnego kontaktu z innymi szwaczkami. Chciała tylko przestać istnieć. A ciężka praca była najmniej dolegliwym sposobem.

– Dobra robota – powiedziała Else tamtego wieczoru. – Musimy sobie pomagać. Musimy trzymać się razem. Poza tym nic się nie stanie, jeśli od czasu do czasu twoje szwy nie będą idealne. Szyjesz esesmańskie mundury i jeśli popękają w szwach, to tym lepiej...

Miriam zamrugnęła ze zdziwienia. Szyje mundury dla SS? Nie miała pojęcia, dotąd w kawałku materiału widziała tylko kawałek materiału. Poczowała lekkie mdłości. Następnego dnia rano po raz pierwszy złamała igłę, wyprostowała plecy i rozejrzała się. W powietrzu wirował kurz. Mnóstwo kurzu. W oddali zobaczyła chudą sylwetkę Else, podniosła rękę i pstryknęła palcami. Else podbiegła do niej.

– Igła się złamała – powiedziała Miriam.

– Aha. Dostaniesz nową.

Miriam chlipnęła.

– Ale ja nie wiem, jak się ją wymienia...

Else uśmiechnęła się.

– Spokojnie. Pomogę ci.

Miriam podniosła się, ustępując miejsca Else, i stanęła obok maszyny. Popatrzyła na dziewczynę za nią. Jej sterta zszytych kawałków materiału była wręcz żalosna. Podśpiewująca Rosjanka obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem i lekko się uśmiechnęła. Dlaczego się uśmiechnęła? Jej sterta, choć nie tak duża jak Miriam, była niczego sobie, więc nie miała żadnego powodu, żeby się uśmiechać. Trochę dalej siedziała jedna z dziewcząt z obozu cygańskiego z Auschwitz. Podniosła głowę, popatrzyła na żółtą gwiazdę Miriam i zmarszczyła czoło. Była zmieszana. Miriam odwróciła się do połowy. Nawet nie pamiętała, jak ta dziewczyna się nazywa, dlaczego miałyby się przejmować jej miną?

W drzwiach stał Niemiec. Może to sam Oberscharführer? Miał szaroniebieską koszulę mundurową, lekko poluzowany krawat, palił papierosa i przebiegał wzrokiem długie rzędy szwaczek. Napotkał spojrzenie Miriam, ale trwało to tylko przez moment, bo Miriam błyskawicznie opuściła głowę.

– Ej! – rozległ się męski głos.

Pewnie tego Niemca. Miriam stała bez ruchu i przyglądała się swoim porysowanym drewniakom.

Else uniosła się na krześle.

– Tak?

Miriam podniosła głowę.

Niemiec zrobił kilka kroków naprzód.

– Kto uszył tę wielką stertę? – spytał, wymachując prawą ręką. – Chyba nie ty, co?

Miriam znów opuściła głowę i przygryzła dolną wargę. Domyśliła się, bo tego nie widziała, że Else wstaje, ale nie przyjmuje postawy na baczność, tylko swobodną, jakby rozmawiała z kimkolwiek. Taki też przybrała ton głosu, ba, mało tego, lekko się uśmiechnęła i ironicznie uniosła brwi.

– Daję słowo, że to nie ja.

Niemiec podchodził coraz bliżej.

– Nie ty, to kto?

– Miriam... – po kilku sekundach odpowiedziała Else.

Niemiec był teraz tak blisko, że Miriam czuła ciepło jego ciała. Głęboko zaciągnął się papierosem i wydmuchał dym w twarz Else.

– A niech mnie...

Else lekko odchyliła głowę.

– Pokaż. – Niemiec wskazał ruchem głowy stertę zszytych kawałków materiału.

Else chciała po nie sięgnąć, ale ją powstrzymał.

– Nie ty. Ty!

Miriam podała mu jeden. Obejrzał górny i dolny ścieg, szarpnął, żeby sprawdzić, czy szew trzyma, rozłożył wełniany materiał na dłoni i przyglądał mu się z pewnej odległości i z bliska.

– Jesteś krawcową?

Miriam zaprzeczyła ruchem głowy. Else dała jej lekkiego kuksańca w bok. Czyli musi odpowiedzieć.

– Nie – szepnęła.

Niemiec znów się zaciągnął.

– Wiesz, jak się wszywa rękawy?

Miriam opuściła wzrok i popatrzyła na swoje drewniaki.

– Nie.

– To się nauczysz.

– On jest prawie człowiekiem – powiedziała Else, kiedy weszły na pryczę. – Albo... No tak. W każdym razie nie bije.

Miriam pokiwała głową. Była zmęczona o wiele bardziej niż w poprzednie wieczory. Wszywając rękawy, nie miała złej nocy. Przeciwnie. Teraz siedziała przy oknie, dzienne światło czasami ją oślepiało, a poza tym to było skomplikowane zajęcie. Szew boczny i szew rękawa musiały się idealnie pokrywać, a malutki wrąb u góry musiał się znaleźć dokładnie na szwie ramienia. Jeśli któraś z innych szwaczek zostawiła za szeroki albo za wąski zapas na szwy, jej szew miał milimetrowej grubości zmarszczkę i rękaw był do niczego. Po południu musiała rozpruć trzy rękawy. Niedobrze. To zakłóciło jej błogie odrętwienie, dzięki któremu lubiła chodzić do szwalni. Rozpruwając rękawy, czuła, że jest głodna, a siedząc w dziennym świetle, chcąc nie chcąc, widziała, co się wokół niej dzieje, i wtedy wracały myśli o Didim i Anuszy. *Aufseherin* przygwoździła jedną ze szwaczek do ściany i...

Uff, nie. Ten dźwięk. Nie chciała go pamiętać. Westchnęła i rozejrzała się. Barak znów był przepełniony. Setki kobiet tłoczyły się na podłodze. Zdezorientowane nowo przybyłe z Polski, Węgier i Czechosłowacji i sterane obozowe weteranki, przetransportowane tutaj z innych obozów. Może to była prawda, że Sowieci nadchodzą, że są już na terenie Polski. Kilka kobiet podniesionymi głosami opowiadało o czymś, co się wydarzyło w Warszawie, raz po raz wykrzykiwały coś o Warszawie, ale mówiły po polsku, więc nikt prócz Polek ich nie rozumiał, ich krzyki tonęły w ogólnym hałasie. Nawet Irma Lunz, która stanęła w drzwiach i wydarła się na nie, nic nie wskórała i dała za wygraną. Poszła do swojego pokoiku i z hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. Trzeba pomyśleć o zapewnieniu sobie miejsca w tylnym szeregu na wieczornym apelu.

Else wzruszała słomę, przerzucała ją to tu, to tam, dając do zrozumienia, że nie ma mowy o żadnej dodatkowej osobie na ich pryczy, po czym podpełzła

do krawędzi, usiadła plecami do przejścia, pochyliła się do przodu i powiedziała Miriam prosto do ucha:

– Spotkałam dzisiaj inną Norweżkę. W biurze szwalni...

Miriam kiwnęła głową.

Else odchyliła się, popatrzyła na nią i uśmiechnęła się zadowolona.

– Ona nie jest *Nacht und Nebel*.

Miriam zamruwała zdziwiona. I co z tego? Co to za różnica, czy jest NN, czy nie jest. Else wyjaśniła jej na swoim przykładzie, że więźniowie należący do tej kategorii nie mogą pisać ani dostawać listów, że krewni i przyjaciele nie mogą się dowiedzieć, gdzie ona jest i czy żyje, czy umarła. I co z tego? Ilu więźniów obozów koncentracyjnych miało jeszcze jakichś krewnych? Większość była pewnie kompletnie sama na świecie, jak Miriam. Kto miałby im przysyłać listy? Rodzina, która trafiła do Auschwitz? Przyjaciele, którzy trafili do Treblinki, Majdanka, Dachau albo do innych obozów? Świat był pełen obozów, tyle zrozumiała, i nikt, kto nie był czystym rasowo Niemcem, nie mógł się wywinąć. Po prostu.

– Dostała paczkę z Czerwonego Krzyża – szepnęła Else.

Miriam zmarszczyła czoło. Paczkę? Jaką paczkę?

– Żywność... – Else rzuciła spojrzenie przez ramię, ogłuszająca kakofonia chyba ją uspokoiła. – Dała mi cukier, chrupki chleb i ser.

Chwyciła Miriam za nadgarstek i przysunęła do siebie. Miriam automatycznie otworzyła dłoń, Else położyła na niej trzy kostki cukru, przełamaną na pół kromkę chleba, który wyglądał jak brązowy herbatnik, i kawałek żółtego sera.

– Jedz – powiedziała. – W niedzielę dostaniemy więcej.

Ledwie Miriam włożyła ser do ust, nad krawędzią pryczy pojawiła się głowa.

– Ile was jest?

Else odwróciła się z grymasem wrogości na twarzy, który niemal natychmiast zniknął, i podniosła dłonie do ust.

– Lykke!

– We własnej osobie – odezwała się nieznajoma po niemiecku. – Zmieszczę się?

I nie czekając na odpowiedź, podciągnęła się na pryczę. Bardzo ciężko oddychała.

Lykke była Norweżką. Miriam nie rozumiała, o czym mówią. Wylewały z siebie potoki obcych słów, kończąc każde zdanie dziwnie wysokimi dźwiękami. Trochę tak jakby śpiewały coś radosnego, mimo że były bardzo poważne. Else pogłaskała Lykke po policzku i chyba używając perswazji, nakłoniła ją do odwrócenia się plecami i podciągnięcia pasiastej marynarki. Jej kręgosłup przypominał konar z dużymi wypustkami po odciętych gałązkach, napięta skóra była w pręgach, całe plecy znaczyły niebieskie i czarne linie. Else zakryła usta dłonią. Lykke pospiesznie opuściła obozową marynarkę, powiedziała coś odmownie, oparła się o ścianę, zamknęła oczy, po sekundzie je otworzyła, popatrzyła na Miriam, zamrugała powiekami i chyba o coś spytała Else.

Else uśmiechnęła się, położyła dłoń na ramieniu Miriam i przeszła na niemiecki.

– To jest Lykke. Moja stara przyjaciółka z Norwegii. Przez jakiś czas była w szpitalu...

– I w bloku karnym – dodała Lykke. – O chlebie i wodzie. Macie coś jadalnego?

Miriam opuściła wzrok i mocniej chwyciła chleb. Domyśliła się, że Else coś daje nowo przybyłej. Czyżby ser? Ten wspaniały, tłusty, smaczny ser? Zamknęła oczy. Czy ona też będzie musiała coś oddać? Tak. Pewnie tak.

– Proszę – powiedziała, podając jej kostkę cukru.

Lykke podziękowała skinieniem głowy i w tym momencie rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk, tak przeraźliwy, że wszystkie głosy w baraku na sekundę umilkły.

– Obesrane baby! To moje! Pieprzone obesrane baby!

Miriam wychyliła się i spojrzała w dół. Na szeroko rozstawionych nogach stała młoda dziewczyna i przyciskała do piersi cebulę. Nie było widać jej trójkąta. Krew ciekła jej z nosa. Naprzeciwko niej stały trzy kobiety. Lekko przygarbione. Z zaciśniętymi pięściami. Groźne. Miały czarne trójkąty.

– Oddawaj! – powiedziała pierwsza.

– Jebnięta szmata! – powiedziała druga.

– Złodziejskie ścierwo! – powiedziała trzecia.

Rzuciły się na nią jednocześnie. Dziewczyna znów krzyknęła, ale tym razem żadna więźniarka się tym nie przejęła. Wszystkie zajmowały się sobą, próbowały się wcisnąć na zajęte prycze, wyrzucały na podłogę przegniłą słomę albo przeganiały muzulmanki. Dziewczyna nie miała szans. Dwie kobiety przewróciły ją i trzymały, trzecia usiadła na niej okrakiem, siłą

odgięła jej palce, wyrwała cebulę, podniosła ją triumfalnie i przycisnęła do piersi. Potem wstała i podczas gdy dwie inne wciąż ją przytrzymywały, zaczęła przepychać się do drzwi. Dziewczyna przestała krzyczeć, rzucała się tylko w przód i w tył, wierzgała i kopała, próbując się uwolnić. Teraz było widać jej trójkąt. Brązowy. Czyli Romka.

– Morda w kubel! – powiedziała jedna z kobiet i puściła ją.

Dziewczyna błyskawicznie się podniosła, okręciła i splunęła jej w twarz. Druga kobieta uderzyła ją pięścią w splot słoneczny. Dziewczyna zawyła i zgięła się w pół.

– Pieprzona zdzira – wysyczała druga kobieta i ruszyła do drzwi.

Miriam odwróciła się do Else i popatrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Else wkładała właśnie kostkę cukru do ust i lekko wzruszyła ramionami.

– E tam – powiedziała. – Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...

Tego wieczoru apel trwał wyjątkowo długo. Stały na baczność przez trzy godziny i przez cały czas padał deszcz. Irma Lunz była w podłym humorze, denerwowała się na nowe więźniarki i ochrzaniała stare, liczyła je raz i drugi, przyłożyła którejś w pierwszym szeregu, kiedy liczby się nie zgadzały, potem kazała dwóm kobietom z czerwonymi trójkątami liczyć jeszcze raz. Obie były gotowe na cięgi. Dyskretnie porozumiały się spojrzeniem i powtórzyły potem tę samą liczbę, którą ostatnio wykrzyczała Irma Lunz. Jedna instynktownie zamierzała się cofnąć o krok, ale w ostatniej sekundzie zrezygnowała i dzielnie stała dalej. Irma Lunz coś tam wymamrotała i pozwoliła im wrócić do szeregu. Nawet nie podniosła kija.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Lało jak z cebra. Lodowaty deszcz boleśnie chłostał skórę. Spływał po twarzy, krople osiadały na rzęsach albo wisały na czubku nosa. Ścieranie ich ręką było zbyt niebezpieczne. Miriam zamrugała kilka razy, ale ledwie się ich pozbyła, zaraz osiadły następne. Niech sobie będą. Przesłaniały widok, co miało swoje dobre strony. Lampy przed barakiem połyskiwały jak aureole, więźniarki po drugiej stronie ulicy zmieniły się w rozmazaną plamę, która była niemal piękna, a Irma Lunz w bladego ducha bez twarzy. Lato definitywnie się skończyło. Niedługo będzie zima. Na samą myśl Miriam zadrzała. Pamiętała zeszłą zimę, kiedy jeszcze była Maliką, i ten wieczór, kiedy musiała opuścić barak 22 w obozie cygańskim. To Mengele tak zdecydował. Słowem się nie odezwał, tylko wskazał na nią palcem i została wyrzucona.

– Wynoś się – powiedziała kobieta. – Idź poszukać swoich krewnych.

Kobieta, Polka z czerwonym trójkątem, która była kimś w rodzaju pielęgniarki, chyba myślała, że wszyscy Romowie żyją w jednej wielkiej rodzinie, jakby każdy staruszek w obozie był dziadkiem Maliki, a każda staruszka jej babcią. Większość przyjechała wprawdzie z Niemiec albo z Austrii, ale pochodzili z innych rodów, mieli inne zwyczaje i inaczej mówili po romsku. Pozostali byli z Czech, Rumunii i Polski. Ona nie znalazła w obozie ani jednego krewniaka i ani jednego kuzyna, ani bliskiego, ani dalekiego. Nie знаła nikogo oprócz Didiego i na dobrą sprawę nie chciała nikogo poznawać. Zamknęła się w sobie już trzeciego dnia, kiedy kilku esesmanów skopało Anuszę na śmierć, nie chciała tego pamiętać, nie chciała nawet myśleć o tym, że Anusza kiedykolwiek istniała i że była taka głupia i odważna, że odmówiła rozebrania się. Malika chciała myśleć tylko o Didim, o tym, jak się śmiał, kiedy tego wieczoru dostał cukierek od doktora Mengele, ale nie mogła zapomnieć o tym, jak się przestraszyła, kiedy Mengele pierwszy raz częstował romskie dzieci cukierkami. Trucizna, pomyślała. On chce je otruć! Wielu myślało jak ona. Jakiś mężczyzna, tata albo brat, krzyknął i podbiegł do małego chłopca, żeby go zmusić do wyplucia cukierka, ale esesman z asysty Mengele natychmiast do niego doskoczył, zacisnął od tyłu prawe ramię na jego szyi i sekundę później mężczyzna martwy osunął się na ziemię. Wystarczyło jedno szarpnięcie i już nie żył.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Zimno. Tak, w Ravensbrück też jest strasznie zimno, deszcz dodatkowo potęgował chłód. Mała kropelka dostała się pod węzeł chustki na karku i powoli zaczęła spływać po plecach. Miriam zadygotała i zacisnęła ręce, wbijając paznokcie w dłonie.

– Jest ciepło – odezwała się tuż obok Else przytłumionym głosem. – Właściwie jest ciepło. Masz grube pończochy, solidne buty...

Miriam spojrzała na swoje popękane drewniaki. Co tam! Przecież nie jest boso. Teraz jest lepiej niż tamtego wieczoru, kiedy została wyrzucona z baraku 22. Wtedy padał śnieg z deszczem, a ona była bez butów.

– I masz rękawiczki – powiedziała Else tym samym przytłumionym głosem. – Masz parę porządnych długich rękawiczek, które zakrywają nadgarstki...

Miriam zobaczyła je przed sobą. Szare, porządne rękawiczki z szerokim ściągaczem na nadgarstku. Takie, jakie w zimie nosili Niemcy. Tamtego wieczoru rok temu, kiedy na wpół biegła do najbliższego baraku, próbowała ogrzać dłonie, trzymając je pod pachami. Nie została wpuszczona. Blokowa obrzuciła ją wyzwiskami i wypchnęła... A kiedy w końcu udało jej się wcisnąć do innego baraku, okazało się, że jest najbardziej przepełniony ze

wszystkich. Nie mogła się nawet położyć na podłodze, siedziała w kucki tuż przy drzwiach i przez całą noc trzymała dłonie pod pachami. Nie zmrzyła oka, za to następnego dnia rano przesunęła się trochę dalej i znalazła własne miejsce do spania pod jedną z prycz. Potrafiła się rozpychać. To cenna umiejętność. Przydatna.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

– Pamiętasz ten sweter, który ci zrobiłam? – W głosie Else pobrzmiwał śmiech. – Ten ciepły sweter z najgrubszej wełny, jaka istnieje? Ten czarno-biały z czerwonymi śnieżynkami?

Miriam zamruwała zdumiona. O czym ona mówi? Else zrobiła jej sweter? Kiedy? Jak? Czerwone śnieżynki? Nie umiała sobie tego wyobrazić. Ale, owszem, miała sweter, kiedy była u zakonnicy. Szary. Teraz sobie przypomniała, co czuła, ilekroć go wkładała. Najpierw zniknęła w nim głowa, a potem musiała nią pokręcić, żeby przeszła przez ściągacz. Wełna trochę gryzła, ale prawie od razu było ciepło, jakby powietrze między jej ciałem a przędzą stało w miejscu i ją grzało. Bardziej się domyślała, niż widziała, że Else się uśmiecha.

– I zrobiłam ci mleko czekoladowe – wyszeptęła. – Tak jak dawniej. Dostałaś duży kubek gorącego mleka czekoladowego...

Miriam pamiętała mleko czekoladowe u zakonnicy. Było dobre i ciepłe. Ale tak jak dawniej. Jak to dawniej?

Ryknął męski głos. Esesmani szli na wieczorne przekazanie dowództwa. Byli wstawieni, lekko, ale wystarczająco, żeby dało się to zauważyć. I wystarczająco, żeby mogli się ponaśmiewać z tysięcy wygłodzonych kobiet, które stały na baczność przed barakami. Kobiet o zapadniętych oczach. Przemokniętych do suchej nitki. Śmiertelnie przerażonych. Niespiesznie kroczyli naprzód obozową ulicą w równym rytmie, mimo że nie maszerowali, wszyscy wyprostowani, z rękami za plecami. Rozmawiali. Czasami się uśmiechali. Nieco zdziwieni potrząsali głowami, jakby to był ich pierwszy dzień w obozie. Jezu! Ale te kobiety wyglądają! Jak one wyglądają!

To faktycznie było trochę śmieszne. Zabawne. Wręcz komiczne.

Else była najlepszym człowiekiem w całym Ravensbrück. Najmilszym. Najmądrzejszym. Najsilniejszym. Ale...

Ale, wzruszając ramionami, powiedziała: „Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”.

Miriam przeleżała się. Kiedy w końcu pozwolono im wrócić do baraku, bała się zasnąć. Leżąc na pryczy, próbowała odsunąć się jak najdalej od Else,

jakby jej skóra albo kręgosłup mogły ją zdradzić. Z miernym skutkiem, bo teraz na pryczy było ich cztery. Doszła jeszcze jedna Norweżka. Marie. Chudsza niż Lykke i Miriam, nie była w stanie wejść na pryczę o własnych siłach. Else musiała ją chwycić za ramiona, a Lykke podsadzała ją z podłogi. Miriam oddała Marie ostatnią kostkę cukru. Nie żeby chciała, zrobiła to pod presją wymownego spojrzenia Else. Marie, biorąc kostkę cukru, drżała na całym ciele i miała rozbiegane oczy. Nie podziękowała, ale to bez znaczenia. Miriam nie chciała żadnych podziękowań. Ani od Marie, ani od Lykke, ani nawet od Else.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Else ją uratowała. Dała jej jedzenie. Załatwiła dobrą pracę. Dzięki niej zaczęła mówić. I użyła słów, których Miriam nigdy nie odważyłaby się powiedzieć na głos, słów, które nosiła w sobie, w ciszy. „Wolna. Wolność”. Ale Else powiedziała też to o Cyganach. I Miriam się przelękała. Przestraszyła się bardziej niż zwykle. Miała takie uczucie, że gdyby ziemia się pod nią rozstała, gdyby się potknęła i spadła, gdyby ją pochłonęła czarna otchłań, nikt, ani jeden człowiek na świecie, nie wyciągnąłby do niej ręki, nie uratował, nie ochronił, bo była Romką. Cyganką.

Właściwie zawsze tak było. Nikt nie chciał pomóc Romowi, no, może z wyjątkiem innych Romów, co też zależało od tego, z jakiego się było rodu i z jakiej rodziny. Rom, który odwrócił się plecami do wszystkich pobratymców i udawał kogoś innego, był zdany wyłącznie na siebie. Dlatego rodzina zawsze musi trzymać się razem. Tak mówił tata i dziadek. I co to dało? Kiedy kripo przyszło po ich dzieci i wnuki, nie mogli nic zrobić. Nic a nic. Mogli tylko patrzeć i krzyczeć. A dzieci, co oczywiste, mogły jeszcze mniej.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Wstydziała się? Czy to dlatego przytuliła się do drewnianej ściany, żeby dzieliło ją od Else przynajmniej pięć milimetrów? Może tak, mimo że sama tego nie rozumiała. Czy to dlatego, że kłamała? Że chodziła z blizną na przedramieniu, z fałszywym numerem i z żółtą gwiazdą? Ale czy to był powód do wstydu? Przecież ona w niczym nie zawiniła, zdecydował o tym przypadek, nie miała na to wpływu, niczego nie zaplanowała. Poza tym nic na tym nie zyskała. Wręcz przeciwnie. Dziewczyna o zapadniętych policzkach miała rację. Esesmani i nadzorcynie bardziej nienawidzili Żydów niż Cyganów. Ale więźniarki, z wyjątkiem dziwek i złodziejek, które pomiatały Żydówkami, bardziej gardziły Cygankami niż Żydówkami. Pogarda wobec Cyganek była powszechna.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Dziadek mówił, że Romów zawsze traktowano z nienawiścią i pogardą. Nie wolno jednak dawać temu wiary, żeby nie zacząć pogardzać samym sobą. I nigdy nie wolno ufać gadziom. Przenigdy. Malika od razu pomyślała o mamie, ale nie ośmieliła się odezwać. Dziadek mówił, że gadziowie boją się Romów. Sądzą, że wszyscy Romowie są dzicy i niebezpieczni. Może to prawda? Pomyślała o tym, kiedy po kilku tygodniach w Auschwitz dotarło do niej, że tylko Romowie mają swój obóz. Wszystkich innych więźniów, którzy mieli się zaharować na śmierć w służbie Trzeciej Rzeszy, umieszczano w obozach męskich i kobiecych. Ale nie Romów. W ich obozie byli razem mężczyźni, kobiety i dzieci. Malika nie od razu domyśliła się przyczyny. Potem zrozumiała. Esesmani, ci silni, eleganccy i wyprostowani panowie, trochę się bali Cyganów i ich rzekomej dzikości. Uznali, że stawia czynny opór, jeśli oddzieli się mężczyzn od żon i rodziców od dzieci, a nie chcieli żadnego oporu. Dlatego spędzili całe rodziny do obozu cygańskiego i pozwolili dorosłym zdecydować, gdzie będą spać. Na niewiele się to zdało.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Tak. Romowie stawili opór. I wygrali z SS. Tylko Romowie stawili opór SS w Auschwitz.

Na to wspomnienie Miriam zwinęła się w kłębek. Jeśli dalej będzie Miriam, nigdy nie opowie o tamtym dniu. Chociaż z drugiej strony nikt nigdy by nie wysłuchał zmartwychwstałej Maliki. Ludzie pomyśleliby, że to wszystko kłamstwo, wymysły i idiotyczne cygańskie bajania. Ale tak nie było. To była prawda. Najprawdziwsza prawda.

Romowie stawili opór. I wygrali z SS.

Obóz cygański mieścił się tuż obok komory gazowej. Stojąc przy drutach, można było zobaczyć, jak ci, którym się nie poszczęściło podczas selekcji, wchodzi do środka, a potem podjeżdżał dżip, z którego wysiadali dwaj oficerowie SS z dużą puszką, wrzucali jej zawartość przez specjalny otwór i niespełna pół godziny później z komina krematorium buchały płomienie. Nietrudno było się domyślić, co się tam działo. Tak jak nietrudno było się domyślić, co czeka muzułmanów, półżywe chodzące szkielety, których wybierano podczas codziennych selekcji. Wszyscy to wiedzieli. W obozie cygańskim wiedzieli wszyscy.

Więc kiedy któregoś wieczoru pod bramę obozu cygańskiego podjechało sześć ciężarówek, nikt nie miał wątpliwości, co ich czeka. Na platformach siedzieli esesmani z pistoletami maszynowymi, dość dużo esesmanów z pistoletami maszynowymi. Co najmniej sześćdziesięciu. Podnieśli broń. Oficer podszedł do bramy, ale ledwie ją otworzył, usłyszał męski głos. Najpierw po niemiecku, potem po romsku.

– Mordercy! Mordercy! *Benga!*

Po chwili w obozie cygańskim podniósł się krzyk, tysiące głosów zlało się w jedno.

Benga! Benga! Benga! Niemiecki oficer znieruchomiał, zawahał się i patrzył zdumiony, jak obozowa ulica błyskawicznie pustoszeje. Wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, biegną do baraków i zamykają drzwi.

Malika miała szczęście. Didi był po drugim etapie eksperymentu i tego wiosennego wieczoru czuł się na siłach, żeby wyjść z siostrą na spacer. Twarz prawie mu się wygoiła, tylko w lewym policzku miał dość dużą czarną dziurę, przez którą było widać czerwone dziąsła i białe dziecięce zęby. Stojąc w pewnej odległości od obozowej ulicy, zobaczyli, jak nagle pustoszeje, i zobaczyli esesmanów z podniesioną bronią. Malika znieruchomiła na parę sekund, po czym chwyciła Didiego za rękę i pobiegła z nim do najbliższego baraku. Drzwi otworzyły się natychmiast, wpuściła ich jakaś kobieta, nie patrząc na nich ani nic nie mówiąc, rzuciła spojrzenie na ulicę i zatrzasnęła drzwi.

Światło w baraku było szare. Jakby przez okienka zaglądała śmierć, jakby poszarzał cały świat. Setki szarych twarzy, poszarzałe białe chusty, szaro-czarne pasiaki. I łoskot. Romowie znaleźli swój rytm, teraz wszyscy skandowali po niemiecku jedno jedyne słowo: *Mörder! Mörder! Mörder!* Kilku mężczyzn stało przy okienkach i uderzało w szyby, kobiety i dzieci weszły na prycze i biły pięściami w ściany. *Mörder! Mörder! Mörder!*

Jak długo to trwało? Tego Malika nie pamiętała. Może kilka minut. Może całą noc. Może całą dobę. Zapamiętała tylko, że prawie od razu przyłączyła się do innych, że krzyczała to samo co inni i jednocześnie ostrożnie przesuwiała się z Didim coraz dalej od drzwi. Didi nie krzyczał. Szedł z rozdziawioną buzią i zdumiony rozglądał się wokół siebie. Może nigdy przedtem nie był w baraku dla dorosłych, może zdumiewało go to, że na tak małej powierzchni mogło się pomieścić aż tyle ludzi. W baraku 22 było więcej miejsca. Odkąd Malika musiała się przenieść, dzielił pryczę tylko z jednym dzieckiem. Na kilku pryczach w baraku 22 były nawet koce. Tutaj nie było koców. Tutaj nie było nawet słomy. Ludzie leżeli na nieheblowanych deskach. Ale nikt teraz o tym nie myślał. Teraz wszyscy myśleli tylko o tym, żeby przeżyć.

Okrzyki stopniowo umilkły. Łomotanie ustało. Niemcy byli coraz bliżej. Kilku Romów zaczęło rozwalać pryczę, żeby mieć deski do obrony. Znikąd pojawił się łom, starzec, który wyjął go ze skrytki pod pryczą, wykrzywił się w bezzębnym grymasie. Mężczyźni oderwali jedną deskę, potem drugą i trzecią, każda z zardzewiałymi gwoździami, i ustawili się na szeroko

rozstawionych nogach przed drzwiami, po chwili dołączył do nich jeszcze jeden mężczyzna i jeszcze jedna deska, i jeszcze jeden mężczyzna, i jeszcze jedna deska, a tuż za nimi błysnął nóż. Nóż! Któremuś z Romów udało się przemycić nóż! Wszyscy byli zdeterminowani. Wszyscy byli zgodni. Nikt nie pójdzie na śmierć dobrowolnie. Będą walczyć do upadłego. Deskami, kamieniami, nożem i zardzewiałym łomem. A kobiety będą gryzły i drapały. Niech się dzieje, co chce, ale nikt nie pójdzie dobrowolnie do komory gazowej. Wszyscy stawiają opór.

W całym obozie cygańskim zapadła śmiertelna cisza. Mężczyźni zgromadzili się przy drzwiach, młode kobiety podkradły się do okienek i wyglądały. Nagle jedna jęknęła i szybko wciągnęła powietrze. Idą! Szli esesmani z pistoletami maszynowymi! Starsza kobieta stojąca obok Maliki i Didiego osunęła się na podłogę, zaczęła się kołysać w tył i w przód, szybko się podniosła, sekundę później przewróciła oczami i znów upadła. Przepchnęła się do niej jakaś młoda kobieta, nakłoniła kilka osób, żeby zrobiły miejsce, i położyła staruszkę na pryczy. Ta zamrugowała kilka razy, trzy razy szybko odetchnęła, chciała usiąść, jej klatka piersiowa uniosła się i opadła, uniosła się i opadła, i znieruchomiała. Nie żyła. Młoda kobieta chwyciła ją za rękę i przycisnęła do swojej piersi, ale nie patrzyła na zmarłą, patrzyła na drzwi. Ktoś próbował je otworzyć. Nic z tego. Naparło na nie dwunastu wychudzonych mężczyzn. Dwunastu wychudzonych milczących mężczyzn uzbrojonych w deski, kamienie, nóż i zardzewiały łom.

– *Los!* – krzyknął głos po drugiej stronie. – *Los! Los!*

Nic to nie dało. Drzwi pozostały zamknięte. W baraku nikt się nie poruszył.

– *Raus! Raus! Raus!*

Tym razem głos esesmana nie brzmiał już tak stanowczo. Załomotał w drzwi, nie doczekał się żadnej reakcji, wrzasnął kilka słów do innego esesmana, który wymamrotał coś w odpowiedzi, po czym dwóch, trzech albo czterech esesmanów rzuciło się na drzwi. Zatrzeszczały, uchyliły się na centymetr, smużka zmierzchu zajrzała do baraku, ale natychmiast zgasła. Teraz przy drzwiach nie było dwunastu mężczyzn. Było ich dwudziestu. Albo trzydziestu. Dwudziestu albo trzydziestu milczących i wygłodzonych mężczyzn odmówiło otwarcia drzwi.

Znowu usłyszeli wrzask Niemca:

– *Los! Los! Los!*

Wrzeszczał piskliwym głosem. Już nie był tak pewny swego jak zaledwie pięć minut wcześniej. Mężczyzna z nożem podniósł swoją broń, jakby się szykował do zadania ciosu, inny mężczyzna w milczeniu pokiwał głową i po

twarży tego z nożem przemknął cień uśmiechu. Tak! Zrobię to! Ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, z daleka dał się słyszeć okrzyk. Odpowiedziało mu więcej niemieckich głosów i rozległ się odgłos wojskowych butów. Jakaś dziewczyna odważyła się wyrzeć przez okienko, żeby zobaczyć, co się dzieje, potem odwróciła się do mężczyzn przy drzwiach i wykrzywiła się w grymasie. Niemcy odchodzili od baraku. Ale wciąż byli na terenie obozu. Mężczyźni zostali przy drzwiach i opuścili ramiona. Ten z nożem opuścił swoją broń. Dwie siostry wdrapały się na pryczę, objęły i zaczęły cichutko płakać, jakaś kobieta przytuliła się do męża. Wyglądał jak szkielet, miał czarne cienie pod oczami i głęboko zapadnięte policzki. Obrzucił ją spojrzeniem, chwycił za nadgarstek i puścił. Nastoletni chłopiec wymruczał coś do swojego przygarbionego ojca, który wymruczał coś w odpowiedzi. Poza tym było cicho. Wszyscy czekali.

Czekali, czekali, czekali.

Malika pogłaskała Didiego po włosach. Wtulił się w nią. Czyżby urósł? Chyba tak. Chyba był trochę wyższy, sięgał jej prawie do trzeciego zębra. Jedzenie w drugiej fazie eksperymentu noma dobrze mu zrobiło. Twarz już mu nie topniała. Dziura w policzku była ciut mniejsza. Oczy niemal odzyskały swój blask. Niedługo znów będzie sobą, niedługo będzie miał siłę biegać i skakać, śmiać się i płakać, mówić i śpiewać, niedługo cudownie wyzdrowieje i może znowu będą razem w tym samym baraku, może obudzą się pewnego ranka i okaże się, że wszyscy esesmani zniknęli, wszyscy kapo są martwi, a wszyscy ukraińscy strażnicy tak pijani, że nie będą w stanie nawet ruszyć palcem, kiedy Malika i jej brat wyłączą prąd i pójdą. Po prostu pójdą, zostawiając za sobą Auschwitz. I może spotkają po drodze tatę i dziadka, może tata i dziadek przyjadą w dużym ładnym wozie ciągniętym przez lśniącego zadbanego konia i może...

Gwizdek! Ktoś dmuchnął w gwizdek. Przypuszczalnie dowódca oddziału SS. Odważna dziewczyna przy okienku rozpląszczyła nos na szybie. Po chwili wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce. Za ciemno, nie mogła nic zobaczyć. Ktoś westchnął ciężko za plecami Maliki. Poza tym było cicho. Nikt się nie ruszył. Czekali.

Pod Didim ugięły się kolana, Malika pochyliła się nad nim, pogłaskała po zdrowym policzku i mocniej przytuliła do siebie. Zamrugał powiekami i spojrzał jej w oczy. W mroku jego oczy były prawie czarne. Potem często będzie myślała o tej chwili jako ostatniej, mimo że wcale nie była ostatnia. Didi żył jeszcze blisko miesiąc, ale był w ostatniej fazie eksperymentu noma, i już nigdy nie spojrzał siostrze w oczy. Na szczęście uniknął łaźni. To zawsze jakaś pociecha, że nie zabierali go do łaźni jak inne dzieci z nomą, że mogła przy nim siedzieć do końca i myśleć, że zanim przestał oddychać, czuł jej

dłoń na swojej rączce. Tak. To też była pociecha.

– Nie ma ich! – zawołał ktoś przyciszonym głosem na zewnątrz baraku.

Dopiero po chwili dotarło do nich, że ten ktoś krzyczy po romsku, i przez tłum przeszedł szmer. Czy to na pewno Rom? Czy może ktoś, kto nauczył się ich języka i chce ich oszukać? Nikt nie miał pojęcia, dlatego nikt mu nie odpowiedział i mężczyźni mocniej napaarli na drzwi.

– To prawda! – odezwał się ten sam głos. – Nie ma ich!

W tym momencie ktoś zapukał w okienko i tam zwróciły się wszystkie spojrzenia. Oczywiście, że to był Rom. Z całą pewnością. Mimo to jeszcze przez dziesięć albo piętnaście minut w baraku panowała kompletna cisza. Nikt się nie poruszył. Nikt nie powiedział słowa. Było słyhać jedynie pojękiwanie kogoś leżącego w ciemnościach, komu dokuczał silny ból.

Wtem jeden z mężczyzn uderzył deską w ścianę i zawołał półgłosem:

– *Akanà xalàn len!* Cholera z tym!

Drzwi się otworzyły i do środka wpadło świeże nocne powietrze. Na obozowej ulicy kilku na wpół skulonych młodych mężczyzn rozłożyło ramiona i zawołało tak głośno, na ile im starczyło odwagi:

– Nie ma ich! Wygraliśmy! Wygraliśmy!

Kilku Romów odważyło się wyjść. Ostrożnie się rozejrzeli. Czy to prawda? Czy esesmanów naprawdę nie ma? Na to wyglądało. Powoli, chwiejnym krokiem z baraków zaczęli wychodzić starzy i młodzi, chorzy i prawie zdrowi, i żywe szkielety, i tacy, którzy mieli jeszcze trochę ciała, bo byli tutaj od niedawna. Wszyscy szeptali zdumieni. Czy to możliwe? Czyżby Romowie zmusili esesmanów do odwrotu?

Tak. To była prawda.

Na wieży strażniczej tuż obok obozu cygańskiego żołnierz SS zapalił papierosa i odwrócił się do nich plecami. Pieprzony cygański motłoch! Niech im się nie zdaje, że ujdzie im to płazem... Malika obrzuciła go spojrzeniem, pochyliła się i wzięła Didiego na rękę. Zanim weszła do baraku 22, zasnęła na jej ramieniu.

Kolejnych dni nie chciała pamiętać. To znaczy, mogła sobie pozwolić na pamięć o niebywałym triumfie w oczach młodych mężczyzn na apelu porannym następnego dnia. I o arogancji młodych kobiet. I o przywróconej godności starszych. Ale nie chciała pamiętać o tym, co się stało w baraku 22, kiedy eksperyment noma wszedł w trzecią fazę. Ani o tym, co się stało, kiedy kilka dni później esesmani zaczęli wybierać młodych i prawie zdrowych Romów do wywózki do obozu pracy na wschód.

To było nie do zniesienia. Nie mogła nawet o tym myśleć. Lepiej myśleć o czym innym.

„Cyganie. Wiadomo, co to za jedni...”

Podrapała się po strupie na przedramieniu, który tak dobrze ukrywała, i wykrzywiła się w ciemnościach. Tak, ona doskonale wie, co to za jedni, ci Cyganie.

W Ravensbrück nastaly dni powszednie. Głodowe dni powszednie. Wyczerpujące dni powszednie. Powszednie dni bicia.

Apel. Wywar z buraków. Suchy chleb. Marsz do zakładu. Odegnąć mruganiem zmęczenie. Pochylić się. Szyć. Szyć. Szyć. Przez jedenaście godzin. Wymarsz z zakładu. Zupa. Suchy chleb. Prycza. Apel. Sen. Pobudka! Apel. Wywar z buraków. Suchy chleb. Marsz do zakładu. Szyć. Szyć. Szyć. Wymarsz z zakładu. Zupa. Suchy chleb. Prycza. Apel. Sen.

Dzień w dzień.

Przyszła jesień i od razu zrobiło się tak zimno, że para leciała z ust. Kiedy Miriam wyszła wieczorem na dziedziniec przemysłowy, jej wydech tworzył małe obłoczki. Była śmiertelnie zmęczona. Szła dwa kroki za Else, ale nie miała nawet siły, żeby podnieść rękę i chwycić ją za bluzkę, mrugała tylko apatycznie powiekami i człapała naprzód. Kiedy nauczyła się wszywać rękawy, praca była lekka, naprawdę lekka. Poza tym całymi dniami siedziała. Nikt jej nie wyganiał do kopania rowów. Nikt jej nie bił, zmuszając do ciągnięcia ciężkiego walca po nowo położonej drodze. Nikt jej nawet nie zmuszał do dźwigania wiader. Mimo to była śmiertelnie zmęczona. Wyczerpana głodem. Załamana. Przygnębiona. Przybita brakiem nadziei. Nawet nie była w stanie fantazjować. Didi nie był już ptaszkiem. Didi nie żył.

Któregoś dnia Else zatrzymała się przed barakiem.

– Co ci jest? – spytała swoim najłagodniejszym głosem i położyła dłoń na jej ramieniu.

Miriam wzruszyła ramionami w odpowiedzi. Może stanie się muzulmanką. Tak się czuła. Gdyby któraś ukradła jej chleb, nie miałyby siły jej gonić, ba, nawet nie miałyby siły krzyczeć, siedziałyby całkiem spokojnie i głodowała w milczeniu.

– Przecież dobrze ci idzie. – Else wzięła ją pod ramię i pociągnęła za sobą. – Masz talent krawiecki. Dzisiaj nikt ani razu nie uderzył cię w twarz. Ani razu! Oberscharführer lubi cię, te przekłete strażniczki to zauważyły i zostawiają cię w spokoju... – Else mówiła bardzo szybko. – Chodź! – Pogłaskała Miriam po policzku. – Lykke na pewno coś dla nas ma. I nie

zapominaj, że to ja rozdzielałam dzisiaj zupę.

Barak ciągle był przepełniony, nawet więcej niż przepełniony, i Else musiała się przepychać, rozpychać, przeciskać i przedzierać, żeby w ogóle mogły wejść, a potem musiały dopchać się do pryczy. Lykke, pólsiedząc, podniosła rękę w geście powitania. Wciąż była bardzo słaba i żeby się stawić na apelu, musiała się wspierać na Else i Miriam. Dostała całe cztery dni zwolnienia. Spędzała je na przemierzaniu w żółwym tempie najwyższych prycz i szukaniu w słomie czegoś jadalnego. Nie było tego dużo, ale to, co udało jej się znaleźć, było wartościowe. Pierwszego dnia znalazła cebulę, zgniłą tylko z jednej strony. Drugiego dnia kartofel i wyszczerbiony grzebień. A dzisiaj kawałek chleba, twardego jak kamień, ale co chleb, to chleb. Odwróciła się do ściany i gdy tylko Miriam i Else wspięły się na pryczę, ostrożnie rozsunęła słomę. Oczywiście, były to rzeczy skradzione, ale Else wyjaśniła, że nie można ich uznać za skradzione, bo wszystko, co zagrzebane w słomie, na pewno należało do więźniarek, które wywieziono do jakiejś fabryki, inaczej by tam przecież nie leżały. Poza tym tylko muzułmanki chowały jedzenie, a dla nich nie ma ratunku. Zapominały, co schowały, zapominały nawet o tym, że cokolwiek schowały.

– Spójrz, Miriam! – Else uśmiechnęła się zadowolona, podniosła chleb i ważyła go w dłoni. – Włóżysz go do swojej zupy. A potem się podzielimy.

Miriam skinęła głową.

– Odezwij się! – Else zmarszczyła czoło. – Nie wolno się poddawać. Zapamiętaj to sobie. Musisz wytrzymać.

Dlaczego musi? Niedługo ziemia się rozstąpi i niebo spadnie na dół jak ogromny szary brezent. Pochłonie i ją, i Else, i cały świat. Ciemność unicestwi jej głód, wszystko, czego nie miała, i wszystko, co bolało. A potem? Potem nic. Absolutna nicość. Tęskniła za tym.

Else pochyliła się naprzód, chwyciła ją za ramię i lekko potrząsnęła.

– Odpowiadaj!

Miriam przełknęła ślinę i zdobyła się na wysiłek.

– Tak...

– Potrafisz lepiej. Co masz zrobić?

– Włóżysz chleb do zupy. A potem się podzielimy.

– Dobrze!

Else dopięła swego i tego wieczoru Miriam dostała wyjątkowo dużą porcję zupy. Zjadła, zwinęła się w kłębek i odwróciła do ściany. Lykke i Marie

siedziały tuż za jej plecami i rozmawiały półgłosem. Else nie było, sama się zaoferowała, że odniesie kocioł po zupie do kuchni. Może właśnie o tym rozmawiały. Miriam nie wiedziała, mówiły przecież po norwesku, ale nawet gdyby je rozumiała, nie miałyby to dla niej żadnego znaczenia. Nie przejmowała się tym, nic jej to nie obchodziło. Już nikim i niczym się nie przejmowała. Tęskniła za błogą nicością.

Dlatego nie zareagowała, kiedy Lykke nagle szturchnęła ją w plecy.

– Ej, ty!

Nawet nie otworzyła oczu. Po co miałyby otwierać oczy? Co miałyby zobaczyć? Szare baby? Szarą zupę? Brązowy chleb twardy jak kamień? Dość się już napatrzyła. Na tym świecie nie zostało już nic więcej do zobaczenia. Żadnych kwiatów ani ptaków, liści na drzewach ani motyli, jabłek i gruszek, wiśni i żółtych dojrzałych śliwek, soczystych i słodkich, żadnych kartofli ani pomidorów, mleka i masła, mięsa i ryb, naleśników i dżemu truskawkowego, Anuszy i Didiego, domu i rodziny, taty i mamy...

– Posłuchaj! – Marie chwyciła ją za ramię. – Posłuchaj!

Miriam chrząknęła i odsunęła ramię.

– Chyba czegoś nie rozumiesz... – podjęła Marie.

– Jesteś bardzo ważna dla Else – powiedziała Lykke.

– Przypominasz jej kogoś – dodała Marie.

Miriam otworzyła oczy.

– Else ma córkę w twoim wieku, w Norwegii...

– Ma na imię Åse...

– I Else się o nią martwi... Prawie nigdy o niej nie mówi, ale się martwi.

– Bardzo się martwi.

Miriam skuliła się mocniej, ale słuchała, nie mogła nie słuchać.

– Odkąd ty się tutaj pojawiłaś, stała się dużo spokojniejsza. – Głos Lykke drżał. – I silniejsza. Dlatego proszę...

– Nie poddawaj się! – Marie pociągnęła nosem. – Else nie przeżyje, jeśli się poddasz.

Miriam zamrugała oczami, zmieniła pozycję i przycisnęła na moment splecione dłonie do czoła. Poczucie beznadziei jej nie opuszczało, ale nagle uświadomiła sobie, że leży z otwartymi oczami i wpatruje się w drewnianą szarobrązową ścianę.

– Jej męża zabrali do Auschwitz – powiedziała Lykke. – Był Żydem, więc prawdopodobnie nie przeżył. A Åse udało im się uchronić zaledwie kilka dni przed deportacją. Else nigdy nam nie powiedziała, dokąd ją wysłali, ale przypuszczamy, że jest u ciotki i wujka...

– Mają gospodarstwo pod Molde – włączyła się Marie. – I nigdy nie byli aktywni politycznie.

Miriam zmarszczyła czoło. Deportacja? Molde? Aktywni politycznie? O czym one mówią? Raptem poczuła, jak jej ciało się obraca, jak plecy nagle leżą na słomie wyścielającej pryczę, jak wspiera się na łokciach, siada, przeciera oczy, patrzy na Lykke i Marie i mówi:

– Nie rozumiem.

Lykke posłała jej drżący uśmiech.

– Nic nie szkodzi. Wszystko ci wyjaśnimy.

Else wracała z kuchni uśmiechnięta, uśmiechała się, wciskając się do baraku, uśmiechała się, wchodząc na pryczę.

– Zobaczcie!

Rzuciła spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić, czy nikt na nie nie patrzy, włożyła rękę do kieszeni i wyjęła czerwone jabłko. Co prawda miało dużo brązowych plamek, ale jabłko to jabłko. Lykke i Marie wstrzymały oddech, Miriam przełknęła ślinę i powędrowała myślami do dnia, kiedy weszła do obozu z jabłkiem w dłoni. Czyli jabłka wciąż są na tym świecie. To namacalny dowód. Podniosła rękę, ale zaraz ją opuściła. To przecież jabłko Else.

– Puścimy je w obieg – powiedziała Else. – Miriam pierwsza...

Miriam znów przełknęła ślinę. W ułamku sekundy dokonała wstępnej kalkulacji, ważyła argumenty za i przeciw. To jabłko Else, więc to Else powinna być pierwsza, ale skoro Else wymyśliła sobie, że Miriam w jakimś sensie zastępuje Åse, to przez grzeczność i z rozsądku powinna to zaakceptować. Ale ugryzienie pierwszego kęsa byłoby równoznaczne z tym, że musi zapomnieć i wybaczyć, musi zapomnieć, kim jest, a raczej kim kiedyś była, i nigdy więcej nie myśleć o sobie jako Malice, że musi być Miriam i tylko Miriam, i musi wybaczyć Else jej głupią i pogardliwą wypowiedź o Romach.

Ma utracić siebie w zamian za kęs jabłka? Czy to warte tej ceny?

Tak.

Wzięła jabłko w obie ręce, na moment podsunęła je pod nos i chłonęła jego

zapach, potem je obróciła, żeby przynajmniej w połowie jej kęsa była brązowa plamka. Otworzyła usta i zanim ugryzła, przesunęła woskową skórą po zębach. Zamknęła oczy. Słodki kęs wylądował na czubku języka. Kwaskowaty smak wypełnił jej usta, głowę, całe ciało. Zaczęła żuć, próbując nie przełykać. Nie udało się. Przełknęła. Owoc z drzewa życia. Miriam jadła owoc z drzewa życia.

– Ach, Miriam, ty się uśmiechasz – powiedziała Else, nie kryjąc wzruszenia. – Wspaniale widzieć, jak się uśmiechasz...

Tego wieczoru nauka zaczęła się na poważnie. Przez kilka poprzednich dni Else próbowała skłonić Miriam do recytowania alfabetu na apelach, ale bez powodzenia. Miriam, lekko przygarbiona, stała na baczność i patrzyła prosto przed siebie, nic nie widząc i nic nie słysząc. Ale teraz odchrząknęła i cieniem głosem zaczęła recytować...

– Doskonale – szepnęła Else. – Dobrze. Przejdźmy do tabliczki mnożenia. Znasz całą?

Miriam skinęła głową. Zakonnice były bardzo skrupulatne w tym względzie.

– No to słucham.

– Jeden razy jeden jeden – zaczęła Miriam. – Dwa razy jeden dwa, trzy razy jeden trzy...

Mnożenie przez jeden do dziesięciu zajęło trochę czasu, ale się udało. Poradziła sobie z tym bezbłędnie.

Else uśmiechnęła się.

– Rewelacyjnie! Najpierw Auschwitz, potem Ravensbrück, a mimo to nie zapomniałaś. Jesteś zdolna, Miriam. Zapamiętaj to sobie. Bardzo zdolna!

Miriam zamknęła oczy. Czy jest zdolna? Może i tak, ale tylko jako Miriam, a nie jako... Nie. Nie wolno tak myśleć. Przecież jest Miriam. Zdolną żydowską dziewczynką z dobrej rodziny. Musi przekonać do tego samą siebie.

– To nie będzie trwało wiecznie – szepnęła Else. – Przed tobą cała przyszłość. Wolność. Kiedy wojna się skończy...

Miriam pokręciła głową, nie chciała myśleć o tych słowach. Wolność. Przyszłość.

Else ostrożnie ujęła jej dłoń.

– Kiedy wojna się skończy, pojedziesz ze mną do Norwegii, zamieszkamy na wsi u mojej siostry, codziennie rano będziesz piła tłuste mleko i jadła

kanapki z masłem i z grubymi plastrami sera, a jak się odkarmisz, pójdziesz do szkoły i...

Miriam zabrała dłoń.

Ty nie do mnie to mówisz, pomyślała.

Wkrótce w baraku prawie nie było czym oddychać. Dziewczęta tłoczyły się ze staruszkami, damy z porządnymi kobietami, bogobojne panie z wulgarnymi dziwkami, urocze dziewczynki z brzydkimi babsztylami. Każdą pryczę zajmowało już pięć osób, a mimo to brakowało miejsca. Kobiety leżały na podłodze pod pryczami i jedna przy drugiej na lodowatym, wymurowanym z cegieł przewodzie kominowym, biegnącym pośrodku baraku na niemal całej jego długości, albo spały na siedząco w wyziębionej umywalni. Codziennie wywożono je setkami do pracy w innych fabrykach do innych obozów i codziennie przywożono po kilkaset nowych, z Węgier, z Warszawy i z obozów ze wschodu. Węgry zamieniły się w piekło na ziemi, mówiły nowo przybyłe. A Warszawa przestała istnieć. Po powstaniu Niemcy zbombardowali dosłownie każdy dom, zostały tylko ruiny. Na Sowieców nie było co liczyć, ich armia stała pod miastem przez całe powstanie i tylko się przyglądała, nawet palcem nie kiwnęli, żeby pomóc Armii Krajowej. Te, które tam były i mówiły o tym z pianą na ustach, ze zdumieniem zdały sobie sprawę, że w Ravensbrück nie wolno tego mówić. Natychmiast rzuciły się na nie obozowe weteranki, oddane komunistki. Zamknijcie mordy, szatańskie pomioty! Sowietci to nasi wyzwolicieli! Jeszcze się przekonacie!

Część nowo przybyłych nie bardzo wiedziała, gdzie się znalazła. Były w ciepłych paltach, niektóre w futrach, miały całe pończochy i mocno trzymały starannie spakowane walizki. Kiedy wszystko im odebrano, zrobiły wielkie oczy. Jedna z Polek miała z sobą małego pieska, inna lękliwie kwilącego w klatce kanarka. Piesek dostał celnego kopniaka, klatkę rzucono gdzieś na bok. Polki były oburzone. Co się dzieje? Przecież są tutaj dobrowolnie! Uwierzyły Niemcom, że jeśli wyjadą na zachód, dostaną wyżywienie i pracę, i mieszkanie! A teraz coś takiego... Chcą wrócić do domu! Natychmiast!

SS dało im odpowiedź i protesty momentalnie ucichły.

Administracja obozu miała huk roboty, strażniczki liczyły więźniarki raz i drugi, kilku wygarbowały skórę pałkami, jedną albo dwie skopały na śmierć, innej za próbę ucieczki kazały ciągnąć walec po obozowej ulicy, dopóki nie padła martwa, a liczby jak się nie zgadzały, tak się nie zgadzały. Bez przerwy urządzano łapanki, żeby zapewnić dostawę siły roboczej do Siemens & Halske, IG Farben i innych wielkich przedsiębiorstw, zaspokajano potrzeby małych zakładów w Fürstenbergu i okolicznych chłopów, dostarczając im tyłu

tanich robotników, ilu sobie zażyczyli, a mimo to Ravensbrück ciągle pękał w szwach. Blokowe wyciągały z baraków wszystkie stare i chore więźniarki, te, które nie zdążyły przyczernić siwych włosów węglem, i te, które głodowały tak długo, że już nie pamiętały, kim są ani skąd pochodzą. Potem pędzono je piechotą albo wpychano do ciężarówek i wywożono do pobliskiego Uckermark, nazywanego obozem młodzieżowym, który według tego, co szeptały między sobą więźniarki, był miniaturową wersją Auschwitz, tyle że bez komór gazowych. Czasami dochodziły stamtąd odgłosy strażów. Wtedy zdarzało się, że któraś z nowo przybyłych zatykała usta dłonią, żeby zdławić krzyk, ale te, które były w Ravensbrück kilka tygodni, miesiące albo lat, w ogóle nie reagowały. Obchodziło je tylko jedno: przeżyć.

W końcu obóz był tak przepełniony, że do baraków nie dało się wejść drzwiami, przejść po podłodze, przepchnąć się do środka ani się stamtąd wydostać. Musiały się wciskać przez okna i nieźle się namęczyć, żeby przebić się do swojej pryczy. A na swojej pryczy trzeba się było starać żyć w zgodzie z innymi. Udawało się, jeśli można się było porozumieć w tym samym języku, inaczej można było dostać w twarz albo oberwać kuksańca. Napięcie rosło z każdą godziną i z każdym dniem i nagle trzymanie ze swoimi stało się sprawą życia i śmierci.

Miriam nie miała swoich. Była z Norweżkami.

– Posłuchaj – powiedziała Else. – *Mitt navn er Miriam*. Powtórz!

Stały na apelu wieczornym. Miriam patrzyła przed siebie. Było zimno. Bardzo zimno. Czowała, jak drętwieją jej palce u nóg.

– *Mitt navn er Miriam* – powtórzyła.

– Nie słyszę. Mów głośniej!

Miriam odchrząknęła.

– *Mitt navn er Miriam*.

– Dobrze. Jak myślisz, co to znaczy?

Miriam cicho westchnęła. Czasami Else była przesadnie drobiazgową.

– To chyba znaczy, że mam na imię Miriam... Tak przypuszczam.

– Otóż to. To jest *presentasjon*.

Miriam skinęła głową. Wokół niej rozbrzmiewały setki innych rozmów, kilka nieskończenie bardziej interesujących niż ta, do której zmusiła ją Else, ale się podporządkowała. Co wieczór musiała się nauczyć trzech zdań po norwesku. Inne Norweżki unosiły brwi, ale nie protestowały. Żadna nigdy nie sprzeciwiła się Else. Else była nieformalną szefową norweskiej grupy

i w ostatnich tygodniach chaosu skupiła wokół siebie niemal wszystkie nowo przybyłe rodaczki. Teraz Norweżki zajmowały pięć prycz w baraku. Kilka z nich nie było *Nacht und Nebel*, więc od czasu do czasu dostawały paczki od rodziny, od krewnych i ze szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Jedna właśnie przysłała. Obok Miriam stała młoda Bente. Pały jej policzki i próbowała się nie uśmiechać.

– *Sjokolade* – szepnęła. – *I pakken er sjokolade!*

Else zobaczyła swoją szansę.

– No, Miriam? Rozumiesz, co ona powiedziała?

Miriam kiwnęła głową. *Sjokolade* po norwesku brzmiało prawie tak samo jak *Schokolade* po niemiecku.

– Mogę usłyszeć? – spytała Else.

– W paczce jest czekolada.

– Dobrze! Lubisz czekoladę?

Miriam lekko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. To było tak dawno temu...

Pokiwała palcami u nóg, próbując je ożywić, przed oczami mignęło wspomnienie, coś z czekoladą i Didim, ale natychmiast je usunęła.

Kilka metrów dalej wydarła się Irma Lunz, tak przeraźliwie, że więźniarki od razu umilkły. Wszystkie Norweżki poszły za radą Else, wyprostowały się, stanęły na baczność i pilnowały się, żeby nie patrzeć na blokową.

– Zamknąć się, parszywe suki! – krzyknęła Irma Lunz. – Słyszycie?! Macie się zamknąć!

Później Norweżki zebrały się w swoim kącie i patrzyły, jak Bente wypakuje paczkę. Póleżały albo klęczały i raz po raz wstrzymywały oddech. Mydło! Prawdziwe mydło zamiast tego cholernego pumeksu. Nareszcie będą mogły porządnie się umyć! Trzy puszki kielbasy. Dobry Boże! Prawdziwa kielbasa! I cały pęczek świeżych marchewek. I paczka papierosów, najważniejsza waluta ze wszystkich. Plus tabliczka czekolady, duża tabliczka mlecznej czekolady! I nowiutki fartuszek w kwiatki. Z falbankami!

Przez twarz Bente przemknął grymas, wiedziała, że nagle stała się uprzywilejowana, i to wprawiło ją w dumę i zakłopotanie zarazem. Szybko przetarła usta, przełknęła ślinę i podniosła głowę. Miała rozbiegane spojrzenie.

– Dzisiaj możemy się podzielić czekoladą – powiedziała. – Resztę chcę zachować do niedzieli.

Na moment zapadła cisza, potem Else lekko odchrząknęła.

– Marchewki też?

Bente kiwnęła głową.

– Mogę ich dotknąć? – spytała Else.

Bente zawahała się na ułamek sekundy, wzięła pęczek i wyciągnęła go w jej stronę.

Else ucisnęła jedną marchewkę, potem drugą i trzecią.

– Zaczynają mięknąć. – Cofnęła rękę. – W niedzielę będą na wpół przegniłe.

Bente zamknęła oczy, otworzyła je, podniosła głowę i spojrzała na Else ulegle.

– Uważasz, że powinniśmy je zjeść dzisiaj?

– Tak. Czekolady nie wystarczy dla wszystkich. Będziemy wybierać między kawałkiem marchewki a kawałkiem czekolady.

– Ale...

– Ty oczywiście dostaniesz jedno i drugie. Kawałek marchewki i kawałek czekolady.

Bente pochyliła głowę.

– Oczywiście masz rację – powiedziała słabym głosem. – Tak zrobimy.

– To dobrze. A o fartuszku zapomnij. Jest zbyt ładny, będzie tylko niepotrzebnie drażnił strażniczki w szwalni.

Bente nie odpowiedziała, zaczęła łamać czekoladę na małe kawałki.

Else zwróciła się do Miriam:

– Zrozumiałaś, o czym rozmawialiśmy?

Miriam pokiwała głową.

– Prawie wszystko.

– Świetnie. Jesteś bardzo zdolną dziewczynką. Wolisz marchewkę czy czekoladę?

– *Sjokolade* – powiedziała Miriam i uśmiechnęła się.

Poczuła, jak napina jej się skóra na policzkach. Dawno temu nie

uśmiechała się tak szeroko.

Bente nie mogła się powstrzymać. Następnego dnia rano zawiązała swój nowy fartuszek na jasnoszarej bawełnianej sukience, którą nosiła od miesiąca. To był naprawdę ładny fartuszek, wciąż nieco sztywny od apretury. Na niebieskim tle były czerwone róże, a może peonie, żółte jaskry i białe margerytki. Miał bawet obszyty falbanką. I małą kieszonkę.

Któraś na widok Bente, która nagle objawiła się w pełnej krasie, wciągnęła powietrze i aż jęknęła z wrażenia, po czym wśród Norweżek zapadła kompletna cisza. Co na to Else? Ale Else nic nie powiedziała, tylko lekko pokręciła głową, położyła Miriam rękę na plecach i zaczęła ją popychać przed sobą w tłumie. Musiały się spieszyć na apel.

Else zawsze zależało na zajęciu dobrego miejsca. Najlepiej w środku kolumny, nie z przodu ani nie z tyłu, żeby nie rzucać się w oczy. Mogły rozmawiać, ale tylko półszepem i tylko wtedy, kiedy inne też rozmawiały, i nie wolno im było patrzeć na siebie. Cały czas powinny patrzeć prosto przed siebie. I absolutnie nie wolno się drapać, niezależnie od tego, jak dotkliwie gryzły je wszy ani jak głębokie kanaliki wyrył w ich skórze świerzbowiec. Trzeba było głęboko oddychać i koncentrować się na czym innym. Na przykład na pogodzie. Albo na wschodzie słońca. Albo na wysokim niebie. Bo niebo nad Ravensbrück było jedyne w swoim rodzaju. Czy Miriam to zauważyła? Wyższe od wszystkich innych, no, może z wyjątkiem tego w Norwegii. Dużo barwniejsze o wschodzie słońca i intensywniej błękitne tuż po wschodzie.

Ale dzisiaj Else i Miriam nie miały najlepszego miejsca, trafiły do przedostatniego szeregu. Bente i kilka innych Norweżek stanęło tuż za nimi. Else wzięła Miriam za rękę i wcisnęła się do szeregu przed nimi, a potem do następnego.

– Cholerna idiotka – usłyszały za plecami.

Któraś wysyczała chyba jakieś przekleństwo w nieznanym im języku, na co nie zareagowały, tylko przepychały się naprzód, ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Irma Lunz jeszcze nie przyszła. Wkrótce stały na baczność mniej więcej w środku kolumny, kilka rzędów od Bente i jej niebezpiecznego fartuszka. Tuż obok stał królik doświadczalny: zobojętniała, wsparta na kulach ofiara eksperymentów. Coś wymruczała, ale nie usłyszały co. Zresztą nie słuchały, zaprzętał je ich własny problem.

– Bente gorzko pożałuje – powiedziała Else.

Miriam chwyciła jej rękę i lekko ją ścisnęła.

– Chyba tak.

– Trzymaj się od niej z daleka.

Miriam kiwnęła głową i odpowiedziała po norwesku:

– *Jeg vil.*

Raczej się domyśliła, niż zobaczyła, że Else się uśmiecha.

– Zdolna dziewczynka.

Kawałek dalej ktoś ryknął. Niemcy już nadchodzili, kiedy z baraku, w gorączkowym pośpiechu, wybiegła Irma Lunz. Nie miała ani sznurówek, ani czarnych skarpetek, ale ścisnęła w rękach swój solidny kij.

Bente wisiała między Miriam i Lykke, kiedy wracały do baraku tamtego wieczoru. Już nie krwawiła, ale miała opuchniętą twarz i sine pręgi na nogach. Najgorzej było z plecami. Kiedy Else ostrożnie położyła na nich dłoń, jęknęła z bólu. Teraz już nie jęczała, odzyskała świadomość i od czasu do czasu próbowała im pomóc, robiąc krok albo dwa. Jej drewniaki zniknęły. Przypuszczalnie któraś je ukradła, kiedy Bente leżała nieprzytomna na podłodze w szwalni.

Else miała rację. Fartuszek był zbyt ładny. Trzy nadzorzynie uznały, że był zdecydowanie za ładny, żeby nosiła go norweska hańbicielka rasy. Teraz wyglądał o wiele stosowniej. Bez falbanek. Bez kieszonki. Bez paska w talii.

Doszły do obozowej ulicy i zatrzymały się. A to co? Znowu jeszcze więcej kobiet? Wszędzie było ich pełno. Rozhisteryzowane krzyczały i wyły piskliwymi głosami po polsku, węgiersku i w innych niezrozumiałych językach. W tłumie nowo przybyłych uwijało się więcej niż kiedykolwiek jasnowłosych nadzorczyń czystej rasy, wyposażonych w pejcze i pałki.

– Ostrożnie – powiedziała Else. – Widzicie karabiny?

Miriam kiwnęła głową. Tak, teraz je zobaczyła. W dwudziestometrowych odstępach stali wzdłuż ulicy esesmani z lekkimi karabinami maszynowymi. Niektórzy bez ruchu, inni rzucali nerwowe spojrzenia w prawo i w lewo, w lewo i w prawo. Wyglądali na zdenerwowanych. Wyraźnie zdenerwowanych.

– Moment – powiedziała Else. – Odbijmy trochę w lewo. Prosto i w lewo.

Bente znowu zgasła, wisiała ciężko i bezwładnie między Miriam i Lykke. Pod Miriam lekko ugięły się kolana, ale wkrótce odzyskała siły. Lykke przygryzła dolną wargę i patrzyła przed siebie. Else szła przed nimi wyprostowana i nie rozglądała się na boki. Kilka metrów od baraków odbiła w lewo. Od najbliższego esesmana dzielił ją zaledwie metr. Minęła go, nie patrząc w jego stronę. On spojrzął za nią, ale się nie ruszył. Miriam i Lykke, przechodząc obok, opuściły głowy, lekko się zgarbiły i wstrzymały oddech.

– Ojciec nasz, któryś jest w niebie... – wymamrotała Miriam i zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła.

Zwariowała? Przecież jest Żydówką, nie może sobie chodzić i odmawiać chrześcijańskich modlitw, każdy głupi to wie. Ale tym razem Bóg był u siebie, bo nikt nie usłyszał, że mówi do niego. Tysiące kobiet kłębiących się na obozowej ulicy zagłuszały wszystko swoimi piskliwymi głosami. Chyba nie zostały przyjęte tak jak zwykle. Może było ich po prostu za dużo. Żadna nie nosiła opaski, wiele ciągle było ubranych nie jak więźniarki, miały na sobie całe pończochy, prawdziwe buty i porządne sukienki. Nikt nie zawracał sobie głowy uczeniem ich regulaminowego zachowania w obozie. Smagane pejczami i okładane pałkami krzyczały i wyły jak dzikie zwierzęta. No cóż, zdążą się nauczyć.

Bente podniosła głowę i spróbowała zrobić parę kroków. Else szła przodem świadoma celu. Niedługo dotrą do baraku. Potem będą musiały za wszelką cenę wepchnąć się do środka drzwiami, bo z uwagi na stan Bente na dostanie się przez okno nie miały nawet cienia szansy...

– *Halt!*

Else natychmiast się zatrzymała. Miriam i Lykke zrobiły jeden krok za dużo. Przed nimi na szeroko rozstawionych nogach stała jasnowłosa nadzorkzyni.

Wzięła się pod boki i wskazała głową na Bente.

– Puścić ją!

Miriam i Lykke spojrzały na siebie i ostrożnie położyły Bente na brzuchu. Miała otwarte oczy, słuchała równie intensywnie jak one.

– Dodatkowe zajęcie. Detal budowlany. Ty, ty i ty! Marsz na łąkę!

Else otworzyła usta, jakby chciała się odezwać, ale od razu je zamknęła, skinęła głową, zrobiła w tył zwrot i powiedziała bezgłośnie do Miriam i Lykke „chodźcie”. Zerknęły na Bente. Najwyraźniej przytomna, rozczapierzonymi palcami zaczęła drzeć ziemię. Może się bała, a może bardzo ją bolało. Odwróciły się i odeszły.

Ściemniło się, ale nie na tyle, żeby nie dostrzegły nowego otworu w ogrodzeniu z drutu kolczastego wychodzącego na podmokłą łąkę. Na tle szarego nieba odcinały się nagie, bezlistne drzewa. Tego wieczoru niebo nie było zbyt wysokie, przesłaniały je chmury. Po obu stronach otworu stało dwóch esesmanów z pistoletami maszynowymi. Więźniarki powoli szły po łące w rozproszonych grupach, tam gdzie Niemcy montowali przenośny reflektor.

– *Rein mit Ihnen!* – wrzasnął jeden z żołnierzy. – Szybciej!

Miriam i Lykke, trzymając się za ręce, szły za Else i starały się być jak najmniej widoczne. Po raz pierwszy od lat szły po trawie. Zwiędłej, żółtej i sztywnawej, bo jesień była już zaawansowana i mróz stał za progiem. Pod nogami czuły miękką, nieco gąbczastą ziemię, która mlaskała z każdym podniesieniem stopy. Może to wcale nie była łąka, tylko moczary, które udawały łąkę.

– Ej, wy tam! – krzyknął oficer SS, wskazując na Else. – Do mnie!

Else wyprostowała plecy i pospieszyła do niego. Co krok to młaśnięcie. Mlask, mlask, mlask. Miriam i Lykke pospieszyły za nią. Mlask, mlask, mlask. Drewniak zaczął się zsuwać ze stopy Miriam, na szczęście w ostatniej sekundzie go przytrzymała. Tutaj naprawdę nie chciała chodzić bosą.

Esesman wbił wzrok w Else.

– Mówicie po niemiecku?

Else stanęła w nienaganej postawie na baczność.

– Tak.

– Co tak?

– Tak, Herr Obersturmführer!

Lekko się skrzywił.

– Naucz się stopni, pasożycie! Untersturmführer. Skąd jesteście?

– Barak ósmy, Herr Untersturmführer.

– Idiotka. Z jakiego kraju jesteście?

– Z Norwegii, Herr Untersturmführer.

Esesman lekko się skrzywił, pogrzebał w kieszonce na piersi, wyjął papierosa i wsunął do ust.

– Aha. Wszystkie trzy?

Else wahała się przez ułamek sekundy.

– Tak, Herr Untersturmführer.

Esesman zapalił papierosa błyszczącą zapalniczką, może srebrną.

– Przynajmniej nadajecie się do pracy. Postawimy tu namiot¹¹.

Else zamrugnęła ze zdumienia.

– Tak, Herr Untersturmführer.

– Porozkładacie kołki. Co pięć metrów.

– Tak, Herr Untersturmführer.

Esesman głęboko się zaciągnął i wzruszył ramionami.

– Do roboty!

Else szybko wzięła oddech i spytała:

– Jaką miarkę dostaniemy, Herr Untersturmführer?

Herr Untersturmführer uśmiechnął się, jeszcze raz wzruszył ramionami i jeszcze raz głęboko się zaciągnął.

– Ni cholery nie wiem. Zapytaj kogoś, kto wie.

Trochę to potrwało, zanim znalazły kogoś, kto wiedział. Tym kimś okazała się bardzo wysoka Polka, która otrzymała dokładne instrukcje i fatalnie mówiła po niemiecku. Chodziło o namiot wojskowy, taki, jakich używało się podczas ćwiczeń i na froncie. Ten miał pomieścić jak najwięcej kobiet spośród tysięcy, które przybyły w ostatnich dniach, bo nawet esesmanom nie udało się ich poupychać w barakach. I ta wysoka Polka, nie dość, że znała jego wymiary, jakimś cudem dostała miarkę, wprawdzie tylko metrową, ale lepsze to niż nic.

Else i Polka od razu zabrały się do odmierzania. Miriam i Lykke błąkały się przez dobrą chwilę w poszukiwaniu kołków, w końcu znalazły całą ich stertę i zaczęły je przenosić do Else i Polki. Zerwał się wiatr, nagle zrobiło się bardzo chłodno. Miriam, wracając biegiem po następną partię, objęła się ramionami. Dzięki Bogu pod obozową pasiastą marynarką miała bluzkę, która choć trochę grzała. Poza tym marynarka miała długie rękawy. Lykke, tylko w letniej sukience, zaczęła szczerkać zębami.

– Ruszaj się – powiedziała Miriam.

Lykke kiwnęła głową, chwyciła kilka kołków, przycisnęła do siebie i półbiegnąc, ruszyła do Else. Mlask, mlask, mlask.

Noszenie kołków to było nic w porównaniu z brezentem. Trzyście chudych, wygłodzonych kobiet ustawiło się w szeregu, pochyliło się, chwyciło i próbowało go dźwignąć. Nie dały rady. Gruby rulon wysliznął się z rąk, pacnął na ziemię i przetoczył się kilka metrów, przesuwając parę kołków.

Stojący obok esesmani zarechotali.

– *Um Gottes Willen! Ale łamagi!*

– Weźcie się w garść, do cholery! *Schädlinge!*

– Niedojdy! Może byście się tak trochę wysiliły, co?!

– Myślisz, że te ofermi cokolwiek potrafią?

Żadna z kobiet nie pokazała po sobie, że cokolwiek do niej dociera. Wszystkie miały kamienne twarze, żadna na nich nie spojrzała. Miriam i Lykke szybko podbiegły, poprawiły kołki, biegiem wróciły i chwyciły za rulon, gotowe do kolejnej próby.

Else zaczęła odliczać.

– Raz, dwa, trzy!

Trzydzieści kobiet sprężyło się i dało z siebie wszystko. Udało im się połowicznie, bo kiedy podniosły rulon na wysokość piersi, jakaś młoda dziewczyna poślizgnęła się i upadła, kobiety po jej dwóch stronach zachwiały się i sekundę później ciężki brezent znów wylądował na ziemi.

Jeden z esesmanów stracił cierpliwość.

– Co to ma być, do jasnej cholery?! – wrzasnął, wyrzucił peta, rozdeptał go butem, podszedł do Else, która natychmiast stanęła na baczność, co w niczym jej nie pomogło, i kolbą pistoletu uderzył ją w usta. – Dopilnuj, żeby postawić ten pieprzony namiot – dodał normalnym tonem.

Następnego dnia rano było zimniej niż kiedykolwiek. Else jak zwykle obudziła Miriam, lekko nią potrząsając, ale Miriam nie chciała się obudzić. Spała niewiele ponad godzinę, nie chciała któryś raz z rzędu być na apelu, nie chciała któryś raz z rzędu siedzieć w szwalni i wszywać setki rękawów do setek esesmańskich mundurów. Nie chciała, i tyle.

– Bente nie żyje – powiedziała Else.

Miriam odwróciła się, usiadła i kilka razy zamrugła powiekami, jakby chciała usunąć to, co zobaczyła. Bente naprawdę nie żyła. Leżała na skraju przeciwległej pryczy, z otwartymi oczami i rozchyłonymi wargami odsłaniającymi białe zęby. Miała zgięte palce, jakby próbowała się czegoś chwycić albo kogoś podrapać.

– Bente!

Lykke pociągnęła nosem i złożyła ręce jak do modlitwy. Ten gest obudził w Miriam gniew, co ją zaskoczyło, bo od dawna czuła wyłącznie głód i zniechęcenie, i zacisnęła pięści, jakby nagle była gotowa się bić. Szybko się opanowała. Skończyłaby tak jak Bente. Tylko Else będzie wiedziała, jak trzeba się zachować. Odwróciła głowę i spojrzała na nią.

Katastrofa. To była druga katastrofa tego ranka.

Else miała spuchnięte wargi, górna była w kilku miejscach rozcięta, na brodzie zaschły smużki krwi. Kiedy usiłowała coś powiedzieć, okazało się, że

przedni ząb wisi na włosku. Else zawahała się, po czym włożyła dwa palce do ust, chwyciła go i ostrożnie usunęła. Miriam bez namysłu wyciągnęła rękę, Else położyła ząb na jej dłoni i obie mu się przyglądały. Zakrwawiony przedni ząb Else.

Coś trzeba było zrobić.

– Zaczekaj – powiedziała Miriam.

Zdumiewająco zwinnie podpełzła do krawędzi pryczy, zsunęła się na podłogę i pobiegła do umywalni, najszybciej jak to było możliwe, zważywszy na wszystkie leżące, stojące i siedzące współwięźniarki. Zapomniała o ręczniku, ale to drobiazg, w biegu zaczęła rozpinać i zdejmować obozową marynarkę, potem, otwierając drzwi, ściągnęła bluzkę i włożyła marynarkę, podbiegła do kranu i zmoczyła bluzkę lodowatą wodą. Może lodowata woda choć trochę zmniejszy opuchliznę.

– Proszę – powiedziała, kiedy wróciła na pryczę. – Siedź spokojnie, zmyję ci krew...

Else westchnęła i powiedziała zgaszonym głosem:

– Gdyby to mogło pomóc...

Tego ranka to Miriam popychała Else przed sobą, kiedy szły na apel, to Miriam rozpychała się łokciami, biorąc na siebie ukradkowe podszczypywania i przekleństwa, i to Miriam na moment zatrzymała się na obozowej ulicy, żeby znaleźć najlepsze miejsce. Na szczęście wciąż było ciemno. Jeśli ustawią się z lewej strony, gdzie było najciemniej, może nikt nie zauważy opuchniętych warg Else.

Else była uległa, ale ruszała się jak mucha w smole. Owszem, próbowała stać na baczność, ale cały czas opadała jej głowa, jakby była za ciężka, i cały czas się garbiła. Miriam nigdy dotąd jej takiej nie widziała. Kolejny raz położyła rękę na jej plecach, żeby się wyprostowała, i kolejny raz na próżno. Może nie miało to znaczenia, bo było tyle wkurzonych weteranek i rozhisteryzowanych nowicjuszek, że prawdopodobieństwo, żeby jakiś Niemiec zobaczył Else i skazał ją na śmierć, było raczej znikome. Miriam chwyciła dłoń Else i ścisnęła. Chciałaby coś powiedzieć, ale nie wiedziała co.

Zerknęła w prawo i zobaczyła Lykke i Marie. Wywlekały ciało Bente z baraku. Lykke ciągnęła ją za lewe ramię, Marie za prawe. Nie płakały, ale obie miały skrzywione usta. Może dlatego, że ją oplakiwały, a może dlatego, że była bardzo ciężka. Miriam wiedziała, że niosą ją do sterty zwłok, do tego miejsca, na które każdego ranka starała się nie patrzeć. Dzisiaj też.

Else wciągnęła powietrze, głęboki drżący wdech, który przypominał

szloch. Miriam mocniej ścisnęła jej dłoń. Musi się odezwać, musi, to bardzo ważne, być albo nie być.

– *Fremtid* – powiedziała w końcu ze swoją najlepszą norweską intonacją.

Else obrzuciła ją zdumionym spojrzeniem, puściła jej rękę, podniosła dłoń, popatrzyła na nią i kilka razy zamrużyła powiekami.

– Pada śnieg.

Miriam kiwnęła głową. Wcześniej nie czuła chłodu, ale teraz zadygotała. To, co spadało z nieba, to nie był śnieg. Gorzej. To był deszcz ze śniegiem, mokry, ciężki, lodowaty. Ziąb przenikał do szpiku kości. Marszowym krokiem przyszły nadzorcynie. W czarnych wełnianych pelerynach, chroniących przed chłodem.

I zaczęło się liczenie.

W szwalni było w miarę ciepło. Miriam, splatając dłonie i rozprostowując zamarznięte palce, żeby odzyskać czucie, zerknęła za siebie, wypatrując Else. I proszę, stała przy stole z nićmi i coś wybierała. Może wrócił jej dawny animusz, bo przygryzła opuchniętą górną wargę i wydeła dolną. Tak jakby się krzywiła. Przy odrobinie szczęścia żadna *Aufseherin* nic nie zauważy, a do tej pory Else sprzyjało szczęście. Tak jak Bente. Do wczoraj.

Lykke siedziała obok, w tym samym rzędzie co Miriam, i nawlekała igłę. Zmrużyła oczy, porażka, udało się za drugim razem, i rozluźniła ramiona. Mimo że Miriam uporczywie się w nią wpatrywała, Lykke nie podniosła głowy. Najwyraźniej nie rozumiała, że muszą mieć kontakt wzrokowy, że to ważne, że Else nie przeżyje, jeśli nie będą na siebie patrzeć. Lykke siedziała pod takim kątem, że mogła widzieć Else, nie odwracając głowy, i mogła rzucić Miriam ostrzegawcze spojrzenie, że zbliża się nadzorczyńni. Wtedy Miriam mogłaby zareagować. Nie wiedziała jak, ale wiedziała, że to zrobi. Tymczasem Lykke nie spojrzała na Miriam, sięgnęła po przód i plecy, starannie je złożyła, opuściła stopkę i zaczęła zszywać pierwsze tego dnia ramię. Jasna cholera! Miriam chwyciła pierwszy rękaw ze sterty i na wpół gotową marynarkę munduru, złożyła szwami do siebie, opuściła igłę i zanim uruchomiła maszynę, ostatni raz popatrzyła na Lykke. Kiedy znów podniosła wzrok, wreszcie napotkała jej spojrzenie. Kiwnęła głową, Lykke odpowiedziała tym samym gestem.

Nawiązały porozumienie. Lykke będzie miała Else na oku. W razie czego Miriam się włączy.

Pół godziny później odnalazły wspólny rytm. Lykke zszyła dwa ramiona, Miriam wszyła jeden rękaw, popatrzyły na siebie i wymieniły spojrzenia. Na razie w porządku. Lykke lekko uniosła ramiona, kiedy Else zaczęła iść jej

przejściem, ale zaraz je opuściła. Nadzorcynie zebrały się przy piecu, może zmarzły, bo kilka z nich wyciągnęło ręce do ciepła. Deszcz ze śniegiem zamienił się w mokry śnieg. I chyba zerwał się wiatr. Zimny mokry dzień.

Któraś przy piecu powiedziała coś zabawnego i wszystkie wybuchnęły śmiechem. Autorka żartu, zachwycona, poklepała się pałką po udzie. Miriam zgarbiła się nad maszyną, dokuczał jej ból głowy, mechanicznie wzięła kolejny rękaw i na wpół gotowy kawałek munduru, dopasowała szwy i zaczęła szyć, z półprzymkniętymi powiekami. Kiedy znów podniosła głowę, zauważyła niepokój Lykke. Nadzorcynie ruszyły między rzędami, po trzy, i kontrolowały pracę więźniarek.

– Co to ma być?!

Boże! Jedna z nich zatrzymała się obok Lykke i chwyciła zszyte kawałki. Nawet z odległości kilku metrów było widać, że Lykke zszyła je źle. Pacha była tam, gdzie powinien być kołnier. I to była wina Miriam, bo zmusiła Lykke, żeby miała oko na Else!

– Sabotaż! – krzyknęła nadzorczyńni, zerwała chustkę z głowy Lykke, mocno chwyciła ją za włosy i szarpnęła. – Ta kreatura uprawia sabotaż!

Dwie nadzorcynie stojące obok podniosły pałki i w szwalni zaległa martwa cisza. Wszystkie maszyny umilkły. Po sekundzie więźniarki zdały sobie sprawę, co im za to grozi, i wróciły do pracy. Miriam też. Wsunęła palec wskazujący lewej dłoni pod igłę i uruchomiła maszynę kolaniem. Igła wbiła się w paznokiec aż do kości.

I wtedy zaczęła krzyczeć.

Następnego dnia rano w bloku karnym było bardzo cicho. Nikt nie wołał. Nikt nie śpiewał. Nikt nie płakał. Po prostu było cicho.

Nic dziwnego. Przecież był piątek. Może wszystkie więźniarki siedziały w celach w niemym oczekiwaniu, jak Miriam i Sylvianne. Skulone na podłodze, oparte plecami o cementową ścianę, obejmujące kolana ramionami. Sylvianne położyła głowę na kolanach, jakby chciała się odciąć od świata. Była bez chustki. Miriam zauważyła, że łysieje, przez pasemka cienkich włosów prześwitywała biała skóra.

Sylvianne była bardzo chuda. Miriam nigdy przedtem nie widziała chudszych od niej. Nawet w Auschwitz nie spotkała nikogo, kto wyglądał jak szkielet, a mimo to żył. Niemal się przestraszyła na jej widok, kiedy wepchnięto ją do celi. Sylvianne miała duże czarne oczy, głęboko zapadnięte pomarszczone policzki, wystające zęby, jakby chciały wydostać się z jej ust, i wiotką luźną skórę na ramionach. Powinna być muzułmanką, stworzeniem, które ani nie żyło, ani nie umarło, ale nie była. Ciągle mogła mówić, chociaż

ochryple i z dziwnym akcentem, i żyła.

– Wstań – powiedziała po chwili. – Nie możesz leżeć na podłodze. Binz zaraz tu będzie. Wizytacja.

Miriam usłyszała inny głos. Głos Else: „Nie wolno się poddawać. Zapamiętaj to sobie. Musisz wytrzymać”. Zamrugła oczami i podjęła decyzję. Zebrała siły. Zgięła kolana, wypięła tyłek. Trochę się zdziwiła, że to tak bardzo nie bolało. W końcu oparła się łokciami o podłogę i stanęła na kolanach.

– Dobrze – powiedział ochryply głos. – A teraz wstań.

Ale Miriam nie była gotowa. Klęczała i rozglądała się po mrocznej celi. Od ściany dzieliło ją zaledwie dwadzieścia centymetrów. Może uda jej się tam dotrzeć. Przesunęła lewą nogę. Potem prawą. Oparła się o ścianę i przyglądała się chudej kobiecie, swojej koleżance z celi.

– Sylvianne – powiedziała kobieta, opierając się o przeciwległą ścianę.

Po chwili Miriam zrozumiała. To była *presentasjon*. Else nauczyła ją, jak należy się zachować.

– Miriam – powiedziała i leciutko skłoniła głowę.

Sylvianne tak się uśmiechnęła, że błysnęły wszystkie jej zęby.

– Żydówka.

Miriam kiwnęła głową.

– W dodatku dziecko – powiedziała Sylvianne. – Biedactwo...

Jakby to Miriam zasługiwała na większe współczucie niż ona.

Cela była szara. Szara cementowa podłoga, szary sufit, szare ściany, szary blaszany klozet, szara blaszana umywalka i dwie złożone prycze ze zszarzałego drewna. Żadnego oświetlenia. Jedyne światło wpadało z korytarza przez okratowane drzwi. Nagle pojawiła się na nim szara zgarbiona kobieta w fartuchu, ze splecionymi dłońmi. Zatrzymywała się przed każdą celą, coś tam mamrotała i szła dalej.

Miriam popatrzyła za nią.

– Co ona powiedziała?

Sylvianne wzruszyła ramionami.

– Powiedziała, że Binz zaraz przyjdzie. Taką ma pracę.

Miriam zmarszczyła czoło. Dziwna praca...

– Jest badaczką Pisma Świętego – powiedziała Sylvianne. – Świadkową Jehowy. To te z fioletowym trójkątem. Mają nie po kolei w głowie.

Powoli, chwiejnym krokiem podeszła do umywalki i odkręciła kran. Na jej dłonie trysnęła czysta zimna woda.

– Witaj w hotelu Hilton, młoda damo – powiedziała. – W wersji Ravensbrück. Ta woda może nam dzisiaj rano ocalić życie, jeśli to dobrze rozegramy.

Sylvianne spędziła w ciemnej celi pięć tygodni, tydzień temu została wypuszczona, a dwa dni później znowu zatrzymana.

– Stąd moja elegancka sylwetka. – Sylvianne obnażyła nieskończoną liczbę zębów w czymś, co zapewne miało być uśmiechem, a jej twarz całkowicie się pomarszczyła. – W ciemnej celi dostaje się jedzenie co cztery dni. Nie licząc oczywiście codziennej kawy i kawałka chleba.

Napełniła kubek zimną wodą, podparła się o umywalkę i piła łapczywie. Potem się odwróciła i spojrzała na Miriam.

– Możesz mi pomóc?

Miriam wstała, opierając się o ścianę, i przez chwilę sprawdzała swój stan. Na dobrą sprawę bolał ją tylko palec wskazujący. I trochę lewa noga. I plecy, tam gdzie kapo kopnęła ją naprawdę mocno. Poza tym nie było źle. Mogła odsunąć się od ściany, mogła się wyprostować i przejść kilka kroków do Sylvianne z prawie prostymi plecami.

– Podaj mi kawałek papieru. Kiedy się nachylam, kręci mi się w głowie...

Miriam poszła za jej spojrzeniem. Koło klozetu leżała sterta starych podartych gazet. Schyliła się, wzięła jedną i wyciągnęła w stronę Sylvianne.

– Nie. – Sylvianne potrząsnęła głową. – Tylko jeden kawałek. Papier toaletowy też jest racjonowany...

Miriam oderwała jedną stronę, rzuciła na nią okiem i zobaczyła zdjęcie młodych jasnowłosych dziewcząt maszerujących drogą. Wszystkie w białych bluzkach i krawatach.

Wszystkie miały krągłe policzki. Wszystkie się uśmiechały. A z przodu szła dziewczyna ze sztandarem, na którym była swastyka...

– Bund Deutscher Mädel¹² – powiedziała z grymasem Sylvianne. – Podcieranie sobie tyłka ich buźkami to wielka przyjemność...

Chwyciła gazetę i zaczęła nią wycierać umywalkę.

Najpierw było słycać psa. Trzy głębokie szczeknięcia i jedno głuche

warknięcie. Potem trzask zamykanych drzwi i ciemny kobiecy głos. Krzyk. „Binz, na litość boską, na litość boską!”

Sylvianne ustawiła się tuż przy okratowanych drzwiach.

– Chodź tutaj – powiedziała, przesuwając dłońmi po kędzierzawych włosach. – Tutaj. Jak przyjdzie, musimy stać na baczność. Inaczej będzie wściekła.

Znowu gdzieś trzasnęły drzwi. Miriam poprawiła chustkę, podeszła kilka kroków do Sylvianne, pociemniało jej w oczach, przystanąła, przeczekała ciemności, przeczekała falującą podłogę, zrobiła trzy kroki. Doszła. Ustawiła się obok Sylvianne i chwyciła ją za spódnicę.

– Co robisz? – spytała Sylvianne.

– Trzymam się ciebie – odpowiedziała Miriam.

Binz stanęła za kratą. Miriam puściła spódnicę Sylvianne i nie mogła oderwać wzroku od owczarka niemieckiego. Miał żółte oczy. A Binz była kompletnie bezbarwna. Choć może nie... Może miała tylko bardzo blade kolory. Wyglądała jak sprana, jakby za długo leżała w wodzie. Piaskowe włosy. Jasnoszara skóra. Jasnoszare wargi. I tak jasne błękitne oczy, że tęczęwki były ledwie widoczne.

Ale jej głos nie był bezbarwny. Wypełnił całą celę, zanim zdążyła otworzyć drzwi.

– Nazywam się Binz! Zapamiętajcie to sobie raz na zawsze, bo nie będę powtarzać!

Miriam stała w nienaganej postawie na baczność, ze wzrokiem skierowanym prosto przed siebie. Na obrzeżach pola widzenia domyślała się obecności psa. Przypuszczalnie Binz przywiązała smycz do haka tuż za drzwiami. Warczał głucho. Kącikiem oka zobaczyła, jak Binz wchodzi, podtyka trzonek pejcza pod brodę Sylvianne i podnosi jej głowę.

– Aha – powiedziała. – I jak?

Sylvianne nie odezwała się od razu.

Binz wyżej podniosła jej głowę.

– Co?! Zapytałam: i jak!

Głos Sylvianne zabrzmiał zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy były same w celi. Ochryplej, niemal sycząco.

– Dziękuję, dobrze.

Binz nie biła. Nie użyła ani pejcza, ani psa, a mimo to zimny pot spływał

Miriam po plecach, kiedy w końcu wyszła z celi. Jej słowa wciąż wisiły w powietrzu. „Sabotażystka! Dwadzieścia pięć batów!” Zobaczyła przed sobą sine pręgi na plecach Lykke, próbowała odpędzić ten obraz, mrugając powiekami, a kiedy to się nie udało, próbowała pocieszyć się myślą, że Lykke dostała potem kilka dni wolnego. Bo przecież tak było. Przecież Lykke mogła potem przez kilka dni zostać w baraku. Chociaż może i nie... Nie pamiętała dokładnie...

Chłosta. To była kara za to, że celowo przekłuła sobie palec. Były takie, które nie przeżyły dwudziestu pięciu batów... Nie, nie wolno tak myśleć. W ogóle nie wolno myśleć. Trzeba opróżnić głowę z wszelkich myśli.

Sylvianne usiadła na klozecie, z ręką na umywalce i głową na ramieniu. Jej sękaty kręgosłup i cienkie żebra wyraźnie odznaczały się pod bluzką, która kiedyś może była żółta. Ona nie dostanie batów, tylko *Sonderbehandlung*. Miriam nie wiedziała, co to takiego. Binz powiedziała z uśmiechem, że Sylvianne będzie miała okazję skorzystać z dobrodziejstw nowego małego urzędnika. To chyba miłe, prawda? Powinna uznać to za wyjątkowy zaszczyt, że ona pierwsza nie pojedzie na tę kurację do Auschwitz, tylko zostanie jej poddana na miejscu. Niestety, trochę będzie musiała poczekać, może z tydzień, zanim to nowe urządzenie będzie gotowe do użytku, ale Binz nie miała wątpliwości, że Sylvianne chętnie poczeka...

– Sylvianne – szepnęła Miriam. – Jak się czujesz?

Przez chude ciało Sylvianne przeszedł dreszcz. Nie odpowiedziała.

Od tamtej pory nie odezwała się słowem. Podniosła się dopiero wieczorem, poczłapała do pryczy po lewej stronie, opuściła ją i położyła się, nie przykrywając się cienkim kocem, starannie złożonym w nogach pryczy. Miriam odczekała parę minut, zanim opuściła swoją pryczę, i ledwie się położyła, od razu wstała, podeszła do Sylvianne, wyjęła koc spod jej stóp i ostrożnie ją przykryła. Sylvianne nie zareagowała, leżała na brzuchu, twarzą do ściany.

Miriam chciała ją pogłaskać po policzku. Ale nie miała odwagi.

A teraz był ranek. Piątkowy ranek. Dzień chłosty.

Wstały, kiedy szara badaczka Pisma Świętego przyszła z wywarem z buraków, nazywanym kawą, i kawałkami chleba. Regulaminowo złożyły koce, podniosły prycze, usiadły, każda po swojej stronie, i zwinęły się w kłębek. Sylvianne nie tknęła ani kawy, ani chleba. Miriam nie umyła się i nie wyczyściła zębów palcem, czego ją nauczyła Else. Ale Else nigdy nie była w pokoju chłosty. Nie wiedziała, jak należy się tam zachować. Niedługo Miriam się dowie. Jeśli przeżyje.

Wypiła duży łyk wywaru z buraków, potem złożyła dłonie i cicho zaczęła odmawiać *Ojcze nasz*.

Zazgrzytał klucz w zamku. Tego ranka nie przyszła Binz, tylko młoda, kompletnie obca nadzorczyńni, której Miriam nigdy przedtem nie widziała. Przywiązała smycz do haka tuż za drzwiami, szybko pogłaskała psa po głowie i otworzyła kratę dzielącą dwa światy.

Od tej chwili zmienił się czas. To, co działo się teraz, będzie się działo znowu, noc w noc, przez całą wieczność.

Nadzorczyńni zajrzała do celi. Była ładna. Jasne włosy świeżo po trwałej, cieniutka warstwa jasnego pudru na krągłych policzkach, furażerka zawadiacko przekrzywiona na bakier. Wyglancowane przez świadkową Jehowy czarne wysokie buty błyszczały równie mocno jak jej marzenia o rajach na ziemi, które sprawiły, że dobrowolnie została w obozie. Mogła wyjść zaraz po pisemnym wyrzeczeniu się wiary, ale odmówiła tak jak wszyscy inni świadkowie, i dlatego spódnicospodnie nadzorczyńni były dopiero co wyprasowane, a kołnierzyk białej bluzki leżał idealnie gładko na wyłogach mundurowej marynarki.

Nadzorczyńni trzymała pejcz za plecami. Nie uderzała nim, nie machała, nawet go nie uniosła, tylko trzymała za plecami, ale ledwie mogła powstrzymać uśmiech na myśl, że więźniarka i tak go widzi. Więźniarka nie była ładna. Chuda i wysoka, ale o tak fatalnej postawie ciała, że nie przewyższała jej nawet o głowę. Pochylała się do przodu jak stara kobieta, mimo że nie mogła mieć więcej niż piętnaście-szesnaście lat. Nienaturalnie duże, wygłodzone oczy okalały czarne obwódki. Stała z na wpół otwartymi ustami, jakby za chwilę miała się ślinić. I cały czas patrzyła to na nią, to na psa, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

– *Raus!* – wrzasnęła. – Wynoś się...

Minęło piętnaście sekund, piętnaście sekund wahania, piętnaście sekund, podczas których trzy razy przenosiła wzrok z niej na psa, z psa na nią, z niej na psa. Dosyć tego.

Podniosła pejcz.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam, debilko? Głucha jesteś? *Raus! Raus! Raus!*

Dziewczyna chwiejnym krokiem wyszła na korytarz, odwróciła się w prawo i zaczęła iść do pokoju chłosty.

W RAJSKIM MIEJSKIM PARKU

*Odwracamy się i wspominamy – umarłych i nas samych.
Ci, którzy przeżyli, chwytają dłonie umarłych,
a my wracamy do życia, do tego, co było i jest naszym życiem.*

Cordelia Edvardson

Żwir chrzęści pod stopami. Idą w milczeniu. To zwyczajne milczenie, mimo że powinno być bardzo wymowne. Dłoń Miriam, leżąca nad łokciem Camilli, czuła jak barometr, nie rejestruje żadnych zmian emocjonalnych. Żadnych reakcji. Mięśnie ramion Camilli napięły się i błyskawicznie rozluźniły. Tylko tyle. A przecież powinna być zdumiona, oszołomiona, przerażona. Nie dość, że sama nic nie mówi, nic nie mówi jej ciało.

Pojawia się wyimaginowany obraz: Camilla przewraca Miriam, syczy coś o pieprzonych Cyganach i załganych wiedźmach, rzuca się na nią, wbija kolano w plecy i mocno przyciska twarz do ziemi, wgniata w ostry żwir, pęka skóra na nosie i krew...

E tam! Urojenia. W dodatku głupie i uwłaczające Camilli. Jakby marzyła o tym, żeby zachować się jak kapo, blokowa albo mniej lub bardziej uprzywilejowana, czysta rasowo więźniarka. Niby dlaczego miałyby to robić? Nikt nigdy jej nie uderzył, ona też nigdy nikogo nie uderzyła, w jej świecie przemoc po prostu nie istnieje. Dezaprobatę wyraziłaby zupełnie inaczej, w typowo szwedzki sposób. Leciutko uniosłaby górną wargę, opuściła kąciuki ust i patrzyła z pogardą. Gdyby była bardzo wzburzona, może by się nieco od niej odsunęła, nie cofając ramienia, i zadbała o zachowanie między nimi stosownej odległości, a po powrocie do domu posadziłaby ją na krześle w ogrodzie i pobiegła do ojca, żeby mu powiedzieć, że całe życie żył w kłamstwie. A potem przyszedłby Thomas, z twarzą pobladłą z gniewu i pogardy, z zaciśniętymi pięściami i...

E tam! Głupoty. Nic takiego się nie zdarzy. Camilla musi jednak coś powiedzieć, nie może dalej milczeć. Miriam obrzuca spojrzeniem jej profil. Twarz ją zdradza. Odślania i zasłania zęby dolną wargą, trzy razy szybko mruga powiekami, patrzy niewidzącym wzrokiem przed siebie, znów szybko mruga trzy razy, po czym bierze głęboki wdech. Wreszcie jest w stanie coś powiedzieć.

– Obóz cygański? – mówi lekko rozdygotanym głosem. – Dlaczego byłaś w obozie cygańskim?

Siedemdziesiąt lat milczenia zrobiło swoje. Miriam spuszcza wzrok i unosi ramiona.

Camilla odwraca głowę i patrzy na nią.

– Jesteś Cyganką? Jesteś Romką, tak?

Miriam musi nabrać powietrza, żeby odpowiedzieć.

– Nie jestem. Byłam.

Camilla przystaje w pół kroku.

– Co masz na myśli?

W Miriam wzbiera płacz, podchodzi do gardła, ale to wykluczone, absolutnie niedopuszczalne, nie może płakać, nie wolno jej płakać, nie wypada. Proste dotąd plecy przygarbiły się, a dłoń nad łokciem Camilli drży. Nie tylko dłoń. Miriam drży na całym ciele.

Camilla też to widzi.

– O mój Boże – mówi, kładąc wolną rękę na dłoni Miriam. – Tak, tak... Już dobrze. Już dobrze.

Doszły do niewielkiej kępy krzewów, nazywanej ogrodem sortymentowym. Właśnie zakwitła jeżyna pachnąca i jej różowe kwiatki mienia się za plecami Camilli. Miriam skupia wzrok na jednym i chłonie go wszystkimi zmysłami. Głęboko nabiera powietrza, wypiera uczucia i prostuje plecy. No. Teraz znowu jest sobą. Miriam.

– Wejdziemy? – pyta.

Camilla mruga zdziwiona.

– Wejdziemy?

– Do sortymentowego ogrodu.

– Co? A... Tak... Dobrze...

I znów zapada między nimi cisza.

W małym ogrodzie panuje przyjemny chłód. Wysokie krzewy zasłaniają słońce, co daje odpoczynek oczom. Miriam jeszcze raz głęboko nabiera powietrza, rozluźnia się, czeka, aż wrócą słowa, zatrzymuje wzrok na kwitnącym jaśminowcu, wyciąga rękę i przesuwa palcem po płatku.

Camilla śledzi ją spojrzeniem, po czym odchrząkuje i bierze byka za rogi.

– Musisz mi to wyjaśnić. Dlaczego, u licha, udawałaś, że jesteś Żydówką? Dlaczego nie powiedziałaś, jak jest, że jesteś Romką?

Miriam na ułamek sekundy zamyka oczy. Otwiera je i rozgląda się. W pobliżu nie ma nikogo, nie słychać kroków ani głosów, i chociaż rozum jej podpowiada, że w ogrodzie sortymentowym są całkowicie same, przycisza głos.

– Nie mogłam tego powiedzieć. Gdybym powiedziała, nie zostałabym w Szwecji.

Camilla cofa się o krok i, proszę, leciutko unosi górną wargę. Gest pogardy. Otóż to, wygląda tak, jakby gardziła Miriam.

– O czym ty mówisz? Nie przyjechałaś tu białym autobusem? Wszyscy, którzy przyjechali do Szwecji białymi autobusami, mogli zostać.

Miriam kręci głową.

– Nie Romowie. O ile wiem, oprócz mnie przyjechały tylko dwie romskie dziewczynki i nie wydaje mi się, żeby zostały w Szwecji...

Camilla potrząsa głową.

– Boże...

Miriam puszcza jej ramię, czuje, jak palą ją policzki, i patrzy na nią.

– Aż do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku obowiązywał zakaz dla imigracji Romów. Cyganie nie mogli przyjechać do Szwecji. To było zabronione.

Krzyżuje ramiona i wbija wzrok w oczy Camilli, nagle jej wnuczka uosabia wszystkich Szwedów i Miriam czuje do niej wstręt jak do całej reszty tych zadufanych w sobie i jedynych sprawiedliwych...

– Zakaz! – mówi. – Rozumiesz?! Z pewnością kilku Romów weszło ukradkiem do białych autobusów, w Malmö ich wykąpali, potem odbyli kilkumiesięczną kwarantannę, dostawali kleik, kleik, kleik, a kiedy stanęli na nogi, do widzenia! Nie mogli zostać w Domu Ludowym. Jakżeby inaczej! Przecież mogliby obrócić wniwecz tę pieczołowicie budowaną nieskazitelność, a tego Szwedzi naturalnie by nie znieśli!

Camilla znów cofa się o krok. Jest przestraszona. Co ona sobie wyobraża? Że Miriam uderzy ją torebką w głowę? Ugryzie ją w kciuk? Mocno uszczyplnie? Zapewne młoda dama przeżyłaby wielką traumę! Wręcz niewyobrażalną. Może wymagałaby wieloletniej terapii, żeby się z tym uporać.

– Przepraszam – mówi Camilla.

Zaskoczona Miriam lekko się chwieje. Jej świat obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni. „Przepraszam”? Za co Camilla ją przeprosza? Wina nie jest genetyczna, nie przechodzi z ojca na syna, z matki na córkę, z rodaka na rodaka. Każdy odpowiada za siebie, za własne uczynki.

Tak jak ona odpowiada za swoje kłamstwa. Za całe życie w kłamstwie.

Camilla jest przerażona, po raz pierwszy widzi płaczącą babcię. Jakby Miriam straciła nad sobą kontrolę, jakby zaczęła topnieć, rozpuszczać się i niknąć. Ale płacze bardzo cicho, z jej wykrzywionych ust wydobywa się tylko jeden jęk i kilka łkań, mimo że wygląda tak, jakby krzyczała.

Camilla delikatnie ociera jej łzy.

– No, już dobrze, już dobrze...

Miriam pociąga nosem.

– No, jusz dopsze, jusz dopsze...

Przedrzeźnia ją. To dziwne i groźne. Camilla próbuje wsunąć jej rękę pod ramię, żeby wszystko było jak zwykle, ale Miriam odsuwa się od niej i przyciska torebkę do brzucha.

– Sylvianne też mówiła „jusz dopsze, jusz dopsze”...

Camilla przełyka ślinę i głaszcze Miriam po ramieniu. Tylko spokojnie, mówi do siebie. Tylko spokojnie.

– Kim była Sylvianne?

Miriam znów pociąga nosem.

– Była moją przyjaciółką, chociaż... Nie, była współwięźniarką. Chyba Francuzką.

Nagle przestaje płakać, ociera policzki grzbietem dłoni, wyjmując z torebki paczkę chusteczek higienicznych, mocuje się z opakowaniem, w końcu otwiera, wyjmując jedną, głośno wyciera nos i patrzy na Camillę nieobecny spojrzeniem.

– Pomogła mi, kiedy wróciłam po chłóście. Cały czas powtarzała „jusz dopsze, jusz dopsze, jusz dopsze” i polewała mi rany zimną wodą. – Milknie i mruga oczami. – Chyba zagłodziła się na śmierć – dodaje po chwili normalnym tonem. – Tak, chyba tak.

Camilli zaschło w gardle.

– Zagłodziła się na śmierć?

– Przez dwa dni po mojej chłóście oddawała mi swoją zupę i chleb. Kawę też. Nic nie piła.

– Dlaczego?

Miriam mruga oczami i wraca do terażniejszości.

– Pewnie nie chciała być pierwszą zagazowaną w Ravensbrück – mówi drżącym głosem. – Miała przejść *Sonderbehandlung*. Ale komora gazowa nie była jeszcze gotowa... – Urywa i patrzy na Camillę. – Ile trzeba czasu, żeby umrzeć z głodu?

Camilla robi głęboki wdech.

– To zależy – mówi, zmuszając się do patrzenia babci w oczy. – Szybciej umiera się z pragnienia, zazwyczaj po trzech dniach.

Miriam kiwa głową.

– To dobrze. Myślę, że jej się udało. Kiedy mnie wypuścili, była nieprzytomna.

Miriam stawia jedną stopę przed drugą, byle bliżej do wyjścia z cieniściego ogrodu, który nagle przypomina labirynt, byle wyjść na słońce. Zawsze może być gorzej, myśli i lekko się uśmiecha, przypominając sobie słowa Olofa, ilekroć słyszał panią pastor albo polityczkę.

– DUBY SMALONE! – mówi głośno. – Pierdoły!

– Co?!

Camilla trzyma ją pod rękę i idzie tuż za nią, jakby alejki w sortymentowym ogrodzie nagle stały się za wąskie, żeby mogły się zmieścić obok siebie. Camilla jest niespokojna, bardzo niespokojna, to słychać w jej głosie:

– Co powiedziałaś?

Miriam nie odpowiada, idzie najszybciej, jak może, ma wrażenie, że krzewy wokół zaraz ją uduszą. No, nareszcie widzi słońce, uwalnia się od ramienia Camilli, robi trzy kroki i wychodzi z ogrodu. Dzięki Bogu.

Camilla spieszy za nią, mocno zatroskana.

– Co ty powiedziałaś?

Miriam leciutko się uśmiecha.

– Powiedziałam „duby smalone”.

– Jak to? – Camilla jest speszona. – Co masz na myśli?

Miriam uśmiecha się.

– Pomyślałam o ulubionym cytacie twojego dziadka: „Słyszeć kobietę na mównicy to jak patrzeć na pudła, który chodzi na tylnych łapach. Chodzić chodzi, ale nie najlepiej”.

Camilla jest zszokowana.

– To najgorsza rzecz, jaką słyszałam!

– Prawda? Czy to nie są duby smalone?

Camilla potakuje.

– Absolutnie!

I dawna zażyłość wraca.

Teraz znów idą równym rytmem, ramię w ramię, blisko siebie. Wspierają się

nawzajem. Na placu zabaw woła jakieś dziecko i drugie mu odpowiada, ale są za daleko, żeby usłyszeć, o co chodzi. Nieważne. Wystarczą ich jasne głosy, to na swój sposób pocieszające.

– Zdradziłam – mówi nagle Miriam. – Zdradziłam tę, którą byłam. Chociaż nie bardzo wiem dlaczego...

Camilla kładzie rękę na dłoni Miriam, która zdaje się tego nie zauważać i mówi dalej:

– Mogłabym przecież powiedzieć, że zrobiłam to, bo bardzo chciałam żyć. Ale to nieprawda. Wcale nie chciałam żyć. Didi dopiero co umarł, Anusza od dawna nie żyła. Ja chciałam być kompletnym nieboszczykiem, nie chciałam być ani zastrzelona, ani wychłostana, ani skopana na śmierć... Sama nie wiem dlaczego. Ale tak właśnie było. Chciałam, żeby moje zwłoki były w całości.

– Wielki Boże!

Miriam słyszy drżący głos Camilli, ale nic już jej nie powstrzyma.

– W drodze do Ravensbrück kilka czeskich komunistek podarło mi sukienkę, wiedziałam, że po przyjeździe na miejsce dostanę za to tęgie baty, i wzięłam sukienkę... Miriam Goldberg. Ona już nie żyła, więc... – Słowa się piętrzą, jakby chciała powiedzieć wszystko naraz. – Kiedy dojechałyśmy, ustawiłam się razem z Żydówkami i stałam się Miriam Goldberg. Na dobre i na złe. Niemcy byli wredni wobec wszystkich z żółtymi gwiazdami, wredni i podli, a więźniowie funkcyjni, kapo, opróżniający latryny i inne uprzywilejowane typki, byli gorsi wobec Cyganów, a to przecież z innymi więźniami miało się najczęściej do czynienia. Więc dalej byłam Miriam. Nie znałam innych Romek w Ravensbrück, ani jednej, już w Auschwitz byłam sama, miałam tylko Didiego, opiekowałam się nim, robiłam, co mogłam, żeby przeżył, a kiedy został włączony do eksperymentu noma, zostałam samiuteńka, bo Anusza już nie żyła, umarła prawie od razu... A potem była Else i Lykke, i inne Norweżki...

– Stop – mówi Camilla. – Nie tak szybko! Nie nadążam...

Miriam przystaje w pół kroku i odwraca się do Camilli. Jest zdezorientowana.

– Wiem, ale tyle tego jest... Bardzo często o niej myślałam.

Camilla zmieszana kręci głową.

– O kim?

– O Miriam. O tej, której życiem żyłam.

– Wielki Boże. Chyba musimy znowu usiąść.

Po raz trzeci siadają na parkowej ławce i patrzą na Ingsbergssjön. Fontanna kaskadowa pośrodku jeziora nagle ożywa. Miriam i Camilla patrzą na nią, ale jakby jej nie widziały. Przez chwilę milczą, potem Camilla zamyka oczy i bierze oddech.

– Zaczniemy od początku. Jak się nazywałaś, zanim zostałam Miriam?

Miriam przygryza dolną wargę.

– Malika – odpowiada po chwili. – Nazywałam się Malika.

– Malika?

Miriam lekko się garbi.

– Tak. To znaczy cesarzowa. To hinduskie imię¹³.

– Piękne...

– Owszem, ale nie jest moje, już nie.

Camilla kiwa głową. Jej babcia nie jest już Miriam i nie jest Maliką. Nie. To głupie. Oczywiście, że jest Miriam, stała się Miriam.

– A gdzie się urodziłaś?

Miriam unosi ramiona.

– W Niemczech. W jakiejś wiosce. Chyba w Bawarii. Nie pamiętam nazwy... Tam mieszkaliśmy. Dziadek kupił dom. Mieliśmy swój dom, nie jeździliśmy w taborze.

Głos Miriam jest łamliwy i przepraszający. Nie patrzy na Camillę, ostrożnie zdejmując nitkę z sukienki i wygładza sukienkę dłonią.

– Było nas kilka rodzin, dziadek ze strony ojca miał dużo dzieci i jego synowie mieszkali tam ze swoimi żonami i dziećmi. Anusza była moją kuzynką. Tak mi się przynajmniej wydaje. A Didi był moim młodszym bratem. Ale pewnego dnia przyjechała policja...

– Co zrobiliście?

– Nic nie zrobiliśmy, nie mieliśmy pojęcia, co się stało. Po prostu przyjechali, zabrali wszystkie dzieci i wywieźli do klasztoru. A dokładniej do przyklasztornego sierocińca.

– Ale dlaczego?

– Wtedy nic nie rozumieliśmy, ale potem trochę poczytałam i zaczęłam rozumieć... – Miriam wykrzywia górną wargę w pogardliwym grymasie, jej

głos brzmi pewniej. – Niektórzy naziści uważali, że my, Romowie, jesteśmy jakimś rodzajem Aryjczyków, ponieważ my też dawno temu wywędrowaliśmy z Indii. Ale potem Himmler doszedł do wniosku, że tak nie jest, że jesteśmy takimi samymi podludźmi jak Żydzi i Sinti...

– Sinti?

Miriam lekko wzrusza ramionami.

– Można by chyba powiedzieć, że to tacy niemieccy *tattare*. W każdym razie w tym sierocińcu były tylko romskie dzieci. Pętaliśmy się tam, nie mając pojęcia, o co toczy się gra, czy będziemy uznani za honorowych Aryjczyków, czy za szumowiny, które trzeba wytępić. Tak czy inaczej, sierociniec był świetnie prowadzony. W porównaniu z Auschwitz to był prawdziwy raj na ziemi. Posiłki trzy razy dziennie. Dobra szkoła. Ład i porządek. I dużo batów, ale do tego przywykliśmy... Wszystkie dzieci w tamtych czasach były do tego przyzwyczajone. – Marszczy czoło. – Gdybyśmy wiedzieli, co się stało z dorosłymi, byłoby naprawdę całkiem dobrze. Ale nie wiedzieliśmy i nigdy się tego nie dowiedzieliśmy. Ci, którzy się naprzykrzali, domagając się odpowiedzi, dostawali większe lanie... Didi cały był posiniaczony właśnie z tego powodu. Obrywał i dalej robił to samo. Był uparty jak osioł.

Camilla kładzie rękę na dłoni Miriam.

– A co się stało z dorosłymi?

Na chwilę zapada cisza.

Miriam siedzi bez ruchu, patrzy na dłoń Camilli, potem prostuje plecy i odwraca twarz.

– Nie wiem. Pewnie też trafili do obozu. I zostali zagazowani. Albo zagłodzeni na śmierć. Nie wiem. Na dobrą sprawę nikt nie wie zbyt dużo o tym, co się stało z Romami podczas zagłady.

Znów zapada cisza. Camilla ściska dłoń Miriam, potem siedzą nieruchomo i patrzą przed siebie. Przytomnieją dopiero wtedy, kiedy nad ich głowami nagle rozlega się krakanie wrony.

– A Didi... – odzywa się Miriam przytłumionym głosem. – Teraz wiem, co mu było. Wcześniej znałam tylko jedno, niezrozumiałe słowo: „noma”.

– Nie wiedziałaś, co to znaczy? – cicho pyta Camilla.

Miriam kładzie drugą dłoń na dłoni Camilli, jakby próbowała ją pocieszyć.

– Nie. Widziałam, że twarz zaczyna mu zanikać, roztapiać się, tak jak wielu innym dzieciom, ale nie miałam pojęcia, co to za choroba. Teraz mam.

„Noma” była pierwszym słowem, które wpisałam do wyszukiwarki, kiedy załatwiłam sobie internet.

Camilla nie ma odwagi na nią spojrzeć.

– I co to za choroba?

Miriam zamyka oczy.

– Bakterie jamy ustnej zaczynają zjadać ciało. To rodzaj gangreny, która atakuje tylko głodujące dzieci. I to była część eksperymentu Mengele.

Miriam uwalnia dłonie i zaciska je w pięści. Nie. Tylko nie to. Przez dziesięciolecia udawało jej się unikać wspomnień o tym, co spotkało Didiego. Przez dziesięciolecia nie dopuszczała do siebie myśli o baraku 22. Przez dziesięciolecia zdołała pogrzebać swoją nienawiść. Wszystko inne, co wydarzyło się w Auschwitz-Birkenau, mogła wspominać, ale nie to. Nie to, jak jej braciszek rozkładał się i zmarł na jej oczach.

Przedtem latami zadręczała się śmiercią Didiego. Co dziwne, udręka stała się o niebo dotkliwsza zaraz po ślubie z Olofem. W wolnych chwilach, kiedy już ugotowała obiad, zacerowała skarpety, posprzątała mieszkanie, wyłaniał się ten obraz, który był czymś więcej niż wspomnieniem, w magiczny sposób sprawiał, że przestawały istnieć wszelkie języki, a czas sytuował się poza teraźniejszością, przeszłością i przyszłością. Gdzieś leżał Didi, rozkładał się i umierał. Dzień za dniem. Miesiąc za miesiącem. Rok za rokiem.

Nie mogła dopuścić do tego, żeby ktokolwiek coś zauważył. Wykluczone, żeby w Szwecji dostała pomieszania zmysłów, bo wtedy byłaby wokół niej pustka, kompletne osamotnienie i lodowaty chłód. Poza tym ból był zbyt wielki, żeby się nim dzielić. Gdyby to zrobiła, zniszczyłaby nie tylko siebie, ale również innych ludzi, którzy nie zrozumieliby, do czego zdolny jest człowiek. Dlatego, ilekroć pojawiał się ten obraz, nie okazywała emocji, tylko szybkim krokiem szła do toalety, przemywała twarz zimną wodą i przyciskała się do ściany. Tam szukała schronienia. Dopiero po kilkudziesięciu latach nauczyła się, jak sobie radzić ze śmiercią Didiego. Nie dawać za wygraną. Przywoływać inne wspomnienia, zachować Didiego w pamięci z innego okresu, sprzed obozu, zanim poznał doktora Mengele, zanim zachorował. Musi myśleć o czymś pogodnym, radosnym. Nauczyła się skupiać na najlepszych chwilach. Na przykład na tym poranku w Aneby, kiedy się obudziła i po raz pierwszy od lat nie czuła ani lęku, ani głodu. Albo na tym dniu, kiedy Thomas postawił pierwsze kroki i zachwycony padł jej w objęcia. Albo na niepohamowanym śmiechu Olofa, kiedy uczył ją jazdy na łyżwach.

Głęboko wciąga powietrze, zerka na Camillę, która ciągle patrzy pustym wzrokiem na jezioro, i dalej szuka w pamięci. Ma. Znalazła. Skupia się na sukni z turkusowej jedwabnej satyny, którą uszyła sobie u krawcowej na przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin Egona, cudownej sukni, dzięki której przemieniła się w piękną... w prawdziwą piękność i dzięki której Olof w końcu na nią spojrział i się zakochał... Tak. Do tej sukni może uciec myślami.

To Hanna, świeżo upieczona mężatka, poradziła jej, co ma zrobić. Ma pójść do banku i podjąć co najmniej dwieście koron.

– Stać cię na to – powiedziała. – To dużo pieniędzy, ale nie można tylko

oszczędzać, czasami trzeba wydawać. Potem wsadzisz Thomasa do wózka i przyjedziecie pociągiem do Jönköpingu, gdzie kupimy materiał i pójdziemy do krawcowej.

Miriam posłuchała jej, mimo że dwa stukoronowe banknoty w portmonetce uważała za coś strasznego. Ale już kiedy pociąg zatrzymał się na stacji w Forserum, zaczęła w niej wzbierać radość, a kiedy dojeżdżali do Jönköpingu, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Co odniosło pozytywny skutek, bo elegancki mężczyzna w lodenowej marynarce odwzajemnił uśmiech i pomógł jej znieść wózek na peron. A na peronie czekała Hanna z Nipponem na rękach. Hanna szczęśliwa, kochana i kochająca, która uśmiechnęła się równie szeroko jak Miriam, i natychmiast zaczęła opowiadać o przygotowaniach do urodzinowego przyjęcia. Zarezerwowała Salę Lustrzaną w Stora Hotellet, tak, tak, w najładniejszym i najdroższym lokalu w całym Jönköpingu, ba, w całej Smalandii. Sama pokryje wszystkie koszty, bo Egon jest tego wart. Nie można tylko oszczędzać, czasami trzeba wydawać.

– Ale najpierw pójdziemy do cukierni – powiedziała. – I zjemy po ciastku.

W sklepie bławatnym Hanna poprosiła o pokazanie wszystkich tkanin jedwabnych w odcieniach niebieskiego. Obejrzały ciemnoliliowy douppioni, jasnoniebieski szyfon, jasnobłękitną krepe, lodowoniebieski brokat i na końcu błyszczącą ciemnoturkusową satynę. Miriam położyła na niej dłoń i od razu zauważyła zmianę. Skóra stała się nieskazitelnie gładka, a paznokcie przypominały połyskliwe muszelki.

– Ten – powiedziała. – Ten chcę mieć.

Hanna wahała się. Przerzuciła turkusowy materiał przez jej ramię, cofnęła się o krok i zmrużyła oczy.

– Tak. Faktycznie. Masz rację. Do twarzy ci w tym kolorze.

Dla siebie wybrała ciemnoliliowy douppioni, a potem przeszły przez Hovrättstorget do pracowni krawieckiej w oficynie na Smedjegatan. Krawcowa uśmiechnęła się promiennie, widząc, co przyniosły. Co za jakość! Nie ma nic przyjemniejszego od szycia z materiałów prawdziwie dobrej jakości!

Suknia Miriam wyszła bardzo ładnie. Długa szeroka spódnica falowała przy każdym ruchu. Dopasowana talia doskonale podkreślała jej kształty. Na plecach był rząd malutkich obciążanych guziczków. Głęboki dekolt zmienił jej całkiem przeciętną szyję w szyję łabędzią.

– A blizna? – powiedziała do krawcowej, kiedy była u pierwszej przymiarki. – Nie mogę mieć sukni bez rękawów, bo będzie widać bliznę...

– Jaką bliznę?

Miriam podniosła lewą rękę. Na przedramieniu nadal był mały niebieski dołek i trzy cyfry. 389. Krawcowa pochyliła się i poprawiła okulary.

– E tam. Nikt tego nie zauważy. Wystarczy małej plaster...

Jakby to było nic. Jakby ta blizna i tatuaż nie miały żadnego znaczenia. Może miała rację. Olofa zatkąło, kiedy pierwszy raz zobaczył ją w turkusowej sukni. Już nie była wyłącznie biedną byłą więźniarką obozu koncentracyjnego, młodą opiekunką do dziecka i pomocą domową. Przemieniła się w panienkę z dobrej rodziny, która złożyła egzamin eksternistyczny w szkole dla dziewcząt. W prawdziwą Miriam.

Olof, który zajął sąsiedni pokój w Stora Hotellet, zapukał do jej drzwi, wyfraczony, gotowy do wyjścia. Kiedy mu otworzyła, wyglądał dość obojętnie, ale po chwili zrobił wielkie oczy.

– O Jezu! Stwórcu mój i Panie! – powiedział z wyraźnie smalandzkim akcentem, rozciągając samogłoski, i cofnął się.

Miriam uśmiechnęła się. Uznała to za komplement, mimo że niewyraźny wprost, i delikatnie położyła dłoń na swoim pełnym koku francuskim. Był nienaganny.

Olof miał rozbiegane spojrzenie.

– Przepraszam. Jestem zaskoczony. Chciałem powiedzieć, że jesteś piękna... Naprawdę.

Miriam schyliła swoją łabędzią szyję.

– Dziękuję. Zejdziemy do Sali Lustrzanej?

Poczuła lekkie swędzenie pod plastrem. Postanowiła to zignorować, wzięła Olofa pod ramię i ostrożnie, małymi kroczkami, w butach na wysokich obcasach, zeszła ze schodów. Kiedy weszli do Sali Lustrzanej, Olof wyprostował plecy, a ona się uśmiechnęła. Tak, miał rację. Potwierdziło to jej odbicie w wielu lustrach. Naprawdę była piękna.

Camilla przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, teraz bierze głęboki oddech.

– Zgorzel. To okropne. Koszmar.

Miriam ogarnia irytacja. Nie! Tylko nie to. Wstaje, poprawia sukienkę, wygładza zagniecenia.

– Przepraszam, nie jestem w stanie o tym rozmawiać...

Ale do Camilli to nie dociera.

– Byłam przy operacji martwicy jelita, w życiu czegoś takiego nie widziałam ani nie wahałam. Pielęgniarka anestezyjologiczna zemdląca, musiałam ją wyprowadzić, i całe szczęście, bo ja też bym...

Miriam mocno chwyta ją za nadgarstek.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Nie chcę o tym mówić. Nie mogę o tym mówić. Bo umrę. A dzisiaj nie chcę umierać. Rozumiesz?!

Camilla ze zdumieniem patrzy na swój nadgarstek i zaciśniętą na nim dłoń, podnosi wzrok, ale nie ma odwagi spojrzeć Miriam w oczy.

– Przepraszam. Nie miałam zamiaru... Chciałam tylko...

Miriam mocniej ściska nadgarstek Camilli.

– Nie da się mówić o wszystkim! Zrozum to wreszcie. To ponad siły kogoś, kto ma osiemdziesiąt pięć lat, jest niewłaściwego pochodzenia i przeżył dwudziesty wiek.

Camilla próbuje spojrzeć babci w oczy, ale od razu ucieka spojrzeniem i w milczeniu kiwa głową. Próbuje uwolnić nadgarstek, ale bez powodzenia.

Miriam potrząsa jej dłonią w rytm wypowiedzanych słów.

– Rozumiesz? To się naprawdę stało. Tak było. To był inny świat i nie chcę do niego wracać. Nie chcę!

Ale jest już za późno.

To był inny świat.

Malika zamruwała ze zdumienia, kiedy w końcu otworzyły się drzwi bydlęcych wagonów i stanęli na rampie. Wprawdzie srebrna tarcza słońca prześwitywała zza szarych listopadowych chmur tak samo jak wtedy, kiedy opuszczali sierociniec, ale tylko to przypominało jej dotychczasowy świat. Reszta nie była podobna do niczego, co widziała wcześniej. Żadnych drzew, trawy, kwiatów, tylko tory kolejowe, żwir i glina. A kawałek dalej baraki za ciągnącym się w nieskończoność ogrodzeniem z drutu kolczastego. Ludzie też byli inni. Sami mężczyźni. Szare widma w pasiakach biegające tam i z powrotem z walizkami i tobołami, umięśnione byki z pałkami, o złych twarzach, i kilku wyprostowanych elegantów w czarnych mundurach, z trupimi czaszkami na czapkach i z czarnymi ogonami. Nie, to nie były ogony. To były pejcze, które trzymali za plecami. Plecione skórzane pejcze.

Didi znów się rozpłakał. Beczał na cały głos. Anusza pochyliła się nad nim, lekko nim potrząsnęła, żeby się uspokoił, ale nic to nie dało. Didi chciał pić. Didi chciał jeść. Didi był spragniony i głodny, chciało mu się siusiu i był wyczerpany po długiej podróży. Malika znowu zamruwała oczami,

przypomniała sobie o swoich obowiązkach, kucnęła przy nim i ujęła go pod brodę.

– Zamknij buzię – powiedziała, patrząc na niego karcącym wzrokiem. – Rozumiesz? To groźne miejsce, nie wolno płakać...

Didi załkał, już otwierał usta do krzyku, kiedy nagle usłyszeli przeraźliwy wrzask. Malika błyskawicznie się odwróciła. Mężczyzna z innego transportu dostał pałką w głowę i leżał na rampie, zasłaniając się ramionami. Gruba kobieta, prawdopodobnie jego żona, wyciągnęła ręce do nieba i zawyła. Pałka trafiła ją w usta. Krew z rozciętych warg trysnęła na brunatną koszulę ukraińskiego strażnika. Wściekły, przyłożył jej pałką jeszcze raz. Kobieta zagulgotała i osunęła się na kolana.

Malika spojrzała na Didiego. Powędrował spojrzeniem od krwawiącej kobiety do strażnika, zamknął usta, szybko wytarł policzki, wsunął rączkę w dłoń Maliki i przytulił się do niej.

– O tak – powiedziała ściszym głosem, ściskając jego rączkę. – Dobrze. Tylko bądź cicho, to wszystko się ułoży.

Wyprostowała się i napotkała wzrok Anuszy. Było w nim zmieszanie, rozpacz, przerażenie. Może Anusza uwierzyła w to, co mówiły zakonnice. Że pojedą do innego sierocińca. Że po przyjeździe dostaną coś dobrego do jedzenia. Że w nowym miejscu nikt ich nie zbombarduje. Że Bóg i Jezus uchronią ich od wszelkiego zła.

Akurat. I Bóg, i Jezus byli gdzie indziej. Malika zrozumiała to już na stacji, kiedy siostra Agathe wybuchnęła płaczem, a podczas transportu tylko utwierdziła się w tym przekonaniu. Nikt ich przed niczym nie uchroni. Trzeba liczyć wyłącznie na siebie.

Po pięcioro w szeregu. Równe szeregi. Milczenie.

Romskie dzieci pomaszerowały pierwsze. Inni nowo przybyli zostali na rampie i patrzyli za nimi. Widzieli, jak mijają lekarzy SS i nikt ich nie zatrzymuje ani nie poddaje selekcji, jak skręcają w lewo, przechodzą przez tory kolejowe, potem skręcają w prawo, na gliniastą drogę, i mijając kilka pasiastych widm kopiących rowy, nie chcą na nie patrzeć.

– *Halt!* – krzyknął esesman idący na czele kolumny.

Nie wszyscy zrozumieli, co to znaczy, ktoś pchnął Malikę w plecy, odwróciła się z groźnym grymasem. „Stój, idioto!”

– W lewo zwrot!

Tylko Malika i dwóch dużych chłopców od razu wykonali polecenie. Didiemu i Anuszy zajęło to parę sekund, a kilkoro innych dzieci najwyraźniej

nie wiedziało, czego się od nich oczekuje. Mała dziewczynka w szeregu przed nimi zaczęła dłużyć w nosie i opierała się, kiedy Malika chwyciła ją za ramiona, żeby obrócić w lewo.

Zatrzymali się przed okratowaną bramą w ogrodzeniu z drutu kolczastego. Przez kratki widzieli długą gliniastą ulicę, przy której po obu stronach ciągnęły się baraki. Pod jedną ze ścian szczytowych stało kilku Romów, przed nimi siedziała w kucki jakaś kobieta i próbowała rozniecić ogień. Nie udało się. Skuliła się, spłótła dłonie na karku i utkwiała wzrok w spódnicę. Poddała się.

Bramę otworzyli dwaj mężczyźni o czerwonych twarzach. Mieli pałki i jasnobrązowe koszule. A w środku przy ogrodzeniu dwaj inni mężczyźni, tak samo ubrani, usiłowali coś ściągnąć z drutów. Nie. Nie coś. Kogoś. Romkę.

Esesman zatrzymał maszerujące dzieci i pokazał na nią.

– To jest ogrodzenie elektryczne. Każdy, kto go dotknie, umrze. Żebyście wiedziały.

Ukraińscy strażnicy oderwali umarłą. Na drutach zostały jej dwa palce. Obok przyglądał się temu oniemiały mężczyzna o wielkich dłoniach. Didi zaczął krzyczeć. Malika zakryła mu usta dłonią.

– Nie – powiedziała Anusza.

Malika milczała. Zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na tych, którzy widzieli jej upokorzenie. Stała nago przed obcymi mężczyznami w mundurach obok kilku nagich romskich chłopców. Może oni też się wstydzieli. Nie wiedziała tego, bo kiedy zdjęła sukienkę, zamknęła oczy. Didi mocno trzymał ją za rękę, czuła jego nagie ciało na swoim biodrze. Drżał.

– Rozbieraj się! – wrzasnął ktoś po romsku.

– Nie – powiedziała Anusza.

To było do niej niepodobne. Zwykle stosowała się do wydawanych poleceń, zwłaszcza wtedy, kiedy się bała. A bała się od dnia, kiedy zabrało ich kripo. Była przerażona. Przy zapisie do sierocińca miała szare wargi, nie uśmiechała się i nie potrafiła z siebie wydobyć ani jednego słowa. Gdyby nie Malika, na pewno by za to oberwała. Malika szybko się połapała, co i jak, odgarnęła włosy z twarzy i założyła za uszy, popatrzyła zakonnicom w oczy, dygnęła i odpowiedziała na wszystkie ich pytania. Tak, Didi jest jej młodszym bratem. Tak, Anusza jest jej kuzynką. Była chora w zeszłym tygodniu, dlatego jest taka blada i nic nie mówi...

Anusza nie była mischlingiem. Oboje rodzice byli Romami. Z krwi i kości.

Może dlatego nie chciała się rozebrać. Bo nauczyli ją, czym jest rromskie poczucie przyzwoitości. Żaden prawdziwy Rom, kobieta czy mężczyzna, dziewczyna czy chłopiec, nigdy nikomu nie może pokazać się nago. Tymczasem znaleźli się w czymś w rodzaju łaźni tak jak ich Pan Bóg stworzył. Wszyscy oprócz Anuszy. Ona jedna się sprzeciwiła.

Klaps. Stłumiony krzyk. Krzyk Anuszy. Może uderzył ją ten zdrajca, rromski kapo. Malika zacisnęła oczy, ale mimo to widziała Anuszę. Widziała jej długie czarne włosy, które zawsze opadały na twarz, przydając jej nieco dzikości. Widziała białe zęby, te, które wyszły po mlecznych, trochę nierówne i wyszczerbione. Widziała obgryzione paznokcie i chude ramiona, i jej bose stopy latem. I nagle sobie przypomniała, jak fajnie było siedzieć obok niej, rozmawiać i jednocześnie wydłubywać brud spomiędzy palców u nóg...

– Rozbieraj się!

– Nie – powiedziała Anusza płaczącym głosem.

Anusza znów odmówiła, a Malika nic nie mogła dla niej zrobić. Dla swojej najlepszej przyjaciółki. Dla kuzynki. Nawet więcej, dla siostry.

I klaps. I głuchy dźwięk. I dwa wrzaski w niezrozumiałym języku.

– Nie! – krzyknęła Anusza. – Nie, nie, nie!

I strzał. Jego odgłos odbijał się echem od ścian, ogłuszył ich i obudził chęć protestu. Nagle wszystkie nagie dzieci przyłączyły się do krzyku Anuszy. Malika otworzyła oczy, przykucnęła, przytuliła Didiego i zobaczyła, że kilku chłopców próbuje uciec. Mężczyzna w jasnobrązowej koszuli uderzył jednego kolbą karabinu. I w tym momencie ktoś włączył natryski, spadły na nich lodowate strumienie. Woda mieszała się z krwią Anuszy. Leżała martwa na cementowej podłodze. Martwa, ale ubrana.

To naprawdę był inny świat.

A potem tatuaż. I rozpaczliwy krzyk Didiego: „To parzy, Malika, oni mnie parzą!”, i cios pięścią, który go uciszył, i zupa, która wyglądała jak pomyje, i szary chleb, i prycza z surowych desek, ich miejsce do spania, i jej nieufne spojrzenie na literę Z przed numerem na lewym przedramieniu. I płacz Didiego. I ciche łkanie Didiego. I jego kurczowe trzymanie jej za rękę.

Czterech mężczyzn wisiało na szubienicach przy obozowej ulicy. Dwóch z wywieszonymi językami.

Malika i Didi siedzieli w kucki przed barakiem, kiedy zobaczyli pierwsze dziecko z nomą. To był mały chudy chłopczyk bez spodni i bez butów, w zdecydowanie za dużej czarnej marynarce. Szedł, powłócząc nogami i podpierając się o ścianę baraku. Jeden policzek miał cały, na drugim była

duża rana o czarnych krawędziach i tak głęboka, że było widać zęby i dziąsła.

Malika zakryła Didiemu oczy. Przytulił się do niej.

Oślepla. Przynajmniej na jedno oko. Widziała tylko Didiego. Myślała tylko o Didim. Żyła tylko dla Didiego. Tylu rzeczy musiał się nauczyć. Nie widzieć. Nie mówić. Nigdy, przenigdy nie wybuchnąć płaczem.

Didi był. I Malika była, bo Didi był. Reszta świata była szarym nic.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie doktor Mengele. Prawie codziennie przychodził do baraku dziecięcego w obozie cygańskim, wyławiał spojrzeniem nowo przybyłych i mrucał z zadowolenia, widząc bliźnięta albo kogoś z jednym okiem brązowym, a drugim niebieskim. Takie dzieci znikwały niemal od razu. Czasami rozdawał cukierki. Czerwone cukierki. Didi oszalał z zachwytu i już pierwszego dnia puścił jej rękę i tłoczył się wokół niego z innymi maluchami. Doktor Mengele uśmiechał się. Niekiedy wyciągał rękę i głaskał któreś z dzieci po głowie. Miał bardzo długie białe palce.

Raz popatrzył na nią przez kilka sekund, odwrócił się do adiutanta i coś mu powiedział. Nazajutrz została wysłana do kopania rowów.

Szare światło dnia. Kopać rowy. Stać się widmem.

Obok przechodził transport za transportem. To byli Żydzi z całej Europy: z Polski, Grecji, Holandii, Niemiec, Belgii, Francji, Norwegii... Niektórzy rzucali lękliwe spojrzenia na widma stojące po kolana w glinie i lodowatej wodzie, ale widma nie odwzajemniały ich spojrzeń. Żydzi mijali ich i nikt ich już potem nie widział.

Co wieczór Didi czekał na nią przy bramie do obozu cygańskiego, kiedy wracała z brygadą do kopania rowów. Czasami owijał się w koc, który przytrzymał obiema rękami pod szyją. Zaledwie po tygodniu jego twarz się zmieniła. Miał czarne cienie pod oczami, broda mu się wyostrzyła, uwydatnił się nos. Albo urósł, albo cała twarz się skurczyła.

Szedł za brygadą na plac apelowy, siadał w kucki tuż obok i tak siedział przez cały apel. Któregoś dnia dostał biegunki głodowej. Jakieś dziecko krzyknęło coś uwłaczającego, Malika spięła się, gotowa do ataku, gotowa go bronić za wszelką cenę, ale na szczęście nie doszło do bójki. Didi dalej siedział w kucki, biegunka nie ustępowała, broda mu opadła i miał apatyczne spojrzenie.

Tego wieczoru po raz pierwszy się skrzywił, kiedy Malika dała mu zupę. Powiedział, że go boli. W buzi.

Jego kolana wydawały się rosnąć. Oczy też. I, co dziwne, brzuch. Ale brzuch był po prostu opuchnięty. Co wieczór wmuszała w niego zupę, mimo

bólu, i karmiła kawałeczek po kawałeczku szarym chlebem, który moczyła w swojej zupie. Zamykał oczy, jęczał, ale otwierał usta. Czasami coś mówił.

– Doktor patrzył na mnie dzisiaj – powiedział któregoś dnia, opierając głowę na jej brzuchu.

Malika wyprostowała się.

– Mengele? Patrzył na ciebie? Dlaczego?

Didi milczał przez chwilę, potem wziął oddech i powiedział:

– Patrzył mi do buzi...

Malika odsunęła go od siebie, żeby spojrzeć mu w oczy. Niestety, wciąż miał zamknięte.

– Dlaczego patrzył ci do buzi?

Didi przytulił się do niej.

– Nie wiem. Patrzył.

– Dostałeś cukierka? – spytała drżącym głosem.

– Nie. Dzisiaj nie było cukierka...

Któregoś dnia Didi nie czekał przy bramie, kiedy wróciła z brygadą, i nie było go widać podczas apelu. Przez dwie godziny stała bez ruchu na lutowym mrozie i wypatrywała go, podczas gdy oficer SS bardzo wolno wybierał mężczyzn, którzy mieli zostać powieszani. Dlaczego mieli zostać powieszani? Głupie pytanie. Nie chciała sobie tym zaprzętać głowy. Niemcy wieszali ludzi, i tyle. Miała inne zmartwienie.

Didi. Gdzie on się podział?

Nie było go w baraku dziecięcym ani na tym dziwnym placu zabaw, który właśnie budowano. Karuzela była pusta i nieruchoma, pokryta cienką warstwą śniegu w czarne cętki. Do najbliższego baraku dla dorosłych jej nie wpuścili, ale udało jej się wejść do kilku innych, przepychała się w przejściu między pryczami i wołała Didiego: „Didi! Didi! Gdzie jesteś?”.

Nie usłyszała odpowiedzi, bo go tam nie było.

Zupa jej wystygła, kiedy go wreszcie znalazła. Leżał sam na pryczy w baraku 22, odwrócony plecami do całego świata i patrzył na drewnianą ścianę. Malika omal nie rozplakała się z ulgi, pogłaskała go po plecach i weszła na pryczę.

– Zupa – szepnęła. – Zachowałam dla ciebie połowę...

Dawniej od razu by się odwrócił i złapał za kubek, ale nie teraz. Teraz

tylko się skrzywił i chrząknął.

Malika pogłaskała go po włosach.

– No, staruszk. Musisz jeść. Zjedz zupę!

Didi znowu chrząknął. Malika odstawiła kubek, chwyciła go za ramiona i próbowała odwrócić do siebie. Nie udało się. Didi nie chciał się odwrócić, nie chciał na nią patrzeć, nic nie chciał.

– Zjedz zupę...

Potrząsnęła nim. Krzyknął. Przerazona, cofnęła ręce.

– Co ci jest?

– Boli – powiedział Didi, zamknął oczy i prawie od razu zapadł w sen.

Po paru dniach rana zaczęła być widoczna na zewnętrznej stronie policzka. Wprawdzie była dość mała i miała czerwone, zdrowe krawędzie, ale przerażała Malikę bardziej niż cokolwiek innego. Chciała coś zrobić, ale nie wiedziała co. Czy powinna to umyć? Jeśli tak, to czym? Woda z kranu na obozowej ulicy była brązowa i śmierdząca. Może rozpuścić śnieg? Ale śnieg w Birkenau był pełen czarnych cętek z krematorium... Czy można precedzić wodę?

Pielęgniarka w baraku 22 ofuknęła ją, kiedy się w końcu odważyła zapytać. Nie, przemywanie ran dzieciom z nomą jest kompletnie bez sensu. Kompletnie bez sensu. Poza tym doktor powiedział, żeby nic nie robić, to był mianowicie eksperyment i mniej więcej za tydzień doktor przystąpi do drugiego etapu tego eksperymentu, i wtedy dzieci z nomą, te, które przeżyły, przejdą proces leczenia, dzięki któremu może wyzdrowieją. To są badania medyczne. Ważne badania. Dlatego Malika powinna się uspokoić. Czy ona to rozumie?

Ale Malika nie mogła się uspokoić, była kłębkim nerwów, co wieczór krążyła po baraku 22, szukając czegoś, czegokolwiek, co pomogłoby Didemu. Któregoś dnia zobaczyła na dolnej pryczy, pod Didim, małą dziewczynkę. Była nieprzytomna i ścisnęła w dłoniach kawałek chleba.

Malika odczekała chwilę i ostrożnie się rozejrzała. Żadnego kapo w pobliżu. Pielęgniarka stała w głębi baraku, ale odwrócona plecami. Mengele i jego adiutanci byli gdzie indziej.

Malika wyłuskała chleb z rąk dziewczynki, włożyła go do kieszeni obozowej marynarki, znów odczekała w bezruchu kilka sekund, po czym weszła na pryczę Didiego.

– Chleb – szepnęła mu do ucha. – Popatrz! Zdobyłam więcej chleba...

Drgnęły mu powieki, ale nie zdołał otworzyć oczu. Kiedy próbowała go zmusić do ugryzienia małego kęsa, wykrzywił się z obrzydzeniem. Był poza głodem, tak zamorzony, że wszystko, czego chciał, to sen i utrata przytomności.

Malika blisko godzinę siedziała na jego pryczy, z chlebem na kolanach.

Potem sama go zjadła. Trzy kęsy czarnego chleba z trocinami. Trudno go było przełknąć.

Następny obraz spada na nią jak uderzenie w twarz. Nagle znów jest w baraku 22 w Auschwitz-Birkenau, nagle wspina się na pryczę Didiego, mimo że to zabronione. Już nie jest wystraszona. Nie boi się polskiej pielęgniarki, nie przejmuje się kapo, którzy czasami chodzą między pryczami i długimi kijami okładają matki i siostry, nie boi się nawet doktora Mengele. Niech no tylko przyjdzie! Zanim zdąży ją zabić, wydrapie mu oczy...

Bo znowu zrobił to samo. Znowu wpędził Didiego w chorobę. Przez kilka tygodni, prawie miesiąc, Didi i inne dzieci były na dobrej drodze do wyzdrowienia. Dostawały mleko na śniadanie, chleb z margaryną, owoce między posiłkami i trzy cienkie plasterki szynki tygodniowo. I to wystarczyło. Po kilku dniach rana z czarnymi krawędziami na prawym policzku Didiego zaczęła się goić. Jego oczy odzyskały blask. Pewnego dnia o własnych siłach usiadł na pryczy, następnego dnia sam zsunął się na podłogę, a trzeciego dnia niemal wybiegł Malice naprzeciw, kiedy do niego przyszła. Któregoś wieczoru nawet wyszli z baraku i byli świadkami zwycięstwa Romów nad SS.

A teraz...

Doktor Mengele doprowadził wszystkie dzieci z nomą do niemal pełnego wyzdrowienia, po czym przystąpił do trzeciego etapu eksperymentu. Mleko zniknęło. Margaryna, owoce i szynka też. Został chleb z trocinami i pół litra obozowej zupy pomyjowej dziennie. I czasami cukierek.

Tydzień później Didi znów leżał na pryczy i nie miał siły się podnieść, a po kolejnych czterech dniach jego twarz znowu zaczęła się rozkładać. Najpierw wróciła rana na prawym policzku, potem zaczął topnieć lewy policzek. Wczoraj Malika zobaczyła po obu stronach odsłonięte zęby, teraz zamyka oczy i głęboko wciąga powietrze, przygotowując się na to, co zobaczy dzisiaj.

Nos. Rana poszerzyła się, na tle czarnej krawędzi i czerwonych dziąseł wyraźnie odcina się biała chrząstka...

Malika kładzie mu rękę na piersi. Oddycha. Ale bardzo szybko.

– Didi – szepce. – Jestem przy tobie...

Didi cicho pojękuje, otwiera oczy do połowy, zamyka je i przestaje oddychać.

Camilla rozciera nadgarstek i próbuje dojść do siebie.

To nie takie proste. Przed nią stoi babcia, dobrze jej znana obca osoba, Cyganka przebrana za elegancką szwedzką staruszkę, a ona siedzi na ławce i stara się na nią nie patrzeć. Dlaczego czuje się winna, skoro to nie ona kłamała? Czy jest jakiś sensowny powód, dla którego Miriam może sobie pozwalać na takie zachowanie? Żeby tak mocno ścisnąć ją za nadgarstek?!

Sekundę później ogarnia ją wstyd. Boże, co się z nią dzieje? Jak to możliwe, że ona, Camilla Adolfsson, młoda matka, zdolna dziewczyna, sumienna studentka medycyny, szczupła, zdrowa i na ogół sprawiedliwa nagle ma odłamek lustra w oku? Skąd u niej ta wrogość do obcych? To przecież nikt inny, tylko ona wymusiła na Miriam powrót do mrocznej przeszłości, do okropnych wspomnień, i przyznanie się do kłamstwa... I wszystko, co Miriam zrobiła w swojej obronie, to chwyciła ją za nadgarstek. Mocno. Bardzo mocno. Tak mocno, że wciąż ją boli.

Miriam chwieje się. Czy znów zemdleje?

Camilla wstaje z ławki i obejmuje ją.

– Usiądź. Ja naprawdę nie chciałam...

Miriam czuje się nagle bardzo krucha. Jakby jej ciało było tylko cienką skorupką, jakby w każdej chwili mogła popękać i się rozpaść. W Camilli natychmiast wzbiera ogromne współczucie. Biedna babcia! Przez blisko siedemdziesiąt lat była sama ze swoimi wspomnieniami i tajemnicami, którymi z nikim nie mogła się podzielić. Jakież to musiało być trudne! Miriam opiera głowę na ramieniu Camilli, pociąga nosem, prostuje plecy i siada na ławce. Otwiera torebkę, wyjmuje chusteczki higieniczne, hałaśliwie wyciera nos i szybko przesuwa chusteczką pod oczami.

– Jak się czujesz? – cicho pyta Camilla.

Miriam głęboko wciąga powietrze, próbuje odnaleźć swój głos.

– Nic mi nie jest...

– Masz zawroty głowy?

Miriam lekko się wykrzywia, być może w uśmiechu.

– Nie. Drugi raz nie zemdleję.

– Na pewno?

Miriam poklepuje ją po dłoni.

– Na pewno, na pewno.

W tym momencie dzwoni komórka. Camilla wyjmuje ją, patrzy na ekran i odrzuca rozmowę. Siada blisko Miriam, bierze ją za rękę i znowu zapada między nimi cisza.

Wokół pyszni się lato, połyskują wierzbowe listki, żółte róże na klombie zwracają ku słońcu na wpół rozwinięte pąki i powoli się otwierają, a nad nimi rusza w taniec szczęśliwy trzmiel. Chrząści żwir, alejką idzie mama z wózkiem, uśmiecha się, nie patrzy ani na Miriam, ani na Camillę, nie odrywa wzroku od dziecka. Zakochane, odurzone spojrzenie.

– Ja nigdy nie miałam własnego dziecka – mówi Miriam, patrząc za młodą matką.

Camilla przenosi ciężar ciała z jednego poślądka na drugi, nie bardzo wie, czy powinna, ale w końcu zadaje to pytanie:

– A chciałaś?

Miriam mruga oczami.

– Nie. Nie chciałam. Nie po Didim. Olof też nie chciał.

– Dlaczego?

Miriam wzrusza ramionami.

– Bał się, że to się powtórzy. Po śmierci Marianne kompletnie się załamał. Minęło wiele lat, zanim doszedł do siebie. – Stawia torebkę na kolanach i trzyma ją przed sobą jak tarczę. – Poza tym był Thomas. Bardzo się starałam, żeby niczego mu nie brakowało. W pierwszych latach jego życia Olof nie okazywał mi zbyt wiele...

Przysuwa torebkę bliżej ciała i milknie.

Camilla kiwa głową.

– Nie okazywał mi zbyt wiele zainteresowania?

Miriam przytakuje. Można to tak ująć. Nie okazywał mi zbyt wiele zainteresowania.

Łatwo było kochać Thomasa. Jego krągłe ramionka. Jego różowe policzki. Jego jasne niebieskie spojrzenie.

Kiedy był malutki, zdarzało się, że miała dość czasu, żeby po południu położyć się z Thomasem na ramieniu. Patrzyli sobie głęboko w oczy i opowiadali bez słów o swoich smutkach. O męce narodzin, oślepiającym światłem, kuleniu się w obronie przed zimnym powietrzem, o nagłej nieobecności jasnego głosu, który się słyszało całą wieczność i który pewnego dnia umilkł, o braku bezpiecznych, kojących uderzeń serca

i o rozdzierającym uszy krzyku, może jego krzyku, turkocie i wrzasku, i ostrych głosach obcych kobiet. O bólu, o tym, że śmierć jest nieuniknioną i nieuchronną częścią życia, że ludzie są niegodni zaufania i groźni, że wszyscy mogą być i sprawcami, i ofiarami. Dotykali się czołami, oddychali nawzajem swoim oddechem i pomału zapadali w krzepiącą drzemkę. Mieli przecież siebie. Wszystko inne nie tylko mogło runąć, wszystko w końcu runie i szczytnie, ale do tego czasu będą mieli siebie. Oboje to wiedzieli. Matka, która nie była jego matką, i syn, który nie był jej synem.

Miriam otwiera torebkę, wyjmuje chusteczkę i szybko wyciera nos. Kiedy zamyka torebkę, znów dzwoni komórka Camilli.

– Nie odbierzesz? – pyta. – To może być coś ważnego.

Camilla obrzuca ją spojrzeniem, lekko się unosi, wyciąga telefon z tylnej kieszeni džinsów, waha się, przeczekuje jeszcze jeden sygnał, w końcu naciska guzik i odbiera.

– Słucham – mówi nagle zmienionym, prawie matowym głosem. – Tak. Camilla.

Wstaje z ławki i odchodzi, ale niedaleko, tak, żeby Miriam mogła ją słyszeć.

– Nie. – Camilla garbi się i unosi ramiona, jej łopatki sterczą pod topem jak skrzydełka. – Nie. Nic się nie stało.

Milknie i słucha. Osoba po drugiej stronie jest wymowna.

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale ma osiemdziesiąt pięć lat. Obejście jeziora zajmuje trochę czasu.

Znów cisza. Camilla patrzy na zegarek.

– To dopiero za dwie godziny i...

Ten ktoś jej przerwa, ale nie na długo.

– Tak, tak. Jest, jak jest. Przyjdziemy, kiedy przyjdziemy, i to...

Milknie, wciąga powietrze, okręca się, staje twarzą do Miriam, ale na nią nie patrzy, wzrusza ramionami, wygląda na zirytowaną.

– Bardzo możliwe – mówi. – Ale nie ma pośpiechu... Zdążymy.

Najwyraźniej rozmawia z Katariną, jak zwykle pełną niepokoju.

– Nie. Nie można tu przyjechać samochodem... Oczywiście, że nie. Jesteśmy w parku. Odpoczywamy.

Chwila ciszy.

– Powiedziałam „nie”. – Camilla marszczy czoło i syczy: – Nie słyszałaś?!

Przyjdziemy, kiedy przyjdziemy. Cześć!

Wykrzywia się i siada obok Miriam.

– Mamusia – mówi oschle. – Niedługo będzie nas poszukiwała przez radio.

Miriam lekko się uśmiecha i nie spieszy się z odpowiedzią. Katarina to zawsze był dla niej i Camilli temat tabu, do którego ostrożnie się zbliżały i od razu od niego odbiegały.

W końcu musi jednak coś powiedzieć.

– Aha. Za długo jesteśmy poza domem?

– Yes. Do lunchu zostały tylko dwie godziny i jej zdaniem nie zdążymy do tego czasu umyć młodych ziemniaków ani odszypułkować truskawek.

– Już odszypułkowałam truskawki. Wczoraj.

– Ale może zrobiłaś to niestarannie? Może trzeba to poprawić, żeby były perfekcyjnie odszypułkowane?

Miriam nie może powstrzymać uśmiechu.

– Nie zdziwiłabym się...

Camilla wykrzywia się.

– Ja też.

Podnoszą się z ławki i ruszają dalej.

– No więc... – odzywa się po chwili Camilla. – No więc ja naprawdę nie chcę mówić o niej źle...

– Wiem – przerywa jej Miriam. – Nigdy nie mówiłaś o niej źle.

– Oj, mówiłam, mówiłam, tylko nie tobie... Ale ponieważ ty zdradziłaś mi swoje tajemnice, to może ja zdradzę ci kilka moich...

Miriam kiwa głową.

– Problem polega na tym, że ja już przekroczyłam ten wiek, kiedy można nie lubić swoich rodziców – kontynuuje Camilla. – Ludzie w moim wieku powinni patrzeć na matkę i ojca z pewną wyrozumiałością. Powinni potakiwać, uśmiechać się, pozwalać im być sobą...

Zatrzymuje się w pół kroku i odwraca do Miriam. Wygląda dużo młodziej, bardzo młodo i jest zasmucona.

– Chodzi o to, że ja naprawdę jej nie lubię. To straszne, ale tak jest. Nie lubię swojej mamy. Chciałabym... – Camilla ma rozbiegane oczy, szuka słów.

– Chciałabym ją lubić. Tak w miarę normalnie. Czasem mi się to udaje, ale

tylko wtedy, kiedy jestem u siebie, a ona tutaj, w Nässjö. Wtedy prawie ją lubię. Wtedy mogę myśleć o tym, jak dobrze gotuje. Na przykład o jej gołąbkach. I o jej głosie, bo ma piękny głos...

Miriam kiwa głową i trochę ucieka spojrzeniem. To prawda. Katarina śpiewa tak dobrze, że została solistką w chórze kościelnym, ale z tego powodu wcale nie jest łatwiej ją polubić. Oczywiście nigdy tego nie powie Camilli. Nie ma prawa niczego jej mówić, nawet żeby ją pocieszyć, może tylko delikatnie pogłaskać ją po policzku. I głaszcze.

Camilla natychmiast chwyta jej dłoń i patrzy na nią błyszczącymi oczami.

– Ona mnie przeraża – mówi bez tchu. – To straszne, ale tak jest. Moja mama mnie przeraża!

– No tak – mówi Miriam, jej myśli szybują ku Ravensbrück i Sylvianne, ale nawykowo je odrzuca. – No tak, no tak!

Camilli to nie uspokaja.

– Przeraża mnie, bo jest fałszywa. Nigdy w życiu nie powie prawdy, wszystko, co mówi i robi, ma jakieś ukryte znaczenia. „Tak się niepokoję o Sixtena...” Bez przerwy to powtarza. Niepokoi się, że Sixten nabawi się alergii, że jest za chudy, że za często się przewracał, kiedy uczył się chodzić, że zdecydowanie za długo zostaje w przedszkolu... Niepokoi się o wszystko, ale tak naprawdę chodzi jej o to, że ja się nie nadaję na matkę, że jestem złą mamą...

Miriam pochrząkuje. To znaczy, że się z nią zgadza, zachowując przy tym daleko idącą ostrożność.

– Najgorsze, że nie mogę się jej sprzeciwić. Wtedy robi się nie do zniesienia. Raz jej się odszczeknęłam... To było wtedy, kiedy bardzo się niepokoiła, że Sixten nabawi się alergii. Powiedziałam, że kompletnie nic na to nie wskazuje, nic a nic, a ona tak się wściekła, że nie odzywała się do mnie przez trzy dni! Całe trzy dni! I przez całe trzy dni nawet nie spojrzała na Sixtena. Biedaczek był całkowicie zdezorientowany. A czwartego dnia znowu było tui-tui-tui i znów był babcinym słoneczkiem...

Miriam ściska jej ramię i milczy.

Camilla nie może przestać mówić, teraz jej głos drży:

– No więc czasami śmiertelnie się jej boję, co się objawia w dość idiotyczny sposób. Wiem, że nie mogłaby mi nic zrobić, że przecież mnie nie uderzy ani nic z tych rzeczy, nie dosypie mi do jedzenia trucizny ani tłuczonego szkła, a mimo to kiedy się jej sprzeciwiam, jestem totalnie sparaliżowana...

Miriam jeszcze raz ściska jej ramię.

– Tak jak teraz?

Camilla kiwa głową.

– Boisz się, co zrobi, bo byłaś dla niej niemiła, rozmawiając z nią przez telefon?

– Tak. To znaczy, ja wiem...

Miriam przerywa jej.

– Myślisz, że mogłaby skrzywdzić Sixtena?

Camilla pociąga nosem.

– Nie, chyba tak nie myślę. Nie. Ona próbuje go zdobyć. Dlatego daje mu po kryjomu słodycze. Podejrzewam, że kiedy Max przyjedzie po niego w przyszłym tygodniu, rozegra się dramatyczna scena rozstania... Ona chce, żeby Sixten płakał i rozpaczał za nią, nie za mną, żeby do wszystkich dotarło, jaką ma podłą matkę. Zwłaszcza do Maksa.

Miriam wzdycha.

– Tak. To możliwe...

Camilla zatrzymuje się w pół kroku.

– Boże! Boże, jak wspaniale!

Miriam marszczy czoło.

– Co takiego?

– Że się ze mną zgadzasz. Że ty też widzisz, jaka ona jest.

– Moja droga, mieszkam z nią pod jednym dachem od śmierci Olofa. To oczywiste, że wiem, jaka ona jest.

Camilla odwraca się do niej.

– Ale nigdy nic nie mówiłaś. Dlaczego nigdy nic nie mówiłaś?

Miriam lekko wzrusza ramionami.

– Co by to dało? Byłoby jeszcze gorzej. Wystarczy to, co jest. Ona mnie nie lubi. A ja się uśmiecham i jestem miła, ale nie mam z nią częstych kontaktów. I niech tak zostanie. – Miriam natychmiast się wzdryga. – Nie możesz jej nic powiedzieć! Ani słowa o tym, kim jestem. Ani słowa!

Miriam widzi, że Camilla blednie, wyobrażając sobie reakcję matki.

– Oczywiście – mówi. – Oczywiście. Obiecuję.

– Ale kiedy umrę, możesz powiedzieć Thomasowi... Jeśli uznasz, że to zniesie.

Camilla kiwa głową.

– Przemyślę to. – Milknie na moment, po czym odwraca się do Miriam. – Nie chcę, żebyś umarła.

Miriam uśmiecha się przelotnie.

– Ja też nie chcę. Ale jest, jak jest.

Camilla nagle zaczyna iść szybko i Miriam stara się za nią nadążyć. Po chwili przystaje i łapie oddech.

– Czy mogłybyśmy trochę zwolnić?

Camilla zwalnia kroku.

– Oj, przepraszam! Nie pomyślałam. Chcesz usiąść?

Miriam kręci głową.

– Nie, nic mi nie jest. Po prostu nie mam już siły tak szybko chodzić.

– Okej. Pójdziemy wolniej.

Zbliżają się do placu zabaw. Na huśtawce siedzi rudowłosa dziewczynka i przypatruje się chłopcom, którzy wspinają się na zjeżdżalnię. Siedzi z jedną stopą na ziemi i bacznie śledzi ich spojrzeniem. Nigdzie nie widać dorosłych. Miriam przelatuje przez głowę, że dla tej dziewczynki to może być dość przyjemne, że może odpocząć od przesadnej uwagi, jaką w dzisiejszych czasach dorośli poświęcają dzieciom.

– Pamiętasz swoją mamę? – pyta Camilla.

Miriam odwraca się do niej. Pojawia się wspomnienie i błyskawicznie znika.

– Nie. Właściwie nie. Umarła, kiedy byłam mała.

– To smutne.

Miriam lekko wzrusza ramionami.

– Tak, ale ja jej nie pamiętam. Tatę pamiętam, ale mamy nie... W domu było jej zdjęcie i to pamiętam. Była piękna jak ogień. Bardzo piękna.

– Piękna jak ogień?

– Tak. Tata tak kiedyś powiedział i nigdy tego nie zapomniałam. „Twoja mama była piękna jak ogień”.

– Masz to zdjęcie?

Miriam obrzuca ją spojrzeniem. Co ona sobie myśli?

– Nie. Jakim cudem? Najpierw sierociniec, potem Auschwitz i... Nie mam, ale je zapamiętałam. Mama była w romskim ubraniu. Wyglądała bardzo stylowo.

Camilla uśmiecha się.

– No to się w nią wdałaś.

Miriam milczy, utkwiała wzrok gdzieś daleko, po kilku krokach nagle się zatrzymuje i mówi przytłumionym głosem:

– Ale potem miałam inną mamę.

Camilla unosi brwi.

– Stryjenkę... jak jej tam...?

– Hanę? Nie. Ona była dla mnie raczej jak ciocia. Dobra i miła, ale nigdy tak bliska. Nie. Mam na myśli Else.

– A kim ona była?

– Norweską więźniarką w Ravensbrück. Uratowała mi życie.

Camilla kładzie wolną rękę na dłoni Miriam.

– I ona została twoją mamą?

– Tak. Nigdy tego nie powiedziała, ale to się czuło.

– Wiedziała, że jesteś Romką?

Miriam znowu obrzuca Camillę spojrzeniem. Co ona sobie właściwie roi? Chociaż z drugiej strony może wcale nie jest taka naiwna, na jaką wygląda.

– Nie. Myślała, że jestem tą, za którą się podawałam. Miriam.

Uśmiecha się krzywo i milknie. Bo Else była mamą Miriam. Tylko Miriam. Romka Malika mogłaby zginąć i Else w ogóle by to nie obeszło.

Camilla ścisza głos.

– Czy ona też przyjechała do Szwecji białym autobusem?

Miriam spuszcza wzrok i lekko kopie żwir.

– Nie – mówi po chwili. – Nie przyjechała. Umarła tydzień wcześniej...

POCIĄG WIDMO

*O miasto, miasto cygańskie!
Któż cię znał i nie wspomina?
Z wieżyczkami z cynamonu
miasto cierpienia i pizma¹⁴.*

Federico Garcia Lorca

Czy to zmierzch, czy świt? Noc czy dzień?

Miriam oparła się lewą ręką o ścianę i próbowała wyprostować plecy. Z miernym skutkiem, zbyt ją bolało. W każdym razie była już poza blokiem karnym. Przed chwilą *Aufseherin* wypchnęła ją stamtąd i zatrzasnęła drzwi. Jest wolna. Uśmiechnęła się krzywo. Wolna. Dziękuję bardzo. Tak wolna, jak można to sobie wyobrazić w obozie koncentracyjnym Ravensbrück.

Ale coś się zmieniło. Całkowicie się zmieniło.

Może to z powodu śniegu. Padał dużymi białymi kłakami i wszystko odmienił. Pobielił gliniastą ulicę. Obsiadł dachy baraków jak pierzaste chmury. Czarne drzewa przeobraził w baśniowe rzeźby.

Nie. To nie śnieg wszystko odmienił, tylko światło. A raczej jego brak. Nad obozem wisiało szare ciężkie niebo. Reflektory nie omiatały murów i drutów. Przed barakami nie paliły się żółte lampy. Odwróciła głowę. Nawet w budynku komendantury było ciemno. Wszędzie było ciemno. I nikogo w zasięgu wzroku, ani jednego śladu stóp na ulicy, ani jednego śladu kół.

Może jej fantazja z Auschwitz stała się rzeczywistością? Może SS zostało unicestwione, a więźniarkom wyrosły skrzydła i odfrunęły. Może Else jest już w domu w Norwegii i je pyszny chleb, tłusty ser i solone masło, o których tak często mówiła. Może zapomniała o Miriam. Albo pomyślała, że poleciała do mamy i taty i...

Nie. Oczywiście, że nie. Ludziom nie wyrastają skrzydła tylko dlatego, że się ich dręczy. Gdyby tak było, blok karny od lat ziałby pustką. A tak nie było. Dzień i noc słyszała wołania, płacz i krzyki kobiet, więc na pewno tam były, mimo że nie widziała nikogo prócz Sylvianne i nadzorczyń. Czy w bloku karnym też było ciemno? Tak. Dopiero teraz o tym pomyślała. Na korytarzach nie paliły się lampy. Nadzorczyń, która po nią przyszła, miała w ręku latarkę. Z daleka usłyszała grzmot. To wszystko tłumaczyło. Bombowce. Amerykańskie albo angielskie. Może nie było prądu. Chyba że Niemcy uznali za stosowne akurat teraz zaciemnić całe Ravensbrück. Jeśli tak, to nie ma się nad czym zastanawiać.

Miriam włożyła ręce do kieszeni obozowej marynarki i delikatnie zaciskając dłonie na chlebie Sylvianne, pomału ruszyła naprzód. Chleb był jej prezentem dla Else, która dostanie go, gdy tylko Miriam znajdzie się w baraku 8. Ale najpierw musi tam dojść. Od razu poczuła ziąb. Przenikliwy ziąb. Sypki śnieg wpadał do drewniaków, mroził krew w kostkach, drętwiały jej palce. Mniejsza o to. Ważne, żeby się nie przewrócić, bo mogłaby się nie podnieść, a nie miała ochoty zamarznąć w zaspie na obozowej ulicy. Nie teraz. Koniec był już bliski. Else, przed okaleczeniem, powiedziała, że

Sowieci weszli już daleko w głąb Polski, a Miriam od dawna wiedziała, że Anglicy i Amerykanie zbliżają się z drugiej strony, że Francja jest wolna i że to tylko kwestia czasu... Teraz chodziło wyłącznie o to, żeby przeżyć.

Miriam zamierzała przeżyć. I Else jej pomoże.

Odkryła, że najłatwiej iść, nie podnosząc stóp, tylko sunąć nimi po śniegu, i dla utrzymania równowagi rozłożyć ręce na boki. Udało się. Po chwili przystanęła, obejrzała się za siebie, zobaczyła swoje ślady na śniegu i zamrugała z niedowierzania. Zostawia ślady! Wydawało jej się, że jest tak niepokazna, że w tym puchu nic nie będzie widać. Poczowała łaskotanie w żołądku. Ja istnieję, pomyślała. Mam na imię Miriam i istnieję... Sekundę później objęła się ramionami i sunąc, ruszyła przed siebie. Nie. Zaraz. Przecież ja nie jestem Miriam. Ta osoba, która nazywała się Miriam Goldberg, od dawna nie żyje.

W obozie panowała cisza. To znaczy, że był wieczór albo noc. Czyli więźniarki spały już w barakach. Wszystko tchnęło spokojem. Czy kiedykolwiek było wokół niej cicho? Lata temu. A, i oczywiście przez kilka godzin w bloku karnym, ale to nie była przyjemna cisza, to była cisza złowieszcza, zwiastująca śmierć Sylvianne. Ta cisza była zupełnie inna. Nagle zapragnęła, żeby trwała w nieskończoność. Szybko się jednak opamiętała. Nie. Nieskończona cisza byłaby tym samym co śmierć. A śmierci nie pragnęła. Absolutnie nie. Zamierzała przeżyć.

Mrugając powiekami, strąciła kilka płatków śniegu, które osiadły na rękach, i spojrzała w prawo. Tak. Tam był barak 8.

Uderzył ją gęsty odór. Zatrzymała się przy drzwiach, z drewniakami w ręku, i czuła, jak wypełnia wszystkie zakamarki jej czaszki. Mocz i wymiociny, i słodkawe opary krwi, i stęchły zapaszek biegunkowych stolców plus ta szczególna kwaskowatość, którą Niemcy nazywali żydowskim smrodem. Nigdy przedtem nie myślała o tym, jak tu cuchnie, ale wystarczyło kilka dni w wyszorowanym do czysta bloku karnym, żeby jej węch wyczulił się jak u panienki. Prychnęła na siebie z pogardą, ostrożnie przestąpiła przez siwowłosą staruszkę leżącą z otwartymi oczami najbliżej drzwi i wymamrotała „przepraszam” do leżącej tuż obok jasnowłosej dziewczyny w jej wieku. Kobiety. Wszędzie pełno kobiet. Siedziały oparte o ściany w małej sieni przed pokoikiem Armii Lunz, leżały na podłodze, częściowo pod pryzkami, i na lodowatym, wymurowanym z cegły przewodzie kominowym w sali sypialnej, kucąły, dygocąc z zimna, w umywalni. Nie było mowy, żeby któreś nie nadepnąć. Mimo to posuwała się naprzód, w coraz większą ciemność. Tam, gdzie były Norweżki. Tam, gdzie była Else. Stała na ramieniu, usłyszała krzyk, ale już nie przepraszała, teraz wszystko miała gdzieś, przechodziła po czyichś rękach i nogach, głucha na rzucane pod jej

adresem przekleństwa i złorzeczenia. Tak. To już gdzieś tutaj.

– Else! – zawołała stłumionym głosem. – Else! Gdzie jesteś?

Ale zamiast Else odpowiedziała jej Lykke.

Else miała bardzo wysoką gorączkę. Albo spała, albo była nieprzytomna.

– Nie wiemy, co robić – szepnęła zmartwiona Lykke. – Czy zabrać ją na oddział szpitalny, czy...

Miriam wciągnęła powietrze. Tylko nie szpital, tam nigdy nie było wiadomo, co im przyjdzie do głowy.

– Nie! Tam nie możemy jej zabrać.

Lykke pochyliła się nad Else. W ciemnościach nie udało się zobaczyć jej twarzy. Ale chyba ich nie słyszała.

– Powinna gdzieś być czeska pielęgniarka...

– Gdzie?

Lykke wzruszyła ramionami.

– Podobno w części przemysłowej¹⁵. Ale nie jestem pewna. Teraz i tak tam nie pójdziemy.

– Dlaczego?

– Jest przerwa w dostawie prądu. Nie zauważyłaś? Od kilku dni nie ma elektryczności. I po tym, co się stało, nie chodzimy do pracy...

Szybko przesunęła dłonią po głowie.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, rozpamiętując to, co wydarzyło się w szwalni przeszło tydzień temu. Może nadzorczyni rzeczywiście wyrwała Lykke wszystkie włosy. Może była całkiem łysa pod chustką. Miriam nie miała odwagi zapytać wprost, musiała to zrobić oględnie.

– Czym to się dla ciebie skończyło?

– Ta... – Lykke uciekła spojrzeniem, nie chciała mówić, co się stało z jej włosami. – Oczywiście oberwałam cięgi. Ale zważywszy na okoliczności, mogło być gorzej... A dla ciebie?

– Dwadzieścia pięć batów.

Lykke skrzywiła się.

– O cholera. Ale przeżyłaś.

Miriam zamknęła oczy.

– Tak. Sylvianne mi pomogła. Jak wróciłam do celi, polewała mi rany zimną wodą.

– Sylvianne?

Miriam wzruszyła ramionami.

– Współwięźniarka.

– Ona nie dostała batów?

– Nie. Wybrali ją do *Sonderbehandlung*. Jako pierwszą w Ravensbrück. Tak powiedziała nadzorczyńni.

Lykke zakryła usta dłońmi.

– Wielki Boże! Jesteś pewna?

Miriam zmarszczyła czoło.

– Tak, sama słyszałam...

– Nie wiesz, co to znaczy? Nie byłaś w Auschwitz?

Miriam pokiwała głową. Zrobiło jej się nieswojo. Dlaczego nie wie, co to jest *Sonderbehandlung*? Najwyraźniej powinna to wiedzieć.

Lykke chwyciła ją za ramię.

– To znaczy, że pójdzie do gazu! Zagazują ją! Tutaj!

Miriam poczuła wzbierającą falę mdłości. Naturalnie! Powinna była to zrozumieć. Nie chciała się jednak do tego przyznać, uwolniła ramię z uścisku Lykke i pokręciła głową.

– Nie! Tutaj nie ma komór gazowych...

Lykke chwyciła ją za nadgarstek.

– Przecież coś budują obok krematorium. Chyba widziałaś?! To na pewno komora gazowa. Ci idioci budują komorę gazową, mimo że przegrali wojnę! Kompletnie im odbiło!

– Puść mnie – powiedziała Miriam.

Lykke zamrugała oczami, ale nie puściła.

– Nikt nie może się dowiedzieć, że Else jest chora – szepnęła. – Rozumiesz? Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt!

Miriam wyrwała dłoń z jej uścisku.

– Przecież wiem. Nie jestem z tych, którzy cokolwiek mówią. Rozumiesz? Potem żałowała swojej ostrej reakcji. Nie było powodu złościć się na Lykke

tylko dlatego, że zrozumiała coś, czego ona nie rozumiała. Położyła się pod ścianą i pocieszała się myślą, że to najgorsze miejsce, najgorsze z najgorszych, a Lykke ma najlepsze, z brzegu. Na pryczy były tylko trzy i jeśli Miriam położyła się na boku, Else i Lykke mogły leżeć na plecach. Ściana była lodowata, ale w plecy grzało ją rozpalone ciało Else. Gdyby się od czasu do czasu przewracała na drugi bok, mogłaby sobie ogrzewać plecy i brzuch. Powinno się udać. Przekręciła się i dotknęła zimnymi dłońmi policzka Else. Else westchnęła. To dobry znak. Na pewno.

– Myślę, że ona śpi – szepnęła.

Lykke chrząknęła, ale się nie odezwała. Miriam wsunęła dłoń do kieszeni, wyjęła chleb i ostrożnie, wyciągając rękę nad chudym ciałem Else, położyła go Lykke na piersi.

Lykke przez kilka sekund nawet nie drgnęła, po czym chwyciła chleb obiema dłońmi.

– Chleb?

– Tak. Chleb Sylvianne.

– Zabrałaś jej chleb?

– Dostałam. Oddawała mi swoje jedzenie. Kilka dni temu przestała jeść i pić...

– Dlaczego?

Miriam nie odpowiedziała. Słowo *Sonderbehandlung* unosiło się w ciszy, żadna nie chciała go wymówić. Lykke leżała chwilę bez ruchu. Potem wgryzła się w chleb.

Miriam przysunęła się bliżej rozpalonej gorączką Else.

– W bloku karnym jest centralne ogrzewanie – szepnęła. – Kaloryfer był ciepły przez pół godziny dziennie.

– Wiem – odpowiedziała Lykke z pełnymi ustami. – Przecież też tam byłam.

Kiedy Miriam się obudziła, straciła poczucie czasu. Jest noc czy dzień? Niedziela czy dzień powszedni? Wszystko jej się pomieszało. Nagle w drzwiach stanęła Irma Lunz i coś krzyknęła, ale nie było jej słyhać i prawie wszystkie potraktowały ją jak powietrze, bo z zainteresowaniem przyglądały się bójce. Pulchniutka pani siedziała na jakiejś chudej pokrace, wymierzała jej policzki, podnosiła za uszy i uderzała jej głową o mur kominowy, wrzeszcząc coś o złodziejkach i o tym, co się powinno z takimi robić.

Bolały ją poranione plecy. Okropnie. Próbowwała odwrócić się plecami do zimnej ściany, bolało ją coraz bardziej, w połowie obrotu ból tak się nasilił, że aż zamknęła oczy. Kiedy znowu je otworzyła, zobaczyła, że Else nie śpi. Leżała i patrzyła w sufit. Skłęła się w duchu, że oddała chleb Lykke. Chleb Else! Przecież dla niej go zachowała.

– Hej Else – powiedziała przytłumionym głosem.

Else spojrzała na nią szaroniebieskimi oczami i kilka razy nimi zamrugała.

– Hej.

Tylko tyle. Tylko „hej”. Jakby Miriam była kimkolwiek, nikiem szczególnym, kimś bez znaczenia. To wprawiło ją w rozpacz, niemal w desperację. Chciała, żeby Else ją objęła, żeby poprosiła o pokazanie ran na plecach, o opowiedzenie wszystkiego o bloku karnym, o pokoju chłosty, o tym, jak przywiązano ją do drewnianego kozła, o bólu i krwi, o Sylvianne, która wybrała śmierć głodową, o nadzorczyniach i więźniarkach, o krzykach i psach, tymczasem Else przez chwilę popatrzyła jej w oczy i odwróciła wzrok. Miriam delikatnie dotknęła dłonią jej policzka. Chciała wzbudzić jej zainteresowanie, okazując swoje.

– Jak się czujesz?

Else uśmiechnęła się półgębkiem i cicho westchnęła. Opuchlizna górnej wargi zniknęła, został dość duży czarny strup. Miriam położyła dłoń na jej czole. Wciąż było bardzo ciepłe, ale może trochę mniej niż wczoraj.

– Będzie dobrze – powiedziała, usiłując naśladować dawną, pewną swego Else.

Else odwróciła głowę i spojrzała na nią chłodno, niemal szyderczo.

– Nie. Nie będzie dobrze.

A jednak w ciągu dnia jej stan się poprawił. Mogła zostać w baraku, nikt nie wywlekał jej na apel i nie karał. Całe szczęście, bo popsuta się pogoda. Wiał silny wiatr, śnieg, już nie puszysty, zacinał małymi ostrymi płatkami, co nawet kompletnie ubraną Irmę Lunz i nadzorczynie przyprawiało o krzywe miny.

W nocy umarła jedna z dziewcząt z sekcji przynoszącej jedzenie i Lykke zgłosiła się na ochotnika na jej miejsce. Buchnęła koc zmarłej, mimo wrzasków i protestów trzech kobiet, dzielących z nią pryczę, owinęła się nim i wróciła z kilkoma dodatkowymi porcjami chleba pod bluzką i – Boże w niebiesiech! – z kawałkiem kiełbasy, który zwędziła w kuchni, kiedy nikt nie patrzył. Else podciągnęła się do pozycji półsiedzącej, wypła ciepławy płyn zwany kawą, zjadła kilka kawałków chleba, z margaryną i bez,

i zażądała podzielenia kiełbasy na trzy części. Jedna dla Lykke, jedna dla Miriam i jedna dla niej. Potem okryła je wszystkie zdobycznym kocem i lekko się uśmiechnęła.

– Więc dzisiaj jest niedziela? – spytała, patrząc na Lykke.

Lykke pokręciła głową.

– Nie. Czwartek. I przerwa w dostawie prądu.

– Bardzo dobrze – powiedziała Else. – Będzie można trochę pospać.

Następnego dnia wszystko było po staremu. Znowu niosła się w powietrzu cicha, ale wyraźna, melodia drutów pod napięciem. Apel poranny odbył się w żółtym świetle lamp. A potem marsz do ostrego światła w szwalni.

Miriam zawahała się przy drzwiach, nie wiedziała, czy powinna podejść do swojego stałego miejsca. Else lekko pchnęła ją w plecy. Miriam zerknęła na nią przez ramię. Była bardzo blada, miała podkrążone oczy. Teraz uśmiechnęła się, odsłaniając czarną dziurę po zębie. Miriam skinęła głową, usiadła przy maszynie, wzięła czarny kawałek części munduru i równie czarny rękaw, przyłożyła je szwami do siebie i zaczęła szyć.

Znowu był dzień powszedni.

Po kilku godzinach mroczki zaczęły jej latać przed oczami. Wyprostowała plecy i rozejrzała się. Nic się nie zmieniło. Lykke garbiła się przy swojej maszynie w rzędzie naprzeciwko, kobieta przed nią miała na sobie ten sam szary sweter co w zeszłym tygodniu, a przy piecu rozmawiały nadzorcynie. Wzdłuż rzędów wolno przeszła kapo z czerwonym trójkątem. Napotkała spojrzenie Miriam, podniosła pałkę i opuściła ją. Miriam szybko wzięła ze sterty następny czarny kawałek i sięgnęła po rękaw...

W tym momencie rozległ się alarm lotniczy.

Wkrótce polubi alarmy lotnicze, tak jak inne kobiety pracujące w szwalni, ale teraz, kiedy go usłyszała po raz pierwszy, osłupiała i nie ruszyła się z miejsca. Wszystkie szwaczki nagle zniknęły. Dopiero po blisko trzydziestu sekundach dotarło do niej, gdzie się podziały. Ukryły się pod stołami obok maszyn do szycia. Miriam zrobiła to samo, uklękła i rozejrzała się. Kobieta w szarym swetrze leżała na plecach, z rękami pod głową, i uśmiechała się. Lykke leżała na brzuchu pół metra dalej. Może też się uśmiechała?

– Połóż się – szepnęła któraś tuż obok. – Jest alarm, możemy odpocząć.

I nastał czas paradoksów. Czas wolności i niewoli.

Prąd wyłączano coraz częściej, po kilku tygodniach był bardzo rzadko. Praca w szwalni ustała, wyrób futer przerwano, chodziły plotki, że produkcja w Siemensie też stanęła. Robotnicy leśni nie musieli już codziennie harować w mokrym śniegu, drogę do obozu, którą brukowali, przykryła śnieżna breja, zwiędły i uschły uprawy w szklarniach. W obozie tłoczyło się czterdzieści tysięcy kobiet, z których większość nie pracowała. Kilka wyjątkowo uprzywilejowanych więźniarek nadal co rano chodziło do obozowej kuchni i biura administracji, a kilka świadkiń Jehowy posłusznie udawało się do mieszkań esesmanów, gdzie sprzątały, gotowały, prały i prasowały. Ale pozostałe zaczęły się obijać. Odwiedzały się w barakach albo stały na obozowych ulicach i handlowały wszystkim, czym się dało. Żywnością, ubraniami, butami, igłami do szycia i grzebieniami, tym, co znalazły albo ukradły. Natychmiast powstały podziały klasowe. Te, które dostawały paczki z czekoladą i konserwami, stanowiły klasę wyższą, a niższą te, które nie miały przyjaciół ani rodziny i w poszukiwaniu czegokolwiek grzebały w stertach śmieci. Chore ustawiały się w kolejce przed barakiem czeskiej pielęgniarki, kilka odważnych zdecydowało się pójść na oddział szpitalny w nadziei na spotkanie lekarza, który też był więźniem, bo a nuż potraktuje je lepiej niż niemieccy lekarze. Te w miarę zdrowe liczyły na rychłe wyzwolenie i zaczęły snuć nieśmiałe plany powrotu do domu. Niektóre przerabiały stare szmaty na torby i plecaki, niektóre, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wykradały koce i płaszcze zmarłych z przepełnionych magazynów, inne utworzyły grupę badaczek Pisma Świętego, skupioną wokół wygłodzonej Holenderki, która twierdziła, że zna całą Biblię na pamięć, dzięki czemu potrafi doskonale odróżnić grzeszników od sprawiedliwych, a komunistki założyły kółka dyskusyjne i z absolutną pewnością siebie objaśniały jedyne słuszne myśli Marksa i Lenina, uważając wszystkich myślących inaczej za żałosnych trockistów, których natychmiast powinno się wyplenić.

Niemcy zaś uważali, że to innych powinno się dużo wcześniej wyplenić i że to oni są panami życia i śmierci. Jedzenie było coraz gorsze, racje coraz mniejsze. Półgłód stał się głodem, co odbiło się na ogólnym stanie zdrowia więźniarek. Nie było mowy o odwszawianiu i opróżnianiu latryn, skutkiem czego choroby przenosiły się z baraku do baraku, z jednej więźniarki na drugą. Świerzb. Gruźlica. Dyżenteria. Tyfus plamisty.

I jakby tego było mało, pewnego dnia przemaszerowały przez obóz uśmiechnięte esesmanki, intonując w ich mniemaniu radosną pieśń:

Więc wolny szlak brunatnym batalionom.

Więc wolny szlak przed tym, co niesie grom!

Na hakenkreuz z nadzieją patrzą już miliony

I dzień wolności wstaje nad nasz dom¹⁶!

– Idiotki! – prychnęła Else.

Poprawiła chustkę, ściągnęła ją na czoło, wsunęła włosy na karku i szturchnęła Miriam łokciem. Stały przed barakiem, rozkoszując się pierwszym wiosennym słońcem.

– Słyszałaś, że w baraku 11 są nożyczki?

Miriam pokręciła głową. Nie, nie słyszała.

– Tak. Podobno mają nożyczki. Ostrzyżesz mnie, jeśli je pożyczę?

– Jasne. A ile to kosztuje?

Else wzruszyła ramionami, to się załatwi, odeszła na bok i kiwnęła głową w prawo. Weszły w przesmyk między barakami.

Else kucnęła, zdjęła chustkę, zmarszczyła czoło i popatrzyła na Miriam.

– No i jak?

Miriam przełknęła ślinę. Źle. Else posiwała. Jasne włosy przetykały srebrne pasemka. Spojrzała przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie widzi.

– Ostrzyżę cię, obiecuję, ale, proszę, włóż chustkę.

Nagle siwizna stała się niebezpieczna. Pewnego ranka doszło do rękoczynów przed piecem w baraku. Dwie kobiety próbowały zdobyć resztki starego popiołu, żeby ufarbować sobie włosy. Biły się na śmierć i życie. W końcu jedna usiadła na drugiej, pośliniła palce, włożyła do pieca, wyjęła je czarne od sadzy i zaczęła ją wsmarowywać we włosy. Nie wyszło to najlepiej. Kiedy skończyła, spod chustki wciąż wystawało kilka siwych kosmyków. Przed apelem Irma Lunz wyszczerzyła się do niej szyderczo i na apelu wskazała ją nadzorczyńni. Kobieta została wyciągnięta z szeregu i ustawiona z lewej strony. Wkrótce dołączyły do niej inne: ta, z którą się biła, młoda dziewczyna, która zakasłała o jeden raz za dużo, pani w średnim wieku, której wygląd irytował Irmę Lunz, i kilka skrajnie wychudzonych Żydówek o zapadniętych oczach.

Irma Lunz z krzywym uśmiechem poinformowała, że pojedą do Mittweidy, do obozu dla ludzi starych i chorych, gdzie będą miały bardzo dobrą opiekę. Jedzenie, odpoczynek i prawdziwą opiekę lekarską. Czy to nie wspaniałe?

– Uckermark – jęknęła siwowłosa kobieta i wszystkie więźniarki przeszły dreszcz.

Że też miała czelność! Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że Irma Lunz jest śmiertelnie niebezpieczna, kiedy podważy się jej prawdomówność? I że napomknięcie o Uckermark było równoznaczne z tym, że wszystkie wiedziały, że transporty do Mittweidy nigdy nie dotarły do Mittweidy, tylko zaledwie kilka kilometrów stąd, że starych i chorych zamykano w byłym obozie młodzieżowym Uckermark¹⁷, gdzie warunki były jeszcze gorsze niż w Ravensbrück. Irma Lunz zareagowała zgodnie z przewidywaniami. Okręciła się, z całych sił uderzyła siwowłosą kobietę kijem i pochyliła się nad nią, kiedy ta upadła i czołgała się w śnieżnej brei.

Aufseherin stała obok z lekkim uśmiechem.

– Aha, więc chcesz zostać w Ravensbrück? – odezwała się zwykłym tonem rozmowy. – Proszę bardzo. Oczywiście. Wszystkie możecie zostać. Absolutnie. Chodźcie za mną.

I ruszyła z wybranymi kobietami w kierunku krematorium.

Teraz z komina krematorium buchały wysokie płomienie tak jak w Auschwitz. Dzień w dzień. Miriam nie miała odwagi na nie patrzeć, nie miała odwagi mówić o tym, co wiedziała, nie miała nawet odwagi myśleć o komorze gazowej. Lykke też nic nie mówiła i świdrowała Miriam wzrokiem, jakby się bała, że ujawni prawdę. Została w grupie przynoszących jedzenie i pilnowała tego swojego przywileju jak jastrzęb. To była ciężka praca, ale się opłacało. Prawie codziennie mogła zwędzić coś ekstra. Jednego ziemniaka albo jedną marchewkę, parę kawałków chleba albo dodatkową łyżeczkę margaryny. Poza tym dbała, żeby Else i Miriam dostawały zupę z dna kotła. Tam było najwięcej warzyw.

Miriam prawie nie wychodziła z baraku, całymi dniami leżała obok Else i próbowała się przy niej ogrzać. Z powodzeniem, jeśli Else miała wysoką gorączkę, a miała ją niestety dość często. Zaczęła tracić siły, jej łydki były cienkie jak patyki, kolana i łokcie wystające i kościste, zmarszczki na twarzy zastąpiły głębokie bruzdy. Nożyczek nie udało się pożyczyć, siwe włosy Else były coraz dłuższe i coraz trudniej było je ukryć. Poza tym opuszczanie baraku stało się niebezpieczne, bo na obozowych ulicach coraz częściej urządzano łapanki. Nagle pojawiała się cała zgraja esesmanów, otaczali pierwsze lepsze więźniarki i żadna z nich, zwłaszcza jeśli nosiła żółtą gwiazdę, nie miała najmniejszych szans. Czekał je natychmiastowy transport do Mittweidy. Czyli naprzód marsz, kierunek krematorium.

Else była coraz cichsza, trawiła ją gorączka i godzinami wpatrywała się w sufit, z rzadka odwracając głowę w stronę Miriam. Czasami się uśmiechała i wtedy wyglądała niemal tak samo jak dawniej.

– Już niedługo – powiedziała któregoś dnia. – Niedługo będzie po

wszystkim...

Miriam usiłowała odwzajemnić uśmiech.

– Tak. Już niedługo. Niedługo wrócisz do domu.

– Ty też.

Miriam nie potrafiła powstrzymać grymasu.

– Ja nie mam domu, do którego mogłabym wrócić...

Else zamknęła oczy i głęboko westchnęła.

– Tak, może i nie. – Leżała bez ruchu, przez dłuższą chwilę nie otwierając oczu, po czym nagle wzięła głęboki oddech. – Nigdy mi nie powiedziałaś...

Miriam przygryzła dolną wargę. Domyślała się dalszego ciągu, ale nie zamierzała jej w tym pomagać.

Else kilka razy przełknęła ślinę.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, jak to możliwe, żebyś ty, Żydówka, trafiła do chrześcijańskiego sierocińca...

Kłębowisko myśli. Jak z tego wybrnąć? Jak obronić swoje kłamstwa? Jak przeżyje, jeśli Else ją odrzuci?

Odchrząknęła.

– Ja...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo nagle któraś krzyknęła:

– Chodźcie popatrzeć! Chodźcie! Chodźcie! Chodźcie!

Dołączyła do niej druga:

– Dziewczyny, pokój! Pokój! To musi być pokój!

I trzecia, łamiącym się głosem:

– Hitler nie żyje! Na pewno! Na pewno nie żyje!

Ale Hitler jeszcze żył i jeszcze nie było pokoju, co obie rozumiały, Miriam i Else, kiedy podpierając się wzajemnie, wyszły na obozową ulicę. Dookoła panował totalny chaos. Wydzierający się esesmani usiłowali wepchnąć więźniarki do baraków, nadzorzynie dmuchały w gwizdki i rozdawały razy pejciami i pałkami, Irma Lunz wymachiwała na oślep swoim kijem.

A jednak działo się coś wspaniałego. Obozową ulicą, powoli i dostojnie, sunęły białe autobusy z dużymi czerwonymi krzyżami. Zatrzymały się przed magazynem, z szoferek wyskoczyli umundurowani kierowcy i natychmiast zaczęli wyładowywać paczki. Paczki Czerwonego Krzyża. Tysiące paczek.

Więźniarki wydały okrzyk radości, tak czysty i jasny, że aż lśnił, wzbijając się w niebo. Może wszystkie dostaną paczki?! Może Czerwony Krzyż przejmie obóz?!

Nie, oczywiście, że nie. Po rozładowaniu białe autobusy powoli odjechały, esesmani rozstawili się, żeby pilnować paczek, i po godzinie radość zgasła. Czy dostaną jakieś paczki, czy wszystko zarekwiruje SS? Opuściły ramiona, któraś splunęła z pogardą na obozową ulicę, inna skrzywiła się z goryczą i wróciły do baraku. Oczywiście SS zamierzało wszystko zarekwirować.

A jednak nie.

Następnego dnia Miriam stała w kolejce prawie dwie godziny, zanim w końcu podeszła do stolika, za którym siedziała komisja paczkowa, naprędcie wyłoniona spośród więźniarek.

Zamrugła nerwowo i kilka razy odchrząknęła, zanim podała swoje imię i nazwisko.

– Miriam Goldberg.

Kobieta w chustce zawiązanej jak turban obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem, coś tam sprawdziła w jakimś rejestrze i postawiła krzyżyk przy jej nazwisku.

– Odłóż papierosy na tamtą kupkę – powiedziała. – Resztę możesz zatrzymać.

Ziemia zakołysała się pod jej stopami. Czy zdobędzie się na odwagę? Tak. Musi. Dla Else.

– Chciałabym odebrać paczkę dla Else Nielsen. Jest chora. Nie może chodzić.

Kobieta w turbanie uniosła brwi.

– Else Nielsen? Narodowość?

– Norweska.

Kobieta kartkowała rejestr, szukając nazwiska Else, znalazła, zatrzymała na nim palec i popatrzyła na Miriam.

– Aha. *Nacht und Nebel*... Tak, tak. Oczywiście. Jej papierosy też odłóż na tamtą kupkę. Są dla SS.

Miriam dygnęła.

– Dziękuję!

Kobieta lekko się uśmiechnęła i pochyliła nad rejestrem.

– Co jej jest?

Co jej jest?

– Nic jej nie jest.

Kobieta podniosła głowę.

– Jestem lekarzem. Powiedziałaś, że jest chora.

Miriam poczuła, jak palą ją policzki. Zaczerwieniła się.

– Ach, ma wysoką gorączkę. I wysypkę. I trudno jej oddychać.

Kobieta skrzywiła się.

– Tyfus plamisty. Uważaj na jej wszy. I ostrożnie z żywnością. Zbyt szybkie jedzenie może być groźne.

Miriam skinęła głową, wzięła paczki, odeszła na bok, otworzyła je i patrzyła zdumiona na te bogactwa. Herbatniki. Konserwy. Ser. Czekolada. Pomarańcza. I papierosy, które trzeba odłożyć dla SS.

Bardzo chętnie.

W Ravensbrück była uczta. Wszędzie stały kobiety z paczkami i objadały się. Jadły sardynki prosto z puszki, jedną ręką wpychały w siebie czekoladę, drugą herbatniki, wciskały do ust całe kawałki sera. Te, które nadal czekały w kolejce, wyły z zazdrości. „Daj mi! Podziel się ze mną! Oddam ci, jak tylko odbiorę swoją paczkę!”

Miriam, idąc z paczką pod każdą pachą, starała się trzymać z daleka od najgorszego tłoku, zerkając spod grzywki na wszystkie napotymane kobiety i unosiła górną wargę, pokazując zęby. Ta, która spróbuje zabrać jej paczki, gorzko tego pożałuje. Chciała, żeby o tym wiedziały. Będzie gryzła do krwi!

Przed barakiem 6 jakaś kobieta klęczała i wymiotowała. Brązowe wymiociny poprzetykane jasnymi plamkami. Czekolada i ser. Zbyt łapczywie jadła. Miriam szybko ją minęła, ostatnie metry do baraku 8 pokonała półbiegiem. Wślizgnęła się w przesmyk i głęboko wciągnęła powietrze. Teraz trzeba niezauważenie przejść obok pokoiku Irmy Lunz. Z resztą baraku sobie poradzi, ale Irma Lunz była od niej silniejsza.

– Dobry Boże – szepnęła. – Bądź teraz u siebie! Pomóż mi, żeby Else dostała paczkę...

Ostrożnie wyjęła paczkę spod prawej pachy, położyła ją na tej spod lewej i wolną ręką otworzyła drzwi. Zaskrzypiały. Na moment znieruchomiała, po czym przemknęła przez sień do sali sypialnej. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, mogła odetchnąć. Bóg był u siebie. Irma Lunz gdzieś wyszła. Nikt

się nie tłoczył. Idąc do Else, przestąpiła tylko przez dwie, trzy chore więźniarki.

Uśmiechnęła się. Niesie Else jedzenie. Prawdziwe jedzenie. Smaczne. Uratuje swoją wybawczynię.

Następnego dnia tuż przed świtem Else nagle usiadła i ten nieoczekiwany ruch obudził Lykke i Miriam. Obie się odwróciły i chwyciły ją za ręce. Nie patrzyła na nie, odetchnęła gwałtownie trzy razy i opadła na słomę. Jej twarz zastygła w grymasie zdumienia, leżała z uchylonymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w sufit.

– Nie – powiedziała Lykke. – Nie, nie, nie...

Else ostatni raz nabrała powietrza i zamknęła oczy.

Stan utraty przytomności miał swoje dobre strony. Było ciemno, cicho, spokojnie, poza czasem. Pewnego razu Miriam szybowiała z Else nad zieloną doliną i kiedy schodziły do lądowania, dolina się rozproszyła i zamieniła w czarną nicość. To nie miało znaczenia. Ciemność też była piękna. Któregoś razu jej podniebienie wypełniła czekolada, ostra w smaku, dławiała ją swoją słodyczą, Miriam robiła, co mogła, żeby się jej pozbyć, wypychała językiem, ale nic to nie dało. Innym razem poczuła gorycz zimnego wywaru z buraków, skrzywiła się z obrzydzeniem i niemal się obudziła.

– Wstawaj – powiedziała Anusza i uszczypnęła ją w ramię.

Oczywiście nie była to Anusza, tylko Lykke.

Wstawać? Nie, dziękuję. Miriam nie chciała wstawać. Chciała leżeć. Chciała wrócić do błogiej nicości.

– Wyjeżdżamy – powiedziała Lykke. – To ostatnia szansa. Wstawaj!

Chwyciła Miriam za włosy i pociągnęła tak mocno, że podniosła głowę.

– Miriam, do jasnej cholery! Wyjeżdżamy! Inne już wyjechały. To ostatnia szansa!

Miriam zamruwała oczami. Znów była w Ravensbrück. Wokół leżało kilka kobiet z baraku 8, ale wśród nich nie było Else. Else nie żyła. Po co miałyby wstawać? Lykke mocniej pociągnęła ją za włosy, zaboląło, miała dość bólu, wystarczy, bolało ją całe ciało, każdy mięsień, serce i nerki, i nerwy...

– Aj! Puść mnie! – syknęła, zdziwiona tonem własnego głosu.

Lykke ani myślała jej słuchać.

– Nie puszczę, dopóki nie usiądziesz.

Miriam podciągnęła się i oparła o ścianę.

– No, już siedzę. Puść mnie.

Lykke puściła. Dopiero teraz Miriam zobaczyła, że Lykke nie jest tuż obok, tylko pochyla się nad nią, stojąc na środkowej pryczy. I jest w palcie, prawie niezniszczonym zielonym palcie.

– Masz palto?

Lykke skrzywiła się z irytacją.

– Tak, mam. I mam palto dla ciebie. Leży na podłodze. Złóż natychmiast!

– Ale boli mnie...

– Boli, nie boli! Złóż! To ostatnia szansa! Chodź!

Lykke wyglądała tak, jakby miała się rozplakać, i nagle Miriam poczuła się winna.

– Idę – powiedziała. – Jasne. Idę...

Zsunęła się na podłogę, zachwiała się i oparła o pryczę, żeby nie stracić równowagi. Lykke stała przed nią z paltem w dłoniach. Niebieskie palto z żółtą gwiazdą i karakułowym kołnierzykiem. Czy to palto Miriam? Tej prawdziwej Miriam Goldberg? Jeśli tak, to go nie chce. Dziękuję, nie. Są pewne granice. Mogła przywłaszczyć sobie jej imię i nazwisko i żyć jej życiem, ale palto... Chociaż wyglądało na ciepłe... A Miriam, tej prawdziwej i tej fałszywej, od lat nie było ciepło...

– Gdzie masz buty?

Lykke ciągle była zła. Dlaczego? Czy dlatego, że ktoś namalował na plecach jej palta biały krzyż? Miriam zobaczyła go, kiedy nachyliła się, obmacując podłogę, jakby tam zostawiła swoje drewniaki. Bez przesady.

– Któraś mi ukradła – powiedziała, mając dość zrzędzenia Lykke.

– No to sobie poradzisz bez butów. Zapnij palto i idziemy.

Lykke objęła ją w pasie i zaczęła prowadzić do drzwi. Podłoga zakołysała się, jakaś kobieta krzyknęła za nimi przeraźliwym, załamującym się głosem:

– Ja też! Ja też! Ja też!

Nie. Ona nie. Nie poszła z nimi.

Musiały się spieszyć. Miriam robiła wszystko, żeby nadążyć. Znikąd pojawiła się Marie i podtrzymywały ją z Lykke z dwóch stron, zmuszając do szybszego marszu obozową ulicą. Bez przerwy rozmawiały o pociągu i o Czerwonym Krzyżu, i o tym, że Miriam musi stać o własnych siłach i że nie wolno jej pisać słowa o tyfusie. Poza tym Lykke miała jakiś papier, który Miriam musi mieć przy sobie, kiedy przyjdą na miejsce zbiórki. To będzie ostatnia zbiórka w obozie, tyle że w obecności Czerwonego Krzyża, całkiem inna niż apel, i trzeba udawać osobę zdrową. Miriam zamrugała oczami, usiłując coś z tego zrozumieć. Nie było to jednak takie proste, bo co chwila traciła i odzyskiwała przytomność. Ale szła. Nawet kiedy zapadała się w ciemność, czuła, że porusza bosymi stopami. Szła. To było ważne. Tego chciały jej przyjaciółki. Bo przecież miała przyjaciółki. Co prawda nie takie jak jej najlepsza przyjaciółka, która umarła, ale przyjaciółki.

Zbiórka rzeczywiście nie przypominała apelu. Nadzorcynie ustawiały je po pięć w szeregu, ale w obecności przedstawicieli Czerwonego Krzyża były mniej skuteczne, bo nie mogły sobie pomagać pejcami ani pałkami. Poza tym wyglądały trochę inaczej niż zwykle. Mniej schludnie. Nie były już

nienagannie uczesane, grzywki przesłaniały oczy, miały pogniecione spódnicospodnie i rozpięte marynarki. Uzbrojeni esesmani, którzy stali kawałek dalej, wcale nie wyglądali lepiej. Kilku nie zapięło koszul pod szyją, kilku nie zapięło marynarek, inni zsunęli czapki z trupimi czaszkami na kark, jakby późną nocą wracali z wyjątkowo udanej imprezy. Ale tak nie było. To było uwolnienie ostatniej grupy więźniarek Ravensbrück.

Tysiące kobiet tłoczyło się przed przedstawicielami Czerwonego Krzyża. Wymachiwały papierami i wychodziły przez otwarte bramy. Na zewnątrz czekały trzy ciężarówki, trzy ciężarówki, do których prawie nikt nie wsiadał. Większość szybkim krokiem kierowała się ku drodze prowadzącej do Fürstenbergu i stacji kolejowej.

– *Min venn har ingen sko*¹⁸ – powiedziała Lykke do młodego mężczyzny w mundurze Czerwonego Krzyża.

– Aha, wobec tego usiądziecie na platformie – odparł w języku, który brzmiał trochę inaczej niż norweski, ale Miriam wszystko rozumiała.

Lykke lekko się zaniepokoiła.

– Wszystkie?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Jasne, że wszystkie. Dla dobra wspólnego bratnich narodów.

I roześmiał się. Szczerze.

Dzień był szary i pochmurny, deszcz mżył i ustawał, mżył i ustawał. Miriam zadarła do góry rozpaloną gorączką twarz, zamknęła oczy i próbowała opanować dreszcze. Tym razem się nie udało, ale musi się udać. Próbowała podciągnąć pod siebie lodowate stopy. Niestety, siły ją zawiodły. Marie zobaczyła, co chce zrobić, i przykryła jej stopy rękawem swojego palta. Ciężarówka wolno potoczyła się naprzód, mijane więźniarki Ravensbrück rozstępowały się przed nimi jak morze, wille oficerów SS odwróciły się do nich plecami, mieszkańcy Fürstenbergu przywitali ich zaciemnionymi oknami. W oddali dał się słyszeć głuchy grzmot. Sowici byli blisko.

– Proszę. – Lykke położyła na dłoni Miriam nieco wyschniętą pomarańczę.
– To pomarańcza Else. Na pewno dałaby ją tobie...

Miriam zamruwała. Pomarańcza Else. Pozdrowienia od Else.

Pociąg był nieskończenie długi. Pięćdziesiąt wagonów towarowych. Porządku pilnowało kilku mężczyzn i kilka kobiet w szarych mundurach, z białymi opaskami Czerwonego Krzyża. Z nie najlepszym skutkiem. Totalnie zdesperowane kobiety popychały się, klęły i parskaly. Niektóre przeciskały

się, szczypiąc inne, niektóre drapały i próbowały gryźć, ale większość parła naprzód do paczek, które leżały przed każdym wagonem. Żywność. Jeść. Chciały jeść.

– Po osiemdziesiąt w wagonie! – krzyknął mężczyzna ze śpiewnym akcentem. – Osiemdziesiąt, nie więcej! I ostrożnie z jedzeniem, za dużo może zaszkodzić...

Żadna go nie słuchała.

Jakaś kobieta w szarej furazerce chwyciła Miriam za ramię i położyła rękę na jej czole.

– Gorączka.

Lykke dopchnęła się do nich.

– To chwilowe. To z podniecenia...

Kobieta uśmiechnęła się ciut ironicznie.

– Ach tak? Od kiedy gorączkuje?

– Od dzisiaj. Słowo!

– Ma wysypkę?

– Nie, skąd!

– Mogę zobaczyć rękę...?

Miriam stała bez ruchu, nie wiedziała, o co chodzi. Kobieta chwyciła ją za ramię, podciągnęła rękaw palta i skrzywiła się.

– Tyfus plamisty!

Lykke przeszła na norweski.

– Pozwólcie jej jechać – powiedziała płaczącym głosem. – Proszę!

Kobieta chyba ją zrozumiała. Powoli pokiwała głową, puściła ramię Miriam i nerwowo wytarła dłonie w spódnice, jakby chciała się pozbyć zarazków.

– Poczekajcie tutaj. Nigdzie się stąd nie ruszajcie...

Lykke objęła Miriam i mocno przycisnęła do siebie, lekko chwiały się w tłumie.

– Nie umieraj! Proszę! Nie umieraj!

Miriam próbowała na nią spojrzeć, ale to nie było takie proste. Twarz Lykke odpływała i wracała, odpływała i wracała, gdzieś daleko Anusza zaczęła śpiewać romską piosenkę, po chwili dołączył do niej Didi swoim

jasnym, chłopięcym sopranem. Tęskniła za nimi! Chciała mówić po romsku, chciała śpiewać z nimi piosenki z dzieciństwa, chciała być Maliką i przez ułamek sekundy nią była, widziała drażniący uśmiech Anuszy i ciemne oczy Didiego, przez ułamek sekundy była sobą, dopóki Lykke nią nie potrząsnęła, mocno, tak mocno, że jej głowa zakołysała się w przód i w tył i znowu stała się Miriam. Fałszywą Miriam.

– Musisz żyć! Dla Else...

Wymamrotała coś w odpowiedzi, nie bardzo wiedziała co. Świat to przedziwne miejsce, nigdy, przenigdy go nie zrozumie i nie chce w nim zostać. Lykke i Marie niech sobie żyją, one może wiedzą, o co w tym chodzi, ale dla Miriam wszystko się już skończyło.

Ktoś otworzył jej usta, położył coś na języku i przytknął otwór butelki. Wywróciła białkami oczu, kiedy zimna woda spłynęła podniebieniem do złej dziurki. Przełknęła i musiała odkaszlnąć.

– Jedna rano i jedna wieczorem – powiedział przyciszony kobiecy głos. – Idźcie stąd!

A potem zapadła ciemność.

Miriam obudziła cisza. Żadnych odległych grzmotów dźwięków. Żadnych wrzasków esesmanek, żadnych krzyków Armii Lunz, żadnych bójek, jęków, płaczu, piskliwych lamentów, żadnych rozmów, żadnych szeptów. Cisza. Mimo to wiedziała, że nie jest sama. Ktoś leżał obok niej, ktoś, kto był ciepły i spokojnie oddychał. Słoma pachniała, jakby była całkiem świeża, miała ten nieco stęchły, przesycony słońcem zapach, który zapamiętała z dzieciństwa, a poza tym... Ależ tak! Leżała pod kocem, kocem tak grubym, że aż ciężkim. Chwyciła rąbek przy ramieniu w dwa palce. Rzeczywiście gruby i gęsty. Było jej pod nim ciepło. Nawet w stopy.

Może jest w królestwie niebieskim? Albo w drodze do królestwa niebieskiego? Tak mogłoby być. Uśmiechnęła się szczęśliwa w ciemności i zasnęła.

Następnym razem obudziło ją wymawiane przez kogoś imię: Miriam. Miriam. Miriam.

– No – powiedziała Lykke. – Czas na lekarstwo.

Siedziała obok niej po turecku owinięta w szary koc, równie gruby i ciepły jak jej.

– Możesz usiąść?

Miriam kiwnęła głową i zrobiła wysiłek, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Opadła na słomę i lekko się skrzywiła. Nie. Nie mogła. Nie

miała siły.

– Otwórz usta.

Otworzyła usta, Lykke opuściła na jej język małą białą tabletkę, sięgnęła po butelkę wody, wlała trochę wprost do ust i skrzywiła się.

– Przykro mi, ale nie będę cię dotykać. Żeby się nie zarazić.

Miriam zamknęła oczy i przełknęła. Nieważne. Przecież nie chciała, żeby Lykke się zaraziła.

– Ja...

Tylko tyle zdołała powiedzieć, ale Lykke to wystarczyło.

– Boże, ona mówi! Słyszysz mnie i może mówić.

Tuż za Lykke pojawiła się głowa Marie, też owiniętej w gruby szary koc.

– Cześć, Miriam. – Marie uśmiechnęła się. – Lepiej się czujesz?

Lepiej się czuje? Nie. Raczej nie. Mimo to usiłowała kiwnąć głową i uśmiechnąć się w odpowiedzi.

Lykke pochyliła się nad nią.

– Byłaś nieprzytomna przez dwie doby. Dwie doby! Pociąg stał prawie przez cały czas, myślałyśmy, że przyjdzie SS albo Sowieci, ale w końcu ruszył i nareszcie jedziemy...

Pociąg? Są w pociągu? Tak. Teraz słyszała dobrze jej znany stukot. Odwróciła głowę. Przez kratkę pod sufitem przesiewało się szare światło dnia. Wokół niej stało, siedziało i leżało mnóstwo kobiet. Wszystkie owinięte w nowe koce. Dwie coś jadły, ze wzrokiem utkwionym w dal.

– Chcesz trochę czekolady?

Marie wypuściła z ręki kawałek czekolady prosto na piersi Miriam. Miriam zamrugnęła, chwyciła go, ale nie włożyła do ust. Czekolada? Nie. Nie chciała czekolady, sama myśl o jedzeniu przyprawiła ją o mdłości, ale z przyjemnością ją potrzyzyma. Będzie ją trzymać, aż dojadą do następnego obozu.

– Może powinna uważać – powiedziała Lykke przez ramię do Marie. – Pamiętasz, jak wymiotowałaś...

– Tak, ale teraz już nie zwróciłam. – Marie uśmiechnęła się radośnie. – Zjadłam dwa kawałki czekolady i trzy cząstki pomarańczy i nie wymiotowałam.

Miriam zamknęła oczy i zebrała siły.

– Gdzie...

Lykke skuliła się, chwyciła palcami koc i zrobiła z niego mały namiot, przykrywający całe ciało.

– Dojeżdżamy do duńskiej granicy – powiedziała. – Niedługo tam będziemy.

Marie włożyła kawałek czekolady do ust.

– A potem pojedziemy dalej, do Szwecji.

Lykke szybko wytarła oczy.

– Tak. A potem pojedziemy do domu.

Ravensbrück natychmiast został gdzieś daleko. Miriam leżała z zamkniętymi oczami i próbowała sobie przypomnieć, jak idzie obozową ulicą tego późnego wieczoru, kiedy została wypuszczona z bloku karnego. Baraki. Śnieg. Druty.

– Nie – odezwał się tata z jakiegoś odległego miejsca. – Nie. Nie wspominaj. Zapomnij i idź dalej.

Skąd dobiegał jego głos? Nie słyszała go od lat. A teraz mówił do niej. Posłusznie pokiwała głową i znów zapadła w ciemność.

Obudził ją okrzyk radości. Drzwi wagonu towarowego rozsunęły się, słońce wpadło do środka i oświetliło zakurzone buty kobiet, które stały tuż przed nią.

– *Nogle syge?*¹⁹ – zapytał jakiś mężczyzna niskim głosem.

– Tak, mamy tu jedną – powiedziała Lykke po norwesku. – Tyfus plamisty.

Mężczyzna zrozumiał, ale odpowiedział w innym języku.

– To ją zabierzemy pierwszą. Dajcie nosze!

Nosze były miękkie, prawie tak miękkie jak łóżko w sierocińcu. Mężczyźni, którzy wynosili je z wagonu, mieli na sobie blad różowe gumowe rękawice i białe fartuchy.

Lykke stała w drzwiach i trzymała koc Miriam w odległości pół metra od siebie.

– Nie dostanie swojego koca?

Mężczyzna w nogach noszy spojrział na nią i zrobił grymas.

– Nie, nie! Trzeba go zdezynfekować.

– A lekarstwa? W Niemczech dali mi dla niej lekarstwa. To dzięki nim żyje.

– Sami się tym zajmiemy. Od razu zabieramy ją do lekarza.

To na pewno była Dania. W Danii niebo było bardzo niebieskie. Jego błękitną głębię zasnuwały białe welony chmur. Głębię? Czy w tym kraju niebo było głębokie? Tak. A drzewa miały młode zielone liście, które lśniły w słońcu. I ludzie się uśmiechali. Wszyscy. Setki ludzi stojących za białymi linami na stacji kolejowej w Padborgu uśmiechało się. Coś wołali, machali na powitanie i rzucali paczki Żydom, Romom i Polakom. To na pewno był pokój. Wojna nareszcie się skończyła.

Kleik. Ciepławy kleik.

Początkowo trudno było poczuć smak, jakby się przełykało chmurkę, coś łagodnego, co zmieniało się w nic, ledwie trafiło do ust, ale dosyć szybko przekonała się, że tak nie jest. Chmurka po dotarciu do żołądka grzała i syciła zupełnie inaczej niż cokolwiek innego. Leżała w łóżku i czuła się ociężała. Od sytości i ciepła.

Chciałaby się uśmiechać. Uśmiechałaby się, gdyby żył Didi. I Anusza. I Else. I gdyby miała siłę.

Następnego dnia zaczęła się rozglądać. Leżała w białym żelaznym łóżku. Pod białym prześcieradłem i szarym kocem. Na miękkim materacu. Z poduszką pod głową, poduszką z poszewką. Chyba też białą, co usiłowała zobaczyć kątem oka. Miała wyszorowane do czysta dłonie. Ktoś obciął jej paznokcie. Wyprostowała palce, popatrzyła na nie i zdusiła w sobie nagły impuls, żeby się z nimi przywitać. „Cześć, kciuki, cześć, palce środkowe!” Położyła dłoń na dłoni, przycisnęła jedną do drugiej, jakby na pocieszenie, i zamknęła oczy.

– Co my tutaj mamy?

Przy jej łóżku stał mężczyzna w białym fartuchu. Zamrugła pytająco. Co takiego?

– *Jeg er Miriam* – powiedziała, szybko przełykając ślinę.

Przedstawiła się, ale kto wie, czy nie było po niej widać, że kłamie, i może ten mężczyzna będzie tak samo wściekły jak... Nie. Nie pamiętać. Tata powiedział, że nie wolno pamiętać.

Mężczyzna w białym fartuchu wyprostował plecy i lekko się skrzywił.

– Ależ... Jesteś Norweżką?

Jej prawa dłoń mocno ścisnęła lewą.

– Nie. Nauczyłam się trochę norweskiego w obozie.

– W Ravensbrück?

Miriam kiwnęła głową.

Mężczyzna pochylił się nad nią i lekko poklepał koc.

– Dobrze. To może się przydać. Jesteś na najlepszej drodze do wyzdrowienia.

Przez chwilę błędziła spojrzeniem i znowu kiwnęła głową. Nie miała pojęcia, co powiedział.

– Za kilka dni wstaniesz z łóżka – kontynuował. – Gorączka minęła.

Miriam uśmiechnęła się niepewnie.

Mężczyzna jeszcze raz poklepał koc.

– Miałaś szczęście. A włosy niedługo ci odrosną.

Miriam znów kiwnęła głową i zamknęła oczy. Mimo wszystko świat był taki jak zawsze. Kompletnie niezrozumiały.

Pielęgniarka miała biały czepek i broszkę ze złotym rantem i czerwonym krzyżem.

– *So. Ich glaube dass mein Deutsch nicht so gut ist* – odezwała się łamaną niemczyzną.

Miriam popatrzyła na nią podejrzliwie. Najwyraźniej nie była Niemką, więc dlaczego mówi po niemiecku? Jest nazistką? Nie, naziści nie uśmiechają się do więźniów obozów koncentracyjnych, a ona się uśmiechała.

– No dobrze. Teraz spróbujemy wstać.

Miriam leżała przez chwilę nieruchomo. Czy gdzieś ją boli? Nie. Bóle minęły. Ale była zmęczona. Bardzo zmęczona.

– Proszę spojrzeć – powiedziała pielęgniarka, pokazując jej coś szarego. – Szlafrok. I para ładnych kapci. Czeka ją na panienkę.

Miriam usiadła, siedziała na łóżku z prostymi plecami i rozglądała się. Wysokie okna. Drzewo z jasnozielonymi liśćmi. Szare niebo. Zacinający o szyby deszcz. Duża czarna tablica na krótszej ścianie. Taka tablica wisiała w sali klasztornej. Czy to jest szkoła? Czy będą ją odpytywać z lekcji?

– No, wstajemy – powiedziała pielęgniarka. – Mam więcej pacjentów, nie tylko panienkę.

Pielęgniarka przeszła na szwedzki i Miriam prawie ją rozumiała. Odrzuciła koc i popatrzyła na swoje nogi. Ależ były cienkie! A kolana duże. Zerknęła na pielęgniarkę, która, o dziwo, dobrze odczytała jej spojrzenie, pokręciła głową i zrobiła pocieszającą minę.

– Proszę się nie niepokoić! Niedługo nabierze panienka ciała... Wszystko, czego panience trzeba, to jedzenie i odpoczynek. A tego panience nie zabraknie.

Miriam zamrugła oczami. Nie. Ta kobieta nie jest nazistką. Przekręciła się i opuściła nogi. Wisiały nad parą czerwonych filcowych kapci. Tak ją ucieszył ten kolor, że czym prędzej zsunęła się niżej i włożyła w nie stopy. Czerwone filcowe kapcie! Wstała i chwiejąc się lekko, patrzyła na nie.

– Oj, żeby panienka nie upadła!

Pielęgniarka objęła ją ramieniem, drugą ręką włożyła jej szlafrok, zawiązała pasek w talii i poprawiła kołnierzyk.

– No proszę. Teraz panienka jest piękna jak ta lala. Idziemy do umywalki.

– *Fin som hva?*²⁰ – spytała Miriam.

– O Jezu! – Pielęgniarka objęła ją pomocnym ramieniem. – To panienka już mówi po szwedzku?

Miriam uniosła prawą stopę i zrobiła pierwszy krok. Poszło dobrze. Nie zemdląca i nic ją nie bolało.

– Nie po szwedzku – powiedziała i uśmiechnęła się. – Po norwesku. Ale co to znaczy? Jestem jak co?

– Jak ta lala.

– A co to jest „ta lala”?

– E... To tylko takie wyrażenie.

Doszły do umywalki. Nad umywalką wisiało lustro. Miriam zamrugnęła, przygotowując się do zobaczenia swojej twarzy po raz pierwszy od lat.

Czy to naprawdę ona? Ten kościotrup?

Kościotrup nie miał włosów. Ogolony na zero, błyszczał łysiną. A zęby? Dlaczego miał aż tyle zębów? I zapadnięte policzki! I zamiast oczu dwie czarne dziury!

Pociągnęła nosem i z przerażeniem zauważyła, że widmo w lustrze robi to samo. Bez namysłu odwróciła się, objęła pielęgniarkę i wtuliła twarz w jej ramię, żeby dać upust łzom. W tym samym momencie otworzyła się szczelina chłodu, ta, którą odkryła w sobie tego dnia, kiedy świat wyszedł z zawiasów, i pozwoliła jej popatrzeć na siebie z boku. Ależ ona jest głupia! Czy naprawdę myśli, że ta wykrochmalona kobieta nie zareaguje, kiedy Miriam upaprze ją smarkami i łzami? Czy naprawdę myśli, że jej nie przewróci i nie zamieni się w nową i gorszą Irmę Lunz?

Ale, o dziwo, tak się nie stało. Pielęgniarka pogłaskała Miriam po plecach w pocieszającym geście i przez chwilę stały bez ruchu, każda zatopiona we własnych myślach.

W końcu Miriam wyprostowała się, kilka razy zamrugnęła i lekko odchrząknęła.

– *Hvorfor?* Dlaczego oni to zrobili?

Pielęgniarka przygryzła dolną wargę i potrząsnęła głową.
– Nie wiem. Ja też tego nie rozumiem.

Następna podróż pociągiem była jak sen. Siedziała na miękkim siedzeniu obitym mechatym materiałem w brązowo-beżowe paski. Kiedy przesunęła po nim dłoń pod włos, kolory ściemniały, a z włosiem rozjaśniły się. Naprzeciwko niej siedziała grupa polskich Żydówek. Helena, Apolonia, Zofia, Wiktoria i inne. Bez przerwy rozmawiały po polsku albo w jidysz, więc ich nie rozumiała. Ale były miłe, zarówno wobec siebie, jak i wobec niej. Stefania – tak, tak miała na imię! – wzdrygnęła się co prawda, kiedy Miriam powiedziała, że zna tylko niemiecki i norweski i że nikt nigdy nie nauczył jej jidysz, ale wtedy włączyła się Helena i powiedziała, że to wcale nie jest dziwne. Zanim została zatrzymana, pracowała w Niemczech na fałszywych papierach i wiedziała, że nieliczni niemieccy Żydzi, którzy wciąż byli wolni na początku lat czterdziestych, bardzo się wystrzegali mówienia w jidysz. A Miriam była przecież młodziutka i może po prostu nie nauczyła się tego języka.

Kilka polskich Żydówek w przedziale też miało tyfus plamisty, ale Miriam nie wiedziała które. Może Apolonia, ciemna dziewczyna o surowym spojrzeniu. Albo Wiktoria, która wyglądała na przygaszoną. Obie siedziały z zamkniętymi oczami, jakby spały albo były wyczerpane. Chociaż nikt im nie ogolił głów. Tylko ona była kompletnie łysa. Wszystko jedno. Zanim nastanie przyszłość, włosy na pewno odrosną. Przyszłość. *Fremtid*. Pokój. *Fred*. Jej myśl poszybowała ku Else, ale się zatrzymała, zboczyła na inny tor i nie dotarła do celu. Rozkaz taty. Liczy się terażniejszość. A terażniejszość to niezwykle wygodny pociąg, który, lekko się kołysząc, jechał przez raj bez drutów kolczastych i ruin. Krajobraz zaczął się zmieniać. Pola i pastwiska zastąpił las. Las iglasty, gdzieniegdzie tak ciemny, że aż niebieski, sekundę później rozrzedził się, obnażając jasne zagajniki z białymi pniami i młodymi liśćmi. Krowy wyglądały tutaj inaczej. Zamrugła ze zdumienia. Gdzie się podziały białe-czarne krasule? Dlaczego wszystkie były brązowe?

Cóż. Jeśli o nią chodzi, mogły mieć taki kolor, jaki chciały. Dopóki były. Dopóki mogły spokojnie chodzić po pastwisku i paść się po wsze czasy.

A więc to była Szwecja. Mały kraj poza światem, kraj, dokąd wojna nigdy nie dotarła, dokąd wojny może nigdy nie dotrą. Tutaj wszystkie dzieci miały całe ubrania, wszystkie kobiety zdrowe różowe policzki, wszyscy mężczyźni niebieskie spojrzenia i nieśmiałe, rzadko spotykane uśmiechy. Drewniane domy były pomalowane na czerwono, kościoły były białe, a miasta nieduże. Na prowincji zagrody leżały daleko od siebie, dzieliły je puste, odludne tereny, ale może tutejsi ludzie nie lękali się pustki tak jak ci na południu. Chyba tak właśnie było. Przed chwilą zobaczyła w lesie małego chłopca. Był zupełnie sam, nie sprawiał wrażenia, że boi się wilków, niedźwiedzi czy trolli. Kiedy pociąg przejeżdżał obok, wyszedł na polanę i pomachał im ręką.

Miriam podniosła swoją, ale zaraz ją opuściła, nie odwzajemniając gestu chłopca. Nie bardzo wiedziała, co jej wolno, a czego nie wolno, i co by zrobiły siostry Czerwonego Krzyża, widząc, jak samowolnie macha do ludzi.

W ich przedziale siedziała pielęgniarka Czerwonego Krzyża. Miała na imię Margit i była dość gruba. Trzymała na kolanach czarną torbę i uśmiechała się bojaźliwie, ilekroć któraś z nich zwracała ku niej spojrzenie. Nic nie mówiła. Może nie znała ani niemieckiego, ani polskiego, ani jidysz. Chyba tak, bo patrzyła na nie pytającym wzrokiem. Może próbowała zrozumieć niepojęte: Jak takie wraki mogły pozostać przy życiu?

Oczywiście, że to było niepojęte, jednak nie aż tak jak zaledwie parę tygodni wcześniej. Wszystkie zmieniły się po kleiku. Teraz ich oczy prawie błyszczały. Teraz nawet te najslabsze mogły siedzieć przynajmniej przez chwilę. Teraz może mogłyby jeść prawdziwe jedzenie i zatrzymać je w żołądku. Nadal były bardzo wychudzone, ale wyszorowane do czysta, ich włosy, z wyjątkiem łysej Miriam, lśniły po umyciu nie tylko szamponem odwszawiającym, ale również normalnym perfumowanym szamponem, a sukienki, choć używane i nieco za duże, były całe i świeżo wyprane. Poza tym wszystkie miały porządne skarpetki i porządne buty. Wyglądały prawie jak ludzie.

A za oknem świeciło słońce. Przyszła wiosna. Przyjemnie ogrzewająca wiosna.

Pociąg zwolnił, wagonem zatrzęsło, ale żadna nie zareagowała, zatrzymywały się na tyłu stacjach, że żadna się nie spodziewała, że wysiądą właśnie tutaj.

Margit podniosła się i uśmiechnęła swoim bojaźliwym uśmiechem.

– Jesteśmy na miejscu, dziewczęta. Jesteśmy w Aneby.

Tylko Miriam ją zrozumiała, ale nie od razu zdała sobie sprawę, że powinna przetłumaczyć jej słowa na niemiecki.

– Powiedziała, że jesteśmy na miejscu...

Helena zmarszczyła czoło, odezwała się po polsku, Zofia chrząknęła potakująco, inne pokiwały głowami.

– Co powiedziałaś? – spytała Miriam.

Helena obrzuciła Margit podejrzliwym spojrzeniem.

– Powiedziałam, że nie będziemy mówić, że jesteśmy Żydówkami, bo Polki... Sama wiesz...

Miriam pokręciła głową.

– Nie. Nie wiem.

Helena pochyliła się i podniosła do ust stuloną dłoń.

– Dużo Polek to antysemitki... – szepnęła. – A nie wiem, jak to jest ze Szwedami.

Miriam zdławiła westchnienie. Czy to się nigdy nie skończy?

– Dlatego musimy trzymać się razem – powiedziała Helena. – Żeby sobie pomagać.

Więcej domów. Nie tylko czerwonych. Las, który był wszędzie. Trochę dalej wieża kościoła. Droga żwirowa. Peron. Mnóstwo ludzi w słońcu. Zdumiewająco dużo ludzi. I ostry zgrzyt hamulców.

Były na miejscu. W czymś o nazwie Aneby.

Margit otworzyła drzwi przedziału i ruchem ręki pokazała, żeby wyszły. W przejściu tłoczyły się inne ocalałe, z nosami przyklejonymi do szyb, jakby nie rozumiały, że peron jest po przeciwnej stronie. Po lewej stronie, tej, gdzie siedziała Miriam. Nieprzebrane tłumy, młodzi i starzy, ludzie w mundurach Czerwonego Krzyża i... Boże!

Stefania wypatrzyła ich w tym samym momencie co Miriam, wymieniły paniczne spojrzenia i krzyknęły: „SS!”. Na peronie byli szwedzcy esesmani! Zostały oszukane! Zamkną je w następnym obozie koncentracyjnym! O nie, za nic! Nigdy! Nigdy! Nigdy!

Po chwili dołączyły do nich inne, ich krzyk się rozprzestrzeniał, od kobiety do kobiety, od przedziału do przedziału, od wagonu do wagonu. W końcu krzyczały wszystkie, wszystkie, które nosiły w sobie wspomnienia z Ravensbrück i Auschwitz.

Wiele lat później Miriam nie będzie mogła powstrzymać uśmiechu, przypominając sobie, co się wydarzyło, kiedy pociąg zatrzymał się w Aneby. Pobożni smalandzcy przerażeni panicznym wrzaskiem byłych więźniarek. Członkinie Kobiecej Organizacji Obrony Kraju w wyprasowanych mundurach cofające się o krok i już niewyprężone na baczność. Spłoszeni uczniowie w krótkich spodenkach, którym, ku ich radości, przedłużono letnie wakacje o miesiąc, żeby zakwaterować uchodźczynie w ich salach lekcyjnych. Schludne gospodynie domowe przytulające młodsze dzieci. Nawet na twarzach robotników fabrycznych, którzy dostali wolne, żeby zobaczyć ich przyjazd, malowało się zdumienie i przerażenie. Co się stało? Dlaczego te kobiety krzyczą? Dlaczego nie chcą wyjść z pociągu?

W końcu wyszła na peron siostra Czerwonego Krzyża. Ledwie zdążyła puścić klamkę, drzwi natychmiast się za nią zatrzasnęły. Uchodźczynie nie zamierzały się poddawać. Nikt tu nie wejdzie! Za nic! Pielęgniarka stała

przez chwilę bez ruchu, po czym szybkim krokiem podeszła do dowódcy obrony cywilnej kraju i coś mu powiedziała.

– Co takiego?! – Dowódca zamrugał w osłupieniu. – Ale dlaczego?

Siostra Czerwonego Krzyża wyprostowała plecy.

– SS – powiedziała.

– Ale to przecież nie jest SS! To przecież zwykli robotnicy. I wszystkich znamy. Co do jednego! To przecież chłopak Nilssonów i Bengt Lundberg, i...

– To nie ma nic do rzeczy. Dopóki ich stąd nie zabierzesz, one nigdy nie wysiądą z pociągu.

Podrapał się po głowie, aż czapka zsunęła mu się na bakier, wyprężył się, podszedł do kilku robotników w jasnobrązowych kombinezonach i pokazał na dwie małe litery na ich piersiach i dwie większe na plecach.

– Przepraszam, chłopcy, ale musicie odejść. Jeśli zostanieie, one nie wyjdą... Myślą, że jesteście esesmanami.

– Co?! My?!

– Niestety. Bardzo mi przykro.

– E tam, nic się nie stało – powiedział Bengt Lundberg, wykrzywając się w szyderczym uśmiechu. – Zobaczymy je prędzej czy później.

On i jego koledzy zrobili w tył zwrot i wrócili do fabryki: Svensk Ståll AB²¹. SS.

Świat stopniowo się wyciszył.

Paplanina dziewcząt umilkła prawie natychmiast, kiedy się położyły, mimo że tylko kilku udało się od razu zasnąć. Inne leżały z otwartymi oczami i wpatrywały się w półmrok. Może próbowały przyzwyczać się do myśli o pokoju i o tym, co je czeka. Jak odszukać swoje dzieci w zbombardowanej Europie? Jak odszukać rodziców? Jak się dowiedzieć, kto z rodzeństwa nie przeżył, a którzy przyjaciele ocaleli?

Pokój, pomyślała Miriam. I przyszłość.

To wszystko, co miała. Te dwa słowa. Żadnego męża ani dzieci, żadnego rodzeństwa ani rodziców. Ale co te słowa znaczyły? Konkretnie. Co to znaczy żyć w pokoju? Co to znaczy mieć przyszłość?

Ostrożnie podniosła prawą rękę i ostrożnie położyła ją za głowę. Nie przekręciła się i nie odwracała. Chciała, żeby pościel pozostała nienaruszona. Sprężystość gładkiego białego prześcieradła i mocno naciągniętej kołdry sprawiały jej niekłamaną przyjemność. Przytrzymały ją. To wspaniałe

uczucie być kimś, kto ma jakieś miejsce. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie zerknąć na rękaw koszuli nocnej, białej koszuli w różowe kwiatki. Bordiura. Na mankietach i na piersiach były tasiemki bordiury...

Ładna. Bardzo ładna. Piękna. Może będzie mogła ją zatrzymać. W przyszłości.

Sala sypialna była duża, mimo że z zewnątrz budynek wyglądał niepozornie. Z czterema kolumnami przy wejściu przypominał mały kościół. Miriam od razu zrozumiała, że to nie jest kościół. Nigdzie nie wisały krzyże ani święte obrazy, a w sali sypialnej stał wielki instrument muzyczny, coś w rodzaju dużego pianina, przykryty białym prześcieradłem może dlatego, żeby więźniarki – oj, nie więźniarki, tylko uchodźczynie – go nie dotykały. Nie wolno! Mimo to Józefa, jedna z polskich Żydówek, podeszła do instrumentu, ledwie personel Czerwonego Krzyża zamknął za sobą drzwi, odwinęła prześcieradło, podniosła pokrywę i lekko nacisnęła jeden klawisz. Kiedy rozbrzmiał drżący dźwięk, odrzuciła głowę do tyłu i głośno się zaśmiała. Helena błyskawicznie podbiegła do niej, zwymyślała ją, Józefa posłusznie opuściła pokrywę, naciągnęła prześcieradło, ale nie przestała się uśmiechać. Duże pianino sprawiło jej radość.

Ale teraz na świecie zapanowała cisza. Nie grało duże pianino, nie sapał pociąg, nie warczały samochody ani motocykle, nikt nie wrzeszczał ani nie rozmawiał pod oknami, nie śpiewały ptaki, deszcz nie zacinał o szyby. Cisza. A w sali sypialnej leżało pięćdziesiąt dziewcząt i kobiet na piętrowych łóżkach z białymi prześcieradłami i prawdziwymi poduszkami. W pięknych nocnych koszulach. Czystych, świeżo umytych, ze smakiem prawdziwej pasty do zębów Jod-Kaliklora w ustach. Sytych i zadowolonych, których żołądki zniosły tę pierwszą dziwną kolację.

Tak. Pierwsza kolacja była bardzo dziwna. Ani jednego warzywa. Ziemniak w łupinie. Kulki z mielonego mięsa w brązowym sosie. I marmolada. Marmolada do mielonego mięsa?! Ale oczywiście jadła, to przecież było jedzenie, prawdziwe jedzenie. Wszystkie jadły, przeżuwały i uśmiechały się do pracownic Czerwonego Krzyża, mimo że tak jak ona uważały, że to przedziwne połączenie. Nie zwędziła jednak tak jak kilka innych ani jednego ziemniaka i nie schowała go pod materacem. Nie dlatego, że jedzenie było dziwne. Nie mogła sobie pozwolić na kradzież. Musi być zawsze uczciwa, grzeczna i porządna, tyle już zrozumiała, bo inaczej mogłaby ściągnąć na siebie uwagę i prawda wyszłaby na jaw, a tego nie chciała. Przynajmniej nie teraz. Jeszcze nie. Nie miała pojęcia, jak Szwedzi patrzą na Romów, bardzo by się jednak zdziwiła, gdyby się okazało, że darzą ich szczególnym szacunkiem. Nikt nigdy nie darzył Romów szczególnym

szacunkiem.

Dostała górne łóżko, które stało tuż pod jednym z wysokich okien. Widziała jasną noc. Choć niebo było szare, niskie chmury lśniły błękitem. Wyglądało to tak, jakby niebo odwróciło się do góry nogami, jakby chciało ją zapewnić, że teraz wszystko jest inaczej, że nic nigdy nie będzie takie, jakie było zaledwie kilka tygodni temu, że spokojnie może zamknąć oczy i zasnąć. Ale nie zasnęła. Leżała w tej samej pozycji i rozglądała się. Nie można ufać niebu.

– Nie! – krzyknęła któraś po polsku. – Nie! Nie! Nie!

Miriam poderwała się tak gwałtownie, że kołdra się poluzowała. Usiadła prosto i zatkała usta pięścią. Co z niej za idiotka! Skończona kretynka! Szwecja nie istniała, Aneby nie istniało, przewiewna sala sypialna była tylko w jej obłąkanym śnie, znów jest w Ravensbrück i...

Ale nie, sala sypialna nie zniknęła. Ani prześcieradło. Ani szeleszcząca kołdra, która była chyba wypełniona papierem. Opuściła ręce i spojrzała na nadgarstki. Tak, miała też nocną koszulę w różowe kwiatki na białym tle. I bordiurę na mankietach.

Przechyliła się przez krawędź i spojrzała w dół. Przy dolnym łóżku stało kilka kobiet, jedna głaskała kołdrę, druga obejmowała krzyczącą ramieniem i uspokajająco ją kołysała. *So, so, so* – szepnęła trzecia i myśli Miriam natychmiast pobiegły do Sylvianne, od Sylvianne do Lykke, a od Lykke do Marie. Odezwało się w niej piekące poczucie winy. Dlaczego od przyjazdu do Szwecji ani razu o nich nie pomyślała? Dlaczego zapomniała o swoich przyjaciółkach i tylko wylegiwała się półprzytomna na łóżku? Przecież uratowały jej życie. Odkąd ktoś wyniósł ją z pociągu w Danii, już nie zobaczyła ani Lykke, ani Marie. Gdzie się podziały? Czy wróciły do Norwegii? Czy zdążyły się spotkać z córką Else? I czy zdążyły jej opowiedzieć, co się stało?

– To tylko koszmarny sen – powiedziała któraś, nagle poklepując jej papierową kołdrę.

Miriam szybko odwróciła głowę. Zofia. Była starsza od innych kobiet, miała pomarszczoną twarz i przerzedzone włosy, a jej niemiecki był dość opłakany. Ale to miłe, że próbowała jej wyjaśnić sytuację.

– Ach – powiedziała Miriam.

– Myślimy, że może ma gorączkę.

– Ach – powtórzyła Miriam.

– Zobaczmy, jak się będzie czuła jutro.

– Tak. – Miriam opadła na poduszkę. – Zobaczymy.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

Wkrótce miała się przyzwyczaić do tych nocnych krzyków. Nie tylko Krystyna na łóżku pod nią śniła koszmary, koszmary nawiedzały wszystkie. Noc w noc Miriam była prześladowana przez Irmę Lunz, noc w noc musiała patrzeć na jej groteskową twarz, noc w noc Irma Lunz wymachiwała kijem, aż Else...

Nie. O tym nie wolno myśleć. Nie na jawie.

Dni kwarantanny były długie, a mimo to nigdy nie dość długie. Przez pierwsze tygodnie nie mogły opuszczać Domu Koncertowego (tak, zakwaterowano je w domu koncertowym w Aneby, co Miriam w końcu pojęła, choć jeszcze nie bardzo wiedziała, czym jest koncert), dzięki czemu wszystkie mogły wypoczywać, dzień w dzień leżeć na łóżku, jak długo chciały, rozluźnić się i pozwolić swobodnie wędrować myślom. Ale z upływem dni i dłużących się godzin, stawały się coraz bardziej zniecierpliwione i zirytowane. Nie dało się uniknąć obecności innych uchodźczyń, tak jak nie udało się uciec od przeszłości. Każda odreagowywała po swojemu. Helena prawie bez przerwy była wściekła, wręcz kipiała ze złości i wygłaszała długie monologi o pieprzonych Niemcach i pierdolonych nazistach, o szwedzkich pańciach z Czerwonego Krzyża i zgredach z Gwardii Krajowej, którzy nie pozwolili jej wyjść, kiedy chciała wysłać na pocztę jeden jedyny list. Jej przyjaciółka Apolonia zadzierała nosa, krzyżowała ramiona na piersi i nie odzywała się do nikogo oprócz Heleny. Zofia ciągle się załamywała i wybuchiała płaczem, szlochała i jęczała za mężem, który miał na imię Stanisław i przypuszczalnie nie żył. Eugenia krążyła po sali i odgrażała się, czego to ona nie zrobi z tą, która chciała jej ukraść jedzenie spod materaca. Niech no tylko jeszcze raz spróbuje!

Siostry Szwedzkiego Czerwonego Krzyża usiłowały je uspokajać radosnymi minami, przekazywały serdeczne pozdrowienia od uchodźczyń odbywających kwarantannę w innych miejscach, opowiadały, że te zakwaterowane w szkole mają się dobrze, te, które są w Domu Misyjnym, niestety lekko się przeziębiły, a te w domu Armii Zbawienia przygotowują przedstawienie z polskimi piosenkami i tańcami ludowymi. Cha, cha! Poprosiły o igły, nici i krepinę. Będą szyły kostiumy. I one wszystkie serdecznie pozdrowiały dziewczęta z Domu Koncertowego!

Po kilku dniach spędzonych w łóżku Miriam zaczęła towarzyszyć siostrom Czerwonego Krzyża. Pomagała im nakrywać do stołu i sprzątać ze stołu, była chętna do zmywania, patrzyła przez ramię tym, które kroił chleb na

śniadanie, i tym, które gotowały obiad, żeby się nauczyć, jak to się robi w Szwecji. Poklepywały ją z uznaniem po policzku. Ta dziewczyna to skarb! Uczynna, posłuszna, porządna! I jakie ma zdolności językowe! Zaledwie w parę tygodni na tyle opanowała szwedzki, że mimo uboższego słownictwa i dość zabawnej wymowy naprawdę można było ją zrozumieć. Nie miały pojęcia, że dzięki nim nauczyła się czegoś więcej. Na napady płaczu Zofii reagowały lekkim zmarszczeniem nosa, co znaczyło tyle, że są im niemiłe, na gniew Heleny – przelotnym spojrzeniem, co znaczyło, że są zaniepokojone, a na zarozumiałstwo Apolonii – uniesieniem brwi, co znaczyło, że są zirytowane. I nic nie mówiły. Nie odpowiadały wybuchem na wybuch, robiły tylko lekki grymas i odwracały się plecami.

Miriam ćwiczyła te grymasy. W wielogodzinnych przerwach między posiłkami często stawiała przed lustrem w toalecie i ćwiczyła. Nie marszczyć całego nosa, tylko u nasady. Nie unosić brwi zbyt wysoko. Wszystko z umiarem. Z wyjątkiem przelotnych spojrzeń. Mogły być dowolnie ostre albo dowolnie jadownicze.

Zaczęły jej odrastać włosy. To, co było tylko cieniem, kiedy przyjechała do Aneby, stało się szczecina, miękką szczecina. Któregoś dnia poczuła jej miękkość, przesuwając dłonią po głowie, i uśmiechnęła się, a uśmiech sprawił, że wyglądała jak łobuziak, co z kolei wywołało na jej twarzy jeszcze szerszy uśmiech. Sekundę później dopadło ją wspomnienie. Didi! Chwiejnie weszła do małej kabiny, żeby się wypłakać. Didi! Didi! Didi!

Kiedy była z więźniarkami – nie, z uchodźczyniami! – nigdy nie płakała. Ilekroć wzbierał w niej płacz, odwracała wzrok, przełykała cisnące się do oczu łzy albo biegła do toalety. I nigdy się nie śmiała. Głównie dlatego, że nie rozumiała, z czego one się śmieją. Nawet nie starała się ich zrozumieć. Mówiły po polsku, a ona nie będzie mieszkała w Polsce. Przeżyje swoje życie tutaj. W Szwecji.

Ta myśl ją zdumiała. Ach, to tak? Zostanie w Szwecji? I ta zaskakująca myśl sprawiła jej dużą radość. Tak. Naturalnie. Miriam Goldberg zostanie w Szwecji. Na zawsze.

A Maliki nigdy nie było.

W końcu kwarantanna stała się czymś powszednim. Te w miarę zdrowe dość szybko przywykły do tego, że wieczorem są syte, a rano wyspane, same chodziły do toalety i od czasu do czasu ze zdziwieniem konstatowały, że nie towarzyszy im strach. Bywały takie chwile, że nawet miały ochotę wracać wspomnieniami do swojego życia przed wojną i obozami.

W jednej z takich chwil Józefa podeszła do jednej ze starszych kobiet z Czerwonego Krzyża, pokornie dygnęła przed nią i powiedziała perfekcyjną

niemczyzną, jakby niemiecki był jej językiem ojczystym, że kiedyś chodziła do Akademii Muzycznej w Warszawie i czy ewentualnie mogłaby coś zagrać na fortepianie? Coś krótkiego, króciutkiego! Będzie bardzo ostrożna! Kobieta z Czerwonego Krzyża przez chwilę miała rozbiegane spojrzenie, jakby nie rozumiała, ale kiedy Miriam przetłumaczyła jej słowa swoją łamaną szwedczyzną, skinęła głową i uśmiechnęła się. Aha, duże pianino! Fortepian! Tak. Czemu nie. Pod warunkiem że tylko ten jeden raz. I weszły do pustej sali sypialnej, pielęgniarzka usiadła na łóżku, Miriam odsunęła białe prześcieradło, Józefa podniosła w skupieniu pokrywę fortepianu, przycisnęła koniuszki palców do siebie, aż zatrzeszczały stawy, usiadła na taborecie i zaczęła grać. Najpierw spokojnie, niemal sennie, potem coraz zapalczywiej, żeby w końcu pozwolić wybrzmieć muzyce w gwałtownym *crescendo*. Miriam odwróciła się i podeszła do okna. Nikt nie powinien zobaczyć jej łez, nawet Józefa. Stojąc z czołem na szybie, usłyszała wchodzące z tarasu na palcach, w niemym zachwycie, inne uchodźczynie. Muzyka umilkła. Zapadła cisza, jakby wszystkim zapało dech w piersiach.

– Chopin – odezwała się któraś po chwili ściszym głosem. – Chopin!

Przez salę przeszedł szum, szum bez słów, ale zrozumiały. Tak! Zagraj jeszcze coś Chopina!

Miriam odwróciła się od okna i popatrzyła na Józefę. Józefa otarła oczy, lekko się uśmiechnęła, pochyliła nad klawiaturą, uniosła głowę, zamknęła oczy i uderzyła w klawisze. Chopin.

Potem wyszły na słoneczny taras na tyłach Domu Koncertowego, przez chwilę siedziały w milczeniu, a po chwili wszystko było po staremu. Helena zaczęła przeklinać Niemców po niemiecku, żeby Szwedzi też mogli zrozumieć, jak bardzo jest wściekła, Apolonia przytakiwała, pogardliwie prychnąwszy, Zofia wytarła nos i przypomniała sobie coś, co kiedyś powiedział Stanisław o Chopinie, po czym się uspokoiły i zwróciły twarze do słońca. Słońce najwyraźniej miało im służyć. Kobiety z Czerwonego Krzyża wyprowadzały na taras te, które jeszcze nie wydobrzały, i owijały je szeleszczącymi kołdrami. Niektóre chore przysparzały poważnych zmartwień. Wciąż nie były w stanie zatrzymać pokarmu, jakby wszystko się w nich zawaliło raz na zawsze, jakby nie dało się usunąć ruin. Mimo starań zwracały każdą łyżkę kleiku. Kobiety z Czerwonego Krzyża, zatroskane, kręciły głowami. Co robić?

Inne nie mogły przestać jeść. Eugenia, która pochłonęła na śniadanie duży talerz kaszy i cztery kanapki, znowu narzekała, że jest bardzo głodna. Czy nie ma nic więcej do jedzenia? Czy nie mogłaby dostać czegoś do jedzenia? W porze lunchu na pewno stanie pierwsza w kolejce i drżącą ręką wyciągnie swój talerz. Wszystkie o tym wiedziały. Zawsze prosiła o dokładkę, o jeszcze

jednego ziemniaka, i niemal wybuchła płaczem, słysząc odmowę. W kilka tygodni wyraźnie utyła, dorobiła się podwójnego podbródka, ale jej głód wydawał się nie do zaspokojenia. Przywykły do jej narzekań, żadna już na nie nie reagowała.

Z tarasu rozciągał się widok na park, który budził ich tęsknotę. Był tak blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko. Chciały tam pobiec, wytarzać się w młodej zielonej trawie, zerwać kilka z tysięcy białych kwiatków, usiąść, oprzeć się o pień drzewa i patrzeć na strugę, o której mówiły siostry Czerwonego Krzyża. Ale mogły o tym tylko pomarzyć, bo pilnowała ich Gwardia Krajowa, starsi mężczyźni stojący z bronią w ręku na straży przed Domem Koncertowym. Uchodźczynie ciągle były więźniarkami, choć z innych powodów niż przedtem, i najprawdopodobniej miały nimi pozostać jeszcze przez jakiś czas. Władze przedłużyły zakaz opuszczania Domu Koncertowego, z dwóch tygodni zrobiły się cztery.

Ale mieszkańcy Aneby nie traktowali tego zakazu zbyt poważnie. Co wieczór przychodziły całe rodziny, małżeństwa z dziećmi w wózkach, młode dziewczęta i młodzi nieżonaci robotnicy z rękami w kieszeniach, chichotliwe dziewczynki i łobuziaki, staruszki z nisko upiętymi kokami i starcy o lasce, dobrze ubrani mężczyźni i eleganckie damy, wszyscy z podarkami w małych torebkach, które przerzucali przez parkan, wykrzykując serdeczności w swoim śpiewnym języku. Uchodźczynie otwierały torebki i zdumiewały się. Słodkie sucharki. Kanapki. Chleb pszenny. A któregoś wieczoru – ku wielkiemu szczęściu Eugenii – torebka drożdżówek. Helena i Apolonia musiały się z nią szarpać, żeby raczyła się podzielić z innymi.

Jednym z wielu mężczyzn pojawiających się wieczorami pod Domem Koncertowym był Bernhard Pettersson, któremu w odróżnieniu od innych zdawał się przyświecać inny cel. Może dlatego, że był starszy, a może dlatego, że był znany z bogobojności. Kiedy młodzi mężczyźni, nieporadnie szczerząc zęby, przesyłali im całusy, z politowaniem kręcił głową. Bidulki! Biedne głodne dziewczynki! Chciał coś dla nich zrobić. Coś im dać.

Miriam nie miała pojęcia, jak doszło do zaproszenia. Poinformowała je o tym szeptem wyjątkowo mniej rozjuszona Helena. Ona, Miriam, Apolonia i jeszcze kilka dziewcząt, nie więcej niż dziesięć, w sobotę o czwartej po południu są mile widziane w domu Bernharda Petterssona.

– Przecież nie wolno nam wychodzić – powiedziała z niepokojem Miriam.

– E tam – odparła Helena. – Kichać na to. Kwarantanna kończy się w poniedziałek i jeden dzień wte czy wewte nie robi różnicy. Idziesz?

Miriam przełknęła ślinę. Czy powinna?

– Chyba nas zaprasza na tort – powiedziała Helena.

Pojawiła się migawka z przeszłości. Urodziny w klasztorze, bodaj przeoryszy... Dostały tort, coś dużego z bitą śmietaną, truskawkami i precelkami z czekolady. Na samo wspomnienie ślina napłynęła jej do ust. Tort? Tak, tak! Mało tego, chciały do niego wskoczyć, zagrzebać się w nim i wyjść, torując sobie drogę, jedząc, wypełniając gardło, podniebienie i brzuch ogromnymi ilościami biszkoptu, konfitur i bitej śmietany...

Tak. Była gotowa oddać życie, żeby jeszcze raz zjeść tort.

– Idę – szepnęła bez tchu do Heleny. – Jasne, że idę.

Poobiednie kawy w soboty wyglądały inaczej niż w inne dni. Zamiast codziennych słodkich sucharków podawano świeżo upieczone pszenne ciastka z cynamonem i cukrem kryształowym, w których do tego stopnia zasmakowali mężczyźni z Gwardii Krajowej i kobiety z Czerwonego Krzyża, że kiedy uchodźczynie zostały obsłużone, wychodzili do kuchni, zamykali za sobą drzwi i nikt nie stał na straży. Nazywali to przerwą. W tym czasie można było zakłócić ich spokój, tylko gdyby chodziło o czyjeś życie.

Tej soboty, kiedy podano kawę, dziesięć uchodźczyń siedziało na brzeżku krzesła i ledwie zamknęły się drzwi do kuchni, Helena wstała i wskazała głową w kierunku drzwi wejściowych. Jednocześnie podniosło się dziewięć pozostałych, uśmiechnęły się tajemniczo i po cichu wyszły.

Dom Bernharda Petterssona był czerwony na zewnątrz i brązowy w środku. Bardzo brązowy. Brązowe było linoleum w holu i kanapa w pokoju dziennym, ława lśniła ciemnobrązowym drewnem i połyskliwymi jasnobrązowymi wstawkami, żyrandol miał pięć metalowych brązowych ramion i pięć jasnobrązowych szklanych kloszy, kwieciste fotele były w dwóch odcieniach jasnego brązu. Nad kanapą wisiał kilim przedstawiający kilka jasnobrązowych osób na tle krajobrazu w kolorze ciemniejszego brązu. Wyglądał jak obrazek z książki do religii, którą Miriam miała w klasztorze. Rozczapierzone drzewa nazywały się palmy. Dobrze to zapamiętała, mimo że nigdy nie widziała palmy na własne oczy.

Stała z tyłu grupy i szybko przesunęła dłonią po sukience. Tuż obok dyszała zziębnięta Apolonia. Wysoka i szczupła, nie miała chyba najlepszej kondycji, bo zanim w końcu znalazły dom Bernharda Petterssona, o mały włos nie upadła. Nie służyły jej marszobiegi. Teraz próbowała ochłoniąć, głęboko wciągnęła powietrze i przybrała swoją zwykłą, lekko pogardliwą minę. Miriam trochę się od niej odsunęła i rozejrzała.

A więc to był dom. Szwedzki dom. Chyba nie różnił się niczym szczególnym od polskiego domu, bo dziewczęta klasnęły z zachwytem w dłonie i coś paplały, jakby nie tylko im się spodobał, ale jakby się w nim wręcz zakochały. Bernhard Pettersson wydawał się z kolei zachwycony ich zachwytem. Stał przy dużym stole jadalnym – też brązowym, nakrytym lśniącym białym obrusem i filiżankami do kawy w niebieskie kwiatki – uczesany na wodę i schludny, w świeżo wyprasowanej białej koszuli i krawacie w niebieskie prążki. Za nim, w szaroniebieskiej sukience, stała niska gruba kobieta z przekrzywioną głową, może jego żona, może gospoś, a może tylko jedna z sympatycznych parafianek.

Złożyła dłonie na brzuchu i bardzo dyskretnie się uśmiechała.

– A teraz bądźcie tak dobre i podejdźcie – odezwała się cieniutkim, ledwie słyszalnym głosem.

– Otóż to – powiedział Bernhard Pettersson. – Podejdźcie, proszę.

Helena odwróciła się i spojrzała na Miriam, która nie od razu zrozumiała, że ma tłumaczyć.

– Ach, pan Pettersson chce, żebyśmy podeszły – powiedziała po niemiecku.

Apolonia obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem i wyjątkowo otworzyła usta:

– Jak to, podeszły? Niby dlaczego?

Miriam wyprostowała plecy i ironicznie uniosła brwi, dokładnie tak jak

siostry Czerwonego Krzyża.

– Myślę, że chce nas poczęstować kawą. A ty co myślisz?

Potem nie mogła powstrzymać uśmiechu. Naprawdę. Czy nie zaczynała już być po trosze Szwedką?

Kiedy usiadły, Bernhard Pettersson mówił bez przerwy. O Aneby i historii Aneby. O wojnie i racjonowaniu żywności. O tym, jakie to było szczęście, że jego krewni mieli gospodarstwo rolne, dzięki czemu mogli go zaopatrywać w jaja, masło i śmietanę. I jak wszyscy byli wstrząśnięci, kiedy dowiedzieli się z gazet o obozach koncentracyjnych. O tym, że nie byli w stanie pojąć, jak cywilizowany naród, jakim był naród niemiecki, mógł się dopuścić takich zbrodni. O tym, że...

Miriam zamruwała z wyczerpania. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak męczące może być tłumaczenie i jak słabo zna szwedzki.

– *Vent* – powiedziała i westchnęła. – *Jeg...* Ja trochę odpocząć.

– Ach, moja droga – powiedziała miła pani. – Dziewczynka jest zupełnie blada na buzi. Musi przez chwilę poleżeć.

– Ach, moja droga – powiedział Bernhard Pettersson. – Naturalnie. Jakoś sobie poradzimy.

Miła pani wstała od stołu, objęła Miriam ramieniem, bardzo ostrożnie zaprowadziła ją do kuchni, posadziła na kuchennej sofie, wybiegła do pokoju dziennego, wróciła z dekoracyjną poduszką – brązową, ale z ciemnożółtym haftem krzyżykowym – i nakłoniła ją, żeby się położyła. Potem szybko się uśmiechnęła, chwyciła dzbanek kawy i poszła do pokoju dziennego.

– Dolewka? – spytała. – Komu dolewkę?

Miriam zamknęła oczy i cicho powtórzyła to słowo. Dolewka. Cokolwiek znaczyło.

Kuchnia nie była ciemnobrązowa jak pokój dzienny, tylko jasnobrązowa. Połowę ściany pokrywało jakieś drewno. Zobaczyła zlewozmywak z kranem i białą kuchenkę elektryczną, taką jak w Domu Koncertowym. Na kuchence małymi czarnymi literami było napisane jedno słowo. Uniosła głowę, żeby przeczytać. *An-kars-rum*. *Ankarsrum*. Czy to znaczy „kuchenka”? Ale po co pisać „kuchenka” na kuchence? Czyżby nie wiedzieli, co to jest, że aż trzeba to było napisać? Dziwne.

Nad sofą wisiała makatka z cienkiego papieru. Przedstawiała zadowolonego jasnowłosego chłopca jadącego na furze z sianem, przy drodze stała przeszczęśliwa jasnowłosa dziewczynka, która machała do niego, i radośnie uśmiechnięta złotowłosa młoda kobieta w niebieskiej sukience,

z koszykiem w ręku. Wysoko na sianie siedział białowłosy chłopczyk. Też uśmiechnięty. Nawet koń wydawał się uśmiechać. Wszyscy sprawiali wrażenie w pełni szczęśliwych, wolnych od mrocznych wspomnień i dojmujących smutków, jakby nie przeżyli ani jednego dnia, nawet jednej godziny, bólu i rozpacz. Wezbrał w niej gniew, wyciągnęła rękę, żeby zerwać makatkę i podrzeć ją na strzępy, ale w ostatniej chwili się opamiętała. Boże! Co jej odbiło? Miałaby podrzeć makatkę Bernharda Petterssona? I co dalej? Wyrzuciliby ją za drzwi. Przepędzili. Zostałaby raz na zawsze wyrzucona poza nawias tego społeczeństwa. Wyrzucona i traktowana z pogardą. A tego nie chciała. Chciała być Szwedką. Chciała mieszkać w domu z bieżącą wodą i kuchenką elektryczną, i dlatego musiała panować nad swoimi impulsami. Nigdy im nie ulegać! Przenigdy.

W pokoju dziennym rozległ się głośny śmiech, może Bernharda Petterssona, po chwili przyłączyła się do niego reszta towarzystwa. Chyba radzili sobie całkiem dobrze bez niej, mogła więc poleżeć jeszcze kilka minut i spokojnie się porozglądać. Przez cienkie białe zasłonki wpadało popołudniowe słońce. A przy drzwiach... coś siedziało i patrzyło na nią żółtymi oczami...

– O Boże!

Zerwała się na równe nogi i zatkała usta dłonią, zanim do niej dotarło, że tym czymś jest kot. Mały czarny kot z białymi łapkami i białą plamką na piersi. Kiedy ostatnio widziała kota? Hm. Na pewno dawno temu. Tak! Już sobie przypomniała. Tata dał jej i Didiemu kociaka, malutkiego słodkiego buraska... Nazwali go Chobolana, czyli Złośnik. Co się z nim stało? Czy naziści bardziej lubili koty niż Romów i pozwolili mu przeżyć? Może. Wcale by się nie zdziwiła...

– Chodź, motsa – szepnęła, poniewczasie uświadamiając sobie, że mówi po romsku.

Zamarła i nasłuchiwała. Czy ktoś ją usłyszał? Nie, raczej nie. W pokoju dziennym toczyła się urywana rozmowa po szwedzku, niemiecku, polsku i w jidysz. Wyciągnęła rękę do kota. Obrzucił ją arcy pogardliwym spojrzeniem, ale po chwili wstał, podszedł do niej, musnął ją noskiem po dłoni i pozwolił się posmyrać pod brodą. Ba, może wręcz się tym rozkoszował, bo mrużąc oczy, otarł się o jej nogi. Pochyliła się, wzięła go na ręce, wtuliła twarz w mięciutkie futerko i ze zdumieniem zauważyła, jaką to jej sprawiło przyjemność. Mięciutkie futerko, różowy nosek, białe łapki. Przeszył ją dreszcz, tak rozkoszny, że najchętniej siedziałaby w tej kuchni do końca życia, chciałaby czuć jego miękkość, ciepło i czułość, chciałaby...

– No nie – odezwała się miła pani, która nagle stanęła w drzwiach. –

Zaprzyjaźniłaś się z Ritą?

Miriam uśmiechnęła się.

– Tak. Mój przyjaciel.

– To dobrze. Ale teraz już ją puść, bo będziemy jeść tort.

Miriam uśmiechnęła się. Kot i tort. To był naprawdę rajski dzień.

Tort był pokryty śmietaną i pośrodku miał jasnoczerwoną różyczkę z marcepana. Na białej powierzchni widniał rysunek zrobiony zieloną galaretką, ale nie udało jej się zobaczyć, co miałyby przedstawiać. Kiedy miła pani wniosła go na paterze i postawiła na stole, w pokoju zapadła kompletna cisza. Wszystkie wpatrywały się w tort oniemiałe, dopóki Eugenia nie wydała z siebie przeciągłego jęku. Bernhard Pettersson i miła pani popatrzyli na nią ze zdumieniem, a uchodźczynie nie zareagowały.

– No tak – powiedziała miła pani, podając łypatkę do tortu Apolonii. – Proszę bardzo, częstujcie się.

Po raz pierwszy z twarzy Apolonii zniknął pogardliwy wyraz, teraz malowało się na niej wyłącznie osłupienie. Po chwili rozpromieniła się w uśmiechu, ciepłym szerokim i szczęśliwym, który niemal usunął czarne cienie z jej twarzy.

– Dziękuję, dziękuję byrdzo... – powiedziała łamanym szwedzkim.

Ustawiła łypatkę na sztorc i pozwoliła jej ostrożnie opaść, w nabożnym skupieniu ukroiła duży kawałek i przeniosła go na swój talerzyk. Tort obnażył swoje wnętrze. Ciasto biszkoptowe. Żółty krem maślany. Czerwona konfitura z malin. Apolonia podniosła na moment wzrok, napotkała spojrzenie Heleny, ale wydawała się dziwnie nieobecna, i z pewnym powątpiewaniem pokręciła głową. Potem otworzyła usta, oblizła wargi i wbiła łyżeczkę w swój kawałek.

Kiedy wracały do Domu Koncertowego, czuły się jak odurzone. Chichotały, nuciły i rozmawiały, idąc pod rękę w jednym szeregu. Zajmowały całą szerokość ulicy, ale nikomu to nie przeszkadzało, bo tego sobotniego wieczoru w Aneby nie było chyba żadnych samochodów. Te nieliczne, które były, stały gdzieś zaparkowane, podczas gdy ich właściciele siedzieli w spokoju, oszczędzali ściśle reglamentowaną benzynę i nie zakłócali sobotniego święta. Nigdzie śladu człowieka, w całym Aneby panowała cisza, nie licząc kościelnych dzwonów, obwieszczających koniec dnia świątecznego. Słońce zaszło za chmurę i zaczął siąpić deszczyk, ale dla uchodźczyń nie miało to najmniejszego znaczenia. Nieważne, deszcz czy słońce, wspaniale było żyć, po raz pierwszy od lat naprawdę wspaniale było

żyć!

Apolonia powiedziała coś po polsku, jeszcze raz pokazując swój ładny uśmiech. Krystyna, która kuśtykała obok Miriam, leciutko podskoczyła ze szczęścia i krzyknęła po polsku „Tak!”, co Miriam już rozumiała. Eugenia chyba się z nimi zgadzała i przynajmniej ten jeden raz nie mówiła o jedzeniu, bo Wiktorja zareagowała na jej słowa aprobującym chichotem. Ale Helena przystanęła w pół kroku, zmuszając tym samym wszystkie do zatrzymania się, po czym powiedziała najpierw po polsku, a potem po niemiecku, żeby Miriam też rozumiała:

– Nie. Nie pójdziemy dzisiaj wieczorem do parku ani do żadnego innego miejsca kwarantanny. Wracamy do Domu Koncertowego. W poniedziałek będziemy wolne. To tylko jeden dzień i wtedy będziemy mogły pójść, gdzie nam się spodoba.

Apolonia spojrzała na nią, skrzywiła się i powoli przybrała swoją zwykłą, pogardliwą minę.

W poniedziałek będziemy wolne. To tylko jeden dzień. Tak powiedziała Helena i te dwa zdania nie dały Miriam zasnąć niemal przez całą noc.

Wolne. Wolność. Co to właściwie znaczy?

Będzie mogła pójść, gdzie jej się spodoba, ale nie wiedziała, dokąd chciałyby pójść. I jak zareagują Szwedzi, kiedy zaczną chodzić swobodnie po ulicach? Czy wszyscy byli tacy mili jak Bernhard Pettersson i ta miła pani? Czy byli tutaj również źli ludzie, ludzie z pejczami, kijami i karabinami? Ludzie, którzy spojrzą na nią i rozpoznają w niej Romkę albo Żydówkę, albo mischlinga? A jeśli tak, to co by z nią zrobili? Czy w Szwecji w ogóle byli jacyś Romowie? Albo Żydzi? A jeśli tak, to czy byli życzliwi?

Westchnęła głęboko i gwałtownie obróciła się na łóżku, aż zaszeleściła papierowa kołdra.

I w końcu nadszedł. Poranek wolności. Poniedziałkowy poranek.

Miriam śniła się Sara e Kali, jej patronka z dzieciństwa, i kiedy się obudziła, wciąż miała ten sen pod powiekami, ale tylko przez sekundę, potem pękł jak bańka mydlana i zostawił w pamięci tylko fragmenty. Złożyła dłonie pod kołdrą, odwróciła się plecami do sali i zaczęła po raz pierwszy od lat modlić się do niej: „Kochana Czarna Sara, nie wiem, co ja i mój naród zrobiliśmy, żeby rozgniewać Boga, dlaczego Didi musiał umrzeć i Else, i Anusza, ale proszę cię, módl się za nich i za mnie...”.

E tam! To przecież bez sensu. Czarna Sara wcale nie była prawdziwą świętą, tylko figurką, którą Romowie sami wymyślili. Tak powiedziały zakonnice. A Bóg miał w nosie Miriam i jej naród, co raz po raz udowadniał. Odkąd żyła na tym świecie, Romowie i Żydzi musieli sobie radzić sami i pewnie nic się nie zmieni. Czyli najlepiej skupić się na tym, żeby przeżyć. Ale tym razem chodziło o to, żeby przeżyć na wolności. Powinno być dobrze, pod warunkiem że dalej będzie tak samo posłuszna i czujna, cicha i nieszczerza, jak od przyjazdu do Szwecji, że nigdy, przenigdy nie da żadnemu Szwedowi ani Niemcowi, ani żadnym gadziom do zrozumienia, kim naprawdę jest i co naprawdę myśli. Dzięki temu, że prawie wyzdrowiała, miała dużo więcej siły. Tyfus plamisty minął bez śladu, pokonała tego najgorszego ze wszystkich zabójcę, pozostawało tylko się odkarmić i nabrać trochę ciała na nogach. Przesunęła prawą dłońią po udzie. Wydawało się jakby nieco grubsze od rzepki. Albo przynajmniej prawie tej samej grubości.

Obróciła się na łóżku i usiadła. Popatrzyła na salę. Wszystkie spały. Wszyscyuteńkie. Mimo że wpadające przez okno słońce świeciło kilku dziewczętom prosto w twarz. Może to wcale nie był ranek, może wciąż była noc? Czy ona kiedykolwiek przywyknie do tych jasnych nocy? Tak. Przywyknie. Bo zostanie w Szwecji. Zrobi wszystko, żeby zostać. Poza prawdziwym światem.

Ostrożnie odrzuciła kołdrę i spuściła nogi, spięła się trochę, żeby bezszelestnie zeskoczyć. Nie chciała, żeby któraś się obudziła, chciała mieć ten pierwszy poranek na wolności wyłącznie dla siebie. Niestety uderzyła stopami o podłogę z głuchym odgłosem. Na ten dźwięk zastygła w bezruchu. Krystyna z dolnego łóżka jęknęła, ale na szczęście się nie obudziła i nie otworzyła oczu. Miriam odetchnęła i poszła na palcach do toalety.

Jej odbicie w lustrze nie wyglądało już jak widmo ani nie przypominało małego chłopca. Z całą pewnością napotkała spojrzenie dziewczynki, tyle że dziewczynki z dziwaczną fryzurą. Włosy, wciąż bardzo krótkie i nieumyte, płasko przylegały do głowy. Może powinna je umyć prawdziwym szamponem, tak jak inne dziewczęta? Siostry Czerwonego Krzyża położyły

przecież na szklanej półeczce nad umywalką nową tubkę.

Zaraz, zaraz. Jak one to robiły?

Najpierw nalać wody do umywalki, wody, która wypływała z kranu niebiańsko ciepła. Potem zanurzyć głowę. Wycisnąć trochę szamponu połyskującego macicą perłową na dłoń i wcierać w mokre włosy, aż zacznie się pieniść. Oj! Zachichotała w duchu do odbicia w lustrze. Jej głowa wyglądała jak czarno-biała cebula! Ale ta cebula upojnie pachniała... A potem opróżnić umywalkę i znów napuścić wody. Wypłukać. Opróżnić. I znowu wypłukać.

Kiedy skończyła, koszula nocna była mokra na ramionach i na plecach. Powinna była wcześniej o tym pomyśleć. Przez chwilę stała zakłopotana. Czy mogłaby zdjąć nocną koszulę? Czy mogłaby się rozebrać do naga? Tak. Inne czasami tak robiły. Wychodziły z toalety z mokrymi włosami i kroplami wody na plecach, owinięte tylko w ręcznik. Pólnagie. I ani trochę się nie wstydziły. Cóż, nie były przecież Romkami...

Ale Miriam też nie była. Miriam Goldberg była Żydówką. A Żydówki najwyraźniej mogły być nagie, kiedy były same, i półnagie w obecności innych.

Sprawdziła, czy drzwi do toalety na pewno są zamknięte, zdjęła mokrą koszulę, rozłożyła ją na kaloryferze, napełniła umywalkę wodą, starannie umyła twarz i ręce, zmoczyła róg ręcznika, zamieniając go w myjkę, i przetarła nim całe ciało. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać na siebie, mimo że oglądanie swojego nagiego ciała nie było zupełnie w porządku. No tak. Bardzo widoczne żebra. Kanciaste biodra. Kolana wciąż większe niż uda. Połowa tatuażu tuż obok niebieskiej blizny. Delikatnie przesunęła po nim palcem i przez moment miała nieprzepartą ochotę zakląć równie dosadnie jak Helena. „Cholerni, pierdoleni naziści!” Ale nie mogła. Nigdy nie nauczy się przeklinać.

Lekko westchnęła, owinęła się ręcznikiem, narzuciła mokrą koszulę na ramiona i pobiegła na palcach do sali sypialnej. Szybko pokonała długie przejście między piętrowymi łózkami i w końcu dotarła do krzesła, na którym leżały jej ubrania. Zrzuciła koszulę nocną, sięgnęła po sukienkę, czym prędzej włożyła ją przez głowę, poczuła lekki zapach potu, przez sekundę zapragnęła mieć drugą sukienkę na zmianę, żeby mogła wyprać jedną, kiedy nosiła drugą, ale zdusiła to pragnienie, żeby nie prowokować Boga ani świętych, ani sióstr Czerwonego Krzyża, które mogłyby odczytać jej myśli. Było dobrze tak, jak było. Stokrotne dzięki, że było tak jak teraz, a nie jak zaledwie półtora miesiąca temu!

Potem wyciągnęła ręcznik spod sukienki i zanim włożyła majtki, szybko

się rozejrzała. Wyglądało na to, że wszystkie spały. Żadna jej nie widziała.

Dzięki Bogu.

Pod tarasem wciąż stał na straży mężczyzna z Gwardii Krajowej. Uśmiechnął się, kiedy wyszła i pokazała na zegarek.

– Która? – spytała.

Głęboko się zaciągnął i wyrzucił peta.

– A niech mnie. Ty już mówisz po szwedzku. Całkiem niezłe. Jest wpół do piątej... Dlaczego wstałaś?

Miriam wyprostowała plecy i ostrożnie cofnęła się o krok na wypadek, gdyby chciał podejść bliżej.

– Ach. Nie mogłam spać.

– Uhm. Tak, to zrozumiałe. Dzisiaj jest wielki dzień. Będziecie mogli wyjść.

Miriam przytaknęła bez słów.

Mężczyzna znów się uśmiechnął, ale nie podszedł bliżej, wciąż stał na swoim miejscu.

– Co wymyślicie?

Miriam zmieszana się.

– Wymyślicie?

Roześmiał się.

– Wymyślicie. Zrobicie. Co będziecie dzisiaj robić?

– Ach, *jeg*, ech, nie wiem... Chyba po prostu wyjdziemy.

– Słyszałem, że niektóre już wychodziły. Że kilka z was wymknęło się w sobotę po południu...

Miriam poczuła, że pieką ją policzki.

– Ach! – powiedziała bez tchu i lekko pochyliła się przed ciosem, który musiał nadejść.

Dlaczego wyszła na taras? Dlaczego nie została w łóżku? Wtedy to nie na nią spadłaby kara.

Mężczyzna wciąż się uśmiechał.

– Podobno byliście u Bernharda Petterssona.

Miriam kiwnęła głową w poczuciu winy.

– Tort – wymamrotała. – Miły.

Mężczyzna roześmiał się. Może jednak nie będzie bił. Wydawał się pokojowo nastawiony.

– Tak. Bernhard Pettersson jest bardzo miły. Ale niektórzy byli z tego powodu zazdrośni.

Miriam zmarszczyła czoło.

– Słucham?

– Zazdrośni.

Miriam pokręciła głową. Nie rozumiała tego słowa.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To znaczy, że byli inni, którzy też chętnie by was zaprosili na tort. Którzy żałują, że to nie oni wpadli na taki pomysł. Młodszy mężczyźni. Młodzi mężczyźni.

– Ach!

Mężczyzna zrobił lekki grymas.

– Jeśli chcesz dobrej rady, jeśli chcesz naprawdę dobrej rady, to z młodymi mężczyznami trzeba bardzo ostrożnie.

Miriam, zmieszana, kiwnęła głową i leciutko dygnęła.

– Tak zrobię – powiedziała. – Dziękuję.

Przy śniadaniu panował chaos. Kobiety tłoczyły się wokół czajników z kawą i koszyków z pieczywem i nagle mówiły inaczej, jakby w ciągu ostatniej nocy ich głosy nabrały ostrości. Wszystkim nagle zaczęło się śpieszyć. Helena położyła obok filiżanki kawy pięć grubych kopert i próbowała uzyskać informację od którejś z sióstr Czerwonego Krzyża, jak dojść na pocztę. Krystyna w nagłym ataku szału wrzasnęła, że chce z nią iść, że Helena absolutnie nie może iść na pocztę bez niej, ale musi poczekać, dopóki nie napisze wszystkich listów. Właśnie tak! Musi na nią poczekać! Helena omal nie udławiła się kawą, przeszła na polski, puściła długą i celną wiązanę, czym wywołała na twarzy siedzącej obok Apolonii chwilowy wyraz radosnego zaskoczenia zamiast pogardy, ale i ona drgnęła, kiedy Helena uderzyła dłonią w stół. Łup! Nie, Helena nie zamierzała czekać, aż Krystyna skończy pisać listy! O nie! Krystyna wybuchnęła płaczem, nic to jednak nie pomogło, Helena wstała po zjedzeniu zaledwie połowy kanapki i zabrała koperty, Eugenia rzuciła się na jej niedojedzoną kanapkę i wepchnęła ją do ust, a Zofia zaczęła łkać i wspominać Stanisława.

– Uff – powiedziała Ebba, najmłodsza siostra Czerwonego Krzyża, kiedy Miriam weszła do kuchni z kilkoma filiżankami po kawie. – Dzisiaj jesteście zupełnie dzikie!

– Tak. Ale może to nie takie dziwne.

– Oczywiście, że nie. To wasz wielki dzień. Co będziesz robić?

Miriam odstawiła filiżanki i usiłowała mówić maksymalnie poprawną szwedczyzną.

– Najpierw zajmę się zmywaniem. Potem zobaczymy.

Ebba przekrzywiła głowę.

– Ale dzisiaj nie będziesz zmywać... Ja to zrobię.

Miriam spuściła wzrok i lekko dygnęła.

– Ale ja bardzo chętnie. Proszę! Proszę mi pozwolić.

Nagle w Domu Koncertowym zaległa kompletna cisza. Nagle sala sypialna była kompletnie pusta. Miriam stała nieruchomo w drzwiach na taras i rozglądała się. Co ma robić? Pozmywała po śniadaniu i zamiotła podłogę w kuchni. Może mogłaby zamieść podłogę w sali sypialnej? Tak. I podłogę w holu. I w toalecie...

Tak robi.

Pchnęła drzwi do kuchni, wzięła szczotkę i szufelkę, z ulgą zauważyła, że nie ma w pobliżu żadnej z siostr Czerwonego Krzyża, i wróciła do sali sypialnej. Kucnęła i zaczęła starannie zmiatać podłogę. Małymi ruchami. Nie za mocno. Ale i nie za lekko, żeby zebrać na szufelkę wszystek kurz, wszystek piasek i wszystkie drobne śmieci. Po chwili wyprostowała kark i rozejrzała się. Ma co robić. Całe szczęście. Dokładne zamiecenie całej sali sypialnej w Domu Koncertowym zajmie jej blisko godzinę. I przez godzinę nie będzie musiała nigdzie wychodzić.

Boję się, pomyślała i natychmiast zmiotła to słowo. E tam. Nie za bardzo się bała. I nie za bardzo czuła się samotna.

W końcu zamiotła całą salę sypialną. Wyczyściła umywalkę w toalecie. Wypucowała krany. Uczesała się. Pozapinała wszystkie guziki w sukience. Podciągnęła skarpetki. Odkurzyła buty.

Całkiem po prostu nie było nic więcej do zrobienia. Pozostawało zrobić tylko to, co inne. Postawić jedną stopę przed drugą. Pójść na spacer. Wyjść.

Kiedy pchnęła drzwi wejściowe, serce jej załopotalo i przez sekundę miała wrażenie, że uginają się pod nią kolana. Else, pomyślała. Co zrobiłaby Else

w takim dniu jak ten? Odpowiedź była oczywista. Else na pewno by wyszła. Byłaby czujna i ostrożna, ale na pewno by wyszła. Muszę zrobić jak Else. Wychodzę. Sama.

Drzwi zamknęły się za jej plecami z cichym trzaskiem, ostrożnie podeszła do dwóch stopni prowadzących na ulicę, zeszła po nich, przez chwilę stała nieruchomo, po czym odważyła się rozejrzeć. Niebo nad jej głową było głęboko niebieskie. Ani jednej chmurki. Drzewa były intensywnie zielone. W ogrodzie po drugiej stronie ulicy rosły niebieskie, żółte i czerwone kwiaty. Poznała te czerwone. Nazywały się róże. Odetchnęła. To rzeczywiście była prawda. Była wolna, stała na wyludnionej ulicy i patrzyła na kwitnące róże.

Nie musiała się bać. Była tego pewna. Niemal całkiem pewna.

Józefa siedziała w parku oparta plecami o drzewo, z zamkniętymi oczami. Miriam ruszyła do niej z wahaniem. Może chciała być sama? W jej obecności czuła się mniej wartościowa. Może dlatego, że Józefa umiała grać Chopina na tym dużym pianinie? Nie, na fortepianie, duże pianino to przecież fortepian. Chociaż jednocześnie wiedziała, że to nie takie proste. Miało to coś wspólnego z jej wyprostowaną sylwetką, jej chłodną uprzejmością wobec innych, z jej nienagannie uczesnymi miodowymi włosami, jej zadbanymi paznokciami i miękkimi białymi dłońmi. Józefa na pewno się bała, może tak samo jak ona, ale miała coś jeszcze, czego ona nie miała. Godność? Dumę?

Ponieważ Józefa jej nie zauważyła, Miriam, podchodząc do niej, odchrząknęła. Józefa w pierwszej chwili chciała się poderwać. Pewnie się bała.

– Ach! – odezwała się na jej widok i wypuściła powietrze. – To ty.

– Tak.

Poklepała trawę.

– Siadaj.

– Może wolisz być sama?

Józefa uśmiechnęła się.

– Byłam sama przez całe przedpołudnie. A ty co robiłaś?

Miriam wygładziła sukienkę z tyłu i usiadła pod sąsiednim drzewem.

– Sprzątałam.

Józefa lekko się skrzywiła.

– Sprzątałaś? Dlaczego?

Miriam wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Józefa westchnęła.

– Ja nie wiem, jak się sprząta. Moja mama nie chciała... Uważała, że powinnam się zająć tylko nauką. I oczywiście grą na pianinie. – Jej głos stał się trochę niewyraźny, umilkła w połowie zdania, potem wciągnęła powietrze i podjęła: – Bardzo tęskniłam do tego parku. Myślałam...

Umilkła, zamrugła kilka razy i odwróciła głowę. Miriam wymruczała coś, ale nie bardzo wiedziała co. Przez krótką chwilę panowała cisza.

Józefa pociągnęła nosem.

– Masz kogoś?

Miriam nie miała odwagi na nią spojrzeć. Przecząco pokręciła głowę w odpowiedzi.

– Ja też nie. Moi rodzice, mój dziadek i młodsza siostra... – Józefa mówiła przytłumionym głosem. – Najpierw getto, potem Majdanek.

Miriam zerknęła na nią.

– Majdanek? Obóz?

Józefa kiwnęła głową. Miriam odwróciła wzrok. Gdzieś w tle dało się słyszeć ciche szemranie. Może to była ta struga, o której mówiły siostry Czerwonego Krzyża. Svartån. Czarna Struga. Naprawdę była czarna?

– Jak to będzie? – odezwała się Miriam, zdumiona swoim pytaniem. – Co z nami będzie?

Józefa znów westchnęła.

– Nie wiem...

– Zostaniesz w Szwecji?

Józefa wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Język wydaje mi się dość trudny...

– Nie jest szczególnie trudny.

Józefa znów wzruszyła ramionami.

– Może nie. Nie wiem. Wiem tylko, że nie chcę wracać do Polski. Nie. Nigdy. Ale dokąd pojechać? Do Ameryki? Myślisz, że możemy pojechać do Ameryki?

– Ja nie chcę do Ameryki. Chcę zostać tutaj.

Józefa pokręciła głową.

– Ale jak długo tutaj będzie bezpiecznie? Nie wiadomo.

Miriam przygryzła dolną wargę.

– Chyba nigdzie nie wiadomo.

– Tak, może i tak. – Józefa zaczęła się podnosić. – Ty też przyjechałaś pociągiem widmo?

Miriam zamrugła ze zdumienia.

– Pociągiem widmo?

– Tym pociągiem, który ewakuował ostatnie więźniarki Ravensbrück.

– Nie wiem. Przyjechałam pociągiem, ale prawie przez całą podróż byłam nieprzytomna. Ale to nie był żaden pociąg widmo. Poza tym w Ravensbrück zostały jeszcze inne... My nie byliśmy ostatnie.

Józefa lekko się uśmiechnęła i lekko pokręciła głową, jakby Miriam była niebotycznie głupia.

– Mam na myśli ostatnie, które przyjechały do Szwecji. To jasne, że w Ravensbrück zostały jeszcze inne. Tysiące. Dziesiątki tysięcy. Mnóstwo Rusek, Cyganek i innych mend...

Ziemia zakołysała się pod Miriam. Dobrze, że siedziała. Zamrugła, musi coś powiedzieć, to absolutnie konieczne, żeby coś powiedziała, żeby Józefa nie zauważyła jej wzburzenia.

Odchrząknęła.

– Dlaczego nazwałaś ten pociąg pociągiem widmo?

Józefa uśmiechnęła się.

– Chyba naprawdę byłaś nieprzytomna. Ten pociąg pomylił tory. Nie pamiętasz? Wjechał na ślepy tor i stanął. Po prostu zniknął i pojawił się dopiero po paru dniach. Dlatego Czerwony Krzyż zaczął go nazywać pociągiem widmo. Pójdziemy popatrzeć na strugę?

Miriam, szukając podparcia, położyła dłoń na trawie.

– Nie – powiedziała. – Chyba nie. Chciałabym tu jeszcze przez chwilę posiedzieć.

Jeśli wcześniej była zamknięta w sobie, po rozmowie z Józefą stała się nieśmiała. Zachowywała się z rezerwą. Pilnowała się, żeby nie patrzeć z przesadną ciekawością na inne uchodźczynie, nie prosiła ich o przetłumaczenie tego, co mówiły po polsku albo w jidysz, coraz bardziej garnęła się do sióstr Czerwonego Krzyża, chętnie pomagała w kuchni i ćwiczyła szwedzki.

– Ty nie pochodzisz z Polski, co? – spytała ją pewnego dnia Ebba, kiedy zmywała naczynia.

Na moment wyprostowała plecy, zmusiła się do opuszczenia ramion i usiłowała wyglądać jak zwykle.

– Nie – powiedziała. – Urodziłam się w Niemczech.

– Dziwne, że tu trafiłaś... Między te wszystkie Polki.

Miriam udało się lekko wzruszyć ramionami.

– Tak. Możliwe.

Ebba wzięła ścierkę i zaczęła wycierać szklanki.

– Nie wiesz, czy któreś z nich to Żydówki?

Miriam oniemiała. Czyżby plan Heleny się powiódł? Czy ludzie z Czerwonego Krzyża nie wiedzieli, że przynajmniej połowa uchodźczyń w Domu Koncertowym to Żydówki?

– Żydówki? – powiedziała bez tchu i leciutko się zawahała. – Tak. Kilka pewnie tak.

– Aha. Które?

Miriam zamknęła oczy. Czy powinna? Tak. Powinna.

– Na przykład ja. Ja jestem Żydówką.

Stało się. Skłamała. Nigdy już tego nie cofnie, jej słowa wibrowały w powietrzu. Ale na Ebbie chyba nie zrobiły wrażenia.

Wstawiła szklanki do szafki nad blatem.

– Aha. I kto jeszcze?

– Sama je o to zapytaj...

Ebba lekko się skrzywiła.

– Jasne. Oczywiście. Przepraszam. Macie złe doświadczenia. A nam właściwie nic do tego.

Miriam zamruwała. Siostrom Czerwonego Krzyża nic do tego? To coś nowego.

Ebba uśmiechnęła się za jej plecami.

– Uważam tylko, że to trochę przykre, że jesteś sama, że nigdy nie wychodzisz z innymi dziewczętami...

Miriam wyprostowała plecy.

– Ach, nic nie szkodzi. Jest mi dobrze. Bardzo dobrze. Mogę uczyć się szwedzkiego.

– Tak, wiem. Jesteś bardzo zdolna. Ale musisz się też nauczyć wychodzić. Być wśród ludzi. Więc w sobotę pójdziesz ze mną.

– Aha. – Miriam dygnęła. – Bardzo dziękuję.

Klamka zapadła.

I tak zaczęła się ich nieśmiała znajomość. W sobotę rano Ebba przyszła do Domu Koncertowego i powiedziała, że tym razem kto inny pozmywa po śniadaniu, bo ona i Miriam wychodzą. I tyle. Potem wzięła Miriam pod rękę, poprowadziła przez salę sypialną, a kiedy wyszły na ulicę, zatrzymała się na moment, cofnęła o krok, obrzuciła ją spojrzeniem z góry na dół, otrzepała jej ramiona z kurzu i uśmiechnęła się.

– Szkoda, że nie masz kapelusza – powiedziała. – Wyglądałabyś jak prawdziwa dama.

Miriam przesunęła dłonią po brzuchu. Dzisiaj rano dostała nową sukienkę i nie bardzo wiedziała, co o niej myśli. Czy jest ładna czy dziwna? W szaroniebieskie wzory na białym tle, które niczego nie przedstawiały, ani kwiatów, ani kropek, ani gwiazdek, przypominały jakieś kleksy. Ale dobrze leżała.

– To nowiutka sukienka. – Ebba uśmiechnęła się szeroko. – W zeszłym tygodniu dostaliśmy w prezencie czterdzieści sukienek Carlsunda²² i tę odłożyłam dla ciebie. Jest bardzo nowoczesna. Sama miałam wielką ochotę na jedną z nich, ale... cóż. Ja przecież mogę sobie kupić taką sukienkę. Kiedyś. Kiedy będzie mnie na nią stać.

Miriam potrząsnęła głową. Zrozumiała tylko połowę z tego, co usłyszała, ale domyśliła się, że powinna powiedzieć coś miłego.

– Twoja sukienka też jest ładna. I twój kapelusz.

Ebba puknęła w kapelusz czubkami palców.

– Kupiłam go w tym roku. Naprawdę ci się podoba?

– Bardzo!

Nie skłamała. Kapelusz Ebby był naprawdę ładny. Biały słomkowy z niebieską wstążką. Też chciałyby taki mieć. I taką samą kwiecistą sukienkę z niebieskim paskiem w talii. Nie mówiąc o jasnych kręconych włosach i dużych szarych oczach. To by wiele zmieniło.

– Program wygląda następująco – powiedziała Ebba. – Najpierw pójdziemy do sklepu, potem spotkamy się z Larsem-Evertem i pójdziemy do kafejki, a potem pojedziemy na rowerach do Stalpet.

Doszły do rynku. Na jego widok Miriam przystanąła na moment, tym samym zmuszając Ebbę do zatrzymania się. Stały bez ruchu i rozglądały się. Ebba chyba zrozumiała, że dla Miriam to coś zupełnie nowego. Sklepy. Wokół rynku były co najmniej cztery. Jeden chyba z mlekiem i serami, drugi z artykułami kolonialnymi, trzeci z mięsem i wędlinami, czwarty z odzieżą. Wszystkie miały duże witryny, duże błyszczące okna wystawowe, które

połyskiwały w słońcu. Po szybie w sklepie mięsny spływała woda, ogromne ilości wody, która w jakiś magiczny sposób wydobywała się z niewyczerpanego źródła.

– Skąd to się bierze? – spytała Miriam.

Ebba zmarszczyła czoło.

– Co takiego?

– Woda. – Miriam pokazała na szybę. – Na oknie. Skąd ona się bierze?

Ebba wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie mają jakieś specjalne urządzenie.

– Ale dlaczego chcą, żeby spływała po szybie?

Ebba lekko się skrzywiła.

– Chyba dlatego, żeby w środku było zimno. Tak myślę. Ale dajmy temu spokój. Chodźmy popatrzeć na ubrania.

Miriam zamrugła, nie mogła się powstrzymać, musiała zapytać.

– Dlaczego?

– Dla przyjemności.

Miriam kiwnęła głową. Nie odważyła się przyznać, że nigdy w życiu nie była w sklepie.

Zmieniła temat.

– Ile masz lat?

Ebba liczyła w myślach.

– Dwadzieścia jeden. Prawie. A ty?

Miriam spoliczkowała się w duchu. Powinna była przewidzieć, że w odpowiedzi Ebba zada jej to samo pytanie.

– Siedemnaście. – Zamrugła i po chwili dodała, żeby to bardziej uwiarygodnić: – W czerwcu skończę siedemnaście.

– No proszę. – Ebba uśmiechnęła się. – Niedługo będziemy miały przyjęcie urodzinowe. No chodź, popatrzmy na ubrania.

Miriam zakręciło się w głowie.

– Ale ja nie mam pieniędzy!

Ebba roześmiała się.

– E tam. Żeby wejść do sklepu, nie musisz, do diaska, mieć pieniędzy. Tylko sobie popatrzemy.

Pchnęła drzwi, zrobiła krok do środka i przytrzymała je, żeby Miriam mogła wejść tuż za nią.

Kafejka okazała się piekarnią. Ale taką piekarnią, w której była malutka salka ze stolikami i krzesłami. Widocznie można było sobie wybrać miejsce, bo Ebba tylko na moment zatrzymała się przy drzwiach, po czym pewnym krokiem podeszła do stolika pod dużym oknem, odsunęła krzesło i usiadła. Miriam pospieszyła za nią. Ludzie przy innych stolikach wydawali się nie zwracać na nikogo uwagi. Przy jednym rozmawiały jakieś panie. Przy sąsiednim starszy mężczyzna czytał gazetę. A tuż obok trzej młodzi mężczyźni, którzy najpierw śledzili wzrokiem ją i Ebbę, a potem się pochylili i coś szeptali. I śmiali się. Miriam lekko skrzyżowała ramiona i dyskretnie chwyciła się za łokcie.

– E tam – powiedziała Ebba, obrzucając ich spojrzeniem. – Nie przejmuj się nimi. Zaraz przyjdzie Lars-Evert.

– Lars-Evert?

– Mój narzeczony.

Miriam nie mogła ukryć zakłopotania. Nie знаła tego słowa.

– Narzeczony?

Ebba roześmiała się.

– Jestem z nim zaręczona. Wyjdę za niego za mąż.

– Ach. To twój mąż?

– Jeszcze nie. Ale nim będzie. O, widzisz, już jest!

I rzeczywiście był. Młody mężczyzna w szarej marynarce i sflaczałym krawacie, o czerwonej twarzy i żółtawych zębach. Duży. Bardzo duży. Ale niegruby, składał się tylko z mięśni, kości i skóry. Położył swoją gigantyczną dłoń na oparciu plecionego krzesła obok Ebby, odsuwając je, pochylił się i pocałował Ebbę w policzek. Młodzi mężczyźni przy sąsiednim stoliku parsknęli, ale czym prędzej odwrócili wzrok, ledwie Lars-Evert na nich spojrział.

– Co jest? – spytał.

Mężczyźni patrzyli w sufit. Lars-Evert nie odrywał od nich oczu, zastygł w bezruchu, po chwili wzruszył szerokimi barkami i dodał:

– Aha. Nic. Tak myślałem.

Ebba uśmiechnęła się i skuliła, jakby chciała stać się mniejsza, położyła małą białą dłoń na dużej czerwonej Larsa-Everta i odezwała się głosem znacznie jaśniejszym niż dotąd:

– Lars-Evert, to jest Miriam. Dziewczyna, o której ci opowiadałam.

Lars-Evert zwrócił na nią jasnoniebieskie spojrzenie. Nerwowo przesunęła się na krześle, nie wiedziała, co powinna zrobić. To była ewidentna *presentasjon*. Ma wstać i dygnąć? Czy siedzieć i głupio się uśmiechać?

– Cześć, Miriam! – powiedział Lars-Evert. – Zaraz przyjdzie Knut.

Miriam kiwnęła głową i wciąż się uśmiechała. Świat był niepojęty.

Knut okazał się mniejszą wersją Larsa-Everta. Taka sama szara marynarka i sflaczały krawat, taka sama nijaka fryzura, włosy zaczesane do tyłu, i taka sama czerwona twarz. Tylko zęby skrzyły się białą, kiedy się uśmiechał. Grzecznie się uklonił i zamknął jej dłoń w swojej. Miło poznać, miło, miło.

– Podobno dziewczęta z Domu Koncertowego lubią tort – powiedział, siadając na krześle obok Miriam. – To może można zaprosić na kawałek tortu?

Lars-Evert zmarszczył czoło.

– Masz kupony, żeby i dla nas starczyło?

Przez moment Knut wyglądał na zakłopotanego.

– Oczywiście. Absolutnie.

Do ich stolika podeszła kobieta w średnim wieku w czymś w rodzaju munduru, w białej marynarce i czarnej spódnicy. Knut powiedział coś o kawie, a Lars-Evert dodał coś o torcie. Cztery razy.

Ebba pochyliła się nad stolikiem i wyjaśniła ścisłym głosem:

– To była kelnerka.

Miriam powtórzyła:

– Kelnerka.

Knut popatrzył na nią i błysnął zębami w uśmiechu.

– Właśnie. Kel-ner-ka.

– Miriam ma ucho do języków. – Ebba lekko klepnęła dłonią w blat. – W miesiąc dużo się nauczyła.

Miriam spuściła wzrok. Czy odważy się odezwać? Tak.

– Znałam już trochę norweski – powiedziała i jednocześnie się zdumiała,

że jej głos zabrzmiał tak pewnie, jakby przywykła do rozmów z nieznanymi mężczyznami.

Lars-Evert pytająco uniósł brwi.

– Norweski?

– Tak. Nauczyłam się trochę norweskiego w Ravensbrück.

– Ravensbrück? – Kurt znowu błysnął uśmiechem. – Czy to miasto leży w Niemczech?

Miriam odwróciła głowę i napotkała jego niebieskie spojrzenie.

– Tak. Ale to nie jest miasto. To jest... to był obóz koncentracyjny.

Ebba zrobiła grymas i załopotowała rękami.

– Oj, nie... Fuj! Pomówmy o czymś przyjemnym.

Lars-Evert i Knut przyjechali na rowerach i kiedy wypili kawę i zjedli tort, czym prędzej chcieli do nich wrócić.

– Usiądziemy na bagażniku – powiedziała Ebba, kładąc rękę z tyłu roweru.

– Pokażę ci...

Podskoczyła, usiadła bokiem, objęła ramionami Larsa-Everta i czule przytuliła policzek do jego pleców.

Miriam zrobiła pytającą minę.

– Ale... przecież obie się nie zmieścimy.

Ebba roześmiała się.

– Jasne, że nie. Ty nie będziesz siedziała tutaj, usiądziesz na rowerze Knuta.

Miriam okręciła się. Oczywiście, Knut stał przy swoim rowerze, uśmiechnięty, gotowy wsiąść. Cofnęła się o kroczek. Czy musi go objąć? Czy musi przytulić policzek do jego pleców? Do pleców kompletnie obcego mężczyzny?

– Tylko uważaj, żeby sukienka za bardzo nie fruwała – powiedziała Ebba.

– Bo może się dostać między szprychy, a to jest niebezpieczne. I musisz unieść nogi. O tak. No wskakuj.

Miriam przełknęła ślinę.

– Ale...

Lars-Evert zmarszczył czoło.

– Nie marudź, tylko wskakuj.

To był rozkaz. I Miriam zrobiła to, co zawsze. Wykonała.

Nie było tak źle, jak myślała. Przeciwnie. Było całkiem przyjemnie. Siedziała na bagażniku Knuta, świstał brązowy żwir, czuła podmuchy letniego wiatru na ramionach i plecy Knuta na policzku. Były ciepłe. I czuła, jak pracują mięśnie jego brzucha, kiedy naciskał na pedały. Poza tym ładnie pachniał. Trochę ostro, jak mydło.

Lars-Evert, który jechał przed nimi, coś powiedział, na co Ebba się roześmiała, jej uniesione wyprostowane nogi zahusłały się i roześmiała się jeszcze głośniej. Miriam też wyprostowała nogi, popatrzyła na buty i podniosła wzrok. Wszystko dookoła mieniło się kolorami. Jasnoliliowe kwiaty na poboczach. Błyszczące zielone liście na drzewach. I częściowo przekwitła stara jabłoń, której białe płatki osypywały się na ziemię. Jak płatki śniegu. Poszybowała myślą do jabłka, które podniosła, kiedy maszerowały przez Fürstenberg, ale się opamiętała. Ebba nie chciała słyszeć o Ravensbrück, widocznie to był bardzo przykry temat, bo od razu jej głos stawał się piskliwy. Może żaden Szwed nie chciał mówić o obozach koncentracyjnych. Na to wyglądało. Ani jedna siostra Czerwonego Krzyża w Aneby nigdy nie powiedziała słowa o obozach, żadna ani razu nie zapytała o komory gazowe i roboty przymusowe, o śmierć. A, nie. Bernhard Pettersson wspomniał o obozach, coś o Niemcach i narodzie cywilizowanym, i że nikt nigdy by nie pomyślał... Ale żadna nic mu nie powiedziała. Żadna mu nie powiedziała, dlaczego Krystyna kuleje, dlaczego Józefa jest samiuteńka, ani tego, że Miriam miała kiedyś przyjaciółkę i braciszka. Może wszystkie przeczuwały, że Szwedzi nie chcą wiedzieć, że nie zniosą tej wiedzy, że przywoływanie wspomnień jest w tym kraju tematem tabu. Dlatego najbezpieczniej było nigdy więcej nie myśleć o Ravensbrück i Auschwitz. Starać się zapomnieć, odsunąć i pogrzebać to, o czym się mimo wszystko pamiętało. Odmówić sobie prawa do przeszłości...

– Bardzo proszę, panienko – powiedział Knut, hamując na żwirze z lekkim poślizgiem. – Jesteśmy na miejscu. To jest Stalpet. Duma Aneby.

Stalpet. *Spaltet*²³. Rozłupać. Rozpłatać. Posiekać.

Pod Miriam ugięły się kolana, wyciągnęła rękę, żeby się oprzeć o rower Knuta. Co on miał na myśli? Czy oni ją posiekają? Tutaj?

– Ojej! – zawołała Ebba gdzieś z daleka. – Uważaj! Ona mdleje!

Pochwyciły ją czyjeś silne ramiona, a sekundę później pochłonęła ją ciemność.

Ocknęła się i przez długą chwilę leżała z zamkniętymi oczami. Gdzieś w tle słyszała głosy: zaniepokojony Ebby, burczący Larsa-Everta i lękliwy Knuta.

A dalej, w głębi, jakiś szumiący, syczący, szepczący dźwięk. Dźwięk wody. Otworzyła oczy. Niebo wciąż było głęboko niebieskie. Unosił się na nim samotny strzępek chmury. Pachniała trawa, tuż obok rosły jakieś roślinki o grubych liściach i malutkich różowych kwiatkach, przypominających dzwoneczki.

– Dzięki Bogu, budzi się...

Ebba pochyliła się nad nią. Słomkowy kapelusz trochę się przekrzywił i wyglądała na zrozpaczoną. Dlaczego?

– Miriam, co z tobą? Lepiej ci?

Kiwnęła głową. Lepiej? Tak, dobrze się czuła. Przecież jest najedzona. Ma buty na nogach. I nikt jej nie uderzył. Jeszcze nie.

– Spróbujesz usiąść?

Ebba wsunęła dłoń pod jej plecy i lekko ją popchnęła. Po sekundzie Miriam sama się wyprostowała, usiadła i rozejrzała się. Nogawki spodni Larsa-Everta. Tuż za nimi nogawki spodni Knuta. A przy niej Ebba siedząca w kucki, wciąż zrozpaczona, ale już ciut mniej niż chwilę wcześniej.

– Moja droga. Moja droga. Ta wycieczka to chyba jeszcze nie na twoje siły.

Miriam usiłowała ją pocieszyć uśmiechem, ale nie wyszło jej za dobrze, ledwie drgnęły jej kąciki ust.

Ebba usiadła i ujęła jej dłoń.

– To było głupie z mojej strony, ale myślałam... myślałam, że jesteś silniejsza. Wydajesz się bardzo silna.

Miriam zamrugnęła. Silna? Ona wydaje się silna?

– Jestem silna – powiedziała. – Tak. Jestem silna.

Knut usiadł z drugiej strony, tak blisko, że musnął krawatem jej ramię. Nie chciała, żeby siedział tak blisko, ale nie wiedziała, jak to powiedzieć.

Przed nią stał Lars-Evert. Podniósł nogawki, obnażając przy okazji białe owłosione kostki.

– Dobrze, że mówisz. – Usiadł obok Ebby, podciągnął kolana i oparł na nich ramiona. – Ale silna raczej nie jesteś.

Miriam nie odpowiedziała. Oniemiała patrzyła na widok, który przed chwilą Lars-Evert częściowo zasłaniał. Tak. Już wiedziała, skąd ten dźwięk wody. To była woda. Zaledwie kawałek dalej spływała z kilku wysokich skał do małego stawu. Albo do jeziora. Albo do małej rzeki.

– Co to jest, to tam? – zapytała i pokazała.

Knut się roześmiał.

– Przecież ci powiedziałem. To Stalpet. Wodospad.

Lars-Evert zarechotał.

– Tak, moja droga. Zemdlałaś przed najładniejszym widokiem w całej Aneby. Przed Stalpet.

– Rok temu w tym miejscu Lars-Evert i ja zaręczyliśmy się. – Ebba znów mówiła jasnym głosem, delikatniejszym i bardziej kobiecym. – Lars-Evert był na przepustce, przyjechaliśmy tutaj i on nagle wyjął obrączki. Spójrz! Widzisz? Prawdziwe złote obrączki...

Wyciągnęła lewą rękę. Na serdecznym palcu lśniła cienka złota obrączka. Lars-Evert roześmiał się baranim głosem i wyciągnął swoją rękę. Miał identyczną obrączkę.

– To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu. – Ebba popatrzyła na obrączkę. – Tak się ucieszyłam, okropnie się ucieszyłam, że kupił te obrączki. Na świecie była wojna, a on wierzył w przyszłość. Wierzył w nas. Dzisiaj minął dokładnie rok, jest pokój, a wieczorem...

Miriam pociemniało przed oczami. Rok temu? Co ona robiła dokładnie rok temu? Didi już nie żył. Może stała przyciśnięta do ściany w bydłym wagonie w drodze z Auschwitz do Ravensbrück. Może ukradła innej więźniarce sukienkę i nazwisko. Może tego dnia o czwartej rano stała na placu apelowym i udawała, że jej nie ma. Może dostała w twarz od *Aufseherin*. Może próbowała odwrócić wzrok, żeby nie widzieć stosu trupów, może...

Nie. Nie pamiętać. Zapomnieć. Ale pamiętała. Pochyliła się i zwymiotowała na krzewinkę borówki.

CHŁOPIEC Z PIWNICY

*Raz księżyc w okno patrzył z wysoka,
nie mogłam nocą zmrużyć oka.
Ktoś zagląda w okno moje!
Zadrzałam, ale pytam: – Kto tam stoi?
– Czarna moja Cyganeczko,
niech mi drzwi odemkną!
– Wchodzi – widzę Żydóweczkę piękną.
Drży, trzęsie się cała
i prosi, żebym jeść jej dała.*

(...)

*Biedna moja Żydóweczka w niedoli!
Dałam jej, com tam miała, koszulę,
dałam chleba i garsteczkę soli²⁴.*

Papusza (Bronisława Wajs)

– Ka-gonk – mówi groźnie bernikla kanadyjska. – Ka-gonk, ka-gonk.

– Okej, okej – odpowiada lekko zirytowana Camilla. – Rozumiemy. Ale nam też wolno chodzić po parku.

– Ka-gonk!

– Oczywiście, że tak.

Miriam lekko się uśmiecha.

– Jest ich całkiem dużo...

I ma rację. Przed nimi tłoczy się prawie pięćdziesiąt niezwykle wzburzonych szaro-czarnych gęsi. To może mieć pewien związek z tym, że na trawie nieco dalej stoi kobieta w wieku Miriam i karmi je chlebem.

– To lekka przesada – mówi Camilla ściszym głosem. – Przecież one nie głodują. I nie ma ich zbyt wiele.

Miriam zniża głos do szeptu.

– Pst! Nie tak głośno. Może cię usłyszeć.

Camilla robi sceptyczną minę.

Miriam prostuje plecy i woła radosnym głosem:

– Cześć, Maud! Co u ciebie? Wszystko dobrze?

Kobieta podnosi głowę, widzi Miriam, jej skwaszoną twarz rozjaśnia błydy uśmiech.

– Cześć, cześć! Dziękuję, znośnie. A u ciebie?

– Świetnie.

Camilla nie może się powstrzymać, musi się wtrącić.

– Babcia ma dzisiaj urodziny. Osiemdziesiąte piąte.

Kobieta o imieniu Maud opuszcza torebkę z chlebem.

– Aha. Gratuluję, moja droga. Ja miesiąc temu skończyłam osiemdziesiąt siedem.

– Nieźle. – Miriam sili się na uśmiech. – Przyjmij moje spóźnione gratulacje!

– Nie ma czego gratulować. – Maud robi krok do przodu, ale nagle sobie uświadamia, że zagraża jej drogę pięćdziesiąt podekscytowanych gęsi. – Byłoby wspaniale, gdyby to się wreszcie skończyło...

Miriam obrzuca Camillę spojrzeniem i przyspiesza kroku, jakby chciała jak

najszybciej odejść.

– Tak czy inaczej, mamy dzisiaj prawdziwie piękny midsommarafon – mówi swoim najjaśniejszym i najmiłszym głosem. – Miłego dnia!

Maud podnosi torebkę i w niej grzebie.

– Ech, milej już nie będzie... Człowiek jest sam. Całkowicie sam.

Miriam macha ręką na pożegnanie i nie zwalnia kroku, jakby nagle bardzo jej się śpieszyło. Zatrzymuje się dużo dalej i kładzie dłoń na piersi.

– Uff! Okropnie się zadyszałam.

Camilla widzi pot na jej czole.

– Usiądźmy – mówi i prowadzi babcię ku najbliższej ławce.

Niewiele im już zostało do końca spaceru. Widać stąd dom jej rodziców.

Miriam ogląda się przez ramię.

– Oby tylko nie przyszło jej do głowy iść za nami...

Camilla śledzi jej spojrzenie.

– Nie, spokojnie. Właśnie odchodzi.

Miriam oddycha z ulgą.

– Świetnie. Maud jest dość męcząca. Teraz jest przeraźliwie samotna, mimo że ma czworo dorosłych dzieci i Bóg wie ile wnucząt. Wzbudza niesamowity żal. I jest wścibska. Nie można jej powiedzieć słowa za dużo ani słowa za mało.

Camilla robi lekki grymas.

– Aha. Dlaczego?

– Jak się powie słowo za dużo, wkrótce wie o tym całe miasto. A jeśli się powie słowo za mało, poczytuje to za wyjątkowy afront i potrafi zmyślić cokolwiek. To straszna plotkara.

Camilla patrzy za Maud, ale ta już zniknęła.

– Skąd się znacie?

– Ach, w Nässjö zna się prawie wszystkich rówieśników, zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy tacy starzy. Ale ją znam lepiej od innych. Kiedy się tutaj przeprowadziłam, pracowała u Olofa jako pielęgniarka dentystyczna.

Camilla lekko się uśmiecha.

– Była twoją rywalką?

Miriam jest autentycznie zdziwiona.

– Na Boga, nie. Wtedy była już mężatką. Ale mimo że zaczęła rodzić dzieci dopiero po kilku latach, Olof pozwolił jej zostać.

– Mimo że?

Miriam unosi brwi.

– Tak. Mimo że.

Camilla bierze oddech.

– Chodzi ci o to, że powinna była wylecieć, kiedy wyszła za mąż?

Miriam cmoka, lekko poirytowana.

– Nie, oczywiście, że nie o to mi chodzi. Poza tym nawet w tamtych czasach nie wolno było nikogo wyrzucać tylko dlatego, że ludzie się pobierali. Jednak takie były oczekiwania wobec świeżo upieczonych mężatek. Że będą się zwalniać. Uważano za coś trochę niemoralnego, żeby zamężne kobiety blokowały innym miejsca na rynku pracy. Skoro przeszły na utrzymanie męża, powinny zwolnić miejsce komuś, kto naprawdę tego potrzebował...

– Mój Boże!

Zapada cisza. Camilla kopie żwir czubkiem swojej baleriny i bierze głęboki oddech, żeby się uspokoić. To przecież nie jest wina Miriam, że lata pięćdziesiąte były, jakie były, że kobiety traktowano jak niewolnice domowe. Uwijały się w kuchni, skwaszone, rozgoryczone, przybite... Wszystkie z wyjątkiem Miriam. Ona z jakiegoś powodu nie była ani rozgoryczona, ani przybita.

– Jaki on właściwie był? – pyta nagle.

Miriam odwraca głowę i patrzy na nią.

– Kto taki?

– Dziadek. To znaczy, zanim zachorował, bo w ogóle go nie pamiętam z innego okresu.

– Ach. – Miriam lekko się uśmiecha. – Był zabawny.

Camilla robi lekki grymas.

– I ani trochę nie rozpieszczony?

Miriam rzuca okiem na Camillę i parska śmiechem.

– Jasne, że był rozpieszczony. Przecież był mężczyzną. Ale prawie nigdy

nie był pogardliwy. Nigdy nie był protekcyjny wobec kobiet. To mi się w nim podobało. I lubił gry słowne.

– Gry słowne?

Miriam śmieje się jeszcze szerzej.

– Tak. Kiedy byliśmy młodzi, często wymyślaliśmy różne rzeczy, dość niemądre. Na przykład przedrzeźnialiśmy ludzi. I bawiliśmy się słowami. A propos, wiesz, jak się nazywa silny kot?

Camilla kręci głową. Miriam chichocze.

– Turkot. A wiesz, jak się nazywa ubrany kot? Trykot. I tak się bawiliśmy. To było naprawdę bardzo śmieszne.

Olof siedział w dużym niebieskim fotelu i odwrócił do niej głowę, kiedy przechodziła z konewką.

– Wiesz, jak się nazywa hałaśliwy kot? – spytał.

Miriam uśmiechnęła się wyczekująco.

Olof zarechotał.

– Łoskot! A wiesz, jak się nazywa kot sportowiec?

Miriam pokręciła głową.

Olofowi zaświeciły się oczy.

– Piłkot!

– Oszukujesz!

Olof podniósł się do połowy, przyciągnął ją do siebie i posadził na kolanach razem z konewką.

– Co takiego? Występujesz przeciwko swojemu panu i mężowi?

Dotknęła policzkiem jego policzka i poczuła dobrze znany dreszcz przebiegający po kręgosłupie. Zarost. O tej porze dnia Olof zawsze miał lekki zarost, który budził w niej rozkoszną przyjemność. Pocałowała go w policzek.

– Chcesz dzisiaj kolację?

Mocniej przytulił ją do siebie.

– Oczywiście, że chcę kolację.

– To musisz mnie puścić.

– Niestety, nie mogę. To urok. Moje ramiona zamknęły się na dobre. Musimy tak siedzieć, dopóki nie umrzemy.

Miriam pocałowała go w czoło.

– Oj, niedobrze. I nic nie możemy zrobić, żeby zdjąć ten urok?

Olof głęboko westchnął i wsunął dłoń pod jej sukienkę.

– Prawdę powiedziawszy, możemy, ale to niestety oznacza, że muszę cię całować i pieścić w taki sposób, który absolutnie nie uchodzi w domu dentysty w zwyczajne sobotnie popołudnie w listopadzie...

Przesunął wargami po jej szyi. Zamknęła oczy i chłonęła jego zapach. Pachniał jak zielone mydło w łazience. Z niewielką domieszką proszku do prania Surf.

– Dzisiaj wieczorem – szepnął. – Wieczorem...

Trzasnęły drzwi i dwa buty uderzyły o podłogę w holu. Thomas szedł do nich w skarpetkach. Olof wypuścił Miriam z objęć, szybko wstała, włożyła prawy pantofel, który się zsunął, wygładziła fartuszek lewą dłonią i spojrzała na swoje odbicie w szybie. Za oknem było ciemno. Wyglądała dokładnie tak, jak chciała wyglądać. Jak z ogłoszenia w „Vecko-Journalen”. Nienagannie uczesane włosy. Schludna sukienka, wąska w talii, rozkloszowana u dołu. Haftowany fartuszek, raczej dla ozdoby niż dla ochrony. I naszyjnik z pereł, najwspanialszy zeszłoroczny prezent gwiazdkowy. Ilekroć go wkładała, drętwiała z przerażenia. Jak to możliwe, że ona, Miriam albo Malika, Cyganka, więźniarka obozów koncentracyjnych, oszustka, stała się uśmiechniętą kobietą z naszyjnikiem z pereł? Jak?

– Cześć! – powiedział siedmioletni Thomas, stając pod łukiem drzwi do pokoju dziennego.

Miał policzki czerwone jak zimowe jabłka i mokrą od potu grzywkę, która przykleiła mu się do czoła od noszenia czapki.

– Szybko będzie kolacja?

– Cześć, kochanie – powiedziała Miriam. – Tak. Szybko. Właśnie miałam obierać ziemniaki. Chcesz mi pomóc?

Olof się nie odezwał, uciekł spojrzeniem, uniósł kąciki ust, co mogło przypominać uśmiech, po czym wziął gazetę i zaczął czytać.

– Czy dziadek kiedykolwiek się dowiedział, że jesteś Romką? – pyta Camilla.

Miriam kręci głową. Nie. Nigdy.

– A nie było ci trudno tak przez cały czas udawać?

Miriam marszczy czoło.

– Ja nie udawałam. Kiedy byłam z Olofem, byłam Miriam. Wyłącznie

Miriam. Wtedy to była prawda. Tylko kiedy wychodził do pracy albo do Rotary, albo gdzie indziej, znów stawałam się Maliką... – Milknie na moment i nagle jej spojrzenie jest gdzieś daleko. – Chociaż właściwie nie stawałam się Maliką... Ja tylko ją sobie przypomiinałam. Przypomiinałam sobie jej wspomnienia, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A Olof śmiertelnie się bał wszystkich wspomnień, więc nigdy nie było mowy o tym, żebym mu cokolwiek opowiadała.

Camilla ma sceptyczną minę.

– Śmiertelnie się bał wszystkich wspomnień? Również tych dobrych?

– Niestety. Miało to, rzecz jasna, związek z szokiem po śmierci Marianne. Jedyne wspomnienia, jakie do siebie dopuszczał, dotyczyły jego i Hanny. Z Hanną mógł rozmawiać o dzieciństwie i różnych psotach, jakie wtedy wymyślał, ale nawet one musiały być w pewnym sensie przesiewane przez nią. A kiedy Thomas był w pobliżu, żadne wspomnienia nie wchodziły w grę...

– Biedny tata. Czy został całkowicie odcięty od przeszłości?

Miriam uśmiecha się.

– O nie. Miał przecież mnie i Hannę i my mu opowiadałyśmy. Pod warunkiem że zachowa to w tajemnicy i nie da poznać po sobie, że cokolwiek wie o psotach Olofa w dzieciństwie. Nic nie mogło zburzyć obrazu idealnego ojca.

Camilla ma łzy w oczach.

– To straszne! Nie mógł poznać swojego własnego taty?

Miriam lekko wzrusza ramionami.

– Tak było w tamtych czasach. Nie tylko w naszym domu. Ojcowie unosili się nad naszymi głowami jak jakiś rój niebiańskich decydentów. A my byliśmy mimo wszystko dość nowoczesną rodziną. Thomas zwracał się do nas per ty, co było nie do pomyślenia w żadnej innej rodzinie dentystycznej w Nässjö. Czasami razem jeździliśmy na łyżwach, wszyscy troje, albo zakładaliśmy narty i jechaliśmy do Lövhult.

– Ale jednak...

Miriam uśmiecha się nieco przepaszająco. Zastanawia się. Czy jest niesprawiedliwa wobec Olofa? Czy to dlatego czuje lekkie wyrzuty sumienia? Nie. To zwykłe poczucie winy, towarzyszące jej przez całe dorosłe życie, które pojawia się za każdym razem, ilekroć pomyśli o Olofie z odrobiną krytycyzmu. Olof był dobrym mężem, nawet więcej, był jej jedynym darczyńcą i dobroczyńcą, jej wybawcą i wsparciem, jej obrońcą i opiekunem,

jej pocieszycielem i żywicielem, ale nie był dobrym ojcem. Miriam musi to przyznać. Jakby nie mógł wybaczyć Thomasowi, że się urodził, jakby zupełnie poważnie uważał, że to Thomas ponosi odpowiedzialność za śmierć Marianne i że z tego powodu zasługuje na karę. Przypuszczalnie nie było w tym wyrachowania, może nawet nie rozumiał, że jest bez serca, co nie zmienia faktu, że swoim okrucieństwem wyrządził synowi wielką krzywdę. Krótki ton komendy we wszystkim, co do niego mówił: „Siedź prosto! Bądź cicho! Idź do swojego pokoju!”. Ignorował go całymi godzinami, siedział obok niego w pokoju dziennym, nie odzywając się słowem, ani na niego nie patrząc. Nigdy nie uśmiechnął się do Thomasa. Nawet kiedy chłopiec przynosił świetne oceny albo dostawał puchary za zwycięstwa w piłce nożnej, wykrzywił tylko kąciki ust w dziwnym sztucznym grymasie. Nic dziwnego, że Thomas się bał i gdy tylko Olof był w pobliżu, w jego głosie pojawiał się fałszywy, przymilny ton... Robił wszystko, żeby ojciec go lubił. Wzorowo spisywał się w szkole. Stał się zręcznym piłkarzem. Celująco zdał maturę. Od razu ubiegał się o przyjęcie do wyższej szkoły dentystycznej, którą ukończył w terminie bez najmniejszych kłopotów. Ale nawet wtedy Olof mu nie wybaczył, nawet wtedy, kiedy alzheimer spowodował dziury w mózgu, nie potrafił wybaczyć synowi, że istnieje. Kiedy Thomas pochylił się nad umierającym ojcem, usłyszał tylko jedno jedyne słowo: „Tfu!”.

Miriam głęboko wzdycha. Camilla kładzie dłoń na jej dłoni i milczą.

– Stryjenka taty, Hanna... – odzywa się po chwili Camilla. – W ogóle jej nie pamiętam.

– Nic dziwnego. Umarła, kiedy byłaś malutka.

– Tak, wiem. Ale mimo to uważam, że w jakimś sensie ją znam.

Miriam śmieje się.

– To nie takie dziwne. Znasz Hannę poprzez mnie. Była mądrą i miłą kobietą i nauczyła mnie prawie wszystkiego. Na przykład, jak przeżyć dobre życie.

Camilla robi mały grymas.

– O jasna cholera! Mnie też by się przydała taka nauka.

Miriam uśmiecha się jeszcze szerzej i kręci głową.

– Nie przeklinaj. Tak powiedziałyby Hanna. W jej obecności absolutnie nie wolno było przeklinać. Wygłaszała mnóstwo podobnych bzdurnych zakazów, ale nie to było najważniejsze. Najważniejszy był umiar. I oczywiście szacunek dla siebie. I troska, uprzejmość i grzeczność. Słowem nie wspomniała o tych cechach, sama do tego doszłam, obserwując ją. Ale

właśnie tego mnie nauczyła. I jeszcze tego, że ważne jest, by kochać i być kochanym.

Camilla wzdycha.

– Chyba dość późno wyszła za mąż, prawda?

– Tak. Tuż przed pięćdziesiątką.

– I dobrze trafiła?

– Bardzo dobrze. Można by powiedzieć, że wręcz nadzwyczajnie. Ona i Egon przeżyli razem kilka szczęśliwych lat.

Camilla przygryza dolną wargę.

– I ona też się nie dowiedziała...

Miriam odwraca głowę i patrzy na nią.

– Nie. Tylko ty jedna wiesz, że jestem Cyganką. Tylko ty.

– A co by Hanna zrobiła, gdybyś jej powiedziała?

Miriam nie odrywa od niej wzroku.

– Rzecz jasna, zostawiłaby mnie swojemu losowi. Odtrąciłaby mnie.

Odzywa się w niej stary dług wdzięczności. Czy to na pewno prawda? Czy Hanna nie pogodziłaby się z tym, że Miriam nie pochodzi z dobrej rodziny? Czy zniosłaby to, że ma pod swoim dachem Cygankę? Nie. Nie, bo mimo rozlicznych zalet Hanna była wytworem swoich czasów, taka sama jak wszyscy inni. I jej czasy nie pozwoliłyby wybaczyć Miriam, że urodziła się w cygańskim gospodarstwie w Bawarii.

Camilla kręci głową.

– Ta mądra i miła kobieta...

– Tak – mówi Miriam. – Odtrąciłaby mnie.

– Dzień dobry, Miriam – powiedziała pulchna kobieta i uśmiechnęła się. – Usiądź, proszę.

Siedziała z wiecznym piórem w ręku za stolikiem w holu wejściowym w Domu Koncertowym. Przed nią leżał otwarty dziennik. Jej starannie uczesane brązowe włosy układały się w delikatne fale, na palcu serdecznym prawej dłoni błyszczał przejrzysty jasnoniebieski czworokątny kamień, błyszczały również wypolerowane, owalnie opiłowane paznokcie. Miała na sobie letni jasnobłękitny kostium z białymi wyłogami i białymi stebnówkami. I mimo pełni lata pończochy, wprowadzie najcieńsze pończochy, jakie Miriam kiedykolwiek widziała, ale jednak pończochy.

Usiadła ostrożnie na brzeżku krzesła, szybko przesunęła dłonią po sukience i spojrzała kobiecie prosto w oczy. W tutejszej kuchni nauczyła się, że Szwedzi lubią, kiedy patrzy im się w oczy, że nie poczytują tego za bezczelność, tylko za uczciwość. Po obozowych przejściach nie było to łatwe, ale konieczne.

– Nazywam się Adolfsson – powiedziała kobieta po niemiecku. – Jestem z Czerwonego Krzyża.

Miriam skinęła głową i nie uciekła spojrzeniem.

Kobieta kontynuowała:

– Otrzymaliśmy polecenie sporządzenia rejestru uchodźców w Aneby w imieniu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Żeby można było odnaleźć ewentualnych krewnych.

Miriam wyprostowała plecy i odpowiedziała po szwedzku:

– Rozumiem.

Kobieta uniosła brwi.

– Więc nie muszę mówić po niemiecku?

– Nie.

– Coś podobnego! Więc Miriam nauczyła się szwedzkiego? Zaledwie w parę miesięcy?

– Nie znam jeszcze wszystkich słów.

Panna Adolfsson uśmiechnęła się.

– Tak, rozumiem. Proszę powiedzieć coś więcej, żebym usłyszała, jak Miriam mówi.

– Co, e... co panna Adolfsson chciałaby usłyszeć?

– Co Miriam myśli o Aneby?

– Aneby to bardzo przyjemna wieś. Ludzie są tutaj mili i uczynni. Czasami zapraszają na tort.

Panna Adolfsson zrobiła zdumioną minę, po czym znów się uśmiechnęła.

– Fantastycznie. Miriam ma dobre ucho do języków.

– Dziękuję.

– Ale Aneby w istocie nie jest wioską. To miejscowość municypalna.

– Miejscowość muni... Przepraszam, nie dosłyszałam...

Panna Adolfsson roześmiała się.

– Miejscowość municypalna. Wielu Szwedów też nie potrafi tego wymówić.

– Ach. – Miriam zamknęła oczy i powtórzyła: – Aneby to miejscowość municypalna.

Dokładnie wiedziała, co ma mówić o swoim pochodzeniu. Nikt nie mógł się dowiedzieć, kim naprawdę jest, bo przecież nie było wiadomo, z jaką spotkałaby się reakcją. Poza tym nie chciała narazić się na wstyd, nie chciała się znaleźć w takiej sytuacji, w której byłaby zmuszona do przyznania się, że jest oszustką, Cyganką, która bezwstydnie przywłaszczyła sobie nie tylko sukienkę martwej Żydówki, ale również jej nazwisko i życie. I nie zamierzała popełnić tego samego błędu, który popełniła wobec Else – nie powie ani słowa o sierocińcu i szkole przyklasztornej.

– No dobrze. – Panna Adolfsson odkręciła skuwkę wiecznego pióra. – Gdzie się Miriam urodziła?

– W Berlinie.

Nie! Co ona mówi? Dlaczego w Berlinie?! Przecież nigdy tam nie była i nic nie wiedziała o tym mieście. Odchrząknęła.

– Ale wyprowadziliśmy się stamtąd, kiedy byłam mała. Kiedy umarła moja mama.

– Ach! Dokąd się wyprowadziliście?

– Do Monachium.

W Monachium też nie była, ale kiedyś pojechał tam jej tata ze swoimi braćmi. Wrócili tego samego dnia wieczorem, więc Monachium nie mogło być daleko od domu. Tak, tak było bezpieczniej. Wstrzymała oddech.

– Jak ma na imię twój ojciec?

Zawczasu wybrała mu imię, było niemieckie, żydowskie i romskie. Próbowała mówić pewnym głosem.

– Josef. Miał na imię Josef.

Panna Adolfsson spojrzała znad dziennika.

– Miał?

Miriam skinęła głową i spuściła wzrok.

– Tak. Nie żyje. Zmarł podczas deportacji.

Mogła go sobie wyobrazić, wymyślony ojciec zlał się z prawdziwym, widziała, jak dusi się na śmierć w przepełnionym bydlęcym wagonie. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na fantazjowanie o ojcu. Przecież mogło tak być, nie chciała, żeby został zagazowany. Łzy napłynęły jej do oczu, odpędziła je mruganiem.

– A dokąd był deportowany?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Do Polski. Do getta.

– Nie wiesz, gdzie było to getto?

Przecząco pokręciła głową.

– Masz rodzeństwo?

Wypełnił ją krzyk, ale nie pozwoliła mu się wydostać. Didi! Didi! Didi! Po raz drugi przecząco pokręciła głową, wypierając się brata, i zacisnęła dłonie tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę. Podłoga zakołysała się pod nią, ale nie chciała wymiotować, nie chciała zemdleć. Nie. To nie może się stać.

– Kuzyni? Ciotki? Stryjenki? Dziadkowie?

– Nie pamiętam... Nie...

Panna Adolfsson położyła dłoń na jej dłoni i uśmiechnęła się uspokajająco.

– Co było później?

– Najpierw Auschwitz. Potem Ravensbrück.

Nie mogła powstrzymać grymasu wstrętu.

Panna Adolfsson uścisnęła jej dłoń.

– Może na tym skończymy, już wystarczy... – powiedziała z poważnym wyrazem twarzy. – A jak Miriam wyobraża sobie swoją przyszłość?

Miriam podniosła głowę i napotkała jej spojrzenie.

– Bardzo bym chciała zostać w Szwecji...

Trzy dni później wsiadły do pociągu do Jönköpingu. Hanna uśmiechnęła się, kiedy Ebba objęła Miriam na peronie, po czym ją przynagliła. No już! Koniec uścisków. Zaraz odjeżdżamy.

Przedział był jeszcze ładniejszy od tego, w którym Miriam jechała do Aneby. Siedzenia, obite ciemnoczerwonym pluszem, były szersze, stolik pod oknem większy, a na ścianie w korytarzu wisiała, pobrzękując, butelka wody. Hanna, trochę zmęczona pobytem w Aneby, powiedziała, że pojedą drugą klasą. Pierwsza klasa była przesadnie droga, trzecia zaś, znacznie tańsza, była zazwyczaj przepełniona, a poza tym byli tam ludzie wszelkiego autoramentu.

Oprócz nich w przedziale siedziały trzy panie z Czerwonego Krzyża. Hanna wszystkie знаła. Przedstawiając Miriam, uważnie się jej przyglądała, kiedy kolejno podawała im rękę i dygała. Po prezentacji pokiwała głową. Dobrze. Potem wskazała jej miejsce w rogu, a sama usiadła przy oknie, otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

– No tak – zaczęła. – I co tu powiedzieć?

Trzy panie zgodnie westchnęły. Otóż to. Co miałyby powiedzieć?

– To na pewno prawda – odezwała się jedna z nich.

Zaraz, zaraz, jak ona miała na imię? Aha, Gunhild.

– Oczywiście, że to prawda – przytaknęła druga niskim głosem.

Była w jakimś pielęgniarstwie mundurku. Jak miała na imię? Karin. Tak, przedstawiła się jako siostra Karin.

– Na początku sądziłam, że zmyślają, ale po kilku dniach... Tak, to, co opowiadały, to na pewno prawda. Chociaż nie mieści się to w głowie – powiedziała trzecia.

Anna. Była całkowicie bezbarwna. Twarz bez wyrazu, włosy bez wyrazu, oczy bez wyrazu, głos też bez wyrazu.

Gunhild rzuciła spojrzenie w kierunku Miriam i ściszyła głos:

– Jak myślicie, ile ich umarło?

Hanna potrząsnęła głową.

– Tysiące – powiedziała tym samym ściszone głosem. – Może setki tysięcy.

Miriam zamknęła oczy, nie chciała tego słuchać, ale skoro była do tego zmuszona, postanowiła zachować spokój. Nie zacznie krzyczeć. Nie zwymiotuje. Nie zemdleje. Starła się jak najgłębiej i jak najspokojniej

oddychać. Na chwilę w przedziale zapadła cisza, rozlegał się jedynie miarowy stukot na złączach szyn.

W końcu któraś, może to była Gunhild, zapytała szeptem:

– Dziewczynka śpi?

– Na to wygląda – odszepnęła Hanna.

– Gaz? – włączyła się szeptem siostra Karin. – Jak można w ogóle wpaść na taki pomysł, żeby gazować ludzi?

– Czyste szaleństwo.

To pewnie była Gunhild.

– Ale jak mogli zmusić ludzi, żeby szli do komór gazowych? – spytała Anna. – Dlaczego nikt się nie sprzeciwił?

– Bo byli oszukiwani – powiedziała Hanna. – Kiedy wychodzili z wagonów, Niemcy mówili im, że idą się wykąpać...

– Ale oczywiście byli tacy, którzy stawili opór...

To był głos siostry Karin. Inne zamilkły i czekały na dalszy ciąg. Siostra Karin jeszcze bardziej zniżyła głos:

– Spotkałam pewną kobietę, była pielęgniarką w obozie cygańskim...

Miriam poczuła, jakby przeszył ją prąd. Pilnowała się, żeby nie otworzyć oczu. Pielęgniarka w obozie cygańskim? Czy to ta z baraku 22? Była w Aneby? Gdzie ją zakwaterowali?

– Powiedziała, że Cyganie się przeciwstawili i tak się bronili, że Niemcy opróżniali ich obóz w kilku etapach – kontynuowała siostra Karin. – Najpierw wybrali wszystkich młodych i dostatecznie silnych i wysłali ich do obozu pracy w Niemczech...

Myśli Miriam rozpiechły się. To o mnie mówi. Ta kobieta wie, kim jestem, i dlatego mówi o mnie! Nie. Zaraz. Skąd mogłaby wiedzieć?

Głos siostry Karin stał się nagle nieco piskliwy:

– Robili to etapami, a potem któregoś wieczoru na początku sierpnia zeszłego roku weszli do obozu...

– Jak to weszli? To ich tam nie było?

Czy Gunhild nie mogłaby się łaskawie zamknąć, żeby Miriam się dowiedziała, co się stało z jej narodem? Siostra Karin wydawała się podzielać jej niecierpliwość i zapominając o jej obecności, podniosła głos:

– Byli, ale tylko kilku. Tamtego wieczoru przyjechali ciężarówkami z masą żołnierzy SS. Mieli broń. Dużo broni. I zmusili do wyjścia wszystkich Cyganów... Mówiła, że było ich co najmniej trzy tysiące. I zapędzili ich do ciężarówek. Ale to wcale nie było łatwe, bo Cyganie krzyczeli, bili się i próbowali uciekać, więc kilku zastrzelili jeszcze w obozie... A potem przez pół nocy przeszukiwali baraki, żeby znaleźć wszystkich, którzy się pochowali. Kiedy ich wyciągali, Cyganie krzyczeli jeszcze głośniejszym głosem, tak głośno, że słyszał ich cały obóz. To było piekło! To było prawdziwe piekło!

Miriam otworzyła oczy. Słońce zaświeciło w okno i padło na twarz siostry Karin. Nawet nie zamrugała, nie przymknęła powiek, siedziała i patrzyła w niepojętą przeszłość.

– I następnego dnia rano nie było już Cyganów? – zapytała Gunhild.

– Nie. – Siostra Karin pokręciła głową. – Ani jednego. Zabili wszystkich. Trzy tysiące ludzi. W jedną noc.

– Cygańska noc – mówi Miriam.

– Co? – mówi Camilla.

Miriam prostuje się, zamierzając się podnieść.

– Ach, pomyślałam o cygańskiej nocy.

Camilla wstaje i odwraca się do niej.

– Jakiej cygańskiej nocy?

Miriam opiera się plecami o ławkę. Teraz siedzi w cieniu. Słońce oświetla przeciwległy brzeg Ingsbergssjön.

– Tej nocy, kiedy esesmani opróżnili obóz cygański w Auschwitz, kiedy zagazowali...

Camilla opada na ławkę i głęboko wzdycha.

– Nie wiem, czy jestem w stanie więcej znieść...

Spojrzenie Miriam nagle twardnieje.

– Przecież chciałaś wiedzieć. To ty doprowadziłaś do tego, że zaczęłam opowiadać, więc teraz postaraj się wytrzymać do końca.

A jednak milknie i zapada się w sobie. Nie jest przecież naocznym świadkiem, zna tylko relacje innych, to, co przeczytała, zasztywając się w kącie biblioteki, i co po kryjomu wyszukała w internecie. Relacji jest niewiele, ale są dość zgodne. Romowie wiedzieli, co ich czeka, nie było sensu im wmawiać, że pójdą się wykąpać, dlatego nie poszli spokojnie i godnie na śmierć. Miała to przed oczami wiele razy. Co roku w sierpniu czciła cygańską noc, wyobrażając sobie, jak oni walczyli, jak ożyła pamięć połowicznego zwycięstwa sprzed kilku miesięcy wśród tych, którzy zostali, jak wygłodzeni starcy kopali, bili pięściami i na wpół przegniłymi deskami, jak kobiety rzucały się na ukraińskich strażników i gryzły tyłu, ilu dopadły, jak babcie próbowały wydrapać oczy esesmanom, jak histerycznie krzyczały ich wnuki, jak wszyscy wyli oszalali ze strachu, kiedy zostali obezwładnieni, jak wrzeszczeli w panice, kiedy w końcu siłą zostali wepchnięci do ciężarówek, które miały ich zabrać do komory gazowej. Co dziwne, widziała wśród nich siebie, mimo że jej tam nie było. A jednak ilekroć myśli o cygańskiej nocy, zawsze tam jest, chuda jak szkielet nastoletnia dziewczynka, wściekła furia, bogini gniewu, widzi, jak rzuca się na samego doktora Mengele, bez wahania odgryza mu kawałek ucha, chwyta go za gardło i dusi, i zabija, zabija, zabija... Za Didiego. I za inne głodujące dzieci.

Wyciera oczy i pociąga nosem.

– Może masz rację. Obie chyba nie jesteśmy w stanie więcej znieść. Ale powiem ci coś, czego nie wiedzą mieszkańcy Nässjö ani inni Szwedzi, czego nie wiedziała Hanna...

Camilla ogląda swoje dłonie złożone na kolanach.

– Co takiego...? – pyta szeptem.

Miriam obrzuca ją spojrzeniem i patrzy na jezioro.

– Że czasami dobrze jest nie być tak nienagannie wychowanym. Wtedy łatwiej stawić opór.

– Idziemy? – odzywa się po chwili Camilla.

Miriam już się opanowała, nic nie mówi, tylko kiwa głową i wstaje.

– Jesteś zmęczona? – pyta Camilla.

Miriam znów kiwa głową.

– To tylko kilkaset metrów... – W głosie Camilli pobrzmiwa niepokój. – Ale w razie potrzeby znowu możemy usiąść.

– Nie. – Miriam wsuwa rękę pod jej ramię. – Dam radę. Nie ma obawy...

– Na pewno?

– Tak, tak. Na pewno.

Camilla obrzuca ją spojrzeniem. Marszczy brwi, wydaje się zatroskana.

Miriam lekko się uśmiecha.

– Nie martw się! Nie zamierzam dzisiaj umrzeć. Ani myśleć.

Camilla robi ironiczny grymas.

– Czy zakończenie życia w swoje urodziny albo w midsommarafton byłoby oznaką braku dobrego wychowania?

Miriam śmieje się.

– Otóż to. Nareszcie zrozumiałaś.

Dom objawia się w całej okazałości. Miriam zatrzymuje się i przygląda. Duży czerwony drewniany dom z czterema białymi kolumnami. Najpiękniejszy dom na świecie. To znaczy mógłby być najpiękniejszy na świecie, gdyby tylko te cztery białe kolumny przed wejściem były nieco grubsze, żeby proporcje były właściwie. Ale dzisiaj jest gotowa to wybaczyć majstrowi, który je postawił prawie sto lat temu. Nie licząc kolumn, wykonał naprawdę dobrą robotę. Stworzył fantastyczny budynek, nadzwyczajną kryjówkę, bezpieczny dom, który chronił i strzegł trzy pokolenia jednej rodziny. A teraz

to jest jej dom. Jej własność. Jest właścicielką domu, do którego zło nie ma przystępu. Rozczarowanie, smutek, złe myśli i pełne złości uczynki – tak. Ale nie zło. Zło nie może wejść, nigdy nie otworzy furtki, nie pójdzie przez ogród, nie wejdzie po schodach, nie otworzy drzwi.

Miriam ściska ramię Camilli.

– Prawda, że nasz dom jest piękny?

Camilla mruga i nagle wygląda tak, jakby widziała ten dom po raz pierwszy, jakby w nim nie dorastała, jakby nie był jej domem przez wiele lat, a ogród nie był jej miejscem zabaw.

– Owszem – mówi dość obojętnym tonem. – Jest ładny.

I w tym momencie szczeka Kaiser.

Kaiser jest naprawdę tępy. I naprawdę głupi jak but. Biegnie wzdłuż parkanu swojego pana i histerycznie szczeka na obie kobiety. Może zapomniał, że dostały od niego burę, kiedy wychodziły? Poza tym jest zbity z tropu, bo teraz przyszły z przeciwnej strony. Ale nie, to za duże wymagania jak na jego mały rozumek. Szczeka po prostu dlatego, że kręcą się w pobliżu ogrodu jego pana.

Kiedy Camilla otwiera furtkę, Miriam obrzuca go kwaśnym spojrzeniem i marszczy czoło.

– Cicho bądź, pokrako! – mówi szorstko. – Siad i bądź cicho!

I dzieje się cud. Kaiser milknie i siada. Siedzi z wywieszonym językiem i gapi się na nie przez ogrodzenie. Camilla patrzy zdumiona na Miriam, na której twarzy pojawia się zachwyt i nagle odzywa się swoim najjaśniejszym głosem:

– Oj, oj, jaki dobry piesek! Jaki dobry, dobry piesek!

I wtedy dzieje się jeszcze jeden cud. Kaiser merda ogonem.

Miriam otwiera drzwi balkonowe w sypialni i kładzie się na łóżku w pozycji na baczność. Nie chce pognieść sukienki, a nie ma siły jej zdjąć. Spacer wokół jeziora zmęczył ją bardziej, niż myślała. Może dlatego, że ma osiemdziesiąt pięć lat i musi przyjąć do wiadomości, że jest stara. A może dlatego, że wreszcie wyjawiała prawdę, że po raz pierwszy wyznała, że jest Romką. Prycha sama na siebie. Wyznała? Czy to jest właściwe słowo? Owszem, kłamała, kłamała przez całe życie, ale to wcale nie znaczy, że wyznaje, iż jest Cyganką. „Wyznać”, czyli między innymi ujawnić coś wstydlivego, a to nie tak, ona nie odczuwa wstydu. Życie zmusiło ją do uświadomienia sobie, że już nie jest Romką. Była nią przeszło pokolenie temu. Teraz jest nikim, ani Romką, ani Żydówką, ani Niemką, ani Szwedką, ani nawet smalandką. Jest tylko Miriam. Albo Maliką. Albo ani jedną, ani

drugą.

Poza tym nie odważyłaby się zbliżyć do Roma, nie odważyłaby się powiedzieć czegoś w swoim na poły zapomnianym języku ojczystym, nie odważyłaby się dać świadectwa swojej przynależności do wspólnej historii ani odwoływać się do czegoś w rodzaju wspólnoty. Nie dlatego, że to dla niej po trosze obce. Z pewnym dreszczem emocji wspomina ten dzień, kiedy dotarło do niej, że w Szwecji jednak są Romowie, że źle im się wiedzie, gorzej niż jej w dzieciństwie.

Thomas miał wtedy zaledwie sześć lat. Pamięta, jaką przyjemność sprawiało jej trzymanie jego miękkiej rączki w swojej dłoni, kiedy szli na kąpielisko na cyplu Adeli. Wtedy jeszcze nie umiała jeździć na rowerze, więc musieli całą drogę pokonać pieszo. Ale to bez znaczenia. Była pełnia lata, cudowny dzień, błękitne niebo, słońce, powietrze drżało od upału, lekki wiatr unosił grzywkę Thomasa i falowała jej spódnica. Idealna pogoda na kąpiel.

O czym rozmawiali? Tego nie pamięta. Prawdopodobnie o czymś poważnym, bo Thomas był poważnym chłopcem, który najchętniej mówił o poważnych rzeczach. Na przykład, dlaczego niebo jest niebieskie. Albo ile lat ma konkretna brzoza. Albo dlaczego każdego roku drzewo ma o jeden słoń więcej. Skąd ono wie, że minął rok? Albo jak długo wielki kamień leżał tam, gdzie leżał? Żaden człowiek nigdy by go nie podniósł...

– Pójdziemy na plażę czy na basen? – spytała Miriam tylko przez grzeczność, ponieważ Thomas zawsze chciał iść na plażę.

Tymczasem on nagle nabrał powietrza i powiedział, że tym razem pomyślał sobie, że może wolałby pójść na basen.

– Bo ja już prawie umiem pływać – wyjaśnił, zatapiając swoje szare spojrzenie w jej brązowych oczach.

Poważnie skinęła głową. Owszem, prawie umiał pływać. Wprawdzie nigdy nie wypływał daleko, zaledwie kilka metrów, ale oczywiście mogli pójść na basen. Powinna tam być wydzielona część z płytką wodą dla dzieci. Zeszli więc na ścieżkę prowadzącą do żółtego budynku, który prześwitywał między krzakami i drzewami. Do połowy stał w wodzie. Ciekawe, jak wygląda od środka.

– Patrz, mamo! – Thomas zatrzymał się w pół kroku. – Widzisz?

Poszła za jego spojrzeniem. Na polanie w zagajniku stało kilka wozów i kilka namiotów. Przez polanę przechodził ciemny mężczyzna w podkoszulku. Szedł z rękami w kieszeniach spodni i patrzył w ziemię. Może nie chciał patrzeć na gapiące się dzieci, które zbite w gromadkę stały tuż obok. Raptem do jej świadomości przebiły się słowa: *Rom san? Romengi*

san? Jesteś Romem? Tak. Naturalnie, że był Romem. Nie musiała pytać.

– To Cyganie – powiedział podekscytowany Thomas. – Lasse mi mówił, że tutaj są Cyganie. Chodźmy na nich popatrzeć.

– Nie – odparła Miriam.

Nie mogła jednak oderwać wzroku od obozowiska. Wyglądało nędznie. W jednym wozie zamiast drzwi wisiał koc, niektóre namioty były małe i zniszczone. Teraz z namiotu wyszła młoda kobieta. Nie była w tradycyjnym stroju, miała na sobie białą bluzkę i prostą spódnicę, znoszoną, ale czystą. Pochyliła się i uniosła połę namiotu, żeby wypuścić małego chłopca. Ten obrzucił gapiące się dzieci przelotnym spojrzeniem, okręcił się i pospieszył za namiot. Jakby chciał się ukryć przed ich wzrokiem.

– Tak! – powiedział Thomas. – Tak! Chodźmy popatrzeć.

Miriam pokręciła głową.

– Nie.

– Ale dlaczego nie? Dlaczego nie możemy...

Gniew błysnął pod jej powiekami, po raz pierwszy była wściekła na Thomasa.

– Nie – syknęła. – Nie słyszysz, co mówię? Jak myślisz, jak to jest, kiedy chmara dzieciaków gapi się na czyjś dom? Co? Jak byś się czuł, gdyby chmara dzieciaków gapiła się na ciebie? Kiedy byś jadł i kiedy byś szedł do toalety, i...

Thomasowi zadrżała dolna warga.

– Ale ja...

Miriam mocniej chwyciła jego rączkę.

– Słuchaj, co do ciebie mówię! Idziemy się kąpać. Na plażę.

Była niesprawiedliwa wobec Thomasa. Był za mały, żeby to zrozumieć. Wstydziała się tego i żeby go jakoś udobruchać, kupiła mu loda na patyku. O smaku truskawkowym. Spojrzał na nią krzywo, może uznał, że chce go przekupić, żeby jej przebaczył, nic jednak nie powiedział, tylko chwycił loda i zaczął ściągać błyszczący papier.

Wyrazy sumienia nie dawały jej spokoju przez całe popołudnie, miała poczucie winy wobec Romów i wobec Thomasa. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie poruszyć tego tematu z Olofem, kiedy usiedli w końcu na tarasie w ten mglistobłękitny letni wieczór.

– Wiesz, że koło cypla Adeli są Romowie?

Była zadowolona ze swojego głosu, ani trochę nie zadrżał.

Olof popatrzył na nią lekko zdziwiony.

– Kto jest?

– Romowie. Cyganie. Mają obozowisko koło cypla Adeli.

Olof wypił łyk swojego copiątkowego grogu, koniaku z lemoniadą, i odstawił szklanę.

– Aha, Cyganie. Tak, przyjeżdżają tu co roku o tej porze...

– A skąd oni pochodzą?

Olof wzruszył ramionami.

– Tego nie wiem. Chyba z Jönköpingu.

– Mieszkają tam?

Olof uśmiechnął się i odchylił na ogrodowym krześle.

– Nie, do diabła... Nigdzie nie mieszkają. Jeżdżą w koło. To przecież Cyganie.

Miriam podniosła swoją szklanę z lemoniadą, przesunęła wzrokiem po ogrodzie i wyrzuciła z siebie pytanie, które dręczyło ją przez całe popołudnie:

– A w zimie? Gdzie mieszkają w zimie? Zimy w Szwecji są przecież bardzo mroźne.

Olof uśmiechnął się szerzej.

– Ech, radzą sobie. Są przyzwyczajeni. Nie chcą żyć inaczej, w ich żyłach płynie krew koczowników... Nie dzieje im się żadna krzywda.

Miriam na kilka sekund zamknęła oczy. Pora zmienić temat rozmowy.

Jest zdrajczynią. Niestety. Zdradziła wtedy i nadal jest zdrajczynią. Na tym polega jej wstyd. Zdradziła tych dawno umarłych. Zdradziła swój naród i język, dziadka i ojca, ciotki, wujów i kuzynów, których imion i twarzy już nie pamięta. Ale są tacy, których nigdy nie zdradziła. Anuszy i Didiego.

Po raz pierwszy od lat składa dłonie, przyciska do piersi i modli się bezgłośnie do Sary e Kali za Anuszę i Didiego. Nie dlatego, że Bóg istnieje i przypadkiem jest u siebie ani że ewentualnie raczyłby łaskawie wysłuchać modlitwy nieuznawanej patronki Romów, ale dlatego, że chce przesłać wiadomość swojej kuzynce i młodszemu bratu: Ciągle za wami tęsknię, każdego dnia za wami tęsknię...

Jak potoczyłoby się ich życie, gdyby kripo nie przyszło do domu dziadka?

Gdyby nie wybudowano obozów koncentracyjnych? Nie, to nie do pomyślenia. Ale gdyby doktor Mengele doznał bardzo zasłużonego wylewu, zanim został naczelnym lekarzem w Auschwitz? Tak! To może sobie wyobrazić, nawet jeśli to tylko tania fantazja o zemście. Chciałaby mu sprezentować przepotęny wylew, który zalałby cały jego mózg i pozbawił wszystkiego. Zdolności stania z wyprostowanymi plecami. Skłonności do groźnego ściągnięcia brwi. Wyniosłego wyrazu twarzy. Chorej przyjemności ze skazywania głodujących dzieci na gnicie albo ze wstrzykiwania im trucizny, żeby potem wydłubywać im oczy w imię świętej nauki...

Tego mu życzy, mimo że nic jej z tego nie przyjdzie. Doktor Mengele podobno przeżył, podobno udało mu się wydostać ze zrujnowanych Niemiec do Ameryki Łacińskiej, gdzie podobno żył dziesiątki lat w kokonie kłamstw, tak jak ona. Mosad, izraelska służba wywiadowcza, długo go szukał, ale bez skutku, nigdy nie udało im się go znaleźć. To źle. Bardzo źle. Miliony ludzi byłoby szczęśliwych, widząc go dyndającego obok Eichmana.

Zaciska powieki. „Tylko spokojnie – mówi do siebie. – Żadnych więcej fantazji o zemście”. Miały już swój czas, teraz mogą jedynie podnieść jej ciśnienie. A tego nie chce. Zdaniem lekarza domowego ma doskonale ciśnienie i warto je utrzymywać na tym samym poziomie. Zaraz się wyciszy i uspokoi. Odpocznie. Może nawet spróbuje się zdrzemnąć przed lunchem. Głęboko nabiera powietrza. Raz. Dwa. Trzy.

Szybciej niż zwykle jest między snem a jawą, w przestrzeni pomiędzy. Tak jak dzisiejszego ranka pomiędzy jest okrągłe i białe, tylko drzwiczki stały się większe i jest ich mniej. Zamiast osiemdziesięciu pięciu, po jednych na każdy rok jej życia, widzi tylko pięcioro, dość wysokich, też z drewna tekowego i z tymi samymi uchwytami co w drzwiczkach szafek w jej pierwszej, całkowicie własnej kuchni, tej kuchni, która nie była ani Hanny, ani Marianny, tylko jej. Drzwi są zamknięte i trochę się waha. Kto za nimi jest? Ktoś, kogo ożywiła dzisiaj w swojej pamięci? Irma Lunz? *Aufseherin* z owczarkiem niemieckim o żółtych ślepiach? Albo sam doktor Mengele?

No cóż. Niech i tak będzie. Jest stara, ale na pewno może się pozbyć kilku upiorów z przeszłości. Wystarczy, że otworzy oczy i rozejrzy się po swojej przytulnej sypialni. Ale tego nie robi. Robi trzy kroki, otwiera na oścież pierwsze drzwi i zdumiona cofa się o krok. Za drzwiami stoi Hanna, Hanna w ciasnym gorsecie, w stroju panny młodej, tym, który uznała za najbardziej odpowiedni dla kobiety wychodzącej za mąż tuż przed pięćdziesiątką. Ma na sobie jasnoniebieską sukienkę i biały ślimakowaty kapelusik wyszywany lśnięcymi koralikami, w ręku trzyma duży bukiet konwalii i uśmiecha się. Chciała, żeby ta chwila trwała wiecznie, to był najszcześniejszy moment w jej życiu. Miriam odwzajemnia uśmiech, bardzo ostrożnie zamyka drzwi

i podchodzi do następnych. Otwiera je i znów się uśmiecha. Tak, to ona, to oczywiście Anusza, ma dziesięć lat i jeszcze nie spotkała jej żadna krzywda. Bierze się pod boki, cicho chichocze i zaczyna się obracać. Fruwają jej czarne włosy, faluje spódnica, bosc stopy wystukują radosny rytm, będzie wirować bez końca, żeby pokazać Malice, że jest od niej lepsza. Miriam pospiesznie zamyka drzwi, żeby Anusza nie wypadła z szafy, gdyby zakreśliło jej się w głowie. Teraz podbiega do trzecich drzwi, już się domyśla, kogo za nimi zobaczy. I rzeczywiście, za trzecimi drzwiami siedzi Olof w swoim niebieskim fotelu i przegląda stary egzemplarz „Smålands Dagblad”. Wolno podnosi wzrok, patrzy jej w oczy i chociaż nic nie mówi, ona świetnie go słyszy: „Tęsknię za tobą! Przyjdź szybko!”. Uśmiecha się do niego, nie odpowiada i zamykając drzwi, kręci głową. To trochę za wiele, Olof musi się zdobyć na odrobinę cierpliwości. Poza tym chce czym prędzej otworzyć następne drzwi, ledwie może się opanować. Niezdarnie pociąga za uchwyt, płacz podchodzi jej do gardła, drzwi nareszcie się uchylają i stoi za nimi Else. Nadal chuda i wysoka jak maszt flagowy, wygląda zdrowo i jest syta, ma na sobie ciepły sweter, porządne skarpetki i porządne buty. Podnosi rękę i powoli zdejmuje białą chustkę. Na ramiona opadają siwe włosy, zaraz, nie, już nie są siwe, są białe, skrzą się bielą tak jak włosy Miriam. Else wie, że są piękne. Jej twarz rozjaśnia szeroki szczęśliwy uśmiech, wybity przedni ząb wrócił na swoje miejsce. Raj, myśli Else. Twój raj i mój. On mimo wszystko był. Miriam w milczeniu kiwa głową, stoi przed Else i nagle nie wie, co zrobić ze swoimi uczuciami, jest wzruszona i zrozpaczona, szczęśliwa i nieszczęśliwa. Co może zrobić? Nic. Nawet nie próbuje powstrzymać drzwi przed zamknięciem, bo teraz wie i akceptuje to, że takie są prawa życia. Musimy wszystko utracić, również tych ludzi, którzy najwięcej dla nas znaczą. Dlatego już nie hamuje łez, pozwala im płynąć, kiedy sięga do piątych drzwi. Tam czeka Didi i...

– Mamo, ty płaczesz? – mówi Thomas.

Miriam otwiera oczy i napotyka jego spojrzenie.

– Didi...?

– Co powiedziałaś? – dopytuje Thomas.

Miriam na sekundę zamyka oczy, przeklina siebie w duchu, że znów coś jej się wypsnęło, potem siada na łóżku, opiera się plecami o ścianę i próbuje się pozbiierać. Tym razem nie przychodzi jej to tak łatwo jak zwykle.

– Co powiedziałaś?

Miriam uśmiecha się najmiłszym uśmiechem i stara się odnaleźć swój głos.

– Mówiłam coś? Ja? Ach, to pewnie mi się coś przyśniło...

Thomas nie odwzajemnia uśmiechu. Wygląda na zatroskanego.

– Płaczesz? Jest ci smutno?

Miriam kręci głową i próbuje się uśmiechnąć.

Thomas wyciąga do niej rękę.

– Lunch jest gotowy, ale jeśli...

Miriam pociera policzki. No. Już. Didi czeka i będzie nadal czekał w pomiędzy. Czas nic dla niego nie znaczy, w odróżnieniu od Thomasa, który siedzi na brzegu łóżka ze zmartwioną miną. Dla niego czas jest wszystkim.

Znowu się do niego uśmiecha.

– Wszystko w porządku – mówi pocieszająco. – Nie jestem smutna. Po prostu kiedy człowiek jest stary, łązy czasami same zaczynają płynąć.

– Na pewno?

– Na pewno. – Lekko poklepuje go po policzku. – Tak, tak. Na pewno. Wspaniale było się zdrzemnąć. To był długi spacer.

Thomas kiwa głową i wstaje.

– Jak dla mnie zdecydowanie za długi.

– Tak, tak. Ale Camilla dobrze się mną opiekowała. Cztery razy odpoczywałyśmy. I napiłyśmy się kawy w parku.

– To dobrze.

Miriam wspiera się na łóżku, stawia stopy na podłodze i wstaje.

– Camilla nawet zjadła ciastko.

Thomas uśmiecha się ironicznie.

– Nieźle. I nie padła trupem na miejscu od nagłej nadwagi?

Miriam posyła mu lekki uśmiech i przesuwając dłoń po włosach. Chyba

dobrze leżą.

– Na szczęście nie. Przeżyła.

– Miejmy nadzieję, że lunch też przeżyje... – Podaje jej ramię na staroświecką modłę. – Idziemy?

– Tak. Idziemy.

Liczy na spokojny świąteczny lunch, chociaż ma pewne wątpliwości.

Śledź. Szczypiorek. Kwaśna śmietana. Półmisek jeszcze parujących młodych ziemniaków, posypanych natką pietruszki. Masło. Chleb domowego wypieku i chleb chrupki. Piwo. Woda. Kieliszek wódki. Katarina rzuca poirytowane spojrzenie na stół. Czy wszystko jest? Czy jest wszystko, czego sobie życzy Jego Przewielebność Jej Ślubny Małżonek?

Camilla stoi w drzwiach na taras, Katarina patrzy na nią krzywo.

– Gdzie jest Sixten?

– Śpi – mówi Camilla i wyciąga w stronę matki pakiecik. – Proszę, drobny prezent z okazji midsommar.

Katarina patrzy na pakiecik, wygląda tak, jakby się wzdragła.

– Prezent? Ale to nie ja mam dzisiaj urodziny...

– Jest nie tylko dla ciebie. Jest dla całej rodziny.

No tak, mogła się tego spodziewać. Myśli Katariny biegną utartym torem. Oczywiście, że to nie jest prezent dla niej. Dlaczego, u licha, córka miałaby dawać prezent swojej matce? Na urodziny dostaje od niej byle co, co wpadnie jej w rękę w pierwszym lepszym domu towarowym. Za to na szukanie idealnego i bardzo drogiego prezentu urodzinowego dla tak zwanej babci może poświęcić dni i tygodnie. To się rozumie samo przez się.

W końcu podchodzi do Camilli i bierze pakiecik.

– Co to jest? – pyta, marszcząc czoło.

Camilla śmieje się.

– Otwórz, to zobaczysz...

Katarina nieporadnie skubie fioletowe sznureczki, ściąga je i rozpakowuje prezent. Małe stołowe drzewko świętojańskie.

– Dziękuję – mówi bezbarwnie. – Ładne.

Camilla lekko wzrusza ramionami.

– To najładniejsze drzewko świętojańskie, jakie udało mi się zdobyć za

stowę.

Miriam i Thomas wychodzą na taras w tym samym momencie, w którym Katarina stawia drzewko na stole.

– Ach – mówi Miriam. – Wygląda fantastycznie.

Katarina robi lekki grymas. Fantastycznie? Po co ta przesada. To żałosne. Początkowo jedzą w milczeniu, każdy zamknięty w sobie. Sztućce skrobą o talerze, nikomu nic nie przychodzi do głowy. W końcu Camilla odchrząkuje i odzywa się swoim najjaśniejszym głosem, który brzmi niemal rozkazująco:

– Naprawdę nie skusisz się na śledzia, babciu? W śledziach są bardzo zdrowe tłuszcze.

Miriam kręci głową i patrzy na swój talerz. Ziemniak, kwaśna śmietana i szczypiorek. To od wieków jej świąteczny lunch.

– Nie, dziękuję. Wiesz, że nie jem śledzi.

Katarina wyjątkowo wypła kieliszek wódki i to widać. Teraz ledwo zauważalnie prychnęła.

– To coś żydowskiego? Żydom nie wolno jeść śledzi?

Thomas prostuje plecy, posyła Katarinie chłodne spojrzenie, ale zanim zdąży coś powiedzieć, Miriam odpowiada jej ze swoim wiecznym uśmiechem:

– Nie, nie. Nie jem śledzi, bo mi nie smakują. To wszystko.

Thomas mówi ostrym tonem:

– Otóż to. Nie ma to nic wspólnego z judaizmem.

Miriam posyła mu lekki uśmiech i patrzy w talerz. Aha, zaraz się zacznie, jak zwykle, kiedy ta rodzina siada do wspólnego posiłku.

– Poza tym mama zmieniła wyznanie lata świetlne temu... – Głos Thomasa drży z hamowanej irytacji. – Nie jest już Żydówką. O czym bardzo dobrze wiesz.

Katarina śmieje się i mówi półśpiewnie:

– Żydzie, Żydzie, koszula ci idzie!

Thomasowi szczęka opada, siedzi z otwartymi ustami i wpatruje się w żonę.

– Co ty wygadujesz?!

– Ech, to tylko wspomnienie z dzieciństwa. – Katarina uśmiecha się na

wpół drżąco, jak ktoś niewinnie oskarżony. – Tak śpiewała moja mama, kiedy tata zapomniiał wpuścić koszulę w spodnie. Była przecież ze Skanii.

Thomas zamyka usta.

– To brzmi dość antysemicko – mówi bardzo powściągliwie. – Prawda?

Przy stole zapada cisza. Miriam nie ma odwagi podnieść głowy. Słyszy, jak ktoś nabiera powietrza. Przypuszczalnie Katarina. Tak, to Katarina, bo teraz odzywa się niemal płaczącym głosem:

– Twierdzisz, że moja mama była antysemitką? Moja mama?!

Thomas nie odpowiada. Miriam ostrożnie podnosi głowę i patrzy na siedzącą naprzeciwko niej Camillę. Lekko pobladła. Camilla jest cywilem w odwiecznej wojnie domowej rodziców i Miriam musi ją ratować.

Wyciąga rękę i kładzie ją na dłoni Thomasa.

– No, już dobrze – mówi swoim najspokojniejszym głosem. – W tej rymowance nie widzę nic groźnego. Nie mam o to pretensji. Możesz podać mi ser, Camillo?

Camilla nagle się ożywia, mruga, jakby się właśnie obudziła, sięga po ser i z lekkim uśmiechem podaje go nad stołem.

– Tak – mówi, przekrzywiając głowę. – Domyślam się, że słyszałaś gorsze. W Auschwitz. I w Ravensbrück.

W ułamku sekundy Miriam uświadamia sobie, do czego Camilla zmierza. Chce się zemścić na rodzicach, chce im oddać za te wszystkie dni milczenia i irytującego zrzędzenia, które złożyły się na jej dzieciństwo, i chce wykorzystać Miriam jako broń. Ale zemsta nie jest żadnym rozwiązaniem. Zemsta w wyobraźni ma swoje zalety, ale zemsta realna to nic dobrego, niepotrzebnie wszystko pogarsza.

Thomas wierci się na krześle zniesmaczony.

– Sza...

– Przepraszam, co powiedziałaś? – pyta Camilla.

Thomas bierze głęboki łyk piwa.

– Nic.

Oczy Katariny zwięzają się, może liczyć na alians z córką.

– Nic? Uciszałeś ją.

Camilla uśmiecha się do ojca.

– Chcesz, żebym była cicho?

Thomas wzdycha zrezygnowany.

– Skądże znowu. Po prostu nie wydaje mi się, że...

Jest wyraźnie stropiony. Miriam współczuje mu z całego serca, ale jednocześnie tak bardzo przypomina jej Olofa, że nie jest w stanie powstrzymać uczucia radości z cudzego nieszczęścia.

– Co ci się nie wydaje? – mówi Camilla. – Że co? Mamy udawać, że nie było Auschwitz i Ravensbrück? Że nie było obozów koncentracyjnych? I że nie pozostało to bez wpływu na niektórych członków naszej rodziny? Co? To chcesz powiedzieć?

Katarina niemal drży z żądzы odwetu, też chce pognębić Thomasa.

– O to ci chodzi, tak?

Camilla obrzuca ją przelotnym spojrzeniem, i już po aliansie.

– To była jednoznacznie antysemicka rymowanka. Nawet ty powinnaś to rozumieć.

Miriam nabiera powietrza i odkłada sztucę.

– Dosyć! – mówi stanowczym tonem. – Słyszycie wszyscy troje?! Dosyć tego!

Przy stole znowu zapada cisza.

To ciężka cisza. Cisza nietypowa. Przywykli do długich chwil milczenia podczas rzadkich okazji, kiedy przy stole zasiada cała rodzina, ale nie przywykli do tego, żeby spowodowała je Miriam. Zawsze wymyślała bezpieczne tematy, chciała wszystkich godzić i być pośredniczką, najpierw między Olofem a Thomasem, potem między Thomasem a Katariną, w końcu między Camillą a jej rodzicami. Ale nie teraz. Teraz siedzi wyprostowana, przygląda się każdemu z osobna i tym razem to oni uciekają spojrzeniem. Pierwsza Camilla, która przybiera ubolewającą minę, drugi Thomas, który błyskawicznie wychyla do dna kieliszek wódki, nie mówiąc „na zdrowie”, ostatnia Katarina, która demonstracyjnie sięga po salaterkę śledzi i nakłada sobie na talerz dzwonko po dzwonku.

Miriam przerywa milczenie.

– To musi się skończyć.

– Tak. – Camilla kiwa przytakująco głową. – To obrzydliwe. Dlaczego się wreszcie nie rozwiedziecie?

Katarina nieruchomieje z dzwonkiem śledzia na widelcu. Thomas wydaje

się kompletnie bezbronny. Patrzą na siebie zdumieni. O czym ich córka mówi? Mamy się rozwieść? My? Niby jak?

– Niezupełnie to miałam na myśli – mówi Miriam. – Możecie robić, co chcecie, możecie się rozwieść albo dalej zatruwać sobie życie, nie zamierzam się wtrącać w wasze sprawy. Chodziło mi o to, że kiedyś musimy wymienić te miejsca. Auschwitz i Ravensbrück.

– Ale... – mówi Thomas.

Miriam podnosi prawą rękę.

– Wiem, że to moja wina. Przez wszystkie lata chodziłam jak kot po gorącej blasze i nie chciałam o tym mówić. Oczywiście mogę o to obwinić Olofa, stryjenkę Hannę i ducha czasu, ponieważ wtedy panowało powszechne przekonanie, że nie należy rozgrzebywać przeszłości. Ale to nie całkiem sprawiedliwe. Ja też ponoszę za to odpowiedzialność. Powinnam była zdobyć się na odwagę. Powinnam była o tym powiedzieć. – Zwraca się do Thomasa. – Twój tata myślał, że na sam dźwięk słów „obóz koncentracyjny” rozpadną się na kawałki, ale tak nie było i nie jest. A jeśli nawet, to na krótko. Natomiast uważam, że ty byłeś trochę poobijany, dorastając w domu, w którym było tyle niedomówień...

Thomas unosi brwi.

– Poobijany? Uważasz, że jestem poobijany?

Camilla chichoce.

– Jesteś, tato. Ale w uroczy sposób.

Miriam kładzie dłoń na jego policzku.

– Przepraszam. Głupio mi się powiedziało. Nie miałam na myśli nic złego. Nigdy, przenigdy bym cię nie skrzywdziła, bo jesteś czymś najlepszym, co mnie spotkało w życiu. Absolutnie najlepszym. Jestem ogromnie wdzięczna losowi, że mogłam zostać twoją mamą. Ale może byłbyś w większym stopniu wolnym człowiekiem, gdybyśmy ja i Olof opowiadali ci więcej o przeszłości.

Thomas kiwa głową. Miriam przenosi wzrok z niego na Katarinę, która skończyła jeść i siedzi z dłońmi pod brodą, a potem na Camillę. Camilla wie, że jej spojrzenie zawiera przekaz: Niech pewne tajemnice pozostaną tajemnicami aż do mojej śmierci. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Camilla lekko kiwa głową. Rozumie. Będzie strażnikiem bramy.

Miriam wzdycha, rozpiną mankiet sukienki, podciąga rękaw, obnażając nie tylko romską bransoletkę, ale również niebieską bliznę. Pokazuje ją i lekko potrząsa głową.

– No więc byłam w Auschwitz i byłam w Ravensbrück. Przeżyłam tam takie rzeczy, których, mam nadzieję, nikt nigdy nie będzie musiał przeżywać. Nie zamierzam o tym teraz mówić, sporo już dzisiaj opowiedziałam Camilli i bardzo mnie to zmęczyło. Bardziej, niż przypuszczałam. Jedyne, czego chcę, to żebyśmy w końcu wymawiali nazwy tych miejsc, nie narażając się na wybuchy wściekłości. Auschwitz. Ravensbrück. Auschwitz i Ravensbrück. Tam byłam.

Thomas nagle uśmiecha się do niej otwarcie i szczerze i podnosi kieliszek.

– Na zdrowie! Za to, co wypowiedziane!

Miriam odwzajemnia uśmiech, opuszcza rękaw, zapina mankiet, poprawia bransoletkę i patrzy na swój kieliszek. Jest pusty. Zapomniała, że odmówiła Thomasowi, kiedy przed chwilą nalewał wszystkim.

– Wlej mi odrobinę. Mniej niż łyżeczkę do herbaty!

Thomas odkręca butelkę, nalewa, Miriam podnosi kieliszek i patrzy na nich.

– Na zdrowie! I dziękuję za niezwykle miłe urodziny. I za fantastyczny prezent.

Piją w ciszy, po czym kolejno odstawiają kieliszki. Najpierw Miriam, potem Camilla, na końcu Thomas. Tylko Katarina trzyma swój kieliszek w obu dłoniach i lekko nim kołysze, jakby chciała widzieć rozlewającą się po ściankach zawartość.

– No tak – mówi po chwili. – Nad jednym się tylko zastanawiam co do tych obozów koncentracyjnych. Czy kiedykolwiek dostałaś rekompensatę?

Miriam czuje, jak palą ją policzki. Bynajmniej nie od wódki.

– Rekompensatę? – pyta Camilla. – Jaką rekompensatę?

Katarina obrzuca ją przelotnym spojrzeniem.

– Pieniądze. Już od lat czterdziestych więźniowie obozów koncentracyjnych dostają pieniądze z Niemiec.

Miriam lekko kręci głową.

– Nie – odpowiada, zdając sobie sprawę, że głos ją zawodzi. – Otrzymałam ofertę, ale...

Katarina wyjątkowo napotyka jej spojrzenie, w kąciu jej ust igra uśmiezek.

– Ale co?

Miriam spuszcza głowę i zbyt mocno wbija widelec w ziemniaka.

– Odmówiłam. Olof nie chciał.

Tchórzliwa jak zwykle. Ale nikt tego nie widzi.

Thomas odchrząkuje.

– Uważam, że słusznie. To były grzeszne pieniądze...

Podczas gdy Camilla i Katarina sprzątają ze stołu, Miriam kilka razy głęboko oddycha. Wstyd wciąż pali jej policzki. To wcale nie było takie proste. Powiedziała prawdę, ale niecałą. Owszem, po wojnie otrzymała ofertę rekompensaty, owszem, Olof był bardzo wzburzony i zażądał, żeby odmówiła jej przyjęcia. I Miriam dostosowała się do jego woli. Może się więc nim zasłonić. Ale prawda jest taka, że nie zrobiła tego, bo chciała być posłuszną żoną. Nie zrobiła tego nawet ze strachu, że jej kłamstwa mogłyby wyjść na jaw. Zrobiła to z poczucia czegoś w rodzaju odwrotnej lojalności wobec swojego narodu. Romom nie zaproponowano żadnej rekompensaty. Jak oświadczyły po wojnie niemieckie władze, Romowie nie zostali wytępieni z powodów rasowych, ale dlatego, że byli kryminalistami. Wszyscy. Również czternastoletnie dziewczynki jak Anusza i mali chłopcy jak Didi. I uczciwi srebrnicy jak ojciec Maliki.

I to dla nich Malika podarła pismo z Niemiec.

– Deser – obwieszcza Camilla, stawiając pośrodku stołu dużą miszkę truskawek.

Thomasowi lekko błyszczą oczy, może alkohol zaczyna mu uderzać do głowy. Przeważnie bywa lekko zawiany w Wigilię i w midsommaraftron. Nie ma w tym nic zdrożnego, jest wtedy nieco weselszy niż zwykle i wyjątkowo rozmowny.

– Mniam – mówi i pochyla się do przodu. – Nałożyć ci, mamó?

Miriam prostuje plecy i po jej twarzy przemyka odwieczny uśmiech.

– Nie, dziękuję, sama sobie nałożę.

– Bita śmietana. – Katarina stawia miseczkę z lekkim trzaskiem. – Są też lody. Czy ktoś ma ochotę na lody?

Wszyscy troje kręcą głowami. Katarina posyła Camilli złe spojrzenie. Jej nieodłączny niepokój gdzieś znika, teraz jest otwarcie zaczepna.

– Sixten na pewno chętnie zje lody, kiedy się obudzi. Chociaż raz.

Camilla patrzy jej w oczy, szybko odwraca wzrok i wzrusza ramionami.

– Okej.

Katarina wciąż się w nią wpatruje.

– Jeden raz to żaden raz!

Camilla zbiera się w sobie, ale nie ma odwagi ponownie spojrzeć mamie w oczy.

– Prawdę mówiąc, wcale tak nie jest. Jeden raz to jeden raz. Przecież powiedziałam „okej”.

Katarina z szuraniem odsuwa krzesło i siada. Przy stole znowu zapada cisza. Krótka, ale ciężka. Przerzywa ją Thomas. Wrąbał cały talerz truskawek z bitą śmietaną i sięga po miskę, żeby nałożyć sobie drugą porcję.

– No cóż, w dzisiejszych czasach młodzi rodzice mogą, rzecz jasna, sprawiać wrażenie przesadnie histerycznych, ale jako dentysta muszę przyznać, że rygorystyczne ograniczanie cukru w diecie swoich dzieci ma niewątpliwe zalety...

– Ach tak – komentuje Katarina lodowatym tonem.

Thomas zdaje się jej nie słyszeć. To nic nowego, często cierpi na wybiórczą głuchotę. Camillę słyszy prawie zawsze, Miriam też, ale Katarina najprawdopodobniej nadaje na takich falach, które nie zawsze odbiera.

– W latach siedemdziesiątych, kiedy byłem już dyplomowanym dentystą, najgorsze czasy na szczęście minęły. Ale przedtem, Jezu Chryste!

Katarina nie rezygnuje, ani myśli pogodzić się z tym, że jest ignorowana.

– W latach siedemdziesiątych ludzie może się wreszcie nauczyli myć zęby.

Thomas nadal jej nie słyszy.

– Tata przechodził prawdziwe piekło. Dzieci miały w ciągu roku po piętnaście, szesnaście dziur. Rekordem były trzydzieści dwie! Trzydzieści dwie dziury w jeden rok. U dwunastolatka! Było to co prawda w latach pięćdziesiątych i chłopiec pochodził z trudnej rodziny, w której wszyscy używali jednej szczoteczki, ale jednak. Skandal. Nie ma na to innego słowa. Skandal.

– W latach pięćdziesiątych nie było past do zębów z fluorem – mówi Katarina.

Thomas na pewno ją usłyszał, a mimo to tylko się otrząsa i niemal można zobaczyć, jak jej replika po nim spływa. Odchyła się na krześle, koszula napina się na lekko wystającym brzuchu.

– A ile się staruszek naborował! Borował, borował, borował. Jak tylko zobaczył najmniejszą plamkę na zębie, borował duże dziury. Dla pewności.

Tak się wtedy mówiło. *Extension for prevention*. A teraz to ja lecę te zęby, które on popsuł swoim borowaniem. Wszystkim starszym ludziom wypadają plomby, a resztki zębów się łamią. Nie, do diaska, pod tym względem wtedy naprawdę nie było lepiej.

Katarina nie ustępuje, najwyraźniej chce go zmusić do tego, żeby ją zauważył, że jest tutaj, że w ogóle istnieje.

– A kto mówi, że wtedy było lepiej?

Tak, teraz ją słyszy. Wykrzywia twarz ni to w uśmiechu, ni to w grymasie.

– Im wcześniej, tym lepiej. Dobrze o tym wiesz.

– Nie. Nie wiem. Wcześniej nic nie było lepsze. Nic a nic.

– Mogę się z tym zgodzić, jeśli chodzi o higienę zębów, ale poza tym...

Katarina prychna tak dosadnie, że nietrudno odczytać, co o tym myśli.

– Uff! Zapytaj pierwszą lepszą kobietę. Nam naprawdę jest lepiej. Nam i tysiącom innych ludzi. Niepełnosprawnym. Homoseksualistom. Tylko białym heteroseksualnym mężczyznom trochę się pogorszyło, bo świat już nie leży u ich stóp i już ich tak nie wielbi. Dzisiaj są narażeni na sprzeciw zwykłych kobiet. Co naturalnie musi dla nich oznaczać niewymowne cierpienie.

Thomas prostuje się na krześle, purpurowy na twarzy.

– Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek leżała u moich stóp i mnie wielbiła. Przeciwnie. Jedyne, co sobie przypominam, to to, że przez ostatnie dwadzieścia pięć lat chodziłaś wiecznie nadąsana. Nadąsana! Nadąsana! Nadąsana! I że za nic nie można było z ciebie wydusić, co aż tak mocno cię uraziło... Ech! Nieważne!

Wstaje, trącając stół. Brzęczy szkło. Miriam i Camilla wymieniają zrezygnowane spojrzenia. Może któraś z nich powinna była się włączyć, tak jak to robiły wiele razy przedtem. Miriam mogłaby rzucić jakiś ogólnikowy frazes i zmienić temat, a Camilla, tonem marudnej dojrzewającej nastolatki, mogłaby powiedzieć jakąś impertynencję, byle zbić z tropu rodziców i ściągnąć na siebie ich uwagę i gniew.

Miriam jest nieco zdziwiona, że tego nie zrobiły, że przyglądały się w milczeniu narastającej kłótni między Katariną i Thomasem.

– Nie mam już siły – mówi apatycznie do Camilli.

Camilla dobrze ją rozumie.

– Ja też nie. Mam ich w dupie.

– I słusznie.

Thomas, który już się odwrócił i zaczął swój spektakularny wymarsz, natychmiast się zatrzymuje. Katarina pociąga nosem, otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale błyskawicznie je zamyka.

Miriam ignoruje ich oboje i mówi oschle:

– Wydaje mi się, że teraz rozumiem.

Camilla unosi brwi.

– Co rozumiesz?

– To, co powiedziałaś o Maksie. Że tak narzekaliście i zrządziliście, aż płomień zgasł.

Camilla rzuca szybkie spojrzenie na Katarinę. Nie chce, żeby matka to słyszała, i mówi nieco asekuracyjnie:

– No, tak źle chyba nie było...

Miriam rzuca okiem na Thomasa.

– Może i nie, ale rozumiem, że jeśli się dorastało w tej rodzinie, można być uczulonym na zrządzenie i narzekanie...

Thomas robi krok w kierunku stołu. Katarina nagle pochyla się do przodu i nie wiadomo do kogo wyciąga rękę.

– Ale...

Miriam patrzy na nią przez moment, potem odwraca głowę i patrzy na Thomasa.

Thomas traktuje to jak rozkaz, wraca do stołu i siada na swoim miejscu.

– Zrozum...

– Nie – mówi Miriam. – Nic nie muszę rozumieć. Jestem zwolniona z obowiązku rozumienia. Byłam w piekle, wiem, czym jest życie w piekle, i dlatego mam w głębokim poważaniu tych, którzy sami tworzą swoje amatorskie piekielka, a potem udają, że nie mogą się z nich wydostać. To żałosne. Zróbcie to, co powiedziała Camilla. Rozstańcie się raz na zawsze, do jasnej anielki!

Twarz Katariny nagle się rozpada, usta się wykrzywiają, prawdziwe łzy wypełniają oczy. Szlocha.

– Ale ja nie chcę... Ja nie chcę być sama...

Miriam obrzuca ją niemal współczującym spojrzeniem.

– Tak? A teraz nie jesteś?

Thomas zachowuje się raptem jak nadgorliwy dwunastolatek. Idzie przed Miriam, z poduszkami pod pachą, pospiesznie przyciąga wygodny trzciniowy fotel, ustawia go w cieniu pod jabłonią, kładzie poduszki i zachęcająco je poklepuje.

– Proszę. Teraz możesz się odprężyć.

Boże, myśli Miriam z irytacją. Kto tu ma się odpręzać? Nic jednak nie mówi, uśmiecha się swoim odwiecznym uśmiechem i siada w fotelu.

– Chcesz podnózek? – pyta Thomas i nie czeka na odpowiedź. – Zaraz ci przyniosę.

Miriam patrzy za nim, kiedy spieszy przez trawnik. Widzi, że się postarzał. Za dziesięć, piętnaście lat będzie stary. Biedny chłopiec! Biedny mały chłopczyk, który niedługo zostanie emerytem!

Biedny mały chłopczyk uśmiecha się rezolutnie przy domku ogrodowym i oprócz podnóżka bierze małe składane krzesło. Czyli zamierza dotrzymać jej towarzystwa. Cóż. Będzie musiała się z tym pogodzić, mimo że najchętniej zostałaaby teraz sama. Musi pomyśleć. Chciałaby posiedzieć w ciszy pod jabłonią i przeanalizować wszystko, co się dzisiaj wydarzyło. Dzień opowiadania. Dzień prawdy. Ale nie jest jej to dane.

– O tak.

Thomas stawia przed Miriam trzciniowy podnózek i robi ruch, jakby chciał ją chwycić za kostki i postawić na nim jej stopy, ale dzięki Bogu w ostatniej sekundzie napotyka jej spojrzenie i się powstrzymuje. Sama stawia stopy na podnóżku, a on rozkłada małe krzesło ogrodowe i siada.

Milczą przez chwilę, po czym Thomas odchrząkuje i mówi:

– Czy mógłbym obejrzeć bransoletkę? Camilla przywiozła ją zapakowaną i zdążyłem ją zobaczyć tylko przelotnie dzisiaj rano.

Miriam bez słowa zdejmuje bransoletkę. Thomas bierze ją w obie dłonie, jakby się bał, że ją uszkodzi, delikatnie obraca, podnosi wzrok i uśmiecha się absolutnie szczerze, acz nie bez cienia ironii.

– À propos kłótni w rodzinie... Pamiętasz chłopca z piwnicy?

Miriam przechodzi dreszcz. Chłopiec z piwnicy. Przez cały dzień, przez cały dzień prawdy udawało jej się odsuwać wspomnienie o chłopcu z piwnicy, jej myśli z powodzeniem omijały szerokim łukiem i jego, i jego mamę. Nie chciała o nich pamiętać. Zbyt dotkliwie przypominają jej o tym, kim jest i kim się stała.

Ale teraz Thomas zmusza ją do wywołania ich z pamięci.

To była najmroźniejsza zima, jaką Miriam kiedykolwiek przeżyła. Tak lodowata, że dygotała, ilekroć ciepły wełniany szal nie przylegał szczelnie do kołnierza jej nowego futra z norek. Tak lodowata, że marzły jej palce w botkach na misiū. Tak lodowata, że grabiały jej dłonie w ocieplanych rękawiczkach.

Thomas też marzył. Umówili się w mieście po jego zajęciach lekcyjnych. Tego dnia rano Miriam powiedziała Olofowi, że Thomas potrzebuje porządnej kurtki. Na dworze było prawie minus trzydzieści stopni, kurtka z zeszłego roku była za mała i za cienka, ledwie się dopinała, kiedy wkładał pod nią ciepły sweter. Olof popatrzył na nią znad „Smålands Dagblad”, wyjął portfel i unosząc brwi, położył na stole kilka banknotów stukoronowych. Wystarczy? Miriam pokiwała głową. Absolutnie. Może nawet wystarczy na nowe buty. Olof dołożył jeszcze jeden banknot. Pięćdziesiąt koron. To z całą pewnością wystarczy.

– Stokrotne dzięki – powiedziała, w ostatniej chwili powstrzymując się przed dygnięciem, pochyliła się nad nim i pocałowała go w policzek. – Dolać ci kawy?

Skinął głową i uśmiechnął się. To było normalne. Rano Olof nigdy nie był rozmowny, zwłaszcza w obecności Thomasa. A tego ranka Thomas siedział naprzeciwko niego przy kuchennym stole i próbował coś zrobić z nogami. Nie było to proste, miał czternaście lat, przez ostatni rok urósł, najpierw ręce i nogi zrobiły się nieproporcjonalnie długie, potem wręcz groteskowo wydłużył się tułów, zostawiając w tyle ręce i nogi. Będzie wysoki. Bardzo wysoki.

– Dolać ci mleka czekoladowego? – spytała, muskając go prawą dłonią po włosach.

Skinął głową jak ojciec i też się nie odezwał. Jak zwykle. Rano w tym czerwonym domu mówiła tylko Miriam.

Kiedy Thomas wreszcie się pojawił przed sklepem Bröderna Frisk²⁵, gdzie zawsze kupowali męskie ubrania, Miriam czekała na niego na Storgatan, przytupując najdyskretniej, jak mogła, żeby nie stracić czucia w palcach. Damy nie powinny przytupywać zbyt gwałtownie. Tego nauczyła ją Hanna. Damy nie pokazują po sobie, że marzną. Miriam marzła. Tego dnia w Nässjö marzli wszyscy. Mieli na sobie czapki uszatki, grube rękawice, buty narciarskie, grube skarpety, po kilka warstw ubrań, a mimo to marzli. Zwłaszcza Thomas, który wyłonił się z za zasy śniegu po drugiej stronie ulicy i jakby nigdy nic szybkim krokiem przeciął oblodzoną jezdnię na skos, podekscytowany i rozmowny.

– Chciałbym długą kurtkę z kołkami – powiedział zadyszany, jeszcze zanim zdążył do niej podejść.

Z jego ust wydobywały się obłoczki pary.

Miriam przestała przytupywać.

– Z kołkami???

– Tak. – Thomas wydmuchał obłoczek na dłonie w rękawiczkach. – No wiesz... Taką z kapturem, którą zapina się na kołki.

– Ach, budrysówkę?

– Tak! – Uśmiechnął się radośnie. – Tak to się nazywa. Budrysówka.

Weszli do sklepu. Rudowłosy ekspedient, może jeden z dwóch braci Frisk, lekko się uklonił, przywitał panią Adolfsson i młodego pana Adolfssona i pospieszył do stojaka z budrysówkami. Proszę spojrzeć! Oryginalne angielskie. Thomas wybrał ciemnoniebieską i zastanawiał się przez dłuższą chwilę, czyby do niej nie kupić czerwonego szalika, ale ostatecznie zdecydował, że to byłoby zbyt śmiałe. Pozostanie przy swoim starym niebieskim szaliku. Natomiast chciał od razu wyjść w budrysówce. Czy można włożyć jego starą kurtkę do torby? Oczywiście. Ekspedient odpiął przypiętą agrafką karteczkę z ceną, Thomas wsunął dłonie do kieszeni budrysówki i zadowolony przejrzał się w lustrze. Płacąc, Miriam uśmiechnęła się do niego.

– I śniegowce – powiedział Thomas, kiedy wyszli na ulicę. – Mamo, proszę...

W sklepie Oscaria kupili parę wyjątkowo modnych śniegowców na misiurce.

– Są świetne! – Thomas pobiegł przed nią, kiedy byli blisko parku. – W ogóle się nie ślizgają, chociaż jest lód.

Miriam pospieszyła za nim, żałując, że nie wzięła fińskich sań. Szybciej dotarliby do domu. Zaczęło się ściemniać i mróz się nasilił. Na szaroniebieskim popołudniowym niebie świeciły pierwsze gwiazdy.

– Musisz mieć grube skarpety do tych śniegowców – powiedziała. – Nie wyglądają mi na dostatecznie ciepłe.

– Nie marznę. – Thomas rozłożył ręce. – Naprawdę. Nie marznę nic a nic.

Miriam wtuliła głowę w ramiona.

– A ja marznę. Wiesz, co mówi tata: mama marznie, ubierz syna. Zajrzymy do niego po drodze i pokażemy mu twoją nową budrysówkę.

Thomas zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Musimy? – zapytał z wahaniem w głosie.

Miriam uciekła spojrzeniem.

– Tak. Musimy. Bo przemarzłam do szpiku kości! Muszę się rozgrzać, zanim pójdziemy wokół jeziora.

– Powinnaś była wziąć fińskie sanie.

– Owszem. Powinnam była.

Gabinet Olofa mieścił się wówczas w starej patrycjuszowskiej willi tuż obok miejskiego parku. Dawno temu mieszkali w niej jego dziadkowie ze strony matki. Kiedy uznał, że czas dojrzał do rozpoczęcia własnej praktyki, polecił ją przebudować. Teraz pierwsze piętro zajmowała firma rewidencka Zandéna. W oknach było ciemno, czyli działalność nadal była zawieszona. Parę miesięcy wcześniej Zandén przebył operację raka i nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek tutaj wróci. Ale w gabinecie Olofa paliły się lampy, rzucając na śnieg złoty blask przez szprosowe okna, za którymi poruszał się cień.

Miriam wbiegła po kamiennych schodkach, otworzyła drzwi i odetchnęła z ulgą, wchodząc do ciepłej szatni. Pachniało tu jak zwykle, zapach dentystyczny mieszał się z zapachem drewnianej boazerii na ścianach. Nacisnęła świecący na czerwono klawisz wyłącznika, lampa na suficie najpierw kilka razy zamrugła, po czym rozbłysła na dobre. Miriam zdjęła rękawiczki i popatrzyła na swoje palce. Były czerwone. Naprawdę czerwone. Może zaparzy herbatę w malutkiej kuchni Olofa, choćby dla samej przyjemności ogrzania zziębniętych dłoni na gorącej filiżance. Tak. Poza tym Thomasowi dobrze zrobi kubek gorącej herbaty i może Olof będzie mógł na moment oderwać się od pracy, i dotrzymać im towarzystwa...

Otworzyła drzwi do poczekalni i zamrugła ze zdumienia. W środku siedziało troje pacjentów. Zwykła kobieta i dwoje Romów. Zwykła kobieta przeglądała jakiś tygodnik, podniosła głowę, uśmiechnęła się półgębkiem do Miriam i Thomasa i prześlizgnęła się wzrokiem po Romach. Młoda kobieta w cienkiej letniej kurtce i długiej spódnicy siedziała z przytulonym do niej ciemnym kilkunastoletnim chłopcem, który najwyraźniej bardzo cierpiał. Miał spuchnięty cały prawy policzek, przymknął oczy i cicho pojękiwał. Zwykła kobieta nie była zachwycona ich obecnością, to było oczywiste, teraz odsunęła się nieco w prawo, byle dalej od nich.

– Dzień dobry – powiedziała Miriam, bo po prostu nic innego nie przyszło jej do głowy.

Zwykła kobieta skinęła głową, jeszcze raz uśmiechnęła się półgębkiem i wbiła wzrok w tygodnik.

Cyganka nerwowo przewróciła oczami, przygryzła dolną wargę i popatrzyła na Miriam.

– Pomóż. Proszę, pomóż nam...

Okazało się, że ona i syn wybierali się do Sztokholmu, do krewnych, którzy być może zapewniliby im dach nad głową w jako tako ogrzewanym wozie w obozowisku pod Vällingby. Całą jesień mieszkali w namiocie pod Kalmarem, teraz jednak było za zimno, dlatego za ostatnie pieniądze kupiła im bilety na pociąg. Wprawdzie Fardi uskarżał się na ból zęba i był lekko spuchnięty, ale myślała, miała nadzieję, że to przejdzie. Tymczasem kiedy wysiedli w Nässjö, żeby się przesiąść na pociąg do Sztokholmu, nagle zasłabł. Stała na peronie, bezskutecznie usiłując go podnieść. Wyślizgiwał się z jej ramion, był za ciężki, bezwładny, nikt nie chciał jej pomóc, wszyscy spieszyli się do innych pociągów, do swoich spraw i do swoich domów. Poza tym byli Cyganami, a kto chciałby pomóc Cyganom? W końcu natarła mu policzek śniegiem i nareszcie się ocknął, i stanął na własnych nogach. Zaprowadziła go do dworcowej poczekalni, posadziła na ławce, a potem podeszła do kasy biletowej i poprosiła o pomoc. Oczywiście otrzymała pomoc. O tak! Ktoś zadzwonił po policję i po chwili przyjechali dwaj policjanci w pełnym rynsztunku, stanęli przed nią na rozstawionych nogach i zapytali, co ona wyprawia. Co?! Co?! Co?! Potem się okazało, że mimo wszystko byli całkiem sympatyczni. Widzieli, że Fardi jest spuchnięty i źle się czuje, wsadzili ich do radiowozu i przywieźli tutaj, do tego gabinetu dentystycznego. Na nieszczęście w tym zamieszaniu zginęła walizka, w której był cały ich dobytek. Zostali w tym, co mają na sobie, z biletami do Sztokholmu i banknotem pięćdziesięciokoronowym, który schowała w bucie.

– Nie – powiedział Olof. – Nie są zapisani. Muszą czekać.

Pielęgniarka stojąca za jego plecami przytaknęła skinieniem głowy. Miała na imię Gerd i pracowała z Olofem od niedawna. Miriam spotkała ją tylko raz i nie polubiła jej. Lizuska. Nic dodać, nic ująć.

– Ale z nim jest bardzo źle!

– Wykluczone. Zajmę się nim, kiedy obsłużę panią Bergqvist. Nie wcześniej.

W Miriam zapłonął biały płomień. Płomień Maliki. Niemal go widziała.

– Dlatego, że jest Cyganem? Gdyby to był inny chłopiec, przyjąłbyś go poza kolejką!

– Bzdury. – Olof odwrócił się do pielęgniarki. – Proszę poprosić panią Bergqvist.

Miriam zwięzły się oczy.

– Jak ci nie wstyd!

Lekko rozbawiony skrzyżował ramiona na piersi.

– Spokojnie, nie denerwuj się, powiedziałem, że się nim zajmę. Chociaż wątpię, żeby mogli zapłacić...

– Zapłacić? To o tym myślisz? O zapłacie?

– Oczywiście. Muszę przecież mieć czym zapłacić za futro z norek mojej żony i za nową wspaniałą budrysówkę mojego syna. Nikt inny tego za mnie nie robi.

– Że też... – Słowa uwięzły jej w gardle. – Dzwonię do Hanny! Żebyś wiedział. Zaraz zadzwonię do Hanny!

Rozbawiona twarz Olofa lekko drgnęła.

– Proszę bardzo, skarżypyto.

A potem się roześmiał, odwrócił od niej i zaprosił panią Bergqvist do gabinetu.

Miriam drżącą dłonią podniosła słuchawkę i zamówiła rozmowę z Jönköpingiem. Thomas stanął przy drzwiach w kantorku Olofa i oparł się o ścianę. Nie, nie oparł się, tylko do niej przywarł i z całych sił próbował zapanować nad obojętnym wyrazem twarzy. Z nie najlepszym skutkiem. Malował się na niej lęk. Malika, to znaczy Miriam, usiadła na biurowym krześle Olofa i rozpięła futro.

Nareszcie usłyszała głos Hanny:

– Co się dzieje, drogie dziecko?

Miriam wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać. Hanna chrząkała współczująco. Oczywiście rozumie wzburzenie Miriam, naturalnie, ale skoro przed tym cygańskim chłopcem była tylko jedna pacjentka, to chyba świat się nie zawali, jeśli poczeka jeszcze pół godziny. Olof z pewnością zrobi wszystko, co w jego mocy.

– A potem? – powiedziała Miriam. – Co się z nimi stanie potem? Jego mama ma na sobie tylko letnią kurtkę, a chłopiec cienką pikowaną i przetartą. A jest straszliwy ziąb. Jeśli tej nocy będą spać w namiocie, zamarzną na śmierć. Myślisz, że można ich umieścić w hotelu?

Hanna zachichotała.

– Nie, nie wydaje mi się. Nie, jeśli są Cyganami. A poza tym kto za to zapłaci?

– Ale z chłopcem jest naprawdę źle! Wygląda na bardzo chorego...

Hanna spoważniała.

– Wierz mi, rozumiem twój niepokój. To przynosi ci zaszczyt...

Miriam wzięła oddech. Niepokój przynosi jej zaszczyt? Czy Hanna oszalała?

– Mój niepokój nie ma tu nic do rzeczy – powiedziała stanowczo. – Tu chodzi o życie chłopca, który zamarźnie i...

Niemal usłyszała, jak Hanna wzrusza ramionami.

– No to ulokuj ich w piwnicy. Tam jest ciepło.

Płomień Maliki stopniowo wygasł, znów była wyłącznie Miriam.

– W piwnicy? Tutaj? Pod gabinetem Olofa?

– Tak.

– Nie byłam tam od lat.

– Na pewno jest tam porządek. Przecież Olof zatrudnia dozorcę, który czasami tam zagląda, obsługuje kocioł grzewczy i zajmuje się wszystkim innym. Poza tym w starej łazience jest woda. I jest toaleta. Będzie dobrze.

– Myślisz, że Olof...

Hanna znowu zachichotała.

– To się postaw. Chociaż ten jeden raz.

Chłopiec ledwie mógł iść. Po zabiegu, kiedy zszedł z fotela dentystycznego, kolana się pod nim ugięły i mama zdążyła go przytrzymać w ostatniej sekundzie. Miriam rzuciła Olofowi wściekłe spojrzenie: A nie mówiłam? Sam widzisz!

Miriam podeszła do młodej kobiety i lekko ujęła ją pod ramię.

– Posiedź z nim przez chwilę w poczekalni. Ja zaraz przyjdę.

Młoda kobieta szepnęła chłopcu coś do ucha i zaczęła go ostrożnie wyprowadzać. Miriam milczała, dopóki nie przeszli przez próg, potem zamknęła za nimi drzwi, nabrała powietrza i postanowiła przejść do rzeczy.

– Hanna uważa, że mogliby dzisiaj przenocować w piwnicy.

Olof uniósł brwi.

– W piwnicy? Tutaj?

– Tak. Na zewnątrz jest przeszło trzydzieści stopni mrozu. Zamarzną, jeśli

spędzą tę noc w namiocie albo w wozie. A do hotelu ich nie wpuszczą.

– Ale ukradną nam wszystko, co mamy. To przecież Cyganie.

Gerd chrząknęła z aprobatą. W Miriam wezbrała wściekłość Maliki, ale nie pozwoliła jej wybuchnąć.

– To zamkniesz wewnętrzne drzwi do piwnicy – powiedziała spokojnie, ale bardzo stanowczo. – Będą korzystać z zewnętrznych.

– Ale tam nie ma łóżek...

– Zostaw to mnie. Poza tym nie sądzę, żeby byli wybredni.

Olof westchnął i się poddał.

– No dobrze. I tak muszę obejrzyć chłopaka jutro. To był dość rozległy ropień i istnieje ryzyko sepsy...

– Czego?

– Zakażenia krwi. Chociaż to rzadkie.

– Wobec tego śpią w piwnicy. I koniec dyskusji.

Thomas został wysłany do domu po trochę jedzenia i pościel, jeszcze zanim Miriam wyszła do poczekalni. Młoda mama siedziała w tym samym miejscu co przedtem, ale chłopiec leżał. Miał jasnoszarą twarz.

– On krwawi – odezwała się bezbarwnym tonem.

– Tak, ale to normalne, bo dentysta usunął mu ząb.

– Ale on bardzo krwawi...

– Za chwilę dostanie nowy sącdek. A teraz mi powiedz, jak się nazywacie. Ja jestem Miriam.

Nie odrywając oczu od syna, młoda kobieta ostrożnie położyła dłoń na jego policzku i powiedziała przytłumionym głosem:

– To jest Fardi. A ja jestem Anusza.

Anusza. Przez cały wieczór, kiedy urządzała miejsce do spania w piwnicy, to imię nie dawało jej spokoju. Oczywiście, że ta młoda kobieta powinna mieć na imię Anusza. Na pewno była wysłanniczką zgłodzonego narodu, wysłanniczką umarłych, takim memento dla niej, przypomnieniem tego, co zyskała i co straciła. Nie, wcale nie. Zmusiła się do konstatacji, że ta Anusza, Anusza Druga, jest zwyczajną Romką, na którą się przypadkiem natknęła.

– Wszystko się ułoży – powiedziała, zajęta dmuchaniem materaca.

W spojrzeniu Anuszy Drugiej błysnęła przekora.

– Tak myślisz? Ja nie. Jedno wiem na pewno: to się nigdy nie ułoży. Nie, jeśli jest się Cyganem.

Miriam nie mogła spać tej nocy, leżała i patrzyła w ciemność, obiema rękami kurczowo ściskając kołdrę, jakby się bała, że ktoś ją z niej zerwie. Olof pochrapywał obok, przez cały wieczór rechotał, jakby się cieszył, że po raz pierwszy od czternastu lat, odkąd razem zamieszkali, wpadła w złość. Miriam się nie cieszyła. Bała się. Gniew Maliki ją przeraził, otworzył szczeliny w jej murze, przez które mogłaby przypuszczalnie zobaczyć rozpływającą się twarz Didiego, dzikie spojrzenie taty, kiedy kripo zrzuciło jego narzędzia na podłogę, i czarne, zwęglone palce, które wisały na drutach ogrodzenia w Auschwitz, i usłyszeć krzyk Anuszy Pierwszej: „Nie! Nie! Nie!”. Była przecież Romką, tak jak Anusza Druga, i gdyby to się wydało, spotkałby ją równie nędzny los. Zerwano by z niej kołdrę, pod którą leży, nie miałyby ładnej nocnej koszuli, straciłaby futro z norek i botki na misiui, i śliczny naszyjnik z pereł. Uśmiech zniknąłby z twarzy Olofa, już nigdy nie obejmowałyby jej jego pożądliwe dłonie, Hanna odsunęłaby się od niej, wykrzywiając się z niesmakiem, a Thomas, jej chłopiec, który nadał jej życiu sens, zostałby jej na zawsze odebrany. Policjanci stanęliby przed nią na szeroko rozstawionych nogach, wywrzeszczeli pytanie, co ona tu, do cholery, robi, i musiałaby się tułać po świecie, bo w tym najbogatszym, najspokojniejszym i najbardziej humanitarnym kraju Cyganie nadal nie mogli mieć stałego miejsca zamieszkania.

Nie przeżyłaby tego. Przeżyła Auschwitz i Ravensbrück, ale nie przeżyłaby, gdyby prawda wyszła na jaw. Ostrożnie odsunęła kołdrę, odszukała bosymi stopami ranne pantofle, owinęła się podomką i weszła do pokoju dziennego. Usiadła w niebieskim fotelu i patrzyła w ciemność spowijającą Nässjö. Musi obmyślić strategię.

Następnego dnia rano była jednym wielkim uśmiechem. Dopilnowała, żeby grzanki Olofa upiekły się na złocistobrazowy kolor, do mleka czekoladowego Thomasa dodała łyżeczkę bitej śmietany, potem czekała na Olofa w holu z jego paltem w ręku, zawiązała mu szalik, cmoknęła w policzek i zapytała lekkim tonem, czy po południu miałby ochotę na gołąbki. Wiedziała, że tak. Dla Olofa nie było nic smaczniejszego nad gołąbki. Thomas też dostał buziaka w policzek, ale sam włożył budrysówkę i sam zawiązał szalik. Uśmiechnął się zadowolony i zanim zatrzasnął drzwi, pomachał jej na do widzenia.

Po jego wyjściu Miriam policzyła do dziesięciu, zeszła do piwnicy i czym prędzej pospieszyła do swojej wiewiórczej dziupli, garderoby w głębi piwnicy. Olof zawsze stroił sobie z niej żarty, mówił, że jest prawdziwą wiewiórką, która gromadzi, co tylko się da, nawet to, czym pies z kulawą

nogą by się nie zainteresował. Świetnie. Były tutaj wszystkie ubrania, z których Thomas wyrósł. Ciepłe zimowe kurtki, wyprane i wyprasowane kraciaste koszule codzienne, spodnie z grubej flaneli, swetry i skarpety robione na drutach, rękawiczki i czapki. Fardi potrzebował dwóch zmian. Co najmniej. Wybrała ubrania w odpowiednim rozmiarze, poskładała je i ułożyła w kupkę, potem przyklękła, żeby wybrać buty. No proszę, tam stały, w głębi. Wyjęła jedną parę w rozmiarze 37 i jedną w rozmiarze 38, bo chłopiec z piwnicy miał dość duże stopy jak na swój wiek...

No tak. Nieważne. Gdyby nie pasowały, w każdej chwili może je wymienić, bo były tu buty we wszystkich rozmiarach, z 42 włącznie, z tych ostatnich Thomas wyrósł, kiedy skończył trzynaście lat. A teraz powinna znaleźć coś dla Anuszy Drugiej, coś ciepłego i schludnego. To bardzo ważne, żeby wyglądała schludnie. Była jednak dużo niższa od niej, co komplikowało sprawę. Weźmie spódnicę i bluzkę. I może kardigan, i sweter wkładany przez głowę. O, tam wisiała jej spódnica w szkocką kratę, której ani razu nie miała na sobie zeszłej jesieni. Może można by było ją podłożyć? Albo podnieść stan. Zabierze ją i zobaczy, ile trzeba skrócić. I ciemnoniebieski kardigan, trochę przetarty na łokciach. I bluzkę z białą bordiurą, którą kupiła dziesięć lat temu. I oczywiście płaszcz. Też trzeba go skrócić. Zimowy płaszcz w kolorze mglistego błękitu z aksamitnym kołnierzem. Był dość ciepły. Nie tak ciepły, rzecz jasna, jak jej futro z norek, ale dużo cieplejszy od cienkiej letniej kurtki Anuszy Drugiej.

Zerknęła na zegarek. Nie było jeszcze wpół do dziesiątej. Zdąży pójść do chłopca z piwnicy i jego mamy przed otwarciem banku.

– Dlaczego? – zapytała Anusza Druga, kiedy Miriam wyjęła ubrania z torby.

Miriam wyprostowała plecy. Jej głos był jaśniejszy niż zwykle.

– Żebyście nie marzli.

– Nie tylko – powiedziała Anusza Druga. – Chcesz czegoś więcej. Czego chcesz?

Miriam pokręciła głową.

– Nie. Chcę tylko, żebyście nie marzli. Jak się dzisiaj czuje chłopiec z... Fardi?

Anusza Druga obrzuciła syna spojrzeniem. Leżał na materacu, z kocem pod brodą.

– Już nie krwawi.

– Czy opuchlizna zeszła?

– Trochę.

– Mój mąż jeszcze go nie obejrzał?

Anusza Druga pokręciła głową i nie spuszczała wzroku z Miriam.

– Nie. Chciałam do niego pójść, ale drzwi były zamknięte.

Miriam miała rozbiegane oczy.

– Zawsze są zamknięte.

– Wczoraj, kiedy tu przyszliśmy, były otwarte...

Miriam popatrzyła na nią z uśmiechem. Zawsze umiała kłamać, teraz też sobie poradzi, zwłaszcza że chciała przeżyć. Nie będzie się tułać po świecie.

– Tak, bo wczoraj je otworzyłam.

Anusza Druga lekko pokręciła głową, nie oponowała, miała poważną minę.

– My nie kradniemy. Ani Fardi, ani ja. Nie jesteśmy złodziejami.

Miriam napotkała jej spojrzenie.

– Wiem – powiedziała. – Wiem, że nie jesteście złodziejami.

Oczy Anuszy Drugiej zwęziły się.

– I nie będziesz twierdzić, że ukradliśmy te ładne ubrania? I nie doniesiesz na nas na policję?

Miriam westchnęła.

– Nie. Nie będę i nie doniosę. Dlaczego, do diaska, miałabym coś takiego zrobić?

Anusza Druga odwróciła się i wymruczała coś po romsku, ale na tyle wyraźnie, żeby Miriam ją usłyszała i zrozumiała: „Bo tak robią gadziowie!”.

– Przepraszam, co powiedziałaś? – spytała zbyt jasnym głosem.

– Nic – odparła Anusza Druga. – Absolutnie nic.

Kiedy Miriam wróciła następnego dnia, Fardi wciąż nie był w dobrej formie, ale zesła mu opuchlizna z policzka. Olof go obejrzał i powiedział, że wszystko świetnie się goi.

– Dał nam szczoteczki do zębów – powiedziała Anusza Druga, kiedy Miriam przyniosła jej skróconą spódnicę i skrócony zimowy płaszcz. – Moje zęby też obejrzał. Pewnie myślał, że w ogóle ich nie myjemy.

Miriam lekko się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami.

– Dentyści... Sama wiesz.

– Nie, nie wiem. Co dentyści?

– Zawsze im mało. Nikt ich zdaniem dostatecznie często nie myje zębów.

– Ty też?

Tym razem kłamstwo przyszło jej łatwiej.

– Tak, ja też. Mam myć zęby po każdym posiłku, ale tego nie robię. Myję tylko rano i wieczorem.

Anusza Druga kiwnęła głową i włożyła płaszcz.

– Jak wyglądam?

– Ładnie. Jest ci w nim do twarzy. I mam tu jeszcze torebkę.

Wyjęła czarną torebkę. Trochę już niemodną, ale nikt by się jej nie powstydził. Anusza Druga popatrzyła na nią podejrzliwie.

– Dlaczego?

Miriam westchnęła.

– Bo dobrze jest mieć torebkę.

Czwartego dnia przemiana stała się faktem. Chłopiec z piwnicy w porządnej zimowej kurtce, czapce uszatce, ciut przydużych ciepłych butach i w grubych skarpetach promieniał uśmiechem.

– Podziękuj pani – powiedziała Anusza Druga i lekko go szturchnęła.

Chłopiec z piwnicy zdjął czapkę i się uklonił.

Anusza Druga westchnęła.

– Bardzo przepraszam.

– Za co?

Anusza Druga westchnęła po raz drugi. W rozpiętym zimowym płaszczu w kolorze mglistego błękitu i w lekko znoszonych botkach Miriam prezentowała się naprawdę ładnie.

– Za to, że nic nie mówi. A przecież powinien podziękować. Ja też...

Znów otworzyła się szczelina w murze.

– Dawno temu miałam przyjaciółkę Anuszę.

Anusza Druga zaczęła zapinać płaszcz, ale nagle znieruchomiała i spojrzała na Miriam.

– Była Cyganką?

Miriam nie zdobyła się na odpowiedź i potrząsnęła głową.

Anusza Druga, intensywnie się w nią wpatrując, szepnęła:

– A ty? *Rom san? Romengi san?*

Na moment świat się zakołysał, szczeliny w murze się poszerzyły i przez sekundę Miriam przepełniła tęsknota, chciała się obudzić z tego snu, w którym żyła, chciała wrócić do swojego języka i swojego życia, do prawdy, ale wiedziała, że to niemożliwe, bo poniosłaby zbyt duże konsekwencje, a do tego nie mogła dopuścić.

Wsunęła dłonie do kieszeni futra z norek i pokręciła głową.

– Przepraszam, nie rozumiem – odezwała się po dobrej chwili swoim najłagodniejszym tonem. – Co powiedziałaś?

– Byłaś wyjątkowo hojna dla chłopca z piwnicy i jego mamy – mówi Thomas, obracając bransoletkę w dłoniach. – Zanadto hojna.

Miriam zamyka oczy, odchyła się w trzcinowym fotelu, tuż nad jej głową, na jabłoni, świergocze jakiś ptaszek.

– Zanadto hojna? Bez przesady.

– Przecież dałaś im pieniądze, prawda? Nie tylko mnóstwo ubrań i walizkę.

Miriam otwiera oczy i posyła mu spojrzenie. Jego twarz jest w cieniu.

– To była wyjątkowo mroźna zima. A Anusza miała tylko pięć koron. Więc to zrozumiałe, że dałam im parę groszy.

– Parę groszy? Czteryście koron! W tamtych czasach to było dużo pieniędzy.

Miriam prostuje się w fotelu i robi wielkie oczy.

– Skąd o tym wiesz?

Thomas uśmiecha się krzywo.

– Bo zajrzałem do twojego portfela, zobaczyłem dowód wypłaty z banku, ale nie znalazłem pieniędzy... A nic nie kupowałaś ani nie mówiłaś, że ktoś cię okradł...

Miriam opuszcza stopy z podnóżka i patrzy na niego, jakby go zobaczyła pierwszy raz w życiu.

– Co takiego?! Zaglądałeś do mojego portfela?

Thomas poważnie kiwa głową.

– Tak, zaglądałem. Do twojego portfela i do twojej torebki, i do twojej komody, i do twojej szafy, i przeszukiwałem twoje kieszenie. Żeby zaspokoić swoją ciekawość. Nie rozumiałem, dlaczego zareagowałaś tak gwałtownie w sprawie chłopca z piwnicy i jego mamy. Chciałem wiedzieć, kim ty właściwie jesteś.

Miriam wolno kręci głową.

– Nie wiedziałeś, kim jestem? Przecież byłam twoją mamą.

Thomas powtarza jej gest i lekko kręci głową.

– Nie. Byłaś nie tylko moją mamą. Byłaś kimś o wielu tajemnicach. Zbyt wielu tajemnicach. Miałaś to wypisane na twarzy. Ciągłe masz.

Miriam przesuwając dłoń po twarzy, szybko się reflektuje i opuszcza dłoń.

– Wciąż zaglądasz do mojego portfela? – pyta z ironią w głosie i uśmiecha

się.

Thomas nie odwzajemnia uśmiechu. Jest bardzo poważny.

– Nie. Nie zaglądałem do twojego portfela, odkąd zdałem maturę. Ale zawsze byłem ciekawy...

Między nimi zapada milczenie. Jest tak cicho, jakby całe miasto wstrzymało oddech. Ptaki już nie świergoczą, nie jeżdżą samochody, nawet Kaiser nie szczeka. Thomas jeszcze raz patrzy na bransoletkę, potem podnosi lewą rękę Miriam, wkłada bransoletkę i trzyma jej dłoń w swojej.

– Kim jest Didi? – mówi w końcu.

Serce Miriam nagle mocniej bije.

– Ty jesteś Didi... – szepce.

Thomas kręci głową.

– Nie. Ja nie jestem Didi. Kto to jest?

Miriam próbuje odnaleźć swój głos.

– Skąd wiesz... Gdzie słyszałeś to imię?

– Często je wypowiadasz. Prawie zawsze po obudzeniu. Tak jak dzisiaj.

Miriam nie jest już w stanie dłużej się bronić, patrzy Thomasowi głęboko w oczy i mówi:

– Didi był moim młodszym bratem. Umarł w Auschwitz.

Thomas ściska jej dłoń i nic nie mówi.

– A ty... Kiedy go straciłam, dostałam ciebie.

Thomas kiwa głową i zamyka dłoń Miriam w swoich dłoniach.

– Był taki mały...

Milknie, pochyla głowę, wpatruje się w swoją jasnoniebieską sukienkę i podnosi głowę. Tak. Mówi o Didim, wymienia jego imię, ale nie ma łez w oczach. Od jego śmierci minęło blisko siedemdziesiąt lat. Może już czas przestać płakać, chociaż nigdy nie przestanie go opłakiwać.

Thomas patrzy na nią i nie wypuszcza jej dłoni.

– Dziękuję – mówi. – Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

Miriam patrzy na niego. Jest jej synem. Kocha go.

– Tak? Co chcesz wiedzieć?

Thomas ucieka spojrzeniem i zatrzymuje wzrok na różanym klombie za jej

plecami.

– Dzisiaj rano powiedziałaś, że nie jesteś Miriam. Czy to prawda?

Miriam uśmiecha się do niego i lekko kręci głową.

– Nie – mówi. – Niezupełnie. Mogę powiedzieć, że ja jestem również Miriam.

POSTSCRIPTUM

To fikcyjna opowieść z fikcyjnymi postaciami (nie licząc trzech), której tło stanowią autentyczne wydarzenia. Opis buntu w obozie cygańskim w Auschwitz 16 maja 1944 roku zaczerpnęłam z „Głosów Pamięci 7”: *Romowie w KL Auschwitz*. Stamtąd pochodzą informacje o tak zwanej cygańskiej nocy z 2 na 3 sierpnia 1944 roku, kiedy zagazowano i spalono około trzech tysięcy Romów. W tymże zeszycie znalazłam również informację o nomie i eksperymentach Josefa Mengele na romskich dzieciach.

Podczas dwuipółletniej pracy nad powieścią moim najważniejszym źródłem był Hans Caldaras. Bez jego cierpliwości i humoru, hojnego wsparcia i uprzejmych odpowiedzi na moje liczne pytania nigdy bym się nie odważyła podjąć tego tematu. Jestem mu winna ogromne podziękowania.

Równie dużo zawdzięczam Irene Herz-Weitzberg, jednej z uchodźczyń odbywających kwarantannę w Aneby, którą odwiedziłam w Brukseli, gdzie od dawna mieszka. Jej wyjątkowy hart ducha i nigdy niegasnąca iskra życia wprawiły mnie w osłupienie, podobnie jak to, że mimo blisko siedemdziesięciu lat od opuszczenia Szwecji nadal znakomicie mówi po szwedzku. Właśnie od niej dowiedziałam się o Bernhardzie Petterssonie, postaci autentycznej, który zaprosił uchodźczynie na tort, ale wydarzenia z tamtego dnia są już moją dowolną interpretacją. Inne postaci autentyczne to, niestety, Josef Mengele i Dorothea Binz, nadzorczyńi SS w Ravensbrück. I nie przypadkiem pasierb Miriam nazywa się Thomas Adolfsson. Z rozmysłem nadałam mu imię i nazwisko mojego zmarłego siostrzeńca, choć między prawdziwym a fikcyjnym Thomasem nie istnieje żadne podobieństwo.

W pierwszą podróż związaną z powieścią udałam się do Jönköpingu, gdzie dzięki Evie Sjöberg, dziennikarce TV4, skontaktowałam się z Larsem Löflingiem. Oprowadził mnie po tej dzielnicy, w której w lipcu 1948 roku doszło do tak zwanych zamieszek z *tattare*. Dodatkowe informacje o tym, co się wtedy wydarzyło, pozyskałam z publikacji Martina Ericssona, która zweryfikowała, i słusznie, niektóre moje uprzedzenia.

W drugą podróż udałam się do Auschwitz-Birkenau, miejsca, na którego widok odebrało mi mowę. Księgarnia muzeum okazała się prawdziwą kopalnią złota. Mniej więcej miesiąc później pojechałam do Fürstenbergu i Ravensbrück. Tam zaopiekowali się mną dr. Insa Escheback²⁶ i Thomas Kunz, moi przewodnicy, którzy opowiedzieli mi o imponujących pracach naukowo-badawczych i dokumentacji, prowadzonych w Mahn- und Gedenkstätte²⁷.

Byłam, rzecz jasna, w Aneby i Nässjö. W Aneby bardzo mi pomogli Wivianne i Roland Häggowie, dzieląc się ze mną wspomnieniami z przyjazdu uchodźczyń, przerażonych na widok robotników ze Svensk Ståll AB, i zapoznając mnie z odnośnymi publikacjami. Od miejscowego historyka, Görana Engströma, sekretarza smalandzkiego stowarzyszenia pisarzy, dostałam niezwykle interesujące wycinki z gazet z okresu powojennego. W Nässjö wystarczył mi samotny spacer po miejskim parku wokół Ingsbergssjön, taki, jaki odbyły Miriam i Camilla, podczas którego obmyślałam, jak to wszystko poukładać w przestrzeni miasta – co jest przywilejem autora powieści. Byłam tam również na obiedzie z kimś, komu przed laty uwierzyłam, że mogę zostać pisarką, z Börjem Svenssonem, moim nauczycielem szwedzkiego.

Poza tym starym zwyczajem zadreślałam mnóstwem pytań przyjaciół. Psycholożka Ylva Phil wyjaśniła mi, czym jest zespół stresu pourazowego, Eva Simonsson, miłośniczka książek i higienistka stomatologiczna, pomogła mi w kwestiach odontologicznych. Mój nad wyraz ugodowy syn Patrik Axelsson (przyszły bibliotekarz) dostarczył mi wiadomości na temat rodzajów broni w latach czterdziestych, Ewa Persson-Göransson jak zwykle czytała powieść w miarę jej powstawania, wspierając mnie okrzykami otuchy i zachęty, a Dorotea Bromberg, właścicielka wydawnictwa, i jej pracownicy wiernie mi sekundowali z nigdy niegasnącym entuzjazmem. Od starszego syna Andreasa Axelssona dostałam płytę CD z *Kwartetem na koniec czasów* Oliviera Messiaena, który pozwalał mi się pozbierać, kiedy prawda o obozach koncentracyjnych stawała się zbyt trudna do udźwignięcia. Mój ślubny, Jan Axelsson, pojechał ze mną do Auschwitz, pomógł mi odtworzyć w pamięci Nässjö z lat sześćdziesiątych i ze stoickim spokojem znosił moje ponure pomrukiwania i długotrwałe okresy milczenia, absolutnie mi niezbędne, ilekroć pracuję nad powieścią.

Im wszystkim dziękuję.

Majgull Axelsson

LITERATURA

Podczas pracy nad powieścią zapoznałam się między innymi z następującymi publikacjami:

Bratteli Trygve, *Fånge i natt och dimma*, Tiden förlag [tytuł oryg.: *Fange i natt og tåke*; Więzień nocy i mgły]

Buber Margarete²⁸, *Fånge hos Hitler och Stalin*, Natur & Kultur [Więźniarka Stalina i Hitlera]

Caldaras Hans, *I betraktarens ögon*, Prisma [Oczami obserwatora]

Carling Gerd, *Romani i svenskan*, Carlssons [Romski w szwedzkim]

Delbo Charlotte, *Auschwitz and After*, Yale University Press [tytuł oryg.: *Auschwitz et après*; t. 1 wyd. polskie *Żaden z nas nie powróci*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau]

Edvardson Cordelia, *Bränt barn söker sig till elden*, Brombergs/Litteraturfrämjandet [Spalone dziecko garnie się do ognia]

Ericsson Martin, *Tattarkravallerna i Jönköping 1948: en studie av arbetarkulturen och utanförskapet*, Lunds universitet, Historiska institutionen [Rozruchy przeciwko tattare w Jönköpingu w 1948 r: studium o kulturze robotniczej i wykluczeniu]

Fonseca Isabel, *Begrav mig stående*, Ordfront [tytuł oryg.: *Bury Me Standing: The Gypsies and Their Journey*]

Garde Pia-Kristina, *Mina föräldrars kärlek*, Axplock [Świadectwo skazanych na śmierć – sześćdziesiąt lat później, wyd. Czarne]

Grocher Mietek, *Jag överlevde!*, Bokförlaget Inova [Przeżyłem!]

Hazell Bo, *Resandefolket*, Ordfront [pełny tytuł: *Resandefolket: från tattare till traveller*; Naród wędrowny: od tattare do podróżnika]

Kaplan Suzanne, *Barn under Förintelsen – då och nu*, Natur & Kultur [Dzieci w czasach Zagłady – wtedy i teraz]

Kapralski Sławomir, Martyniak Maria, Talewicz-Kwiatkowska Joanna, *Roma in Auschwitz*, Voices of Memory 7, Auschwitz-Birkenau State Museum [Romowie w KL Auschwitz, „Głosy Pamięci 7”, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau]

Levi Primo, *Är detta en människa?*, Albert Bonniers Förlag [tytuł oryg.: *Se questo è un uomo*; *Czy to jest człowiek*, Wydawnictwo Literackie]

- Levi Primo, *De förlorade och de räddade*, Albert Bonniers Förlag [tytuł oryg.: *I sommersi e i salvati*; *Pogrążeni i ocaleni*, Wydawnictwo Literackie]
- Levi Primo, *Fristen*, Albert Bonniers Förlag [tytuł oryg.: *La tregua*; *Odroczenie*]
- Lomfors Ingrid, *Blind fläck*, Atlantis [pełny tytuł: *Blind fläck: minne och glömska kring svenska Röda korsets hjälpsats i Nazityskland 1945*; *Ślepa plama: pamięć i niepamięć o Szwedzkim Czerwonym Krzyżu w nazistowskich Niemczech*]
- Longerich Peter, *Heinrich Himmler – en biografi*, Norstedts [tytuł oryg.: *Heinrich Himmler: Eine Biographie*; *Himmler. Buchalter śmierci*, Prószyński Media]
- Longerich Peter, *Joseph Goebbels – en biografi*, Norstedts [tytuł oryg.: *Goebbels. Biographie*; *Goebbels. Apostoł diabła*, Prószyński Media]
- Matalon Lagnado Lucette i Cohn Dekel Sheila, *Eldens barn, sanningen om doktor Josef Mengele och tvillingarna i Auschwitz*, Richter [tytuł oryg.: *Children of the Flames: Dr. Josef Mengele and the Untold Story of the Twins of Auschwitz*]
- Mohtadi Lawen, *Den dag jag blir fri: en bok om Katarina Taikon*, Natur & Kultur [Dzień, w którym będę wolna: książka o Katarinie Taikon]
- Neitzel Sönke, Welzer Harald, *Soldater*, Bonniers [tytuł oryg.: *Soldaten: Protokolle vom Kämpfen, Töten und Streben*; *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej]
- Niewyk Donald L. (wyd.), *Fresh Wounds*, University of North Carolina Press [pełny tytuł: *Fresh Wounds: Early Narratives of Holocaust Survival*]
- Nyiszli Miklós, *I Was Doctor Mengele's Assistant*, Frap-Books [tytuł oryg.: *Orvos voltam Auschwitzban*; *Pracownia doktora Mengele: wspomnienia lekarza z Oświęcimia*, Czytelnik; *Byłem asystentem doktora Mengele: wspomnienia lekarza z Oświęcimia*, Trio]
- Papusza (Bronisława Wajs), *Jag är där vinden är och andra sånger*, Bokförlaget Tranan [Jestem tam gdzie wiatr i inne pieśni]
- Persson Sune, *Vi åker till Sverige: de vita bussarna 1945*, Fisher & Co [*Białe autobusy. Pakt z Himmlerem i niezwykła akcja ratowania więźniów obozów koncentracyjnych*, Wydawnictwo Naukowe PWN]
- Pontecorvo Gillo²⁹, *Kapo* (film), Essential Art House
- Remarque Erich Maria, *Livsgnistan*, Albert Bonniers Förlag [tytuł oryg.: *Der Funke Leben*; *Iskra życia*, Czytelnik]

- Rosenberg Göran, *Ett kort uppehåll på vägen till*³⁰ *Auschwitz*, Albert Bonniers Förlag [Krótki przystanek w drodze z Auschwitz, wyd. Czarne]
- Sem-Sandberg Steve, *De fattiga i Łódź*, Albert Bonniers Förlag [*Biedni ludzie z miasta Łodzi*, Wydawnictwo Literackie]
- Sem-Sandberg Steve, *Ravensbrück*, Albert Bonniers Förlag [*Ravensbrück. O Milenie Jesenskiej*, wyd. Czarne]
- Sjögren Karin, *Judar i det svenska folkhemmet*, Brutus Östlings Bokförlag Symposion [Żydzi w szwedzkim Domu Ludowym]
- Sonneman Toby, *Shared sorrows*, University of Heartfordshire³¹ Press [pełny tytuł: *Shared Sorrows: A Gipsy family remembers the Holocaust*]
- Spiegelman Art, *Maus – en överlevandes historia*, Brombergs [powieść graficzna, tytuł oryg.: *A survivor's tale*; *Opowieść ocalałego – Mój ojciec krwawi historią* (cz. 1), *I tu się zaczęły moje kłopoty* (cz. 2), wyd. Post]
- Strzelecka Irena, *Medical Crimes – The experiments in Auschwitz*, Voices of Memory 2, Auschwitz-Birkenau State Museum [*Zbrodnicza medycyna. Eksperymenty medyczne w KL Auschwitz*, „Głosy pamięci 2”, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau]
- Styron William, *Sophies val*, Wahlström & Widstrand [tytuł oryg.: *Sophie's Choise*; *Wybór Zofii*, Muza]
- Taikon Katarina, *Zigenardikter*, FIB:s lyrikklubb [pełny tytuł: *Zigenardikter: ett urval zigenardikter från olika länder och miljöer*; *Wiersze cygańskie: wybór wierszy cygańskich z różnych krajów i środowisk*]
- Taikon Katarina, *Zigenare*, Hanseproduktion³² [Cyganie]
- Żywulska Krystyna, *I survived Auschwitz*, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau³³ [*Przeżyłam Oświęcim*, doM wydawniczy tCHu, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau]

¹ Przekład z języka romskiego na język polski dokonany przy pomocy Krajowego Duszpasterza Romów, ks. mgr. Stanisława Opockiego. (Wszystkie przypisy z wyjątkiem przypisu na s. 159 pochodzą od tłumaczki).

² Wigilia św. Jana Chrzciciela, w Szwecji od roku 1953 święto ruchome, wypadające zawsze w piątek między 19 a 25 czerwca.

³ Pisownia innych wyrazów romskich zgodna z zapisem autorki.

⁴ Obelżywie o Romach. Wg *Nordisk familjebok*: „właśc. te same słowa, co Tartar, Tatar, używane początkowo w odniesieniu do pierwszych Cyganów w Europie Płn., których uznano za Tatarów. W Szwecji słowem tym określa się najczęściej rasę mieszaną, powstałą z Cyganów i rdzennej ludności kraju, jest jednak kwestią sporną, czy *tattare* rzeczywiście są potomkami Cyganów”.

⁵ T = Tattare, Z = Zigenare, J = Judar (Tattare, Cyganie, Żydzi).

⁶ (norw.) zawiedziony, wyczerpany, przygnębiony, odczuwać smutek, nienawidzić, być głodnym, odczuwać ból, być zadowolonym.

⁷ *Tack* (szw.) – dziękuję.

⁸ Z psalmu 474 *Den blomstertid nu kommer*.

⁹ Bośniacko-cygańska kołysanka z *Zigenardikter: ett urval zigenardikter från olika länder och miljöer* (Wiersze cygańskie: wybór wierszy cygańskich z różnych krajów i środowisk); wybór i przekład na język szwedzki Katarina Taikon.

¹⁰ W Ravensbrück więźniarki dostawały kawę z żołądźmi.

¹¹ „Sytuacja dramatycznie pogorszyła się na początku jesieni 1944 r., gdy z polecenia kierownictwa obozu ustawiono między blokami 24 i 26 ogromny, 50-metrowy namiot, w którym mieszkały kobiety przywiezione z powstania warszawskiego, węgierskie Żydówki oraz więźniarki ewakuowane z Auschwitz. Warunki, w jakich mieszkały, urągały wszelkim zasadom higieny: 3000 kobiet spało bez przykrycia na podłodze pokrytej słomą, brak wody oraz sanitariatów przyczyniły się do niezwykle dużej śmiertelności”. Agnieszka „Federalna” Fedorowicz, FKL *Ravensbrück 1939–1945*.

¹² Związek Niemieckich Dziewcząt.

¹³ Według dostępnych źródeł internetowych imię Malika wywodzi się z kręgu kultury arabskiej i znaczy królowa. Królowa/cesarzowa w hindi to Malaka.

¹⁴ Przełożył Jerzy Ficowski.

¹⁵ Tzw. *Industriehof*, usytuowane na terenie obozu Zakłady Przetwórstwa Tekstyliów i Skóry *Textled* (*Gesellschaft für Textil und Lederwertung*).

¹⁶ Prawdopodobnie pierwsza literacka wersja *Pieśni Horsta Wessela*, przełożona na język polski przez Andrzeja Lama w 1963 roku.

¹⁷ *Jugendschutzlager Uckermark* – tzw. prewencyjny obóz młodzieżowy, otwarty w maju 1942 r. jako obóz dla dziewcząt w wieku od 16 do 21 lat, aresztowanych za przestępstwa kryminalne lub dla „trudnych jednostek mających kłopoty z prawem”.

¹⁸ (norw.) Moja przyjaciółka nie ma butów.

¹⁹ (duń.) Są tu chore?

²⁰ (norw.) Piękna jak co?

²¹ Szwedzka Wełna Stalowa SA.

²² Otto Gustaf Carlsund (1897–1948) – szwedzki malarz awangardowy i krytyk sztuki, związany z kubizmem, puryzmem, neoplastycyzmem i konkretyzmem.

²³ (niem.)

²⁴ Przełożył Jerzy Ficowski.

²⁵ Bracia Frisk.

²⁶ Błąd autorki, zamiast „Escheback” powinno być „Eschebach”.

²⁷ Pełna nazwa: Nationale Mahn- und Gedenkstätte Ravensbrück – Narodowe Miejsce Przystrogi i Pamięci Ravensbrück.

²⁸ Buber-Neumann Margarete.

²⁹ Reżyser i autor scenariusza.

³⁰ Błąd autorki, zamiast *till* („do”) powinno być *från* („z”).

³¹ Błąd autorki, zamiast „Heartfordshire” powinno być „Hertfordshire”.

³² Błąd autorki, zamiast „Hanseproduktion” powinno być „Hanseproduction”.

³³ Powinno być: Tchu Publishing House, Auschwitz-Birkenau State Museum.

Spis treści

POMIĘDZY

PO ŚMIERCI, PRZED ŻYCIEM

KIEDY WSCHODZI TRAWA I ZBOŻE

OBOZOWE ŻYCIE

W RAJSKIM MIEJSKIM PARKU

POCIĄG WIDMO

CHŁOPIEC Z PIWNICY

POSTSCRIPTUM

LITERATURA